

Claire Hoy

Victor Ostrovsky

Z tajemnic izraelskiego wywiadu

Wydawnictwo „Polus”

Warszawa 1991

Okładkę i strony tytułowe projektował: Jerzy Kępkiewicz.

Redakcja: Czesław Sandelewski.

Skład: Elżbieta Poślaniec.

Tłumaczenie z angielskiego: Piotr Kowalski, Zygmunt Słomkowski

Tytuł oryginału: „By Way of Deception.

A Devastating Insider's Portrait of the Mossad”

Copyright © Claire Hoy i Yictor Ostrovski 1990

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej pracy nie może być
odtworzana, czy
rozpowszechniana w żadnej formie i żadnymi środkami, bądź
elektronicznymi bądź

mechanicznymi, włącznie z fotokopiowaniem, nagrywaniem na taśmy,
przy użyciu innych
systemów informacyjnych i powielających, bez pisemnej zgody wydawcy,

© Copyright for the Polish edition by

Wydawnictwo „Polus”.

Warszawa 1991

ISBN 83-900071-1-8

Wszystkim tym,
którzy chętnie oddali życie,
choć należało
ich oszczędzać.

V.O.

Memu tajnemu natchnieniu — Lydii

C.H.

OD AUTORÓW

Ujawnienie faktów, które poznałem w czasie czterech lat spędzonych
w szeregach Mosadu, nie było decyzje[^] Salwą.

Pochodzę z żarliwie syjonistycznego środowiska. Uczono mnie zawsze,

że państwo Izrael nie może postępować niewłaściwie, że jesteśmy Dawidem pozostającym w nieustannej walce z wciąż rosnącym Goliatem, że nikt nas nie będzie chronił, jeśli nie zrobimy tego sami. Przekonanie to umacniali we mnie ludzie, którzy przeżyli zagładę i żyli wśród nas.

W naszym ręku. ręku nowego pokolenia Izraelitów, obywateli państwa zmartwychwstałego na własnej ziemi po ponad dwóch tysiącach lat wygnania, spoczywały losy całego narodu.

Dowódców naszych armii nazywano orędownikami sprawy — nie generałami. Nasi przywódcy byli dla nas kapitanami u steru wielkiego okrętu.

Byłem dumny, kiedy wybrano mnie i dostałem zaszczytu włączenia się do tego, co uważałem za wybrany zespół Mosadu.

Ale wypaczone ideały i egocentryczny pragmatyzm, które spotkałem wewnątrz Mosadu, połączone z zachłannością, lubieżnością, z absolutnym brakiem szacunku dla życia ludzkiego, charakteryzujące ten tzw. zespół skłoniły mnie do opowiedzenia tej historii.

Moją decyzją przeciwstawiam się tym, którzy ośmielili się przekształcić

syjonistyczne marzenie w dzisiejszy koszmar. Czynię to ryzykując życiem,
ale
kieruje mną miłość do Izraela jako wolnego i sprawiedliwego kraju.

Mosad— organizacja wywiadowcza, którą obarczono odpowiedzialnością za torowanie drogi w służbie przywódców sterujących państwem,
zawiodła
zaufanie, jakim ją obdarzono. Planując różne operacje na własną rękę, dla
miałkich, egoistycznych celów zepchnęła kraj na drogę prowadzącą do
antagonizmów i wojny totalnej.

Nie mogę dłużej milczeć. Nie mogę też ryzykować osłabienia wiarygodności tej książki poprzez ukrywanie rzeczywistości za fałszywymi
nazwiskami
i zakamuflowanymi tożsamościami. (Jakkolwiek używam liter zamiast
nazwisk w stosunku do kilku osób czynnych w terenie, aby chronić ich
życie).

Alea iacta es t — kości są rzucone.

Victor Ostrovsky

Lipiec 1990

Pracując ponad 25 lat jako dziennikarz nauczyłem się, że nigdy nie
należy nikomu odmawiać, jeśli ktoś pragnie przekazać jakąś historię,
niezależnie od tego, jak dziwacznie może ona brzmieć. Początkowo

historia

Victora Ostrovskiego wydawała się dziwaczniejszą niż jakakolwiek inna.

Pewnego popołudnia, w kwietniu 1988 roku, siedziałem na swoim zwykłym miejscu w loży prasowej parlamentu w Ottawie, gdy zadzwonił do

mnie Victor Ostrovsky. Powiedział, że ma materiał o charakterze międzynarodowym, który mógłby mnie zainteresować. Wydałem właśnie kontrower-

syjny bestseller pt. „Przyjaciele na świeczniku”, dotyczący kłopotów ówczes-

nego premiera Kanady i jego rządu. Victor powiedział, że podoba mu się mój

stosunek do kasty urzędniczej i dlatego zdecydował się przekazać swoje opowiadanie właśnie mnie. zaproponował piętnastominutowe spotkanie w pobliskiej kawiarni, abym mógł go wysłuchać. Po trzech godzinach

Victor

wciąż jeszcze absorbował moją uwagę.

Należało się upewnić, oczywiście, że człowiek ten jest tym, za kogo się podaje. Pierwsze własne dochodzenia prowadzone poprzez posiadane kontak-

ty oraz gotowość Victora do posługiwania się nazwiskami i jego zupełna otwartość poważnie ułatwiły z czasem stwierdzenie, że jest on naprawdę byłym kat są M o sadu.

Zawartość tej książki nie uszczęśliwi bynajmniej wielu ludzi. Jest to bowiem historia denerwująca, daleka od opisu najlepszych cech, jakie może posiadać natura ludzka. Wielu uważać będzie Victora za zdrajcę Izraela. Trudno. Ja widzę w nim człowieka głęboko przekonanego o tym, że Mosad jest organizacją, która się wyróżzyła. Idealistyczne wyobrażenia Victora załamały się pod wpływem naporu realiów. Ostrovsky jest człowiekiem, który

wierzy, że „Mosad powinien mieć obowiązek publicznego rozliczenia się ze swych działań. Nawet CIA musi tłumaczyć się przed ciałem pochodzącym z wyboru. Mosad nie musi.

1 września 1951 roku ówczesny premier Dawid Ben-Gurion wydał dyrektywę, według której Mosad został stworzony jako organizacja wywiadowcza niezależna od izraelskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Po dziś dzień, niezależnie od tego że każdy wie o jej istnieniu, a niekiedy politycy przechwalają się nawet jej osiągnięciami, Mosad pozostaje organizacją pod każdym względem tajną. Nie ma o niej wzmianki w izraelskim budżecie, zaś nazwisko jej szefa nigdy nie jest publicznie ujawniane, jak długo sprawuje

on

tę funkcję.

Jednym z głównych wątków tej książki jest przekonanie Victora, że Mosad nie jest kontrolowany, że nawet premier, formalnie będący jego zwierzchnikiem, nie ma rzeczywistego wpływu na jego działania, a często jest

przez niego manipulowany tak, by zatwierdzał lub zlecał akcje leżące może

w interesie tych, którzy kierują Mosadem, ale niekoniecznie w interesie Izraela. Już sam charakter pracy wywiadowczej wymaga dużej dozy tajności.

Jednakże pewne składniki tej działalności są w innych krajach demokratycz-

nych jawne. Na przykład w Stanach Zjednoczonych dyrektor CIA i jego zastępca są najpierw mianowani przez prezydenta, następnie poddani publicznym przesłuchaniom w senackiej komisji do spraw wywiadu, i w końcu

muszą być zatwierdzeni przez większość w Senacie.

Przykłady: 28 lutego 1989 roku komisja, której przewodniczy David L. Boren, zebrała się w sali SH 216 senackiego budynku im. Harta, aby przesłuchać starego urzędnika CIA, Richarda J. Kerra, w związku z jego nominacją na stanowisko wicedyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej.

Jeszcze przed publicznym przesłuchaniem Kerr musiał wypełnić obszerny,

złożony z 45 pozycji kwestionariusz dotyczący wszystkiego, od jego doświadczeń życiowych, naukowych, zawodowych poczynając, a na sytuacji finansowej kończąc, łącznie ze stanem posiadania ziemi, uposażeniem w ciągu ubiegłych pięciu lat i wierzytelnościami hipotecznymi. Były tam też pytania dotyczące organizacji, do których należał, jego ogólnej filozofii życiowej i koncepcji wywiadowczych.

Otwierając przesłuchanie senator Boren stwierdził, że jest to rzadki przypadek, by komisja prowadziła swe prace publicznie. ..Niektóre inne kraje zapewniają dalom ustawodawczym nadzór nad działalnością wywiadowczą, jednakże szeroki zakres tego procesu w naszym kraju jest zaprawdę jedyny w swoim rodzaju".

Między innymi komisja prowadzi kwartalne przeglądy wszelkich zleconych przez prezydenta tajnych działań i odbywa specjalne przesłuchania za każdym razem, gdy prezydent zapoczątkowuje nową tajną akcję.

„Jakkolwiek —. ciągnął senator — nie mamy prawa zgłaszania weta wobec zamierzonej tajnej akcji, to jednak w przeszłości prezydenci stosowali się do naszych rad korygując lub zaniechując działań, które komisja

uważała

za źle pomyślane, bądź też takich, które według nas stwarzały zbędne ryzyko dla interesów bezpieczeństwa".

W Izraelu nawet premier, jakkolwiek sprawujący rzekomo zwierzchność nad wywiadem, często dowiaduje się o tajnych działaniach dopiero wówczas, gdy zostały one już wykonane, a opinia publiczna w ogóle rzadko wie o nich cokolwiek, nie ma żadnego komisyjnego badania działalności i personelu M o sadu.

Właściwe znaczenie politycznej kurateli nad wywiadem wyłożył sir Willom Stephenson w przedmowie do książki „Człowiek zwany nieustraszoną", w której stwierdził, że wywiad jest dla krajów demokratycznych niezbędnym czynnikiem dla uniknięcia katastrofy czy nawet całkowitego zniszczenia.

..Wśród coraz bardziej skomplikowanych arsenałów istniejących na świecie wywiad jest istotną, może najważniejszą bronią — pisał — ale właśnie dlatego, że tajny, jest najbardziej niebezpieczny. Trzeba wynajdywać, korygować i ściśle stosować zabezpieczenia mające zapobiec nadużywaniu

tajności. -Podobnie jak w każdej innej sprawie charakter i wiedza tych, którym się ją powierza, będą jednak czynnikiem decydującym. Nadzieja wolnych ludzi na to, że wytrwają i zwyciężą, opiera się na prawości i bezwzględnej uczciwości tej właśnie gwarancji".

Inne uzasadnione pytanie dotyczące historii Yictora brzmi tak: jak względnie niskiej rangi funkcjonariusz Instytutu —jak się zwykło nazywać Mosad— mógł tak wiele o nim wiedzieć? Odpowiedź na nie jest zadziwiająco łatwa.

Przede wszystkim Mosad jest organizacją bardzo niewielką. Nigel West (pseudonim brytyjskiego konserwatywnego członka parlamentu Ruperta Allasona) napisał w swej książce „Gry wywiadu”, że sztab CIA w Langley, w stanie Yirginia, do którego kieruje nawet drogowskaz od Alei Parkowej George 'a Washingtona za granicami okręgu Waszyngton, zatrudnia około 25 tysięcy pracowników, „których przytłaczająca większość nie próbuje nawet ukrywać charakteru swej pracy”.

Cały Mosad zatrudnia łącznie z sekretarkami i sprzątaczkami zaledwie

1200 osób. Wszystkie one mają polecenie odpowiadać w razie pytań, że' pracują w Ministerstwie Obrony. West pisze też, że „dowody zebrane od radzieckich dezerterów wskazują, iż pierwszy główny zarząd KG B zatrudnia

(na całym świecie) około 15 tysięcy oficerów i około 3000 zatrudnionych w kwaterze głównej znajdującej się na południowy zachód od stolicy, w pobliżu moskiewskiej obwodnicy". Tak było w latach pięćdziesiątych. Nowsze dane podają liczbę 250 tysięcy ludzi zatrudnionych przez KGB na całym świecie. Nawet kubański wywiad DGI ma około dwóch tysięcy wyszkolonych oficerów operacyjnych w kubańskich misjach dyplomatycznych w różnych krajach świata.

Chcecie wierzyć czy nie. ale Mosad ma zaledwie 30—35 oficerów operacyjnych działających jednocześnie w świecie. Główną przyczyną tej niskiej liczby —jak przeczytacie w tej książce —jest fakt, że w odróżnieniu

od innych krajów Izrael może korzystać z licznych lojalnych osób spośród rozsianej w świecie poza Izraelem społeczności żydowskiej. Służy temu unikalny system tzw. SAYANIM, czyli ochotniczych żydowskich pomocników.

Victor prowadził notatki dotyczące własnych doświadczeń i wielu wydarzeń opowiadanych mu przez innych. Jest kiepskim pisarzem, ale posiada fotograficzną pamięć wykresów, planów i innych materiałów wizual-

nych, tak niezmiernie ważną dla skutecznych działań wywiadowczych.

I właśnie dlatego, że Mosad jest taką małą, silnie powiązaną organizacją. miał on dostęp do tajnych akt komputerowych i opowiadań ustnych, których odpowiedniki byłyby niedostępne dla młodszego „zawodnika” w CIA lub KGB. On i jego koledzy z kursu jako uczniowie mieli dostęp do głównego komputera Mosadu. Spędzali niezliczone godziny, wielokrotnie studiując najdrobniejsze szczegóły dziesiątków prawdziwych operacji Mosadu. Miało to nauczyć nowo zwerbowanych, jak podchodzić do operacji i jak unikać dawnych błędów.

Ponadto, o ile trudno byłoby ściśle ocenić unikalną historyczną zwartość społeczności żydowskiej, to jej przekonanie, że niezależnie od różnic politycznych musi się ona wspólnie bronić przed wrogami, prowadzi do otwartości między nimi, której nie znajdzie się na przykład wśród pracowników CIA czy KGB. Krótko mówiąc czują oni, że między sobą mogą rozmawiać dosyć szczerze i tak też czynią.

n

Chcę, oczywiście, podziękować Yictorowi za to, że dal mi możliwość ujawnienia tego cennego materiału. Chcę też podziękować mojej żonie, Lidii, za jej ciągłą pomoc w tej sprawie, tym bardziej że charakter tej opowieści

stale

narzuca większe napięcie niż moja normalna polityczna działalność.

Ponadto Biblioteka Parlamentu w Ottowie była tak pomocna, jak jest

zawsze.

Claire Hoy,

lipiec 1990

Prolog

Operacja Sfinks

Można by wybaczyć Butrusowi Eben Halimowi, że zwrócił uwagę na tę kobietę. Była to przecież zabójcza blondyna, nosząca stale obcisłe spodnie i głęboko wydekoltowane bluzki, które pokazywały akurat tyle jej urody, aby wywołać u każdego mężczyzny chęć zobaczenia czegoś więcej.

Od tygodnia pojawiała się co dzień na jego przystanku autobusowym w Yillejuif, na południowym przedmieściu Paryża. Ponieważ przystanek służył tylko dwu liniom autobusowym —jednej lokalnej i jednej RATP do Paryża — na ogół czekało na nim zawsze kilku stałych pasażerów, i nie można było jej nie zauważyć. Halim wprawdzie nie wiedział o tym, ale o to właśnie chodziło.

Był sierpień 1978 roku. Wydawało się, że jej nawyki były podobnie niezmiennie jak jego. Znajdowała się na przystanku, gdy Halim nadchodził, by złapać autobus. Po kilku chwilach sportowym ferrari BB-512 podjeżdżał jasnoskóry, błękitnooki, dobrze ubrany mężczyzna, przyhamowywał, aby zabrać blondynę, po czym przyspieszał i odjeżdżał, Bóg raczy wiedzieć dokąd.

Halim, Irakijczyk, którego żona, Samira, nie mogła już dłużej znosić ani jego, ani ich ponurego życia w Paryżu, poświęcał dużą część swej samotnej podróży usilnym rozmyślaniom o kobiecie. Miał po temu dosyć czasu. Halim nie był skłonny do rozmów z kimkolwiek w drodze, a bezpieczeństwo irackie poleciło mu, aby obierał okólną drogę do pracy i często zmieniał trasę. Jedynymi jej stałymi punktami był niedaleki od jego mieszkania przystanek autobusowy w Yillejuifi stacja metra przy dworcu Saint Lazare. Tam Halim wsiadał do pociągu, do Sarcelles, na północnym obrzeżu miasta, gdzie uczestniczył w ściśle tajnych pracach związanych z budową reaktora atomowego dla Iraku.

13

Pewnego razu inny autobus przybył przed ferrari. Kobieta spojrzała wzdłuż ulicy szukając samochodu, następnie wzruszyła ramionami i wsiad-

ła do autobusu. Autobus Halima był nieco spóźniony na skutek drobnego „incydentu”, kiedy to dwa kwartały dalej zajeżdżał mu drogę peugeot.

Kilka chwil później nadjechała ferrari. Kierowca rozejrzał się za dziewczyną, a Halim widząc, co się stało, zawołał do niego po francusku, że pojechała autobusem. Mężczyzna, który wyglądał na zakłopotanego, odpowiedział po angielsku, po czym Halim powtórzył mu swoją uwagę w tym języku. .

Wdzięczny mężczyzna spytał Halima, dokąd jedzie. Halim powiedział, że do stacji Madeleine, na tyle bliskiej dworca Saint Lazare, że można było przejść pieszo. Kierowca, Ran S. — którego Halim miał znać tylko jako Anglika, Jacka Donovana — powiedział, że i on jedzie w tym kierunku i zaproponował podwiezienie.

Dlaczegoż nie — pomyślał Halim wskakując do wozu i sadowiając się wygodnie na fotelu.

Ryba połknęła haczyk. A dobry los sprawił, że miało się to okazać wspaniałym połowem do Mosadu.

Operacja Sfinks zakończyła się spektakularnie 7 czerwca 1981 roku, gdy wyprodukowane w Stanach Zjednoczonych izraelskie myśliwce bombardujące zniszczyły w toku zuchwałego rajdu nad wrogim terytorium

iracki zespół nuklearny Tamuze 17 (czy Osirak) w Tuwaitha, tuż koło Bagdadu. Nastąpiło to jednak dopiero po latach organizowanych przez Mosad międzynarodowych intryg, zabiegów dyplomatycznych, sabotaży i morderstw, które opóźniły budowę fabryki, choć nie zdołały całkowicie jej wstrzymać.

Izrael był poważnie zaniepokojony tą budową, od chwili gdy po kryzysie energetycznym 1973 roku Francja podpisała umowę w sprawie dostarczenia Irakowi, wówczas jej drugiemu największemu dostawcy ropy, ośrodka badań jądrowych. Kryzys wzmógł zainteresowanie budową elektrowni jądrowych jako alternatywnym źródłem energii i kraje, które budowały takie urządzenia, gwałtownie zwiększały ich sprzedaż na rynku światowym. Francja chciała wówczas sprzedać Irakowi przemysłowy reaktor o mocy 700 MW.

14

Irak zawsze podkreślał, że ośrodek badań jądrowych miał służyć celom pokojowym, przede wszystkim zaopatrzeniu Bagdadu w energię. Izrael obawiał się jednak, że ośrodek ten będzie użyty do produkcji bomb atomowych skierowanych przeciw niemu.

Francuzi zgodzili się dostarczyć dla dwóch reaktorów 93-procentowy wzbogacony uran, pochodzący z ich wojskowej fabryki w Pierrelatte. Zamierzali dostarczyć Irakowi cztery ładunki paliwa, łącznie 150 funtów (ok. 67,5 kg — tł.) wzbogaconego uranu, ilość dostateczną do wy-

produkcji czterech bomb nuklearnych. W tym czasie amerykański prezydent Jimmy Carter uczynił swoim głównym celem w polityce zagranicznej niedopuszczanie do rozprzestrzeniania nuklearnego i dyplomaci amerykańscy energicznie wywierali naciski zarówno na Francuzów, jak i na Irakijczyków, aby zmienili swe plany.

Również Francuzi zaczęli ostrożnie traktować intencje Iraku, gdy kraj ten zdecydowanie odmówił ich propozycji zastąpienia wzbogaconego uranu innym, zwanym karamel — substancją, z której można wytwarzać energię nuklearną, ale nie można wyprodukować bomby jądrowej.

Irak był uparty. Umowa jest umową. W lipcu 1980 roku iracki „silny człowiek”, Saddam Husajn, wykpił na konferencji prasowej w Bagdadzie obawy Izraelczyków. „Patrzcie — mówił — przez lata syjonistyczne koła w Europie wyszydzały Arabów jako niekulturalnych, zacofanych ludzi, nadających się wyłącznie do jazdy na wielbłądach przez pustynię. Dziś te same koła twierdzą bez mrugnięcia okiem, że Irak znajduje się w przededniu wyprodukowania bomby atomowej”.

To, że w końcu lat siedemdziesiątych Irak zbliżał się szybko do tego momentu, skłoniło izraelski wywiad wojskowy AMAN do wysłania ówczesnemu szefowi Mosadu, wysokiemu, szczupłemu, łysiejącemu ex-generałowi Tsvy Zamirowi memorandum, zwanego jako ściśle tajne — „czarnym”. AMAN chciał mieć dokładniejsze wiadomości dotyczące etapu realizacji planu irackiego. Dlatego też wezwano Dawida Birana,

szefa TSOMETU — wydziału werbunkowego Mosadu — na spotkanie z Zamirem. Biran, pucołowaty, krągłolicy, zawodowy pracownik Mosadu, znany modniś, spotkał się następnie ze swymi szefami oddziału i kazał im natychmiast znaleźć iracką wtyczkę do fabryk w Sarcelles we Francji.

Dokładne dwudniowe przeszukiwanie akt personalnych nie dało rezultatów, wobec czego Biran wezwał szefa paryskiej stacji Mosadu, Davida Arbela, siwego poliglote, zawodowego oficera Mosadu, i przekazał mu szczegóły potrzebne do wykonania zadania. Podobnie jak wszystkie inne tego typu placówki, stacja paryska mieści się w silnie umocnionej

15

piwnicy ambasady izraelskiej. Jako szef stacji Arbel był wyższy rangą nawet od ambasadora. Ludzie Mosadu kontrolują worek dyplomatyczny, a cała poczta przychodząca i wychodząca w ambasadach przechodzi przez ich ręce. Oni też są odpowiedzialni za utrzymanie bezpiecznych lokali, znanych jako „mieszkania operacyjne”. Na przykład stacja londyńska posiada ponad sto takich mieszkań i wynajmuje dalszych pięćdziesiąt.

Paryż posiadał również swoją grupę Sayanim, czyli ochotniczych pomocników żydowskich, we wszystkich warstwach społecznych. Jeden z nich, pseudonim Jacques Marcel — pracował w kadrach w fabryce jądrowej w Sarcelles. Gdyby sprawa nie była tak pilna, nie proszono by go o dostarczenie oryginalnego dokumentu. Normalnie przekazałby informację ustnie, albo nawet przepisał ją na papierze. Wyjęcie dokumentu

pociąga

za sobą ryzyko wpadki i grozi sayanowi niebezpieczeństwem. Tym razem jednak uznano, że potrzebny jest oryginalny dokument, przede wszystkim dlatego, że imiona arabskie są często mylące (często używają oni różnych imion w różnych sytuacjach), tak więc by mieć pewność, zażądano od Marcela listy wszystkich Irakijczyków, którzy tam pracowali.

Ponieważ następnego dnia Marcel miał i tak przyjechać do Paryża na zebranie, polecono mu włożyć listę do bagażnika jego samochodu razem z innymi dokumentami, które legalnie zabierał na zebranie. Poprzedniego wieczoru katsa (oficer operacyjny) z Mosadu spotkał się z nim, otrzymał duplikat klucza do bagażnika i przekazał odpowiednie instrukcje. O określonej godzinie Marcel miał przejechać boczną ulicą, niedaleko Szkoły Wojennej, gdzie zobaczy czerwonego peugeota ze szczególną nalepką na tylnej szybie. Samochód miał być wynajęty i pozostać całą noc przed kawiarnią, aby mieć pewność zachowania miejsca na parkowanie, co w Paryżu jest zawsze towarem pierwszej potrzeby. Powiedziano Marcelowi, żeby objechał wokół blok domostw, a gdy będzie wracał, peugeot wyjedzie dając mu możliwość zaparkowania w tym miejscu. Następnie miał po prostu pójść na swoje zebranie, pozostawiając dokument kadrowy w bagażniku.

Ponieważ pracownicy ważnych gałęzi przemysłu są często wyrywkowo kontrolowani ze względów bezpieczeństwa, w drodze na swe spotkanie Marcel był obstawiony przez Mosad, o czym zresztą nie

wiedział. Po przekonaniu się, że nie jest pilnowany, dwaj ludzie z Mosadu wyjęli dokument z bagażnika i weszli do kawiarni. Podczas gdy pierwszy z nich składał zamówienie kelnerce, drugi poszedł do toalety. Tam wyciągnął aparat fotograficzny z przymocowanymi małymi składanymi aluminiowymi nóżkami, zwany „klamrą”. Urządzenie to zaoszczędza czas, gdyż jest od razu właściwie ustawione i nie wymaga nastawiania ostrości. Stosuje się do niego specjalne filmy do szybkich zdjęć, produkowane przez wydział fotograficzny Mosadu. Pozwalają one wykonać pięćset zdjęć na jednej rolce. Gdy nóżki są ustawione, fotografujący może szybko wsuwać i wysuwać dokumenty przed obiektyw, zwalniając migawkę trzymanym w zębach gumowym połączeniem. Po sfotografowaniu w ten sposób wszystkich trzech stron dokumentu, mosadowcy włożyli go z powrotem do bagażnika Marcela i zniknęli.

Przy użyciu normalnego mosadowskiego podwójnego szyfru nazwiska zostały natychmiast przesłane drogą komputerową do wydziału paryskiego w Tel Awiwie. We wspomnianym systemie każdy dźwięk fonetyczny ma swój numer. Jeśli, dajmy na to, imię brzmi Abdul, to „Ab” może mieć na przykład numer 7, a „duł” — 21. Aby sprawy bardziej skomplikować, każda liczba ma swój kod — literę lub inną liczbę. Te „panewkowe” kody zmieniają się co tydzień. Nawet po tych wszystkich zabiegach każda depesza zawiera tylko połowę informacji. W naszym wypadku jedna zawierałaby kod kodu dla „Ab”, a druga — kod kodu dla „duł”. Gdyby

więc nawet przechwycono którąś z tych depesz, nie miałyby ona żadnego sensu dla osoby próbującej złamać kod. Całą listę personelu przekazano tym systemem do sztabu w dwóch oddzielnych transmisjach komputerowych.

Gdy tylko rozszyfrowano w Tel Awiwie nazwiska i stanowiska, przesłano je do wydziału badań Mosadu oraz do AMAN-u. Pracownicy iraccy w Sarcelles byli naukowcami, których uprzednio nie uważano za zagrożenie, Mosad więc nie miał w swych aktach wielu informacji o nich.

Szeftsomefu wydał polecenie, aby „uderzyć tam, gdzie najwygodniej” — czyli znaleźć najłatwiejszy cel. I to szybko. Tak trafiono przypadkowo na Butrusa Eben Halima. Później okazało się, że był to szczęśliwy strzał. Ale w tym momencie został on wybrany tylko dlatego, że był jedynym naukowcem irackim, który podał adres domowy. Znaczyło to, że albo inni zwracali więcej uwagi na problemy bezpieczeństwa, albo mieszkali w kwartalach wojskowych koło fabryki. Halim był też żonaty (tylko połowa z nich miała żony), ale nie miał dzieci. 42-letni Irakijczyk, żonaty, ale bez dzieci był czymś niezwykłym. Nie świadczyło to o normalnym, szczęśliwym małżeństwie.

Teraz, gdy już mieli swój cel, następną trudnością było „zwer-

Wyznania szpiega

17.

bowanie" go. Tym bardziej że polecenie z Tel Awiwu określało tę operację jako ain efes, czyli taką, w której nie wolno spudłować.

Zrealizowaniem tego zadania obarczono dwa zespoły. Pierwszy z nich

— YARID — zespół zajmujący się sprawami bezpieczeństwa na terenie Europy, miał rozpracować styl życia Halima i jego żony Samiry, sprawdzić,

czy znajduje się on pod nadzorem irackim czy francuskim i za pomocą sayana pracującego w pośrednictwie nieruchomościami zorganizować w pobliżu mieszkanie. Chodziło o to, żeby taki zaufany sayan znalazł mieszkanie w pożądanym sąsiedztwie i nie zadawał pytań. Drugi zespół

— nevlot — miał dokonywać wszelkich potrzebnych włamań, „osprzętowania” osaczonego mieszkania, instalować podsłuch, na przykład „drewno”, jeśli miał być umieszczony w stole lub w boazerii, lub też „szkło”, gdy

chodziło o telefon.

Wydział yarid departamentu bezpieczeństwa składa się z trzech grup po siedem do dziewięciu osób każda, przy czym dwie grupy pracują za granicą, a trzecia w Izraelu. Wezwanie którejś z grup dla przeprowadzenia operacji związane jest zwykle z dużymi targami, gdyż każdy uważa swoją

pracę za niezmiernie ważną.

Wydział neviot składa się również z trzech grup ekspertów wyszkolonych w zdobywaniu informacji za pomocą przedmiotów martwych, co oznacza włamanie czy fotografowanie takich rzeczy jak dokumenty, wchodzenie do pokoi i gmachów, aby zainstalować tam urządzenia do inwigilacji, nie zostawiając śladu i nie wchodząc z nikim w kontakt.

W kolekcji swych narzędzi grupy te mają wytrychy do większości dużych hoteli w Europie i opracowują stale nowe metody otwierania drzwi wyposażonych nawet w zamki szyfrowe i zabezpieczone kluczami specjalnymi oraz różnymi innymi sposobami. Istnieją już hotele zaopatrzone w zamki otwierane przy użyciu odcisku dużego palca gościa hotelowego.

Po założeniu i uruchomieniu w mieszkaniu Halima podsłuchu pracownik shicklutu, czyli wydziału nasłuchu, miał słuchać i utrzymywać rozmowy. Taśmy z pierwszego dnia należało wysłać do sztabu w Tel Awiwie, gdzie specjaliści mieli określić konkretny dialekt rozmówców. Następnie jak najszybciej należało przysłać z Izraela marata, czyli „słuchacza”, który najlepiej rozumiał ten dialekt, aby kontynuować nadzór elektroniczny i natychmiast przekazywać tłumaczenia paryskiej stacji.

W tym momencie operacji mieli mosadowcy jednak tylko nazwisko i adres. Nie mieli nawet fotografii Irakijczyka, a tym bardziej żadnej gwarancji, że będzie pożyteczny. Grupa yarid zaczęła od obserwowania

z ulicy domu, w którym mieszkał, i szpiclowania z pobliskiego mieszkania,
ażeby ustalić przede wszystkim, jak wyglądają Halim i jego żona.

Pierwszy kontakt zorganizowano już owa dni później, gdy młoda, przystojna kobieta o krótko przyciętych włosach, przedstawiająca się jako Jacqueline, zapukała do grzwi mieszkania Halima. Była to Dina, pracownica yariciu, której zadaniem było dokładnie przyjrzeć się żonie i wskazać ją grupie tak, żeby można było rozpocząć poważne obserwacje. Pretekstem była sprzedaż perfum, których dużo dostarczono Dinie. Aby uniknąć podejrzeń, Dina, wyposażona w teczkę-dyplomatkę i drukowane formularze zamówień, chodziła od drzwi do drzwi oferując swój towar wszystkim mieszkańcom trzypiętrowego budynku. Zapukała do drzwi Halima, zanim ten powrócił z pracy.

Oferta perfum podnieciła Samirę, podobnie jak większość kobiet w budynku. Nic dziwnego, skoro ceny były dużo niższe niż w sklepach. Proponowano klientkom, by przy zamówieniach płaciły połowę, a resztę przy odbiorze, któremu miał też towarzyszyć dodatkowy „bezpłatny prezent”.

Złożyło się dobrze, gdyż Samira zaprosiła „Jacqueline” do mieszkania. Zaczęła jej opowiadać, jak to jest nieszczęśliwa, gdyż jej mąż nie umie osiągać sukcesów, a ona pochodzi z zamożnej rodziny, i znudziło się

jej wydawanie wciąż własnych pieniędzy na utrzymanie. Wreszcie —
uwaga
— oświadczyła, że za dwa tygodnie wybiera się do Iraku, gdyż jej matka
ma
się poddać poważnej operacji. Dina dowiedziała się więc, że Halim miał
pozostać samotny, a tym samym bardziej podatny na działania yaridu.

„Jacqueline” udawała studentkę z dobrej rodziny z południowej
Francji, która handluje perfumami, aby trochę dorobić. Okazała Samirze
głębokie współczucie. Miała wprawdzie za zadanie jedynie
zidentyfikować
kobietę, ale nie ulegało wątpliwości, że odniosła szczególny sukces.

Po przeprowadzeniu obserwacji przekazuje się po każdym etapie
wszystkie najdrobniejsze szczegóły do bezpiecznego lokalu, gdzie zespół
analizuje otrzymane informacje i planuje następne kroki. Odbywa się to na
ogół w czasie długich godzin wypytywania i dokładnego wielokrotnego
analizowania każdego szczegółu. Często powstają przy tym ostre spory,
gdy różni ludzie omawiają znaczenie jakiegoś konkretnego czynu czy
zdania. Zdecydowano, że skoro Dina (Jacqueline) znalazła wspólny język
z Samira, można to wykorzystać do przyspieszenia biegu sprawy. Nastę-
pnym jej zadaniem miało być dwukrotnie wywabienie kobiety z jej
mieszkania — pierwszy raz po to, by zespół mógł ustalić najlepsze miejsce

do umieszczenia aparatu podsłuchowego, a następnie, aby go zainstalować. Oznaczało to wejście do lokalu, wykonanie zdjęć, pomiarów, próbek koloru i wszystkiego, co było potrzebne, by zagwarantować możliwość sporządzenia dokładnych duplikatów przedmiotu z zainstalowaną w nich „pluskwą”. Przy wszystkim, co robi Mosad, zasadą jest minimalizowanie ryzyka.

W czasie pierwszej wizyty Samira skarżyła się, że ma trudności ze znalezieniem dobrego fryzjera, który by coś zrobił z kolorem jej włosów. Gdy „Jacqueline” wróciła po dwóch dniach z towarem (tym razem na krótko przed powrotem Halima do domu, aby móc zobaczyć, jak, wygląda), opowiedziała Samirze o swoim modnym fryzjerze z lewego brzegu Sekwany.

— Opowiedziałam Andre o pani, a on oświadczył, że strasznie chciałby popracować nad pani włosami — rzekła — będzie to wymagało kilku wizyt. On jest strasznie pedantyczny. Ale będę bardzo rada zabrać panią ze sobą.

Samira skwapliwie skorzystała z okazji. Oni ona, ani jej mąż nie mieli w okolicy przyjaciół i nie prowadzili życia towarzyskiego. Radowała ją więc możliwość spędzenia kilku popołudniowych godzin w mieście, z dala od nie kończącej się nudy w mieszkaniu.

W związku z zakupem perfum „Jacqueline” przyniosła też Samirze fantazyjne etui na klucze z małymi zaczepami dla każdego. Był to obiecany specjalny prezent. — Proszę! — powiedziała — proszę mi dać klucz od mieszkania, a pokażę, jak to działa.

Samira nie zauważyła, że gdy wręczała klucz „Jacqueline”, ta wsunęła go do zamykanego, pięciocentymetrowego pudełeczka z zawiasami, które wyglądało jak jeszcze jeden prezent, ale wypełnione było plasteliną pokrytą talkiem, aby nie przylepiała się do klucza. Gdy klucz wsuwano do pudełeczka i ściśle je zamykano, pozostawał doskonały odcisk w plastelinie, pozwalający zrobić duplikat.

Neviot mogli się włamać również bez klucza, ale po co ryzykować, jeśli można sprawę załatwić najprościej wchodząc zwyczajnie głównym wejściem, jakby naprawdę było się jednym z mieszkańców. Znajdując się w mieszkaniu zamykali oni zawsze drzwi na klucz, po czym wciskali sztabę między wewnętrzną klamkę a podłogę. W ten sposób jeśli ktoś zdołał nawet przejść nie spostrzeżony obok zewnętrznego obserwatora i starał się otworzyć drzwi, musiał dojść do wniosku, że zamek się zepsuł i pójść po pomoc, dając tym wewnątrz więcej czasu, aby ulotnić się niezauważonymi.

Gdy Halim został już zidentyfikowany, yarid rozpoczął „nieruchome śledzenie”. System ten pozwalał rozpoznać czyjś tryb życia bez najmniejszego ryzyka zdemaskowania. Polegało to na obserwowaniu odcinkami, bez chodzenia za nim. Ustawiano nie opodal człowieka, który obserwował, w jakim kierunku udaje się inwigilowany. Po kilku dniach obserwację przejmował ktoś inny, ustawiony przy dalszym bloku, i tak kontrolować można było całą trasę. W wypadku Halima było to niezwykle łatwe, gdyż każdego dnia szedł na ten sam przystanek autobusowy.

Za pomocą nasłuchu zespół operacyjny dokładnie ustalił, kiedy Samira odlatuje do Iraku. Usłyszano też, jak Halim powiedział jej, że ma iść do ambasady irackiej na kontrolę bezpieczeństwa. To skłoniło Mosad do jeszcze większej ostrożności. Wciąż jednak nie mieli pojęcia, jak go zwerbować, a jako że sprawa była bardzo pilna, mieli niewiele czasu na ustalenie, czy Halim będzie skłonny do współpracy.

Tym razem wymogi bezpieczeństwa operacyjnego wykluczyły jako zbyt ryzykowne użycie O TERA, czyli Araba opłacanego dla nawiązywania kontaktu z innymi Arabami. Sprawa miała być załatwiona za jednym zamachem, aby jej nie komplikować. Szybko odrzucono pomysł, żeby Dina jako „Jacqueline”, mogła dotrzeć do Halima poprzez jego żonę. Po drugim spotkaniu u fryzjera Samira nie chciała już zadawać się z „Jacqueline”.

— Widziałam, jak spoglądasz na tę dziewczynę — powiedziała Halimowi w toku jednego ze swych pełnych uszczypliwości przemówień — nie wyobrażaj sobie niczego tylko dlatego, że wyjeżdżam. Znam cię dobrze.

Wreszcie wpadli na pomysł dziewczyny na przystanku autobusowym i katsy Rana S. jako wspaniałego Anglika, Jacka Donovana. Wypożyczone ferrari i inne pozorne akcesoria bogactwa Donovana miały dokonać reszty.

W czasie pierwszej jazdy samochodem Halim nie zdradził niczego o swej pracy. Twierdził, że jest studentem (raczej starszawym — pomyślał Ran). Wspomniał tylko, że jego żona ma wyjechać, a on lubi dobrze zjeść, chociaż jako muzułmanin nie pije.

Donovan starał się podać swój zawód w sposób możliwie nie określony, żeby zapewnić sobie jak największą możliwość manewru.

21

Powiedział, że zajmuje się handlem międzynarodowym i napomknął, że może któregoś dnia Halim zechce odwiedzić jego willę na wsi, albo zjeść z nim obiad w czasie nieobecności żony. Halim do niczego się nie zobowiązał.

Następnego ranka blondyna znów się pojawiła i Donovan zabrał ją ze sobą. Kolejnego dnia Donovan się pokazał, ale dziewczyny nie było, więc znów zaproponował Halimowi wspólną jazdę do miasta, dodając, że mogą wpaść razem na filiżankę kawy. O swej pięknej towarzyszce Donovan powiedział: — Och, to po prostu taka mewka, którą spotkałem. Zaczęła mieć zbyt wielkie wymagania, więc ją splawiłem. Pod pewnym względem szkoda. Była bardzo dobra. Pan rozumie, co mam na myśli. Ale tego dobra nigdy nie zabraknie.

Halim nie wspomniał Samirze o swym nowym przyjacielu. Wolał to zachować dla siebie.

Gdy Samira odleciała do Iraku, Donovan, który teraz systematycznie ził Halima i stawał się dosyć przyjacielski, oświadczył, że na jakieś dziesięć dni musi pojechać do Holandii. Dał Halimowi swoją wizytówkę, która wprawdzie była kamuflażem, ale podawała naprawdę istniejące biuro z szyldem i sekretarką, na wypadek gdyby Halim zadzwonił, lub wpadł pod „dobry” adres w świeżo odremontowanym budynku, w górnej części Champs Elysees.

W rzeczywistości przez cały ten czas Ran (Donovan) mieszkał w bezpiecznym domu, gdzie po każdym spotkaniu z Halimem widywał się z szefem stacji lub jego zastępcą, aby zaplanować następny ruch, napisać raporty, przeczytać notatki z nasłuchów i przemyśleć każdy możliwy

scenariusz. Przed każdym powrotem Ran najpierw spacerował, aby zobaczyć, czy nikt go nie śledzi. W bezpiecznym domu zmieniał dokumenty i pozostawiał tam swój brytyjski paszport. Za każdym razem pisał dwa raporty. Pierwszy z nich był raportem informacyjnym, w którym podawał dokładnie szczegóły tego, co mówiono na spotkaniu. Drugi raport — operacyjny — zawierał odpowiedzi na pytania: kto, co, gdzie, kiedy i dlaczego. Wymieniał wszystko, co wydarzyło się w czasie spotkania. Ten drugi raport wkładano do innej teczki i przekazywano bodelowi, czyli gońcowi, który przenosi informacje z bezpiecznych domów do ambasady.

Raport operacyjny i informacyjny przesyła się oddzielnie, komputerem, albo workiem dyplomatycznym do Izraela. Raport operacyjny jest dzielony, aby uniemożliwić wykrycie. Na przykład: jedna informacja mówi: „spotkałem się z przedmiotem w (patrz oddzielnie)”, a druga

22

zawiera sprecyzowanie miejsca, itd. Każda osoba ma dwa szyfrowe nazwiska — jedno dla raportów informacyjnych, drugie — dla operacyjnych, ale nie zna żadnego z nich.

Największa troska Mosadu dotyczy zawsze łączności. Ponieważ wiedzą, co potrafią sami, sądzą, że inne kraje też mogą zrobić to samo.

Po wyjeździe Samiry Halim zerwał z rutyną swego życia i po pracy

zostawał w mieście, aby samotnie zjeść w restauracji lub wpaść do kina. Któregoś dnia zadzwonił do swego przyjaciela Donovan i zostawił wiadomość. Po trzech dniach Donovan oddzwonił. Halim miał ochotę gdzieś wyjść, więc Donovan zabrał go do drogiego kabaretu na obiad z występami. Upierał się, że sam za wszystko zapłaci. Teraz Halim już pił. W ciągu długiego wieczoru Donovan wspomniał o kontrakcie, nad którym pracuje. Chciał sprzedawać do krajów afrykańskich stare kontenery, których miano tam używać na mieszkania.

— W niektórych miejscach są oni tam strasznie nieszczęśliwi. Wycinają dziury, które mają służyć za okna i drzwi i mieszkają w tym — mówił Donovan. — Dostałem sygnał, że w Tulenie mogę kupić je prawie za bezcen. Jadę tam w końcu tygodnia. Może by pan mi towarzyszył?

— Byłbym chyba tylko ciężarem — rzekł Halim. — Nie mam pojęcia o tych sprawach.

— Nonsens. To dosyć daleko, długo się jedzie i bardzo chciałbym mieć towarzystwo. Zostaniemy tam na noc i wrócimy w niedzielę. Cóż pan ma innego do roboty w ten weekend?

Plan prawie się załamał, gdy w ostatniej chwili miejscowy sayan przestraszył się. Zastąpił go jakiś katsa odgrywający biznesmana, który sprzedawał kontenery Donovanowi. Gdy tamci targowali się o cenę, Halim zauważył, że jeden podniesiony dźwigiem kontener był pod spodem

zardzewiały (wszystkie były takie i oczekiwano właśnie, że Halim to zauważy). Odciągnął na bok Donovana i zwrócił mu na to uwagę. Dzięki temu przyjaciel jego wytargował rabat na tysiącu dwustu kontenerach.

Wieczorem przy obiedzie Donovan dał Halimowi tysiąc dolarów.

— Nie krępuj się pan, bierz to — powiedział — zaoszczędził mi pan dużo więcej zwracając uwagę na tę rdzę. Tam, dokąd jadą, nie będzie to miało, oczywiście, znaczenia, ale ten facet, który je sprzedawał, nie wiedział o tym.

23

Po raz pierwszy Halim zrozumiał, że poza miłym spędzeniem czasu, nowo odkryta przyjaźń mogła też przynosić korzyści materialne. Mosad wiedział, że stosując oddzielnie lub łącznie pieniądze, seks i pewnego rodzaju motywacje psychologiczne można kupić prawie wszystko. Tak więc upatrzony człowiek — Halim — został w tym momencie „złapany”. Nadszedł czas na tachless — przejście z Halimem do spraw poważnych.

Wiedząc, że Halim ma pełne zaufanie do jego kamuflażu, Donovan zaprosił Irakijczyka do „swego” luksusowego apartamentu w hotelu „Sofitel-Bourbon” przy ulicy Saint Dominique 32. Zaprosił też młodą call-girl, Marie-Claude Magal. Po zamówieniu obiadu Donovan powiedział swojemu gościowi, że musi nagle wyjść w pilnej sprawie. Zostawił

na

stole fałszywy telex, który miał uwiarygodnić to twierdzenie.

— Przykro mi — powiedział — ale zabawiajcie się, a ja się odezwę.

Tak więc Halim i dziewczyna zabawiali się. Epizod został sfilmowany, nawet nie tyle dla szantażu, ile żeby wiedzieć, co zaszło, co Halim mówił i robił. Izraelski psychiatra ślęczał już nad każdym szczegółem raportów dotyczących Halima, aby znaleźć najskuteczniejsze sposoby podejścia do niego. Izraelski fizyk atomowy był również pod ręką, gdyby potrzebne były

jego usługi. Wkrótce miały być potrzebne.

Dwa dni później Donovan wrócił i zatelefonował do Halima. Przy kawie Halim zauważył, że jego przyjaciel był wyraźnie czymś poruszony.

<— Mam okazję zrobienia wspaniałego interesu z pewną firmą niemiecką. Chodzi o specjalne rurki dla poczty pneumatycznej do przesyłania materiałów radioaktywnych dla celów medycznych — rzekł Donovan.

—Wszystko to jest bardzo specjalistyczne. Chodzi o duże pieniądze, ale niczego o tych sprawach nie wiem. Skierowano mnie do pewnego naukowca angielskiego, który zgodził się zbadać te rurki. Kłopot polega jednak na tym, że on chce zbyt wiele pieniędzy, a ponadto nie bardzo mu ufam. Wydaje mi się, że jest on powiązany z Niemcami.

— Może mógłbym pomóc — rzekł Halim.

— Dziękuję, ale do zbadania tych rurek potrzebny mi jest naukowiec.

— Ja jestem naukowcem — powiedział Halim.

Donovan wyglądał na zdziwionego.

— Co pan przez to rozumie? Myślałem, że pan jest studentem.

— Początkowo musiałem tak panu powiedzieć. Ale jestem naukowcem przysłanym tu z Iraku w specjalnej misji. Jestem pewien, że mógłbym pomóc.

24

Później Ran mówił, że gdy Halim ostatecznie przyznał się jaki ma zawód, poczuł się tak, jakby ktoś wysączył z niego całą krew i wpompował zamiast niej lód, a następnie wysączył ten lód i wpompował zamiast niego wrzątek. Teraz go mieli. Ale Ran nie mógł okazać swego podniecenia. Musiał się opanować.

— Powinienem spotkać tych panów w ten weekend w Amsterdamie. Muszę pojechać tam dzień czy dwa wcześniej. Ale może przysłałbym po pana mój odrzutowiec w sobotę rano.

Halim zgodził się.

— Nie pożałuje pan tego — rzekł Donovan. — Jeśli to rzeczy autentyczne, to można na tym zarobić kupę forsy.

Odrzutowiec pomalowany tymczasowo w znaki firmy Donovana był sprowadzony na tę okazję z Izraela. Biuro amsterdamskie należało do bogatego przedsiębiorcy żydowskiego. Ran nie chciał przekraczać granicy razem z Halimem, gdyż posługiwał się swymi prawdziwymi dokumentami, a nie fałszywym paszportem brytyjskim. Wolał zawsze tak robić, by uniknąć ewentualnego zdemaskowania na granicy.

Gdy Halim dojechał limuzyną, która oczekiwała go na lotnisku, do biura w Amsterdamie, wszyscy byli już na miejscu. Dwoma przedsiębiorcami byli oczywiście katsa z Mosadu, Itsik E., posługujący się niemieckim paszportem oraz izraelski atomista, Benjamin Goidstein. Ten ostatni przywiózł rurkę jako wzór, który Halim miał zbadać.

Po wstępnej dyskusji Ran i Itsik opuścili pokój rzekomo dla opracowania szczegółów finansowych, pozostawiając dwóch naukowców samych

dla omówienia spraw technicznych. Wspólne zainteresowania i fachowość sprawiły, że obaj panowie poczuli się natychmiast kolegami. Goidstein spytał Halima, skąd wie tak wiele o przemyśle jądrowym. Był to strzał w ciemno. Ale Halim, który zupełnie zatracił czujność, powiedział mu, czym się zajmuje.

Gdy później Goidstein opowiedział Itsikowi o wyznaniach Halima, postanowili zaprosić niczego nie podejrzewającego Irakijczyka na obiad. Ran miał się usprawiedliwić, że nie może do nich dołączyć.

Przy obiedzie gospodarze przedstawili plan, nad którym, jak twierdzili, pracują: próby sprzedaży krajom trzeciego świata elektrowni atomowych. Oczywiście dla celów pokojowych.

— Pański projekt fabryki — mówił Itsik — byłby dla nas doskonałym wzorcem dla sprzedaży tym ludziom. Gdyby pan mógł zdobyć dla nas tylko kilka szczegółów, planów, itp., wszyscy zrobilibyśmy na tym majątek.

25

Musi to jednak zostać między nami. Nie chcemy, żeby Donovan dowiedział się o tym, gdyż zaraz zechce mieć w tym udział. My mamy kontakty, a pan jest fachowcem. Naprawdę Donovan nie jest nam potrzebny.

— Hm, nie jestem taki pewien — powiedział Halim. — Donovan był dla mnie dobry. A ponadto, czy nie jest to, wie pan, coś niebezpiecznego?

— Nie — powiedział Itsik. — Nie ma niebezpieczeństwa. Pan musi mieć stały dostęp do tych rzeczy, a my chcemy wziąć to tylko za wzór. To wszystko. Dobrze panu zapłacimy i nikt się nigdy nie dowie. Skąd się

mają

dowiedzieć? To się robi zawsze.

— Przypuszczam — rzekł z wahaniem Halim, zainteresowany jednak perspektywą dużych pieniędzy. — Ale co z Donovanem? Nie chcę niczego robić za jego plecami.

— A czy pan myśli, że on pana wtajemnicza we wszystkie swoje transakcje? Panie! On się nigdy o tym nie dowie. Przecież może pan dalej przyjaźnić się z Donovanem i robić interesy z nami. Na pewno nigdy mu niczego nie powiemy, bo będzie chciał mieć udział.

Teraz już naprawdę go mieli. Perspektywa olbrzymich bogactw

— tego było za dużo. Goidstein mu się podobał. Ponadto nie pomagał im przecież w projektowaniu bomby. A i Donovan nie musiał się nigdy dowiedzieć. Więc — pomyślał — dlaczegoż by nie?

Halim został oficjalnie zwerbowany i jak wielu zwerbowanych nie zdawał sobie nawet z tego sprawy.

Donovan wypłacił Halimowi osiem tysięcy dolarów za pomoc w sprawie rurek, a następnego dnia, po uczczeniu tego drogą kolacją z dziewczyną

w swoim pokoju, szczęśliwy Irakijczyk odwieziony został „prywatnym” odrzutowcem do Paryża.

W tym momencie zakładano, że Donovan zniknie zupełnie z pola widzenia Halima, aby oszczędzić temu ostatniemu kłopotliwej konieczności ukrywania czegoś przed nim. Zniknął na jakiś czas, chociaż pozostawił Halimowi numer telefonu w Londynie na wypadek, gdyby ten chciał się z nim skontaktować. Donovan powiedział, że ma interesy w Anglii i nie wie, jak długo będzie nieobecny.

Dwa dni później Halim spotkał w Paryżu swoich nowych współników. Itsik, dużo bardziej nachalny od Donovan, chciał od razu otrzymać rozplanowanie irackiej fabryki łącznie ze szczegółami dotyczącymi jej położenia, wydajności i dokładnego kalendarza budowy.

Początkowo Halim zgodził się bez szczególnych zahamowań. Obaj Izraelczycy nauczyli go, jak robić fotokopie używając „papieru do dokumentów”. Specjalny papier kładzie się po prostu na dokumencie, jaki ma być skopiowany i przyciska przez kilka godzin książką lub innym przedmiotem. Obraz zostaje przeniesiony na papier, który nadal wygląda jak zwykły papier, ale po odpowiedniej obróbce pozostaje na nim negatywowa odbitka kopiowanego dokumentu.

W miarę jak Itsik domagał się od Halima coraz to nowych informacji hojnie płacąc mu za każdym razem, Irakijczyk zaczął zdradzać objawy tzw.

„reakcji szpiegowskiej”: uderzenia gorąca i zimna, podniesiona temperatura, bezsenność, stały niepokój. Rzeczywiste fizyczne objawy wywo-

łane przez strach przed wpadką. Im więcej ktoś robi, tym bardziej obawia się następstw swoich działań.

Co robić? Jedyne, co przyszło Halimowi do głowy, to zatelefonować do swego przyjaciela Donovan. On będzie wiedział, co robić. On znał ludzi na wysokich, tajemniczych funkcjach.

Gdy Donovan odpowiedział na jego telefon, Halim prosił: — Musi pan mi pomóc. Mam kłopoty, ale nie mogę o nich mówić przez telefon. Wpadłem w tarapaty. Potrzebuję pańskiej pomocy.

Donovan zapewnił go, że przyjaciele właśnie po to istnieją i powiedział, że za dwa dni przyleci z Londynu i spotka się z nim w apartamencie Sofitelu.

— Oszukano mnie — zawołał Halim, przyznając się do całego „tajnego” interesu, który zawarł w Amsterdamie z niemiecką firmą. — Przykro mi, był pan takim dobrym przyjacielem, ale połasiłem się na pieniądze. Żona zawsze żąda, żebym więcej zarabiał, żebym poprawił swoją sytuację materialną. Ujrzałem szansę. Jakżeż byłem samolubny i głupi. Proszę mi wybaczyć. Potrzebuję pańskiej pomocy.

Donovan okazał się wspaniałomyślny.

— To są interesy — powiedział Halimowi. Po czym zasugerował, że w rzeczywistości Niemcy mogą być Amerykanami z CIA. Halim był jak

ogłuszony.

— Dałem im wszystko — co miałem powiedział ku zadowoleniu Rana — a oni ciągle żądają ode mnie więcej.

— Pomyślę o tym — rzekł Donovan. — Znam pewnych ludzi.

W każdym razie na pewno nie jest pan pierwszym facetem, który dał się nabrać na pieniądze. Odprężymy się i zabawimy trochę. Gdy się dobrze przyjrzeć, sprawy takie rzadko mają się tak kiepsko, jak pozornie wyglądają.

Tego wieczora Donovan i Halim zjedli razem zakrapiany obiad, po czym Donovan kupił mu inną dziewczynę. — Uspokoi pańskie nerwy, zaśmiał się.

" Rzeczywiście uspokoiła. Upłynęło około pięciu miesięcy od chwili, gdy rozpoczęto całą operację. Jest to dla tego typu spraw szybkie tempo. Jednakże wobec tak wysokiej stawki uznano, że szybkość jest sprawą zasadniczą. Niemniej jednak ostrożność była w tym momencie nakazem chwili. A że Halim był tak napięty i przerażony, trzeba go było potraktować łagodnie.

Po kolejnej gorącej naradzie w bezpiecznym domu postanowiono, że Ran wróci do Halima i powie mu , że to rzeczywiście była operacja CIA.

— Powieszają mnie — zawołał Halim — Powieszają mnie!

— Nie powieszają — powiedział Donovan. — Nie jest tak źle. Co innego, gdyby pan pracował dla Izraelczyków. A poza tym kto się dowie? Zawarłem z nimi porozumienie. Chcą jeszcze tylko jednej informacji i zostawią pana w spokoju.

— Co? Cóż jeszcze mogę im dać?

— Nie wiem wprawdzie, co to ma za znaczenie, ale wydaje mi się, że pan to wie — rzekł Donovan, wyciągając jakiś papier z kieszeni. — Oni chcą wiedzieć, jak Irak zareaguje, gdy Francja zaproponuje, aby zastąpić to wzbogacone coś czymś, co się nazywa karamel. Powiedz im pan to, a oni nigdy nie będą pana niepokoić. Oni nie mają interesu w skrzywdzeniu pana. Chcą tylko informacji.

Halim powiedział, że Irak chce wzbogaconego uranu, ale że za kilka dni przyjedzie egipski fizyk Jahia El Meshad, aby skontrolować plany i podjąć w imieniu Iraku decyzję w tych sprawach.

— Czy spotka się pan z nim? — spytał Donovan.

— O, tak. On spotka się z wszystkimi, którzy pracują nad planem.

— To dobrze. W takim razie może zdoła pan zdobyć tę informację

i skończą się pańskie kłopoty.

Halim wyglądał trochę spokojniej i nagle zaczął się strasznie spieszyć do wyjścia. Ponieważ miał teraz pieniądze, sam wynajął dziewczynę —przyjaciółkę Marie-Claude Magal, kobietę, która myślała, że przekazuje informacje miejscowej policji, lecz w rzeczywistości za łatwo zarobione pieniądze przekazywała poufne wiadomości Mosadowi. Gdy Halim powiedział Magal, że chciałby zostać jej stałym klientem, podała mu — za radą Donovaną — nazwisko swej przyjaciółki.

28

Teraz Donovan nalegał na Halima, żeby ten zorganizował spotkanie przy obiedzie z Meshadem w restauracji, do której Donovan by w tym czasie „przypadkowo” wpadł.

Umówionego wieczoru Halim udając zdziwienie przedstawił Meshadowi swego przyjaciela Donovaną. Jednak ostrożny Meshad rzucił grzecznie „hallo” i zaproponował Halimowi, aby po skończonej rozmowie ze swym przyjacielem wrócił do ich stołu. Halim był zbyt zdenerwowany, żeby choć zawadzić w rozmowie o temat karmelu, zaś Meshad nie wykazał żadnego zainteresowania dla wyjaśnień Halima, który zapewniał, że jego przyjaciel Donovan potrafi kupić prawie wszystko i mógłby być kiedyś im przydatny.

Późnym wieczorem Halim zatelefonował do Donovanana i powiedział, że niczego nie wyciągnął z Meshada. Następnego wieczoru w czasie spotkania w hotelu Donovan zapewnił Halima, że gdyby zdobył kalendarz wysyłek z fabryki w Sarcelles do Iraku, to by to wystarczyło CIA, która odczepiłaby się od niego.

W tym czasie Mosad dowiedział się od „białego” agenta, który pracował w dziedzinie finansów dla rządu francuskiego, że Irak nie jest skłonny zgodzić się na zastąpienie wzbogaconego uranu karamelem. Niemniej jednak Meshad, jako człowiek odpowiedzialny za całe przedsięwzięcie, mógł być cenną zdobyczą, gdyby tylko istniał sposób dotarcia do niego.

Po powrocie z Iraku Samira zobaczyła, że Halim się zmienił. Twierdził, że awansował i dostał podwyżkę, stał się też nagle bardziej romantyczny i zaczął zapraszać ją do restauracji. Zastanawiali się nawet, czy nie kupić samochodu.

Halim był wprawdzie wybitnie zdolnym naukowcem, ale w sensie życiowym nie był zbyt mądry. Pewnej nocy, wkrótce po powrocie żony, opowiedział jej o swym przyjacielu Donovanie i o swoich kłopotach z CIA.

Kobieta wpadła w furję. W toku swej tyrady dwukrotnie powiedziała, że było to prawdopodobnie izraelskie bezpieczeństwo, a nie CIA.

— Co to może obchodzić Amerykanów — krzyczała. — Kto poza Izraelczykami i głupią córką mojej matki zechciałby w ogóle odezwać się do ciebie.

Nie była taka głupia.

Kierowcy dwóch ciężarówek, które 5 kwietnia 1979 roku wiozły silniki dla myśliwców Mirage z fabryki Dassaulta do hangaru, w niedalekim od

29

Tulonu miasteczki La Seyne-sur-Mer, na francuskiej Riwerze, nie zwrócili uwagi na trzecią ciężarówkę, która przyłączyła się do nich w drodze.

Tworząc nowoczesną replikę konia trojańskiego, opierający się na otrzymanych od Halima informacjach Izraelczycy ukryli w wielkim metalowym kontenerze grupę pięciu sabotażystów z neviot, i fizyka atomowego, wszystkich ubranych w normalne, uliczne stroje i wszmuglowali ich jako część trzysamochodowego konwoju na strzeżony teren. Wiedzieli, że wartownicy zawsze zwracają pilniejszą uwagę na towary wywożone niż na dostarczane. Przypuszczali, że machną tylko ręką, aby pokazać, że konwój może wjechać. Na to właśnie stawiali. Fizyk atomowy będący w tej grupie przyleciał z Izraela, aby dokładnie ustalić, gdzie należy umieścić ładunki na zbudowanych w wyniku trzyletniej pracy, przechowywanych w hangarze rdzeniach reaktorów atomowych, tak aby wywołać

największą szkodę.

Jeden z wartowników na służbie tego dnia był człowiekiem nowym, zatrudnionym od niedawna. Przyszedł jednak z tak doskonałymi świadectwami, iż nikt nie mógł go podejrzewać, że to on zabrał klucz do otwierania pomieszczenia magazynowego, w którym czekało na mającą nastąpić za kilka dni wysyłkę wyposażenie przeznaczone dla Iraku.

Zgodnie z fachową radą fizyka, zespół izraelski umieścił w strategicznych miejscach rdzeni reaktorów pięć ładunków plastiku.

Tymczasem, gdy wartownicy stali u bram terenu magazynowego, uwagę ich przyciągnął nagle jakiś hałas na ulicy. Wyglądało na to, że samochód potracił przechodzącą przystojną kobietę. Chyba nie bardzo ucierpiała. W każdym razie, sądząc po nieprzyzwoitych obelgach, jakimi obsypywała zakłopotanego kierowcę, na pewno nie zostały uszkodzone jej struny głosowe.

Zebrało się małe zbiegowisko gapiów. Znaleźli się w nim również sabotażyści, którzy przeskoczyli przez płot od tyłu i przeszli przed front magazynów. Jeden z nich sprawdził, czy wszyscy francuscy strażnicy znajdują się w tłumie, a więc poza zasięgiem niebezpieczeństwa, po czym za pomocą trzymanego w ręku urządzenia uruchomił skomplikowany zapalnik i zniszczył sześćdziesiąt procent składników reaktora, opóźniając o wiele miesięcy plany Iraku i powodując straty w wysokości 23 milionów

dolarów. Dziwnym trafem żadne inne urządzenia umieszczone w hangarze nie ucierpiały.

Gdy wartownicy usłyszeli za sobą głuchy huk, pobiegli natychmiast do hangaru. Jak tylko się oddalili, samochód, który wywołał „wypadek”

odjechał, zaś sabotażyści i poszkodowana kobieta, dobrze wyszkolona do

tych celów, spokojnie zniknęli w bocznych ulicach miasteczka La Seyne-sur-Mer.

Operacja zakończyła się pełnym sukcesem. Poważnie opóźniła plany Iraku, a przy okazji przysporzyła wielu kłopotów Saddamowi Husajnowi.

Organizacja obrońców środowiska zwana „Groupe des Ecologistes Français”, o której nikt nie słyszał przed tym incydem, przyznała się do odpowiedzialności za wybuch. Wprawdzie policja francuska zdementowała to twierdzenie, ale ponieważ spowodowała jednocześnie całkowite przemilczanie wszelkich informacji w sprawie śledztwa dotyczącego sabotażu, gazety zaczęły drukować spekulacje na temat jego autorstwa. Na przykład „France Soir” twierdziła, że policja podejrzewa „lewicowych ekstremistów”, zaś „Le Matin” głosił, że jest to dzieło Palestyńczyków pracujących dla Libii. Tygodnik „Le Point” podejrzewał Amerykanów.

Inni oskarżali Mosad. Ale urzędnik rządu izraelskiego odrzucił to oskarżenie jako przejaw „antysemityzmu”.

*

Halim i Samira wrócili do domu grubo po północy po kolacji zjedzonej na lewym brzegu Sekwany. On otworzył radio chcąc przed pójściem do łóżka posłuchać trochę muzyki. Zamiast tego usłyszał wiadomość o wybuchu. Halim wpadł w panikę.

Zaczął biegać po mieszkaniu ciskając na chybił trafił przedmiotami, wykrzykując wiele głupstw.

— Co się z tobą stało — wykrzyknęła Samira — czyś ty zwariował!?

— Wyszadzi reaktor — krzyknął — teraz i mnie wysadzą.

Zatelefonował do Donovana.

Po godzinie przyjaciel oddzwonił. — Proszę nie robić żadnych głupstw, powiedział, proszę zachować spokój. Nikt nie może łączyć z tym pana osoby. Spotkajmy się jutro wieczorem w hotelu.

Halim dygotał jeszcze, gdy przybył na spotkanie. Nie spał. Nie ogolił się. Wyglądał strasznie.

— Teraz Irakijczycy powieszają mnie — jęczał — a potem oddadzą mnie Francuzom i ci mnie zgilotynują.

— Nie ma to z panem nic wspólnego — mówił Donoyan. — Pomyśl pan o tym. Nikt nie ma żadnych powodów, aby winić pana.

— To straszne. Straszne. Czy to możliwe, że Izraelczycy maczali w tym palce? Samira sądzi, że to oni. Czy to może być?

— Człowieku, weź się w garść. O czym pan mówi? Nikt z ludzi, z którymi handluję, nie zrobiłby nic takiego. To prawdopodobnie jakieś szpiegostwo przemysłowe. W tej dziedzinie konkurencja jest bardzo duża. Sam mi pan to mówił.

Halim oświadczył, że wraca do Iraku. W każdym razie żona jego chciała wyjechać, a on już dosyć czasu odpracował w Paryżu. Chciał uciec od tych ludzi. Nie pojedą przecież za nim do Bagdadu.

Donovan, chcąc wykluczyć myśl o jakimkolwiek związku Izraelczyków z tą sprawą, rozwijał swoją teorię sabotażu przemysłowego i powiedział Halimowi, że jeżeli rzeczywiście pragnie nowego życia, to mógłby się zwrócić do Izraelczyków. Miał dwa powody, by to sugerować; po pierwsze, jeszcze bardziej zdystansować siebie od Izraelczyków, po drugie — spróbować bezpośredniego zwerbowania.

— Zapłacą. Dadzą panu nową osobowość i będą pana chronili. Strasznie chcieliby wiedzieć, co pan wie o fabryce.

— Nie. Nie mogę — rzekł Halim. — Nie z nimi. Wracam do domu.
I wrócił.

Sprawa Meshada była nadal nie rozwiązana. Był jednym z niewielu arabskich naukowców cieszących się autorytetem w dziedzinie atomistyki. Był bliski irackich wyższych wojskowych i władz cywilnych. Mosad wciąż miał nadzieję, że go zwerbuje. Jednakże mimo nieświadomej pomocy Halima wiele kluczowych pytań pozostawało bez odpowiedzi.

7 czerwca 1980 roku Meshad odbył kolejną podróż do Paryża. Tym razem miał przekazać kilka ostatecznych decyzji w sprawie transakcji. Odwiedzając fabrykę w Sarcelles, powiedział naukowcom francuskim:

„dokonujemy zmian w historii świata arabskiego”. To właśnie niepokoiło Izrael. Izraelczycy przechwycili francuskie teleksy z dokładnym planem podróży Meshada. Ustalili, że zatrzyma się w pokoju 9041 hotelu Meridien, co ułatwiło założenie podsłuchu, zanim się tam wprowadził.

Meshad urodził się 11 stycznia 1932 w Banham, w Egipcie. Był to wybitny naukowiec. Jego gęste, czarne włosy zaczynały się już wyraźnie cofać nad czołem. Paszport jego stwierdzał, że jest wykładowcą na wydziale energii atomowej uniwersytetu w Aleksandrii.

Później, w wywiadzie dla egipskiej prasy, jego żona Zamuba mówiła,

że właśnie oboje z trojgiem dzieci (dwie dziewczynkami i chłopcem) mieli wyjechać z Kairu na wakacje. Meshad kupił już nawet bilety na

32

samolot, gdy ktoś z fabryki w Sarceles zatelefonował do niego. Słyszała, jak mówił:

— Dlaczego ja? Mogę przysłać eksperta.

Żona twierdziła, że od tej chwili był bardzo poważny, a nawet gniewny. Przypuszczała, że w administracji francuskiej tkwi agent izraelski, który zastawił na niego pułapkę.

— Oczywiście, że istniało niebezpieczeństwo. Mawiał mi, że będzie pracował nad zbudowaniem bomby, nawet gdyby miał za to zapłacić życiem.

Oficjalna wersja przekazana środkom przekazu przez władze francuskie stwierdzała, że jakaś prostytutka zaczepiła Meshuda w windzie, gdy około godziny siódmej wieczór burzliwego 13 marca 19X0 roku wracał do swego pokoju na dziewiątym piętrze. Mosad wiedział już, że Meshad ma silne dewiacje seksualne, a konkretnie: skłonności sado-masochistyczne i że od dawna regularnie zaspokaja mu je prostytutką o przezwisku Marie

Express. Miała przyjść około wpół do ósmej wieczorem. Naprawdę nazywała się Marie-Claude Magal i była tą samą, którą Ran początkowo posłał do Halima. Jakkolwiek wykonywała wiele zadań dla Mosadu, nigdy nie wiedziała dokładnie, kim byli jej pracodawcy. Póki płacili, nic ją to nie obchodziło.

Wiedzieli też, że Meshad to twardy kąsek, nie taki łatwowierny jak Halim. A ponieważ możliwe było, że zostanie tylko kilka dni, postanowiono zwrócić się do niego bezpośrednio. Jeśli się zgodzi — tłumaczył

Arbel — będzie zwerbowany. Jeśli nie, będzie martwy.

Nie zgodził się.

Na krótko przed przybyciem Magal wysłano pod drzwi Meshada mówiącego po arabsku katsa Yehudę Gila. Meshad uchylił drzwi na tyle, by móc wyjrzeć, ale pozostawił założony łańcuch i warknął: „ktoś ty, czego chcesz?”.

Gil odparł: „Przychodzę od potęgi, która dużo zapłaci za odpowiedzi”.

Meshad zawołał: Zmywaj się, ty psie, albo wzywam policję.

Gil odszedł. Natychmiast odleciał do Izraela, by w żadnym wypadku

nie można go było łączyć z losami Meshada.

Meshada spotkał inny los.

Mosad nie zabija ludzi, jeśli nie mają krwi na rękach. Ten człowiek, gdyby udało mu się zrealizować swój projekt, miałby na rękach krew dzieci

Izraela. Nie należało więc czekać.

Wyznania szpiega

33

Wywiad izraelski poczekał tylko, aż Magal obsłużyła Meshada i po kilku godzinach opuściła go. Niech sobie umiera szczęśliwy, pomyślano.

Gdy Meshad spał, dwóch ludzi' używając wytrycha wślizgnęło się cichutko do jego pokoju i podcięło mu gardło. Następnego rana pokojówka znalazła jego okrwawione zwłoki. Przychodziła kilka razy, ale wywieszony napis „nie przeszkadzać” powstrzymywał ją. Wreszcie zapukała do drzwi, a gdy nie było odpowiedzi, weszła.

Policja francuska mówiła wówczas, że to była fachowa robota. Nic nie zginęło — ani pieniądze, ani dokumenty. Na podłodze łazienki znaleziono tylko ręcznik poplamiony szminką do ust.

Magal była wstrząśnięta, gdy dowiedziała się o tym morderstwie. Przecież Meshad żył, gdy go opuściła. Częściowo po to, żeby się zabezpieczyć. a częściowo dlatego, że miała podejrzenia, poszła na policję i doniosła, że gdy przyszła, Meshad był wściekły, przeklinał jakiegoś mężczyznę, który przedtem zaczepiał go, chcąc kupić informacje.

Magal zwierzyła się swej przyjaciółce, byłej „stałej” Halima, ta zaś nieświadomie przekazała tę informację kontaktowemu z Mosadu.

Późno w nocy, 12 lipca 1980 roku, Magal szła bulwarem St. Germain, gdy mężczyzna w czarnym mercedesie zatrzymał się przy zakręcie i dał jej znak ręką, aby usiadła obok kierowcy.

Nie było w tym niczego niezwykłego. Ale gdy zaczęła rozmawiać ze swym ewentualnym klientem, inny czarny mercedes wyjechał z dużą szybkością z zakrętu. We właściwym momencie kierowca zaparkowanego wozu potężnie pchnął dziewczynę, tak że wpadła pod nadjeżdżający samochód. Zginęła na miejscu. Oba wozy szybko zniknęły w ciemnościach paryskiej nocy.

Jakkolwiek zarówno Magal, jak i Meshad zostali zamordowani przez Mosad. to jednak sytuacja w obu wypadkach różniła się zasadniczo.

Najpierw o Magal. W sztabie w Tel Awiwie, w miarę jak rozszyfrowywano i analizowano raporty z terenu, rosło zaniepokojenie. Z mate-

riałów wynikało jasno, że poszła ona na policję i mogła wywołać poważne trudności. Niepokój ten wędrował w górę po drabinie administracyjnej, aż wylądował na biurku szefa Mosadu, gdzie zapadła ostateczna decyzja, żeby ją „zjąć”.

Zamordowanie jej miało charakter operacji zapobiegawczej. Trzeba

34

było względnie szybko podejmować decyzje opierając się na okolicznościach sprawy.

Natomiast decyzja zgładzenia Meshada wypływała z supertajnego systemu wewnętrznego, do którego należała formalna „lista egzekucyjna” i który wymagał osobistego zatwierdzenia przez samego premiera Izraela.

Listy zawierają od jednego do około stu nazwisk. Zależy to od zakresu antyizraelskiej działalności terrorystycznej.

Propozycję umieszczenia kogoś na „liście egzekucyjnej” składa szef Mosadu w biurze premiera. Powiedzmy na przykład, że odbył się terrorystyczny atak na izraelski cel, który zresztą nie musi być koniecznie żydowski. Mógł to być zamach na biura El Al w Rzymie, w czasie którego zginęło kilku obywateli włoskich. Był to jednak atak na Izrael, jako że jego celem było zniechęcenie ludzi do korzystania z izraelskiej linii lotniczej.

Założmy, że Mosad wiedział na pewno, iż tym, który zarządził albo zorganizował zamach, był Ahmed Dżibril. W tej sytuacji Mosad powinien był przedstawić nazwisko Dżibrila urzędowi premiera, a z kolei premier przesłałby je do specjalnego komitetu sądowego, supertajnego, o którego istnieniu nie wie nawet izraelski sąd najwyższy.

Komitet, który pracuje metodą sądów wojskowych i zaocznie rozpatruje sprawy oskarżonych terrorystów, składa się z pracowników wywiadu, wojskowych oraz pracowników aparatu sprawiedliwości. Obrady, zorganizowane jak rozprawy sądowe, odbywają się w różnych miejscowościach. Często w czyimś mieszkaniu prywatnym. Przy każdej sprawie zmienia się zarówno skład personalny komisji, jak i lokalizacja narady.

Do każdej sprawy mianuje się dwóch prawników —jeden reprezentuje państwo, czyli jest prokuratorem, drugi — obronę, mimo że oskarżony nie ma pojęcia o całej rozprawie. Na podstawie przedstawionych dowodów

trybunał ten decyduje, czy dany człowiek — na przykład Dżibril —jest winien tego, o co się go oskarża. Jeśli zostaje uznany za winnego, a na ogół

oskarżeni są za takich uznawani, „sąd" może zarządzić dwie rzeczy: albo by go sprowadzić do Izraela na rozprawę w normalnym sądzie, albo — jeśli

jest to zbyt niebezpieczne lub po prostu niemożliwe, nakazuje stracenie go przy pierwszej okazji.

Zanim jednak zamach zostanie dokonany, premier musi podpisać nakaz egzekucji. Tu — zależnie od osoby premiera — istnieją różne praktyki. Niektórzy podpisują dokumenty z góry. Inni domagają się ustalenia naprzód, czy w danym momencie „cios” nie stworzy żadnych trudności politycznych.

35

W każdym razie jednym z pierwszych obowiązków każdego nowego premiera Izraela jest przeczytanie „listy egzekucyjnej” i zdecydowanie, czy parałować czy też nie każde znajdujące się na niej nazwisko.

W piękną słoneczną niedzielę, 7 czerwca 1981 roku, o godz. czwartej po południu, dwa tuziny F-15 i F-16 produkcji amerykańskiej wystartowały z Beer Szewa (nie z Ejlatu'—jak szeroko informowano — gdyż jest on zbyt bliski jordańskich radarów) do zdradzieckiej 90-minutowej, liczącej 650 mil (1040 km) podróży nad terytorium wrogich krajów, do Tuwaita pod Bagdadem, w celu całkowitego zniszczenia budowanych tam irackich zakładów jądrowych.

Towarzyszył im samolot, który wyglądał jak handlowa maszyna Air Lingus (Irlandczycy wypożyczają swoje samoloty krajom arabskim, więc nikogo maszyna ta nie musiała dziwić). W rzeczywistości był to izraelski Boeing 707 przystosowany do uzupełniania paliwa w powietrzu. Samoloty

trzymały się w zwartej formacji, a Boeing leciał dokładnie pod nimi, tak że z dołu można było mieć wrażenie, że leci tylko jedna cywilna maszyna korytarzem powietrznym. Samoloty miały nakazaną „ciszę”, czyli nie nadawały żadnych sygnałów, natomiast przyjmowały je od lecącego z tyłu samolotu przystosowanego do wojny elektronicznej i łączności. Samolot ten służył też do zakłócania innych sygnałów, włącznie z wrogimi radarami.

Mniej więcej w połowie drogi „tam”, już nad terytorium irackim, Boeing uzupełnił zapas paliwa samolotów bojowych (droga powrotna do Izraela była zbyt długa, aby odbyć ją bez tankowania, a nie można było ryzykować uzupełnienia paliwa po ataku, bo mogła ruszyć za nimi pogoń. Stąd to zuchwale tankowanie nad irackim terytorium). Po skończonym tankowaniu Boeing oderwał się od formacji. Ubezpieczony przez dwa samoloty, skrócił sobie drogę w kierunku północno-zachodnim lecąc nad Syrią i ostatecznie wylądował na Cyprze, jakby odbywał normalną podróż handlową. Samoloty eskorty towarzyszyły mu tylko nad wrogim terytorium. po czym wróciły do bazy w Beer Szewa.

W tym czasie pozostałe samoloty uzbrojone w rakiety Sidewinder i bomby sterowane laserem o wadze dwóch tysięcy funtów (które kieruje się promieniem laserowym bezpośrednio do celu) kontynuowały lot.

Dzięki informacjom otrzymanym wcześniej od Halima Izraelczycy wiedzieli dokładnie, gdzie uderzyć, aby przysporzyć najwięcej szkody.

Sprawą podstawową było zburzenie kopuły w sercu fabryki. W terenie

36

znajdował się też agent izraelski wyposażony w urządzenie nadające mocne sygnały na ustalonej częstotliwości fal, które naprowadzały samoloty na ich cele.

W zasadzie istnieją dwa sposoby znalezienia celu. Można go zobaczyć, ale przy szybkościach przekraczających 900 mil (1440 km) na godzinę, trzeba bardzo dobrze znać teren, tym bardziej gdy chodzi o względnie niewielkie cele. Orientować się można w krajobrazie, ale znów trzeba bardzo dobrze znać okolice i rozpoznawać poszczególne punkty orientacyjne. Izraelczycy nie mieli oczywiście wcześniej okazji do przeprowadzenia manewrów nad Bagdadem. Ćwiczyli jedynie nad własnym terytorium na makiecie fabryki, zanim wyruszyli do ataku na „oryginał”.

Inną metodą znalezienia celu jest zastosowanie sygnału odpowiedniego urządzenia naprowadzającego. Izraelczycy dysponowali takim urządzeniem na zewnątrz fabryki, ale po to, aby mieć absolutną pewność, poproszono zwerbowanego przez Mosad francuskiego technika, Damiena Chassepieda, aby umieścił wewnątrz budynku teczkę, w której znajdowało się urządzenie naprowadzające. Nie wiadomo dlaczego Chassepied zamarudził w gmachu i stał się jedyną śmiertelną ofiarą tego niezwykłego nalotu.

Nad Irakiem samoloty leciały tak nisko, że widać z nich było chłopów na polach. O godzinie 6.30 po południu, przed samym osiągnięciem celu, samoloty wzniosły się do pułapu około dwóch tysięcy stóp (ponad 6000 m).

Wznoszenie się było tak szybkie, że zmyliło radary obrony. Poza tym słońce zachodzące za samolotami oślepiało Irakijczyków obsługujących działka przeciwlotnicze. Samoloty następnie pikowały tak szybko jeden za drugim, że Irakijczycy zdołali tylko nieszkodliwie wystrzelić w niebo z kilku swych działek przeciwlotniczych, ale nie odstrzelono żadnej rakiety

ziemia—powietrze i żaden samolot iracki nie ruszył w pogoń za napastnikami, którzy zawrócili i skierowali się z powrotem do Izraela, lecąc wyżej

i obierając krótszą drogę, prowadzącą bezpośrednio nad Jordanią. W ten sposób marzenia Saddama Husajna o przekształceniu I raku w potęgę nuklearną legły w gruzach.

Fabryka została zniszczona. Olbrzymia kopuła na budynku reaktora została zwalona z fundamentów, a silnie wzmocnione mury rozbite w gruzy. Dwa inne wielkie budynki o podstawowym znaczeniu dla fabryki zostały poważnie uszkodzone. Taśmy video nagrane przez pilotów izraelskich i pokazane później izraelskiej komisji parlamentarnej uchwyciły moment, gdy rdzeń reaktora został zniszczony, a części jego wpadły do basenu chłodzącego.

Wobec informacji wywiadowczej Mosadu, w myśl której reaktor miał zacząć działać 1 lipca. Begin planował pierwotnie uderzyć pod koniec kwietnia. Przesunął jednak akcję, gdy gazety podały, że były minister obrony, Ezer Weizman, powiedział przyjaciołom, że Begin „przygotowuje awanturniczą operację przedwyborczą”.

Kiedy przywódca Partii Pracy, Simon Peres, przesłał Beginowi „osobistą” i „ściśle tajną” notatkę, w której skłaniał go do zrezygnowania z ataku, gdyż uważał, że informacje wywiadowcze Mosadu były „nierealistyczne” — zaniechano też kolejnego terminu wyznaczonego na 10 maja, siedem tygodni przed mającymi się odbyć 30 czerwca wyborami do parlamentu izraelskiego. Peres przepowiadał, że atak sprawi, iż Izrael będzie izolowany „jak drzewo na pustyni”.

Dokładnie trzy godziny po starcie samoloty powróciły bezpiecznie do Izraela. Dwie godziny premier Menachem Begin czekał w swym mieszkaniu przy ulicy Smolenskina wraz z całym rządem na tę wiadomość.

Krótko przed siódmą wieczór gen. Rafael Eitan, szef armii izraelskiej, zawiadomił Begin, że operacja „Babilon” została wykonana (tak nazwano ostatni etap operacji) i wszyscy uczestnicy wrócili szczęśliwie.

Podobno Begin powiedział Baruch hashem, co po hebrajski! znaczy:

chwała.Bogu. Bezpośrednia reakcja Saddama Husajna nie została nigdy opublikowana.

Rozdział I

Werbunek

W końcu kwietnia 1979 r., po dwóch dniach zajęć na okręcie podwodnym, wróciłem do Tel Awiwu. Kapitan okrętu wręczył mi rozkaz udania się na spotkanie w bazie wojskowej Shalishut znajdującej się na skraju Ramt Gan, przedmieścia Tel Awiwu.

Jako oficer w stopniu kapitana, kierowałem wówczas oddziałem testowania broni, sekcji operacyjnej marynarki wojennej w jej sztabie w Tel Awiwie.

Urodziłem się 28 listopada 1949 r. w Edmonton, w stanie Alberta w Kanadzie. Rodzice rozeszli się, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Podczas II wojny światowej ojciec służył w lotnictwie kanadyjskim. Latał często nad Niemcami na bombowcu Lancaster. Jako ochotnik uczestniczył w 1948 r. w izraelskiej wojnie o niepodległość. Dowodził bazą lotniczą Sede Dov znajdującą się na północnym skraju Tel Awiwu.

Moja matka również służyła swemu krajowi podczas II wojny światowej. Prowadziła ciężarówki, które woziły z Tel Awiwu do Kairu zaopatrzenie dla Brytyjczyków. Później była aktywną działaczką izraelskiego ruchu oporu — Hagana. Z zawodu nauczycielka, przeniosła się ze mną do miasta London (Ontario), a potem na krótko do Montrealu. Gdy miałem 6 lat, przyjechaliśmy do Holon — niedaleko Tel Awiwu. Ojciec natomiast emigrował z Kanady do Stanów Zjednoczonych.

Matka zamierzała osiedlić się w Kanadzie na stałe, ale gdy miałem 13 lat znów znaleźliśmy się w Holon. Po pewnym czasie matka znów pojechała do Kanady, a ja pozostałem w Holon u dziadków. Haim i Ester Margolin, moi dziadkowie, wraz z synem Rafa, zbiegli z Rosji w czasie pogromu w 1912 r. Drugi ich syn zginął podczas pierwszego pogromu. W Izraelu (była to jeszcze nie podzielona Palestyna — tł.), urodził im się syn Mażą

39

i córka Mira — moja matka. Dziadkowie byli prawdziwymi pionierami powstającego państwa żydowskiego. Z zawodu dziadek był księgowym, ale zanim dostał z Rosji dokumenty potwierdzające jego kwalifikacje, mył podłogi w Agencji Żydowskiej. Później pełnił w niej funkcję generalnego audytora i cieszył się bardzo dużym szaculikiem.

Wychowano mnie na syjonistę. Wujek Mażą należał do „Wilków

Samsona", elitarnej jednostki działającej w armii jeszcze przed powstaniem państwa. Walczył polem w czasie wojny o niepodległość.

Dziadkowie byli idealistami. Uważali, a ja po nich tę wiarę odziedziczyłem, że Izrael będzie ziemią mlekiem i miodem płynącą. Taka przyszłość warta była każdego, nawet najcięższego trudu. Wierzyłem, że jest to kraj, który nie uczyni nic złego, nie wyrządzi nikomu szkody i świecić będzie przykładem wszystkim narodom. Jeżeli w kraju działo się coś złego pod względem politycznym lub finansowym, byłem przekonany, że to wina biurokratów, niższych szczebli administracji, którzy sami powinni sprawę naprawić. Byłem głęboko przekonany, że tacy ludzie jak Ben-Gurion, pierwszy premier Izraela, strzegą naszych świętych praw. Podziwiałem go. Dorastając, uznawałem Begin za wybitnego bojownika naszej sprawy, któremu nikt nie mógł dorównać. W czasach mojej młodości panowała w Izraelu atmosfera politycznej tolerancji. Arabowie byli traktowani jak istoty ludzkie, żyliśmy przecież przez całe wieki z nimi w pokoju. Oto jaka była moja idea Izraela.

Tu/ przed ukończeniem 18 roku życia, rozpocząłem trzyletnią obowiązkową służbę wojskową. Po 9 miesiącach zostałem podporucznikiem żandarmerii wojskowej. Byłem wówczas najmłodszym oficerem w wojsku izraelskim.

Stacjonowałem w jednostkach nad Kanałem Sueskim, na Wzgórzach Golan i nad rzeką Jordan. W tym ostatnim miejscu byłem akurat wtedy, gdy Jordania wypędziła ze swego terytorium OWP. To był rok 1970. Pozwoliliśmy czołgom jordańskim przejechać na nasze terytorium, aby mogły (boczyć) Palestyńczyków. Było to niesamowite. Jordańczycy to nasi wrogowie, ale OWP była jeszcze większym wrogiem.

Wojsko opuściłem w listopadzie 1971 r. Pojechałem do Edmonton gdzie przez pięć lat miałem się różnych zajęć — od reklamy, po zarządzanie sklepem z dywanami. Wojna Yom Kipur w 1973 r. ominęła mnie. Ale byłem świadomy, że dla mnie wojna nie skończy się, dopóki sam nie dam czegoś z siebie Ojczyźnie. Dlatego w maju 1977 r. powróciłem do Izraela i wstąpiłem do marynarki wojennej.

40

Po przybyciu do bazy Shalishut, zostałem wprowadzony do małego pokoju. Za biurkiem siedział nie znany mi osobnik.

— Wyciągnęliśmy twoje nazwisko z komputera — powiedział. — Odpowiadasz naszym kryteriom. Wiemy, że już służysz naszemu krajowi, ale jest jeszcze lepszy sposób służenia mu. Interesuje cię to?

— Oczywiście. Ale o co chodzi?

— Najpierw musimy przeprowadzić serię prób, by sprawdzić, czy jesteś odpowiednim człowiekiem. Wezwiemy cię w swoim czasie!

Dwa dni później zostałem wezwany na spotkanie o ósmej wieczór do pewnego mieszkania w Herdiji. Zdumiałem się, gdy drzwi otworzył mi psychiatra marynarki wojennej. Psychiatra powiedział mi, że pracuje dla służby bezpieczeństwa i nie wolno mi mówić w bazie o tym spotkaniu.

Przez cztery godziny przeprowadzał ze mną różnorodne testy psychiatryczne.

Gdy tydzień później zostałem wezwany na inne spotkanie w północnej części Tel Awiwu, koło Bait Hahaya-1, powiedziałem już o tym żonie.

Oboje

wyczuliśmy, że ma to coś wspólnego z Mosadem. Kiedy żyje się w Izraelu.

wie się coś o tym. A zresztą, cóż to mogło być innego?

Było to pierwsze z serii spotkań / facetem, który przedstawił mi się jako Ygal. Odbywałem z nim potem długie sesje w kawiarni Scala w Tel Awiwie. Mówił o znaczeniu pracy, jaką chcą mi powierzyć.

Odpowiadałem

na setkach formularzy na różne pytania w rodzaju: ..Czy uważasz zabicie kogoś dla twojego kraju za coś złego? Czy wydaje ci się, że wolność jest ważna? Czy jest coś ważniejszego niż wolność?" itp. Gdy upewniłem się, że

chodzi o Mosad, myślałem, że oczekiwane odpowiedzi są całkiem oczywiste, łatwe do przewidzenia. I naprawdę chciałem przejść te próby.

Z czasem spotkania odbywały się regularnie co trzy dni. Trwało to około czterech miesięcy. Pewnego dnia poddano mnie w bazie wojskowej kompleksowym badaniom lekarskim. Zwykle, gdy idzie się na badania, spotyka się tam do 150 chłopaków. Zupełnie jak w fabryce. Tym razem byłem sam. Znajdowało się tam 10 gabinetów, każdy z lekarzem i pielęgniarką, którzy już na mnie czekali. Każdy zespół spędzał ze mną około pół godziny. Przeprowadzali wszelkiego rodzaju badania, nawet dentystyczne. Wszystko to sprawiło, że poczułem się rzeczywiście bardzo ważny.

Wciąż jednak nie miałem żadnych informacji o pracy, jaką chcieli mi powierzyć. Mimo to gołów byłem zgodzić się na wszystko, cokolwiek by to było.

41

W końcu Ygal powiedział mi, że podczas szkolenia będę przede wszystkim w Izraelu, ale nie u siebie w domu. Z rodziną będę mógł widzieć się raz na dwa lub trzy tygodnie. Możliwe też, że wyślą mnie za granicę i wówczas spotkania z rodziną nie będą częstsze niż raz w miesiącu.

Oświadczyłem na to Ygalowi, że nie mogę na tak długo rozstawać się z rodziną, to nie dla mnie. Kiedy jednak kazał mi przemyśleć decyzję, zgodziłem się. Wtedy zatelefonowali do mojej żony, Belli. Nękali nas telefonicznie przez następne osiem miesięcy, aby wymusić jej zgodę.

Od czasu, gdy opuściłem szeregi armii, nie miałem wyrzutów sumienia, bym zaniedbywał mój kraj. W tym czasie czułem się związany praktycznie z prawicą. Wówczas wierzyłem jednak, że można rozdzielić sprawy zawodowe i rodzinne. Z jednej strony chciałem tego zajęcia, ale nie mogłem się zgodzić na pozostawanie z dala od rodziny przez tak długi okres.

W tym czasie nikt nie powiedział mi dokładnie, do jakiego zajęcia jestem przeznaczony. Ale potem, gdy już byłem w Mosadzie, dowiedziałem

• się, że przygotowywano mnie do kidonu, tj. grupy zabójstw w wydziale Metsada (Metsada, obecnie Komemiyute jest wydziałem bojowników).

Wciąż jednak nie byłem pewien, co chciałbym zrobić ze swoim życiem.

W 1981 r. opuściłem marynarkę wojenną. Ponieważ miałem zdolności artystyczne postanowiłem malować i konstruować okna witrażowe. Zrobiłem nawet kilka sztuk. Ale gdy chciałem je sprzedać, zdałem sobie szybko sprawę, że witraże nie były popularne w Izraelu. Przypominały ludziom katolickie kościoły. I nikt nie chciał kupić moich okien. Ale, co ciekawe, znaleźli się tacy, którzy chcieli nauczyć się ich wytwarzania. Przekształci-

łem więc moją wytwórną w szkółkę.

W październiku 1982 r. dostałem depezę, w której polecono mi zatelefonować pod podany numer we czwartek między 9 rano a 7 wieczorem. Miałem pytać o Debora. Zadzwoiłem, w odpowiedzi usłyszałem adres, pod który miałem się udać. Był to wysoki biurowiec Hadar Dafna na bulwarze Króla Saula w Tel Awiwie. Później dowiedziałem się, że budynek ten był siedzibą sztabu Mosadu.

Wszedłem do westybulu. Na prawo znajdował się bank. Na ścianie na lewo od wejścia widniał niepozorny napis: „Werbunek Służby Bezpieczeństwa”. Moje poprzednie doświadczenie nie dawało mi spokoju. Czulem, że coś przegapiłem.

42

Udając się na to spotkanie, byłem podenerwowany i dlatego dotarłem tam godzinę wcześniej. Poszedłem więc do baru samoobsługowego na piętrze. W tej części budynku prywatne biznesy stwarzały atmosferę naturalności, bowiem sztab Mosadu był budynkiem w budynku. Zamówiłem kanapkę z serem, doskonale to pamiętam do dziś, a podczas jedzenia rozglądałem się wokoło, zastanawiając się, czy poza mną jest tu jeszcze ktoś

wezwany jak ja.

Zbliżyła się wyznaczona godzina. Zszedłem na dół do podanego mi biura. Skierowano mnie do małego pokoju z ogromnym, jasnym drewnianym biurkiem. W pokoju dostrzegłem poza tym telefon, na ścianie wiszące lustro i fotografię jakiegoś mężczyzny. Wydawał mi się znajomy, ale nie byłem w stanie zidentyfikować go.

Siedzący za biurkiem miło wyglądający facet otworzył małą teczkę, musnął wzrokiem papiery i powiedział:

— Szukamy ludzi. Naszym głównym celem jest ratowanie Żydów na całym świecie. Myślimy, że mógłbyś nam pasować. Stanowimy jakby rodzinę. To jest ciężka praca i może być nawet niebezpieczna. Ale nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Najpierw musisz przejść kilka prób.

Wyjaśnił mi następnie, że po każdej serii prób zostanę znowu wezwany. Jeśli któreś z prób nie podołam, to koniec. Jeśli jaką serię przejdę pomyślnie, dostanę szczegóły dotyczące następnych testów.

— Jeśli nie powiedzie ci się, albo po prostu wyśiądziesz, już nie możesz się z nami kontaktować. Tu poprawek nie ma. To my decydujemy o wszystkim i to już koniec. Rozumiesz?

— Tak.

— Świetnie. Chcę cię zobaczyć tutaj dokładnie za dwa tygodnie o 9 rano. Rozpoczniemy próby.

— Czy znaczy to, że będę długo z dala od rodziny?

— Nie.

— Dobrze. Będę tu za dwa tygodnie.

Kiedy nadszedł ten dzień, zostałem wprowadzony do dużego pokoju. Wraz z dziewięcioma innymi osobami siadłem w szkolnej ławce. Każdy z nas dostał 30-stronicowy kwestionariusz. Zawierał on osobiste pytania i różnego rodzaju testy. Wszystko zmierzało do określenia, kim jestem oraz co i jak myślę. Po wypełnieniu kwestionariuszy poinstruowano nas, że dadzą nam znać do dalej.

Po tygodniu wezwano mnie na spotkanie z człowiekiem, który przeegzaminował mnie z angielskiego. A mówię bez akcentu izraelskiego.

43

Pytał mnie o znaczenie gwarowych wyrażeń, ale nie znał tych najnowszych, jak np. „far out”. Przepytował też o miasta w Kanadzie i Stanach

Zjednoczonych, kto jest prezydentem USA i o inne tego rodzaju rzeczy.

Spotkania trwały przez trzy tygodnie, ale w przeciwieństwie do pierwszego, odbywały się w ciągu dnia i poza centrum miasta. Poddany też zostałem następnym badaniom zdrowotnym.

Przypominano stale kandydatom, by w rozmowach ze znajomymi nie ujawniali. Hasło brzmiało: „Trzymaj wszystko przy sobie”.

Z każdym spotkaniem miałem coraz więcej obaw. Człowiek, który mnie przepytawał, nazywał się Uzi. Później poznałem go lepiej jako Uzi Nakdimona — był szefem rekrutacji personelu. W końcu to on powiedział mi, że przeszedłem wszystkie dotychczasowe próby, czeka mnie jeszcze tylko końcowa, ale przedtem chcieli porozmawiać z Bellą.

Przetrzymali ją sześć godzin. Przepytawali Bellę o wszystko — nie tylko o mnie, ale o nią i jej rodziców, ich poglądy polityczne i jej silne strony i słabości. Długie badanie dotyczyło także jej stosunku do państwa Izrael i jego miejsca w świecie. Podczas rozmowy obecny był urzędowy psychiatra, który pozostał jednak cichym obserwatorem.

Po tym wszystkim Uzi zatelefonował i polecił pokazać się w poniedziałek o 7 rano. Kazał zabrać ze sobą dwie walizki z różnorodną odzieżą —

od

dżinsów do garnituru. Miała to być trzy—czterodniowa próba końcowa. Wyjaśnił też, że przez dwa lata będę szkolony oraz że moja pensja będzie o grupę wyższa niż mój obecny stopień wojskowy. To niezłe — pomyślałem. — W ten sposób stanę się pułkownikiem. Miałem powód do emocji. Nastąpił wreszcie szczęśliwy koniec. Wydawało mi się, że naprawdę jestem

kimś wyjątkowym, zwłaszcza że potem dowiedziałem się, iż rozmawiali z tysiącami ludzi. Odbywali takie sesje mniej więcej co trzy lata. Do finału docierało najwyżej piętnastu. Czasem wszyscy go przechodzili, czasem nikt. Nie wyznaczano żadnych limitów z góry. Dowiedziałem się, że każdy z kandydatów zakwalifikowanych do decydujących prób wyłaniany był z 5000 wstępnie badanych osób.

Wyławiają ludzi właściwych, niekoniecznie więc ludzi najlepszych. To wielka różnica. Funkcjonariusze zajmujący się selekcją są praktykami i rozglądają się za bardzo specyficznymi uzdolnieniami. Pozwalają ci myśleć, że jesteś kimś wyjątkowym i właśnie z tego powodu wybranym do prób.

44

; Krótco przed wyznaczonym dniem posłaniec dostarczył mi do domu list, w którym ponownie podano mi czas i miejsce mojego stawienia się, a także przypomniano o zabraniu ubrań na różne okazje. Polecono mi również, bym nie posługiwał się swoim, nazwiskiem. Miałem napisać na

dołączonym do listu papierze moje przybrane nazwisko wraz z krótkimi danymi mojej nowej osobowości. Nazwałem się Simon Lahav. Simon — to imię mojego ojca. A jak się wcześniej dowiedziałem, moje nazwisko Ostrovsky wywodzi się z polskiego lub rosyjskiego słowa „ostrzy”. Lahav po hebrajsku oznacza „ostrze”.

Podąłem zawód grafika, bo na tej dziedzinie rzeczywiście znałem się. Swoje miejsce zamieszkania określiłem w Holonie, ale w miejscu, gdzie — jak wiedziałem — była pusta parcela.

W deszczowy dzień w styczniu 1983 r. tuż przed 7 rano przybyłem na umówione miejsce. Zostałem tam dwie kobiety i ośmiu mężczyzn z mojej grupy oraz trzy czy cztery inne osoby, które wzięłem za instruktorów. Otrzymaliśmy koperty z nowymi dokumentami osobistymi. Następnie cała grupa pojechała autobusem do Country Ciub — znanego ośrodka wypoczynkowego poza Tel Awiwem, przy drodze do Hajfy. Ośrodek ten szczycił się tym, że dysponuje najlepszymi urządzeniami rekreacyjnymi w całym Izraelu.

Rozmieszczono nas po dwóch w apartamentach z jedną sypialnią. Kazano nam tam się rozpakować. Potem zebraliśmy się w apartamencie nr 1.

Na wzgórzu obok Country Ciub znajduje się tak zwana letnia rezydencja premiera. W rzeczywistości jest to Midrasha — centrum

szkoleniowe Mosadu. Spojrzałem na wzgórze. Każdy w Izraelu wie, że to miejsce ma coś wspólnego z Mosadem. I byłem ciekaw, czy tam w końcu wyląduję. Wyobraziłem sobie nagle, że dla wszystkich obecnych będę jedynym podmiotem próby. Może brzmi to paranoicznie, ale paranoja jest plusem w tym fachu.

W apartamencie nr 1 stał długi stół nakryty do eleganckiego śniadania. Był też bufet z taką ilością jedzenia, jakiej nigdy przedtem nie widziałem, a szef sali czekał w pogotowiu, by zrealizować odrębne zamówienie, jeśli ktoś chciał coś specjalnego.

Poza 10 kursantami kręciło się przy śniadaniu jeszcze kilkanaście osób. Około 10.30 przeszliśmy do sąsiedniego pokoju. Kursanci zasiedli przy długim stole znajdującym się w środku, pozostali zaś zajęli miejsca

45

pod ścianami, przy małych stolikach. Nikt nas nie popędzał. Po wspaniałym śniadaniu dostaliśmy teraz kawę i każdy zapalił dobrego papierosa.

Do grupy zwrócił się Uzi Nakdimon:

— Witam na próbie. Pozostaniemy tu trzy dni. Nie róbcie niczego, czego waszym zdaniem oczekujemy od was. Niech każdy sam ocenia sytuacje, jakie powstaną. Szukamy takich ludzi, jakich nam potrzeba. Przeszliście już wiele prób. Teraz chcemy się upewnić, czy całkowicie nam

odpowiadacie. Każdy z was będzie przewodnikiem-instruktorem. Każdy z was przybrał sobie nazwisko i zawód. Musicie zrobić wszystko, by nie zdradzić się, ale jednocześnie waszym zadaniem jest starać się zdemaskować każdego innego przy tym stole.

Po raz pierwszy brałem udział w teście grupowym z udziałem kobiet.

Był to wynik presji politycznej, by również kobiety pełniły funkcję katsa.

Zdecydowano więc, by kilka wypróbować i zobaczyć, czy się sprawdzą.

Oczywiście, nie chcieli, by tak się stało. To był tylko gest. Mielśmy

kobiety

biorące udział w walkach,, ale nigdy nie pozwolono, by stały się katsa.

Głównym celem Mosadu są mężczyźni. Arabscy mężczyźni. Mogą się oni poddać urokowi kobiet, ale żaden Arab nie będzie pracować dla kobiety.

Tak więc kobiety nie mogą ich zwerbować.

Nasza dziesiątka kandydatów rozpoczęła zajęcia od wzajemnego przedstawienia się przybranymi nazwiskami. Potem każdy testował partnera różnymi pytaniami. Od czasu do czasu włączały się osoby siedzące pod ścianami.

Swobodnie opowiadałem o sobie. Nie wymieniałem z nazwy przedsiębiorstwa, w którym rzekomo pracowałem, bo każdy mógł to łatwo sprawdzić. Powiedziałem natomiast że mam dwoje dzieci, choć zrobiłem z nich chłopców, bo nie wolno było mi ujawnić faktycznych szczegółów, ale

starałem się trzymać jak najbliżej mego rzeczywistego życia. To było

łatwe.

Nie czułem się zmieszany. To była gra, która nawet mi się spodobała.

Ćwiczenie trwało trzy godziny. W pewnej chwili, kiedy zadawałem pytania, jeden z naszych opiekunów zajrzał do notesu i przerwał mi:

Przepraszani, jak się nazywasz? Chodziło o sprawdzenie, czy jestem skoncentrowany. Trzeba być stale c/ujnym.

Wreszcie sesja skończyła się. Polecono nam wrócić do pokojów i włożyć ubrania wyjściowe. „Idziecie do miasta”.

Zostaliśmy podzieleni na trzyosobowe grupy. Z dwoma innymi kandydatami dołączyłem do dwóch instruktorów w samochodzie, którym po jechaliśmy do Tc1 Awiwu Tam. na rogu bulwaru Króla Saulai ulicy Ibn

46

T

Geviol, spotkało nas dwóch innych opiekunów. Było to około 4.30 po południu. Jeden z instruktorów zwrócił się do mnie:

— Widzisz ten balkon na trzecim piętrze? Poczekaj tu trzy minuty. Potem idź do tego domu. W ciągu 6 minut chcę cię zobaczyć na balkonie razem z właścicielem mieszkania. Chciałbym, byś w ręku trzymał

szkłankę
z wodą.

Teraz dopiero przeraziłem się. Nie mieliśmy ze sobą żadnych dowodów osobistych, a brak dowodu w Izraelu równoznaczny jest z naruszeniem prawa. Jednocześnie kazano nam posługiwać się wyłącznie przybranymi nazwiskami — bez względu na sytuację. W Izraelu nikt nie chodzi bez dokumentów. Więcej, powiedziano nam, że jeśli będziemy mieli jakiegokolwiek kłopoty z policją, musimy także posługiwać się tylko przybranymi nazwiskami i życiorysami.

Co więc robić? Moim pierwszym problemem było umiejscowienie mieszkania, w którym miałem się znaleźć. W końcu powiedziałem instruktorowi, że jestem gotów.

— W jakim charakterze wystąpisz? — spytał.

— Powiem, że robię film.

Mimo że oczekiwano od nas spontanicznych działań, instruktorzy domagali się elementarnej planu akcji, a nie zdania się na los, co wyraża arabskie powiedzenie „Ala bab Allah”, czyli „Co ma być, to będzie; pozostawmy wszystko Allahowi”.

Energicznym krokiem wszedłem do budynku i na schody. Liczyłem mieszkania, by upewnić się, że trafię na właściwe. Na moje pukanie odpowiedziała około 65-letnia kobieta. Powitałem ją po hebrajsku.

— Nazywam się Simon. Jestem z wydziału komunikacji. Wiadomo, że na tym skrzyżowaniu są częste wypadki — zrobiłem pauzę, by zbadać jej reakcję.

— Tak, tak. Wiem o tym — odpowiedziała.

— Chcieliśmy wynająć balkon w tym mieszkaniu, jeśli można.

— Wynająć mój balkon?

— Tak. Chcemy sfilmować ruch na skrzyżowaniu. Nie będzie tu żadnych ludzi. Umieścimy na balkonie tylko kamerę. Czy mogę zobaczyć, by upewnić się, że jest to właściwe miejsce? Jeśli tak, czy 500 funtów wystarczy?

— O, tak, na pewno — powiedziała prowadząc mnie na balkon.

— Przepraszam, że sprawiam kłopot, ale czy nie mógłbym dostać szklanki wody? Dziś jest tak gorąco...

I zaraz oboje stanęliśmy obok siebie na balkonie.

Poczułem się znakomicie. Widziałem, jak mnie z dołu obserwują. Gdy kobieta odwróciła głowę, podniosłem szklankę.

Wziąłem od kobiety nazwisko i numer telefonu. Powiedziałem jej, że mamy jeszcze kilka miejsc do sprawdzenia i damy jej znać, czy wybraliśmy jej balkon.

Gdy znalazłem się na dole, inny z kursantów poszedł wykonać swoje zadanie. Miał podejść do automatu bankowego i zwrócić się do którejkolwiek z osób korzystających z tego urządzenia o pożyczkę równowartości 10 dolarów. Powiedział jakiemuś mężczyźnie, że potrzebna jest mu taksówka, by zawieźć do szpitala rodzącą żonę, ale nie ma pieniędzy. Wziął nazwisko i adres nieznajomego, obiecując mu odesłanie pieniędzy. Mężczyzna dał je naszemu kursantowi.

Trzeci kolega z grupy nie miał tyle szczęścia. Polecono mu — podobnie jak mnie — ukazać się na balkonie mieszkania w innym domu. Dostał się na dach, mówiąc, że sprawdza antenę telewizyjną. Okazało się to pechowe. Kiedy zszedł do wyznaczonego mieszkania ze swoją historyjką i spytał lokatora, czy może z jego balkonu spojrzeć na antenę, okazało się, że człowiek ten jest... specjalistą od anten.

— Co pan opowiada? Przecież antena jest w porządku.

Kursant musiał w pośpiechu wycofać się, gdyż gospodarz ruszył do telefonu, by zadzwonić na policję.

Po tych ćwiczeniach zostaliśmy zawiezieni na ulicę Hayarkon — główną arterię nad brzegiem Morza Śródziemnego. Znajduje się tu sporo hoteli. Mnie zabrano do westybulu Sheratona.

— Czy widzisz hotel po drugiej stronie ulicy — liotel Basel?, spytał jeden z instruktorów. — Pójdiesz tam i przyniesiesz mi trzecie z kolei nazwisko z listy gości hotelowych!

W Izraelu książki hotelowe z nazwiskami gości trzyma się pod kontuarem i traktuje jako poufne. Gdy przekraczałem ulicę, zaczęło się już ściemniać. Nie miałem pojęcia, jak zdobyć to nazwisko. Wiedziałem, że jestem ubezpieczony, a także, że jest to tylko gra. Ale mimo to pewnością nie grzeszyłem. Chciałem osiągnąć sukces, zdając sobie równocześnie sprawę z głupoty tego zadania.

Postanowiłem zagaić po angielsku, bo wiedziałem, że będę lepiej traktowany. Pomyślałem, że jestem turystą. Kiedy zbliżyłem się do kontuaru, by spytać, czy jest dla mnie jakaś wiadomość, przypomniał mi się stary dowcip o facecie, który telefonował, pytając, czy jest Dave. Dzwonił kilka

razy i zadawał to samo pytanie. Rozmówca za każdym razem odpowiadał, że to zły numer i coraz bardziej złościł się. Facet dzwoni jeszcze raz i mówi:

„Tu Dave. Czy jest dla mnie jakaś wiadomość?”

Recepcjonista spojrział na mnie:

— Jest pan gościem hotelowym?

— Nie, ale mam tu z kimś się spotkać.

Recepcjonista powiedział, że nie ma żadnej wiadomości. Usiadłem dając do zrozumienia, że czekam. Co chwila demonstracyjnie spoglądałem na zegarek. Po pół godzinie powróciłem do koiiliuini.

— Może mój znajomy już jest, a ja go nie spostrzegłem?

— A jak się nazywa?— Wymamrotałem n; r/wisko. które przypominało „Kamalunke”. Recepcjonista wyjął książkę hołdów ą i z;ie/.af ją przeglądać.

— Jak się literuje to nazwisko? — zapytał.

— Nie jestem pewien. Na początku C albo K — odpowiedziałem schylając się nad kontuarem, by pomóc recepcjoniście w znalezieniu

nazwiska. Dzięki temu mogłem odczytać trzecie nazwisko od goi y. I w (cii v, jakby właśnie pojmując własną omyłkę powiedziałem: O, to jest hołd Basel. A ja myślałem, że to City. Przepraszam Jakież ze mnie głupiec.

I znowu poczułem się wspaniały. Ale skąd u licha moi instruktorzy będą wiedzieli, że zdobyłem właściwe nazwisko? No cóż. w Izraelu mają wszędzie dostęp.

Wyszliśmy z Sheratona na ulicę. Jeden z instruktorów dał mi następane zadanie. Najpierw wręczył mi telefoniczny mikrofon z dwoma przcv\ odami. Urządzenie to na tylnej stronie miało identyfikacyjny znak. Nowe polecenie brzmiało: w westybulu liotdu Tal podejść do zawieszzonego na ścianie telefonu, wyjąć ze słuchawki mikrofon i wstawić na jego miejsce ten.

który dostałem. Oczywiście, całe urządzenie telefoniczne nadal powinno być sprawne.

Przed telefonem zastałem kolejkę. Powiedziałem sobie jednak, że muszę to zrobić. Kiedy przyszła moja kolej, wrzuciłem żeton i wybrałem byle jaki numer. Słuchawkę trzymałem blisko policzka. Kolana drżały mi. Za mną stali ludzie czekający na telefon. Odkręciłem pokrywkę słuchawki w części, do której się mówi, potem wyjąłem z kieszeni notes i udawałem, że coś piszę. Mówiąc coś po angielsku wcisnąłem słuchawkę między podbró-

dek i ramię.

Stojący za mną facet przysunął się do mnie, czułem jego "iżech na szyi. Opuściłem więc notes i zwiódłem się do niego: Pi/epi,; ; i>. Facet

4 W>ynania s/pn.-pn

49

lekką odsunął się, a ja umieściłem w słuchawce nowy mikrofon. W tym momencie w słuchawce ktoś się odezwał (wybrany na chybił trafił numer okazał się rzeczywistym): Kto mówi? Ale już dokręcałem pokrywkę i mogłem powiesić słuchawkę.

Wkładając wymienioną część do kieszeni, dosłownie trząsałem się. Nigdy niczego takiego nie robiłem, nigdy nic nie ukradłem. Kiedy podszedłem do instruktora i oddawałem mu ów telefoniczny detal, czułem się tak, jakbym dostał po głowie.

Wkrótce cała nasza piątka była już w drodze do Country Club. Prawie nie rozmawialiśmy. Po kolacji polecono nam, by do rana sporządzić pełne sprawozdanie z naszej całodziennego działania. Przestrzeżono nas, by niczego nie pominąć, nawet tego, co mogłoby wydawać się nieważne.

Mój współlokator i ja byliśmy zmęczeni. Wieczorem oglądaliśmy telewizję. Około północy przyszedł instruktor. Kazał mi włożyć dzinsy i

iść

z sobą. Zaprowadził mnie na pobliską plantację pomarańcz. Powiedział, że prawdopodobnie pewni ludzie będą chcieli gdzieś tutaj spotkać się.

Panowała cisza. Słyszeć było tylko dalekie wycie szakali i ciągłe cykanie świerszczy.

— Pokażę ci, gdzie to będzie — powiedział instruktor. — Od ciebie chcę wiedzieć, ilu ludzi będzie i co będą mówić. Zabiorę cię po dwóch— trzech godzinach.

— Okay.

Poprowadził mnie drogą pokrytą żwirem do w a d i (suche koryto strumienia lub rzeczki wypełniająca się wodą tylko w okresie deszczy). Sączyło się w niej trochę wody. Instruktor zatrzymał się w miejscu, gdzie pod drogą biegła cementowa rura o średnicy około dwóch .i pół stopy.

— Tam — powiedział wskazując na rurę. — Łatwo się tu ukryć. Znajdziesz w środku stare gazety. Możesz je ułożyć przed sobą.

To była trudna próba dla mnie. Cierpię na klaustrofobię, o czym moi opiekunowie dobrze wiedzieli, bo ujawniło się to podczas badań. A do tego nie znoszę wszelkiego robactwa w rodzaju karaluchów, glist czy szczurów. Nie lubię nawet pływać w jeziorze, jeśli coś rośnie na dnie. To były najdłuższe trzy godziny mojego życia. I oczywiście nikt nie przyszedł. Nie

było żadnego spotkania. Robiłem wszystko, by nie zasnąć. Sam sobie przypominałem, gdzie się znajduję i to najlepiej chroniło mnie od snu.

W końcu instruktor powrócił:

— Potrzebny mi pełny raport o spotkaniu.

— Ależ nikogo nie było!

50

— Jesteś pewien?

— Tak!

— Może przysnąłeś?

— Nie. w żadnym wypadku.

— Aleja tędy przechodziłem.

— Musiałeś przechodzić obok kogoś innego. Tu nie było nikogo.

W drodze powrotnej instruktor nakazał mi, bym nikomu nie mówił o całej tej historii.

Następnego wieczora polecono nam ubrać się swobodnie. Pojechaliśmy do Tel Awiwu i tam każdy z nas miał obserwować jakiś dom i notować wszystko, co zobaczy. Przy tym mieliśmy wymyśleć jakieś historyjki, które by uzasadniały nasze zachowanie.

Około ósmej dwóch ludzi zawiozło mnie samochodem do miasta. Jednym z nich był Shai Kauły. doświadczony kataa, z długą listą sukcesów*). Podrzućli mnie na główną ulicę Tel Awiwu — Dizingoff. Kazali mi obserwować pięciopiętrowy dom i zapisywać, kto tam ws/edł, o której godzinie, kiedy wyszedł, a także, jak wygląda każda osoba. Miałem też odnotować, gdzie i kiedy zapalały się i gasły światła. Powiedzieli mi, że po jakimś czasie zabiorą mnie stąd, sygnalizując swoje przybycie reflektorami.

Uznałem, że muszę się jakoś zamaskować. Ale jak? Przecież moi opiekunowie zaznaczyli, że powinienem być w zasięgu ich wzroku. W końcu wpadłem na pomysł: siadłem i zacząłem rysować ów dom. W ten sposób mogłem przecież po drugiej stronie kartki zapisywać potrzebne informacje. Łatwo mogłem też wytłumaczyć rysowanie po nocy tym, że nikt mi nie przeszkadza, a ponieważ posługiwałem się tylko czarnymi kreskami, światło nie było mi potrzebne.

Po pół godzinie ciszę brutalnie przerwał pisk hamującego samochodu. Wskoczył z niego jakiś mężczyzna, pokazując mi odznakę policyjną.

— Kim jesteś? — krzyknął.

— Simon Lahav.

— Co tu robisz?

— Rysuję.

— Jeden z sąsiadów dał znać, że obserwujesz bank (na pierwszym piętrze tego budynku był bank).

— To nie tak, po prostu rysuję. Patrz. — Pokazałem glinie moją robotę.

*) Patrz rozdział 9: STRELLA

51

lekko odsunął się, a ja umieściłem w słuchawce nowy mikrofon. W tym momencie w słuchawce ktoś się odezwał (wybrany na chybił trafił numer okazał się rzeczywistym): Kto mówi? Ale już dokręcałem pokrywkę i mogłem powiesić słuchawkę.

Wkładając wymienioną część do kieszeni, dosłownie trząsałem się. Nigdy niczego takiego nie robiłem, nigdy nic nie ukradłem. Kiedy podszedłem do instruktora i oddawałem mu ów telefoniczny detal, czułem się tak, jakbym dostał po głowie.

Wkrótce cała nasza piątka była już w drodze do Country Ciub. Prawie nie rozmawialiśmy. Po kolacji polecono nam, by do rana sporządzić pełne sprawozdanie z naszej całodziennego działania. Przestrzeżono nas, by niczego nie pominąć, nawet tego, co mogłoby wydawać się nieważne.

Mój współlokator i ja byliśmy zmęczeni. Wieczorem oglądaliśmy telewizję. Około północy przyszedł instruktor. Kazał mi włożyć dzinsy i iść z sobą. Zaprowadził mnie na pobliską plantację pomarańcz. Powiedział, że prawdopodobnie pewni ludzie będą chcieli gdzieś tutaj spotkać się. Panowała cisza. Słyszeć było tylko dalekie wycie szakali i ciągłe cykanie świerszczy.

— Pokażę ci, gdzie to będzie — powiedział instruktor. — Od ciebie chcę wiedzieć, ilu ludzi będzie i co będą mówić. Zabiorę cię po dwóch— trzech godzinach.

— Okay.

Poprowadził mnie drogą pokrytą żwirem do w a d i (suche koryto strumienia lub rzeczki wypełniająca się wodą tylko w okresie deszczy).

Sączyło się w niej trochę wody. Instruktor zatrzymał się w miejscu, gdzie pod drogą biegła cementowa rura o średnicy około dwóch i pół stopy.

— Tam — powiedział wskazując na rurę. — Łatwo się tu ukryć. Znajdziesz w środku stare gazety. Możesz je ułożyć przed sobą.

To była trudna próba dla mnie. Cierpię na klaustrofobię, o czym moi opiekunowie dobrze wiedzieli, bo ujawniło się to podczas badań. A do tego nie znoszę wszelkiego robactwa w rodzaju karaluchów, glist czy szczurów. Nie lubię nawet pływać w jeziorze, jeśli coś rośnie na dnie. To były najdłuższe trzy godziny mojego życia. I oczywiście nikt nie przyszedł. Nie było żadnego spotkania. Robiłem wszystko, by nie zasnąć. Sam sobie przypominałem, gdzie się znajduję i to najlepiej chroniło mnie od snu.

W końcu instruktor powrócił:

— Potrzebny mi pełny raport o spotkaniu.

— Ależ nikogo nie było!

50

— Jesteś pewien?

— Tak!

— Może przysnąłeś?

— Nie. w żadnym wypadku.

— Ale ja tędy przechodziłem.

— Musiałeś przechodzić obok kogoś innego. Tu nie było nikogo.

W drodze powrotnej instruktor nakazał mi, bym nikomu nie mówił o całej tej historii.

Następnego wieczora polecono nam ubrać się swobodnie. Pojechaliśmy do Tel Awiwu i tam każdy z nas miał obserwować jakiś dom i notować wszystko, co zobaczy. Przy tym mieliśmy wymyśleć jakieś historyjki, które by uzasadniały nasze zachowanie.

Około ósmej dwóch ludzi zawiozło mnie samochodem do miasta. Jednym z nich był Shai Kauły. doświadczony katsa, z długą listą sukcesów*). Podrzućli mnie na główną ulicę Tel Awiwu — Dizingoff. Kazali mi obserwować pięciopiętrowy dom i zapisywać, kto tam wszedł, o której godzinie, kiedy wyszedł, a także, jak wygląda każda osoba. Miałem też odnotować, gdzie i kiedy zapalały się i gasły światła. Powiedzieli mi, że

po jakimś czasie zabiorą mnie stąd, sygnalizując swoje przybycie reflektora-
mi.

Uznałem, że muszę się jakoś zamaskować. Ale jak? Przecież moi opiekunowie zaznaczyli, że powinienem być w zasięgu ich wzroku. W końcu wpadłem na pomysł: siadłem i zacząłem rysować ów dom. W ten sposób mogłem przecież po drugiej stronie kartki zapisywać potrzebne informacje. Łatwo mogłem też wytłumaczyć rysowanie po nocy tym, że nikt mi nie przeszkadza, a ponieważ posługiwałem się tylko czarnymi kreskami, światło nie było mi potrzebne.

Po pół godzinie ciszę brutalnie przerwał pisk hamującego samochodu. Wyskoczył z niego jakiś mężczyzna, pokazując mi odznakę policyjną.

— Kim jesteś? — krzyknął.

— Simon Lahav.

— Co tu robisz?

— Rysuję.

— Jeden z sąsiadów dał znać, że obserwujesz bank (na pierwszym piętrze tego budynku był bank).

— To nie tak, po prostu rysuję. Patrz. — Pokazałem glinie moją robotę.

•) Patrz rozdział 9: STRELLA

51

— ^Nie rób ze mnie balona. Wskakuj do samochodu.

W wozie ford escort, bez tablic rejestracyjnych, obok kierowcy siedział jeszcze jakiś człowiek. Przekazali przez radio, że kogoś złapali. Posadzili mnie na tylnym siedzeniu. Ten z przodu spytał mnie, jak się nazywam. Dwukrotnie odpowiedziałem: „Simon”.: Zapytał mnie jeszcze raz. Gdy miałem powtórzyć odpowiedź, siedzący, obok mnie facet trzasnął mnie w twarz i krzyknął:

— Zamknij się!

— Przecież zadał mi pytanie! — zaprotestowałem.

— O nic cię nie pytał — usłyszałem.

Byłem wręcz porażony. Nie miałem pojęcia, gdzie są moi opiekunowie. A siedzący obok mnie glina pyta, skąd jestem. Odpowiedziałem, że z Holonu. Glina z przodu rąbnął mnie w twarz i przypomniał:

— Pytałem cię, jak s'ię nazywasz.

Gdy powtórzyłem, że jestem Simon z Holonu, glina z tyłu krzyknął:

— Nie bądź taki mądrała! — I przycisnął moją głowę w dół, wykręcił ręce na plecy i zatrzasnął kajdanki. Glina z przodu odwrócił się do mnie, wyzywając od szumowin i podłego handlarza narkotyków.

Znowu usprawiedliwiałem się, że rysowałem, a gdy zapytał o moje zajęcie, powiedziałem, że jestem artystą.

Odjechaliśmy. Powiedzieli, że wezmą mnie za miasto i pokażą, jak się z nimi rozmawia. Siedzący obok kierowcy wyrwał mi rysunek, podał go i rzucił na podłogę. Kazali mi zdjąć buty, co było bardzo trudne, gdyż kajdanki unieruchamiały ręce.

— Gdzie trzymasz narkotyki? — spytał jeden z nich.

— Nie mam żadnych narkotyków. Jestem artystą.

— Jeśli nie chcesz teraz gadać, to my będziemy później mówić

— odpowiedział. Przez cały czas mocno mnie poszturchiwali. Jeden z nich uderzył mnie w szczękę tak silnie, że myślałem, iż wybił mi zęby.

Mężczyzna siedzący obok kierowcy przyciągnął mnie do siebie i rycząc wprost w twarz, żądał, bym powiedział, gdzie są narkotyki. A kierowca spokojnie krążył po mieście.

Doszedłem do wniosku, że gliny zwyczajnie nękają mnie, by wymusić jakiś okup. Słyszałem o takich przypadkach. Zażądałem więc, by zawieźli mnie na posterunek policji, bym mógł wezwać adwokata.

Chyba już po godzinie tych przepychanek jeden z facetów zapytał o nazwę galerii, w której wystawiam swoje prace. Znałem wszystkie galerie w Tel Awiwie, ale była przecież noc, a więc są zamknięte. Podałem jakąś

52

nazwę. Kiedy tam dotarliśmy, wciąż byłem skuty. Toteż tylko ruchem głowy wskazałem budynek: -<- Moje obrazy wiszą właśnie w tej galerii —poinformowałem ponownie.

Moim następnym kłopotem był brak dowodu osobistego. Powiedziałem im, że zostawiłem w domu. Wtedy ściągnęli mi spodnie, mówiąc, że chcą sprawdzić, czy nie mam narkotyków. Poczułem się bardzo niepewnie. Ale wtedy oni jakby zaczęli się łamać. Powiedziałem, że chcę wracać tam, skąd mnie wzięli, ale nie wiem, jak się tam dostać. Nie mam też pieniędzy, bo kolega ma mnie zabrać właśnie z tamtego miejsca.

Zawieźli mnie w pobliże owego domu, zatrzymując się koło przystanku autobusowego. Jeden z nich zebrał strzępy rysunku i wyrzucił je przez okno. Zdjęli mi kajdanki. Nadjechał autobus. Siedzący obok mnie facet

wypchnął mnie na ulicę. Upadłem. Rzucili na mnie buty i spodnie. Odjeżdżając, ostrzegli, by mnie już tu nie było, kiedy powrócą.

Leżałem na ulicy bez spodni, a obok ludzie wychodzili z autobusu. Zacząłem zbierać strzępy mojego papieru, co wyglądało lak, jakbym wspinał się na Mount Everest. Ale wiedziałem, że osiągnąłem swoje!

W pół godziny później, gdy byłem już ubrany i miałem zebrane informacje z obserwacji, zauważyłem migające reflektory. Wsiadłem do samochodu, który zawiózł mnie do Country Club, gdzie napisałem pełny raport.

Po jakimś czasie znowu spotkałem „policjantów”. Tamtej nocy każdy z nas miał chyba do czynienia ze swoimi „policjantami”. To był kolejny test.

Policjanci zaczepili wtedy jednego z kursantów, gdy stał pod drzewem. Kiedy zapytali go, co robi, odpowiedział, że obserwuje sowy. Głina zauważył, że nie ma tu przecież sów. Kursant odparował: „Boście je wystraszyli”. Podobnie jak mnie wzięli go na „przejażdżkę”.

Inny kursant został „aresztowany” na znanym placu Kiker Hamdina. Mawiało się wtedy, że przedstawia on państwo Izrael. W lecie stał tu cyrk, zimą zaś plac spływał mułem. Tak jak Izrael. Połowa roku błoto, połowa — cyrk. Ale ten facet był idiotą. Oświadczył, że jest w specjalnej misji. Wyznał, że pracuje dla Mosadu i to, co robi, jest testem. Oczywiście

odpadł.

Nie był on zresztą wyjątkiem. Spośród dziesiątki kandydatów, którzy zostali poddani tej serii prób, zobaczyłem później tylko jedna z kobiet. Pracowała w ochronie basenu Mosadu, gdzie podczas weekendów mogli przychodzić członkowie rodzin.

53

Na trzeci dzień, po śniadaniu, znowu zabrali nas do Tel Awiwu. Moim pierwszym zadaniem było wejść do restauracji, podjąć rozmowę ze wskazanym mi mężczyzną i ustalić z nim spotkanie na wieczór tego samego dnia.

Przez chwilę obserwowałem tę restaurację. Zauważyłem, że kelner bez mała tańczy wokół wskazanego mi człowieka. Doszedłem do wniosku, że jest to właściciel. Gdy siadłem przy stoliku obok niego, przeglądał właśnie pismo filmowe. Przypomniałem sobie, że wersja filmowa zagrała w teście na balkonie, więc postanowiłem powtórzyć to doświadczenie. Spytałem kelnera, czy mógłbym rozmawiać z właścicielem, bo robię film i to miejsce może być dla mnie dobre. Zanim skończyłem mówić, osobnik ten już znalazł się przy mnie. Powiedziałem mu, że mam jeszcze do obejrzenia kilka miejsc i muszę już iść. Uścisnęliśmy sobie dłonie i ustaliliśmy spotkanie

na
wieczór.

Następnie całą dziesiątką pojechaliśmy do parku obok bulwaru Rothschiida. Powiedziano nam, że będzie tu przechodził mocno zbudowany mężczyzna w koszuli w czarno-czerwonej kratkę. Mieliśmy w sposób niewidoczny śledzić go. Było to niezwykle trudne, gdy robiło to jednocześnie-

nie dziesięciu ludzi, nie licząc dwudziestu innych, którzy szli za nami.
Trwało

to dwie godziny. Nasi kursanci rozglądali się z balkonów, inni zerkali zza drzew. Ludzie obserwujący nas sprawdzali, jak się zachowujemy.

Po zakończeniu zadania i złożeniu sprawozdań, grupę znowu podzielili. Znalazłem się przy ulicy Ibn Gevirola, przed bankiem Hapoalim. Polecono mi wejść do banku, zdobyć nazwisko i adres prywatny dyrektora oraz wszelkie inne możliwe informacje o nim.

Trzeba pamiętać, że w Izraelu wszyscy są niezwykle podejrzliwi. Wszedłem do banku i spytałem urzędnika o nazwisko dyrektora. Podał grzecznie i skierował mnie na drugie piętro. Tam zapytałem znowu o dyrektora, dodając, że wracam po dłuższym pobycie ze Stanów Zjednoczonych i chcę dokonać transferu dużej sumy na tutejszy rachunek. Poprosiłem o osobiste spotkanie z dyrektorem.

W gabinecie dyrektora dostrzegłem na biurku znak B'Nai Brith.

Rozmawialiśmy chwilę o tej organizacji Żydów amerykańskich i zanim się spostrzegłem, dyrektor zaprosił mnie do swojego domu. Okazało się, że mój rozmówca ma być wkrótce przeniesiony do Nowego Jorku na stanowisko wicedyrektora. Wymieniliśmy adresy i zapowiedziałem swoją wizytę. Powiedziałem, że jestem przejazdem, nie mam więc jeszcze w Izraelu stałego telefonu, ale jeśli on da mi swój numer, to ja przedzwonię.

54

Gospodarz poczęstował mnie nawet kawą.

W rozmowie wspomniałem o transferze 150 tys. dolarów. Dodałem, że gdy sprawdzę, jak długo trwa taka operacja, dokonam przelewu jeszcze większej sumy. Sprawy finansowe nie zabrały nam więcej niż 10 do 15 minut, a potem rozmowa nabrała towarzyskiego charakteru. W ciągu godziny wiedziałem o dyrektorze już wszystko.

Po zakończeniu tej próby wraz z dwoma innymi kursantami zostałem zabrany znowu do hotelu Tal. Tam czekaliśmy na innych. Nie minęło chyba 10 minut, gdy do westybulu weszło sześciu mężczyzn. Jeden z nich, wskazując na mnie, powiedział:

— To właśnie ten. Chodź z nami. Chyba nie chcesz w hotelu awantury.

— Co to ma znaczyć? Przecież nic nie zrobiłem —usiłowałem protestować.

— Chodź z nami — powtórzył któryś, pokazując mi swoją odznakę.

Całą naszą trójkę wpakowali do wozu, gdzie zawiązali nam oczy.

Ruszyliśmy. Wydawało mi się, że jeździmy bez celu. W końcu

zatrzymaliś-

my się. Wciągnęli nas do jakiegoś budynku, wciąż z zawiązanymi oczyma.

Tu rozdzielili nas. Słyszałem odgłosy przechodzących ludzi, ale szybko

zamknęli mnie w maleńkim pomieszczeniu o rozmiarach toalety. I rzeczy-

wiście była to łazienka, a siedziałem na sedesie. Potem okazało się, że

było

to na drugim piętrze Akademii (centrum szkoleniowe Mosadu).

Ale wtedy o tym jeszcze nie wiedziałem. Po dwóch—trzech godzinach

zabrali mnie do jakiegoś pokoju z całkiem zasłoniętymi oknami. Potężny

facet z czarną kropką w oku zaczął uprzejmie przepytawać mnie o nazwis-

ko, dlaczego już wcześniej byłem w tym samym hotelu, czy przygotowuję

zamach terrorystyczny, gdzie mieszkam itp.

W pewnym momencie zaproponował, że mogą mnie zawieźć pod

wskazany przeze mnie adres. Wiedziałem, że to puste gadanie i zacząłem

się

śmiać. Zapytał, dlaczego się śmieję. Odpowiedziałem, że to wesoła

sytuacja.

— Mój dom! A gdzie jest mój dom? — Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

— To musi być jakiś dowcip. Czego chcesz? — zapytałem.

Odpowiedział, że chce zobaczyć moją marynarkę. Była ona z firmy Pierre Balmain. Facet wziął najpierw marynarkę, a potem kazał mi zdejmować wszystko inne. Gdy byłem już nagi, odesłał mnie znowu do toalety. Tuż przed zamknięciem drzwi ktoś chlusnął na mnie wodą.

55

Nagi i drżący z zimna pozostałem sam. Po jakichś dwudziestu minutach ponownie zabrali mnie do owego krzepkiego mężczyzny.

— Czy wciąż jest ci do śmiechu? — spytał

Znowu zabrali mnie do łazienki i tak przepychali z cztery—pięć razy.

W końcu przesłuchujący mnie mężczyzna oświadczył:

— Nie miej pretensji. To było nieporozumienie. — Oddał mi ubranie i powiedział, że odwiozą mnie tam, skąd mnie wzięli. Znowu zawiązali mi oczy i wpakowali do samochodu. Ale gdy kierowca zapalił silnik, ktoś

krzyknął:

— Czeka! Dawaj go! Sprawdziliśmy adres, tam nic nie ma!

— Nie wiem, o czym mówicie — usiłowałem się tłumaczyć. Ale znowu władowali mnie do łazienki.

Po 20 minutach jeszcze raz znalazłem się w pokoju biurowym.

Usłyszałem:

— Przepraszamy, to była pomyłka.

Podrzucili mnie do Country Ciub. Tam ponownie przeprosili i odjechali.

Czwartego dnia rano w Country Ciub wszyscy razem zostaliśmy

wezvani do jednego z pomieszczeń na rozmowę.

— Jak myślicie, przeszliście próby?

Powiedziałem, że nie mam pojęcia, bo nie wiem, czego chcieli ode mnie. Powiedzieli, bym działał najlepiej, jak potrafię i tak robiłem.

Kilku kolegów pozostało tam przez 20 minut. Mnie przetrzymali tylko cztery—pięć minut: — Dziękujemy, wezwiemy cię — oświadczyli.

Dwa tygodnie później kazano mi stawić się w biurze. Stawiłem się!

Teraz miała rozpocząć się najprawdziwsza próba.

Rozdział II

Kadet numer 16

W Izraelu wielu ludzi jest przekonanych, że kraj znajduje się w obliczu stałego zagrożenia. Nawet silna armia nie jest w stanie zapewnić bezpieczeństwa. Ja też w to wówczas wierzyłem.

Wiadomo więc, że służby bezpieczeństwa są niezmiernie potrzebne i że istnieje organizacja pod nazwą Mosad. Oficjalnie w Izraelu czegoś takiego nie ma, ale każdy obywatel wie, że jest. Ale to i tak tylko cząstka wiedzy, wierzchołek góry. To niezwykle tajna organizacja. Jeśli się do niej wstąpiło, to robi się wszystko, co każą, jest się bowiem przekonany, że za wszystkim kryje się coś bez mała magicznego, co można zrozumieć dopiero z biegiem czasu.

U każdego, kto wyrasta w Izraelu, takie przekonanie stają się częścią jego podświadomości. Zaczyna się to wraz z przystąpieniem do brygad młodzieżowych. Tam nauczyłem się strzelać. Gdy miałem 14 lat. byłem w kraju drugi w strzelaniu do celu. W strzelaniu z broni snajperskiej uzyskałem 192 na 200 możliwych punktów, tylko cztery mniej niż

zwycięzca.

Spędziłem także kilka lat w armii. Tak więc wiedziałem, a w każdym razie wydawało mi się, że wiedziałem — w co wchodzę.

Nie każdy Izraelczyk działa w ciemno. Ale ludzie wyszukani przez Mosad i sprawdzeni przez jego testy są — przynajmniej na tym etapie — takimi, którzy gotowi są zrobić wszystko, co się im poleci. Jeśli ktoś pyta o cokolwiek, to cała operacja może potem utonąć w bagnie.

W czasie szkolenia byłem członkiem — i to aktywnym — Partii Pracy w Herciiji. Moje poglądy należały do liberalnych, toteż stale popadałem w konflikt między moimi przekonaniem a lojalnością. Cały system przygotowania właściwych kandydatów rozpoczyna się — co zresztą później trwa — świetnie realizowanym praniem mózgow. Jeśli chcesz zgnieść pomidor, musisz wybrać dojrzałą sztukę. Po co brać jeszcze zieloną? Tę też można zgnieść, ale to przecież trudniejsze.

Pierwsze sześć tygodni były bardzo spokojne. Pracowałem w biurze głównie jako urzędnik zajmujący się papierkami. Pewnego lutowego dnia 1984 r. wraz z 14 kolegami znalazłem się w jadącym mikrobusie. Żadnego z nich nie znałem. Wóz wspinał się pod górę, potem przejechał strzeżoną bramę i zatrzymał się przed dwupiętrowym budynkiem Akademii.

Cała piętnastka kadetów weszła do budynku z płaskim dachem. Znaleźliśmy się w rozległej hali sportowej ze stołem ping-pongowym w środku. Na murach, wisiały zdjęcia lotnicze Tel Awiwu. Szklana ściana wychodziła na wewnętrzny ogród. Były tu betonowe schody prowadzące pewnie na piętro. Budynek był oblicowany białą cegłą, która pokrywała również wewnętrzne ściany. Posadzka wyłożona była jasnym marmurem. Wiedziałem, że tu byłem — wtedy, gdy podczas jednego z testów wpakowali mnie do ciasnej łazienki. Zerkając spod opaski zakrywającej oczy, dostrzegłem wtedy te schody.

Podszedł do naszej grupy mężczyzna o ciemnej karnacji, z siwiejącymi włosami, i przeprowadził nas do bocznego pomieszczenia wyglądającego jak szkolna klasa. Powiedział tylko, że dyrektor będzie wkrótce.

Przyjrzałem się pomieszczeniu. Okna wychodziły na obie strony, tablica szkolna wisiała na głównej ścianie, w środku znajdował się stół w kształcie litery T, a na nim stał projektor. Kurs, w którym mieliśmy wziąć

udział, miał nazwę Kadet 16, bowiem był z kolei szesnastym kursem dla kadetów Mosadu.

Usłyszeliśmy szybkie kroki na pokrytym żwirem dziedzińcu. Do pokoju weszło trzech mężczyzn. Jeden z nich był niski, przystojny, z ciemną karnacją, drugi — którego rozpoznałem — starszy i wyglądający dość

wyszukanie, trzeci, około pięćdziesiątki, wysoki na około 6 stóp i dwa cale, blondyn w okularach, miał na sobie koszulę i sweter. Ten ostatni podszedł energicznie do stołu, gdy pozostali dwaj zasiedli z tyłu.

— Nazywam się Aharon Sherf. Jestem szefem Akademii. Witani w Mosadzie. Pełna nazwa tej instytucji brzmi: Ha Mosad, le Modiyn le Tafkidim Mayuhadim (Instytut Wywiadu i Operacji Specjalnych). Mottem naszego działania są słowa: Prowadź wojnę drogą podstęp.

58

Zatkało mnie. Wiedzieliśmy, że to jest Mosad, ale po raz pierwszy nam to powiedziano. Boże, brakowało mi powietrza. Sherf lepiej znany jako Araleh, stał nachylony nad stołem. Potem wyprostował się. I znowu nachylił. Sprawiał wrażenie surowego i silnego.

— Jesteście zespołem — kontynuował. — Zostaliście wybrani spośród tysięcy. Przesialiśmy ogromną liczbę ludzi, by wybrać właśnie was. Macie wszelkie możliwości, by stać się tymi, jakich potrzebujemy. Macie warunki służenia naszemu krajowi w sposób, jaki jest dany tylko wybranym. Niczego sobie bardziej nie życzymy niż tego, abyście wszyscy ukończyli ten kurs i podjęli ważne zadania. Ale nie przepuścimy nikogo, kto nie zdobędzie kwalifikacji stuprocentowych. Jeśli nikt z was nie przejdzie przez ten trudny egzamin, też będzie dobrze. Tak się już zdarzało.

— To jest niezwykła akademia. Będziecie pomagać w procesie nauczania przez przekształcanie samych siebie. Stanowicie materiał, który będzie uformowany do zadań w zakresie bezpieczeństwa na obecnym etapie. Wyjdziecie stąd jako najlepiej wyszkoleni pracownicy wywiadu na świecie. Nie zatrudniamy u nas nauczycieli. Mamy za to praktyków, którzy poświęcają część swego czasu Akademii jako instruktorzy. Po kursie wrócą do swojej roboty. Będą uczyć was jako przyszłych partnerów i kolegów, a niejako studentów. Jak się to mówi, nic z góry nie jest wyryte w kamieniu.

Każdy musi sprawdzić się w pracy, a w każdym indywidualnym przypadku

wygląda to inaczej. Wiedza instruktorów opiera się na doświadczeniu i tego

samego żądamy od was. Innymi słowy instruktorzy będą starali się przekazać wam zbiorowe doświadczenie i pamięć Mosadu zgodnie z ich stanem wiedzy i tak, jak oni ją zdobyli drogą doświadczeń, prób i błędów. Gra, do której przystępujecie, jest niebezpieczna. Trzeba wiele się nauczyć.

To nie jest zwykła gra. I nie tylko życie jest granicą tej gry. Zawsze trzeba pamiętać, że w tym fachu jeden musi polegać na drugim, bo w przeciwnym wypadku możemy wisieć jeden obok drugiego.

— Jestem dyrektorem tej akademii i szefem wydziału szkoleniowego.

Zawsze można mnie tu znaleźć, moje drzwi stoją dla was otworem. Życzę szczęścia. A teraz zostawiam was z waszymi instruktorami.

Wyszedł.

Później odkryłem, jak ironicznie brzmią słowa znajdujące się na drzwiach Sherfa. Są to słowa przypisane byłemu prezydentowi USA Warrenowi Hardingowi: „Nie działaj w sposób niemoralny dla osiągnięcia moralnych celów”. Sentencja ta była czymś przeciwnym temu, czego uczy Akademia.

59

Podczas przemówienia Sherfa jeszcze jeden mężczyzna wszedł do sali. Po wyjściu dyrektora ten silnie zbudowany człowiek z północnoafrykańskim akcentem stanął przed nami i przedstawił się.

— Nazywam się Eiten. Jestem odpowiedzialny za wewnętrzne bezpieczeństwo. Mam wam powiedzieć o kilku spławach, ale nie chcę zabierać zbyt wiele czasu. Jeśli będziecie mieli jakieś pytania, bez wahania przerywajcie mi i pytajcie.

Jak później przekonaliśmy się, każdy wykładowca rozpoczynał zajęcia od takiego samego wstępu.

— Chcę wam powiedzieć — kontynuował — że ściany mają uszy. Są pewne technologiczne rozwiązania, które znamy i o których wam powiemy, ale są też nowe, których jeszcze nie znamy. Bądźcie więc ostrożni. Wiem, że macie za sobą służbę wojskową, ale tajemnice, jakie poznacie, są o wiele ważniejsze. Pamiętajcie o tym zawsze.

Dalej, /apomnijcie o słowie Mosad. Wymażcie je ze swej pamięci. Nie chcę go więcej słyszeć. Nigdy! Od tej chwili, gdy mowa jest o Mosadzie, używacie słowa biuro. W każdej rozmowie jest tylko biuro, nie ma słowa 'Mosad. Swaim przyjaciółom możecie powiedzieć, że pracujecie w ministerstwie obrony, ale nie wolno wam o swej pracy rozmawiać.

Jeśli chodzi o nowe bliższe znajomości, to nie wolno wam ich zawierać bez uprzedniej naszej aprobaty. Zrozumiały? Nie wolno też telefonicznie rozmawiać o waszej pracy. Jeśli złapię kogoś na rozmowie z domowego telefonu o biurze, surowo ukarzę. Jestem odpowiedzialny za bezpieczeństwo w biurze i wiem wszystko o wszystkich.

Jeśli tylko zechcę czegoś się dowiedzieć, użyję wszelkich środków, by to osiągnąć. Musicie też wiedzieć, że historyjka z czasu mojej pracy w Shaback (krajowa służba bezpieczeństwa wewnętrznego) o tym, jak to podczas przesłuchania przypadkowo jakiemuś facetowi wyrwałem jaja, nie

jest prawdziwa.

Raz na miesiąc poddamy was kontroli z pomocą wykrywacza kłamstw a. W przyszłości poddawani temu testowi będą tylko powracający z pobytu poza Izraelem. Macie prawo odmowy poddania się temu testowi.

Ale to daje mi prawo zastrzeżenia was.

Będziemy się spotykać jeszcze wiele razy i powracać do tych spraw. W ciągu dwóch dni otrzymacie dowody osobiste. Fotograf zrobi wam zdjęcia. Do tego czasu macie mi przynieść wszelkie dokumenty zagraniczne, jak paszport czy dowód indentyfikacyjny — wasz, żon i dzieci.

60

W bliskiej przyszłości nigdzie nie wyjedziecie, więc będziemy to trzymać tutaj.

To ostatnie polecenie oznaczało, że muszę oddać paszporty kanadyjskie, jakie ma cała moja rodzina.

Eiten skończył i wyszedł. Byliśmy nieco oszołomieni. Oceniliśmy jego zachowanie jako grubiańskie i wulgarne. Nie była to przyjemna postać. Dwa miesiące później zniknął z horyzontu. Już nigdy go nie widziałem.

Teraz przed nami pojawił się mężczyzna o ciemnej karnacji. Przedstawił się jako Oren Riff — szef kursu.

— Dzieci — zaczął. — Jestem za was odpowiedzialny. Wszystko uczynię, by wasz pobyt tutaj był przyjemny. Mam nadzieję, że będziecie się uczyć tak dobrze, jak to jest tylko możliwe.

Następnie przedstawił nam członka grupy kierowniczej. Ran S. („Donovan” opisany w Operacji Sfinks) był asystentem na kursie. Tym dobrze ubranym facetem okazał się Shai Kauły — zastępca szefa Akademii. Poznałem go, bo wcześniej przeprowadzał na mnie jedną z prób.

Riff opowiedział trochę o sobie. Pracował w biurze (tzn. w Mosadzie) wiele lat. Jednym z jego zadań było udzielanie pomocy Kurdom w Kurdystanie walczącym przeciw Irakijczykom. Był też łącznikiem w urzędzie premiera Goldy Meir, a także katsa na placówce w Paryżu i łącznikiem w różnych częściach świata. Skarżył się, że teraz już tylko do nielicznych miejsc na świecie może jechać bezpiecznie. Potem Riff przeszedł do głównego tematu — dwóch przedmiotów, które zajmą najwięcej czasu w ciągu następnych kilku tygodni. Pierwszy to bezpieczeństwo, którego będą nauczać instruktorzy Shaback, a drugi to NAK-A, jak w skrócie określa się jednolity system pisania. Pamiętam jego słowa.

— Raporty trzeba pisać w jeden jedyny sposób. Jeśli robicie coś, ale o tym nie raportujecie, to tak jakbyście nic nie robili. A jeśli nic nie robicie, ale raportujecie, to tak jakbyście coś zrobili — konkludował ze śmiechem. Kiedy przeszedł do depeesz informujących, podkreślił, że jakakolwiek różnorodność form jest niedopuszczalna. Papier jest biały, kwadratowy lub prostokątny. U góry powinien być znak bezpieczeństwa, wskazujący w określony sposób, czy tekst jest tajny, ściśle tajny, czy w ogóle nie jest poufny. Po prawej stronie zamieszcza się nazwisko odbiorcy oraz tych, którzy mają działać w związku z tym tekstem. Czasem jest to ta sama osoba, ale bywa, że adresatami są dwie lub trzy. W takim wypadku każde nazwisko musi być podkreślone. Potem podaje się nazwiska innych osób, które powinny otrzymać kopie, ale nie są powołane do działania w związku

61

z przekazaną informacją. Nadawca identyfikuje się zwykle jako wydział, a nie indywidualna osoba.

Datę umieszcza się po lewej stronie, wraz z określeniem sposobu przekazania wiadomości: telegraficznie, błyskawica, w zwykły sposób itp. Obok zamieścić należy identyfikacyjny numer listu.

Pod spodem, w środku kartki, umieszcza się jednozdaniowy temat notatki zakończony dwukropkiem, przy czym zdanie to jest podkreślone.

Pod tym pisze się np. „w związku z waszym listem 3J” i datę tego listu. Za każdym razem, gdy pisze się liczbę, musi być ona powtarzana. Na przykład: „Zamówiłem 35 rolek papieru toaletowego”. Trzeba to napisać tak: „Zamówiłem 35 x 35 rolek,..”. W ten sposób, jeśli nawet nastąpi jakieś zakłócenie w komputerze, liczba będzie czytelna. Podpis następuje na końcu, pr/.y czym używa się szyfrowego imienia.

Mieliśmy spędzić wiele godzin na praktykowaniu NAKA. bowiem głównym celem organizacji jest zbieranie informacji i przekazywanie ich dalej.

Następnego dnia wykład o bezpieczeństwie zosiai odwołany. Otrzymaliśmy stosy gazet, w których niektóre artykuły były zakreślone. Rozdzielono między nas różne tematy. Należało potraktować materiały gazetowe jako surowiec, wybrać kluczowe informacje i sporządzić sprawozdanie. Po wykorzystaniu wszystkich informacji trzeba było w raporcie napisać: „dalszych informacji brak”. Formuła ta oznaczała, że w tym momencie jest to już całość. Uczyliśmy się także tytułowania raportów, co jednak należało robić już. po ich napisaniu.

Otrzymaliśmy bardzo szybko matę białe dowody tożsamości: tylko zdjęcie i znak kodowy.

W końcu pierwszego tygodnia Riff zawiadomił nas, że rozpoczniemy zajęcia związane z bezpieczeństwem osobistym. Właśnie zaczął wykład, gdy rozległo się napłe kopnięcie w drzwi. Do klasy wpadło dwóch ludzi. Jeden miał w ręku wielki pistolet, drugi — karabin maszynowy. Posypały się strzały. Padliśmy na podłogę. Riff i Ran S. zsunęli się na podłogę zalani krwią.

Zanim ktokolwiek mógł wypowiedzieć choćby jedno słowo, obaj faceci zniknęli za drzwiami, w samochodzie, którym szybko odjechali. Byliśmy zszokowani i zdrętwiali. Nie zdążyliśmy się jeszcze ocknąć, gdy Riff podniósł się, wskazał palcem na jednego z kadetów — Jerry'ego S. i powiedział: — Okay. właśnie zostałem zabity. Opisz, kto to zrobił, ile padło strzałów. Podaj wszelkie informacje, które mogą pomóc w natrafieniu na ślad morderców.

Jerry opisywał napastników, a Riff zapisywał wszystko na tablicy. Szczegóły skonsultował z nami wszystkimi. Potem wyszedł i przyprowadził obu „zabójców”. Nie byli zupełnie podobni do tych opisanych przez nas.

A „napastnikami” okazali się: przypominający nieco Telly Savalasa szef szkolenia w wydziale bezpieczeństwa operacyjnego (APAM) — Moussa M. i jego asystent — Dov L.

— Wyjaśnię wam tę całą szaradę — powiedział Mousa.

— Większość naszej pracy wykonujemy w obcych krajach. Dlatego wszystko, co spotykamy tam, to wróg albo cel. Nic nie jest nam przyjazne. Podkreślam: nic. Jednakże nie możemy stać się paranoikami. Nie można wciąż myśleć o niebezpieczeństwie, nie można wciąż bać się, że jest się śledzonym czy obserwowanym. Myśląc w ten sposób nie jest się w stanie wykonywać swoich zadań.

APAM jest narzędziem. Jest to skrót nazwy Avtachat Paylut Modienit, czyli zabezpieczenie działalności wywiadowczej. Daje ono wyspy pokoju i bezpieczeństwa, dzięki którym można właściwie pracować. W APAM nie ma miejsca na błędy. Archanioł Gabriel może dać jeszcze jedną szansę, ale tu błędy kończą się fatalnie.

Nauczmy was bezpieczeństwa etapami. Bez względu na to, jak dobry jest każdy z was, jak jest sprytny, czy jakie ma możliwości, jeśli nie przejdzie przez APAM, będzie usunięty. To nie wymaga szczególnych talentów, po prostu trzeba się uczyć. Musicie poznać strach i sposób opanowywania go.

System, którego nauczę was w ciągu następnych dwóch—trzech lat, jest niezawodny. Został już wypróbowany. Wciąż jest udoskonalany i nadal będzie udoskonalany. Jest tak logiczny, że nawet jeśli wasi wrogowie poznają go tak, jak wy, nie będą w stanie was zaskoczyć.

Mousa poinformował następnie, że Dov będzie naszym instruktorem, choć także będzie wykładał i pomagał nam w ćwiczeniach. Wziął plan zajęć i powiedział:

— Widzicie wolne miejsce między ostatnim wykładem jednego dnia i pierwszym wykładem w dniu następnym? W tym czasie będziecie należeć do mnie.

Cieszcie się waszym ostatnim weekendem ślepców, bowiem od następnego tygodnia zaczniemy stopniowo otwierać wam oczy. Moje drzwi są zawsze otwarte. Jeśli macie jakieś problemy, przychodźcie do mnie bez wahania. Ale jeśli ktoś spyta mnie o radę, musi działać zgodnie z nią.

Mensa. Słyszałem o min po ta/ ostami. gdy był szefem bezpieczeństwa na Europę, podobnie jak Eiten przyszedł / Shaback. Okresowo b;

w pogranicznej jednostce nr 504 działającej dla potrzeb wywiadu wojskowego. Był s/orstki i twardy. Ale należał do sympatycznych ludzi. Ideowa pełen poświęcenia, a także lubiący żarty*).

Pr/.ed wyja/.dem na weekend kadeci musieli jeszcze spotkać się z Rut Kimchy — sekretarka s/koly. Jej mąż był swego czasu szefem wydziału werbunkowego, później /as wiceministrem spraw zagranicznych i odegn

ważna rola we wciągnięciu Izraela do nies/e/ęsnej wojny w Libanie. Mu do czynienia z aferą Inm—Contras.

Kurs obejm.ował cztery podstawowe przedmioty: NAKA, APAN'

sprawy wojskowe i maskowanie.

Na zajęciach wojskowych uczyliśmy się wszystkiego o czołgac! lotnictwie, marynarce wojennej, strukturze baz, o sąsiednich krajach ora ich sli uktiirach politycznych, religijnych i społecznych. Te ostatnie przeć mioty wykładali profesorowie uniwersytetu.

Z upływem c/asu nabieraliśmy do siebie coraz większego zaufanie opowiadaliśmy sobie anegdoty. Po tr/ech tygodniach kursu dołączył d nas nowy człowiek — 24-letni Yosy C. Przyjaźnił się z innym kadeten 34-lctnim Hełmem M., łysym, z kartoflanym nosem, mówiącym p arabskii i /awsze chytrze się uśmiechającym.

Yosy pracował / nim w Libanie, w jednostce nr 504. Wrócił tera z Jerozolimy. gd/ie ukończył sześciomiesięczny kurs arabskiego. Biegł w językach, chociaż jego angielski brzmiał raczej fatalnie. Był żonaty, jeg połowica oczekiwała dziecka. Jako Żyd-ortodoksa, Yosy zawsze nosił n gtowse jarmułkę. ale lo. co naprawdę zasługiwało u niego na uwagę, t d/idność w stosunkach z. kobietami. Posiadał męski sex appeal. Wydaw< się magnesem dla kobiet. I w pełni z tego korzystał.

Codziennie po /akończeniu wykładów, jeśli tylko nie było żadnyc
innych zajęć, chód/iłem na kawę i ciastka do kawiarni Kapulsky'eg
w R;;mat Hasaron. Było to po drodze do mojego domu w Herciiji. Późnk
siworzyliśnn pac/kę /łto/oną z Yosy, Heima i Michela M. Ten ostatni b;
thmcsukini ekspertem w dziedzinie łącz/ności. Przyjechał do Izraela prze
wojną Yom Kipur w 1973 r. Pracował dla jednostki 8200. Robił coś dl

*) P.itr/ m/A/ 13: PotTiaa.ijuL' Aral';ito\vi

Mosadu w Europie. Dostał się na nasz kurs trochę tylnymi drzwiami, gdyż
potrzebowano kogoś z francuskim.

Techniki maskowania się uczyli nas głównie katsa Shai Kauły i Ran S.
Ten pierwszy powiedział nam: — Gdy zbieracie informacje, nie jesteście
Yictorem, Heimem czy Yosy, ale katsa. Większość naszych ludzi jest
zamaskowanych. Nie idzie się przecież do faceta i mówi: „Hej, jestem
z wywiadu izraelskiego i chcę od ciebie pewnej informacji, a za to dam ci
pieniądze”.

Pracujecie zamaskowani. Znaczy to, że nie jesteś tym, kim się
przedstawiasz. Od katsa wymaga się wszechstronności. To jest właśnie to
kluczowe słowo — wszechstronność. Jeśli masz trzy spotkania
w ciągu jednego dnia, za każdym razem musisz być innym, a to znaczy, że
kimś całkowicie innym.

W jaki sposób dobrze się maskować? Czasami wystarczy jedno słowo, czasami trzeba zastosować całą gamę środków. Jeśli ktoś zapyta, co robisz, a ty odpowiesz „jestem dentystą”, to jest znakomity sposób zamaskowania się. Każdy przecież wie, kto to jest dentysta. Chyba, że ktoś otworzy usta i poprosi o pomoc. Wtedy możesz mieć kłopot.

Spędziliśmy sporo czasu na praktykowaniu maskowania się. Studiowaliśmy różne miasta przy pomocy zbiorów bibliotecznych, uczyliśmy się rozmawiać o wyznaczonych miastach tak, jakbyśmy mieszkali tam przez całe życie. W ciągu jednego dnia konstruowaliśmy nasze osobowości i uczyliśmy się określonego zawodu. Spotykaliśmy się z doświadczonymi katsa, którzy testowali nasze maskujące historyjki.

Ćwiczenia takie odbywały się w pokoju wyposażonym w kamery telewizyjne. Dzięki temu inni kadeci mogli śledzić wszystko z pomieszczenia szkolnego.

Nauczyliśmy się najpierw, by nie przekazywać zbyt wielu informacji o sobie za szybko. To jest nawet nienaturalne. Udowodnił nam to 42-letni psycholog Tsvi G., który był pierwszym kadetem poddanym próbie. Tsvi stanął przed instruktorem i przez 20 minut mówił o „swoim” mieście i „swoim” zawodzie. Katsa milczał. W klasie pękaliśmy ze śmiechu. Kiedy Tsvi skończył, wrócił do klasy zadowolony z siebie. Był nawet szczęśliwy.

Wszyscy byliśmy już po wojsku, więc lojalność wobec kolegów nie

była dla nas pustym słowem. Kiedy więc Kauły spytał, co myślimy o tym wszystkim, powiedziałem, że Tsvi doskonale przestudiował miasto. Inny dodał, że Tsvi mówił jasno i jego relacja była zrozumiała.

Ran podniósł się i krzyknął:

— Przestańcie! Czy chcecie powiedzieć, że zgadzacie się z tym okropieństwem, jakie działo się w tamtym pokoju? Czy nie widzieliście błędu, jaki zrobił ten kutas? A do tego on jest psychologiem. Czy ten facet myśli? To ma być reprezentacja kursu? Chcę wiedzieć, co wy myślicie. Niech zaczyna Tsvi G.

Tsvi przyznał, że przedobrzył, że zbyt zależało mu, by wykazać się. Te słowa pozwoliły nam popłynąć. Ran wezwał nas, byśmy powiedzieli, co myślimy, bo każdy z nas może znaleźć się w takiej sytuacji i wszystko stracić, łącznie z życiem, jeśli nie zachowa się jak należy.

W ciągu 90 minut Tsvi został pozbawiony wszelkiego człowieczeństwa. Byle jaszczurka, gdyby pokazała się w klasie, byłaby potraktowana jako bardziej sprytna istota. Doszło do tego, że zażądaliśmy odtworzenia relacji Tsvi z wideo, by wykazać całą głupotę jego relacji. I nawet nas to bawiło.

Oto, co może się zdarzyć, gdy ma się do czynienia z grupą wysoko

kompetentnych ludzi, którzy odrzucili zasady kulturalnego zachowania. Ta bezwzględność może zadziwić.

To wydarzenie przekształciło nasz zespół w grupę współzawodniczącą ze sobą, kto uderzy mocniej, kto uderzy w słabsze miejsce. A Ran i Kauły, gdy słowa były zbyt ostre, mogli zapanować, choćby przez postawienie jakiegoś innego pytania. Mieliśmy takie ćwiczenia dwa—trzy razy w tygodniu. To było brutalne, ale na pewno nauczyło nas, jak się maskować.

W jedenastym tygodniu kursu do praktycznych zajęć, jako przedmiot, włączone zostało nawet „wino”: Jak rozpoznawać dobre gatunki wina, jak mówić o nim. skąd pochodzi. Praktykowaliśmy nawet jedzenie w premierowskiej oficjalnej jadalni w Akademii. Dysponowaliśmy aktualnym menu ze wszystkich wielkich restauracji na świecie, aby nauczyć się zamawiania właściwych potraw i ich jedzenia.

W jednym kącie pokoju ping-pongowego Akademii czynny był przez 24 godziny telewizor odtwarzający programy z telewizji kanadyjskiej, brytyjskiej, amerykańskiej i europejskiej. Były tam takie seriale, jak „I love Lucy”, różne telewizyjne opery mydlane, abyśmy zaznajomili się z tymi programami. W rezultacie, gdy usłyszeliśmy jakiś temat muzyczny, wiedzieliśmy już, z czego pochodzi i co można o tym powiedzieć. Tak było też z nowymi kanadyjskimi monetami jednodolarowymi. W Kanadzie nazywa się je „loonies” (loony oznacza pomyłony, zbzikowany). Gdyby

ktoś poprosił o nie, a nie wiedziałbyś, o co chodzi, występując jako Kanadyjczyk, zostałbyś zdemaskowany.

W ramach APAM nauczyliśmy się, jak kogoś śledzić — najpierw w grupie, potem indywidualnie: jak „przyklepać się”, jak zajmować dogodne punkty obserwacyjne, jak zniknąć. Poznawaliśmy różnicę między „szybkimi” obszarami (ruchliwe ulice, gdzie należy śledzić z bliska) a „powolnymi” obszarami, koncepcję „przestrzeni i czasu” (ocena dystansu, jaki ktoś pokonuje w określonym czasie). Na przykład, wyobraźmy sobie, że śledzona osoba skręca nagle na rogu ulicy, ale śledzący nie zdążył dojechać do tego punktu. Trzeba więc wyliczyć, czy w czasie, w którym nie było kontaktu wzrokowego, śledzony mógł dotrzeć do kolejnego rogu. Jeśli nie, to znaczy, że wcześniej skręcił i należy się zatrzymać.

j. Potem musieliśmy się nauczyć, jak się zachować, gdy my jesteśmy śledzeni. Umieszczono nas w nowym pokoju głównego budynku na piętrze. Było tam 20 foteli lotniczych z ruchomymi stoliczkami i popielniczkami w bocznych oparciach. Na dużym ekranie wyświetlano nam poszczególne fragmenty planu Tel Awiwu. Po każdym ćwiczeniu każdy z nas

musiał wyjaśnić swoją „trasę”. Trasa jest podstawą każdego zadania, które ma być wykonane. Bez tego nic nie wychodzi.

Kadetów przydzielano do różnych rejonów, gdzie musieli pokonywać pewne trasy i raportować, czy byli lub nie byli śledzeni. Jeśli tak, ; raportowali, kto to był, ile osób i jak wyglądali. Ci, którzy nie byli śledzeni, musieli opowiedzieć, gdzie, kiedy i w jaki sposób to sprawdzali oraz , dlaczego uznali, że nikt ich nie śledził. Wszystkie dane sytuacyjne były nakładane na płachtę plexiglasu pokrywającą plany.

Po złożeniu sprawozdań mówiono nam, jak było w rzeczywistości: kto był śledzony, a kto nie.

, To niezwykle ważne wiedzieć, że jest się śledzonym, jak i to, że „ogona” nie ma. Jeśli uważasz, że jesteś śledzony, nie możesz działać. Na ; przykład w Europie, jeśli katsa donosi, że jest śledzony, placówka zawiesza

^operację na miesiąc lub dwa, dopóki podejrzenia nie zostaną zweryfikowa-

ne. Niebezpiecznym jest sygnalizowanie, że jest się śledzonym, bo wyłania

- się zaraz naturalne pytanie, kto śledzi i dlaczego.

Powiedziano nam także, że domy, w których żyjemy, są bezpieczne.

Ale musimy upewniać się, czy ktoś za nami nie chodzi, gdy opuszczamy

- mieszkania rano i wracamy tam wieczorem. Ze względu na realizowane

- cele Akademia jest stacją, nasze domy natomiast bezpiecznymi domami.

67

Trasa śledzenia jest dzielona na dwie główne części. Zwykle planuje się je na mapie. Należy opuszczać początkowe miejsce w sposób naturalny. Trzeba następnie rozejrzeć się za dogodnym punktem obserwacji odcinka, który się już przebyło, ale tak, by nikt tego nie dostrzegł. Załóżmy, że dentysta znajduje się na trzecim piętrze. Jest tam okno, z którego widać ulicę, którą tu przyszedłeś. Jeśli szedłeś zygzakami, można sprawdzić, czy ktoś szedł za tobą. Właśnie okno to pozwala na stwierdzenie, czy ktoś patrzy i czeka.

Gdybym był śledzony zespołowo i chciał wyjść z hotelu, wówczas praktycznie byłbym w tym hotelu zablokowany. Dlatego trzeba energicznie iść na wprost przez jakieś 5 minut, by „ogon” rozciągnąć. Potem zygzakiem docieram do jakiegoś domu i z dogodnego dla mnie punktu obserwuję, jak śledzący przegrupowują się. Następnie muszę wykluczyć czynnik przypadkowości. Wsiadam do autobusu, jadę do innej dzielnicy i operację tę ponawiam. Robię to jednak bardzo wolno, aby śledzącym dać szansę dołączenia do mnie.

Nie wolno dopuścić do oderwania się od śledzących. Jak bowiem potem sprawdzić, że już nikt nie śledzi? Jeśli natomiast zakładam, że jestem śledzony, mogę natychmiast wstrzymać swoje planowane działanie i na przykład iść do kina.

Każdy z nas nosił w kieszeni małą czapkę. Wkładaliśmy ją na głowę, gdy byliśmy pewni, że jesteśmy śledzeni. Trzeba było potem telefonować i po przedstawieniu się zaraportować, czy jesteśmy śledzeni, czy nie i dopiero iść do domu. Często spotykaliśmy się w czyimś domu, by omówić sytuację.

W całym okresie szkolenia zrobiłem tylko jeden błąd. Raz powiedziałem, że byłem śledzony, chociaż tak nie było. Stało się tak, bo jeden z kadetów skopiował moją trasę i szedł za mną przez pięć minut. On zaś miał za sobą zespołowy „ogon”, a myślałem, że ciągnie się on właśnie za mną. A on nie dostrzegł, że jest śledzony.

Po kilkunastu tygodniach kurs rozbił się na kilka paczek. Na zajęciach czuliśmy się trochę niepewni. Zawsze było się przecież narażonym na ataki.

Zaczęliśmy się więc spotykać w grupkach po trzech lub czterech, udzielając sobie wzajemnie rad. Nawet „rekrutowaliśmy” personel do pomocy naszej

paczce. W ten sposób praktykowaliśmy nauki tych, którzy nas uczyli, na nich samych.

W tym okresie instruktorzy właśnie zaczęli wyjaśniać nam, jak stosować w działaniu to, czego uczymy się. „Teraz, gdy wiecie już, jak się ochraniać, będziecie się uczyć, jak werbować (współpracowników, agentów — tł.) — powiedzieli nam”.

Pamiętam, jak Mousa powiedział: „Od teraz, przyjaciele, zaczynacie tłuc skorupę jajka!”

Żółtko już było widoczne.

Rozdział III

Klasa pierwsza

W tym czasie kadeci zdobyli już duży zasób wiedzy technicznej. Teraz trzeba ją było zastosować w życiu. Jedną z metod były ćwiczenia zwane „butikami”. Często odbywały się one dwa razy dziennie. Celem ćwiczeń było nauczenie nas, jak odbywać kolejne spotkanie po nawiązaniu pierwszego kontaktu z potencjalnymi zwerbowanym.

W oddzielnych pokojach znów każdy obserwował przez monitor

działania jednego z kadetów, dokonując intensywnej i często niezycziwej analizy jego wysiłków. Każde ćwiczenie trwało około 90 minut i naprawdę wywracało flaki.

Każde nasze słowo było analizowane i krytykowane, podobnie jak każdy ruch i każde działanie. „Czy włożyłeś w to dosyć przynęty? Co myślałeś, gdy powiedziałeś, że ma on ładne ubranie? Dlaczego zadałeś mi to pytanie? A tamto?”

Błąd popełniony w „butik”, jakkolwiek kłopotliwy, nie był jednak zabójczy. Błąd popełniony w prawdziwym świecie wywiadu mógł się takim okazać. A my wszyscy chcieliśmy dojrzeć do tego właśnie świata.

Chcieliśmy wygrać jak najwięcej punktów, aby uchronić się od wszelkich przyszłych niepowodzeń. Obawa przed niepowodzeniem była olbrzymia. Byliśmy przecież skazani na pracę w Mosadzie, Wydawało się, że poza nim nie ma już dla nas życia. Cóż moglibyśmy robić? Co mogło jeszcze wywołać w kimś przyływ adrenaliny po doświadczeniach w Mosa-
dzie?

Następny ważny cykl wykładów prowadził szef wydziału Dalekiego Wschodu i Afryki — tevelu (łączości), Amy Yaar. Jego opowiadania były tak fascynujące, że po ich zakończeniu każdy myślał: „jak się do niego zapisać?”

Wydział Yaara miał ludzi na całym Dalekim Wschodzie. Niewiele zajmowali się prawdziwym wywiadem, natomiast budowali zręby przyszłych związków gospodarczych i dyplomatycznych. Wydział miał w Dżakarcie człowieka z paszportem brytyjskim, który pracował pod osłoną. Znaczyło to, że władze indonezyjskie wiedziały o jego przynależności do Mosadu. Miał przygotowaną drogę ucieczki, a wśród innych zabezpieczeń — pas ze złotych monet. Głównym jego zadaniem było ułatwianie handlu bronią w tym regionie. Mieli też człowieka w Japonii, innego w Indiach, jeszcze innego w Afryce, a od czasu do czasu ludzi w Sri Lance i w Malezji.

Punktem corocznych zjazdów zespołów Yaara były Seszele. Miał zajęcia przyjemne i mało niebezpieczne.

Pracownicy Yaara w Afryce również obracali milionami dolarów handlując bronią. Pracowali etapowo, najpierw nawiązywali kontakty, żeby zorientować się, czego dany kraj potrzebował, czego się obawiał, kogo uważał za wroga. Informacje te zdobywano działając na miejscu. Chodziło o to, aby opierając się na poznanej sytuacji nawiązać mocne kontakty, a następnie uzmysłwić ludziom, że zależnie od ich potrzeb Izrael może zaopatrywać dane rządy w broń i organizować szkolenia. Z chwilą, gdy przywódca jakiegoś kraju dał się znęcić bronią, człowiek Mosadu oświadczał mu w końcu tego etapu, że musi również kupić na przykład trochę

maszyn rolniczych. W ten sposób przywódca kraju dochodził do sytuacji, w której musiał stwierdzić, że dalsze rozszerzanie kontaktu z Izraelem wymaga nawiązania pełnych stosunków dyplomatycznych. Był to więc sposób tworzenia tych stosunków „tylnymi drzwiami”, bowiem najczęściej transakcje bronią były tak dochodowe, że łącznik nie musiał zadawać sobie trudu załatwiania niczego więcej.

Inaczej było, na przykład, w Sri Lance. Kontakty nawiązał Amy Yaar. Związał kraj wojskowo, dostarczając mu podstawowego wyposażenia, łącznie z kutrami torpedowymi dla przybrzeżnej służby patrolowej. Jednocześnie Yaar i jego ludzie dostarczali walczącym Tamilom wyposażenia do zwalczania takich kutrów. W toku walk z siłami rządowymi. Izraelczycy szkolili również elitarne oddziały obu stron*). Przy czym oczywiście żadna nie wiedziała o ich związkach z drugą. Ponadto Izraelczycy pomagali Sri Lance wyłudzać od Banku Światowego i innych inwestorów miliony dolarów na zapłacenie za broń, którą jej dostarczali.

*) Patrz rozdz. VI

71

Rząd Sri Lanki niepokoił się wrzeniem wśród chłopów — kraj miał długą historię trudności gospodarczych — i chciał część ludności miejskiej przesiedlić z jednego krańca wyspy w drugi. Potrzebował jednak do tego

jakiegoś wiarygodnego powodu. Tu włączył się Amy Yaar. Wymyślił wielki „plan Mahaweli” — koncepcję olbrzymich robót inżynierskich dla odwrócenia naturalnego biegu rzeki Mahaweli, aby osuszyć część terenów kraju. Twierdził, że pozwoli to podwoić zasoby energii elektrycznej dostarczanej przez elektrownie wodne i udostępni 750 tysięcy akrów (300 tysięcy ha) nowo nawodnionej ziemi. Bank Światowy, Szwecja, Kanada, Japonia, Niemcy, EWG i Stany Zjednoczone zainwestowały w ten projekt 2,5 miliarda dolarów.

Od początku był to projekt przesadnie ambitny. Nie pojął tego ani Bank Światowy, ani inni inwestorzy. Dla nich realizacja planu trwa nadal. Początkowo plan opiewał na 30 lat. Został nagle przyspieszony w 1977 roku, gdy prezydent Sri Lanki, Junius Jayawardene, doszedł do wniosku, że przy niewielkiej pomocy Mosadu przedsięwzięcie to mogło stać się dla niego niezmiernie ważne.

Aby przekonać Bank Światowy (który zobowiązał się już do wypłacenia 250 mln dolarów), że projekt jest wykonalny i posłuży jednocześnie za dogodny pretekst dla przeniesienia chłopów z ich ziemi, Mosad zlecił dwóm uczonym izraelskim — ekonomistce z uniwersytetu w Jerozolimie i profesorowi specjalizującemu się w problematyce rolnej — napisanie naukowych opracowań podkreślających jego doniosłość i określających koszty. Wielka izraelska firma budowlana Soleh Bonah otrzymała duży kontrakt na udział w budowie.

Co pewien czas przedstawiciele Banku Światowego udawali się do Sri

Lanki dla przeprowadzenia kontroli na miejscu. Nauczono jednak tamtejszych ludzi, jak oszukiwać tych inspektorów wożąc ich okrężnymi trasami — co łatwo było wyjaśnić względami bezpieczeństwa — i przywożąc z powrotem zawsze w to samo miejsce, gdzie właśnie dla tego celu rzeczywiście prowadzono jakieś niewielkie prace budowlane.

Później, gdy pracowałem w wydziale Yaara, w kwaterze głównej Mosadu, zlecono mi towarzyszenie synowej Jayawardene — imieniem Penny — która złożyła potajemnie wizytę w Izraelu. Znała mnie jako „Simona”.

Prowadziliśmy ją wszędzie, gdzie chciała. Rozmawialiśmy ogólnikami. Ale ona koniecznie chciała opowiadać mi o tej budowie i jak przy pomocy przeznaczonych na nią pieniędzy finansowano wyposażenie dla

72

armii. Skarżyła się, że budowa nie posuwa się dosyć sprawnie. Ironia sytuacji polegała na tym, że budowa została przecież wymyślona tylko po to, aby otrzymać od Banku Światowego pieniądze na zapłacenie za broń.

W tym czasie Izrael nie miał stosunków dyplomatycznych ze Sri Lanką. Teoretycznie uczestniczyła ona w embargo przeciwko nam. Ale Penny opowiadała mi o wszystkich tajnych spotkaniach politycznych, które się stale odbywały. Zabawne było to, że gdy wiadomości o tych

spotkaniach przeciekły do prasy, twierdzono, że w Sri Lance pracuje dla Izraela 150 katsa. Nie mieliśmy tyłu na całym świecie. W rzeczywistości był

tam wówczas tylko Amy i jego pomocnik, obaj na krótkich wypadach.

Inny znów świat odkrył się przede mną i moimi towarzyszami, kiedy w kwaterze głównej Mosadu wysłuchaliśmy wykładu na temat wydziału do

spraw Paylut Hablanit Oyenet (PAHO), czyli wrogiej działalności sabotażowej — na przykład OWP. Wydział ten zwany jest niekiedy „PAHO-Zagranica”. Pracownicy wydziału to przeważnie urzędnicy. Mają jeden z najlepszych ośrodków badawczych w całej organizacji. Prowadzą głównie analizy operacyjne.

Był to dla nas szok. Zaprowadzono nas do pokoju na szóstym piętrze, posadzono i powiedziano, że tu właśnie zbiera się codzienne informacje o Organizacji Wyzwolenia Palestyny i innych organizacjach terrorystycznych. Instruktor odsunął zasłonę na wielkiej ścianie — około stu stóp (30 m) szerokości — ujrzeliśmy wielką mapę świata, na której brakowało tylko bieguna północnego i południowego. Poniżej mapy stały pulpity komputerów. Ściana podzielona była na małe kwadraty, w których po naciśnięciu klawisza, zapalały się światełka. Na przykład po naciśnięciu na klawiaturze komputera klawisza „Arafat” na mapie zapalało się natychmiast światełko w miejscu, gdzie wiadomo było, że przebywa. Jeśli pytano,

„Arafat trzy dni”, to światła zapalały się wszędzie tam, gdzie był w ciągu

ostatnich trzech dni. Aktualny kwadrat był zawsze najjaśniejszy, a dawniej-
sze miejsca dawały światło coraz bardziej przyćmione.

Mapa mogła podawać informacje o wielu ludziach. Jeśli na przykład ktoś chciał poznać działalność dziesięciu czołowych osób z OWP, naciskało klawisze z nazwiskami każdego z nich, a każdy pojawiał się na mapie w innym kolorze. W miarę potrzeby można było też otrzymać wydruk. Mapa miała szczególne znaczenie dla uzyskania szybkiej informacji. Jeśli, na przykład, ośmiu z dziesięciu śledzonych znajdowało się tego samego

73

dnia w Paryżu, oznaczało to prawdopodobnie, że coś planują i można było podjąć „odpowiednie kroki”.

. W pamięci głównego komputera Mosadu tkwiło ponad półtora miliona nazwisk. Każdy wciągnięty tam przez Mosad jako członek OWP czy innej wrogiej organizacji zwany był — na wzór nazwy wydziału — „paha”. Wydział miał własne oprogramowanie komputera, ale korzystał również z pamięci głównego komputera. Mosad używał komputera Borroughs, natomiast wojsko i inne wydziały wywiadowcze korzystały z IBM.

Ekran przy pulpitych z boku dzieliły się według najdrobniejszych szczegółów, na przykład: na miasta. Gdy wprowadzano z dowolnej stacji

informację „OWP”, komputer wyświetlał to na ekranie. Dyżurny odczytywał informację i robił wydruk, przy czym ekran utrzymywał wiadomość, że wzięto wydruk i kiedy to nastąpiło. Chyba nie było takiego ruchu, który członek OWP. mógłby wykonać gdziekolwiek na świecie i który nie zostałby zarejestrowany na olbrzymim ekranie komputera Mosadu.

Pierwszą rzeczą, którą robił dyżurny, kiedy przejmował zmianę, było żądanie pełnego wykazu ruchów za ostatnią dobę. Dawało to informację o tym, gdzie znajdowali się ludzie OWP w ciągu ostatnich 24 godzin. Jeśli na przykład któryś z agentów zauważył, że do obozu OWP w północnym Libanie przybyły dwie ciężarówki — informacja ta trafiała natychmiast do dyżurnego. Następnie należało ustalić, co znajdowało się w ciężarówkach. Kontakt z agentami utrzymywany był co dzień, czasem nawet co godzina, zależnie od tego, gdzie się znajdowali i jak oceniano zagrożenie Izraela z tamtej strony.

Doświadczenie rzeczywiście wykazywało, że pozornie nieszkodliwe drobnostki często zapoczątkowywały ważną działalność. Pewnego razu przed wojną libańską w 1982 r. agent poinformował, że do pewnego obozu OWP w Libanie sprowadzono transport wysokogatunkowej wołowiny. Na ogół obozy te takiego zaopatrzenia nie otrzymywały. Mosad wiedział, że OWP przygotowuje atak, ale nie miał pojęcia, kiedy on miał nastąpić. Transport wołowiny zwrócił uwagę. Była przeznaczona na uroczysty posiłek. Na podstawie tej informacji oddziały marynarki izraelskiej dokonały prewencyjnego uderzenia i zniszczyły jedenastu partyzantów OWP w chwili, gdy wsiadali do swych gumowych łodzi.

Oto jeszcze jeden przykład, jak ważne mogły być nawet najdrobniejsze informacje i jakie znaczenie miało właściwe meldowanie o wszystkim.

74

Na początku drugiego miesiąca otrzymaliśmy broń osobistą — beretty, kaliber .22, oficjalne uzbrojenie katsa Mosadu. W terenie niewielu je nosi, bo może to spowodować poważne kłopoty. Na przykład w Wielkiej Brytanii noszenie broni jest nielegalne. Nie warto więc ryzykować wpadki. Jeśli się pracuje prawidłowo, broń jest niepotrzebna. Lepiej jest uciec lub wyłgać się z czegoś.

Ale uczono nas też, że jeśli mózg zleca ręce, aby ta wyciągnęła broń, to trzeba zabić. Głowa musi stwierdzić, że facet naprzeciw ciebie nie żyje.

On

albo ty!

Użycie broni również wymagało treningu. Było to tak jak w balecie.

Każdorazowo uczono jednego ruchu.

Pistolet trzyma się na biodrze, wewnątrz spodni. Niektórzy katsa używają kabury, ale większość nie robi tego. Beretta jest bronią idealną, bo jest mała. Pokazano nam jak wszywać płaskie ciężarki ołowiane do dolnej przedniej części naszych marynarek. To sprawia, że poła odsuwa się, gdy się sięga po broń. Należy równocześnie dokonać skrętu ciała i schylić się,

aby samemu stać się mniejszym celem. Czas zużyty na to, by jako pierwszy odpiąć marynarkę, może być ceną życia.

Jeśli trzeba strzelać, wali się tyle pocisków w cel, ile tylko można. Gdy facet leży już na ziemi, należy podejść, przyłożyć pistolet do skroni i strzelić jeszcze raz. Wtedy ma się pewność.

Katsa używali na ogół pocisków płasko zakończonych, czyli kul dum-dum, które rozplaszczają się po strzale i powodują szczególnie ciężkie rany. Nasze ćwiczenia w strzelaniu odbywały się w bazie wojskowej koło Petah Tikwah, gdzie armia izraelska przeprowadza również specjalne szkolenia jednostek dla obcych krajów. Godzinami ćwiczyliśmy się w strzelaniu do celów na specjalnej strzelnicy, w której, gdy szliśmy, nagle pojawiały się kartonowe sylwety.

Było też urządzenie zbudowane na kształt korytarza hotelowego. Szliśmy tym korytarzem skręcając w prawo i ponownie w prawo, mając w ręku „klucz od drzwi” i teczkę-dyplomatkę. Czasem dochodziliśmy do naszych „pokojów” bez zakłóceń. Ale niekiedy jakieś drzwi się nagle otwierały i wyglądał z nich tekturowy cel. Ćwiczone nas, jak wszystko rzucić i strzelać.

Uczono nas też, jak wyciągać pistolet siedząc w restauracji, gdyby taka potrzeba zaistniała. Należy albo przewrócić się do tyłu na krześle

i strzelać pod siołem, albo przewrócić się do tyłu jednocześnie kopnięciem

75

przewracając stół i strzelać — wszystko „jednym ruchem” (4igdy tego w pełni nie opanowałem, ale niektórzy z nas potrafili to zrobić).

Co się stanie z niewinnym widzem? Mówiono nam, że w sytuacji, w której ma wybuchnąć strzelanina, coś takiego nie istnieje. Widz będzie świadkiem twojej śmierci, lub śmierci kogoś innego. Jeśli twojej —* cóż cię

to obchodzi, czy zostanie ranny? Na pewno nic. Chodzi o przeżycie. O to, żebyś TY przeżył! Masz zapomnieć o wszystkim, czegoś się kiedykolwiek nauczył na temat sprawiedliwości. W tych sytuacjach trzeba zabić, albo być zabitym. Macie obowiązek chronić własność Mosadu, czyli siebie.

Gdy to zrozumiesz, przestajesz się wstydzić egocentryzmu. Egocentryzm wydaje się nawet cennym towarem, czymś, z czego trudno się otrząsnąć, gdy w końcu dnia wraca się do domu.

Gdy po wyczerpujących ćwiczeniach z bronią wróciliśmy do klasy, Riff powiedział: teraz wiecie, jak posługiwać się pistoletem. Więc zapomni-

ście o tym, to wam już nie będzie potrzebne! Oto byliśmy najszybszymi rewolwerowcami na Zachodzie, a on nagle dewaluował nasze umiejętności,

mówiąc, że broń nam niepotrzebna. Każdy powtarzał sobie jednak w myślach, „no pewnie, on tak gada, ale nie wątpię, że mi się to przyda”.

Program przewidywał dalsze długie godziny wykładów, po których następowały ćwiczenia praktyczne w Tel Awiwie, mające na celu doskonalenie umiejętności śledzenia i zachowania się, gdy się jest śledzonym.

Szczególnie nudny wykład prowadził człowiek, który był wówczas najstar-

szym majorem w armii izraelskiej. Cichym, monotonnym głosem opowiadał sześć godzin o maskowaniu broni i amunicji i ich wykrywaniu, pokazując setki przezroczy, na których widniał zamaskowany sprzęt.

Zmienianie przezroczy było jedynym ruchem, jaki wykonywał. Mówił:

„oto egipski czołg”, potem, „oto powietrzne zdjęcie czterech zamaskowanych czołgów egipskich”. Naprawdę niewiele można zobaczyć na fotografii pustyni z kilku zamaskowanymi czołgami. Jest to bardzo podobne do zdjęcia pustym bez czołgów. Widzieliśmy też dzipty syryjskie, amerykańskie, egipskie zamaskowane i nie zamaskowane. Był to najnudniejszy wykład w moim życiu. Później dowiedzieliśmy się, że każdy tak reagował.

Następny wykład był bardzo dorzeczny. Wygłaszał go Pinhas Adaret, a dotyczył on dokumentów: paszportów, dowodów tożsamości, kart kredytowych, praw jazdy itd. Najważniejszymi dokumentami Mosadu są paszporty. Jest ich cztery rodzaje: najlepsze, drugiego gatunku, dla operacji

terenowych i przypadkowe.

Paszporty przypadkowe to takie, które zostały albo znalezione, albo ukradzione i były używane tylko wtedy, kiedy trzeba było nimi błysnąć.

Nie

posługiwano się nimi do potwierdzenia tożsamości. Zmieniano fotografie, czasami też nazwisko, ale starano się zmieniać możliwie niewiele. Taki dokument nie wytrzymał dokładnego badania. Oficerowie neviot, ci, którzy się włamywali, kontrolowali domy itp., korzystali z nich. Używano ich też w toku ćwiczeń w Izraelu, lub dla werbunku w Izraelu.

Dla każdego wydanego paszportu istniał duży arkusz zawierający nazwisko, adres oraz fotokopię tej części miasta, w której się adres znajdował. Odpowiedni dom był zaznaczony na planie, była też jego fotografia i opis otoczenia. Jeśli się przypadkowo napotkało kogoś, kto znał tę okolicę, nie dawano się złapać na proste dotyczące jej pytania.

Jeśli się korzystało z paszportu przypadkowego, załączony do niego arkusz stwierdzał, gdzie był on uprzednio używany. Nie można było na przykład okazywać go w Hiltonie, jeżeli niedawno ktoś posługiwał się nim w tym hotelu. Poza tym trzeba było mieć gotową historyjkę na temat każdej pieczęci, która znajdowała się w takim paszporcie.

Paszporty do operacji terenowych używane były do szybkiej pracy w obcym państwie. Nie posługiwano się nimi jednak przy przekraczaniu

granicy. Katsa rzadko używają fałszywych dokumentów osobistych udając się z kraju do kraju. Chyba że towarzyszy im agent, czego na ogół starają się unikać. Fałszywy paszport przewożony jest zwykle w worku dyplomatycznym zapieczętowanym bordero, czyli pieczęcią wojskową ze sznurkiem w niej, pokazującym, że nie można jej otworzyć tak, by tego nie zauważono. Używa się jej do przewożenia dokumentów między ambasadami i uznaje się na całym świecie, że przy przekroczeniach granic nie wolno jej naruszać. Kurier korzysta z immunitetu dyplomatycznego. (Oczywiście można też dostarczyć paszporty katsa do innego kraju za pośrednictwem bodela, czyli posłańca). Ponadto nasze pieczęcie woskowe zostały zrobione .tak, żeby można było łatwo otwierać i zamykać koperty nie pozostawiając śladu.

Paszporty drugiego gatunku były to w istocie doskonałe paszporty sporządzone na podstawie maskujących opowiadań katsa. Ich cechą było jednak to, że ludzie, na których nazwiska one opiewały, nie istnieli.

Paszporty najlepsze pasowały zarówno do opowiadań ochronnych, jak i do określonych ludzi, którzy opowiadanie takie mogli uprawdopodobnić. Wytrzymały one doskonale wszelkie oficjalne badania, łącznie ze sprawdzeniem przez kraj, na który opiewały.

Paszporty produkuje się z różnych rodzajów papieru. Jest niemożliwe, żeby na przykład rząd kanadyjski sprzedał komukolwiek papier, którego używa do produkowania paszportów kanadyjskich (ulubionych paszportów Mosadu). Ale podrobionego paszportu nie można zrobić z niewłaściwego papieru. Akademia Mosadu miała przeto małą fabryczkę i laboratorium chemiczne, które wytwarzały różne rodzaje papieru paszportowego. Chemicy dokonywali analizy prawdziwych paszportów i opracowywali dokładny proces produkcji papieru będącego repliką tego, czego potrzebowali.

Dla przechowywania tego papieru istniał specjalny magazyn o określonej temperaturze i wilgotności. Spoczywały w nim papiery paszportowe dla większości krajów świata. Inną częścią tej samej „produkcji” było podrabianie dinarów jordańskich. Z powodzeniem wymieniano je na prawdziwe dolary. Używano też do zalewania Jordanii masą pieniądza, co pogłębiało inflację w tym kraju.

Kiedy w czasie ćwiczeń znalazłem się w fabryce, zobaczyłem dużą paczkę nie wypełnionych paszportów kanadyjskich. Sądziłem, że musiały być ukradzione. Było ich ponad tysiąc. Jednakże nie słyszałem, żeby kiedykolwiek ogłoszono o takiej stracie. W każdym razie na pewno nie w środkach przekazu.

Wielu imigrantom do Izraela proponuje się też, by oddali swe

paszporty dla ratowania Żydów. Na przykład ktoś, kto właśnie przeniósł się z Argentyny do Izraela, nie będzie miał prawdopodobnie nic przeciw temu, żeby oddać swój argentyński paszport. Paszport ten wylądowałby w wielkiej, przypominającej bibliotekę sali mieszczącej wiele tysięcy paszportów, ułożonych według krajów, miast, a nawet dzielnic, uporządkowanych według wieku właściciela, a zawierających zarówno nazwiska brzmiące z żydowska, jak i nieżydowskie. Wszystkie dane są skomputeryzowane. ;

M osad miał też dużą kolekcję pieczęci i podpisów paszportowych, których używano przy „produkcji” paszportów. Kolekcja ta była dokładnie skatalogowana. Wiele tych pieczęci zebrano przy pomocy policji, która mogła na jakiś czas zatrzymać paszport i sfotografować różne pieczęcie przed zwróceniem dokumentu właścicielowi.

Systematyczność cechowała nawet stemplowanie fałszywego paszportu. Jeśli na przykład w moim paszporcie umieszczono pieczętkę ateńską z określoną datą, to wydział sprawdzał w aktach, jaki był podpis i pieczętka tego dnia o godzinie przylotu tak, że gdyby nawet ktoś sprawdził

78

w Atenach, kto miał wtedy służbę, dane paszportu byłyby prawidłowe. Pracownicy byli dumni ze swoich osiągnięć. Niekiedy zapelniali paszport nawet dwudziestoma pieczętkami. Twierdzili, że nigdy jeszcze nie sparta-

czono żadnej operacji z powodu źle wykonanego dokumentu.

Wraz z paszportem otrzymywałem podkładkę, której musiałem nauczyć się na pamięć i następnie ją oddać. Zawierała ona ogólne informacje na temat dnia, w którym rzekomo byłem w Atenach—jaka była pogoda, jakie główne tytuły w miejscowej prasie, co było aktualnym tematem rozmów, gdzie mieszkałem, co tam robiłem itd.

Przy każdym zadaniu katsa otrzymywał też małą notatkę dotyczącą wcześniejszej pracy. Na przykład, nie zapominaj, że określonego dnia byłeś w tym hotelu i nazywałeś się wtedy tak i tak. W notatce wspomniani byli wszyscy ludzie, których spotkaliśmy lub widzieli. Dodatkowy powód, żeby włączyć do raportu każdy szczegół, niezależnie od tego, jak drobny by się wydawał.

Jeśli miałem kogoś zwerbować, komputer wyszukiwał wszystkich, którzy mieli ze mną jakikolwiek kontakt. Każdego, kogo kiedykolwiek spotkałem. Sporządzano też podobne zestawienie dla osoby werbowanej. Wszystko po to, żebym na przykład, idąc na przyjęcie z udziałem nowo werbowanego nie wpadł na jakiegoś jego przyjaciela, którego kiedyś zwerbowałem występując pod innym nazwiskiem.

W ciągu następnych sześciu tygodni wysłuchiwaliśmy przez godzinę lub dwie dziennie wykładów profesora Arnona na temat islamu w życiu

codziennym. Poznawaliśmy różne sekty islamu, jego historię i obyczaje, jego święta, to, co wolno było robić wyznawcom i to, co robili naprawdę, zakazy, wszystko, co mogło uzupełnić obraz wroga i co stanowiło jego słabe miejsca. Na zakończenie mieliśmy cały dzień na napisanie pracy o konflikcie bliskowschodnim.

Następnie uczyliśmy się o bodlim (liczba pojedyncza hodef). Są to łącznicy między bezpiecznymi domami i ambasadą, lub między różnymi bezpiecznymi domami. Odbywają oni głównie szkolenie w APAM. Muszą wiedzieć, czy są śledzeni. Noszą wszystko w workach lub w kopertach dyplomatycznych. Ci, którzy noszą worek, korzystają z immunitetu dyplomatycznego i mają odpowiednie dokumenty. Ich głównym zadaniem jest dostarczanie katsa paszportów i innych dokumentów oraz przynosze-

79

nie z powrotem do ambasady raportów. Katsa nie zawsze wolno wchodzić do ambasady izraelskiej. Zależy to od rodzaju wykonywanego zadania.

Bodlim to na ogół młodzi, dwudziestokilkuletni ludzie. Pracują przez rok lub dwa. Często są to studenci izraelscy, którzy przeszli czynną służbę wojskową i zostali uznani za godnych zaufania. Sprawą podstawową dla nich jest, aby byli wyszkoleni w umiejętności unikania śledzących ich. Mogą wykonywać pracę jeszcze w czasie studiów. Uważani są w stacji za osoby niższej rangi, ale mimo to nie jest to dla studenta złe zajęcie.

Większość stacji ma dwóch albo trzech takich pracowników. Należy do nich również opieka nad bezpiecznymi domami. Mogą obsługiwać na przykład sześć mieszkań. Żeby nie dziwiło sąsiadów, że mieszkanie jest puste, a rośnie liczba listów w skrzynce.

„Łącznicy" mieszkają bezpłatnie w bezpiecznych domach, dbają o to, żeby lodówki były zawsze dobrze zaopatrzone w żywność i napoje, żeby rachunki były zapłacone itd. Jeżeli bezpieczny dom jest potrzebny, „zajmujący" go bodel może się przenieść do innego albo do hotehu, do chwili gdy zapotrzebowanie minie. „Łącznikom" nie wolno zapraszać do tych mieszkań przyjaciół ani przyjaciółek. Uposażenie ich waha się na ogół od tysiąca do tysiąca pięciuset dolarów miesięcznie, zależnie od liczby mieszkań, którymi się zajmują. Biorąc pod uwagę, że nie płacą komornego, nie rozliczają się z jedzenia i napojów i nie płacą chesnego, które reguluje Mosad, nie jest to zły interes.

Następnym tematem były mishiasim, czyli w języku wywiadu „skrzynki kontaktowe". Przede wszystkim nauczyliśmy się, że w Mosadzie skrzynka kontaktowa była drogą jednokierunkową: od nas do nich.. Nie może być takiej sytuacji, w której agent zostawia coś dla ciebie, bo jest bardzo prawdopodobne, że mogłaby to być pułapka.

Grupa ludzi z wydziału Mosadu, który zajmuje się tymi sprawami, tak tłumaczyła podstawowe zasady tej sztuki. Kiedy ustalisz, co masz przeka-

zać, masz cztery podstawowe warunki powodzenia: umieszczenie tego musi zająć jak najmniej czasu, przedmiot ten nie może rzucać się w oczy, gdy go niesiesz do skrytki, wyjaśnienie temu, z kim się kontaktujesz, miejsca musi być jak najprostsze, i wreszcie, gdy on rzecz odbiera, znów nie może się ona rzucać w oczy.

Zrobiłem pojemnik z plastikowej mydelniczki, którą zabarwiłem rozpylaną farbą na kolor metalowego słupa elektrycznego. Na mydelnicze namalowałem czerwony symbol błyskawicy. Wziąłem cztery również ;szare śruby z nakrętkami, umocowałem do pojemnika, a u ich podsitawy

80

umieściłem magnes[^] za pomocą którego umocowałem pojemnik pod maską mego samochodu. Zatrzymałem się przy słupie elektrycznym, jakbym miał jakieś kłopoty z wozem, umocowałem pojemnik wewnątrz belki słupa i odjechałem. Nikt tego nie widział. Ale nawet gdyby ktoś pojemniczek zauważył, nie tknąłby go, gdyż miał oznakę, że jest pod napięciem. Gdy agent to zabierał, mógł ponownie umieścić przy silniku swego wozu i odjechać.

Uczono nas też, jak zrobić „schowek”. Skrytkę w domu czy mieszkaniu, w miejscu, do którego łatwo sięgnąć, a które obcemu jest trudno

znaleźć. Jest to lepsze od sejfu. Jeśli ktoś znajdzie się w miejscu, gdzie musi

coś szybko schować, to łatwo jest zrobić skrytkę przy użyciu zwykłych przedmiotów, które można kupić w sklepie z towarami żelaznymi, albo nawet w każdym zwykłym sklepie.

Jedną z najprostszych skrytek są drzwi obite dyktą z ramą w środku.

Chcąc coś schować, odrywa się dyktę u szczytu drzwi i zawiesza przedmioty

między dyktami. Można też użyć rurki, na której zaczepia się wieszaki w szafie ubraniowej. Jest w niej wiele miejsca. Mogą nawet pozdejmować wasze ubrania z wieszaków, ale rzadko kto zajrzy do rury, na której wiszą.

Inny znany sposób przewożenia tajnego dokumentu czy pieniędzy przez odprawę celną, to kupienie dwóch czasopism i wycięcie części jednego z nich tak, żeby wewnątrz powstała mała kieszonka. Następnie wycina się to samo z drugiego i przykleja nad właściwym miejscem. Jest to

stary chwyt „magików”. W ogóle czytaliśmy wiele książek magików.

Można odważnie iść na cło z taką gazetą, a nawet poprosić urzędnika, żeby

ją pottrzymał w czasie, gdy przechodzicie kontrolę.

Do następnej grupy ćwiczeń, zwanej „kawą”, dzielono nas na

trzyosobowe grupy. Yosy, ja i nabożny olbrzym Arik F., liczący sześć stóp i sześć cali (ok. 2 m i 4 cm) wzrostu, udaliśmy się z Shai Kaułyem jako

naszym instruktorem do dzielnicy hotelowej przy ulicy Hayarkon. Przysiedliśmy na chwilę w kawiarni, po czym pojedynczo wchodziliśmy do holu hotelowego. Każdy z nas miał fałszywy paszport i wymyśloną historyjkę. Kauły wchodził z nami do hallu, rozglądał się, po czym kazał nawiązać kontakt z kimś, kogo sobie wybrał. Czasem byli to ludzie podstawieni, ale czasem nie. Chodziło o zdobycie jak najliczniejszych informacji i umówienie się na następne spotkanie.

Podszedłem do kogoś, kto był dziennikarzem pisma „Afrique—Asie”, prosząc go o zapalkę. Tak nawiązałem rozmowę. Udało mi się. Okazało się, że był to człowiek podstawiony przez katsa, który obsługiwał

(-1 Wyznania szpiega

81

konwencję OWP w Tunisie, udając reportera tego pisma. Rzeczywiście napisał dla nich kilka artykułów.

Jak zwykle po każdym takim ćwiczeniu musieliśmy napisać dokładny raport, opisując jak nawiązaliśmy kontakt, o czym rozmawialiśmy i wszystko, co się wydarzyło. Następnego dnia w klasie krytykowaliśmy się wzajemnie. Czasem zdarzało się tak dziwnie, że wchodząc do klasy zastawało się tam wasz „obiekt”.

Jak wszelkie ćwiczenia i to było wielokrotnie powtarzane. Nasz i tak

już przepelniony plan pracy stawał się gorączkowy. Byliśmy wciąż jeszcze na szkoleniu, ale zaczynaliśmy już wszystko jak prawdziwi agenci tak, że wręcz szukaliśmy ludzi, w których należy uderzyć. Doszło do tego, że nie umieliśmy wszcząć żadnej rozmowy nie starając się zarzucić naszych sieci.

Zarzucałeś je już w chwili, gdy mówiłeś „dzień dobry”. Normalnie przy werbowaniu najlepiej jest udawać zamożnego, ale nie wolno być zbyt jednoznacznym. Nie można jednak również być zbyt nieokreślonym, żeby nie wyglądać na oszusta.

W rzeczywistości kurs był wielką nauką oszustwa. Szkolono ludzi na artystów oszustwa w służbie swego kraju.

Jednym z problemów po ćwiczeniu, w którym zgrywałem się na przykład na bogatego przedsiębiorcę, było, jak wrócić z powrotem na ziemię. Nagle przestawałem być bogaty. Byłem urzędnikiem w służbie publicznej, tyle że pracującym w interesującej instytucji. No i był już czas pisać raport.

Czasem sprawy się trochę komplikowały. Niektórzy kadeci nie podawali dokładnie tego, co zaszło, sądząc, że jeśli okazało się, iż ich obiekty nie należą do instytucji, to mogą się trochę poprzehwalać.

Pewien facet, Yoade Avnets, przypominał nam ptaka „oy-oy”, czy „ouch-ouch”. Ptak ten słynie nie z piękności, ale z tego, że ma wielkie jądra

zwisające poniżej nóg. Za każdym razem, gdy siada, wydaje okrzyk bólu.

Po każdym ćwiczeniu „kawa” Yoade opowiadał swą fantastyczną historię, chyba że miał do czynienia z kimś z instytucji. Ciągłe to powtarzał,
aż któregoś dnia, w czasie porannej przerwy wszedł Shai Kauły i zawołał go po nazwisku.

— Tak — odrzekł.

— Pakuj się i wynocha stąd!

— Co! — zawołał Avnets trzymając w ręku nadgryzioną kanapkę.

— Dlaczego?

82

— Pamiętasz wczorajsze ćwiczenie? To była ta słomka, która przełamała grzbiet wielbłąda!

Podobno Yoade podszedł do swego obiektu i spytał, czy może usiąść. Człowiek odrzekł: „proszę”. Yoade usiadł obok niego i w ogóle nie otworzył ust. Natomiast w raporcie opisał żywą rozmowę. W tym wypadku milczenie nie było złotem i kariera Yoade gwałtownie się urwała.

Teraz codziennie poświęcano pół godziny na przeprowadzenie przez jednego z kadetów ćwiczenia zwanego da, czyli wiedzieć. Należało przeprowadzić dokładną analizę jakiejś bieżącej wiadomości. Było to jeszcze jedno obciążenie, ale chciano żebyśmy się doskonale orientowali w tym, co się dzieje. Tkwiąc w tym wszystkim, czym żyliśmy, łatwo było oderwać się od realnego świata, a to mogło być zabójcze. Dawało nam to też doświadczenie w publicznym występowaniu i zmuszało do codziennego czytania gazet.

Jeśli ktoś w rozmowie z nami poruszał jakiś temat, mogliśmy pokazać, że go znamy, a przy odrobinie szczęścia dowieść, że jego wersja jest błędna.

Wkrótce zaczęliśmy tzw. „zielone” ćwiczenia — działania w sferze łączności, mające wyrobić w nas określony stosunek do spraw. Założmy, że dowiedzieliśmy się, iż istnieje groźba sabotażu jakiegoś urzędu w jakimś kraju. Ustalenie, jak należy zanalizować i ocenić to zagrożenie, wywołało szeroką dyskusję. W zasadzie, jeśli zagrożone było urządzenie miejscowe, które nie miało niczego wspólnego z Izraelem i można było ujawnić ten fakt nie stwarzając zagrożenia dla źródła informacji, należało poinformować zainteresowane strony, na ogół za pomocą anonimowego telefonu, albo bezpośrednio od łącznika do łącznika. Jeśli był to wypadek, w którym można było przekazać informację nie ujawniając źródła, można

też było powiedzieć, kim się jest, aby w przyszłości zainteresowani czuli się wobec ciebie zobowiązani.

Jeśli cel był izraelski, miało się obowiązek użycia wszelkich dostępnych środków, aby zapobiec szkodzie, nawet jeśli wiązało się z tym ujawnienie źródła informacji. Jeśli trzeba było spalić agenta w kraju stanowiącym cel, aby ochronić własne urządzenie w kraju stacjonowania, należało ponieść taką ofiarę i uczynić to. (Wszystkie kraje arabskie zwane są krajami stanowiącymi cel, zaś każdy kraj, w którym Mosad rozporządza stacją, zwany jest krajem stacjonowania).

Jeśli cel nie był nasz, a groziło narażenie jakiegokolwiek źródła informacji, to należało pozostawić sprawę własnemu biegowi. Nie była to sprawa dla Mosadu. Najwyżej można było przekazać ogólnikowe ostrzeżenie, że zainteresowani powinni przestrzegać takiego c/y innego /ichowa-

S3

nią, jeśli by się coś wydarzyło. Oczywiście ostrzeżenie takie zagubi się wśród tysięcy innych.

Postawa taka została utrwalona w naszej pamięci. Mieliśmy robić to, co było dobre dla nas i dla nikogo więcej, bo nikt nam nie pomoże. Im

dalej

się idzie w Izraelu na prawo, tym więcej się tego słyszy. Jeśli ktoś tam obstaje przy swoich poglądach politycznych, to automatycznie dryfuje na lewo, gdyż wydaje się, że obecnie cały kraj przesuwa się szybko na prawo. Wiecie, co mówią w Izraelu: jeśli oni sami nie posyłali nas w czasie wojny do

pieca, to pomagali w tym, a jeśli nie pomagali, to udawali, że nie wiedzą, co się

dzieje. Natomiast nie przypominam sobie nikogo w Izraelu, kto poszedłby na demonstrację, kiedy mordowano tylu ludzi w Kambodży. Dlaczegoż więc oczekiwać od innych, że zaangażują się akurat po naszej stronie? Czy to, że Żydzi cierpieli, daje nam prawo sprowadzać cierpienia i nieszczęścia na innych?

Uczono nas też, jako należących do tsometu, jak instruować agenta wysyłanego do kraju stanowiącego cel. Podstawowi agenci — są oni dosyć

liczni — nazywają się agentami ostrzegającymi. Może być takim agentem na przykład pielęgniarz w szpitalu, którego zadaniem jest informować Mosad, że przygotowuje się dodatkowe łóżka, albo tworzy nowe oddziały i gromadzi dodatkowe materiały sanitarne. Chodzi o wszystko, co wygląda jak przygotowania do wojny. Istnieją agenci ostrzegający w portach, którzy donoszą, czy wpływają jakieś specjalne statki. Agenci w straży ogniowej, którzy zwracają uwagę, czy rozpoczęto pewne określone przygo-

towania. Agenci w bibliotekach, którzy zauważają, czy powołano tam

nagle do wojska połowę pracowników, gdyż uważa się, że praca ich nie ma zasadniczego znaczenia.

Wojna pociąga za sobą mnóstwo rzeczy. Trzeba więc być bardzo dokładnym instruując agenta. Jeśli prezydent Syrii, jak to często robi, grozi wojną, ale nic się poza tym nie wydarza, nie ma powodu zbytnio się tym przejmować. Ale jeśli grozi wojną, po czym następują wszelkiego rodzaju zjawiska w działalności intendencji, to trzeba o tym wiedzieć, bo tym razem może on grozić serio.

Dawid Diamond, szef kasahtu, zwanego później neviot, uczył nas, jak oceniać i jak obchodzić się z przedmiotami martwymi czy z budynkami.

Tu

odbywało się wszystko w teorii, nie w praktyce. Wymyślał dla nas domniemane sytuacje. Na przykład, wasz przedmiot znajdował się na szóstym piętrze gmachu i posiadał dokument, który chcielibyście poznać. Co robić w takim wypadku? Tłumaczył kolejno, jak należy obserwować

84

budynek, jaką ma obudowę, jak wygląda w nim ruch, jak się zachowuje policja, jakie miejsca są niebezpieczne — na przykład nie należy w czasie obserwacji spędzać zbyt wiele czasu naprzeciw banku — jak planować wycofanie się, kto ma wejść do budynku oraz wszelkiego rodzaju sygnały.

Mieliśmy też więcej wykładów na temat tajnego komunikowania się, dzielonych na nadawanie i odbiór. Mosad może przekazywać wiadomości drogą radiową, listową, telefoniczną, przy użyciu skrzynek kontaktowych, bądź spotkań osobistych. Agentowi, który posiadał radio, wyznaczano każdego dnia określony czas, w którym specjalna pracująca 24 godziny na dobę stacja miała przekazywać dla niego materiał. Stacja ta jest obecnie skomputeryzowana. Hasło wywoławcze brzmiało na przykład „dla Karolka”. Następował szyfr literowy w grupach po pięć. Wiadomość zmieniano tylko raz w tygodniu, żeby agent na pewno mógł jej wysłuchać. Agenci posiadali radia i stałe anteny w domu, lub w miejscu pracy.

Do innej metody komunikowania się służył tzw. pływak, czyli niewielki mikrofilm umocowany przy wewnętrznej stronie koperty. Agent rozrywał kopertę i wrzucał mikrofilm do szklanki wody. Następnie przyklejał go na zewnętrznej stronie szklanki i odczytywał treść za pomocą szkła powiększającego.

W drugą stronę agenci mogli skontaktować się ze swoimi katsa przez telefon, przy pomocy telexu, listownie, listami pisanymi atramentem sympatycznym, na spotkaniach, bądź poprzez „porwane” informacje. Jest to system, w którym przekazuje się na określonej częstotliwości bardzo drobne urywki informacji. Trudno to wykryć, tym bardziej że za każdym razem, gdy agent korzysta z tej metody, używa innego kryształka, a więc nigdy nie powtarza tej samej częstotliwości. Zmiany tej częstotliwości

następują w z góry określonym porządku.

Dążono do tego, aby komunikowanie odbywało się możliwie najprostszymi metodami. Ale im dłużej agent tkwił w kraju docelowym, tym więcej miał informacji i potrzebował bardziej skomplikowanego wyposażenia. Mogło to stanowić problem, gdyż wpadka z takim wyposażeniem jest dużo niebezpieczniejsza. Poza tym trzeba było nauczyć agenta, jak posługiwać się takim wyposażeniem, a im go więcej uczono, tym bardziej stawał się nerwowy.

Aby pogłębić nasze przywiązanie do syjonizmu, spędziliśmy cały dzień zwiedzając Dom Diaspory na uniwersytecie telawiwskim. Jest to muzeum, które ukazuje historię narodu żydowskiego i w którym pokazuje się makiety synagog z całego świata.

85

Następnie odbył się ważny wykład szefa wydziału jordańskiego — kobiety zwanej Ganit. Mówiła o królu Hussajnie i problemie palestyńskim. Mieliśmy też wykład o działaniach armii egipskiej, która właśnie wówczas kończyła zapowiadaną 10-letnią rozbudowę. Przez dwa dni ludzie z Shahaku opowiadali nam o metodach i działaniach wrogich sabotażystów w Izraelu. Wszystkie te wykłady zostały podsumowane dwugodzin-

nym wystąpieniem historyka Mosadu, Lipeana. Był czerwiec 1984 roku.
Koniec pierwszej części naszego programu.

Duża część naszego szkolenia dotyczyła stosunków z postronnymi ludźmi. Spostrzegano kogoś, kogo można by zwerbować i mówiono sobie:

„muszę pogadać z nim i umówić się na następne spotkanie, gdyż może być pożyteczny”. Tworzyło to dziwne poczucie pewności siebie. Nagle każdy przechodzień stawał się narzędziem. Mówiło się sobie, „cóż: mogę nim kierować”. Nagle ważne stawały się tylko kłamstwa. Mówienie prawdy było wręcz niestosowne. Ważne było, że coś jest dobrym elementem wyposażenia. Jak to uruchomię? Jak mogę sprawić, by to pracowało dla mnie — to znaczy dla mego kraju?

Zawsze wiedziałem, co się tam na górze, na tym pagórku dzieje.

Wszyscy wiedzieliśmy. Niekiedy znajdowała się tam letnia rezydencja premiera. Niekiedy używano tego jako siedziby dla ważnych gości. Golda Meir często używała tego w takich celach. Ale wiedzieliśmy też, c/y m jest to

poza tym. Jeśli wyrastacie w Izraelu, to wiecie, że należy to do Mosadu.

Izrael jest narodem bojowników. Oznacza to, że uważa się, iż bezpośredni kontakt z wrogiem jest sytuacją najzas/czytniejszą. Dlatego też Mosad staje się w tym kraju symbolem na/wy źsze^o statusu. I oto byłem

jego częścią. Dawało to poczucie potęgi, które trudno opisać. Warto było

przejsć przez wszystkie próby, które przecierpiałem, aby '..im trafić.

Wiem,

że niewielu jest ludzi w Izraelu, którzy wówc/as nic chcieliby zamienić się

ze

mną miejscami.

Rozdział IV

Formowanie charakterów

Kadetom zawsze przypominano, by byli elastyczni, wszechstronni i na tym budowali swoje umiejętności. Wszystko, co zdobywamy na kursie, tworzy kapitał na przyszłość i dlatego zachęcano nas, byśmy uczyli się wszystkiego tak intensywnie, jak to jest tylko możliwe.

Michel M. i Heim M. z mojej paczki przyszli na szkolenie tylnymi drzwiami. Obaj byli gadułami. Znali większość wykładowców i pletli o tym, jak będą werbować (jako agentów) generałów i innych oficjeli. Ja byłem na kursie najlepszy w angielskim, może poza Jerryem S., a także najlepszy w tym, co nazywane było myśleniem operacyjnym. A więc —jak przewidywać to, co może się stać i jak ustosunkować się do problemów, zanim się jeszcze pojawią.

Ponieważ Heim i Michel wydawali się wtedy bardziej światowi, darzyłem ich szacunkiem. Oni za to wzięli mnie pod swoje skrzydła.

Wszyscy mieszkaliśmy w tym samym rejonie, razem jeździliśmy na kurs,

a w drodze powrotnej do domu zwykle odbywaliśmy wieczorną rozmowę przy kawie i ciastku u Kapulsky'ego. Zamawiałem zawsze ciastko „czarny las”, najlepsze, jakie kiedykolwiek jadałem.

Byliśmy ze sobą bardzo związani. Wspólnie marzyliśmy, aby razem walczyć. Staraliśmy się razem brać udział w różnych ćwiczeniach, ponieważ mogliśmy na sobie polegać — w każdym razie tak nam się wydawało. I nikt nie usiłował temu przeszkadzać.

Nasz główny instruktor, Oren Riff, który pracował był dla tevel, czyli łączności (z innymi wywiadami i instytucjami), zawsze podkreślał znaczenie tej służby. 60—65 procent zbieranych informacji pochodzi z jawnych źródeł: radia, gazet, telewizji; ok. 25 proc. z satelitów, dalekopisów, telefonów i komunikacji radiowej; 5 do 10 proc. z łączności, a od 2 do

87

4 proc. od agentów i wywiadowców pracujących dla wydziału tsomet (potem nazwa zmieniona na Melucha), Ale ten najmniejszy procent jest najważniejszy.

W drugiej części kursu mieliśmy m.in. dwugodzinny wykład Zave Alana. cudownego chłopaka utrzymującego łączność między Mosadem i CIA. Mówił o Stanach Zjednoczonych i Ameryce Łacińskiej. Wyjaśniał, że gdy ma się do czynienia z łącznikiem innej organizacji, ten uważa, że jesteś właśnie tylko łącznikiem, podczas gdy ty powinieneś go traktować

również jako ważne źródło informacji.

Przekazujesz mu informacje według życzeń przełożonych — i odwrotnie. Obaj stanowicie swego rodzaju złącze. Ale ponieważ jesteście ludźmi, to już mamy do czynienia z chemią, a nie czystą techniką. Jeśli owa „chemia” działa prawidłowo, możesz nawiązać z partnerem osobiste stosunki. Te zaś powodują, że partner nabiera do ciebie sympatii. Rozumie on niebezpieczeństwa, w obliczu których znajduje się twój kraj. Należy więc te początkowo służbowe stosunki sprowadzać na płaszczyznę osobistą, by mieć do czynienia z przyjacielem. Ale musisz pamiętać, że on wciąż pozostaje trybikiem wielkiej organizacji. Wie znacznie więcej, niż wolno mu powiedzieć. Czasem może się jednak zdarzyć, że potrzebujesz informacji, którą partner może ci po przyjacielsku przekazać. Zdaje sobie sprawę, że jemu to nie zaszkodzi, ty zaś nie ujawnisz tego. Taka informacja jest niezwykle cenna i w raportach klasyfikuje się jako „jumbo” (słoń).

Alan. spoglądając na nas przez swoje okulary a la John Lennon, chełpił się, że zdobył więcej informacji typu „jumbo” niż ktokolwiek w Mosadzie.

Jednocześnie my w Mosadzie — kontynuował Alan — nie przekazujemy nikomu „jumbo”. Przygotowujemy jedynie pozorne „jumbo”, które przekazuje się na płaszczyźnie osobistej, w zamian za informacje drugiej strony. Przekazanie rzeczywistego „jumbo” jest równoznaczne ze zdradą.

Alan powiedział nam, że w wywiadzie USA ma wielu przyjaciół. „Ale zawsze pamiętam o czymś niezmiernie ważnym” — i tu zrobił małą pauzę, by osiągnąć większy efekt u słuchających. „Gdy siedzę z moim przyjacielem, on nie znajduje się obok swojego przyjaciela”.

To szczere wyznanie było ostatnim zdaniem wykładu.

Następny wykład dotyczył technicznej współpracy między wywiadami. Przy tej okazji dowiedzieliśmy się, że Mosad ma największą zdolność „łamania” wszelkich zamków. Na przykład producenci zamków w Wielkiej Brytanii dają swoje nowe modele do przetestowania w brytyjskim

88

wywiadzie. Ten zaś zwraca się do Mosadu z prośbą o przeprowadzenie badań. Nasi ludzie robią ekspertyzy, z których wynika, że znajdują sposób ich otwierania. Następnie zamki odsyła się wraz z wynikiem ekspertyzy, że są „nie do zdobycia”.

Tego samego dnia Dov L. zabrał nas wszystkich na parking, gdzie stało siedem białych wozów Ford Escort (w Izraelu większość samochodów Mosadu, Shabackn i policji jest biała, choć wówczas szef Mosadu jeździł lincolnem koloru burgunda). Tym razem chodziło o nauczanie się, jak odkryć, że jest się śledzonym za pomocą samochodu. Trzeba to
^wieżyc

i ćwiczyć. Nie ma to bowiem nic wspólnego z tym, co można zobaczyć na filmie lub przeczytać w książce. Można się tego nauczyć tylko podczas zajęć praktycznych.

Naszym obowiązkiem było wciąż upewniać się, że nie jesteśmy śledzeni w drodze z domu do szkoły — rano i ze szkoły do domu — wieczorem.

Następnego dnia Ran S. miał wykład o sayanim, niepowtarzalnym i niezmiernie ważnym czynnikiem działalności Mosadu. Sayanim, czyli pomocnicy, muszą być 100-procentowymi Żydami, żyjącymi za granicą. I choć nie są obywatelami izraelskimi, dociera się do wielu z nich za pośrednictwem ich krewnych w Izraelu. Można np. prosić Izraelczyka, który ma krewnego w Anglii, by napisał list, wspominając w nim, że osoba wioząca przesyłkę jest przedstawicielem organizacji pomagającej Żydów w diasporze. Czyż taki brytyjski krewny odmówi pomocy??

Na świecie są tysiące „pomocników”. Tylko w Londynie jest ich 2000 aktywnie działających i 5000 w rezerwie. Odgrywają wieloraką rolę. Na przykład: sayanim posiadający wypożyczalnię samochodów może {pomóc Mosadowi wynajmując wóz bez koniecznej w takich wypadkach dokumentacji, sayanim pośrednik mieszkaniowy znajduje odpowiedni lokal bez

wywoływania jakichkolwiek podejrzeń, pracujący w banku może dostarczyć potrzebnych pieniędzy nawet w środku nocy, a pomocnik lekarz wyjmie kulę z rany bez informowania o tym policji. Cała idea polega na tym, by mieć cały zestaw użytecznych ludzi, którzy są w stanie zapewnić pewne usługi i będą o nich milczeć ze względu na poczucie lojalności wobec

sprawy Izraela. Za usługi te „pomocnicy” otrzymują pieniądze, ale tylko jako zwrot kosztów. Jednak często katan nadużywają lojalności tych ludzi. Po prostu korzystają z ich pomocy dla osobistych potrzeb, i nie ma możliwości sprawdzenia tego.

89

Nie ma żadnych wątpliwości, że nawet jeśli taki Żyd wie, iż chodzi o Mosad i nie zgadza się na współpracę, nikogo nie wyda. Natomiast katan niczym nie ryzykując, ma do dyspozycji ogromną bazę ludzką dla werbunku. Zapewniają ją miliony Żydów poza granicami Izraela, a o wiele łatwiej jest działać przy pomocy ludzi dostępnych na miejscu. I sayanim dają wszędzie niewiarygodne wręcz praktyczne wsparcie. Jednak nie stawia się ich wobec ryzyka. A także nie udostępnia się im poufnych informacji.

Załóżmy, że podczas jakiejś operacji katan, w celu zamaskowania się, musi mieć sklep z elektroniką. Jeden telefon do sayana z tej branży wystarczy, by sprzęt wartości 3 czy 4 mld dolarów znalazł się w upatrzonym

budynku.

Działalność Mosadu koncentruje się głównie w Europie. Z tego względu pożądanym jest posiadanie adresów handlowych w Ameryce Północnej. Są więc adresy i numery telefonów należące do sayanim. Jeśli katsa musi dać komuś adres czy numer telefonu, posługuje się odpowiednim „pomocnikiem”. Kiedy zaś ten otrzymuje list lub telefon, wie już, co ma z tym zrobić. Są biznesmeni mający po 20 operatorów, którzy odpowiadają na telefony, piszą listy, przekazują wiadomości faksem. I wszyscy pracują dla Mosadu. Mówi się żartem, że 60 proc. operacji takich firm zajmujących się telefonicznym pośrednictwem dla potrzeb Europy zapewnia Mosad. Gdyby więc nie Mosad, interesy te trzeba by zwinąć.

System ten ma jednak pewien słaby punkt. Otóż Mosad nie przejmuje się, że działalność sayanim może stać się w skutkach niszczycielska dla statusu Żydów w diasporze, gdyby cały ten system został ujawniony. Wątpliwości takie są kwitowane krótko: „A cóż złego może się stać tym Żydom? Przyjadą wtedy do Izraela! To wspaniale!”

Katsa pracujący na stacjach odwiedzają bardziej aktywnych sayanim co trzy miesiące. Ci w terenie mają osobiste spotkania z tymi ludźmi dwa do czterech razy dziennie. Do tego dochodzą liczne rozmowy telefoniczne. Cały ten system pozwala Mosadowi pracować tylko ze szkieletowym

personalem. Oto dlaczego, na przykład, stacja KG B zatrudnia w jakimś mieście około 100 ludzi, podczas gdy porównywalna stacja Mosadu potrzebuje tylko sześciu—siedmiu.

Mosad nie posiada stacji we wszystkich krajach, które są obiektem jego zainteresowania. Niektórzy myślą, że stanowi to słabość, ale to nieprawda. Stany Zjednoczone mają na przykład stację w Moskwie, a Rosjanie w Waszyngtonie i Nowym Jorku. Natomiast Izrael nie ma stacji w Damaszku. Po prostu Mosad traktuje jako swój obiekt zainteresowania

90

cały świat poza Izraelem, w tym Europę i Stany Zjednoczone. To podejście dyktuje specyficzny sposób działania. Na przykład arabskie zbrojenia. Otóż większość krajów arabskich nie produkuje własnej broni. Większość z nich nie posiada również wyższych szkół wojskowych. Jeśli chce się zwerbować dyplomatę syryjskiego, nie trzeba tego robić w Damaszku. Można to uczynić w Paryżu. Jeśli chce się zdobyć dane o arabskiej rakiecie,

to otrzymuje się je w Paryżu, Londynie, czy w Stanach Zjednoczonych

— tam, gdzie została wyprodukowana. Od Amerykanów można dostać więcej informacji o Arabii Saudyjskiej niż od samych Saudyjczyków. Cóż bowiem mają Saudyjczycy? AWACS (system obserwacji i zbierania informacji z powietrza — tł.). Ale to są Boeingi. Amerykańskie Boeingi.

Do

czego tu więc potrzebni są Saudyjczycy? Podczas mojej pracy w Instytucie (Mosad — tł.) zwerbowałem w Arabii Saudyjskiej tylko jednego człowieka

— był to attache ambasady japońskiej. To wszystko.

Jeśli natomiast chce się dotrzeć do starszych oficerów arabskich, to studiują oni w Anglii i Stanach Zjednoczonych. Piloci szkolą się w Anglii, Francji i Stanach Zjednoczonych. Komandosi odbywają szkolenia we Włoszech i Francji. To w tych krajach można ich wszystkich werbować. Jest to łatwiejsze i mniej niebezpieczne.

Ran S. uczył nas także o „białych agentach”. Osoby te werbuje się środkami pośrednimi lub bezpośrednimi, tak że mogą one wiedzieć, że pracują dla Izraela, ale mogą też być tego nieświadomi. Z reguły są to nie-Arabowie i zwykle biegli w wiedzy technicznej. W Izraelu panuje przekonanie, że Arabowie nie rozumieją techniki. Wyraża się to nawet w dowcipach.

Jeden z nich opowiada o tym, jak ktoś sprzedaje mózgi: arabski po 150 dół.

za funt i żydowski za 2 dół. Sprzedawca zapytany, dlaczego mózg arabski jest tak drogi, odpowiedział: „Ponieważ mózg arabski nie był prawie używany”. Dowcip ten ilustruje izraelskie widzenie Arabów.

Współpraca z „białymi agentami” jest mniej ryzykowna niż z „czarny-

mi", tj. arabskimi. Arabowie pracujący za granicą są często kontrolowani — ze względów bezpieczeństwa — przez wywiad arabski, a ten jeśli trafia na ślad współpracy Araba z Mosadem, stara się zabić agenta izraelskiego, który utrzymywał ten kontakt. Najgorszym co może się przydarzyć Izraelczykowi pracującemu z „białym agentem” we Francji, jest deportacja. Ale samemu „białemu agentowi” grozi oskarżenie o zdradę. Dlatego trzeba wszystko robić, by go chronić, co nie zmienia sytuacji, że to jemu najwięcej zagraża. Jeśli natomiast pracuje się z Arabem, to obaj są zagrożeni.

91

W Akademii odbywaliśmy też ćwiczenia z samochodami. Nauczyli się techniki zwanej maulter. Chodzi o użycie samochodu w nieprzewidywanych sytuacjach, gdy na przykład nagle trzeba kogoś śledzić, lub gdy dostrzeżę się „ogon”. Gdy więc jest się w mniej znanym rejonie i nie ma z góry ustalonej trasy, należy skrócić w lewo, potem w prawo, jechać, zatrzymywać się, aby upewnić się, czy jest się śledzonym, czy też nie. Wpajano nam też, że nie możemy być „przywiązani” do naszych wozów. Kiedy więc podejrzewamy, że ciągniemy za sobą „ogon”, lepiej jest zaparkować i zaryzykować pieszą wędrówkę.

Inny katsa. Rabie, mówił nam o pracy Stacji Izraelskiej, czyli działającej w Izraelu, ale która zajmuje się Cyprzem, Egiptem, Grecją

i Turcją. Katsa tej stacji nazywani są skoczkami, ponieważ działają z głównej kwatery w Tel Awiwie, werbują agentów i sayanim oraz kierują nimi doskakując tylko na kilka dni do tych krajów. Stanowią one niebezpieczny obszar dla naszego działania, gdyż tamtejsze rządy skłaniają się w kierunku OWP.

Stacja Izraelska nie ma najlepszej opinii wśród katsa. Ran S. w swoim wykładzie nie wyrażał się dobrze o jej pracy. Ironia losu sprawiła jednak, że sam później stanął na jej czele.

*

Dla odprężenia organizowaliśmy rozgrywki sportowe ze słuchaczami z innego kursu w szkole — dla urzędników, operatorów komputerowych, sekretarek i innego personelu pomocniczego. Przekazywano im podstawową wiedzę o pracy organizacji, ale traktowali swoje zajęcia znacznie poważniej niż my.

Staraliśmy się jednak nie dopuszczać ich do stołu pingpongowego, bo sami go często zajmowaliśmy. Chowaliśmy przed nimi piłeczki i rakiety, ale

graliśmy z nimi w koszykówkę.

My, kadeci, walczyliśmy o punkty zażarcie. Do nas należał facet, który zapisywał wyniki. Dzięki temu zawsze wygrywaliśmy. Inni by protestowali, ale oni i tak z nami grali w każdy wtorek.

Tymczasem naszych zajęć było coraz więcej. Gdy nauczyliśmy się, jak pracować z potencjalnym agentem po nawiązaniu pierwszego kontaktu, wyjaśniono nam zasady postępowania w kwestiach finansowych. Na przykład jeszcze przed zaangażowaniem trzeba ustalić sytuację finansową agenta. Nie wolno sypać pieniędzmi, gdyż od razu rodzi to podejrzenia. Na przykład nowo zwербowany agent wraca do jakiegoś kraju, gdzie angażu-

92

jemy go na dwuletni kontrakt. Mosad ma mu płacić 4000 dolarów miesięcznie. Ale bez zwracania uwagi może on zużyć dodatkowo tylko tysiąc dolarów. Otrzymuje więc na rok 12 tyś. dolarów, resztę zaś, tzn. 36 tyś. dolarów, katsa kieruje na konto w Londynie. Takiej operacji dokonuje się także w następnym roku. W ten sposób agent ma na swoje bieżące wydatki bezpieczną kwotę, a równocześnie zapewnia mu się odpowiednie środki finansowe (w ciągu dwóch lat 72 tyś. dolarów) na przyszłość. W ten sposób katsa łączy agenta ze sobą, a równocześnie chroni swoje interesy.

Do stałego uposażenia dochodzą specjalne premie — za szczególnie

ważne informacje. Wysokość premii zależy od znaczenia informacji, a także statusu agenta. Z reguły chodzi o sumy od 100 do 1000 dolarów, ale na przykład syryjski minister może otrzymać od 10 do 20 tysięcy.

Każdy z 30—35 katsa ma co najmniej 20 agentów. Razem jest ich więc ponad 600. Minimalna płaca wynosi średnio 3 tyś. dolarów plus drugie tyle

jako premie. Wielu otrzymuje jednak znacznie więcej i oblicza się, że na same tylko płace agentów trzeba ok. 15 mln dolarów miesięcznie. Do tego dochodzą wydatki na rekrutację, bezpieczne domy, przeprowadzanie operacji, pojazdy itd. — razem są to setki milionów dolarów miesięcznie.

Katsa łatwo wydaje 200—300 dolarów dziennie na obiady i kolacje.

Wszystkie wydatki jednodniowe mogą wynieść 1000 dolarów. W ciągu miesiąca tworzy to sumy ok. 30 tyś.—35 tyś. dolarów. Nie licząc pensji katsa — w zależności od stopnia od 500 do 1500 dolarów miesięcznie.

Nie można więc powiedzieć, by wywiad mało kosztował.

Potem Dov uczył nas, jak konstruować „bezpieczną trasę”. Chodzi o trasę, którą zabezpiecza ktoś inny. Zaznajomiliśmy się ze współdziałaniem z ^an'/(zespołem bezpieczeństwa operacyjnego) i oglądaliśmy długie filmy szkoleniowe na ten temat.

Zespoły yarid składają się z 5—7 ludzi. Wówczas były trzy takie zespoły. Podczas pobytu w Europie ich bossem jest szef bezpieczeństwa europejskiego.

Zajęcia miały nam ukazać wsparcie, jakiego yarid może udzielić katsa. ale także, jak samemu zabezpieczyć trasę, jeśli yarid jest nieosiągalny. Kiedy nauczyłem się tego wszystkiego, otworzył się przede mną nowy świat. Chadzałem w Tel Awiwie do kawiarni, ale teraz dopiero dostrzegłem na ulicach działalność, której przedtem nie widziałem — a więc policję śledzącą ludzi. Dzieje się to zawsze, ale bez szkolenia nic się nie widzi.

93

Z kolei Yehuda Gil wykladał nam o subtelnościach procesu werbowania. Gil był legendarnym katsa i Riff przedstawił go nam jako „mistrza"*). Gil rozpoczął od stwierdzenia, że w rekrutacji najważniejsze są trzy „haczyki": pieniądze; uczucia, bądź zemsta, lecz również ideologia; seks.

Pamiętajcie, że zawsze należy postępować powoli i delikatnie, mówił. Trzymajcie sami siebie za rękę. Powiedzmy, że masz na oku kogoś z mniejszości w danym kraju, kogoś, kto był źle traktowany i pragnie odwetu. Oczywiście można go zwerbować. A kiedy dasz mu pieniądze, a on je weźmie, już wiesz, że został zwerbowany, z czego on też zdaje sobie sprawę. Każdy rozumie, że nikt nie daje pieniędzy za nic, a nikt nie weźmie

pieniędzy, zanim nie zdecyduje się wcześniej coś w zamian dać.

Albo seks. Jest bardzo użyteczny, ale nie można go traktować jako sposobu zapłaty, bo większość ludzi, których werbujemy, to mężczyźni. A jest takie powiedzenie: „Kobiety dają i przebaczą, mężczyźni zaś biorą i zapominają”. Oto dlaczego seks nie jest środkiem płatniczym. Pieniądze tak, bo nikt ich nie zapomina.

Nawet jeśli coś dobrze idzie, podkreślał Gil, to nie znaczy, że przyjęta metoda jest prawidłowa. Jeśli jest prawidłowa, to funkcjonuje w każdej sytuacji, jeśli zaś zła, tylko czasami daje pozytywne rezultaty. Przykładem jest historyjka o 'obotniku arabskim — oter, który organizował spotkanie z facetem mającym być zwerbowanym. Gil, występujący jako biznesmen, znajdował się w samochodzie. Oter, długo już pracujący dla Mosadu, przyprowadził ov'ego os"l>nika. Przedstawił Gila jako Alberta, a kandydata na aęenta jako Ahmecta. I powiedział Ahmedowi:

— To jest facet z wywiadu izraelskiego. Mówiłem ci już o nim,

do Gila:

— Albert, Ahmed chce pracować dla ciebie za 2000 dolarów miesięcznie. 2^robi wszystko, czego chcesz.

Oterowii', zawsze Arabowie, są niezwykle potrzebni. Tylko nieliczni

katsa mówią po arabsku, a przy tym Arabowi jest znacznie łatwiej zainicjować pierwszy kontakt z innym Arabem. Oter przełamuje pierwsze lody. Ten typ agenta jest więc niezwykle pożyteczny.

W tej historyjce bezpośrednia technika zaowocowała. Ahmed został zwerbowany, ale naturalnie nie zostało to zrobione we właściwy sposób. Gil uczył nas, że w trakcie werbunku trzeba działać tak, jak nakazują istniejące warunki, a wszystko biec będzie w sposób naturalny. Na

*) Patrz Prolog: Operacja Sfinks; rozdz. 12: Szach i mat; rozdz. 15: Operacja Mojżesz.

94

przykład wiadomo, że człowiek, którego chce się zwerbować, będzie w Paryżu określonego wieczoru w bistro. Wiadomo też, że facet ten mówi po arabsku. Gil siada niedaleko niego, a obok przy barze zajmuje miejsce oter. Niby niespodziewanie oter zauważa Gila i pozdrawia go. Zaczynają rozmawiać po arabsku. Jak można było przewidzieć, ów facet włącza się. Gil i oter wiedzą już wiele o kandydacie na agenta. Kierują więc rozmową tak, by wywołała jego zainteresowanie.

W pewnym momencie Gil mówi do otera:

— Czy spotkasz się dziś ze swoją dziewczyną?

• — Tak, ale przyjdzie z przyjaciółką, nie możemy więc tego robić przy

niej. Może ty przyjdiesz też, co?

Gil odpowiada, że nie może, bo jest zajęty. W tym momencie ten trzeci najprawdopodobniej wtrąca, że jest wolny! Po to właśnie odegrana jest cała

Scenka. W ten sposób otwarta zostaje droga do werbunku.

Pamiętajcie o tym sposobie, kontynuował Gil. Gdyby to samo stało się w jakimś barze w Paryżu, ale po hebrajsku, to być może wy bylibyście zwerbowani. W obcym kraju każdy zawsze łączy do mówiących jego ojczystym językiem.

Zabieg zmierzający od początkowego kontaktu musi wyglądać tak naturalnie, by upatrzony człowiek, nawet jeśli później cofnie się pamięcią, nie dostrzegł niczego dziwnego. Dzięki temu, jeśli nic z tego nie wyjdzie, nie jest spalony. Człowiek upatrzony do werbunku nie może zdawać sobie sprawy, że jest obiektem jakiegoś działania. Ale jeśli już dochodzi do bezpośredniej znajomości, tak jak z owym człowiekiem w paryskim bistro, wcześniej trzeba go dokładnie rozpracować, znać jego upodobania i niechęci, a także plany na wieczór, w którym następuje niespodziewane spotkanie. Należy bowiem usunąć czynniki przypadkowości i wszystko to, co grozi ryzykiem.

Z kolejnym ważnym wykładem wystąpił Yccak Knafy. Przyniósł ze

sobą zestaw ilustracji w celu wyjaśnienia wsparcia logistycznego, jakie otrzymuje tsomet (wydział rekrutacji) w trakcie operacji. Mowa była o łącznikach, pieniądzach, samochodach, mieszkaniach itd. Ale najważniejszym wsparciem jest zaplecze dokumentacyjne. Na przykład katsa może występować jako właściciel wytwórni butelek albo członek kierownictwa zagranicznej filii IBM. Ta kompania jest bardzo dobra, gdyż jej rozmiary pozwalają ukryć się na tym stanowisku przez lata. Mamy nawet magazyny IBM, które dają nam wsparcie w nagłych wypadkach. Mamy pracowników i biuro — absolutnie wszystko — a IBM nic o tym nie wie.

95

Jednak założenie jakiegoś biznesu, nawet fałszywego, nie jest proste. Potrzebne są wizytówki, papier firmowy, telefon, telex itd. Mosad ma w archiwum cały zestaw „interesów” — z adresami, numerami rejestracyjnymi — tylko czekających na ożywienie. Mosad trzyma nawet w tych firmach pewne sumy pieniężne wystarczające do tego, by móc zaksięgować podstawowe wydatki i uniknąć wywołania podejrzeń. Mosad ma w pogotowiu setki takich „interesów” na całym świecie.

W głównej kwaterze Mosadu znajduje się pięć pomieszczeń wypełnionych dokumentacją kompanii — atrap. Odpowiednie teczki złożone w segregatorach ułożone są w porządku alfabetycznym. Każde z tych pomieszczeń ma osiem rzędów półek, a na każdej z nich znajduje się 60 pudełek. Dokumentacja ta obejmuje historię każdej firmy, finansowe

sprawozdania, dane rejestracyjne itp. — wszystko, co katsa powinien wiedzieć o firmie.

*

W szóstym miesiącu kursu mieliśmy zebranie nazwane b a b l a t, co jest skrótem hebrajskiego biłbul baitsim (w wolnym przekładzie —przerzucanie się piłkami, albo po prostu gadanie i gadanie o wszystkim).

Zebranie trwało pięć godzin.

Dwa dni wcześniej podczas jednego z ćwiczeń otrzymaliśmy z Arikem F. polecenie, by posiedzieć w kawiarni przy ulicy Henrietty Sold niedaleko Kiker Hamdina. Spytałem Arika, czy przybył tu „czysty” (bez „ogona”).

Zapewnił mnie, że tak jest.

— Okay — odpowiedziałem —ja jestem czysty, ty twierdzisz, że tak samo jest z tobą. Dlaczego jednak tamten facet obserwuje nas? Według mnie to koniec. Wychodzę.

Arik opierał się, mówiąc, że nie możemy wyjść i musimy czekać, dopóki nas nie zabiorą.

— Jeśli chcesz, to pozostań. Ja się stąd wynoszę!

Arik zarzucił mi, że popełniam błąd, ale powiedziałem mu tylko, że czekam na niego w Kiker Hamdina.

Dałem mu 30 minut. Miałem sporo czasu, więc przeszedłem trasę, sprawdziłem, czy jestem czysty, wróciłem i wszedłem na dach domu, skąd miałem widok na lokal, który opuściłem. Po kilku minutach wszedł tam mężczyzna, na którego mieliśmy czekać. I prawie zaraz potem samochody policyjne-otoczyły to miejsce. Wywlekli Arika i tego drugiego na zewnątrz.

Widziałem, jak ich tłuką. Zadzwoiłem po pogotowie. Dowiedziałem się potem, że cały ten epizod był wspólnym ćwiczeniem Akademii Mosadu i tajnego wydziału policji Tel Awiwu. My byliśmy tylko przynętą.

96

Arik miał wówczas 28 lat, mówił po angielsku i przypominał porwanego (w Libanie — tł.) wysłannika kościoła anglikańskiego. Przed naszym kursem pracował w wywiadzie wojskowym. Był to największy kłamca na ziemi. Kiedy mówił „dzień dobry”, lepiej było najpierw sprawdzić przez okno, czy to rzeczywiście dzień. Podczas incydentu z policją Arikowi nie dostało się tak mocno, bo bardzo dużo mówił,

niewątpliwie zresztą kłamiąc. Natomiast drugi chłopak, Jakub, ograniczył się tylko do słów: „Zupełnie nie wiem, czego chcecie”. Olbrzymi glina tak go rąbnął, że głowa trzasnęła o mur. Efektem tego było pęknięcie czaszki. Chłopak przez dwa dni był nieprzytomny, a potem leżał w szpitalu sześć tygodni. Otrzymał wynagrodzenie za następny rok, ale opuścił kurs.

To bicie przypominało zawody. Gliny chciały wykazać, że są lepsi niż my. To było gorsze, niż gdybyśmy naprawdę zostali zatrzymani. Dowódcy po obu stronach rozmawiali: „Zakładam się, że nie złamiecie moich chłopców”. „O, tak? jak daleko mogą się posunąć?” — zapytywał ten z policji.

Podczas b a blat skarżyliśmy się, że nie było powodu do takiego bicia. W odpowiedzi poinstruowano nas, że jak wpadamy, to nie należy się opierać, a tylko trzeba mówić. Zapewniano nas, że dopóki gadamy, krzywda nam nie grozi. A zawsze, kiedy jesteśmy na ćwiczeniach, istnieje groźba pochwylenia nas przez gliny. To wszystko nauczyło nas zachowywania dużej ostrożności.

Pewnego dnia zapowiedziano nam wykład Marka Hessnera o wspólnych operacjach, takich jak „Operacja Ben Bakera”, którą Mosad przeprowadził razem z wywiadem francuskim. Wraz z kumplami postanowiłem wgryźć się w temat. W przeddzień wykładu, wieczorem, już po zajęciach, wróciliśmy do Akademii i poszliśmy do „bezpiecznego pomieszczenia”, do pokoju nr 6 na piętrze, bo tam znajdowały się potrzebne nam

dokumenty. Był to miły piątkowy wieczór w sierpniu 1984 r. Tak zaczytaliśmy się, że gdy wychodziliśmy, była już północ. Skierowaliśmy się do naszego samochodu, który stał przy jadalni. Nagle od strony basenu rozległy się głośne krzyki.

— Co u diabła? — spytałem Michela.

— Chodźmy zobaczyć.

— Czekaście. Bądźcie cicho — przestrzegł Heim.

— Chodźmy z powrotem do budynku. Z okna zobaczymy, co się dzieje — zaproponowałem.

Wyznania szpiega

97

Wkradliśmy się do budynku i dotarliśmy do okna łazienki, w której przetrzymywano mnie podczas jednej z prób przed kursem.

Nigdy nie zapomnę tego, co teraz zobaczyłem. Wokół basenu zabawiało się około 25 osób i nikt nie miał na sobie nawet skrawka odzieży.

Dojrzałem zastępcę szefa Mosadu — obecnie już szefa. Także Hessnera.

I różne sekretarki. To było niesamowite. Niektórzy z mężczyzn nie prezentowali się najlepiej, ale większość dziewcząt robiła znakomite wrażenie. Muszę przyznać, że wyglądały znacznie lepiej niż w mundurach. Większość z nich to 18—20-letnie dziewczęta odbywające służbę wojskową, przydzielone do biura.

Jedni bawili się w wodzie, inni tańczyli, a jeszcze inni pieprzyli się na rozłożonych kocach. Nigdy nie widziałem czegoś takiego.

— Zapiszmy wszystkich — zaproponowałem. Heim zasugerował, by przynieść aparat fotograficzny. Michel jednak sprzeciwił się. Yosy zgodził się, a Heim przyznał, że zrobienie zdjęć byłoby niemądre.

Staliśmy tam ze 20 minut. Widzieliśmy, jak mosadowcy, najwyżsi rangą, wymieniali się partnerkami.

To naprawdę wstrząsnęło mną. Nie oczekiwałem tego. Ci ludzie byli przecież dla nas bohaterami, podziwialiśmy ich, a teraz widzimy ich, jak zabawiają się w sex-party. Pamiętam jednak, że Heim i Michel nie byli specjalnie zbulwersowani.

Po cichu wyszliśmy, wsiedliśmy do samochodu i popchnęliśmy go do bramy. Zapaliliśmy silnik dopiero w dole pagórka.

Przekonaliśmy się potem, że takie zabawy stale się tam odbywają. Cały teren wokół basenu jest najbardziej strzeżonym miejscem w Izraelu.

Nikt spoza Mosadu nie dostanie się tam. Cóż złego może się więc zdarzyć?

Że jakiś kadet to zobaczy? No to co? Zawsze można zaprzeczyć.

Następnego dnia trudno było usiedzieć w szkole i słuchać wykładu Hessnera. Przecież, jego też widzieliśmy w nocy. Zadałem mu jedno pytanie.

Musiałem to zrobić:

— Jak plecy?

— Dlaczego pytasz? — odpowiedział.

— Bo wydaje mi się, że masz trudności w chodzeniu.

Heim spojrział na mnie, tłumiąc śmiech.

Po raczej przydługim i nudnawym wykładzie Hessnera wysłuchaliśmy innego — o militarnej strukturze Syrii. I podczas tego zajęcia trudno było powstrzymać się od snu. Gdybyśmy byli na Wzgórzach Golan, to mogłoby nas to zainteresować. Cały ten kit o tym, gdzie są rozmieszczeni Syryjczycy,

98

był nużący, chociaż pojęliśmy ogólny obraz i

w rzeczywistości chodziło.

- jak się wydaje — o to

Następnym przedmiotem było zabezpieczanie spotkań w krajach pobytu. Na pierwszym wykładzie temat ten zilustrowano nam wyprodukowanym przez Mosad filmem szkoleniowym. Film nie wywarł na nas wrażenia. Pokazywał ludzi siedzących w restauracji. Ważnym jest natomiast nauczenie się, jak wybierać restaurację na spotkanie i kiedy je organizować. Przed spotkaniem należy upewnić się, czy nikt nas nie obserwuje. Jeśli ma to być spotkanie z agentem, to on musi wejść pierwszy, by upewnić się, że jest „czysty”. Każdy ruch w tym biznesie rządzi się swoimi prawami. Jeśli naruszysz je, możesz stać się trupem. Jeśli czekasz na agenta w restauracji, jesteś siedzącym celem. Nawet gdy agent idzie do toalety, lepiej nie czekać na jego powrót.

Tak stało się kiedyś w Belgii, gdzie katsa Cadok Offir umówił się z agentem arabskim. Siedzieli już kilka minut, gdy Arab powiedział, że musi iść, by coś przynieść. Kiedy wrócił, Offir wciąż znajdował się na swoim miejscu. A agent wyciągnął pistolet i wypełnił Offira ołowiem. Offir przeżył jakimś cudownym sposobem, a agent został później zabity w Libanie. Offir opowiada zaś tę historię każdemu, kto chce słuchać, by pokazać, jak niebezpieczne może być nawet najmniejsze potknięcie.

Stale nas uczono, jak zapewniać sobie bezpieczeństwo. Mawiano nam:

Uczycie się teraz jazdy na rowerze. Kiedy wyjdziecie stąd, już nie będziecie myśleć, jak jeździć. Przyjdzie wam to samo.

Idea werbowania przypomina spadający z góry kamień. Posługiwaliśmy się słowem *l e d a r d e r*, co oznacza, że stojąc na szczycie spycha się kamień. Podobnie odbywa się werbowanie. Przyciągasz kogoś do siebie, a potem powodujesz, że stopniowo robi coś nielegalnego lub niemoralnego. Spychasz go właśnie z góry. Ale gdy ma on poczucie własnej wartości, nie pomoże ci. I nie można się nim posłużyć. Zaś wszystko polega na tym, by ludzi wykorzystywać. Ale przedtem trzeba ich urobić. Jeśli facet nie pije, nie przepada za seksem, nie potrzebuje pieniędzy, nie ma żadnych problemów politycznych i jest w życiu szczęśliwy, nie nadaje się do zwerbowania. To, co robisz, jest pracą ze zdrajcami. Agent jest zdrajcą, niezależnie od argumentów, jakie sam sobie podsuwa. Mawiamy, że nie szantażujemy ludzi. Nie ma takiej potrzeby. Po prostu nimi manipulujemy.

Nikt zresztą nie mówi, że to jest ładne zajęcie.

Rekruci

Na początku marca 1984 roku nadszedł wreszcie moment opuszczenia ławy szkolnej.

W tym momencie było nas jeszcze na kursie trzynastu. Dzieliliśmy się na trzy zespoły, z których każdy mieszkał w innym mieszkaniu w Tel Awiwie lub jego okolicy. Mój zespół mieszkał w Givataim. Drugi w centrum niedaleko ulicy Dizengoffa. Trzeci — przy alei Ben Guriona, w północnej części miasta.

Każde mieszkanie miało być zarazem bezpiecznym domem i stacją. Moje znajdowało się na czwartym piętrze, w domu bez windy. W największym pokoju był balkon. Drugi znajdował się przy kuchni. Mieszkanie miało dwie sypialnie, łazienkę i oddzielnie ubikację. Było skromnie umeblowane, a należało do przebywającego za granicą katsa.

Odpowiedzialnym za ten lokal był Shai Kauły. Poza mną przydzieleni do niego byli następujący rekruci: psycholog — Tsvi G., Arik F., mój partner — Avigdor A. i językoznawca imieniem Ami, do którego widocznych braków należało i to, że w środowisku, w którym nieprzerwane palenie uważano za nakaz obyczaju, pozostawał zręcznym niepalącym.

Ami był kawalerem z Hajfy. Wyglądał jak aktor filmowy i panicznie

obawiał się, by go ktoś nie zbił. Nie rozumiem, jak mógł przejść podstawowe próby,

Przybyliśmy około dziewiątej rano ze spakowanymi walizkami. Każdy miał w kieszeni 300 dolarów — poważną sumę, jeśli się zważy, że płaca poborowego wynosiła wówczas 500 dolarów miesięcznie.

Byliśmy niezadowoleni, że wśród nas znalazł się taki słabeusz jak Ami. Zaczęliśmy więc rozmawiać o tym, co należy robić, gdyby przyszła policja,

100

jak przygotować się na ból, wszystko to po to, żeby Ami poczuł się jeszcze bardziej nieswojo. Bawiło to takich łobuzów, jakimi byliśmy.

Gdy zapukano do drzwi, Ami zerwał się, nie umiejąc ukryć napięcia. Przybyłym był Kauły, który przyniósł dla każdego z nas małą kopertę z papieru pakowego. Ami wrzasnął do niego: „mam tego dość!” Kauły polecił mu zgłosić się do szefa akademii, Araleh Sherfa.

Później posłano Amiego do grupy przy ulicy Dizengoffa. Ale gdy pewnej nocy przybyła tam policja i zaczęła walić w drzwi, wstał i rzekł: „To mi ostatecznie dojadło!” Wyszedł i nigdy nie wrócił.

Zostało nas tylko dwunastu.

Koperty Kauly'ego zawierały polecenia dla nas. Dostałem zadanie skontaktowania się z niejakim Mikem Hararim. Nazwisko to wówczas niczego mi nie mówiło. Miałem też zebrać informacje o kimś zwanym wśród przyjaciół „Mikey”, byłym pilocie-ochotniku z czasów wojny wyzwoleniczej z końca lat czterdziestych.

Kauly powiedział, że mamy sobie wzajemnie pomagać przy wypełnianiu naszych zadań. Pociągało to za sobą opracowanie planu działań i zorganizowanie zabezpieczenia naszego lokalu. Każdy z nas dostał jakieś dokumenty oraz kilka formularzy do raportów. Ja znów byłem „Simonem”.

Przede wszystkim musieliśmy wymyśleć schowek na nasze papiery. Potem opracować historyjkę tłumaczącą obecność nas wszystkich w mieszkaniu, gdyby skontrolowała je policja. Najłatwiej było wymyśleć „uzasadnienie łańcuchowe”. Miałem powiedzieć, że pochodzę z Holon, przybyłem do Tel Awiwu i spotkałem w kawiarni właściciela tego mieszkania, Jacka. Opowiedziałbym, że Jack pozwolił mi korzystać z mieszkania, gdyż właśnie wyjeżdżał na dwa miesiące za granicę. Potem spotkałem w restauracji Arika, którego znam z okresu odbywania służby wojskowej w Hajfie i on też zamieszkał ze mną. Z kolei Avigdor mógłby być przyjacielem Arika i oni znów wymyśliliby jakąś wspólną historię itd., żeby to przynajmniej

brzmiało prawdopodobnie. Kauly'emu powiedzieliśmy, że swoją historjkę musi wymyśleć sam.

Skrytkę zrobiliśmy w naszym stole w dużym pokoju. Był to jeden z tych stołów o konstrukcji ramowej, ze szklaną szybą na drewnianym blacie. Starannie dopasowaliśmy drugi, fałszywy blat. Wystarczyło unieść szkło i odsunąć deskę. Było to łatwo dostępne, a jednocześnie mało kto wpadłby na pomysł, żeby tam zaglądać.

101

Uzgodniliśmy też specjalny sposób pukania do drzwi — dwa uderzenia, potem jedno, znów dwa i znów jedno, aby wiadomo było, że u drzwi jest ktoś ze swoich. Przed powrotem do domu telefonowaliśmy i przekazywaliśmy zaszyfrowaną wiadomość. Jeśli nikogo nie było w domu, żółty ręcznik wiszący na sznurku do suszenia bielizny na balkonie kuchennym stanowił znak, że wszystko jest bezpieczne.

Nastrój był doskonały. Czuliśmy się, jakbyśmy dostali skrzydeł. Nawet jeśli były to wciąż ćwiczenia, to pracowaliśmy już naprawdę.

Tego dnia, zanim jeszcze Kauly wyszedł, przygotowaliśmy plany przystąpienia do realizacji naszych celów i zebrania potrzebnych do nich informacji. Ponieważ znaleźliśmy adresy, pierwszą rzeczą była obserwacja. Avigdor poszedł obejrzeć dla mnie dom Harariego, a ja poszedłem obserwować przydzielonego Arikowi właściciela firmy zwanej „Zabawki

Bukisa".

O Hararim wiedziałem tylko, jak się nazywa i gdzie mieszka. Nie było go w książce telefonicznej. Natomiast znalazłem jego nazwisko w książce „Kto jest kim w Izraelu”. Nie było tam wielu informacji. Był prezesem jednego z największych towarzystw ubezpieczeniowych w kraju, zwanego „Migdal”. Centrala towarzystwa znajdowała się niedaleko dzielnicy zwanej Hakiryra, w której znajduje się wiele urzędów. Notatka podawała też, że żona Harariego pracuje w bibliotece uniwersytetu telawińskiego.

Postanowiłem starać się o pracę w towarzystwie „Migdal”. Skierowano mnie do wydziału kadr. Czekaając w kolejce przyglądałem się człowiekowi mniej więcej w moim wieku, który pracował w biurze obok. Słyszałem, jak ktoś mówił do niego „Jakub”.

Wstałem, wszedłem do biura i powiedziałem:

~- Jakub?

— Tak — powiedział. — Kim jesteś?

— Jestem Simon, pamiętam cię, byliśmy w Tel Haszomer. (Wymieniłem główną wojskową bazę rekrutacyjną, przez którą przechodzą wszyscy w Izraelu).

— W którym roku byłeś tam? — spytał.

Zamiast odpowiedzieć wprost, rzekłem: — Jestem 203. (Jest to początek numeru, który określa grupę poborową, a nie konkretny rok czy miesiąc).

— Ja też jestem 203.

— Lotnictwo?

— Nie. Czołgi!

102

— Oooo — powiedziałem śmiejąc się — toś ty wylądował w pongo (pongo jest to wyrażenie hebrajskie, nawiązujące do nazwy grzybów i określające ludzi przebywających w czołgach, gdzie jest zawsze ciemno, a często i wilgotno).

Powiedziałem, że trochę znam Hararię i zapytałem Jakuba, czy mają wolne miejsca pracy.

— Ależ tak, angażują sprzedawców.

— Harari jest nadal prezesem?

— Nie. Nie — odrzekł i wymienił kogoś innego.

— O, a co robi Harari?

— Jest dyplomatą — rzekł Jakub. — Ma też poważną firmę importowo-eksportową w gmachu KUR. — To zwróciło moją uwagę, gdyż Avigdor doniósł, że widział przed domem Harariego mercedesa z białą — dyplomatyczną — tablicą rejestracyjną. Wtedy byłem zdumiony. W Izraelu osoba o hebrajskim nazwisku zadająca się z obcymi dyplomata-
mi była kimś bardzo podejrzanym. Wszystkich akredytowanych dyploma-
tów uważa się tam za szpiegów. Dlatego na przykład żołnierz izraelski,
który podróżuje autostopem, nie może korzystać z samochodu z rejestracją
dyplomatyczną. Gdyby to zrobił, stanąłby przed sądem wojennym. Gdy
Avigdor zobaczył mercedesa przed domem Harariego, nie wiedzieliśmy,
że
był to jego wóz i sądziliśmy, że należy do jakiegoś gościa.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę z Jakubem, aż przyszła kobieta, która
powiedziała, że zbliża się moja kolejka do rozmowy w sprawie zatrudnie-
nia. Nie chcąc wywoływać podejrzeń, poszedłem, ale rozmowę specjalnie
zawaliłem.

Wiedziałem więc na razie, że żona Harariego pracuje w uniwersytecie
telawiwskim, a on sam jest dyplomatą. Ale gdzie? Dla kogo? Mogłem
oczywiście śledzić jego wóz, ale jeśli Harari był dyplomatą, to prawdopo-
dobnie miał przeszkolenie wywiadowcze. Nie chciałem się dać spalić przy

pierwszym ćwiczeniu.

Następnego dnia powiedziałem Kauly'emu, że wykonam moje zadania po kolei: naprzód nawiążę kontakt z Hararim, a potem ustalę, kim jest „Mikey”.

Gdy wychodziliśmy z mieszkania, istniała zawsze możliwość, że ktoś nas śledzi. Jeśliby się tak zdarzyło, mieliśmy obowiązek przestrzec innych w bezpiecznym domu, że przestał on być bezpieczny. Oczywiście każdy z nas wiedział, dokąd idą inni. Składaliśmy przecież raporty Shai Kauly'emu.

103

W tym czasie mogłem ubezpieczać działania nawet przez sen. Czwartego dnia, gdy kierowałem się do gmachu KUR — zauważyłem, że koło dzielnicy Hakiryja ktoś mnie śledzi. Ze względów bezpieczeństwa jeździłem zwykle autobusem z Givataim do Derah Petha Tikvah. Wsiadałem na rogu przecinającej Hakiryja ulicy Kapłana.

Tego dnia przed wsiadaniem do autobusu w Givataim przeszedłem się robiąc kółko. To samo zrobiłem, gdy wysiadłem. Spojrzałem w prawo i nie ujrzałem niczego. Ale po lewej stronie zauważyłem kilku ludzi w samochodzie na parkingu. Wyglądali podejrzanie, więc pomyślałem „dobrze,

wykiwam ich".

Szedłem w kierunku południowym wielką aleją Derah Petha Tikvah. Ma ona po trzy pasma ruchu w obu kierunkach. W tej sytuacji samochód z parkingu musiał wysunąć się przede mnie albo zgubić mnie.

Doszedłem do miejsca, gdzie nad aleją biegnie kładka przy budynku Kalka. Było około 11.45 w południe i natężenie ruchu było bardzo duże. Wszedłem na kładkę, zatrzymałem się i ujrzałem, że nie spodziewający się,

iż popatrzę w dół, kierowca samochodu przygląda mi się. Był też ktoś za mną, ale nie mógł zbliżyć się do mnie tak, żebym go nie zauważył. Z drugiej

strony kładki czekało na mnie dwóch ludzi, jeden, który poszedłby za mną, gdybym skierował się na północ, drugi — gdybym szedł na południe. Wszystko to widziałem wyraźnie z mego punktu obserwacyjnego na kładce.

Pod kładką był odcinek ulicy, na którym samochody mogły zawracać. Zamiast przejść kładkę, stuknąłem się w głowę, jakbym czegoś zapomniał, po czym zawróciłem i poszedłem z powrotem do ulicy Kapłana. Dostyc powoli, żeby dać im możliwość dogonienia mnie. Zachichotałem, gdy usłyszałem głosy klaksonów pod mostem, kiedy śledzący mnie samochód usiłował zawrócić wśród intensywnego ruchu.

Jedyne, co mogli zrobić na ulicy Kapłana, to jechać równolegle do

mnie. Przeszedłem połowę ulicy, do posterunku wojskowego przed Bramą Wiktora (noszącą imię mego dawnego starszego sierżanta), następnie przebiegłem przez ulicę do kiosku, w którym kupiłem nadziewaną bułeczkę drożdżową i wodę sodową z sokiem.

Stojąc przed kioskiem, widziałem, jak samochód powoli zbliża się. Poznałem, że kierowcą jest Dov L. Skończyłem swoją przekąskę, podszedłem do samochodu, który beznadziejnie utkwiał w korku i opierając się na jego masce wszedłem na chodnik i poszedłem dalej. Słyszałem, jak Dov

104

nacisnął kilka razy klakson, jakby mówił: Dobra, jeden zero dla ciebie, wygrałeś!

Byłem zachwycony. To było naprawdę zabawne. Później Dov powiedział mi, że nikt jeszcze nigdy tak go nie wykiwał i był szczerze zakłopotany.

Po upewnieniu się, że jestem „czysty”, wziąłem taksówkę do innej dzielnicy Tel Awiwu, gdzie mogłem się przespacerować i upewnić, że wszystko to nie było sztuczką mającą na celu osłabienie mojej uwagi. Następnie wróciłem do budynku KUR i podałem w portierni, że jestem umówiony z Mikem Hararim. Skierowano mnie na czwarte piętro, gdzie

mała tabliczka informowała o morskich przewozach importowo-eksportowych.

Postanowiłem pójść w czasie przerwy śniadaniowej, gdyż w Izraelu kierownictwo rzadko zostaje w biurze na lunchu. W tym momencie chciałem tylko porozmawiać z sekretarką, dostać numer telefonu i trochę informacji.

Szczerliwie w biurze nie było nikogo poza nią. Powiedziała mi, że w zasadzie firma zajmuje się przewozami towarów własnych, przeważnie z Ameryki Południowej. Niekiedy jednak przyjmowała przypadkowe przesyłki lub cudze ładunki, którymi uzupełniała ładownie.

Powiedziałem, że dowiedziałem się w towarzystwie ubezpieczeniowym, że Harari pracuje w firmie.

— O, nie — powiedziała. — Jest współnikiem, ale nie pracuje tu. Jest ambasadorem panamskim.

— Och, przepraszam (to zła odpowiedź, ale dałem się zaskoczyć), myślałem że jest Izraelczykiem.

— Ależ jest, ale jest też honorowym ambasadorem Panamy.

Wyszedłem, przemierzyłem swoją trasę i napisałem pełny raport

o tym, co robiłem tego dnia.

Gdy przyszedł Kauły i zapytał, co zdobyłem, chciał się dowiedzieć, jak zamierzałem nawiązać kontakt.

— Pójdę chyba do ambasady panamskiej.

— Dlaczego?

— Wymyśliłem już plan!

Archipelag Perłowy u brzegów Panamy jest siedzibą bogatych hodowli perłopławów. W Izraelu Morze Czerwone doskonale nadaje się do takiej hodowli. Jest spokojne, ma właściwą zawartość soli, a nie opodal, w Zatoce Perskiej, jest mnóstwo ostryg perłowych. Nauczyłem się tego wszystkiego w bibliotece, w szczególności poznałem technikę produkcji pereł hodowlanych. Chciałem więc udać się do ambasady jako rzekomy

105

wspólnik bogatego amerykańskiego biznesmena, który chce założyć fermę perłową w Ejlacie. Dla zapoczątkowania produkcji chcieliśmy sprowadzić do Izraela cały kontener perłopławów ze względu na wysoką jakość pereł panamskich. Należało przy tym dać do zrozumienia, że zainteresowani zdają sobie sprawę z tego, iż co najmniej przez trzy lata nie będzie zysków. Ale jesteśmy ludźmi poważnymi, mającymi mnóstwo pieniędzy i nie

goniącymi za szybkim, spekulacyjnym zyskiem.

K auły zatwierdził ten plan.

Teraz musiałem uzyskać spotkanie nie tyle z oficjalnym panamskim ambasadorem, ile z Hararim. Zatelefonowałem. Przedstawiłem się jako Simon Lahav, i powiedziałem, że chcę zaproponować inwestycję w Panamie. Sekretarka sugerowała, żebym spotkał się z którymś attache, ale odpowiedziałem: — Nie. Potrzebuję kogoś doświadczonego w interesach. Na co ona, że może mógłbym się spotkać z panem Hararim? Ustaliliśmy spotkanie na dzień następny.

Powiedziałem, że jeśli potrzebne będą dodatkowe szczegóły, można mnie osiągnąć w Sheratonie. Byłem tam zameldowany. Zgodnie z porozumieniem Mosadu z ochroną różnych hoteli melduje się tam oficerów i przydziela im numer pokoju dla otrzymania wiadomości.

Później tegoż dnia przyszło zawiadomienie, że mam się spotkać z Hararim w ambasadzie następnego dnia o szóstej po południu. Wyglądało to dziwnie, gdyż wszystko zamyka się o piątej.

Ambasada panamska znajduje się na pierwszym piętrze budynku mieszkalnego nad zatoką, na południe od lotniska Sede Dov. Przybyłem tam w eleganckim garniturze, gotów do robienia interesów. Prosiłem o paszport, gdyż nie występowałem jako Izraelczyk, lecz jako człowiek interesu z Kolumbii Brytyjskiej w Kanadzie. Uprzednio zatelefonowałem

do burmistrza Ejlatu, Rafi Hochmana, którego znałem z czasów, gdy mieszkałem rok w Ejlacie. Byliśmy w tej samej klasie liceum. Oczywiście nie powiedziałem Hochmanowi, kim jestem, ale na wypadek, gdyby Harari podchwycił propozycję, omówiłem ją z nim.

Niestety Kauły nie dostał potrzebnego mi paszportu, więc poszedłem bez niego. Myślałem, że gdyby Harrari mnie spytał, to powiem, że jestem Kanadyjczykiem, nie nawykłem do noszenia paszportu stale przy sobie i że mam go w hotelu.

Gdy przybyłem do ambasady, okazało się, że Harari jest tam sam. Siedzieliśmy naprzeciw siebie w bogato urządzonej gabinecie. Harari — za biurkiem — słuchał mego planu.

106

Pierwsze jego pytanie brzmiało:

— Czy ma pan za sobą bank, czy chodzi o inwestycje indywidualne? Powiedziałem, że chodzi o nie obawiający się dużego ryzyka kapitał handlowy. Harari uśmiechnął się. Byłem przygotowany do dokładnych rozważań na temat ostryg, ale zapytał: — O jakich sumach pan mówi?

— Gdzieś w granicach piętnastu milionów. Ale mamy duże luzy.

Wydaje się nam, że koszty operacyjne nie przekroczą w ciągu trzech lat trzech i pół miliona dolarów.

— Po cóż więc taki wysoki pułap, jeśli liczycie na tak małe koszty?

— Bo potencjalne zyski są bardzo wysokie, a mój wspólnik doskonale wie, jak gromadzić pieniądze.

Teraz bardzo chciałem mówić o stronie technicznej planu, wtrącić nazwisko burmistrza Ejlatu. Ale Harari uciął to krótko, pochylił się nad biurkiem i rzekł:

— Za właściwą cenę można w Panamie otrzymać prawie wszystko, czego się chce.

Była to dla mnie istotna komplikacja. Przygotowywałem się do rozmowy z facetem, którego miałem stopniowo ubabrać i zapoczątkować jego upadek. Szedłem odgrywając „czystego faceta”. I oto zanim otwarłem usta, on właśnie spychał mnie w dół. Byłem w ambasadzie, rozmawiałem z honorowym ambasadorem, który nawet mnie nie znał i już rozmawialiśmy o łapówkach.

— Co pan przez to rozumie? —zapytałem nieśmiało.

— Panama to zabawny kraj — rzekł Harari. — Tak naprawdę, to w ogóle nie jest kraj. To raczej przedsiębiorstwo. Znam właściwych ludzi.

Czy, żeby wyrazić to inaczej, głównego kupca. W Panamie ręka rękę myje. Dziś chce pan pertraktować w sprawie swoich interesów perłowych, jutro my możemy potrzebować od pana czegoś innego. To kontrakt handlowy. Ale lubimy działać w długiej perspektywie.

Harari przerwał, po czym rzekł: — Ale zanim posuniemy się dalej, czy mógłbym zobaczyć pański dokument?

— Jaki dokument?

— No, pański paszport kanadyjski.

— Nie noszę tego ze sobą.

— W Izraelu powinien pan stale mieć przy sobie swój dowód tożsamości. Proszę wpaść do mnie, gdy będzie pan go miał ze sobą, to pogadamy. Teraz, jak panu wiadomo, ambasada jest zamknięta.

Wstał i odprowadził mnie do drzwi, nie mówiąc ani słowa więcej.

107

Gdy Harari zapytał mnie o paszport, zachowałem się niewłaściwie. Zawahałem się. Prawie zacząłem się jąkać. Prawdopodobnie zapaliłem w nim światełka ostrzegawcze i stał się ostrożny. Nagle zaczął wyglądać bardzo niebezpiecznie.

Wróciłem do mieszkania zachowując normalne środki ostrożności i około dziesiątej wieczorem ukończyłem swój raport. W tym momencie przyszedł Kauły specjalnie po to, by go przeczytać.

Niedługo po jego wyjściu przybyła policja. Wywaliła drzwi tak, że futryny wygięły się. Wszystkich nas zabrano do komisariatu przy Ramat Gan i zamknięto w separatkach dla przesłuchania. Uświadomiło to nam jeszcze silniej, że największym naszym wrogiem w stacji mogły być miejscowe władze. Już przed tym, jeśli ktoś był śledzony, musiał podać w raporcie, czy sądzi, że chodzą za nim miejscowi czy nie.

Trzymano nas przez całą noc, ale gdy wróciliśmy do mieszkania, drzwi były już naprawione. Po jakichś dziesięciu minutach zadzwonił telefon. Dzwonił szef szkoły, Araleh Sherf. Powiedział: — Viktor? Rzucaj wszystko, co robisz, chcę cię mieć natychmiast tutaj.

Wziąłem taksówkę do rogu nie opodal Klubu Podmiejskiego, skąd poszedłem pieszo do szkoły. Czułem, że coś jest nie w porządku. Może na przykład ustalili, że producent zabawek był byłym mosadowcem, takim, jakim okazał się właściciel fabryki napojów, z którym kontaktował się Avigdor.

Sherf powiedział: — Powiem ci szczerze. Mikę Harari był szefem Metsady (jednej z najtajniejszych komórek w Mosadzie). Kiedy był dowódcą, miał jedyną wpadkę w Liliehammer. Shai Kauły był bardzo

z ciebie dumny. Przekazał mi twój raport. Według ciebie Harari nie wygląda za dobrze. Wygląda na łobuza. Zadzwoiłem więc do niego wczoraj wieczorem i poprosiłem o wyjaśnienie. Przeczytałem mu twój raport. Powiedział mi, że wszystko, co napisałeś, jest nieprawdziwe. — Po czym Sherf opowiedział mi wersję Harariego. Według niego przyszedłem, czekałem 20 minut, zanim zechciał mnie przyjąć i zacząłem mówić złą angielszczyzną. Twierdził, że zrozumiał, iż się podszywam i wyrzucił mnie za drzwi. Powiedział, że niczego nie wie o historyjce z perłami i oskarżył mnie o wymyślenie całej historii.

Czułem, że krew uderza mi do głowy. Byłem wściekły.

Mam nie najlepszą pamięć do nazwisk, ale moje raporty były zawsze cholernie bliskie doskonałości. Przed spotkaniem z Hararim nastawiłem w teczce mój magnetofon. Teraz wręczyłem taśmę Sherfowi: „Oto

108

rozmowa. Powie mi pan, komu pan wierzy. Przepisałem rozmowę dosłownie z taśmy”.

Sherf wziął taśmę i wyszedł z gabinetu. Po 15 minutach wrócił.

— Chcesz, żeby cię odwiedzić do domu? — powiedział. — Oczywiście jest to nieporozumienie. W tych kopertach są pieniądze dla waszego zespołu.

— Czy mogę dostać taśmę? Są tam rzeczy z innej operacji.

— Jaką taśmę?

— Tę, którą panu dałem przed chwilą. •

— Słuchaj, wiem, że miałeś ciężką noc w komisariacie. Przykro mi, że musiałem przywlec cię aż tutaj tylko po to, żeby ci dać pieniądze dla waszego zespołu. Ale czasami tak bywa.

Później Kauły powiedział mi, że bardzo cieszył się z tego nagrania gdyż bez tego dowodu — zauważył — byłbym spalony, a prawdopodobnie wyleciałbym też z kursu.

Nigdy już nie zobaczyłem mojej taśmy ani nie słyszałem o niej. Ale dobrze zrozumiałem tę naukę. Rzuciło to mały cień na mój obraz Mosadu. . Oto wielki bohater. Słyszałem przedtem wiele o wyczynach Harariego, ale
znałem tylko jego pseudonim — „Kobra”. Teraz dowiedziałem się, kim jest
naprawdę.

Kiedy po latach, wkrótce po północy 22 grudnia 1989 roku, Stany Zjednoczone napadły na Panamę generała Manuela Noriegi, pierwsze doniesienia podawały, że również Harari został ujęty. Depesze agencyjne

określały go jako „tajemniczego byłego oficera wywiadu izraelskiego, który stał się jednym z najbardziej wpływowych doradców Noriegi”. Urzędnik nowo osadzonego przez Amerykanów rządu wyraził głębokie zadowolenie zapewniając, że po Noriedze Harari był najważniejszą osobą w Panamie. Radość była przedwczesna. Zdołali złapać Noriegę, ale Harari znikł i wkrótce potem wypłynął w Izraelu, gdzie nadal pozostaje.

Musiałem jeszcze wykonać moje drugie zadanie: zebrać informacje o byłym lotniku, zwanym „Mikey”. Mój ojciec, Syd Osten, tak zanglizował nazwisko Ostrowski, który mieszka obecnie w Omaha, w stanie Nebraska, był kapitanem w izraelskim lotnictwie ochotniczym. Znałem więc ich wspaniałe eskapady i bohaterstwo z czasów wojny wyzwoleniczej. Byli to przeważnie lotnicy, którzy w czasie II wojny światowej służyli w armiach

109

amerykańskiej, brytyjskiej i kanadyjskiej, a następnie zgłosili się na ochotnika, aby walczyć o Izrael.

Wielu z nich stacjonowało na lotnisku Sede Dov, gdzie ojciec mój był dowódcą bazy. Z jej archiwum wydobyłem wiele ich nazwisk, ale nie było tam wzmianki o kimś zwanym „Mikey”.

Zwróciłem się więc do szefa bezpieczeństwa, Mousa M., aby zostać zameldowanym w hotelu Hilton. Dostałem kilka kartonów i statywów,

które miały służyć za rekwizyty i zatelefonowałem do wydziału łączności wojsk lotniczych mówiąc, że jestem kanadyjskim filmowcem i chcę nakręcić film dokumentalny o ochotnikach, którzy pomogli stworzyć państwo Izrael. Powiedziałem, że będę dwa dni w Hiltonie i chciałbym spotkać jak najwięcej tych ludzi.

Zaledwie przed miesiącem w siłach powietrznych odbyła się ceremonia nadawania odznaczeń. Mieli więc aktualną listę adresów. Pracownik wydziału poinformował mnie po pewnym czasie, że skontaktował się z dwudziestu trzema i około piętnastu obiecało wpaść do Hiltona. Jeślibym potrzebował jeszcze czegoś, miałem zadzwonić.

Na kartonach umieściłem oznaczenia „Niebo w płomieniach — historia wojny wyzwoleniczej”. Nad tym napisałem: „Kanadyjska Wytwórnia Filmów Dokumentalnych”.

W -piątek o dziesiątej rano weszliśmy z Avigdorem do Hiltona.

Avigdor miał na sobie kombinezon roboczy i nosił rekwizyty. Ja ubrany byłem w praktyczne ubranie. Avigdor umieścił jeden z rekwizytów przy wejściu wskazując, w którym pokoju odbędą się rozmowy. Inny zostawił w hallu. Nikt z hotelu nawet nie spytał, co robimy.

Rozmawiałem z tymi ludźmi około pięciu godzin trzymając magnetofon na stole. Jeden z nich — nie zdając sobie nawet z tego sprawy

— opowiedział mi historię o moim ojcu.

W pewnym momencie, w czasie rozmowy prowadzonej równoległe z dwoma czy trzema zaproszonymi, zapytałem: a Mikey? kto to jest Mikey?

— mimo że nikt nie wspomniał tego imienia.

— Och, to Jake Cohen — powiedział jeden z obecnych — był lekarzem w Afryce Południowej.

Przez chwilę rozmawiali o Mikeyu, który teraz spędzał połowę swego czasu w Izraelu, a drugą połowę w Stanach Zjednoczonych. Wkrótce podziękowałem przybyłym i powiedziałem, że na mnie już czas.

Nie dałem żadnej wizytówki. Niczego nie obiecywałem. Dostałem nazwiska wszystkich. Każdy zapraszał mnie na lunch. Było to jak galareta

no

w formie. Można z tym było robić, co tylko się chciało. Ale zrobiłem tylko tyle.

Wróciłem do mieszkania, napisałem raport i rzekłem do Kauly'ego:

„Jeśli na tej taśmie jest coś, czego nie chcesz, żebym napisał, to powiedz mi

to teraz".

Kauły zaśmiał się.

Kiedy kończyliśmy w marcu 1984 r. część kursu, Araleh Sherf zgłosił naszą pomoc przy inscenizacji widowiska reżyserowanego z okazji dorocz-

nej konwencji Mosadu przez znanego izraelskiego filmowca, Amosa Etingera, w sali koncertowej Muzeum Człowieka w Tel Awiwie. Miało się to odbyć za dzień czy dwa. Tamar Avidar, żona Etingera, jest znanym dziennikarzem. Była też kiedyś attache kulturalnym Izraela w Waszyngtonie.

Był to jeden z rzadkich wypadków, kiedy Mosad czynił coś publicznie, angażując nawet ludzi z zewnątrz. Wprawdzie ci ludzie z zewnątrz byli czymś w rodzaju jego dalszej rodziny — byli to głównie politycy, pracownicy wywiadu wojskowego, weterani i kilku wydawców prasowych.

Byliśmy wycieńczeni. Musieliśmy, jak zwykle, sporządzać raporty dla Kauły'ego, a poprzedniej nocy spaliśmy bardzo mało, gdyż uczestniczyliśmy w wielkiej próbie widowiska. Yosy zaproponował, żebyśmy wszyscy poszli do niego trochę się przespać, gdyż musieliśmy być razem.

Następnie

Yosy powiedział, że na tej samej ulicy mieszka kobieta, którą obiecał odwiedzić. Tak więc on w ogóle nie spał.'

Powiedziałem do niego: — Dopiero co ożeniłeś się, wkrótce będziesz miał dziecko, po co się żenił? Nigdy się nie uspokoisz. Jesteś jak ryba w wodzie, co najmniej jakaś część ciebie zawsze pływa.

Odpowiedział, że rodzina jego żony ma dom towarowy na placu Kiker Hamdina (przypomina on obecnie szykowną Piątą Avenue w Nowym Jorku), więc pieniądze nie stanowią dla niego problemu. Ponadto jest ortodoksa, a rodzice jego chcą mieć wnuka.

— Czy ta odpowiedź cię zadowala?

— Częściowo — powiedziałem. — Czy nie kochasz Swojej żony?

— Co najmniej dwa razy w tygodniu.

Jedynym, który mógł współzawodniczyć z Yosym w sprawności erotycznej, był Heim. Yosy był bardzo przystojny. Heim — nie. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego Mosad zwerbował kogoś tak głupiego.

111

Jedyne, do czego dążył, było przegonić Yosy'ego w sprawach łóżkowych. A nawet Jimmy Durante pobiłby Heima w konkursie piękności. Miał narząd niezwykłych rozmiarów, ale szedł na ilość, nie na jakość.

Na wielu ludziach świadomość, że ktoś pracuje dla Mosadu, robi duże wrażenie. Traktowane jest to jako dowód, że w ręku tych osób spoczywa potęga władzy. Te chłopaki załatwiały swoje sprawy wykorzystując swe powiązania z Mosadem dla zaimponowania kobietom. Było to niebezpieczne. Było naruszeniem wszelkich przepisów. Ale to była ich gra. Przechwalali się zawsze swymi podbojami.

Heim był żonaty. Często przychodził do naszego domu na przyjęcia z żoną. Jego żona, Bella, powiedziała kiedyś mojej żonie, że nie martwi się o Heima, bo jest on „najwierniejszą osobą na świecie”. Zdziwiłem się, gdy to usłyszałem.

Najbardziej rażący, według mnie, podbój Yosy'ego miał miejsce w „cichym pokoju” na czternastym piętrze centrali w Tel Awiwie. Był to pokój używany do łączności telefonicznej z agentami. Założono tam takie połączenia, dzięki którym katsa mógł zatelefonować do swego agenta w Libanie, a każdy, kto śledził połączenia, był przekonany, że telefon pochodzi z Londynu, Paryża czy innej stolicy europejskiej.

Gdy pokój był używany, zapalało się czerwone światło i nikt nie miał prawa wchodzić. Yosy sprowadził do tego pokoju sekretarkę, co już było poważnym naruszeniem przepisów, i uwiódł ją w czasie, gdy rozmawiał ze swym agentem w Libanie. Aby udowodnić, że rzeczywiście to zrobił, powiedział Heimowi, że zostawi majteczki dziewczyny pod urządzeniem kontrolnym w pokoju. Heim poszedł tam i rzeczywiście znalazł majtki.

Pokazał je dziewczynie i spytał „to twoje?” Zawstydzona powiedziała, że nie, ale Heim rzucił je na jej biurko i wyszedł mówiąc: „nie przeziębiam się”.

Wszyscy w budynku wiedzieli o tym. Jako zbyt prostoliniwny straciłem mnóstwo kontaktów. Rozwijały się więzi między ludźmi, którzy ganiłi za spódniczkami. Zniechęcało mnie to, gdyż myślałem, że wkraczam na izraelski Olimp, a w rzeczywistości znalazłem się w Sodomie i Gomorze. Przenikało to całą pracę. Faktycznie każdy był jakoś z drugim związany sprawami zawadzającymi o płęć. Był to cały system zależności. Mam zobowiązanie wobec ciebie — ty masz zobowiązanie wobec mnie. Ty mi pomagasz — ja ci pomogę. Tak awansowali katsa. Przez łóżko do szczytu.

Większość sekretarek w gmachu była bardzo ładna. Tak je dobierano. Ale dochodziło już do tego, że przekazywano je sobie razem z robotą. Tylko z własną sekretarką nikt nie chodził do łóżka. To przeszkadzało

112

w pracy. Ale byli przecież bojownicy, którzy wyjeżdżali na dwa—trzy, nawet cztery lata, wtedy jedynym łącznikiem między nimi i ich rodzinami byli katsa, którzy kierowali nimi z metsudy. Co tydzień kontaktowali się z ich żonami i po pewnym czasie kontakty takie stawały się czymś więcej niż rozmową, kończyły się w łóżku.

Byli to faceci, którym można było zaufać swe życie, ale lepiej było nie ufać im, jeśli chodzi o własne żony. Było to tak powszechne, że jeśli ktoś prosił, żeby go przeniesiono do metsady, to na ogół pytano go: „Dlaczego? Czy jesteś niewyżyty?”

Pokaz sceniczny rekrutów nosił tytuł „Cienie. Była to historia szpiegowska odgrywana w całości za trzema wielkimi, silnie podświetlonymi ekranami, tak że wszystko widoczne było tylko jako sylwetki. Ponieważ mieliśmy zostać katsa, publiczność nie powinna była znać naszych twarzy.

Przedstawienie zaczynało się od tańca brzucha z odpowiednią turecką muzyką, a za ekranem przesuwał się człowiek niosący teczkę dyplomatkę. Był to dowcip wewnętrzny. Powiadają, że katsa daje się poznać po trzech „ś: teczka firmy „Siłacz, siedmiogwiazdkowy oprawny w skórę notes i zegarek Seiko.

Następna scena pokazywała werbunek. Potem szła burleska na temat otwierania worków dyplomatycznych. Potem scena przenosiła się do jakiegoś mieszkania londyńskiego, gdzie w jednym pokoju ktoś prowadził rozmowę, a w drugim (tym razem za drugim ekranem) inny ze słuchawkami na uszach przysłuchiwał się jej.

Kolejno pokazywano przyjęcie w Londynie, na którym sylwetki Arabów można było poznać po charakterystycznym nakryciu głowy.

Wszyscy pili i stawali się coraz bardziej przyjacielscy. Na sąsiednim ekranie widać było katsa spotykającego Arabów na ulicy i wymieniającego z nimi teczki.

Na zakończenie cały zespół brał się za ręce, zbliżał do ekranu i śpiewał hebrajską pieśń „Oczekując przyszłych dni — muzyczny odpowiednik starego powiedzenia „za rok w Jerozolimie — tradycyjnych życzeń Żydów przed utworzeniem Izraela.

Dwa dni później w ogrodzie na wewnętrznym dziedzińcu szkoły obok sali pingpongowej odbył się piknik z rożnem, z okazji ukończenia nauki. Obecne były nasze żony, instruktorzy i wszyscy bliscy.

Wreszcie dokonaliśmy tego.

Był marzec 1984 r. Mieliśmy za sobą jeden kurs. Czekwały nas dwa dalsze.

8 Wyznania szpiega

113

Rozdział VI

Belgijski stół

W lecie 1984 r. członkowie mojej grupy nie zostali jeszcze katsa, ale nie byliśmy już kadetami. Można powiedzieć, że byliśmy młodszymi katsa albo stażystami, których działanie ograniczone zostało do głównej kwatery. Czekaliśmy jeszcze kurs wywiadowczy, po którym dopiero mogliśmy nazwać się katsa.

Ja otrzymałem skierowanie do prac analitycznych. Jak następnego rana wyjaśnił Shai Kauły, stażyści mieli w ciągu około roku przechodzić co dwa miesiące z jednego wydziału do drugiego, aby zapoznać się z całą działalnością Mosadu i w ten sposób przygotować się do drugiego etapu szkolenia.

Po długiej dyskusji, jak zwykle z żartami, papierosami i kawą, Kauły oświadczył, że chce z nami spotkać się Aharon Szahar — szef Komemite (dawniej Metsada; nazwa została zmieniona — podobnie jak w przypadku innych wydziałów — gdy w lipcu 1984 r. w Londynie zaginęła książka szyfrów). Wybrał on dla siebie Civi G. — psychologa i Amirama — spokojnego i sympatycznego człowieka, który przyszedł do biura (Mosadu) wprost z armii, gdzie był podpułkownikiem. Obaj mieli zajmować się funkcjonariuszami działającymi w terenie.

Komemite, co oznacza „niepodległość z podniesioną głową”,

działa niemal jak Mosad wewnątrz Mosadu. Jest to supertajny wydział, który zajmuje się prawdziwymi „szpiegami” — starannie zamaskowanymi Izraelczykami wysłanymi do krajów arabskich. W wydziale tym znajduje się mała wewnętrzna komórka nazywana kadon (bagnet) podzielona na 3 zespoły z 12 ludźmi w każdym. Są to zabójcy, eufemistycznie określanii jako długie ramię izraelskiej sprawiedliwości. Zwykle dwa zespoły trenują w Izraelu, trzeci zaś działa za granicą. Ludzie ci nic nie wiedzą o innych

114

segmentach Mosadu i nie znają nawet wzajemnie swoich prawdziwych nazwisk.

Funkcjonariusze w terenie pracują parami. Jeden z nich jest funkcjonariuszem w kraju docelowym, jego partner zaś w kraju stacjonowania. W zaprzyjaźnionych krajach, jak Anglia, nie zajmują się szpiegostwem ale mogą razem prowadzić wspólny biznes. W razie potrzeby funkcjonariusz kraju docelowego jedzie tam, posługując się ową firmą jako przykrywką, natomiast partner, a więc funkcjonariusz z kraju stacjonowania, spełnia funkcję koła ratunkowego i udziela mu wszelkiej potrzebnej pomocy.

Kiedyś ludzie Mosadu pracowali w krajach arabskich przez bardzo długi czas. Często za długo, wskutek czego ludzie ci „palili się”. Opierano się wtedy na arabistach, a więc Izraelczykach, którzy mówili po arabsku i byli w stanie występować jako Arabowie. Na początku istnienia państwa Izrael, kiedy wielu Żydów przybywało do Izraela z arabskich krajów,

arabistów nie brakowało. To jednak przeszłość, a język arabski uczony w szkole nie jest wystarczający dla potrzeb Mosadu.

Obecnie większość funkcjonariuszy udaje Europejczyków. Angażowani są na cztery lata. Podstawową rzeczą dla maskowania się jest posiadanie rzeczywiście istniejącego biznesu, który pozwala im wyruszać w podróż w każdej chwili. Mosad łączy ich z partnerami, a więc funkcjonariuszami kraju stacjonowania, i razem prowadzą interes. Firmy te to nie fikcja, ale rzeczywisty biznes, najczęściej importowo-eksportowy.

Około 70 proc. firm krajów stacjonowania znajduje się w Kanadzie.

Jedyny kontakt funkcjonariuszy z biurem (centralą Mosadu — tt.) odbywa się za pośrednictwem związanych z nimi pracowników centrali. Każdy z nich zawiaduje pięcioma parami funkcjonariuszy — nigdy więcej.

W Komemiute znajduje się komórka, w której pracuje około 20 specjalistów od spraw biznesu. Analizują oni każdą firmę i każdy jej rynek, przekazując informacje do odpowiedniego pracownika kontaktowego, który z kolei radzi funkcjonariuszom, jak prowadzić biznes.

Funkcjonariuszy rekrutuje się w Izraelu. Są to głównie lekarze, prawnicy, inżynierowie, profesorowie — gotowi poświęcić służbie krajowi cztery lata życia. Ich rodziny otrzymują płacę na wysokości średniej w Izraelu. Natomiast premie za pracę za granicą gromadzi się na specjalnym koncie. Po czterech latach jest to od 20 do 30 tys. dolarów.

Funkcjonariusze nie zbierają bezpośrednio informacji wywiadowczych wymagających osobistej obserwacji, jak ruchy wojsk czy gotowość szpitali do wojny. Ich zadaniem jest obserwacja i analiza gospodarki,

115

pogłosek, odczuć i morale społeczeństwa. Zadanie to nie stwarza jakiegokolwiek ryzyka. Funkcjonariusze nie przekazują raportów środkami szybkiej łączności, jedynie dostarczają czasami pieniądze i listy. Przed wyjazdem przechodzą szkolenie w zakresie techniki niszczenia.

Gdy w krajach arabskich buduje się most, funkcjonariusze umieszczają bomby w betonie. W razie wojny będzie go łatwo można zniszczyć przez wywołanie eksplozji.

Po odkomenderowaniu Tsvi i Amirama do Komemiute Shai Kauły przekazał nam wiadomość związaną z obiecany urlopem.

Jak wiecie, powiedział, każdy plan jest podstawą różnych zmian. Zdaję sobie sprawę, że wszyscy chcecie urlopu. Zanim jednak go dostaniecie, musicie coś zrobić. Będziecie pierwszym kursem, który przejdzie intensywne szkolenie w zakresie obsługi biurowego komputera. Zabierze to najwyżej trzy tygodnie. Potem możecie sobie pójść na resztę urlopu, jaka

wam pozostała.

Już przyzwyczailiśmy się do takich niespodzianek. Nieraz w ostatniej chwili zatrzymywano nas na weekend. Mieliśmy wówczas tylko 20 minut, by powiadomić dom. Doświadczeni katsa dysponowali systemem przekazywania tego rodzaju wiadomości, jak np.: „Mówię z biura. Mąż nie może iść do domu. Skontaktuje się z panią tak szybko, jak tylko będzie w stanie. Jeśli ma pani jakąś sprawę, proszę przedzwonić do Jakuba”.

System ten ma różnorodne zastosowanie. Trudno nawet sobie wyobrazić znaczenie seksu w życiu katsa. Nieregularny tryb pracy rozumiany jest jako całkowita swoboda. Jeśli katsa ma romans z dziewczyną odbywającą służbę wojskową i chce spędzić z nią weekend, to dla żony nieobecność męża jest czymś normalnym. Tego rodzaju wolności katsa pragnęli. Zakrawa więc niemal na żart, że nieżonaty nie może pełnić tej funkcji. Nie mógłby wtedy wyjeżdżać za granicę, bo — jak tłumaczy się — kawaler może uganiać za spódniczkami i wtedy łatwo podstawić mu dziewczynę. Z drugiej jednak strony każdy w Mosadzie uprawia miłostki, co naprawdę kryje groźbę szantażu i wszyscy zdają sobie z tego sprawę. Nie rozumiałem tego zupełnie.

Na szkolenie komputerowe przygotowano jedno z pomieszczeń Akademii na piętrze. Stoły ustawione były w nim półkolem. Każdy kursant miał własny pulpit. Najpierw uczyliśmy się wypełniania danych personal-

nych zgodnie z „marchewkową kartą”, tj. pomarańczową kartą z serią pytań, na które trzeba odpowiedzieć, zanim otrzyma się dostęp do systemu komputerowego. Nasze urządzenia były połączone z główną kwaterą,

116

a więc otwierały dostęp do oryginalnych akt. Za pomocą tych urządzeń nauczyliśmy się, jak posługiwać się programem oraz jak szukać i otrzymywać potrzebne dane.

Gdy nauczyliśmy się systemu kszarim (węzły), co oznacza rejestry kontaktów indywidualnych określonych osób, Arik F. zasiadł przy pulpicie instruktorskim i wybrał hasło „Arafat”, a następnie „kszarim”. Arafat jest z OWP, więc ma priorytet w komputerze. Im osoba, o którą pytamy, jest ważniejsza, tym szybciej nadchodzi odpowiedź..

W tym wypadku nie chodziło jednak o priorytet. Problemem stał się fakt, że Arafat ma setki tysięcy kontaktów. Kiedy więc komputer zaczął wypływać tę listę, system został tak przeciążony, że inne urządzenia stanęły. Komputer miał do znalezienia tak wiele danych, że nie mógł już robić nic innego. Arik skutecznie zablokował komputer Mosadu na osiem godzin. Wówczas bowiem nie było sposobu, by zatrzymać rozpoczętą odpowiedź komputera. Dopiero po tym incydencie zmieniono system w ten sposób, że każda odpowiedź ograniczona była do 300 informacji.

Ponadto rozkaz musiał być bardziej precyzyjny. A więc nie wystarczyło pytać o kontakty Arafata, ale — na przykład — o jego kontakty syryjskie.

Po kursie komputerowym wykorzystałem trzy dni, jakie zostały mi z urlopu. I zaraz potem podjąłem moje pierwsze zajęcie w komórce saudyjskiej. Moją przełożoną była Aerna. Sąsiadowaliśmy z komórką jordańską, którą zawiadywała Ganit. Do obu tych komórek nie przywiązywano większego znaczenia. Mosad miał wtedy w Arabii Saudyjskiej tylko jedno źródło — faceta w ambasadzie Japonii. Wszelkie informacje czerpaliśmy z gazet i czasopism oraz innych środków masowego przekazu, a także z podsłuchu telekomunikacyjnego, czym zajmowała się jednostka 8200.

Aerna trudziła się głównie rekonstrukcją drzewa genealogicznego rodziny królewskiej. Gromadziła także informacje o planowanej budowie drugiego naftociągu biegnącego przez Arabię Saudyjską. Irakijczycy chcieli się wkleić w ten rurociąg, by tą drogą transportować swoją ropę i sprzedawać ją dla pokrycia kosztów wojny przeciw Iranowi. Wojna bowiem utrudniała transport ropy przez Zatokę Perską. Mieliśmy interesujące raporty o Arabii Saudyjskiej z wywiadu brytyjskiego. Przygotowywał on wyjątkowo dobre raporty, będące faktycznie analizami politycznymi,

a nie zbiorem danych typowo wywiadowczych. Brytyjczycy byli niepewni

przy wymianie informacji wywiadowczych. Jeden z raportów stwierdzał, że

Saudyjczycy przewidują poprawę sytuacji na rynku naftowym i dlatego muszą zbudować drugi rurociąg. Ale według Brytyjczyków grozi nadmiar ropy, a ponadto Saudyjczykom braknie środków finansowych ze względu na koszty bezpłatnej opieki zdrowotnej i oświaty.

Traktowaliśmy Brytyjczyków poważnie, ale w naszym budynku panowała opinia, że są wprowadzani w błąd, a przyczyną jest „Kurwa”. Tak w Mosadzie nazywano Margaret Thatcher, której przyklepiono etykietkę antysemitki.

Kiedy coś się wydarza, od razu w Mosadzie stawia się pytanie: Czy to jest dla Żydów dobre czy też nie. Należy zapomnieć o polityce i wszystkim innym. To jest jedyne, co się liczy. I w zależności od odpowiedzi poszczególni ludzie są określani jako antysemita, bez względu na to, czy jest to uzasadnione czy też nie.

Otrzymywaliśmy długie arkusze przypominające białą kalkę papieru z zapisami już przetłumaczonych rozmów telefonicznych między królem saudyjskim a jego krewnymi. Kiedyś jakiś książę telefonował do kogoś bliskiego znajdującego się w Europie. Członek rodziny królewskiej skarżył

się, że nie ma już pieniędzy i oddał słuchawkę komuś innemu. Ten zaś poinformował, że do Amsterdamu płynie właśnie pełny tankowiec i należy przerejestrować ładunek na księcia, zaś otrzymane pieniądze za ropę umieścić na koncie szwajcarskiego banku. To wręcz niewiarygodne, jak ogromne sumy saudyjskie zmieniały bez trudu właściciela.

Pamiętam też jedną z rozmów Arafata. Dzwonił do króla saudyjskiego, by prosić go o interwencję, gdyż nie może dostać się do Asada (prezydenta Syrii). Król potem rozmawiał z Asadem, schlebiając mu takimi określeniami jak „ojciec” wszystkich Arabów i „syn świętego miecza”. Asad jednak nadal nie chciał słyszeć o pogodzeniu się z Arafatem.

Współpracowałem wtedy z Efraimem (Effy) — byłem łącznikiem z CIA w okresie jego pobytu na stacji Mosadu w Waszyngtonie. Efraim chwalił się, że w 1977 r. to on obalił premiera Icchaka Rabina. Mosad nie lubił Rabina. W 1974 r. Rabin wrócił ze Stanów Zjednoczonych, gdzie był ambasadorem izraelskim. Przejął kierownictwo Partii Pracy i zastąpił Goldę Meir na stanowisku premiera. Rabin żądał od wywiadu informacyjnego surowca, a nie przedestylowanych opracowań, jakie dotąd otrzymywał szef rządu. Żądanie nowego premiera utrudniło więc Mosadowi posługiwanie się informacjami w sposób dogodny dla ich interpretatorów.

W grudniu 1976 r. Rabin zmusił trzech ministrów z Narodowej Partii

Religijnej do rezygnacji, co doprowadziło do upadku gabinetu. Jednak Rabin pozostał na czele tymczasowego rządu do wyborów w maju 1977 r. Partia Pracy wybory te przegrała i szefem rządu został Menachem Begin, który cieszył się względami Mosadu. Tym, co w istocie skończyło Rabina, był „skandal”, jaki na krótko przed wyborami ujawnił znany dziennikarz izraelski Dań Margalit.

Prawo izraelskie zakazywało obywatelom izraelskim trzymaniu rachunków bankowych w obcych krajach. Żona Rabina miała jednak ok. 10 tyś. dolarów na takim koncie w Nowym Jorku. Korzystała z tego konta podczas podróży, chociaż —jako żonie premiera— rząd mógł pokrywać wszystkie wydatki. Mosad wiedział o tym koncie, Rabin z kolei był świadom, że fakt ten jest znany Mosadowi. Premier nie przejmował się tym, a powinien, jak się później okazało.

Kiedy nadszedł właściwy czas, przeciek o koncie pani Rabin dotarł do Margalita. Ten poleciał do Stanów Zjednoczonych, by sprawdzić całą historyjkę. Jak opowiadał potem Efraim, to on właśnie dostarczył Margalitowi potrzebnej dokumentacji. Cała ta sprawa, której nadano charakter skandalu, służyć miała jako pomoc Beginowi w pokonaniu Rabina. Rabin był uczciwy, ale Mosad nie lubił go. I dlatego wykończył

Rabina. Efraim chełpił się, że to jego dzieło i nie słyszałem, by ktokolwiek temu zaprzeczał.

Jeszcze podczas pierwszego kursu zwiedziliśmy Izraelskie Zakłady Aeronautyczne (angielski skrót: IAI). Potem w komórce saudyjskiej dowiedziałem się, że Izraelczycy sprzedają Arabii Saudyjskiej dodatkowe zbiorniki na paliwo do samolotów odrzutowych. Transakcje te przeprowadzono za pośrednictwem trzeciego kraju, choć nie wiedziałem jakiego. Dostawy izraelskie umożliwiały natomiast wojskowym odrzutowcom saudyjskim zabieranie dodatkowego paliwa, a więc odbywanie dzięki temu

przedłużonych lotów. Izrael dostarczał te zbiorniki również do Stanów Zjednoczonych.

Saudyjczycy (nie znający pochodzenia zbiorników) doszli do wniosku, że płacą za dużo. Zdecydowali, by zakupów tych dokonywać w USA. Izrael oczywiście nie mógł do tego dopuścić. Żydowskie lobby w Stanach Zjednoczonych rozpętało kontrakcję, w której argumentowano, że sprzedaż amerykańskich zbiorników umożliwi saudyjskim F-16 zaatakowanie Izraela. Było to straszne zakłamanie, przecież inspiratorzy całej akcji

119

protestacyjnej sprzedawali Saudyjczykom te same zbiorniki, tyle że po wyższej cenie, niż oferowali Amerykanie. Tą samą drogą sprzedawano do Arabii Saudyjskiej wiele innych towarów.

Wydział analiz mieścił się w suterenie i na parterze w budynku głównej kwatery. Znajdowały się tu pomieszczenia dla szefa wydziału, jego zastępcy, biblioteki, komputera (oddzielny pokój), maszyn do pisania oraz pracowników merytorycznych. Większość personelu zatrudniona była w 15 komórkach analitycznych: Stany Zjednoczone, Ameryka Południowa, komórka ogólna (obejmująca Kanadę i Europę Zachodnią), komórka atomowa (żartobliwie nazywana „kaput”), Egipt, Syria, Iran, Irak, Jordania, Arabia Saudyjska i Zjednoczone Emiraty Arabskie, Libia, Maghreb (Maroko, Algieria i Tunezja), Afryka, Związek Radziecki i Chiny.

Wydział analityczny dostarczał codziennie raporty, które każdy zainteresowany mógł każdego rana odczytać za pomocą swojego komputera. Szerszy, czterostronicowy raport sporządzany był raz na tydzień i obejmował główne sprawy w krajach arabskich. Ponadto co miesiąc przygotowywane było 15—20-stronicowe sprawozdanie z licznymi szczegółami oraz z mapami i rysunkami.

Na swoim koncie również mam jedną mapę. Ukazywała ona trasę planowanego naftociągu. Ponadto wyliczyłem stopień bezpieczeństwa dla tankowców przepływających przez Zatokę Perską. Uznałem wtedy, że bezpieczeństwo to nie przekracza 30 proc.

Względy polityczne określały, że jeśli szansę przekraczają 48 proc., Mosad zaczyna informować obie strony o lokalizacji statków przeciwnika. Mieliśmy w Londynie człowieka, który telefonował do ambasad Iraku

i Iranu i przedstawiając się jako patriota — odpowiednio: iracki lub irański — przekazywał informacje o położeniu statków. W obu ambasadach chcieli spotkać naszego człowieka i płacić mu, bowiem informacje były precyzyjne. Ale facet ten zawsze odpowiadał, że działa z pobudek patriotycznych, a nie dla pieniędzy. A my pozwalaliśmy, by określona liczba statków irackich i irańskich przepływała bezpiecznie. Jeśli jednak ta liczba miała być przekroczona, informowaliśmy jedną ze stron o „nadliczbowym” statku, w rezultacie czego był on niszczone. W ten sposób podsycaliśmy ogień pod tym wojennym kotłem. Jeśli bowiem Irakijczycy i Irańczycy zajęci byli walką między sobą, nie mogli walczyć przeciw nam.

120

Po kilku miesiącach pracy w wydziale analiz przeszedłem do najbardziej ciekawego wydziału w tym budynku — K a i s a r u t, czyli łącznikowego. Znalazłem się w sekcji zwanej Dardasim, „Smerfy”, która zajmowała się Dalekim Wschodem i Afryką. Moim szefem był Amy Yaar.

Wydział ten przypominał dworzec kolejowy, albo inaczej — małe ministerstwo spraw zagranicznych działające wobec państw, z którymi Izrael nie miał formalnych stosunków dyplomatycznych. Kręcili się tu różni eks-generałowie i byli funkcjonariusze bezpieczeństwa, którzy korzystając ze swych dawnych kontaktów z Mosadem załatwiali interesy dla swoich firm — głównie handlujących bronią. Owi „konsultanci” nie mogli

jechać do każdego kraju jako obywatele izraelscy. Nasz wydział ułatwiał im transakcje, zaopatrując ich w fałszywe paszporty i inne potrzebne rzeczy.

Nie było to uczciwe, ale nikt nic nie mówił. Każdy zdawał sobie sprawę, że znajdzie się w podobnej sytuacji i będzie robił to samo.

Amy uprzedził mnie, że jeśli otrzymam jakąś niezwykłą prośbę, nie powinienem o nic pytać, tylko zawiadomić go o tym. Pewnego dnia przyszedł do mnie jakiś człowiek prosząc o zgodę premiera (wówczas szefem rządu był Szimon Peres — tł.) na jakiś kontrakt, bo inaczej transakcja ta nie mogłaby być zrealizowana. Chodziło o sprzedaż do Indonezji 20—30 myśliwców Skyhawk — produkcji amerykańskiej. Transakcja ta gwałciła odpowiednie porozumienie ze Stanami Zjednoczonymi, które nie zezwalały na reeksport broni bez zgody amerykańskiej.

Zaproponowałem petentowi, by po odpowiedź przyszedł następnego dnia lub zostawił mi numer telefonu, abym mógł do niego zadzwonić. Sprzeciwił się jednakże, mówiąc, że poczeka.

Na krótko przedtem byłem w JAJ i zobaczyłem tam około trzydziestu owych myśliwców Skyhawk. Pokryte żółtym plastikiem, gotowe były do transportu. Dowiedziałem się, że mają być wysłane za granicę. Byłem pewien, że Amerykanie nie zgodzą się na sprzedaż tych samolotów do Indonezji. Mogłoby to bowiem zmienić układ sił w regionie. Ale to przecież

nie moja sprawa. Toteż kiedy ów interesant oświadczył mi, że będzie czekał na aprobatę premiera Peresa, otworzyłem szufladę i spoglądając w nią wezwałem: „Szimon! Szimon!” Obróciłem się do mojego gościa i poinformowałem go: „Przykro mi, ale pana Peresa nie ma”.

Facet, wyraźnie wściekły, kazał mi iść do Amy'ego. Nie zastanawiałem się nawet, kim może być ów człowiek. Ale gdy o wszystkim powiedziałem Amy'emu, ten, wyraźnie poruszony, spytał:

121

— Gdzież on jest?

— Tuż obok.

— To dobrze. Przyślij go tu.

Po 20 minutach facet opuścił pokój Yaara. Przechodząc obok mnie, trzymał kontrakt tak, bym go dostrzegł. Rzucił mi:

— Okazało się jednak, że pan Peres był.

Peres pewnie i był w Jerozolimie, ale niewątpliwie nic nie wiedział o tych dokumentach i własnym podpisie. Papierek ten był falsyfikatem dla celów wewnętrznych. Aprobata premiera miała być dowodem, że każdy

wciągnięty w tę transakcję dysponuje odpowiednim pokryciem finansowym.

Oczywiście, funkcjonariusze Mosadu oficjalnie pracowali w urzędzie premiera. Wiedział on o transakcjach finansowych, ale nie zawsze był informowany na bieżąco o szczegółach. I wielokroć było to dla niego wygodne. Często lepiej było nie wiedzieć. Gdyby wiedział, musiałby osobiście podejmować decyzje. W tym wypadku, gdyby na przykład Amerykanie dowiedzieli się o sprzedaży samolotów, mógłby z czystym sumieniem oświadczyć, że stało się to za jego plecami. Inaczej mówiąc, premier miałby wiarygodne alibi.

Obok głównej kwatery Mosadu stoi dom pod nazwą Asia Building. Należy on do zamożnego przemysłowca izraelskiego — Saula Eisenberga, który miał silne powiązania z Dalekim Wschodem i dlatego utrzymywał dla Mosadu kontakty z Chinami. Eisenbergijego ludzie handlowali bronią z różnymi partnerami. Sprzedawali także zdobytą na Syryjczykach i Egipcjanach broń wyprodukowaną przez Rosjan. Gdy wyprzedano rosyjskie pistolety maszynowe AK-47, Izrael zaczął produkować własną broń tego typu, będącą czymś pośrednim między AK-47 i amerykańskim M-16. Broń ta nazywa się Galii i szła w dużych ilościach na cały świat.

Praca w wydziale przypominała działalność firmy służącej tym prywatnym konsultantom. W założeniu byli oni naszymi narzędziami, ale

narzędzia te wypadły spod kontroli. Owi ludzie mieli znacznie więcej doświadczenia niż my i dlatego w rzeczywistości to oni posługiwali się nami.

W połowie lipca 1984 r. towarzyszyłem grupie indyjskich fizyków nuklearnych. Niepokoili się oni bombą islamską (w Pakistanie) i przyjechali z poufną misją do Izraela, by wymienić informacje z tutejszymi specjalistami nuklearnymi. Izraelczycy z zadowoleniem przyjęli przekazane im dane, ale sami nie wykazali chęci do rewanżu.

122 •

W7 dzień po wyjeździe gości z Indii, gdy siedziałem przy biurku nad zwykłą robotą papierkową, wezwał mnie Amy. Dał mi dwa zadania. Po pierwsze miałem pomóc w przygotowaniu materiałów dla grupy Izraelczyków, którzy mieli pojechać do Afryki Południowej, by szkolić tam funkcjonariuszy tajnej policji. Po drugie z jednej z afrykańskich ambasad należało zabrać człowieka, który wracał do swojego kraju. Miałem przewieźć go do mieszkania, a następnie na lotnisko i tam przeprowadzić przez wszystkie kontrole.

— Spotykamy się na lotnisku — zapowiedział Amy — bo przyleci ze Sri Lanki grupa ludzi, którzy będą się tu szkolić. Nie rób żadnych min, gdy zobaczysz tych facetów — uprzedził mnie.

— O co chodzi? — spytałem, nic nie rozumiejąc.

— Ci faceci przypominają mały. Przyjechali z nie rozwiniętego regionu. Dopiero niedawno zeszli z drzew. Nie obiecuj sobie więc po nich wiele.

Poprowadziliśmy dziewięciu przybyszy przez boczne wyjście lotniska do klimatyzowanego mikrobusu. Stanowili oni część prawie 50-osobowej grupy. Po przylocie wszystkich zostali podzieleni na trzy mniejsze zespoły:

1. Grupa antyterrorystyczna, która szkoliła się w bazie wojskowej Kfar Sirkin, koło Petha Tikwa. Uczyli się przechwytywania porwanych autobusów i samolotów, postępowania z porywaczami znajdującymi się w budynku, spuszczenia się na linie ze śmigłowca itd. Dla grupy tej zakupiono później pistolety maszynowe Uzi i inny sprzęt produkcji izraelskiej, jak np. kamizelki kuloodporne oraz specjalne granaty.
2. Grupa zakupów, która miała nabyć w Izraelu większą ilość broni i sprzętu. M.in. kupili siedem czy osiem kutrów bojowych typu Devora — głównie do patrolowania północnych wybrzeży wyspy w trakcie akcji przeciw Tamilom.
3. Grupa wyższych oficerów, mająca zadanie zakupić radar i inne urządzenia morskie służące do walki z Tamilami, którzy przenikają z Indii i minują wody Sri Lanki.

Polecono mi przez dwa dni zajmować się Penny*) — synową prezydenta Sri Lanki — Jayawardene. Miałem ją obwieźć po miejscach dla turystów. Penny była miłą kobietą, indyjskim wydaniem pani Corazon Aquino (prezydent Filipin — tł.). Była buddystką, bo jej mąż był buddystą,

*) Patrz rozdz. 3. Klasa pierwsza.

123

ale w jakiś sposób pozostawała chrześcijanką i chciała zobaczyć święte miejsca związane z tą religią. Drugiego dnia zabrałem ją do Vered Haglil (Róża Galilei), gdzie na wzniesieniu znajdowała się restauracja z pięknymi widokami i świetnym jedzeniem. Mieliśmy tam otwarty rachunek.

Potem przydzielono mnie do grupy wyższych oficerów, którzy zajmowali się kupnem urządzeń radarowych. Polecono mi zabrać ich do Alty, producenta w Aszdod. Kiedy przedstawiciel Alty zapoznał się z zamówieniem, powiedział mi:

— Oni się z nami tylko zabawiają i nie mają najmniejszego zamiaru cokolwiek kupić.

— Dlaczego? — zdziwiłem się.

— To nie te mały przygotowały specyfikację. Sporządził ją Deca, brytyjski producent radarów. Ci faceci już wiedzą, co chcą kupić. Daj im na pocieszenie banana i odeślij do domu. To tylko strata czasu.

— Dobrze, ale może coś im zareklamujesz, żeby byli zadowoleni?

Rozmowę prowadziliśmy po hebrajsku, gdy wszyscy siedzieliśmy przy kawie. Człowiek Alty powiedział, że nie myśli traktować gości poważnie, ale „jeśli już tak, to się z nimi zabawi”.

Wyszedł i po chwili przyniósł wielką planszę przedstawiającą konstrukcję ogromnych pomp próżniowych do oczyszczania wody w portach z ropy. Opisy wykonane były po hebrajsku, a on po angielsku wyjaśniał budowę „wysoco efektywnego urządzenia radarowego”. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. A przedstawiciel Alty tak się zagalopował, że zapewnił nawet, iż dzięki temu radarowi można zlokalizować osobę płynącą w wodzie, a do tego określić rozmiar jej obuwia, nazwisko i adres, a nawet grupę krwi. Goście ze Sri Lanki podziękowali za wykład, stwierdzili, że są zaskoczeni poziomem technicznym urządzeń, ale niestety nie są one dostosowane do ich okrętów. A przecież znaliśmy ich okręty. To myśmy je budowali.

Przekazałem Amy'emu, że Lankijczycy nie kupią radaru. „Wiedzieliśmy o tym” — skwitował.

Amy kazał mi następnie jechać do Kfar Sirkin, gdzie szkolili się ludzie ze Sri Lanki. Miałem im pokazać to, co chcieliby zobaczyć, następnie na wieczór przywieźć do Tel Awiwu. Ale uprzedził mnie, bym się upewnił, czy wszystko jest uzgodnione z Yosym, który właśnie został przeniesiony do naszego wydziału.

Yosy również opiekował się grupą ze Sri Lanki. Byli to jednak Tamilowie, którzy nie chcieli się spotkać z moimi podopiecznymi — Synga-

leżami. Tamilowie, w większości hinduiści, utrzymywali, że od 1948 r. gdy

Sri Lanka (wówczas Cejlon) uzyskała od Wielkiej Brytanii niepodległość, są dyskryminowani przez buddyjską większość Syngalezów. Na ok. 16 milionów Lankijczyków Syngalezów jest 74 proc., zaś Tamilów 20 proc. Zamieszkują oni głównie północną część kraju. Ok. 1983 r. partyzancka frakcja Tamilów, znana pod nazwą Tygrysów Tamilskich, rozpoczęła walkę zbrojną o utworzenie na północy wyspy kraju tamilskiego — Eelem.

Według doniesień w walkach po obu stronach zginęły tysiące ludzi.

Z Tamilami ze Sri Lanki sympatyzuje południowoindyjski stan Tamil Nadu, gdzie żyje 40 milionów Tamilów. Wielu Tamilów lankijskich, ratując się przed przelewem krwi, tam właśnie znajduje schronienie. Zaś

rząd Sri Lanki oskarża władze indyjskie, że zbroją i szkolą Tamilów.

A powinien oskarżać Mosad. /

Tamilowie szkolili się w bazie komandosów morskich. Uczyli się różnorodnej techniki sabotażowej, w tym zakładania min lądowych i komunikacyjnych, dokonywania sabotaży na okrętach typu Devora.

W grupach syngaleskiej i tamilskiej było po 28 ludzi. Zdecydowano, że tego

wieczoru Yosy weźmie Tamilów do Hajfy, a ja Syngalezów do Tel Awiwu, aby w ten sposób uniknąć spotkania.

Prawdziwy problem powstał jednak w drugim tygodniu szkolenia, gdy obie grupy — nie wiedząc o sobie — równocześnie znalazły się w Kfar Sirkin. Baza zajmuje rozległy teren, ale i tak trudno było uniknąć kontaktu między obu grupami. Stało się tak raz podczas joggingu, gdy Syngalezi i Tamilowie przebiegli obok siebie w odległości zaledwie kilku jardów. Po przejściu podstawowego szkolenia w Kfar Sirkin Syngalezi zostali przenie-

sieni do bazy morskiej, gdzie zdobywali wiedzę o technice sabotażowej, a więc o tym samym, czego krótko przedtem Izraelczycy uczyli Tamilów. To było rzeczywiście zabawne.

Musieliśmy Syngalezom i Tamilom wymyślać kary i nocne ćwiczenia, aby byli tak zajęci, by nie mogli się natknąć na siebie w Tel Awiwie.

Gdyby

tak się stało, działalność tego jednego człowieka (Amy'ego) naraziłaby

Izrael na duże polityczne komplikacje. Jestem pewien, że Peres nie mógłby w ogóle spać, gdyby wiedział o tym wszystkim. Ale oczywiście nie wiedział o niczym.

Syngalezi udali się następnie do Atlit, gdzie znajdowała się ściśle tajna baza komandosów morskich. Szkoleniem zajęła się Sayret Matcaj — najlepsza grupa wywiadowczo-rozpoznawcza, ta sama, która dokonała

125

słynnego rajdu do Entebbe (w Ugandzie, gdzie wylądował porwany samolot pasażerski—tł.).

Amy, informując mnie o losach Syngalezów, podzielił się swym kłopotem:

— Słuchaj, mamy pewien problem. Wkrótce przyjeżdża grupa 27 chłopców z SWAT z Indii.

— O Boże — jęknąłem. — A cóż to jest? Mamy Syngalezów, Tamilów, a teraz jeszcze Hindusów. Kto będzie następny?

Grupa SWAT miała szkolić się w tej samej bazie, gdzie Yosy trzymał swoich Tamilów. Sytuacja była więc trudna i potencjalnie wybuchowa.

A jeśli idzie o mnie, to miałem przecież stałe regularne zajęcia w biurze, musiałem też składać codzienne raporty. Wieczorami chodziłem z grupą SWAT na obiad, upewniając się za każdym razem, że w pobliżu nie ma nikogo z innych grup. Codziennie dostawałem kopertę z ok. 300 dolarami w izraelskiej walucie na wydatki moich podopiecznych.

W tym okresie towarzyszyłem też tajwańskiemu generałowi lotnictwa. Nazywał się Ki. Był on przedstawicielem środowiska wywiadowczego w Izraelu. Działał przez ambasadę Japonii i chciał kupić broń. Otrzymałem polecenie, by mu coś pokazać, ale nic nie sprzedawać. Obawiano się bowiem, że Tajwańczycy wszystko skopiują i staną się na rynkach naszymi konkurentami. Zawiozłem Tajwańczyka do zakładów Sultana w Galilei, gdzie są produkowane moździerze i pociski do tej broni. Zakład zrobił na nim wielkie wrażenie. Natomiast właściciel oświadczył mi, że nie gościowi nie sprzeda: po pierwsze dlatego, że jest z Tajwanu, a po wtóre wszystko już ma swoich odbiorców. Zdziwiłem się. Przyznałem, że nie miałem pojęcia, iż moździerze to taka ważna dla nas broń. „Dla nas nie — odpowiedział. — Ale Irańczycy masowo jej używają”. Oto, co nakręcało produkcję tej firmy.

Doszło jednak do porozumienia przewidującego przyjazd do Izraela na szkolenie grupy Tajwańczyków. Był to wynik kompromisu. Tajwańczy-

cy prosili Mosad o posłanie jego przedstawicieli do Chin. Mosad odmówił i w zamian zgodził się przeszkolić grupę ludzi w zakresie zbierania informacji z „martwych obiektów”.

W tym czasie wydział gościł też sporo Afrykańczyków, którzy oferowali nam różne usługi. Pracowałem w tym wydziale o dwa miesiące dłużej, niż to było przewidziane. Stało się tak na prośbę Amy'ego. Było to dla mnie bardzo pochlebne i spowodowało pozyteczny wpis do moich akt personalnych.

126

ł

•*.

^

. W wydziale opowiadano historyjkę o „maszynie do pluskania”, by zilustrować, na jakie dziwaczne i bezużyteczne rzeczy Afrykańczycy wyrzucają pieniądze. Ktoś spytał jednego z afrykańskich przywódców, czy ma już „maszynę do pluskania”. Oczywiście nie miał. Zaoferowano więc zbudowanie jej za 25 milionów dolarów. Twórca skonstruował unoszące się nad wodą potężne ramię o długości prawie 1000 stóp i wysokości ok. 600

stóp i zwrócił się do zleceniodawcy o dalsze 5 milionów dolarów.

potrzebnych do ukończenia tego dzieła. Konstruktor umieścił pod ramie-

niem ogromny dźwig, w którego uchwycie znajdowała się potężna, wykonana ze stali nierdzewnej kula o średnicy ponad 60 stóp. Nadeszła chwila uroczystego uruchomienia wspaniałej maszyny. Osobistość afrykańska wraz ze swymi podwładnymi i gośćmi zagranicznymi przybyła nad brzeg rzeki. Dźwig powoli przesunął się po długim ramieniu do samego jego skraju. Uchwyt rozwarł się i potężna kula spadła do wody. Ozwał się wspaniały „plusk”.

To jest oczywiście żart, ale nie tak daleki od prawdy.

Nie widziałem nigdy w życiu tak wielu pieniędzy, które tak szybko przechodziły z rąk do rąk, jak w czasie mojej pracy z Amym. Mosad traktował wszystkie kontrakty handlowe jako początkowe kontakty, które pewnego dnia mogą owocować stosunkami dyplomatycznymi. Tak więc pieniądze nie liczyły się. A biznesmeni naturalnie patrzyli na wszystko przez pryzmat zysku. Zapewniali sobie więc nieliczne procenty.

Moim ostatnim zadaniem dla Amy'ego była czterodniowa podróż po Izraelu z mężczyzną- i kobietą z komunistycznych Chin. Owa para miała kupić urządzenia elektroniczne. Nie ukrywali złości, gdy pokazano im urządzenia gorsze jakościowo od tych, jakie już mieli w Chinach. „Cóż to, próbujecie nam sprzedać jakieś skarpety?” Pretensja ta wydawała mi się śmieszna, ponieważ marzyło mi się, byśmy sprzedawali skarpety armii chińskiej. Ekonomicznie bylibyśmy wówczas bardzo mocni. Każdy u nas mógłby je tkać.

Amy myślał, że owa para nie zajmuje wystarczająco wysokiej pozycji i traktował ją dość podle. Amy sam, bez pytania kogokolwiek, podejmował decyzje z zakresu polityki zagranicznej. To było zdumiewające. Ale zastanawiało mnie coś innego. Przez całe życie Amy pracował na rządowej posadzie za państwową pensję. Miał jednak dużą willę wzniesioną na rozległej działce, gdzie był także mały lasek. Gdy pracowaliśmy w weekend, wpadaliśmy czasem do niego. I zawsze odbywały się przyjęcia z licznymi

127

gośćmi. Spytałem raz, jak mu na to wszystko starcza. Odpowiedział, że ciężko pracuje, oszczędza, a więc starcza.

— No tak, oczywiście — zauważyłem.

*

Przeniesiono mnie następnie do wydziału tsomet (Meluckah). Zasiadłem w komórce Beneluxu. Do moich obowiązków należało m.in. rozpatrywanie duńskich próśb o wizy.

W wydziale tym odpowiednia komórka ma służyć stacji, a nie instruować ją. Szef stacji w tsomet jest przeważnie równy rangą szefowi oddziału, do którego należy (w Kaisarut, gdzie pracowałem poprzednio,

było akurat odwrotnie: tam decyzje podejmowane były w komórkach i oddziałach, tak więc na przykład szef stacji łącznikowej w Londynie

bezpośrednio podlega szefowi londyńskiej komórki w Tel Awiwie, która wszystko kontroluje).

Pierwszy oddział tsometu ma kilka komórek. Moja, pod nazwą

Benelux, zajmuje się Belgią, Holandią i Luksemburgiem oraz

Skandynawią

(ze stacjami w Brukseli i Kopenhadze). Ponadto były komórki francuska

i brytyjska ze stacjami w Londynie, Paryżu i Marsylii.

Drugi duży oddział miał komórkę włoską ze stacjami w Rzymie

i Mediolanie, niemiecko-austriacką ze stacją w Hamburgu (potem przenie-

sioną do Berlina) oraz komórkę „skoczków” zwaną izraelską stacją w Tel

Awiwie z katsa doskakującymi w razie potrzeby do Grecji, Turcji, Egiptu i Hiszpanii.

Szef stacji ma rangę szefa oddziału i jeśli trzeba, może tego ostatniego

pomijać. Udaje się wtedy bezpośrednio do szefa wydziału. Ta struktura

była nieco wadliwa, bowiem jeśli sprawa nie powiodła się u szefa

wydziału,

miał prawo jeszcze zwrócić się do szefa na Europę, w Brukseli. Ten, jako

dowódca w terenie, mógł zlekceważyć nawet szefa wydziału. Sytuacja ta

wywoływała ciągłe spory i każde przesunięcie personalne powodowało

zmiany w układzie sił.

W Mosadzie nie ma czegoś takiego jak rozkazy. Przekazywanie poleceń odbywało się w bardziej sympatyczny sposób. Po pierwsze, nie chciano nikogo złościć, a ponadto nikt nie musiał wykonywać tego, o co proszono. Większość ludzi w systemie Mosadu ma jednego lub dwóch protektorów — jawnego i tajnego. Jeden pomaga wspinać się do góry, drugi zaś wyciągać z gówna. Trwa więc ciągła walka o to, by odgadnąć, kto stoi za kim i dlaczego.

128

Kiedy nadeszła komputerowa wiadomość od agenta, który był pomocnikiem attache lotniczego w ambasadzie Syrii w Paryżu, że dowódca syryjskich sił lotniczych (będący równocześnie szefem ich wywiadu) przyjeżdża do Europy, aby zakupić kosztowne meble, w kwaterze od razu powstała idea skonstruowania podsłuchu, który można wmontować w te meble.

Komputer wyszukał najpierw wami handlujących meblami. Plan przewidywał zbudowanie „gadającego stołu” dla odnawianych biur dowództwa syryjskich sił lotniczych. Katsa z Londynu pojechał do Paryża, by poprowadzić całą grę, chociaż Mosad wiedział, że generał kupi meble

w Belgii, a nie we Francji (nikt jednak nie wiedział dlaczego).

Jeszcze przed przyjazdem generała londyński kasa zorganizował meblową firmę, gdzie można kupić wszystko, czego się zapragnie, tyle że taniej niż gdzie indziej. Wiedzieliśmy, że sam generał nie targuje się. Był bogaty, a przy tym mógł dostać pieniądze w ambasadzie i płacić od razu w gotówce. Powstała więc myśl, by dotrzeć do osoby, która będzie bezpośrednio realizować zakup. Na załatwienie tego mieliśmy niecałe trzy tygodnie.

Nawiązaliśmy kontakt z „pomocnikiem”, znanym projektantem wnętrz. Dał nam zdjęcia swoich prac. W ciągu dwóch dni zrobiliśmy z nich reklamowy prospekt naszej firmy. Przedstawiliśmy tam charakterystykę mebli i ich ceny, zresztą atrakcyjne.

Trzypunktowy plan działania przewidywał najpierw próbę bezpośredniego dotarcia do interesującego nas współpracownika generała, aby oferować mu prospekt i doprowadzić do zakupu mebli w Mosadzie. Jeśli to się nie uda, plan przewidywał ustalenie miejsca zakupu i zajęcie się transportem. Gdyby natomiast i to było niemożliwe, plan zakładał wykradzenie mebli.

Znaliśmy już hotel brukselski, w którym zatrzyma się generał.

Wiedzieliśmy też, że wraz z ochroną znajdzie się tam na trzy dni przed

wyjazdem do Paryża. Chodziliśmy za generałem i jego pomocnikiem od sklepu do sklepu i obserwowaliśmy, co pomocnik notuje. Na tym etapie katsa był bezradny, bo nie wiedział zupełnie, co dalej robić. Dzień dobiegł końca i generał wrócił do hotelu. Nasz człowiek w ambasadzie syryjskiej podał nam, że generał leci do Paryża już następnego dnia, ale jeden bilet został anulowany. Domyśliliśmy się, że w Brukseli pozostanie pomocnik, aby dokonać zakupu.

129

I tak właśnie się stało. Następnego rana „ogon” pociągnął za Syryjczykiem z hotelu do ekskluzywnego sklepu z meblami. Pomocnik generała wdał się w dłuższą rozmowę ze sprzedawcami. Katsa uznał, że teraz może działać. Wszedł do sklepu. Tuż za nim pojawił się sayan, podszedł do katsa i głośno wyraził mu podziękowanie za pomoc w nabyciu

mebli, jakich chciał. Dodał, że dzięki temu zakupowi zaoszczędził tysiące dolarów.

Po wyjściu sayana Syryjczyk spojrział z zaciekawieniem na katsa. Ten spytał:

— Kupuje pan meble?

— Tak.

— Niech pan spojrzy na to — pokazał Syryjczykowi prospekt meblowy.

— Pan pracuje w tym sklepie?

— Nie, kupuję dla moich klientów. Kupuję z dużym rabatem. Zajmuję się też transportem i daję ułatwienia w płatności.

— Co to znaczy?

— Klienci przychodzą do mnie, określają styl mebli, jakie chcą, a ja dokonuję zakupów u źródła. Potem wysyłam je pod wskazany adres, a klienci płacą dopiero po nadejściu transportu. Dzięki temu nie muszą sobie zawracać głowy, jeśli są jakieś uszkodzenia. Nie mają żadnych kłopotów, nie muszą zajmować się zwrotem pieniędzy.

— Skąd pan wie, że rachunek będzie uregulowany?

— Nie mam takich problemów.

W głowie pomocnika generała coś zaświtało. Dostrzegł szansę zarobienia. Katsa pracował nad nim trzy godziny, ale otrzymał listę wszystkiego, czego potrzebował generał. Nie licząc transportu i opakowania. miało to kosztować 180 tysięcy dolarów. Ale katsa „sprzedał” mu za

105 tysięcy. Dla pomocnika zostało 75 tysięcy.

Syryjczyk polecił przetransportować meble do portu w Latakiji, ale dał fałszywe nazwiska — swoje i generała. W całej operacji jedno nie było fałszywe: miejsce, gdzie meble miały być zawieszane. Pomocnik uprzedził, że można zadzwonić do ambasady Syrii w Paryżu, by sprawdzić wiarygodność zamówienia. A gdy rozstał się z kates, zatelefonował do ambasady, właśnie do naszego człowieka. Powiedział mu, że gdyby ktoś dzwonił, by sprawdzić owe nazwiska i adres, to powinien je potwierdzić, bowiem chodzi tu o operację niezwyklej wagi.

130

" Dwa dni później ozdobny stół belgijski popłynął statkiem do Izraela. Tam naszpikowano go urządzeniami podsłuchowymi i nadawczymi wartości 50 tyś. dolarów. Znalazła się tam specjalna bateria o trzy—czteroletniej trwałości. Aparatura została tak wmontowana, że można ją było odkryć tylko w przypadku zdjęcia blatu i przepiłowania go na pół. Stół następnie wrócił do Belgii, skąd wraz z innymi meblami popłynął do Syrii.

Mosad jednak wciąż czeka, by stół się odezwał. Agenci krążyli już wokół tego budynku z aparatami, które miały sprawdzić działanie urządzeń podsłuchowych. Nic z tego nie wyszło. Straszne męki psychiczne przeżywali mosadowcy, gdyż urządzenie nie działało. Możliwe, że stół

umieszczo-

no w specjalnym bunkrze. Rosjanie zbudowali kilka takich pomieszczeń, skąd nie przedostają się nawet fale radiowe. Wątpliwe, by Syryjczycy wykryli urządzenia w stole, bo gdyby tak się stało, wykorzystaliby je do swoich celów (fingując rozmowy wprowadzające Mosad w błąd — t.).

Mimo czasem bardziej interesujących zajęć moja praca w tym wydziale była jednak dość monotonna. A między innymi zasłaniałem swoich bossów. gdy ich żony dzwoniły pytając o nieobecnych długo w domu mężów. Mawiałem, że wykonują jakieś zadanie.

Jak każdy tutaj, również pracowałem w „burdelu”.

Rozdział VII

Jarmułka

2 października 1984 r. wraz z kolegami zakończyliśmy nasz staż jako młodszy katsa w siedzibie głównej kwatery Mosadu. Teraz mieliśmy rozpocząć — znowu w Akademii — kurs dla oficerów operacyjnych. Tym razem pracowaliśmy w dużym pomieszczeniu na piętrze głównego budynku. Z naszej początkowej piętnastki pozostało dwunastu, ale doszli do nas trzej inni koledzy, którzy pozostali z poprzednich kursów. Byli to Oded L., Pinhas M. i Yegal A.

Zmiany nastąpiły w kierownictwie. Araleh Sherfjuż nie był szefem Akademii, bowiem przejął wydział Tsafririm (poranna bryza). Jego

miejsce

zajął Da-vid Arbel — były szef biura (Mosadu — tł.) w Paryżu.

Powiązany

był z niesławną aferą Lillenhammera. Był jedynym, który opowiedział wszystko miejscowym władzom. Zastaliśmy jeszcze Shai Kauly'ego, natomiast Oren Riff został przeniesiony do kancelarii szefa Mosadu.

Naszym nowym opiekunem kursu został Icik E.*, również katsa, ale z mniej znaczącą karierą. Był jednym z dwóch ludzi, których podsłuchał na

lotnisku Orly mówiący po hebrajsku człowiek z OWP, tuż po odprowadzeniu niezwykle cennego agenta na samolot do Rzymu.

Arbel — siwy, niski, nieśmiały i w okularach — nie budził zaufania.

Natomiast Icik grał pod publiczność jako bystry przybyły wprost z terenu katsa, który zakończył swą kadencję jako zastępca szefa stacji w Paryżu.

Płynnie mówił po francusku, angielsku i grecku. Szybko przypadł mu do serca urodzony we Francji Michel M. Obaj rozmawiali ze sobą tylko po francusku. Ich koleżeńskie stosunki wywoływały jednak niechęć innych wobec Michela. Należał on kiedyś do naszej paczki, ale teraz rozdzieliliśmy

*) Patrz Prolog: Operacja Sfinks

132

się, bowiem Michel posłużył się swoim francuskim, by wkraść się w łaski

Icika i oczerniać innych, również mnie.

Nazwaliśmy Michela „żabą”, co nie miało jednak nic wspólnego z jego twarzą. Gdy ktoś dostrzegł, jak Michel zbliża się, zwykle dawał sygnał ręką symulując skaczącą żabę. Michel wciąż opowiadał, jaka to wspaniała jest kuchnia francuska, francuskie wino i wszystko inne, co francuskie. Przypominał się nam wtedy jeden z dowcipów o Izraelczyku, który przyszedł do francuskiej restauracji. „Czy macie tu udka żabie?” — zapytał. „Oczywiście, proszę pana!” „Bądź więc łaskaw, skocz do kuchni i przynieś mi hommos!” (popularna na Bliskim Wschodzie arabska przystawka — tł.)

Michel nie należał już do mojej paczki, pozostali Yosy i Heim. Wydawało się nam, że zjedliśmy wszystkie rozumy i uważaliśmy, że wszystko nam wolno. Myśleliśmy, że znamy wszelkie triki w grze, a powiedziano nam, że teraz dopiero będziemy uczyć się istoty wywiadu. Dotąd poznaliśmy zachowanie się podczas operacji i zbieranie informacji na niższym poziomie. Obecnie mieliśmy uczyć się docierać do jądra informacji i odsiewania plew.

Na początku Nahaman Lavy z bezpieczeństwa i niejaki Tal pokazali nam wyprodukowany przez Mosad film pt. „Wszystko z powodu małego gwoźdźca” — znaną historię, jak pewna armia przegrała wojnę, ponieważ koń dowódcy postradał gwoździec w podkowie. Chodziło o ukazanie, jak ważny jest każdy szczegół. Jeśli nie dopilnuje się go, cała operacja może załamać się. Była to część czterogodzinnej sesji, która objęła także wykład

o zachowaniu się zapewniającym bezpieczeństwo i niezawodność.

Następnie spędziliśmy godzinę z Liry Dinure, naszym nowym instruktorem NAKA. Wreszcie rozpoczęliśmy obszerny kurs międzynarodowego biznesu. Uczyliśmy się, jak prowadzić interes, jak załatwiać pocztę, poznawaliśmy struktury zarządzania, stosunki między dyrekcją a udziałowcami, obowiązki dyrektora, pracę giełdy, przygotowywanie kontraktów zagranicznych, załatwianie transportu, a więc wszystkiego, co jest potrzebne, by wiedzieć, jak pracuje firma, gdy posługujemy się nią jako parawanem przeprowadzanych operacji. Dwugodzinne wykłady mieliśmy co najmniej dwa razy w tygodniu, a do tego dochodziły niezliczone testy i zajęcia praktyczne.

Icik władował nam też nowe ćwiczenia uczące ze szczegółami, jak wykorzystywać agenta. Jedno z ćwiczeń ilustrowało, jak zabić agenta, który zszedł na manowce, w sytuacji, gdy stacja nie może przysłać zespołu

133

kidon (zabójców). Podzielono nas na trzy pięcioosobowe grupy, Każda miała swojego „podejrzanego”. Trzeba było zebrać wszelkie dane i opracować plan eliminacji.

Moja grupa zebrała konieczne informacje w ciągu trzech dni.

Ustaliliśmy, że codziennie, z regularnością zegarka człowiek ten o godz. 5.30 po południu kupował papierosy w tym samym sklepie. Było to

niewątpliwie najlepsze miejsce, by go złowić. Zajechaliśmy samochodem, w którym obok kierowcy i mnie był jeszcze jeden kolega. Zawołałem agenta, który rozpoznał swego katsa i zajął miejsce na tylnym siedzeniu. Wyjechaliśmy za miasto do z góry przewidzianego miejsca. Założyliśmy facetowi tampon z eterem. Wszystko było naturalnie symulowane.

Teraz chodziło o to, by „śmierć” wyglądała jako skutek wypadku. Ukryliśmy samochód koło urwiska. Obok położyliśmy „nieprzytomnego” agenta. Przez gazetową tubę wleliśmy mu do gardła wódkę. Poczekaliśmy trochę, by alkohol przedostał się do krwi, a potem ułożyliśmy naszą „ofiara” na miejscu kierowcy. Resztki wódki rozlaliśmy na siedzeniu, gdzie umieściliśmy zapalniczkę i niedopałek papierosa. Miała to być „przyczyna” pożaru. Pomysł polegał na tym, by po podpaleniu samochodu zepchnąć go z urwiska.

Inny z zespołów ćwiczeniowych stwierdził, że ich człowiek chadza co wieczór do klubu. Zastosowali bardziej bezpośrednią metodę. „Zabili” go pięcioma ślepyimi nabojami, wrócili do samochodu i szybko odjechali.

Równocześnie doskonaliliśmy nasze umiejętności w zakresie maskowania się, ucząc się posługiwania się różnymi paszportami. Trzeba było być przygotowanym na sytuację, gdy jest się aresztowanym jako określony osobnik, który po uwolnieniu zmienia całkowicie swoje „ja”, ale znów jest zatrzymany i zwolniony, po czym jeszcze raz przemienia się w kogoś

innego.

Uczyliśmy się też o cafririm i mechanizmach obronnych stworzonych przez Żydów na całym świecie. W tym punkcie niektórzy z nas mieli pewien problem. Ja sam nie mogłem się pogodzić z tym, że wszędzie tworzy się taki system ochrony. Uważałem na przykład, że jeśli w Anglii dzieciaki uczą się posługiwać bronią celem ochrony synagog, to wspólnotom żydowskim przynosi to więcej szkód niż korzyści. Argumentowałem, że jeśli nawet jakaś grupa ludzi jest prześladowana i chce się ją wytępić — jak to bywa z Żydami — to nie mają oni prawa stwarzać kłopotów w krajach demokratycznych. Rozumiem taką potrzebę w Chile czy Argentynie, gdzie ludzie wprost znikają z ulic, ale nie w Anglii, Francji czy Belgii.

134

Fakt, że istnieją grupy antysemitów — rzeczywistych czy wyimaginowanych — nie stanowi żadnego usprawiedliwienia, bowiem jeśli spojrzymy na izraelskie podwórko, dostrzeżemy tam grupy antypalestyńskie. Czy więc należy uznać, że Palestyńczycy mają dlatego prawo gromadzić broń i organizować własną ochronę? A czyż nie nazywamy ich terrorystami?

Oczywiście w Mosadzie wszelkie tego rodzaju rozmowy nie były

uważane za mądre, szczególnie w świetle doświadczeń Holocaustu. Wiem, że Holocaust był jedną z najstraszliwszych tragedii, jakiej doświadczyli Żydzi. Na przykład ojciec Belli — mojej żony — był 4 lata w Oświęcimiu i większość jej rodziny została wymordowana przez Niemców. Ale trzeba pamiętać, że prawie 50 milionów ludzi, przedstawiciele innych narodów, również poniosło śmierć. Niemcy usiłowali wyniszczyć Cyganów, różne wspólnoty religijne, Rosjan i Polaków. Holocaust powinien, czy nawet musi stać się przesłanką dla jedności Żydów z innymi narodami, a nie narzędziem izolowania się. Była to niestety tylko moja opinia, a jej głoszenie i tak by nie pomogło.

W toku trwania kursu zmienił się zasadniczo nasz tygodniowy program „sportowy”. Na terenie obozu wojskowego koło Herchji biegaliśmy, czołgaliśmy się i skakaliśmy między strumieniami prawdziwych pocisków wystrzeliwanych w naszym kierunku. Znajdowaliśmy się także pod obstrzałem drewnianych kuł. Ich uderzenia były bardzo bolesne, jeśli strzały padały z bliskiej odległości. Ćwiczenia te miały nas nauczyć unikania kuł wystrzeliwanych do nas, przez wykonywanie odpowiednich ruchów, a w tym samym czasie skutecznego posługiwania się własną bronią.

Ćwiczyliśmy wspinanie się i spuszczenie z wysokiego budynku przy pomocy liny, opuszczanie się ze śmigłowca, czy techniki strzelania do porywacza znajdującego się wewnątrz autobusu.

W programie szkolenia mieliśmy też „werbowanie agenta wspólnie

z zaprzyjaźnionym wywiadem" — na przykład z CIA. Na wstępie wykładowca podkreślił, że w zasadzie tego nie praktykujemy. Asystujemy partnerom, gdy mają takiego osobnika i sprawiamy wrażenie, że to wspólna sprawa. Ale jeśli tylko możemy załatwić to sami, rezygnujemy ze współpracy.

Instruktor dawał nam też wskazówki, jak kaperować agenta zaprzyjaźnionego wywiadu. Rozpoczyna się to od wspólnego działania, ale potem już samemu trzeba kierować takiego agenta do innego kraju, przekazując mu oddzielne instrukcje. Zaprzyjaźnionemu wywiadowi donosi się nato-

135

miast, że kontakt z owym wspólnym agentem został przerwany. To prosta procedura. Wystarczy z facetem spotkać się, a jeśli zrozumie on, że gra warta świeczki, podrywa się go i podwaja się mu wynagrodzenie.

Wówczas

staje się naszym agentem, nazywanym „niebieskim i białym" — od kolorów flagi izraelskiej (na białym tle niebieska gwiazda Syjonu — tł.).

Jednym z ciekawszych punktów naszego programu był film pt. „A President on the Crosshairs" stanowiący szczegółowe studium zabójstwa Johna F. Kennedy'ego (prezydenta USA) 22 listopada 1963 r. Zdaniem Mosadu mordercami byli ludzie z mafii, a nie Lee Harvey Oswald. Co jednak ważniejsze, w opinii Mosadu celem był nie Kennedy, lecz gubernator Texasu — John Conally, który siedział w samochodzie z prezydentem

i został tylko ranny. Oswald stał się jedynie ofiarą. Conally miał zginąć z rozkazu lud/i chcących utorować sobie drogę do naftowego biznesu. Mosad był przekonany, że oficjalna wersja zamachu to czyste oszukaństwo. Celem sprawdzenia swojej teorii odtworzyli sytuację, jaka miała miejsce w Dallas, gdy przejeżdżała prezydencka kawalkada, by przekonać się, czy strzelcy wyborowi wyposażeni nawet w lepszy sprzęt niż ten, jakim dysponował Oswald, byli w stanie trafić w ruchomy cel, z odległości 88 jardów (1 jard = 0,914 m). Nie mogli!

Ale było to znakomicie zakamuflowane. Gdyby to Conally został zabity, każdy mógł przypuszczać, że chodziło o zamach na Kennedy'ego. Gdyby chcieli zabić Kennedy'ego, mogliby dopaść go gdziekolwiek. Jeden pocisk, jak się zakłada, trafił w tył głowy prezydenta, wyszedł przez klatkę piersiową i ugodził w Conally'ego. Na filmie widać wyraźnie, że punkty te znajdowały się na jednej prostej. Kula musiałaby zatańczyć pirueta, aby tak trafić.

Mosad miał wszystkie filmy z zamachu w Dallas, a ponadto zdjęcia całego terenu, wszelkie dane fotograficzne i zdjęcia lotnicze. Posługując się manekinami, ludzie z Mosadu wielokroć powielali prezydencką kawalkadę. Profesjonaliści wykonują określone zadanie zawsze w ten sam sposób. Jeśli chce się użyć karabinu, to niewiele miejsc nadaje się do tego. Potrzebne jest miejsce, z którego cel jest widoczny najdłużej, gdzie można do celu

najbardziej się zbliżyć, a mimo to nie stworzyć najmniejszego zamieszania.

Opierając się na tych kryteriach wytypowaliśmy miejsca, z których Strzelało kilku naszych snajperów. Oswald użył karabinu Mannlicher-Carcano kaliber .6.5 mm z teleskopem powiększającym czterokrotnie. Broń tę wybrał z katalogu i zapłacił za nią 21,45 dolarów. Miał również rewolwer Smith and Wesson. Nie ustalono, czy oddał 3 czy 4 serie.

136

Wiadomo natomiast, że użył zwykłych pocisków wojskowych, których prędkość początkowa po opuszczeniu lufy wynosi 2 165 stóp na sekundę

(1 stopa = 0,3048 m).

Podczas symulacyjnych ćwiczeń Mosad użył lepszej i silniejszej broni, ustawionej nawet na trójnogu. Wykorzystano też urządzenia laserowe naprowadzające na cel. Według naszych ustaleń, lufa była nacelowana na tył głowy Conaily'ego. I albo Kennedy nagle poruszył się, albo też zabójca zawahał się na chwilę.

Ćwiczenie, pokazało, że Oswald w żadnym wypadku nie mógł zrobić tego, co mu przypisano. Nie był on nawet zawodowcem. Z takiej odległości niewiele mógł działać przy pomocy swego sprzętu. Przy tym dopiero co

go

kupił i nawet nie sprawdził. A wiadomo, że potrzeba czasu i umiejętności, by w nowym karabinie wyregulować teleskop. Oficjalna wersja jest więc

po

prostu niewiarygodna.

Pewnego ranka w końcu pierwszego miesiąca naszego finalnego kursu pojawił się przed nami barczysty, ale o wzroście tylko ok. 5 stóp, mężczyzna, który zaczął od słów: „Chcę wam opowiedzieć o czymś, w czym

sam uczestniczyłem wraz z gentlemanem nazywającym się Amikan.

Swego

czasu byłem w oddziale pod nazwą kidon. Moja grupa otrzymała polecenie

zlikwidowania przedstawiciela OWP w Atenach i jego zastępcy. Amikan był człowiekiem głębokiej wiary, potężnym mężczyzną, wysokim na 6 stóp

i 6 cali, dobrze zbudowanym, jak ja. Przypominał swym wyglądem drzwi".

Tak zaprezentował się nam Dań Drory. Wydarzeniem, które opisał, była przeprowadzona w połowie lat siedemdziesiątych w Atenach skuteczna operacja PASAT.

Drory, który wyraźnie kochał swoją pracę, otworzył dyplomatkę i wyjął z niej parabellum — niemiecki pistolet podobny do higer.

„Bardzo

go lubię" — powiedział kładąc broń na stole „Lubię również tę sztukę, ale nie pozwalają mi jej nosić" — dodał, gdy kładł obok eagle'a — magnum produkcji izraelskiej, wyposażone w system chłodzący. „Mogę jednak posługiwać się i tym" — powiedział następnie ukazując nam berettę. „Nie potrzebuje tłumika i to jest jej wielkim walorem".

Przerwał na chwilę i dodał: „Ale to jest mój ulubieniec". I uniósł s/tyiet z wąskim ostrzem, lekko rozszerzonym przy końcu i znowu zwężający się w kierunku czubka. „Można go wbić i wyciągnąć bez wywoływania krwawienia. Gdy się wyciąga, mięsień sam się zamyka.

137

Użytkowa korzyść tego sztyletu polega na tym, że możesz go wbić między żebra, przekręcić i dzięki, temu rozpruć wszystko w środku i potem po prostu wyciągnąć".

Na koniec wyjął kleszcze ze specjalną rękawicą, wyposażoną w dwa ostrze na kciuku i na palcu wskazującym. Założył rękawicę demonstrując nam osirza. Jedno przypominało szwajcarski nóż wojskowy, drugie— nóż do przecinania wykładzin podłogowych. Do urządzenia tego przymocował kleszcze. „Oto, co lubi Amikan!

Po prostu chwytasz faceta za szyję i zaciskasz dłonie. Działa to jak nożyce. Tnie wszystko. I nie pozwala facetowi nawet pisnąć. Śmierć jest

gwarantowana, ale nie natychmiastowa. Amikana to uszczęśliwiało.

Trzeba było pewnego czasu, by facet wyzionął ducha. Ale posługiwać się tym może tylko ktoś bardzo silny, tak jak Amikan".

Nie chciałbym spotkać owego Amikana. Był bardzo sprawny.

Amikan, jako głęboko wierzący, zawsze chciał nosić jarmułkę. Było to jednak kłopotliwe w nieprzyjaznych miejscach, gdzie musiał się maskować.

Tradycyjna jarmułka zwracałaby przecież uwagę. Wygalał więc czubek głowy i na to miejsce zakładał jarmułkę zrobioną z włosów.

Kiedy nadszedł rozkaz likwidacji ludzi z OWP, Drory i Amikan, wraz z innymi członkami komanda, pojechali do Aten. Tam ustalono, że Palestyńczycy mieszkali w centrum oraz że obaj brali udział w regularnych spotkaniach, ale nie utrzymywali ze sobą stosunków towarzyskich.

W tym czasie w Instytucie (Mosad — tł.) wszyscy byli pod wrażeniem sprawy Liliehammer, gdy zabito nie tego, co trzeba. Nowy szef Mosadu, Icchak Hofi, chciał więc osobiście sprawdzić przyszłe ofiary zamachu i dopiero na miejscu wyrazić zgodę na akcję. Chciał sam zobaczyć ofiary, zanim dosięgnie je śmierć.

Dla uproszczenia szefa stacji OWP nazwę Abdulem, a jego pomocnika — Saidem. Po zanalizowaniu sytuacji, ludzie przygotowujący zamach uznali, że spray/a nie może być załatwiona w mieszkaniu Abdula.

Postanowiono wykorzystać fakt, że co tydzień, zwykle we wtorki i czwartki, obaj spotykali się z innymi przedstawicielami OWP w hotelu przy jednej z głównych ulic.

Decyzję o sposobie przeprowadzenia akcji poprzedziło prawie miesięczne śledzenie obu mężczyzn. Wielokroć ich fotografowano i dokładnie sprawdzano akta personalne, by nie popełnić błędu. Jeszcze w młodości Abdula aresztowała policja jordańska we wschodniej Jerozolimie. Po jej zajęciu przez Izrael (w czerwcu 1967 r. — tł.) dokumenty Abdula, wpadły

138

w ręce policji izraelskiej. Członkowie komanda ateńskiego zdobyli szklankę, której Abdul używał w hotelu. Porównano odciski palców. Wszystko się zgadzało.

Po zebraniach Abdul zawsze wychodził z hotelu i jeździł do jednej ze swych przyjaciółek. Said zachowywał się inaczej. Na zebrania przychodził w zwykłym ubraniu. Potem jechał ok. 20 minut do swego luksusowego mieszkania na przedmieściu Aten. Wkładał wieczorowy garnitur i dopiero udawał się gdzieś na wieczorne spotkania. Zajmował mieszkanie na piętrze w domu z czterema lokalami. Obok budynku znajdował się parking z czterema stanowiskami. Po zaparkowaniu samochodu na drugim stanowisku od końca Said szedł do drzwi frontowych. Miejsca te były

oświetlone, gdyż naprzeciw parkingu znajdowała się latarnia uliczna, a ponadto mur przy parkingu miał też lampy.

Abdul zajmował się przeważnie polityką, dlatego miał skromną ochronę. Said natomiast związany był z działalnością zbrojną. Mieszkał wraz z trzema innymi członkami OWP, z których co najmniej dwóch stanowiło jego ochronę. Był to rodzaj bezpiecznego domu OWP.

Hotel stał przy ulicy dwupasmowej, z niewielkim ruchem i nielicznymi tylko przechodniami. Znajdował się tu parking dla klientów hotelowej restauracji. Drugi, dla gości hotelowych, mieścił się na tyłach budynku. Abdul i Said korzystali z tego pierwszego.

Po rozważeniu wszystkich danych Drory i Amikan postanowili zlikwidować obu po jednym z czwartkowych zebrań.

Dla akcji wykorzystano uliczne automaty telefoniczne. Jeden znajdował się prawie naprzeciwko hotelu, drugi zaś w miejscu, z którego widoczny był dom Saida. Ustalono, że Said zawsze wychodzi z hotelu przed Abdulem. Plan przewidywał, że Abdul zostanie zabity koło hotelu, po czym człowiek przy telefonie obok domu Saida otrzyma rozkaz strzelania do drugiej ofiary. Tę część akcji miał przeprowadzić Amikan zaopatrzony w 9-milimetrowy pistolet. Dowódca Amikana dwukrotnie sprawdził, czy w pistolecie tym nie ma kul dum-dum. Wiadomym było, że używał ich Mosad, a chodziło o to, by odpowiedzialność za zamach spadła na jedną

z frakcji OWP.

Wyznaczonego wieczoru mały mikrobus zaparkował po drugiej stronie ulicy hotelowej. Jeden z komandosów siedział w westybulu. Drory miał zbliżyć się do drzwi wejściowych od strony parkingu restauracyjnego, zaś w niedalekiej odległości miał za nim iść Hofi. Potem obaj mieli czekać w samochodzie na sygnał z walkie-talkie, że już należy ruszać.

139

Tymczasem niespodziewanie, wbrew zwyczajowi, w ten czwartek Abdul i Said wyszli z hotelu razem. Wsiedli do samochodu i odjechali.

Zamachowcy nawet nie drgnęli.

W następnym wtorek komandosi ponownie zajęli swe posterunki.

Tym razem Said wyszedł z zebrania około dziesiątej wieczorem. Odjechał w kierunku swego domu. Ludzie z Mosadu podjechali kawałek i zahamowali obok hotelu, tak jakby dopiero co przybyli.

Dwie minuty później od człowieka z westybulu hotelowego odezwał się sygnał w walkie-talkie, że Abdul już jest w drodze. Hotel miał dwa wejścia obok siebie: drzwi obrotowe i zwykłe. Chcieliśmy, by Abdul przeszedł przez te pierwsze, więc drugie zablokowaliśmy.

Człowiek z Mosadu na posterunku w westybulu wyszedł tuż za Abdulem i już na zewnątrz przytrzymał drzwi, by nikt inny ich nie obrócił.

Abdul zszedł ze schodów i skierował się na parking. Drory zbliżył się do niego od przodu, gdy Hofi zaszedł od tyłu. Hofi zapytał: „Abdul?” Gdy ten odpowiedział twierdząco, Drory oddał dwa strzały w pierś i jeden w głowę. Abdul padł martwy. Hofi szybko przeszedł ulicę i wsiadł do mikrobusu, który natychmiast ruszył. Zaś człowiek Mosadu w ulicznej budce telefonicznej powiedział do słuchawki: „Zrobione”. Ci, którzy pilnowali domu Saida, wiedzieli już, że teraz kolej na nich.

Tymczasem Drory tuż po oddaniu strzałów zawrócił na parking, wsiadł do samochodu i odjechał. Człowiek, który pilnował westybulu wrócił do budynku hotelowego i opuścił go tylnymi drzwiami prowadzący-
mi wprost na parking, gdzie czekał samochód. Wszystko trwało zaledwie 10 sekund. Gdyby ktoś obserwował westybul, zobaczyłby tylko, że jakiś mężczyzna wyszedł przez obrotowe drzwi i najwyraźniej przypomniawszy sobie coś, prawie zaraz cofnął się. Zaś ciało Abdula znaleziono dopiero po 10 minutach.

Tymczasem Said zajechał na swój przydomowy parking. Amikan stał w krzakach między dwoma budynkami. Latarnia nie świeciła, ale w innych
światłach Amikan dostrzegł, że po drodze do domu Said kogoś spotkał. Amikan nie był w stanie dostrzec, który z nich był Saidem. Uznał więc, że

przyjaciel jego wroga jest również wrogiem. Wyszedł z ukrycia, stanął za samochodem i ze swego 9-milimetrowego pistoletu wyposażonego w powiększony magazynek oddał 11 strzałów w głowy obu mężczyzn. Potem zbliżył się do ciał, by sprawdzić, czy sprawa została dobrze załatwiona.

Strzały były szybkie, lecz głośne. Amikan użył tłumika, ale trzask szkła i uderzenia kul o mur zaalarmowały ochronę Saida. Wyszli na balkon

140

spoglądając w dół. Jeden z nich zawołał: „Said!“. Inny członek grupy Amikana, który zabezpieczał frontową część budynku, by wkroczyć do akcji w razie potrzeby, odpowiedział po arabsku: „Chodźcie na dół“. Posłuchali tego wezwania. Ale zanim zeszli, Amikan wraz z dwoma towarzyszami wsiadł do samochodu, który zniknął w ciemności.

Głęboko utkwiał mi w pamięci sposób, w jaki Drory opisywał tę operację. Przypominało to delektowanie się dobrym posiłkiem w świetnej restauracji. Nigdy też nie zapomnę sposobu, w jaki Drory przedstawiał już samo zabijanie. Uniósł ręce, tak jakby trzymał pistolet i „strzelał“. Było to straszne. Już próbowano do mnie strzelać i widziałem dużo. Ale wyrazu twarzy Drory'ego nigdy nie zapomnę. Był tak podniecony, że aż zgrzytał zębami.

Potem pod adresem Drory'ego padło pytanie, jak czuje się, gdy strzela do kogoś nie w obronie własnej, czy na polu bitwy. „To jest narodowa

samoobrona" — odpowiedział. „Ten facet nie strzelał do mnie, to prawda, ale — w przenośni — mierzył swój pistolet w mój naród. Wszelkie odczucia nie mają z tym nic wspólnego”.

Spytaliśmy się też Drory'ego, o czym myślał jego kolega Amikan, gdy ukryty w krzakach czekał na swoją ofiarę. Drory odpowiedział, że Amikan przyznał się-mu, iż stale spoglądał na zegarek, bo robiło się późno, a on był głodny. Marzył o tym, by wszystko się już skończyło i by dostał coś do jedzenia — po prostu tak jak każdy inny człowiek, gdy przedłużająca się robota odwleka jego obiad.

Po tej odpowiedzi nie pytaliśmy już o nic.

Wkrótce potem rozpoczęliśmy kurs fotografowania. Uczyliśmy się posługiwania różnorodnymi aparatami, a także wywoływania filmów. Zapoznaliśmy się z metodą szybkiego wstępnego wywoływania, co pozwalało na sprawdzenie, czy potrzebny nam obraz jest dobry. Wystarczało rozpuścić dwie specjalne tabletki w letniej wodzie i moczyć w niej film tylko przez 90 sekund (później film wymagał jednak dalszej obróbki). Wypróbowałyśmy różne obiektywy, robiliśmy zdjęcia z ukrytych miejsc, także z podręcznych toreb.

Pinhas Maidan, który wraz z dwoma innymi kolegami dołączył do nas dopiero na końcowym kursie, wykorzystał zajęcia z fotografii dla własnych celów.

141

Na północ od Tel Awiwu, niedaleko Country Club znajduje się plaża zwana Tel Barbach. Gromadzą się tam dziwki, czekając na klientów, którzy przyjeżdżają tu samochodami. Pary oddalają się za wydmy, gdzie uprawiają miłość, a potem mężczyźni odjeżdżają. Pinhas zabrał sprzęt do nocnych zdjęć i ze wzgórza nad wydmami sfotografował owe pary. Dzięki wysokiej jakości sprzętu i teleobiektywom otrzymał bardzo wyraźne zdjęcia. Wiedział już — bo tego nas nauczono — jak się podłączać do komputera należącego do policji, bez jej wiedzy i pozwolenia. Na podstawie tablic rejestracyjnych Maidan znalazł nazwiska i adresy właścicieli samochodów. I po prostu zaczął ich szantażować. Telefonicznie informował, że ma kompromitujące zdjęcia i żądał pieniędzy.

Chwalił się nam, że zarobił na tym sporo forsy, choć nie powiedział jak dużo. Ale jeden z szantażowanych poskarżył się. Maidana skarcono. Przypuszczałem, że wyleci. Jednak widocznie ktoś uznał postępek Pinhasa za przejaw inicjatywy. Po prostu, jeśli ktoś tarza się w gównie, nie czuje już, że ktoś inny śmierdzi.

' Oczywiście, zgodnie z mosadowskim sposobem myślenia, tego rodzaju zdjęcia mogą być bardzo przydatne w werbowaniu. Ale nie zawsze się to sprawdza. Udowodniła to historyjka z pewną osobistością z Arabii Saudyjskiej. Facet został sfotografowany w łóżku razem z dziwką. Tej ostatniej polecono, by tak się ustawiła, aby obiektyw objął twarz Saudyjczyka -i miejsce bezpośredniego stosunku seksualnego. Mosad pokazał potem Saudyjczykowi te dowody seksualnych eskapad, proponując współpracę. Ale ten, gdy tylko obejrzał zdjęcia, zamiast przerazić się, aż podskoczył z radości: „To wspaniałe! Wezmę dwa z tych, i trzy z tamtych”.

I wyjaśnił, że chce te zdjęcia pokazać wszystkim swoim przyjaciołom. Naturalnie, w tym wypadku z werbowania wyszły nici.

W dalszym ciągu trwania kursu zajmowaliśmy się grupami wywiadowczymi w różnych krajach arabskich. Odbiliśmy wiele rozmów z funkcjonariuszami bezpieczeństwa w hotelach, poznając ich punkt widzenia w interesujących nas sprawach. Mieliśmy często działać w hotelach, musieliśmy więc nauczyć się, jak unikać zachowań, które mogą na nas zwrócić uwagę. Przy czym często chodzi o drobiazgi. Na przykład, jeśli pokojówka puka i wchodzi, a rozmowa nagle się urywa, najprawdopodobniej dziewczyna da znać hotelowym funkcjonariuszom bezpieczeństwa, że w pokoju coś się dzieje. Jeśli natomiast rozmowa toczy się dalej, jakby nikogo obcego nie było, nie daje się żadnych podstaw do podejrzeń.

Wysłuchaliśmy też całą serię wykładów o wszystkich policjach w Europie. Analizowaliśmy je, starając się je zrozumieć, uczyliśmy się ich silnych i słabych punktów. Zapoznaliśmy się z bombą islamską, odwiedziliśmy różne bazy wojskowe oraz zakłady nuklearne w ośrodku badawczym w Dimona, na pustyni Negew, ok. 40 mil (1 mila = 1609,31 m) na północny wschód od Beer Szewy. Oficjalnie był on początkowo przedstawiany jako fabryka włókiennicza, potem „stacja pomp”. Ale w grudniu 1960 r. CIA otrzymała z U-2 (amerykański samolot szpiegowski dokonujący zdjęć z wysokości niedostępnej wówczas dla normalnych samolotów — tł.) fotografie ukazujące, że znajduje się tam reaktor atomowy. Zwiedziłem też podobne zakłady w Nahal Sorek, na terenie bazy lotniczej na południe od Tel Awiwu. Znajduje się tam mniejszy reaktor, nazywany KAMG (Kureg Gamy Le Machkar, czyli Badawcze Urządzenie Nuklearne).

Kiedy w 1960 r. tajemnica zakładu została ujawniona, premier Dawid Ben Gurion oświadczył, że jest to izraelski ośrodek atomowy służący pokojowym celom. W rzeczywistości mógł on być wszystkim, tylko nie pokojowym.

W latach 1976—1985 pracował w Dimona Mordechai Vanunu — Izraelczyk pochodzący z Maroka. W 1986 r., przed wyjazdem do Australii, ogłosił, że przeschmuglował aparat fotograficzny i zrobił 57 zdjęć w supertajnej, umieszczonej głęboko pod ziemią części zakładów. Miał się

tam wtedy znajdować odpowiednio przygotowany pluton wystarczający do wyprodukowania 150 nuklearnych lub termonuklearnych ładunków. Vanunu potwierdził również, że Izraelczycy pomogli Afryce Południowej w przeprowadzeniu doświadczalnej eksplozji ładunku nuklearnego we wrześniu 1979 r. nad nie zamieszkanymi wyspami Księcia Edwarda i Marion na południowym skraju Oceanu Indyjskiego.

W wyniku procesu sądowego przeprowadzonego w Jerozolimie za zamkniętymi drzwiami Vanunu, oskarżony o szpiegostwo, został skazany na 18 lat więzienia. Mosad złapał Vanunu, gdy ten, zwabiony przez piękną agentkę, udał się jachtem w rejs po Morzu Śródziemnym, w pobliżu włoskiego wybrzeża. Londyński dziennik „Sunday Times” gotów był opublikować relację Vanunu i zrobione przez niego zdjęcia, ale Vanunu został porwany, potajemnie przewieziony statkiem do Izraela, postawiony przed sądem, który przeprowadził szybką rozprawę i skazany.

W istocie porwanie to nie było powodem do dumy. Vanunu nie stanowił jakiegoś niebezpieczeństwa, bowiem praca, jaką się zajmował była publicznie znana.

143

Moje osobiste obserwacje w Dimona potwierdzają, że opis Vanunu był bardzo dokładny. Co więcej, również jego interpretacja znanych mu faktów była prawidłowa. Ujawnił bowiem, że konstruuje się tam bomby, które mogą być użyte, jeśli zajdzie taka potrzeba. To była prawda. Nie

było

także tajemnicą w Instytucie, że pomagamy Afryce Południowej w realizacji programu nuklearnego. Zaopatrywaliśmy ich przecież w większość sprzętu wojskowego. Szkoliliśmy również ich specjalne jednostki. Współpracowaliśmy z nimi latami.

Ścisłe środki bezpieczeństwa, podobne tym w Dimonie, były także zastosowane dla rakiet ziemia-powietrze Hawk i Chapparral. To brzmi jak żart, ale kiedy odwiedziliśmy wyrzutnie Hawk, rakiety właśnie rdzewiały. Rakiety te sprzedali nasi później Iranowi. Było z tego dużo śmiechu.

Młodszy katsa uczył się także o międzynarodowych systemach telekomunikacyjnych, szczególnie o kablu śródziemnomorskim kończącym się w Palermo na Sycylii. Tu kabel ma połączenie z satelitami przekazującymi większość arabskich rozmów, telexów itp. Izraelska jednostka 8200 podłączyła się do tego systemu i uzyskała dostęp do prawie wszystkiego, co wysyłają Arabowie.

Co dwa tygodnie sporządzaliśmy na kursie coś w rodzaju wzajemnych charakterystyk. Każdy musiał ustalać kolejność swoich kolegów w różnych kategoriach, jak zdolność działania, wiarygodność, niezawodność, życzliwość, serdeczność itp. Ja na tym nie wychodziłem najgorzej, ale to nie było uczciwe. Zakładało się, że nie powinniśmy znać wyników. Ale znaleźmy

je.

Jeśli się kogoś nie lubiło, oczywiście, że umieszczano się go na końcu. Jako

że

wszyscy byliśmy trochę nieufni, Yosy, Heim i ja sprawdzaliśmy sobie wzajemnie te listy, by upewnić się, że nie ryzykujemy.

W końcu byliśmy już gotowi do ostatecznej próby. Po dwóch tygodniach mieliśmy się stać całkiem opierzonymi katsa.

Rozdział VIII

Powitanie i pożegnanie

W przeddzień rozpoczęcia naszych dwutygodniowych końcowych ćwiczeń zadzwonił do mnie mój kolega z kursu —Jerry S. Nie przypuszcza-
łem wówczas, jakie skutki przyniesie ten pozornie niewinny telefon.

Jerry był obywatelem amerykańskim. Ten szc/upły, 32-letni wtedy mężczyzna miał brodę, wąsy i siwiejące w losy. Prawnik z zawodu. pracował

kiedyś w prywatnym biurze prawnym Cyrusa Vance'a — sekretarza stanu w administracji prezydenta Jimmy'ego Carlera. Swego czasu byliśmy zJerrym przyjaciółmi, choć znałem pogłoski o tym, że jest homoseksualistą. On sam opowiadał kiedyś, że ma dziewczynę, która przyjechała ze Stanów i mieszkała razem z nim. ale musiała wrócić, gdyż była mężatką.

Nikt jednak jej nie widział, stąd pogłoski. Jerry bywał u mnie w domu. a ja u niego. Często pomagałem mu w maskowaniu się. Czasem się sprzecza-

my. ale byliśmy dobrymi kolegami. Nie było więc niczym dziwnym, gdy zaprosił mnie do siebie. Powiedział, że chce porozmawiać, a jak/e coś mi pokazać. Zaproszenie przyjąłem, bo niby dlaczego nie?

Kiedy do niego przyszedłem, przygotował nam swój ulubiony napitek — mieszankę wódki, lodu i rozgniecionych truskawek. — Mam coś, co chciałbym, byś zobaczył, powiedział, poczerń włożył kasetę do magnetowi-

du — ale przedtem muszę ci powiedzieć, że z pewnego wewnętrznego źródła będę już wiedział przed każdym ćwiczeniem, czy jesteście śledzeni, I będę mógł ci mówić, kiedy i gdzie jesteście śledzeni. Już nie musimy się tym przejmować.

— Jerry, będę szczery — odpowiedziałem. — Nie przejmuję się, jak mnie śledzą. Nawet to lubię. To jest ekscytujące.

— Slucij. Mówiłem już o tym z Ranem H. (inny kolega; z klasy. który miał poważne trudności z APAM) i ucieszył się.

VS Wlt.1111.1 •</pl.'L'-l

—• Nie dziwię się. Ale komu właściwie robicie przysługę?, ,

— Słuchaj, przecież wciąż musisz odgadywać, w jaki sposób cię śledzą — zauważył Jerry z wyraźną irytacją.

— Okay, Jerry, rób jak chcesz. Mnie to nie obchodzi. Jeśli uważasz, że mi pomożesz, to dobrze. Ale skąd masz tego rodzaju informacje?

— To kobieta, którą rżnie Icik. To jest ten słynny numer cztery. Mam z nią mały romans i daje mi te informacje.

— Bujasz...

— Wiedziałem, że mi nie uwierzysz. Siądź więc tam, rozluźnij się, a ja ci coś pokażę...

Kiedyś Jerry przechodził obok domu Icika i zobaczył wychodzącą kobietę. Była atrakcyjna, zjasnobrązowymi włosami i opalonym, wspaniałym ciałem. Jerry chwilę ją obserwował i poszedł do Icika. Jego żony nie było w domu. Jerry podczas rozmowy nic nie wspomniał o kobiecie.

Yarid. zespół, który zajmował się bezpieczeństwem w Europie, praktykował swe techniki w Izraelu. Najlepszym sposobem sprawdzenia tych umiejętności było śledzenie młodszych katsa. W zespołach tych posługiwano się nie imionami, lecz numerami. Ludzie z y ariel me wiedzieli

jednak, kogo śledzą. W przeddzień wskazywano im tylko punkt startowy i zdjęcie „obiektu”. Wspomniana kobieta nazywana była numerem cztery.

Jerry natknął się na nią podczas wcześniejszych ćwiczeń i chociaż nie wiedział wtedy, kim jest, wspomniał o niej w raporcie. Kiedy ją zobaczył, gdy wychodziła z domu Icika, skojarzył znane mu obserwacje. Zapisał numer rejestracyjny samochodu, którym odjechała. Z pomocą policyjnego komputera ustalił jej nazwisko i adres.

Postanowił wykorzystać zdobyte informacje. Wiedział, co o nim się mówi i chciał zagłuszyć te pogłoski. Zamierzał również dowiedzieć się, kto będzie śledził go w określony dzień ćwiczeń, by już nie zamartwiać się o APAM. Nie był w tym mocny, a APAM było niezwykle ważne na kursie. Jeżeli w tym zakresie się przepadnie, nie można wyjechać za granicę.

W swoim mieszkaniu miał wszelki dostępny sprzęt elektroniczny, a także duże urządzenie do ćwiczeń gimnastyczno-siłowych nazywające się Soloflex. Była to ława z drążkiem umocowanym w górnej części wielkiej ramy. Podczas jednego z ćwiczeń zakłada się na kostki nóg gumowe uchwyty, które zaczepia się następnie na drążku. Ciało zwisa głową w dół. Huśtanie w tej pozycji wzmacnia mięśnie brzucha. Wśród sprzętu, jaki posiadał Jerry, znajdowała się też kamera wideo ukryta w dyplomatce.

Urządzenie to było używane podczas wielu ćwiczeń. W razie potrzeby można było je wypożyczyć w Akademii. Filmy wykonywane przy pomocy tej kamery miały także swoje „gwiazdy” i charakteryzowały się wysoką jakością obrazu i dźwięku.

Film, który pokazał mi Jerry, rozpoczął się od szerokiego ujęcia pokoju. Zastłony były zasunięte, ale panowała jasność. Było to pomieszczenie z boazerią z jasnego drewna. Z boku stał duży stół, a w środku królował Soloflex.

Najpierw Jerry i numer „cztery” rozmawiali, potem zaczęli się całować i wzajemnie pieścić. „Poćwiczmy trochę” — powiedział Jerry i założył paski gumowe na kostki nóg kobiety, która już dyszała z pożądania. Jerry przymocował ją do drążka. Kobieta zawisła głową w dół.

Nie wierzyłem własnym oczom. Boże, pomyślałem, to nieprawda. Ale to była prawda.

Jerry stanął za zwisającą kobietą, rozłożył ręce i powiedział: „Ta-da!”

Bluzka kobiety zsunęła się na głowę, odkrywając zupełnie piersi. Jerry

ściągnął bluzkę, nachylił się, uniósł ciało kobiety. Zaczęli się całować. Potem włożył rękę pod majtki i pieścił ją. Po chwili zdjął ubranie. Podczas ostatnich minut film ukazał kobietę, które nadal wisząc głową w dół, robiła mu minetę, gdy on nago siedział na ławie.

Kiedy to się skończyło, zauważyłem:

— Jerry, nie musiałeś chyba robić tego filmu, by skłonić ją do współpracy.

— Prawdopodobnie nie. Ale pomyślałem, że gdyby nie chciała współpracować, to pokażę jej ten film i wtedy zgodzi się na pewno. To jest podniecające, prawda?

— W jakimś stopniu tak — odpowiedziałem ostrożnie.

— Wiesz chyba, co opowiadają o mnie w biurze?

— Że jesteś pedałem.

— Tak.

— To twoja sprawa. Nie jestem tu, by ciebie osądzać.

— Widziałeś przecież, że nie jestem pedałem.

— Jerry, dlaczego mi to mówisz? — zapytałem z niepokojem.

— Słuchaj, ja chcę jednego i drugiego — powiedział. — Jestem pewien, że będziemy mieli zabawę, jakiej sobie nawet nie wyobrażasz.

147

,— Jerry. czyja właściwie rozumiem to, co mówisz?

— Mam nadzieję, że tak!

Byłem jak zamroczony. Ogarnęła mnie wściekłość. Wstałem z kanapy i podszedłem do drzwi. Jerry, usiłując mnie zatrzymać, położył mi rękę na ramieniu. Doprowadziło mnie to do pasji. Odrzuciłem rękę i rąbnąłem go. Nigdy mi się wcześniej nie zdarzyło, bym kogoś tak mocno uderzył w żołądek. Zbiegłem na dół i wyskoczyłem na ulicę. Odetchnąłem świeżym

powietrzem. Biegłem ze czterdzieści minut, aż do Akademii, a było tam chyba cztery do pięciu mil. Nie czułem się w najlepszej formie.

Pokaszliwa-

łem, ale jakoś się trzymałem.

W Akademii znalazłem Itsika.

— Icik, muszę ci coś powiedzieć. Z tym trzeba skończyć.

— Chodź do mnie.

Opowiedziałem mu wszystko. Nie znaczy to, że mój wywód był całkiem jasny, bo trochę plątałem się. Ale można było zrozumieć. Powiedziałem przede wszystkim, że Jerry ma film wideo, na którym rżnie jego dziewczynę. A także, że i na mnie miał chętkę.

— Spokojnie, spokojnie — odpowiedział Ilsik. — Zawiozę cię teraz do domu.

Podziękowałem, ale powiedziałem, że mam tu rower i sam pojadę.

— Uważaj. Powiedziałeś mi o wszystkim, a teraz zapomnij — ostrzegł Icik. .

— Co to znaczy, że mam zapomnieć?

— To, co powiedziałem, że masz zapomnieć. Nie chcę o tym słyszeć nigdy więcej.

— Jakież to plecy ma ten facet?

— Zapomnij o tym — powtórzył Itsik.

Nic już nie mogłem zrobić. Było niewiarygodne, że Icik nie sprawdzając niczego przeszedł nad wszystkim do porządku dziennego.

— Okay, zapomnę. Ale dam ci to wszystko na piśmie. Z tym, że pójdzie to do komputerowej pamięci.

— Dobrze. Zrób tak.

Procedura, jakiej zażądałem, polega na tym, że list wysłany do kogokolwiek musi być umieszczony w zapieczętowanej kopercie i przekazany do komputera, gdzie wciąż pozostaje zapieczętowany. Ale adresat musi podpisem potwierdzić, że przeczytał, a komputer odnotowuje datę. Załóżmy, że katsa poinformował przełożonych, iż Syryjczycy mają uderzyć za tydzień. Jednak informacja ta została zlekceważona. Wówczas, jeśli

148

rzeczywiście był atak, szefowie zapytają, dlaczego nikt ich nie ostrzegł. I wtedy katsa ma dowód, że przekazał odpowiednie informacje.

W drodze do domu zatrzymałem się przy domu szefa bezpieczeństwa Mousy M. Powiedziałem mu o wszystkim.

— Musisz zrewidować program ćwiczeń i wyłączyć z niego tę dziewczynę.

— Czy Itsik już wie?

— Tak.

— I co powiedział?

— Kazał mi zapomnieć.

— Wydaje mi się, że nie mogę pozbyć się dziewczyny. Itsik dowie się w ten sposób, że mi powiedziałeś.

Następnego dnia, a była to połowa października 1985 r., rozpoczęły się końcowe ćwiczenia kursu. Polecono nam zainstalować się w różnych miastach w trzech mieszkaniach — po pięciu w każdym. Jedna grupa w Hajfie, druga w Jerozolimie, a moja na drugim piętrze domu znajdującego się koło kina Mugraby, w pobliżu ulic Allenby i Ben Jehuda — w południowej części śródmieścia Tel Awiwu, w rejonie, gdzie wystawały prostytutki.

Do mojej grupy oprócz Jerry'ego weszli Arik, Oded L. i Michel. Gdy rozpakowaliśmy się i zrobiliśmy wszystko co trzeba dla zapewnienia bezpieczeństwa naszego mieszkania-stacji, dostaliśmy paszporty. Zabrano nas na lotnisko i kazano przejść przez cło i wszelkie kontrole, jakbyśmy dopiero przylecieli do Izraela. Ja miałem paszport kanadyjski.

Pojechałem potem taksówką do naszego mieszkania. Sprawdziłem po

drodze lokalizację publicznych telefonów. Miałem jeszcze sporo czasu do godziny 1.00, na którą wyznaczono spotkanie informacyjne.

Czasami wolno nam było odwiedzać własny dom, gdy realizowaliśmy specjalne zadania, ale odbywało się to na zasadzie rotacji, tak by w nocy zawsze ktoś był obecny w mieszkaniu. Gdy wróciłem do mieszkania, wszystko wyglądało normalnie, jakby między mną a Jerryem nic się nie stało. Poza tym, że wiedziałem, iż nie mogę go nawet dotknąć i nie jestem w stanie przed nim ochronić się. Jego plecy były zbyt mocne.

Otrzymaliśmy zadanie terenowe. Mieliśmy pójść do Grand Beach Hotel na rogu ulicy Dizengoffa i Ben Guriona, naprzeciw ulicy, gdzie kiedyś był Sheraton. Stary Sheraton przejęli Amerykanie, gdy budowali

149

lotniska na pustyni Negew w ramach porozumienia z Camp David, w wyniku których Izrael musiał opuścić lotniska wojskowe na Synaju. Telefonicznie zarezerwowałem pokój w Beach Hotel. Jerry miał spotkać swój „kontakt” w westybulu tego hotelu. W bagażniku samochodu „kontaktu” znajdowała się dyplomatka z dokumentami. Chodziło o to, by wyjąć i otworzyć walizeczkę, zrobić zdjęcia dokumentów i włożyć walizeczkę do samochodu — tak, by nikt tych wszystkich czynności nie zauważył.

Mieliśmy już kluczyk do samochodu, który miał stać na szóstym

stanowisku parkingowym od wejścia do dawnego Sheratona. Okazało się jednak, że samochód został zaparkowany bliżej, w miejscu doskonale widocznym dla odźwiernego starego Sheratona.

Jerry znajdował się z „kontaktem” w westybulu hotelowym i zajmował takie miejsce, z którego było widać, jak przechodzę z dyplomatką do windy. Po wykonaniu zdjęć w pokoju wróciłem na parking, umieściłem walizeczkę w bagażniku. Przedtem wytarłem oczywiście wszędzie ślady palców.

Przekazałem sygnał Arikowi. Ten posłał go dalej Jerry'emu, który mógł już pozwolić „kontaktowi” na odejście. Wszystko zostało przeprowadzone bez wiedzy „kontaktu”.

Podczas całej akcji jedyną trudność sprawił nam fakt, że samochód był zbyt widoczny dla odźwiernego starego Sheratona. Powiedziałem Arikowi, by wyjął ze swego portfela wszystko prócz części pieniędzy i podszedł do odźwiernego, aby ten poszukał właściciela. W ten sposób odźwierny został unieszkodliwiony i mogłem wyjąć dyplomatkę z bagażnika.

Gdy już zrobiłem zdjęcia, zszedłem na dół. Arik znając imię odźwiernego, zadzwonił do niego. Odźwiernego wezwano do telefonu, a ja w tym czasie włożyłem dyplomatkę na miejsce.

Dwie godziny później wszyscy spotkaliśmy się w mieszkaniu. Byliśmy pewni, że wszystko poszło dobrze. Po chwili nadeszli Itsik i Shai Kauły.

Opowiedzieliśmy, co i jak zrobiliśmy. Gdyśmy skończyli, Jerry zwrócił się do Itsika: „Mam uwagi do zachowania się Wiktora”.

Oślupiałem. Przecież prześcignąłem samego siebie i nie można mi było nic zarzucić.

Ale Jerry kontynuował: „Kiedy Wiktor pracował dla Smerfów w K a i s a r ut, gościł kilku Afrykańczyków właśnie w tym hotelu. Przeprowadzając ćwiczenie w tym samym hotelu, naraził całą operację na ni ebezpieczeństwo”.

150

„Chwileczkę” — przerwałem mu. — „Ćwiczyliśmy Już w każdym hotelu w tym mieście. Z założenia zaś ćwiczenie to odbywa się w Paryżu, gdzie nie znam żadnego hotelu”.

Itsik wysłuchał i zapisał w swoim notesie: „słuszna uwaga”

Odwróciłem się do Kauly'ego: — Shai...

— Słuchaj, nie wciągaj mnie w to — odpowiedział.

Następnego dnia rozpocząłem drugie zadanie. Pozwoliło mi ono na pozostanie poza bezpiecznym domem przez kilka dni. Już nie mogłem wytrzymać wspólnego pobytu z Jerryem.

Miałem teraz nawiązać kontakt z dyplomatą brytyjskim, zajmującym się konserwacją grobów żołnierskich w Izraelu (głównie z czasów I wojny światowej). Miał on swoje biura w Ramlah — na wschód od Tel Awiwu, gdzie znajdował się duży cmentarz, oraz w ambasadzie brytyjskiej w Tel Awiwie. Shaback kilkakrotnie złapał tego człowieka, gdy zatrzymywał samochód przy szosie i robił zdjęcia obiektów wojskowych. Istniały więc podejrzenia, że albo jest agentem wywiadu, albo dla kogoś pracuje. Shaback poprosił nas, byśmy go sprawdzili.

Musiałem najpierw wymyśleć jakiś pretekst do spotkania się z nim. Może jeszcze raz film? Zamówiłem pokój w hotelu Carleton, naprzeciw Marina przy ulicy Hajarkon. Poszedłem następnie pod pomnik wzniesiony koło miejsca, w którym wojska brytyjskiego generała Allenby przekroczyły podczas I wojny światowej rzekę Jarkon, kończąc w ten sposób czterowiekowe panowanie ottomańskie na Ziemi Świętej. Zapamiętałem daty bitew i nazwy brygad, które tu walczyły. Pojechałem potem na rozległy cmentarz brytyjski pod Hajfą. Tam znalazłem tablicę nagrobkową z nazwiskiem żołnierza (McPhee), który walczył i zginął w owym czasie.

Postanowiłem wystąpić jako kanadyjski biznesmen z Toronto. Miałem przedstawić swój zamiar zrobienia filmu o rodzinie, która przeniosła się do Kanady z Londynu. A jeden z członków tej rodziny poległ w walce o oswobodzenie Ziemi Świętej.

Najpierw zadzwoniłem do biura w Ramlah i opowiedziałem swoją historyjkę chrześcijańskiej Arabce, która przyjęła telefon. Dała mi numer telefonu mojego „obiekta w ambasadzie. Zadzwoniłem, opowiedziałem znowu moją historyjkę i wymieniłem nazwisko McPhee, dodając, że nie wiem, gdzie jest pochowany. Poinformowałem, że mieszkam w hotelu Carleton i chcę się z moim rozmówcą spotkać. Nie było z tym żadnych kłopotów.

151

Brytyjczyk pojawił się wraz z innym facetem i w trójkę rozmawialiśmy przez dwie i pół godziny. Dyplomata był z zawodu malarzem pejzaży i rzeczywiście chciał mi pomóc. Dał mi dokładne wskazówki, jak znaleźć interesujący mnie grób. Zapewnił, że wszystko jest zgodne z przepisami i zaczęliśmy nawet omawiać możliwość zatrudnienia go celem opisania wielkich bitew dla potrzeb filmu. Powiedziałem, że wkrótce wyjeżdżam, ale skontaktuję się z nim w ciągu miesiąca. Instrukcje, jakie otrzymałem, ograniczały się bowiem jedynie do nawiązania kontaktu i otwarcia sobie drogi na przyszłość.

Moim następnym zadaniem było nawiązanie kontaktu z właścicielem sklepu pamiątkarskiego przy ulicy Sałaha Adin we Wschodniej Jerozolimie. Przewąszyłem cały ten teren, porobiłem zdjęcia z ukrytego aparatu i zaprzyjaźniłem się z facetem, który był z OWP. Właśnie z tego powodu chciano się o nim dowiedzieć czegoś więcej.

Przy kolejnym zadaniu Itsik zabrał mnie do budynku mieszkalnego w Tel Awiwie, wyjaśniając, że w mieszkaniu na drugim piętrze znajduje się mężczyzna, który ma teraz gościa. Otóż mam z nim nawiązać rozmowę w ciągu 20 minut.

— To chucpa — odpowiedziałem.

— A co to jest chucpa? Musisz ją bliżej określić — obruszył się Itsik.

— Jeśli nasrasz facetowi przed drzwiami, zapukasz i poprosisz go o papier toaletowy, to jest naprawdę chucpa.

Poszedłem do pobliskiego sklepu i kupiłem dwie butelki czerwonego wina Mouton Cadet. Przy wejściu do budynku przejrzałem spis lokatorów. Nacisnąłem guzik domofonu i powiedziałem, że mam paczkę dla jakiejś kobiety.

— O, pewnie chodzi o Dinę — usłyszałem.

— Czy Dina jest mężatką — zapytałem.

— Nie — brzmiała odpowiedź.

Zadzwoiłem do mieszkania Diny, ale szczęśliwie nie było jej w domu. Wszedłem do budynku i wspiąłem się na schody. To był jeden z tych

domów, gdzie idąc do góry mija się wszystkie drzwi. Gdy doszedłem na drugie piętro, gdzie znajdował się mój „obiekt”, rzuciłem jedną z butelek na ziemię. Rozległ się huk. Zapukałem do interesujących mnie drzwi.

— Bardzo przepraszam — powiedziałem. — Przyszedłem do Diny, ale jej nie ma. Upadła mi butelka. Czy mogę coś dostać, by zrobić porządek?

152

Gospodarz i jego gość pomogli mi. zaproponowałem wtedy otwarcie drugiej butelki. Siedziałem z nimi ze dwie godziny. Dowiedziałem się dużo

o życiu każdego z nich. A moja misja została wykonana.

Tymczasem grupa z mieszkania w Hajfie zajmowała się siłami pokojowymi ONZ, głównie Kanadyjczykami. Kanadyjczycy stanowili świetny cel. Byli oni przyjaźnie usposobieni i starali się być miłymi ludźmi.

Czuli się w Izraelu jak w zachodnim kraju. Było im tu dobrze, znacznie lepiej niż w jakimś arabskim kraju. To znaczy, że jeśli chcieliby się zabawić,

to gdzie mają jechać? Może do Damaszku?

Wśród Kanadyjczyków było kilku duvszanim (dosłownie—pierniki — siły pokojowe ONZ opłacane za przewóz listów i paczek), którzy

dla

nas przekazywali przesyłki przez granicę w obie strony.

Dwa ćwiczenia polegały na włamaniu się do dwóch siedzib policji: do głównej kwatery Madoru przy ulicy Dizengoffw Tel Awiwie i do głównej kwatery specjalnej policji śledczej w Jerozolimie. Niejaki Zigel stał na czele

specjalnej jednostki śledczej w sprawach oszustw. Jedną ze spraw, nad którą pracował, nazywała się „brzoskwiniowymi aktami”.

Kiedy włamaliśmy się do siedziby tej policji, mieliśmy ze sobą eksperta, który mówił nam, jakie dokumenty zabrać. Afera „brzoskwiniowa” doprowadziła do śledztwa, które objęło również wieloletniego ministra Josefa Burga z partii religijnej; należał on do najstarszych członków parlamentu izraelskiego. Burg tkwił w życiu politycznym już tak długo, że powstała nawet taka anegdota:

Trzej archeolodzy—Amerykanin, Brytyjczyk i Izraelczyk—natknęli się przypadkowo na grobowiec z mumią egipską sprzed trzech tysięcy lat.

Kiedy grobowiec został otwarty, mumia zapytała Amerykanina: „Skąd jesteś?”.

„Z Ameryki. To wielki kraj za oceanem. To najpotężniejszy kraj na świecie”.

„Nigdy nie słyszałam o czymś takim" — odpowiedziała mumia i zwróciła się do Brytyjczyka z takim samym pytaniem. Potem zapytała Izraelczyka:

„A skąd ty jesteś?"

Z Izraela.

A tak. Izrael. Znam. A czy Burg wciąż jest ministrem?"

Nie wiem, co było w tych dokumentach i czego dotyczyło śledztwo. Ale wiadomo, że zostało ono zainicjowane na prośbę urzędu premiera oraz że skończyło się niczym z braku dokumentacji. Nie ma znaczenia, czy

153

chodzi o Begin, Peresa czy Szamira. Jeśli tylko istnieje narzędzie, którym można się posłużyć, jest ono wykorzystane. A Mosad zawsze to robi.

Młodszy Katsama]ą w tym zakresie tylko kilka ćwiczeń. Są to natomiast regularne zajęcia dla tych, którzy szkolą się dla neviot. Kiedy ćwiczenia wiążą się z „bezpiecznym miejscem", wybiera się jedno z nich. A kwatery policji są właśnie „bezpiecznymi miejscami".

Nie mogłem się pogodzić z tymi praktykami i pytałem, dlaczego to robimy, mimo że jest to sprzeczne z naszymi przepisami. Jesteśmy

bowiem

przeznaczeni do pracy na zewnątrz, a nie w kraju.

Oren Riff, którego uważałem za przyjaciela, odpowiedział: „Jeśli szukasz czegoś, to rozglądasz się tam, gdzie to straciłeś, a nie pod latarnią”.

Słowa te odnoszą się do historyjki o człowieku, który zgubił coś w ciemnoś-

ciach, ale poszedł szukać pod latarnią. Zapytany, dlaczego szuka tam, a nie w miejscu zguby, odpowiedział, że w mroku nie dowidzi, natomiast widzi

świetnie w jasności.

„Lepiej się zamknij i rób swoje, bo to nie twoja sprawa” — pouczył mnie Riff. Opowiedział potem historyjkę o człowieku, który przyszedł z pustyni i stanął na szynach kolejowych. Usłyszał gwizd nadjeżdżającego pociągu, ale nie wiedział, co to oznacza. Dojrzał, jak coś wielkiego zbliża się

do niego, ale nie wiedział, że to pociąg, który w końcu najechał na niego.

Ale facet przeżył jakoś i po długim pobycie w szpitalu wrócił do siebie.

Przyjaciele urządzili mu przyjęcie powitalne. Ktoś nastawił czajnik z wodą na herbatę. Kiedy ozwał się gwizd, ów człowiek chwycił siekierę, pobiegł do

kuchni i rozbił czajnik. Zapytany, dlaczego to zrobił, odpowiedział:

„Trzeba zabić tę rzecz, gdy jest jeszcze mała!”

Oren powiedział mi też: „Słuchaj teraz. Przestań gwizdać. Możesz gwizdać, gdy będziesz ważniejszy niż ci. na których gwizdziesz”.

Wściekły, rzuciłem mu: „Pocałuj mnie w dupę”. I wyskoczyłem z biura. Uważałem, że mam rację. Gdy rozmawiałem z innymi chłopakami w biurze, takimi małymi pionkami jak ja, zgadzali się ze mną. Ale nikt nie odważył się otworzyć ust, bo każdy miał wyjechać za granicę i to tylko go obchodziło.

Przy takim nastawieniu zewszę się nawala.

Kiedy zakończyliśmy kurs w połowie listopada 1985 r. i staliśmy się już katsa — a zabrało to razem trzy lata — atmosfera była tak zła, że nawet nie chciało się nam robić okolicznościowego przyjęcia. Oded nie przeszedł,

154

ale został specjalistą od łączności w biurze europejskim. Również Awigdor przepadł. Za pośrednictwem Mike'a Harariego został zaangażowany do Ameryki Południowej jako podręczny. Michel został wysłany do Belgii, a Agasy Y. do Kairu. Jerry otrzymał skierowanie do Tsafiririm, do pracy z Araiehem Sherfem. Po raz ostatni słyszałem o nim, gdy planował

rozpoczęcie w Jemenie operacji zmierzającej do ściągnięcia stamtąd reszty Żydów. Heim, Yosy i ja wyznaczeni zostaliśmy do pracy w Stacji Izraelskiej.

Zaliczyłem kurs bardzo dobrze, ale miałem kilku wpływowych wrogów. Na przykład szef łączności, Efraim Halewi, nazywał mnie „wrzodem na dupie”.

Jednakże nadal byłem planowany na Belgię, co stanowiło wielki zaszczyt dla nowicjusza. Miałem dołączyć do grupy szturmowych katsa. To zirytowało Itsika. Poza wszystkim, innym nie było tak wiele możliwości. Gdybym pojechał, byłbym, zablokowany na trzy—cztery lata.

Tymczasem znalazłem się w grupie „skoczków” pod kierownictwem Rana, który potem pojechał, do Egiptu w misji werbunkowej. Telewizja egipska nadała antymosadowski film pt. „Człowiek z prowokującymi oczyma”. Film zawierał wiele informacji wewnętrznych o Mosadzie. Zamiast jednak odstraszyć, wywoływał napływ ochotników do ambasady, którzy chcieli pracować dla Mosadu.

Dwa tygodnie po rozpoczęciu pracy w Stacji Izraelskiej otrzymałem polecenie przekazania do Panamy, na adres podany przez Mike'a Harariego paczki, która przyleciała samolotem El Al z Dalekiego Wschodu. Pojechałem do Suburu. Zdumiałem się, gdy na lotnisku odebrałem wielką skrzynię o rozmiarach 6,5 x 10 x 5 stóp. Była pokryta plastikiem, a w środ-

ku znajdowało się wiele małych paczuszek. Trudno to było zabrać do mojego wozu. Wezwałem więc ciężarówkę, ^by przesyłkę przewieźć do biura, przepakować ją i następnie wysłać do Panamy.

Spytałem Ami Yaara, co jest w tych paczuszkach.

„To nie twoja sprawa. Zrób tylko, co ci kazano”.

Na lotnisku okazało się, że paczka nie została załadowana na samolot panamski, jak mi zapowiedziano, ale na izraelski samolot wojskowy. Zwróciłem uwagę, że to chyba omyłka. „Nie. Samolot jest wyczarterowany do Panamy” — usłyszałem w odpowiedzi.

Był to samolot transportowy Herkules. Po powrocie do biura poskarżyłem się. Wiedziałem, co wysyłamy. Nie byłem taki głupi. Nie byliśmy pośrednikami w handlu bronią z Dalekiego Wschodu. To mogły

155

być tylko narkotyki. Zapytałem, dlaczego musieliśmy użyć do tego celu wojskowego samolotu izraelskiego. Odpowiedziano mi, że facet, który kieruje panamskim lotnictwem wojskowym, to Harari. Jaki więc problem?

Słyszano mnie, gdy przy lunchu w biurze wypowiadałem się przeciw wspieraniu tego typu działalności Harariego. W biurze mieliśmy też swego

rodzaju skrzynkę skarg i zażaleń. Można było przekazywać je do komputera i szło to potem do wewnętrznego bezpieczeństwa. Swoją skargę, wniosłem oficjalnie. Problem polegał jednak na tym, że dostęp do tego systemu, a więc i treści skarg i zażaleń, mieli wyżsi funkcjonariusze. Tak więc i Harari dowiedział się o moich opiniach.

To była słomka, która złamała grzbiet wielbłąda. Moja akcja uderzyła w słaby punkt Harariego. Nie chciał jednak zaczynać ze mną, bo mieliśmy swoje porachunki w przeszłości.

*

Wkrótce zostałem wysłany na Cypr. W istocie nie chciano mnie, ale Itsik zażądał tego. Byłem tym równie zdziwiony co podniecony. Nie znałem nawet nazwiska mojego kontaktu. Był to Europejczyk, mający jakieś związki z OWP, a jednocześnie handlujący bronią. Pomysł polegał na tym, żeby zdusić to wszystko w załączku. Klienci Europejczyka byli handlarzami bronią, i wyobrażaliśmy sobie, że jeśli się do nich dobierzemy, to pomyślą, że wrobiły ich bojowe frakcje OWP.

Moim zadaniem było zapewnić, by zamierzone osoby przybyły na określone miejsce w Brukseli w celu odebrania towaru. Został on skierowany na Brukselę, ponieważ właśnie tam Mosad wysłał już z Tel

Awiwu materiały wybuchowe i detonatory w bagażu dyplomatycznym. Ze względu na swój status brukselskie worki dyplomatyczne często są bardzo duże.

Odbiorcami byli kupcy z Belgii i Holandii. Operacja polegała na tym, by włączyć tych odbiorców do śledztwa prowadzonego już przez policję obu krajów. Naturalnie, policja chciała dowodów. To właśnie Mosad — oczywiście bez wiedzy policji — miał dostarczyć tych dowodów.

W realizacji tego planu miał uczestniczyć Michel, ze względu na swój znakomity francuski. Przewidywano, że będzie dzwonił na policję z donosami, nasilając swe doniesienia do chwili, gdy rzeczywiście dostawa znajdzie się na miejscu.

Zatrzymałem się w hotelu Suñ Hali, z którego miałem widok na port w Larnace. Sprzęt miał być przewieziony do Belgii i przeładowany do samochodu.

156

Wręczyłem komplet kluczyków jednemu z ludzi na Cyprze, instruując go, że zostanie powiadomiony, gdzie i kiedy będzie można zabrać wóz.

Chcieli, bym spotkał się na Motylim Wzgórzu, ale ja uparłem się, by przekazanie kluczy nastąpiło w hotelu.

Policja belgijska złapała tych ludzi na gorącym uczynku, gdy podeszli do samochodu. Wśród złapanych znajdował się też człowiek, któremu dałem kluczyki 2 lutego 1986 r. Skonfiskowano 200 funtów eksplodującego plastiku i 200 lub 300 detonatorów.

Po tym wszystkim byłem już gotów do powrotu do domu. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że byłem w rzeczywistości wysłany na Cypr w innym celu, aby wziąć udział w operacji, o której miałem mgliste pojęcie z czasów, gdy pracowałem na komputerze biurowym.

Zgodnie z nowym rozkazem miałem pozostać w hotelu i czekać na telefon od funkcjonariusza M e t s a d a, który obserwował lotnisko w Tripolisie, w Libii. Umówione hasło brzmiało: „Kurczaki wyleciały z klatki”. Po otrzymaniu tej informacji co 15 sekund miałem ją przekazywać przez radio. Sygnał powinien być uchwycony przez znajdujący się w pobliżu kuter torpedowy i następnie przekazany do sztabu izraelskiego lotnictwa wojskowego. Miało ono już w powietrzu samoloty czekające, by zmusić do lądowania w Izraelu mały libijski odrzutowiec pasażerski Gulfstream 11.

Owymi „kurczakami” byli najbardziej twardzi i poszukiwani terroryści OWP, w tym: Abu Chaled Amii, Abu Ali Mustafa, Abdul Fatah Gxamen i Arabi Awad Ahmed Dżibrii z Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny — Generalne Dowództwo. Dżibrii stał za porwaniem statku „Achille Lauro”. Był on też jednym z tych, którzy tak wystraszyli amerykańskiego pułkownika Olivera Northa, że zakupił on kosztowny system bezpieczeństwa dla ochrony swego domu.

Silny człowiek Libii, Muamaral Kadafi, zwołał do Tripolisu trzydniową konferencję tzw. Zjednoczonego Kierownictwa Sił Rewolucyjnych Narodu Arabskiego. Byli tam przedstawiciele 22 palestyńskich i innych arabskich organizacji. Zebrali się w twierdzy Kadafiego, w koszarach Bab al Azizia. Kadafi chciał odpowiedzieć na manewry floty amerykańskiej u wybrzeży Libii i uczestnicy konferencji zatwierdzili projekt utworzenia samobójczego oddziału komandosów w celu atakowania amerykańskich obiektów w Stanach Zjednoczonych i innych krajach, gdyby Stany Zjednoczone odważyły się dokonać agresji przeciwko Libii lub innemu krajowi arabskiemu.

157

Dzięki przeciekowi Mosad dowiedział się też, że wyżsi funkcjonariusze OWP wylecą wcześniej, i że trasa ich prowadzi przez południowo-wschodnie wybrzeże Cypru do Damaszku. Mosad miał w Tripolisie dwóch swoich lud/i, którzy zresztą wzajemnie nie znali się, co jednak jest

praktyką normalną w Mosadzie. Obaj tkwili przy telefonie. Jeden z nich obserwował lotnisko. Po stwierdzeniu, że jacyś ludzie wchodzą na pokład samolotu, a następnie samego odlotu, miał przedzwonić do tego drugiego. Ten zaś miał powiadomić mnie. Do mnie należało przekazanie wiadomości drogą radiową na kuter torpedowy.

Przyjechałem na Cypr pod nazwiskiem Jason Burton. Połowę drogi odbyłem na łodzi patrolowej, skąd zabrał mnie prywatny jacht. Jednak moja wiza wjazdowa głosiła, że przyleciałem samolotem.

Było wtedy chłodno i wietrznie. Od turystów nie przelewało się. Ale w moim hotelu znajdowało się kilku Palestyńczyków. Po wykonaniu pierwszego zadania, gdy czekałem na telefon, nie miałem nic do roboty. Mogłem wyjść z pokoju, ale nie wolno mi było opuścić hotelu. Tak więc informowałem recepcję, by łapano mnie na terenie hotelu, jeśli będzie jakiś

telefon.

3 lutego 1986 r. wieczorem zauważyłem w westybulu pewnego mężczyznę z małą bródką, wąsami i siwiejącymi włosami. Był bardzo dobrze ubrany, miał pozłacane okulary, a na palcach prawej ręki trzy wielkie pierścienie. Wyglądał na 45 lat. Nosił bardzo drogie buty skórzane i znakomicie uszyty, świetnej jakości wełniany garnitur.

Siedział w westybulu przeglądając pismo arabskie, ale dostrzegłem pod nim „Playboya”. Wiedziałem już, że to Arab. Można było powiedzieć, że uważał się za bardzo ważnego. Pomyślałem, że skoro nie mam nic innego do roboty, to mogę się z nim zaznajomić.

Podszedłem do niego i spytałem po angielsku;

— Czy mógłbym zerknąć na to pismo?

— Przepraszam — odpowiedział.

— Wie pan, chodzi mi o tę dziewczynę pod spodem.

Zaśmiał się i uniósł pismo. Przedstawiłem się jako brytyjski biznesmen, który większość życia spędził w Kanadzie. Po przyjacielskiej rozmowie postanowiliśmy wspólnie zjeść obiad. Człowiek ten był Palestyńczykiem mieszkającym w Ammanie i — podobnie jak ja w obecnym wydaniu

— pracował w firmie eksportowo-importowej. Lubił wypić i po obiedzie przeszliśmy do baru, gdzie wstawił się.

Podczas rozmowy wyraziłem swoją sympatię dla sprawy palestyń-

skiej. Wspomniałem nawet, że straciłem w Bejrucie sporo pieniędzy z powodu wojny (w 1982 r.). „Ci cholerni Izraelczycy” — powiedziałem. Mój nowy znajomy opowiedział mi o handlu, jaki prowadzi z Libią i w końcu rozluźniony alkoholem i moją życzliwością, powiedział:

— Jutro wytniemy taki numer, że Izraelczycy będą jeść własne gówno.

— Wspaniale! A jak to zrobicie?

— Wiemy z pewnego źródła, że Izrael śledzi spotkanie OWP z Kadafim. Ale na lotnisku dokonamy pewnego wybiegu. Izraelczycy myślą, że wszyscy ci z OWP zabiorą się razem na jeden samolot. A tak nie będzie.

Trudno było mi utrzymać spokój. Nie oczekiwano ode mnie, bym kontaktował się z Tel Awiwem, ale musiałem coś zrobić. W końcu około pierwszej po północy opuściłem mojego „przyjaciela” i wróciłem do pokoju. Zamówiłem alarmowy numer. Zapytałem o Itsika.

— Nie ma go. Jest zajęty.

— Muszę z nim rozmawiać. To pilne. Chcę rozmawiać z szefem tsometu.

— Niestety, on też jest zajęty.

Zidentyfikowałem się przy pomocy mego szyfrowego imienia jako katsa. Mimo to — co jest niewiarygodne — nie mogłem się przebić. Zadzwoiłem więc do domu Araieha Sherfa. ale nie było go.

Zatelefonowa-

łem wreszcie do przyjaciela z wywiadu marynarki wojennej, by dał znać o mnie tam, gdzie są wszyscy jego szefowie —• w „wojennym gabinecie” zorganizowanym przez jednostkę 8200 w bazie lotniczej w Galilei.

Wreszcie Itsik do mnie zadzwonił.

— Dlaczego mnie wołasz aż tutaj?

— Słuchaj, cała sprawa jest trikiem. Ci faceci nie polecą tym samolotem.

— Skąd wiesz?

Opowiedziałem całą historię. A Itsik skwitował:

— To wygląda mi na wojnę psychologiczną. Poza tym nie byłeś upoważniony do nawiązywania jakichkolwiek kontaktów.

— Nie zawracaj mi głowy — odpowiedziałem. Jak dotąd, krzyczeliśmy tylko na siebie. To śmieszne.

— Słuchaj. Wiemy, co ma być zrobione. Wykonuj tylko swoją robotę.

Czy pamiętasz, co masz zrobić?

— Tak. Ale chcę, byś wiedział o tym, co powiedziałem.

— Okay. A teraz rób swoje.

159

Tej nocy nie spaleni. A w południe nadeszła szyfrowa informacja:

„Kurczaki wyleciały z klatki". Ale nieszczęśliwie dla Mosadu — nie wyleciały. Oczywiście przekazałem wiadomość i zaraz opuściłem hotel. Poszedłem do portu, wsiadłem na prywatny jacht, który zabrał mnie na kuter patrolowy, i na nim popłynąłem do Izraela.

4 lutego Izraelczycy zmusili prywatny odrzutowiec do lądowania w bazie lotniczej Ramat Dawid koło Hajfy. Pasażerami nie były grube ryby z OWP. W samolocie znajdowali się syryjscy i libańscy oficjele średniego szczebla. Dla Mosadu i Izraela cała sprawa przekształciła się w aferę o międzynarodowym zasięgu. Cztery godziny po przymusowym lądowaniu samolot poleciał dalej. Siało się to jednak, zanim Dżibrii na konferencji prasowej oświadczył: „Niech świat wie, że nie należy latać samolotami amen kaliskimi i izraelskimi. Od d/iś nie będziemy respektować cywilnych pasa/erów. któr/y kor/ostają z tych samolotów".

W Damaszku minister spraw 'agranicznych Syrii — Faruk al Szaraa — zażądał /wołania nadzwyczajnego posiedzenia Rady Bezpieczeństwa ONZ. Odbyło się ono w tym samym tygodniu, ale USA zawetowały rezolucję potępiającą Izrael. Szef sztabu armii syryjskiej gen. Hikmat S/chabi zagroził: „Odpłacimy się za tę y-brodnę. Ci, którzy ją popełnili, otrzymają lekcję, której ni^dy nie zapomną. To my wybierzemy sposób, czas

i miejsce". Kadafi oświadczył zaś, że rozkazał swym siłom lotniczym pr/cchwytywać izraelskie samoloty pasażerskie nad Morzeni Śródziem- n\m, zmuszać je do lądowania \w Libii i dokonywać poszukiwań „terrorys- tów izraelskich". Libia obwinila też. VI Flotę USA o udział w operacji.

Zakłopotany premier Szimon Peres powiedział w komisji obrony i spraw zagranicznych Kneselu (parlamentu — tł.), że ponieważ były informacje o obecności na pokładzie samolotu wysokiego rangą Palestyń- czyka. poslanowiliśmy sprawdzić, czy rzeczywiście tam jest. Informacja b\la tego rodzaju, że dawała nam mocną podstawę do naszej decyzji o przechw\ceni (samolotu libijskiego)... Okazało się jednak, że był to błąd.

Natomiast minister obrony Icchak Rabin przyznał: „Nie znaleźliśmy tego. czego się spodziewaliśmy".

Podczas wszystkich wydarzeń wciąż znajdowałem się jeszcze na kutrze wiozącym mnie do domu. Wkrótce dowiedziałem się, że wyżsi funkcjonariusze Mosadu to właśnie mnie winili za tę kompromitację.

Postarali się też, bym nie miał możliwości obrony i dlatego nakazali kapitanowi kutra (znałem tego człowieka z czasów, gdy byłem w marynarce wojennej), by w odległości ok. 11 mil od Hajfy spowodował „kłopoty z silnikiem”.

Właśnie piłem kawę, gdy kuter zatrzymał się. Zapytałem kapitana, co się stało. „Powiadomiono mnie, że mam kłopoty z silnikiem” — odpowiedział.

Tkwiliśmy tam dwa dni. Nie wolno mi było skorzystać z radia.

A kapitan był dowódcą małej flotylli 11 kutrów i specjalnie został posłany w tej misji. Przypuszczam, że obawiano się, iż mógłbym zastraszyć jakiegoś młodego faceta.

Nic takiego nie można było zrobić z tym kapitanem. Zdobył sobie imię już przed laty, pewnej mglistej nocy, kiedy na ekranie radaru dostrzegł „śmierdziela”. Radio nie było sprawne. Mogło nadawać, ale nic nie odbierało. Gdy cień zbliżył się, kapitan ostrzegł: „Zatrzymaj się, albo będę strzelał”. Już miał wystrzelić z małego działka przeciwlotniczego, gdy z mgły wyłonił się potężny lotniskowiec klasy Nimitz, który zalał kuter światłem. Sama kotwica na Nimitzu była większa od owego kutra.

Wszyscy

się potem śmieli z tego.

Jednak nikt — poza Arabami i Palestyńczykami — nie śmiał się po kompromitującym przechwyceniu samolotu libijskiego. Kiedy wreszcie zezwolono mi na wyjście na brzeg, Oren Riff powiedział mi: „Nawaliłeś tym razem”.

Zacząłem wyjaśniać, co się stało, ale przerwał mi: „Nie chcę o tym słyszeć”.

Starąłem się o rozmowę z szefem Mosadu — Nahumem Admonym, ale nic z tego nie wyszło. Natomiast szef kadr Amiram Amon powiedział mi, bym poprosił o zwolnienie ze służby. Odmówiłem. Amon odpowiedział:

„Okay, weźmiesz więc swoje pobory”.

Poszedłem do Riffa i powiedziałem, że nadal chcę rozmawiać z Admonym. A Riff na to: „On nie tylko nie chce rozmawiać, ale nie życzy sobie zetknąć się z tobą na korytarzu czy w windzie. A gdybyś próbował go zatrzymać poza budynkiem, będzie to uważał za atak na jego osobę”. Oznaczało to, że jego ochroniarz będzie strzelał.

Rozmawiałem jeszcze z Sherfem, który jednak oświadczył wprost, że też nic nie może zrobić.

— Ależ to inscenizacja — zaprotestowałem.

— Nic nie szkodzi. Nic na to nie poradzisz.

11 - Wyznania szpiega

161

I tak opuściłem Mosad. Był to ostatni tydzień marca 1986 r.

Następnego dnia mój przyjaciel z marynarki zadzwonił i spytał, dlaczego moje dokumenty zostały zabrane ze specjalnego miejsca, gdzie są

trzymane, by oficerów Mosadu nie powoływano — jak innych rezerwistów

— do służby wojskowej (w Izraelu służbą taką odbywa się przez 30, 60 lub

90 dni w roku; podlegają jej niezamężne kobiety i mężczyźni do 55 roku życia; czas służby zależy od rangi — im jest wyższa, tym czas ten jest dłuższy).

Normalnie, gdy ktoś wychodzi z Mosadu, jego akta są włączane do dokumentacji rezerwistów, ale z zastrzeżeniem, że osoby tej nie wolno wysyłać na linię frontu. Po prostu dlatego, że tacy ludzie za dużo wiedzą. Mój kolega, pozostający w błogiej nieświadomości, dziwił się, dlaczego moje dokumenty zostały przeniesione. Przypuszczał, że ja o to prosiłem,

bowiem zwykle procedura ta następuje pięć—sześć miesięcy po opuszczeniu Mosadu. Ze mną załatwiono to od razu. Co gorsze, do dokumentów dołączony został rozkaz kierujący mnie do służby łącznikowej z armią Południowego Libanu (formacja kontrolująca południowy pas Libanu sąsiadujący z Izraelem; nie ma żadnych związków z dowództwem armii libańskiej, jest natomiast zaopatrywana przez armię izraelską — tł.). Skierowanie to dla mnie, byłego mosadowca, równoznaczne było z wyrokiem śmierci.

Uznałem, że poszło to wszystko za daleko. Opowiedziałem o tym Belli, spakowałem rzeczy i zabrałem się czarterowym samolotem Tower Air do Londynu, a potem linią TWA do Nowego Jorku. Po dwóch dniach poleciałem do Omaha zobaczyć się z ojcem.

W dzień po moim wyjeździe z Izraela do mojego domu w Tel Awiwie przyszedł rozkaz natychmiastowego stawienia się do wojska. Zwykle wezwanie przychodzi z 60-dniowym wyprzedzeniem, z dalszymi 30 dniami na przygotowanie się.

Bella pokwitowała wezwanie. Ale już następnego dnia ktoś zadzwonił, pytając, gdzie jestem i dlaczego nie stawiałem się jeszcze do służby. Odpowiedziała, że wyjechałem z kraju.

„Jak mógł to zrobić? Przecież nie otrzymał zwolnienia z wojska”

— oburzył się głos w słuchawce.

W istocie otrzymałem. Może niezupełnie od armii. Sam się zwolniłem, uprawomocniłem to i wyleciałem z klatki.

Pojechałem na kilka dni do Waszyngtonu, by złapać kogoś z Mosadu. Ale nie udało mi się. Nikt — o kogo mi chodziło — nie podszedł do

162

telefonu, a ja nie chciałem mówić, gdzie znajduję się. Potem Bella przyjechała do Waszyngtonu, a obie nasze córki poleciały do Montrealu. W końcu wszyscy osiedliliśmy się w Ottawie.

*

Nie jestem pewien, czy moim problemem była tylko gadatliwość. Jednakże zrobili ze mnie kozła ofiarnego i porzucili. I to było najważniejsze.

I tu muszę powrócić do owego Palestyńczyka na Cyprze, który opowiedział mi o planowanym triku z samolotem w Tripolisie. Powiedział mi jeszcze coś, a mianowicie, że ma dwóch przyjaciół — Arabów, którzy mówią po hebrajsku jak Izraelczycy. Wyrośli w Izraelu i utworzyli w Europie firmę ubezpieczeniową. Grali rolę Izraelczyków z bezpieczeństwa i werbowali Izraelczyków do pisania podręczników szkolenia podziem-

nych grup. To oczywiście było czyste fałszerstwo. Chodziło o zbieranie informacji. Sprawiali, że Izraelczycy rozmawiali z nimi swobodnie. Wspominałem o tym paru osobom w biurze, ale usłyszałem, że zwariowałem, że to niemożliwe, że coś takiego nie istnieje, bo już byłyby tego straszne skutki. Pytałem, o czym właściwie mówią. Po prostu powinniśmy ostrzec ludzi — mówiłem. Ale byli niewzruszeni.

Palestyńczyk tak otworzył się wobec mnie, bo wiedział, że operacja zaraz nastąpi. Znajdowaliśmy się przecież w hotelu w Larnace, a więc cóż mogło się stać? Nasz człowiek w Tripolisie rzeczywiście widział palestyńskich tuzów wsiadających do odrzutowca. Nie dostrzegł jednak, jak wysiedli, gdy samolot w drodze na pas startowy znajdował się za hangarem.

Moi przełożeni powinni zezwolić mi na utrzymanie kontaktu z owym Arabem. Niewątpliwie dużo wiedział. Ale nie miałem żadnej szansy. Gdyby w Mosadzie wszystko było normalne, moja informacja — pochodząca przecież od katsa — zostałaaby potraktowana poważnie. Moglibyśmy wówczas uniknąć wszelkich kłopotów, a nawet wykorzystać posiadane wiadomości do oszukania drugiej strony.

Mogliśmy też co nieco przewidzieć. Przecież ci ludzie (z OPW) srali w portki ze strachu przed nami. Czy można więc pomyśleć, że całą piątką polecą jednym samolotem? Zwykle ludzie ci działali w głębokiej konspiracji. Byli pomysłowi i doświadczeni. Powinniśmy wiedzieć, że to był trik.

Poza tym Mosad nie potrzebował żadnego pośrednika na Cyprze, by przekazać wiadomość. To, czego potrzebował, to był kozioł ofiarny. I takim się stałem.

163

Moje problemy zaczęły się jeszcze wtedy, gdy byłem kadetem. Ale widocznie instruktorzy mieli nadzieję, że wyrosnę z tego i dostosuję się lepiej do całego systemu. Byłem dobry w robocie i dużo we mnie zainwestowano. Nie każdy był przeciw mnie i dlatego trzeba było długiego czasu, by uznać, że sprawiam tyle kłopotu, iż można machnąć ręką na to, co jestem wart. Prawdopodobnie sprawa z Jerrym była tą kroplą. Niewątpliwie miał on za sobą potężnego protektora, który pracował na niego. A równocześnie przeciwko mnie.

Jasnym jest, że Mosad nie ceni ludzi, którzy mają wątpliwości wobec systemu, albo wobec tych, którzy nimi kierują. Wolą ludzi, którzy posłusznie akceptują system i nawet posługują się nim dla własnych korzyści. Dopóki coś się nie wyda, nikt się tym nie przejmuje.

A ja wiele dowiedziałem się podczas całego szkolenia i krótkiej kariery katas. Prowadziłem notatki i zbierałem liczne informacje o operacjach

Mosadu.

Uczyli nas często ci, którzy sami przeprowadzali operacje Mosadu. Analizowaliśmy te operacje minuta po minucie, odtwarzaliśmy je wyjaśniając sobie każdy szczegół. Poza tym miałem otwarty dostęp do komputera Mosadu, co pozwoliło mi zgromadzić ogromną wiedzę o tej organizacji i jej działaniach. O wielu z nich teraz opowiem, przy czym chodzi o działalność dotychczas często zupełnie nie znaną.

Rozdział IX

Strella

28 listopada 1971 roku czterech terrorystów zamordowało jordańskiego premiera Wasfi Tella, gdy wchodził do kairskiego hotelu Sheraton. Tell, prozachodni Arab, zdecydowany prowadzić rokowania z Izraelem, stał się w ten sposób pierwszą ofiarą bandy palestyńskich morderców zwanej „Czarnym Wrześniem”, czyli po arabsku „Ailul al Aswad”. Nazwa pochodzi od miesiąca, w którym król Jordanii Hussajn zgniół w 1970 roku partyzantów palestyńskich w swoim kraju.

Po zamachu na Tella „Czarny Wrzesień” — bezspornie najskrajniejsza i najbardziej krwiożercza grupa fedainów (arabskie określenie partyzantów) w krótkich odstępach czasu zamordował pięciu Jordańczyków zamieszkałych w Niemczech Zachodnich, których oskarżał o szpiegostwo na rzecz Izraela. Następnie próbował zamordować ambasadora jordańs-

kiego w Londynie. Umieścił też ładunki wybuchowe w fabryce w Hamburgu, która produkowała części składowe do urządzeń elektronicznych na sprzedaż do Izraela oraz w rafinerii w Trieście, która, według zamachowców, przetwarzała ropę dla „prosyjonislicznych grup interesów” w Niemczech i w Austrii.

8 maja 1972 r. grupa złożona z dwóch mężczyzn i dwóch kobiet opanowała na telawiwskim międzynarodowym lotnisku Lód odrzutowiec Sabeny z 90 pasażerami i 10 członkami załogi na pokładzie. Starano się wymusić zwolnienie 117 uwięzionych w Izraelu fedainów. Następnego dnia obaj mężczyźni zostali zastrzeleni przez komandosów izraelskich, zaś kobiety schwyte i skazane na dożywotnie więzienie. 30 maja trzech opłacanych przez fedainów ekstremistów japońskich uzbrojonych w pistolety automatyczne otworzyło ogień na lotnisku Lód zabijając 26 i raniąc 85 turystów.

165

5 września 1972 r., w szczytowym punkcie XX Igrzysk Olimpijskich w Monachium, oddział „Czarnego Września” wziął szturmem izraelskie pomieszczenia w wiosce olimpijskiej i zamordował jedenastu sportowców i trenerów izraelskich. Wynikłe z tego starcie z policją niemiecką było na żywo przekazywane przez telewizję na cały świat. Członkowie oddziału

pracowali już przedtem w Niemczech. Tydzień przed otwarciem Igrzysk przyjechali oni, każdy inną drogą, do Monachium przywożąc cały arsenał kałasznikowów—szturmowych karabinów konstrukcji rosyjskiej, pistoletów i granatów ręcznych.

Po trzech dniach Izrael odpowiedział na to okrucieństwo największym

nalotem od wojny 1967 roku. Wysłano 75 samolotów z rozkazem zbombardowania tego, co według Izraela było bazami partyzanckimi w Syrii i Libanie. 66 osób zostało zabitych i dziesiątki rannych.

Odrzutowce

izraelskie zestrzeliły ponadto trzy samoloty syryjskie nad Wzgórzami Golan, gdy Syria strąciła dwie maszyny izraelskie. Izrael wysłał oddziały wojsk lądowych do Libanu, aby zwalczały terrorystów palestyńskich, którzy minowali szosy w Izraelu. Wojska syryjskie zostały zgrupowane na granicy, na wypadek gdyby starcie zamieniło się w otwartą wojnę.

Izraelczycy, uprzednio już poważnie zaniepokojeni zewnętrznymi działaniami przeciwko nim, doznali szoku, gdy 7 grudnia kontrwywiad Shinu Bet aresztował 46 ludzi, którzy szpiegowali dla syryjskiego Deuxieme Bureau (G-2), bądź wiedzieli o istnieniu siatki i nie meldowali o tym. Przyczyną tego osłupienia był fakt, że czterech spośród schwytanych na szpiegostwie dla kraju arabskiego było Żydami, a dwaj z nich, w tym przywódca — Sabrami, Izraelczykami urodzonymi już w kraju.

Zaraz po Monachium premier Golda Meir zapowiedziała zemstę.

Była wówczas siedemdziesięciokilkuletnią babcią. Uczciła ofiary masakry, publicznie zapowiadając wojnę odwetową, w której Izrael będzie „wytrwale i skutecznie walczył na szerokim, niebezpiecznym, najwyższej wagi froncie”. Znaczyło to, że Mosad ich dopadnie, czy, jak to się mówi, „nikt nie ujdzie długiego ramienia sprawiedliwości izraelskiej”. G. Meir podpisała wyrok śmierci na około trzydziestu pięciu terrorystów z „Czarnego Września”, w tym na ich przywódcę, byłego wyższego oficera wywiadu Jassera Arafata Al Fatah — Mohammeda Yusifa Nadżara, znanego jako Abu Yusuf. Wśród skazanych był także barwny, ale brutalny Ali Hassan Salameh, którego Mosad nazywał „Czerwonym K-sięciem” i który był autorem planu masakry monachijskiej, w czasie której działał z terytorium Niemiec Wschodnich. Los jego spełnił się w 1979 roku w zamachu bombowym na jego samochód w Bejrucie.

166

Meir, która poleciła Mosadowi wytropienie morderców z „Czarnego Września” i natychmiastowe zlikwidowanie ich po wykryciu, stała się sama głównym celem terrorystów. Dla Mosadu oznaczało to spuszczenie z łańcucha kidonu, drużyny zabójców.

Pierwszą wizytę złożyli oni po Monachium przedstawicielowi OWP w Rzymie, 38-letniemu Abdelowi Wa'ilowi Zwaiterowi, gdy 16

październi-

ka 1972 r. czekał na windę w kamienicy, w której mieszkał. Otrzymał z małej odległości 12 pocisków.

8 grudnia 34-letni Mahmoud Hamchari, główny przedstawiciel OWP we Francji, przyjął w swym mieszkaniu w Paryżu telefon:

— Halo...

— Czy to pan Hamchari?

— Przy telefonie.

Bum! Mosadowcy zainstalowali w jego telefonie materiał wybuchowy, a gdy ten podniósł słuchawkę i potwierdził swoją tożsamość, wywołali wybuch za pomocą urządzenia zdalnie sterowanego. Hamchari został ciężko ranny i zmarł w miesiąc później.

W końcu stycznia 1973 roku 33-letni Hussejn Al Baszir, występujący jako szef „Palmyra Enterprises” i posługujący się paszportem syryjskim, ułożył się do snu w swym pokoju na II piętrze hotelu Olympic w Nikozji. W kilka chwil później wybuch zdemolował zarówno pokój, jak i Beshira, przedstawiciela Al Fatahu na Cyprze. Morderca umieścił materiał wybuchowy pod łóżkiem, po czym na ulicy poczekał, aż Baszir zgasi światło i za pomocą zdalnie sterowanego urządzenia spowodował wybuch.

W mowie żałobnej ku czci zabitego towarzysza Arafat przysiągł, że się zemści, ale „nie na Cyprze, nie w Izraelu i nie na terenach okupowanych”. Było to jasne ostrzeżenie, że planuje międzynarodową eskalację bitwy terrorystów. W toku wojny odwetowej Goldy Meir, Mosad zabił około tuzina członków „Czarnego Września”.

Kontynuując tę działalność Mosad zaczął ogłaszać w miejscowych gazetach arabskich nekrologi podejrzanych o terroryzm członków OWP, którzy żyli. Inni otrzymywali anonimowe listy, z których wynikała dokładna znajomość ich prywatnego życia, szczególnie erotycznego. Odbiorcom zalecano opuszczenie miasta. W Europie i na Bliskim Wschodzie wielu Arabów zostało też poranionych, gdy otwierali listy — bomby, produkcji Mosadu. Niezależnie od intencji Mosadu wielu niewinnych świadków zostało poszkodowanych w tej kampanii odwetowej.

Ale i OWP wysyłało listy—bomby do funkcjonariuszy izraelskich i do

167

wielu osobistości żydowskich w świecie. Listy nosiły pieczęcie pocztowe z Amsterdamu. 19 września 1972 r. 44-letni radca rolniczy w ambasadzie Izraela w Londynie, Ami Shachori, zginął na miejscu, gdy otworzył jeden z nich. W tym czasie wiele spośród szeroko omawianych zamachów na ludzi Mosadu było tylko tzw. pustymi pogłoskami, kaczkami dziennikarskimi, często podrzucanymi do gazet przez sam Mosad, aby zwiększyć

jeszcze zamieszanie w świadomości społecznej. Klasycznym przykładem było zastrzelenie 26 stycznia 1973 r. na najruchliwszej ulicy Madrytu, Grañ

Via, przedsiębiorcy Moshe Hanan Yshai. Poinformowano opinię, że był to katsa Mosadu, 37-letni Baruch Cohen i że zastrzelił go terrorysta z „Czarnego Września”, którego on śledził. W rzeczywistości nikogo nie śledził, ale Mosad chciał, żeby ludzie tak sądzili.

Innym przykładem była śmierć w listopadzie 1972 syryjskiego dziennikarza, 36-letniego Khodra Kanou. Mówiono, że był on podwójnym agentem, którego zastrzelono przy drzwiach mieszkania w Paryżu, gdyż ludzie „Czarnego Września” sądzili, że przekazuje on Mosadowi informacje o ich działalności. Nie przekazywał, ale tak opisano w prasie to morderstwo. Bardzo dużo pisze się o podwójnych agentach. W rzeczywistości istnieje ich niewielu. Aby móc funkcjonować w takiej roli, trzeba znajdować się w trwałym środowisku biurowym.

Jesienią 1972 roku Golda Meir szukała sposobu, aby odwrócić uwagę Izraelczyków od okropności międzynarodowego terroryzmu i od trwającej wciąż izolacji kraju po wojnie sześciodniowej. Potrzebowała odmiany politycznej. Dawno przekazano już życzenia premiera Izraela dotyczące audyencji u papieża Pawła VI w Rzymie. Gdy w listopadzie nadeszła z Watykanu zgoda, Meir zleciła swym urzędnikom podjęcie odpowiednich przygotowań.

Powiedziała im jednak: „Nie chcę iść do Canossy”. Jest to popularne w Izraelu — jak i w Europie — powiedzenie nawiązujące do wydarzenia z roku 1077 r., kiedy to cesarz Henryk IV Świętego Cesarstwa Rzymskiego upokorzył się idąc jako zwykły pokutnik do papieża Grzegorza VII. Kazano mu wtedy czekać przed bramą zamku przez trzy dni, zanim uzyskał rozgrzeszenie. Stało się to symbolem aktu pokory.

Postanowiono, że Meir odwiedzi Paryż, gdzie weźmie udział w przewidzianej na 13 i 14 stycznia i ostro krytykowanej przez prezydenta George'a Pompidou nieoficjalnej międzynarodowej konferencji socjalistycznej. Na-

168

stępnie 15 stycznia zamierzała na jeden dzień wpaść do Watykanu i wreszcie przed powrotem do Izraela spędzić dwa dni z prezydentem Wybrzeża Kości Słoniowej, Feliksem Houphouet-Boigny.

W ciągu tygodnia od tej propozycji audiencja papieska została ustalona, choć nie została ogłoszona publicznie.

Tylko trzy procent ludności Izraela, czyli około stu tysięcy ludzi, stanowią Arabowie — chrześcijanie. Ale OWP ma dobre dojścia do różnych instytucji w Watykanie. Tą drogą Abu Yusuf dowiedział się o zamiarze Meir odwiedzenia papieża. Natychmiast wysłał następującą

wiadomość do Ali Hassana Salameha, w Niemczech Wschodnich: „Dobieramy się do tej, która rozchlapuje naszą krew w całej Europie”. (Depesza ta, jak i wiele innych materiałów zawartych w tej książce, nie była znana Izraelczykom do chwili, gdy zdobyli górę dokumentów OWP w czasie wojny libańskiej 1982 roku).

Jak i kiedy zabić Meir, pozostawiono do uznania „Czerwonego Księcia”. Ale decyzja zadania ciosu została podjęta, on zaś był zdecydowany ją wykonać. Meir była najbardziej widocznym wrogiem „Czarnego Września”. Ale Yusuf widział też w zamachu efektowną okazję pokazania światu, że organizacja jest nadal potężną siłą, z którą należy się liczyć.

W końcu listopada 1972 r. londyńska stacja Mosadu otrzymała nieoczekiwany telefon od niejakiego Akbara, studenta palestyńskiego, który czasem zdobywał trochę gotówki sprzedając informacje Mosadowi, ale który od dawna nie dawał znaku życia.

Jakkolwiek był już „zużyty” agentem, Akbar miał kontakty w OWP i prosił o spotkanie. Ponieważ zbyt długo nie był czynny, nie miał bezpośredniej łączności z żadnym konkretnym katesa, jakkolwiek imiona, które wymieniał, pozwalały go zidentyfikować. Poproszono go o zostawienie numeru telefonu, pod który można było do niego zadzwonić. Jego hasło brzmiało mniej więcej: „powiedzcie Robertowi, że dzwonił Isaak” i numer telefonu oraz nazwa miasta, jakby był kimś, kto normalnie pracuje w Paryżu, ale teraz dzwoni z Londynu. Dyżurny szybko przekazał jego zgłoszenie do komputera i od razu stwierdzono, że jakkolwiek Akbar

rzeczywiście przybył do Anglii na studia mając nadzieję, że oderwie się od gry wywiadowczej, to jednak był byłym „czarnym” (czyli arabskim) agentem. W teczce jego ustalono datę ostatniego kontaktu. Była tam również jego duża fotografia. Zwykle zdjęcia były oprawione, duże na

169

górze i trzy poniżej pokazujące każdy profil osobnika oraz wygląd z brodą i bez.

Przy najodleglejszych nawet kontaktach z OWP podejmuje się zawsze specjalne środki ostrożności. Zastosowano więc bardzo ściśle działania zabezpieczające, zanim Katsa i Akbar spotkali się.

Akbar udowodnił, że jest „czysty”, po czym powiedział, że dostał polecenie z OWP, aby udał się na spotkanie w Paryżu. Podejrzewał, że chodzi o dużą operację, jeśli wzywano nawet kogoś na tak niskim szczeblu jak on, ale w danym momencie nie miał żadnych konkretnych informacji.

Chciał pieniędzy. Był napięty i podniecony. Naprawdę nie chciał być ponownie zamieszany w to wszystko, ale sądził, że skoro OWP wie, gdzie się znajduje, to nie ma wyboru. Katsa dał mu pieniądze i numer telefonu w Paryżu, pod który ma zadzwonić.

Ponieważ trudno jest, szczególnie w krótkim czasie, ściągnąć zespoły

z krajów arabskich, gdzie ponadto ludzie nie są obeznani z europejskim sposobem bycia, a więc łatwo rzucają się w oczy w europejskim otoczeniu,

OWP czerpie swe posiłki spośród studentów i robotników mieszkających już w Europie. Ludzie ci mogą swobodnie podróżować, nie wywołują podejrzeń i nie potrzebują wydumanych pretekstów. Dla tych samych przyczyn OWP korzysta często w pracy z usług europejskich ugrupowań rewolucyjnych, chociaż ani im nie ufa, ani ich nie szanuje.

Teraz przysłała kolej na Akbara. Powiedział, że w Paryżu ma spotkać się z ludźmi z OWP przy stacji metra Pyramides. Paryska stacja Mosadu miała posłać kogoś za Akbarem na to spotkanie, ale coś im nie wyszło.

Gdy

przybyli na miejsce, Akbar i inni już zniknęli. Gdyby mosadowcy obserwowali spotkanie i sfotografowali je, to może pomogłoby to w rozplataniu skomplikowanej tkanki intryg, którą namotała OWP uparcie dążąc do zamordowania Meir.

Pracownicy operacyjni OWP podróżują po otrzymaniu instrukcji zawsze parami. Nakazują to zasady bezpieczeństwa. Jednakże Akbar zdołał szybko zatelefonować pod paryski numer, gdy jego partner wyszedł do łazienki. Powiedział, że przewiduje się drugie spotkanie. „Cel? — pytał katsa — Ktoś z waszych” — brzmiała odpowiedź. „Nie mogę teraz mówić”. Słuchawkę odłożono.

Wszyscy wpadli w panikę. Instytucje izraelskie w świecie zostały

powiadomione, że OWP przygotowuje uderzenie. We wszystkich stacjach gorączkowo rozważano, kto może być celem. Ale jako że do podróży Meir

170

były jeszcze dwa miesiące, a podróż ta nie została nawet publicznie ogłoszona, nikt o niej nawet nie pomyślał.

Następnego dnia Akbar ponownie zadzwonił i oświadczył, że po południu wyjeżdża do Rzymu. Potrzebował pieniędzy i chciał się spotkać, ale miał niewiele czasu, bo musiał jechać na lotnisko. Był koło stacji metra Roosevelt, więc polecono mu dojechać do stacji Concorde i iść pieszo w określonym kierunku, stosując w nieco zmodyfikowany sposób znane zasady bezpieczeństwa.

Chciano się z nim spotkać w pokoju hotelowym, ale tak zdawałoby się prosta czynność jak wynajęcie pokoju, wcale nie jest prosta w zawodzie szpiega. Potrzebne są dwa sąsiadujące pokoje, gdyż w jednym umieszcza się aparaturę rejestrującą spotkanie i dwóch uzbrojonych pracowników ochrony, którzy pilnują przy drzwiach, gotowi wpaść do drugiego pokoju, gdyby agent wykonał choćby najdrobniejszy wrogi gest. Katsa powinien też z góry otrzymać klucz do pokoju, żeby nie musiał tracić czasu w portierni.

Ponieważ Akbar musiał złapać samolot do Rzymu i miał niewiele

czasu, porzucono pomysł spotkania w hotelu i skontaktowano się na ulicy. Powiedział, że niezależnie od tego, co to miała być za operacja, związane z nią było przeszmyglowanie do Włoch jakiegoś „wyposażenia techniczne-go”. Później okazało się, że ta pozornie niewinna informacja była kluczem do rozwiązania zagadki. Ponieważ operacja należała do stacji paryskiej, postanowiono też wysłać jednego agenta z Paryża do Rzymu, żeby zapewnił tam kontakt z Akbarem.

Dwóm ludziom z ochrony polecono odwiedzić Akbara na lotnisko. Złożyło się tak, że z braku w tym czasie dostatecznej liczby ludzi ochrony obaj towarzysze Akbara byli katsa. Jeden z nich, Itsik, był potem moim nauczycielem w Akademii Mosadu. Jednakże działania, jakie podejmował tego dnia, wcale nie były wzorem do naśladowania. Wprost przeciwnie.

Przyjeżdżając z chronionego spotkania w chronionym samochodzie, Itsik i jego partner uważali, że są czyści. Przepisy mówią jednak, że katsa mają się nie włóczyć po lotniskach, aby ich nie zobaczono, lub ewentualnie rozpoznano później przy innej operacji na lotnisku, lub w innym miejscu. Nie wychodzą też nigdy z konspiracji, jeśli teren nie został przedtem oczyszczony.

Po przybyciu na Orły jeden katsa poszedł na kawę, a drugi podszedł z Akbarem do kasy i stoiska bagażowego, pozostając z nim tak długo, póki

się nie upewnił, że student rzeczywiście odlatuje. Obaj agencji sądzili prawdopodobnie, że Akbar był jedynym Palestyńczykiem lecącym do Rzymu. Tak jednak nie było.

Po latach M osad ustalił na podstawie dokumentów zdobytych w czasie wojny libańskiej, że inny członek OWP zauważył Akbara na lotnisku w towarzystwie obcego i zaczął ich śledzić. Zobaczył go ze swym towarzyszem przy kawie. Jest to prawie niewiarygodne. Obaj mężczyźni powinni byli dawno opuścić budynek lotniska. Co gorsza wszczęli oni rozmowę po hebrajsku. Słyszac to człowiek OWP poszedł prosto do telefonu i zawiadomił swoich w Rzymie, że Akbar nie jest czysty. Akbar i Mosad drogo zapłacili za zaniedbanie Itsika i jego kolegi;

Ali Hassan Salameh, znany lepiej jako Abu Hassan, i przezywany przez Mosad „Czerwonym Księciem” był pełnym fantazji awanturnikiem, którego druga żona, libańska piękność Georgina Rizak, była Miss Świata 1971 roku. Równie brutalny co wytworny, był duszą monachijskiego okrucieństwa. Teraz postanowił użyć rakiet Strella produkcji radzieckiej, zwanych w ZSRR „SA 7” i przezywanych przez NATO „Graal”, do wysadzenia samolotu Goldy Meir, gdy ten będzie lądował na lotnisku Fiumicino w Rzymie.

Rakiety te, wzorowane na amerykańskich „Redeye”, wystrzeliwane były do celu z zawieszanej na ramieniu ręcznej wyrzutni wagi 10,6 kg.

Rakieta waży 9,2 kg. ma solidny trzystopniowy silnik odrzutowy i system naprowadzania oparty na podczerwieni. Zasięg — 3,5 km. Nie jest to rakietą zbyt skomplikowana, ale może być zabójcza, gdyż zdąża do celu kierując się na rury wydechowe gorących silników. Jeśli używa się jej do zwalczania bardzo zwrotnych i szybkich myśliwców odrzutowych, to jej mała elastyczność sprawia, iż jest nieużyteczna. Ale jeżeli kieruje się nią przeciw takim dużym, powolnym celom jak samoloty pasażerskie, staje się dla nich zgubna.

Zdobycie tych rakiet nie stanowiło problemu. OWP miało je w swoich obozach ćwiczebnych w Jugosławii. Wystarczało przesznuć je do Włoch, na drugą stronę Adriatyku. OWP posiadała wówczas również skromny jacht zakotwiczony nieco na północ od Bari, na wschodnim brzegu półwyspu, dokładnie naprzeciwko Dubrownika w Jugosławii, po drugiej stronie morza.

172

Salameh włóczył się po różnych podejrzanych barach w największym mieście portowym Niemiec, Hamburgu, aż znalazł Niemca, który miał jakieś pojęcie o nawigacji i za pieniądze gotów był zrobić wszystko. Następnie wynajął dwie kobiety spotkane w innym barze, które również zainteresowane były pieniędzmi, a ponadto seksem, narkotykami i żeglowaniem po Adriatyku.

Niemców przewieziono do Rzymu, a stamtąd do Bari, gdzie wsiedli na

stateczek OWP załadowany żywnością, narkotykami i alkoholem. Polecono im udać się na małą wyspę na wysokości Dubrownika, poczekać, aż jacyś ludzie umieszczą w ładowni kilka drewnianych skrzyń, po czym powrócić do miejsca nad zatoką, na północ od Bari, gdzie spotka ich kilku innych ludzi i wypłaci każdemu po kilka tysięcy dolarów. Powiedziano im też, że mogą korzystać z wycieczki i przez trzy czy cztery dni oddawać się wszelkim ziemskim rozkoszom, jakich zapragną. Nie ma wątpliwości, że to polecenie wykonali dokładnie i z zapałem.

Salameh wybrał Niemców, gdyż uważał, że gdyby zostali złapani, władze będą przypuszczały, że należą raczej do Frakcji Czerwonej Armii, czy innej tego typu organizacji aniżeli do OWP. Na nieszczęście dla nich Salameh nie miał zwyczaju cackać się z obcymi po zakończeniu misji.

Gdy

Niemcy wrócili z przesyłką pod pokładem, ludzie z OWP podpłynęli do nich na małych łódkach, wyładowali „towar”, po czym zabrali całą trójkę, poderżnęli jej gardła, wybili dziury w jachcie i zatopili go około ćwierć mili

(450 m) od brzegu.

Strelly przeładowano do fiatowskiej ciężarówki, po czym drużyna OWP pojechała z Bari do Avelino, a stamtąd do Terraciny, Anzio, Ostii i wreszcie Rzymu. Unikali głównych szos i jechali wyłącznie w dzień, aby uniknąć wszelkich podejrzeń. Tak dotarli do mieszkania w Rzymie, w którym miano przechowywać skrzynie z rakietami do czasu, gdy będą

potrzebne.

W Bejrucie poinformowano natychmiast przywódcę „Czarnego Września”. Abu Yusufa, że Akbar jest wtyczką w organizacji. Yusuf postanowił jednak nie zabijać go natychmiast, co mogłoby zagrozić całej operacji, lecz użyć tej informacji dla zbitcia Izraelczyków z tropu.

Wiedzieli

oni tylko, że się w nich mierzy. Ale nie wiedzieli jak, gdyż Akbar niewiele wiedział o operacji.

Yusuf powiedział do swoich pracowników: „Musimy zrobić tak, aby Izraelczycy zawołali, «ach, to przecież o to chodziło»”.

173

Dlatego też 28 grudnia 1972 roku, niespełna trzy tygodnie przed przewidzianą na 15 stycznia wizytą Meir w Rzymie, „Czarny Wrzesień” zorganizował napad na ambasadę izraelską w Bangkoku, który wówczas wyglądał zupełnie niezrozumiale. Była to najwyraźniej niedbale zaplanowana operacja. Wybrano dzień, w którym proklamowano w parlamencie księcia Yajiralongkorna następcą tronu. Ambasador izraelski, Rehevam Amir, jak większość korpusu dyplomatycznego, był obecny na ceremonii.

Tygodnik „Time” tak opisywał okupację ambasady przy Soi Lang Suan: „W gorącym, tropikalnym słońcu, w samo południe, dwaj mężczyźni

w skórzanych kurtkach przeleźli przez mur otaczający posesję, podczas gdy dwaj inni dobrze ubrani, w ciemnych garniturach, weszli na teren ambasady spacerkiem przez główne wejście. Zanim wartownik zdążył wszczać alarm, patrzył z przerażeniem w wyloty luf pistoletów maszynowych. Arabska grupa terrorystyczna «Czarny Wrzesień», autor masakry monachijskiej, znów zaatakowała".

Rzeczywiście zaatakowała. Jednakże była to wyłącznie dywersja. Arabowie przejęli kontrolę nad ambasadą i wywiesili z okna zielono-białą flagę palestyńską. Pozwolili spokojnie opuścić teren wartownikom i wszystkim pracownikom tajlandzkim, ale zatrzymali jako zakładników sześciu Izraelczyków, w tym ambasadora w Kambodży, Shimona Avimora. Wkrótce pięciuset policjantów i żołnierzy otoczyło budynek, a terroryści wyrzucili o okna ulotki, w których domagali się, by Izrael uwolnił w ciągu 20 godzin 36 więzionych Palestyńczyków. Po tym terminie grozili wysadzeniem ambasady wraz z wszystkimi znajdującymi się w gmachu, łącznie z nimi.

Po jakimś czasie pozwolono tajlandzkiemu wiceministrowi spraw zagranicznych Chartichai Choonhaven, marszałkowi lotnictwa Dawee Chullasapya oraz ambasadorowi Egiptu w Tajlandii Moustafie el Essaway wejść do ambasady i wszczać pertraktacje. Ambasador izraelski Amir pozostał na zewnątrz, zainstalował w niedalekim biurze telex i utrzymywał bezpośredni kontakt z Goldą Meir i jej rządem w Jerozolimie.

Zaledwie po godzinie pertraktacji terroryści przyjęli propozycję bezpiecznego opuszczenia Tajlandii w zamian za zwolnienie zakładników. Rząd tajlandzki ugościł ich kurczędziem z curry i whisky. O świcie terroryści odlecieli specjalnym samolotem tajlandzkich linii lotniczych do Kairu. Towarzyszył im Essaway i dwóch tajlandzkich negocjatorów wysokiej rangi.

174

W związku z rolą, jaką w całej sprawie odegrał Essaway, tygodnik „Time” zwrócił w swym sprawozdaniu uwagę, że był to „rzadki wypadek współpracy izraelsko-arabskiej”... jeszcze bardziej wyjątkowe było to, że terroryści posłuchali głosu rozsądku. W toku tego incydentu ludzie „Czarnego Września” po raz pierwszy wycofali się.

Oczywiście dziennikarze nie mogli wiedzieć, że wszystko to było od początku planowane. Nie wiedzieli też Izraelczycy. Poza jednym istotnym wyjątkiem, jakim był ówczesny szef w mediolańskiej stacji Mosadu, Shai

Kauły, wierzyli oni, że była to właśnie ta operacja, przed którą ostrzegał ich

Akbar.

Chcąc upewnić się, że Mosad uwierzył w tę dywersję, ludzie z OWP polecieli Akbarowi, zanim jeszcze rozpoczęła się sprawa tajlandzka, pozos-

tać chwilowo w Rzymie, motywując to tym, że operacja przewidziana była w kraju bardzo odległym od zwykłego pola bitewnego terrorystów w Europie czy na Bliskim Wschodzie. Akbar przekazał oczywiście tę informację Mosadowi. Gdy więc nastąpił atak w Bangkoku, sztab w Tel Awiwie był nie tylko przekonany, że o tę właśnie operację chodziło, ale radował się, że żaden Izraelczyk nie zginął ani nawet nie został ranny. W Mosadzie panowało wielkie poruszenie w związku z tym, że otrzymano ostrzeżenie przed atakiem, ale nie ustalono jego miejsca. Jeszcze większe trzęsienie ziemi panowało w Shabacku, odpowiedzialnym za bezpieczeństwo ambasad i instytucji izraelskich za granicą.

Akbar był z pewnością przekonany, że właśnie Bangkok był od początku celem, poprosił więc swego katsa w Rzymie o kolejne spotkanie. Ponieważ zasady bezpieczeństwa Mosadu są bardzo drobiazgowo, Palestyńczycy nie ryzykowali śledzenia Akbara w toku jego spotkania, gdyż obawiali się, że zostaną spostrzeżeni. Będzie to oznaczało dla Mosadu, iż Akbar jest w OWP podejrzany. Głównym zadaniem Palestyńczyków było teraz zaopatrywanie go w takie informacje, jakie chcieli, żeby przekazywał Mosadowi.

Uważając, że operacja jest zakończona, Akbar chciał teraz pieniędzy. Ponieważ miał wkrótce wracać do Londynu, więc agent ze stacji londyńskiej polecił mu przywieźć jak najwięcej dokumentów OWP. Spotkanie miało się odbyć w małej wiosce na południe od Rzymu. Rozpoczęło się jednak normalnym trybem. Wysłano Akbara do rzymskiej tawerny

i przeprowadzono standardowe działania ochronne Mosadu.

Natomiast wynik spotkania był zupełnie niestandardowy.

175

Gdy Akbar wszedł do samochodu katsa i jak zwykle rzucił teczkę na przednie siedzenie, człowiek ochrony szybko otworzył ją. Wóz natychmiast wyleciał w powietrze. Zginął Akbar, katsa i dwóch ludzi ochrony. Kierowca przeżył, ale był tak silnie poraniony, że pozostał na całe życie kaleką.

Trzej inni mosadowcy jechali za nimi i jeden z nich przysięgał później, że słyszał przez swoje walkie-talkie, jak Akbar mówi przerażony „nie otwierajcie tego”, jakby wiedział, że w teczce jest bomba, ale Mosad nigdy nie zdołał ustalić, czy Akbar wiedział, że jego teczka jest pułapką, czy nie.

Ludzie z drugiego samochodu wezwali zespół, w którym była karetka szybkiej pomocy z lekarzem i pielęgniarką spośród miejscowych sayanim. Ciężko rannego kierowcę i zwłoki ich trzech kolegów szybko usunięto z miejsca wypadku, a później przewieziono do Izraela. Zwęglone zwłoki Akbara pozostawiono we wraku samochodu, aby znalazła je włoska policja.

Okazało się, że zabijając Akbara przed operacją Meir, OWP popełniła

błąd. Mogła swobodnie czekać, aż powróci on do Londynu. Nawet gdyby Mosad dowiedział się, kto go zabił, nie byłoby to wówczas dla niego takie ważne.

W tym czasie Meir przybyła już do Francji rozpoczynając podróż, w toku której miała dotrzeć do Rzymu. Ludzie Mosadu pokpiwali sobie z tego; że Meir nie zabrała ze sobą ministra bez teki, Izraela Galili, z którym miała od dawna flirt. Często odbywali oni swe schadzki w Akademii Mosadu, sprawiając, że w całym Instytucie romans ten był szczególnym tematem wesołości.

Mark Hessner*), szef rzymskiej stacji, przyjął bez zastrzeżeń wydarzenie w Bangkoku za dobrą monetę jako podstęp OWP, Shai Kauły w Mediolanie natomiast uważał, że w całej tej sprawie coś nie gra. Kauły był inteligentnym pilnym człowiekiem, który cieszył się zasłużoną opinią pedantycznego badacza szczegółów. Czasem było to nawet obciążenie. Kiedyś na przykład przetrzymał pilną depeszę, żeby poprawić błąd gramatyczny. Najczęściej jednak jego dokładność była cenną zaletą. Możliwe, że tym razem właśnie upór Kauły'ego ocalił życie Goldy Meir.

Kauły wielokrotnie studiował wszystkie raporty dotyczące Akbara i związanej z nim działalności OWP. Sądził, że identyfikowanie ataku w Bangkoku z tym, o czym mówił Akbar, nie ma sensu. Po cóż było

*) Patrz rozdział IV.

szmuglować materiały techniczne do Włoch, jeśli chodziło o Bangkok? Gdy Akbara zabito, Kauły stał się jeszcze bardziej podejrzliwy. Po cóż by go zabijali, gdyby nie wiedzieli, że jest agentem izraelskim? Ale—rozumował Kauły — jeżeli wiedzieli, to cały atak w Bangkoku musiał być mistyfikacją.

Brakowało mu jednak jakiegoś punktu zaczepienia dla podjęcia działań. Biuro zrzucało odpowiedzialność za atak na londyńskiego katsa twierdząc, że gdy zlecił Akbarowi przyniesienie dokumentacji, nie ostrzegł go, jak zachować się, aby nie dać się złapać.

Jeśli chodzi o Hessnera, to jego osobista niechęć do Kauły'ego okazała się w toku wypadków poważną komplikacją. Gdy jeszcze Hessner był kadetem w Akademii, został kilkakrotnie przyłapany na kłamstwach dotyczących miejsc jego przebywania w czasie, gdy nie wiedział, że jest śledzony. Raz złapał go właśnie Kauły, który był wówczas jego instruktorem. Zamiast udać się na wyznaczone zadanie, Hessner poszedł prosto do domu. Gdy Kauły zażądał od niego raportu, złożył opis zupełnie odmienny od tego, co się naprawdę wydarzyło. To, że nie został wtedy wyrzucony, było znakiem, że miał w instytucji dobre, mocne plecy. Ale nigdy nie wybaczył Kauły'emu, że go złapał, zaś Kauły nigdy nie uważał Hessnera za zawodowca.

Teraz, gdy wizyta Meir była tak bliska, zasady bezpieczeństwa stosowane były szczególnie ostro. Zaś Kauły odczytywał wciąż na nowo raporty, starając się ułożyć brakujące klocki.

Jak się często zdarza w takich sytuacjach, najpoważniejszą poszlakę uzyskał Kauły z najbardziej nieoczekiwanego źródła. Pewna

wielojęzyczna i wielostronnie uzdolniona pani utrzymywała w Brukseli mieszkanie do dyspozycji ludzi OWP, którzy potrzebowali tymczasowego schronienia w toczącej się wojnie przeciw Izraelowi. Była to bardzo droga kurtyzana i pełna wyobraźni towarzyszka igraszek OWP. Mosad miał założony podsłuch zarówno jej telefonu, jak i jej mieszkania. Tak więc nagrania różnych etapów zmysłowej ekstazy jej i jej przyjaciół stały się ulubioną rozrywką pracowników Mosadu na całym świecie. Opowiadano sobie, że może ona wydawać miłosne jęki co najmniej w sześciu językach.

Zaledwie kilka dni przed zamierzonym przybyciem Meir do Rzymu ktoś — Kauły podejrzewał, że był to Salameh, ale nigdy nie mógł się o tym upewnić — powiedział owej pani w brukselskim mieszkaniu, że musi

12 Wyznania szpiega

zatelefonować do Rzymu. Osobie, która przyjęła telefon w wiecznym mieście, polecił „oczyścić mieszkanie i zabrać wszystkie czternaście ciastek”. Normalnie telefon do Rzymu nie wzbudziłby podejrzeń, ale ponieważ

Meir miała przyjechać, a Kauły żywił już podejrzenia — telefon stał się tym

brakującym klockiem, którego potrzebował Kauły, aby ustalić kolejny ruch.

Urodzony w Niemczech, Kauły miał tylko pięć stóp i pięć cali (ok. 165 cm) wzrostu, pstre rysy twarzy, jasnorude włosy i jasną cerę. Był osobą skromną i nie było mu dane imponować zwierzchnikom. Dlatego był

w drugorzędnej stacji w Mediolanie, podczas gdy Hessner w Rzymie.

Gdy tylko Kauły przesłuchał taśmę brukselską, natychmiast zwrócił się do człowieka w łączności, który z kolei porozumiał się ze swym przyjacielem w wywiadzie włoskim, Vito Michele. Kauły powiedział, że potrzebuje natychmiast adresu określonego numeru telefonu. Kauły był w tsomecie i dlatego oficjalnie pełnił funkcję attache konsularnego i nie był

znany miejscowemu bezpieczeństwu jako katsa. Nie mógł więc bezpośrednio zwrócić się do Michele. Michele powiedział jednak, że nie może udzielić

takiej informacji bez zezwolenia swego szefa, Amburgo Vivani. Łącznościowiec zwrócił się więc do niego. Kauły nie interesował się, jakimi

kanalami bezpieczeństwo włoskie ustaliło potrzebną mu informację. Dowiedział się tylko, że mieszkaniec spod wskazanego adresu ma wyjechać następnego dnia. Miał więc bardzo mało czasu na wyśledzenie mieszkania i zdecydowanie, czy ma ono cokolwiek wspólnego z operacjami OWP.

Vivani zdobył adres, ale nie wiadomo dlaczego pracownik łączności w Rzymie zamiast przekazać informację od razu Kauły'emu w Mediolanie, posłał ją do stacji rzymskiej, która ani nie wiedziała, jakie ona ma znaczenie, ani nie znała antagonizmu Hessner—Kauły i przetrzymała ją aż do dnia następnego. Kauły wreszcie sam wyśledził ten adres i zatelefonował do stacji rzymskiej zalecając skierowanie się do tego mieszkania, bo mogło mieć jakiś związek z wizytą Meir. Kauły wciąż jeszcze zgadywał. Ale był przekonany, że wkrótce ma się wydarzyć coś krytycznego.

Gdy Mosad dotarł do tego mieszkania, było ono już puste. Przeszukanie go dało jednak cenny materiał: urwany kawałek papieru, na którym widniała podstawa pocisku „strella” i kilka słów po rosyjsku objaśniających przedstawiony mechanizm.

Teraz Kauły zaczął szaleć. Wiedział, że niecałe dwa dni przed przyjazdem premiera wszędzie znajdowali się ludzie OWP, była więc

w toku jakaś operacja. Jeżeli tamci posiadali rakiety, a Meir miała wkrótce lądować w Rzymie, to trudno było nie skojarzyć tych faktów.

Zawiadomiono więc Meir o istniejącym zagrożeniu. Ale ona odpowiedziała szefowi Mosadu: „Ja mam się spotkać z papieżem, a ty i twoi chłopcy macie zapewnić, żebym bezpiecznie wylądowała”.

W tej sytuacji Kauły poszedł na spotkanie z Hessnerem, aby ustalić, czy mają w to wciągnąć miejscowe bezpieczeństwo. Hessner, który próbował prowadzić własną rozgrywkę, podziękował Kauły'emu za pomoc, lecz dodał: „Twoja stacja jest w Mediolanie, a tu jest Rzym”. I poradził mu, żeby sobie poszedł. Oczywiście Hessner, jako szef stacji tsometu w Rzymie, automatycznie odpowiadał za tę sprawę. Jeśli ktoś z jego przełożonych w Izraelu chciałby ją przejąć, musiałby po to przyjechać do Rzymu. Wtedy to nie nastąpiło. Dzisiaj prawdopodobnie nastąpiłoby.

Kauły bardziej troszczył się jednak o bezpieczeństwo pani premier, aniżeli przejmował się formalnoprawnym sporem. Powiedział Hessnerowi, żeby dał temu spokój i zdecydował, że zostaje. Wściekły Hessner skontaktował się ze sztabem i poskarżył się, że Kauły wprowadza zamęt do dowodzenia. Tel Awiw polecił Kauły'emu wyłączyć się ze sprawy i szybko wrócić do Mediolanu.

Ale Kauły nie wyjechał z Rzymu. Miał ze sobą dwóch swoich agentów z Mediolanu, chociaż w ten sposób zostawił swoją placówkę огоłoconą z ludzi. Oświadczył Hessnerowi, że będzie tylko węszył wokół i nie wlezie nikomu w paradę. To również nie zadowalało Hessnera, ale ponieważ zaspokoił swoją ambicję kompetencyjną, posłał cały swój personel na lotnisko i w jego okolice, aby zobaczyć, czy uda się pokrzyżować działania

terrorystów. Jednakże OWP przypuszczając, że Mosad może nawet więcej wiedzieć o jej planach, niż wiedział naprawdę, podjęła szczególne środki ostrożności. Jej ludzie udali się na noc na camping na plaży, pozostając w swoich pojazdach. Tak więc nocna kontrola przeprowadzona przez Mosad we wszystkich hotelach i pensjonatach na Lido di Ostia, w jego okolicy oraz w znanych kryjówkach OWP nie dała rezultatów. Była noc przed dniem przylotu premiera Izraela.

Mosad znał wprawdzie zasięg rakiet, a więc wiedział, jak duży teren należy przeszukać przed lądowaniem samolotu Meir, ale był to teren bardzo duży. Około pięciu mil (8 km) szeroki i 13 mil (ok. 21 km) długi. Sprawa komplikowała się jeszcze na skutek głupiej decyzji Hessnera, który postanowił nie informować miejscowej policji o możliwym zagrożeniu.

Strelę można odpalić za pomocą zdalnego sterowania. Rakietą ma czujnik elektryczny, który uruchamia sygnał. Po wystrzeleniu pocisk sam

zmierza do celu. Terrorysty znali zapewne dokładny czas przylotu samolotu Meir, wiedząc od swych agentów, kiedy wystartował z Paryża i kiedy powinien wylądować. Ponadto o tej porze dnia miał to być jedyny oczekiwany odrzutowiec El Al.

W owym czasie urzędnicy Allitalia nazywali rzymskie lotnisko Leonardo da Vinci w Fumicino, „najgorszym lotniskiem na świecie”. Było zatłoczone. Panowało tam zamieszanie. Samoloty prawie zawsze spóźniały się, niekiedy nawet o trzy godziny. Lotnisko miało tylko dwa pasy startowe, a w szczycie sezonu musiało obsłużyć do pięciuset samolotów dziennie.

Oczywiście samolot Meir miał korzystać z najwyższego uprzywilejowania, ale nieustanne zamieszanie panujące na lotnisku bynajmniej nie stanowiło pomocy dla pracowników Mosadu, którzy ganiali wokół usiłując znaleźć grupę terrorystów i ich rakiety. Mogli oni przecież być wszędzie. Na samym lotnisku, w pobliskich hangarach lub na polach otaczających lotnisko.

Przemierzając lotnisko Kauły wpadł na stacjonowanego w Rzymie katsa i spytał, gdzie są łącznicy Mosadu (gdyż to oni właśnie, a nie sami katsa powinni byli w razie potrzeby zawiadomić policję włoską).

— Co za łącznicy? — zdziwił się zapytany.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że nie ma ich tu? — Kauły nie mógł uwierzyć.

— Nie — odrzekł rzymski agent.

Kauły natychmiast zadzwonił do łącznika w Rzymie i polecił mu zawiadomić Vivaniego o tym, co się dzieje: „Uruchamiaj wszelkie potrzebne środki. Potrzebujemy tu posiłków”.

Ponieważ na samym lotnisku nie było wielu dobrych kryjówek, wydawało się najbardziej prawdopodobne, że terroryści znajdują się poza terenem właściwego lotniska, ale w takiej odległości, w której samolot Meir znajdowałby się w zasięgu ich rakiet. Szukali jednak wszędzie. Wkrótce przyłączył się do nich Adaglio Maki z wywiadu włoskiego.

Maiti nie miał pojęcia, że na miejscu znajdowało się mnóstwo ludzi Mosadu. Znalazł się tam w wyniku informacji łącznościowca rzymskiego, który przekazał, że według godnych zaufania ludzi OWP przygotowuje się do zestrzelenia nad lotniskiem rzymskim samolotu Meir. Atak miał być dokonany rakietami produkcji radzieckiej. (Zanim informacja ta została

Awiiwie).

W tym czasie terroryści podzielili się na dwie grupy. Jedna udała się na południe od lotniska, druga — na północ. Zabrali ze sobą łącznie dwanaście rakiet. Później okazało się, że to, iż po całej operacji dwie rakiety spośród czternastu „ciastek” pozostały nie rozliczone, miało duże znaczenie. W omawianym momencie grupa północna ustawiła już kilka rakiet w polu przy swym dostawczym fiacie.

Wkrótce jednak przeczesujący teren człowiek Mosadu zauważył ich. Krzyknął. Oni otworzyli ogień. Powstał straszny zamęt. Przybyła policja włoska i człowiek Mosadu, który jej nie oczekiwał, jako że wezwał ją Kauły, a ponadto nie chciał, żeby policja go zobaczyła, uciekł. W zamieszaniu jeden z terrorystów starał się ująć, ale ludzie Mosadu, którzy obserwowali całą akcję, szybko go złapali, związali, wrzucili do samochodu i zawieźli do jakiejś szopy na lotnisku.

Brutalnie i uporczywie bity terrorysta przyznał, iż planują zabicie Goldy Meir i dodał chełpliwie: „Już niczego nie możecie zrobić, aby temu zapobiec”.

„Co ty sobie wyobrażasz mówiąc, że niczego nie możemy zrobić?”

Przecież mamy ciebie" — odpowiedzieli mu mosadowcy i bili dalej.

Kauły usłyszał przez swoje walkie-talkie, że wzięto jeńca. Natychmiast udał się do szopy. Dowiedział się, że poza tym terrorystą Włosi złapali jeszcze kilku z dziewięcioma czy dziesięcioma raketami.

Ale Kauły pamiętał telefon z Brukseli, w którym była mowa o wzięciu „wszystkich czternastu ciastek”. Problem stał więc nadal przed Mosadem, a do lądowania samolotu pozostawało tylko 30 minut. Gdzie są pozostałe rakiety?

Jeniec był już nieprzytomny. Kauły polał go wodą.

„Dla was to koniec — rzekł mu. — Tym razem zawaliliście robotę. Ona ląduje za cztery minuty. Nie możecie już niczego zrobić”.

„Wasz premier już jest martwy — sztychł terrorysta ze swych prześladowców. — Nie złapaliście nas wszystkich”.

Najgorsze obawy Kauły'ego potwierdziły się. Gdzieś tam w polu czekała rakietka radzieckiej produkcji z imieniem Goldy Meir na pocisku.

W tym momencie któryś z ludzi ochrony tak uderzył terrorystę, że ten znów stracił przytomność. Gdy go złapali, miał przy sobie urządzenie

wybuchowe zwane „skacząca Betty”, którego terroryści często używają. W razie potrzeby umieszcza się je w ziemi jak minę i przymocowuje za pomocą sznurka do krótkiego palika. Ułożyli urządzenie przy nim, zrobili dłuższy sznurek, wyszli z pomieszczenia i szarpnęli za sznurek rozsadzając człowieka na kawałki.

Panowało niezwykle napięcie. Kauły połączył się przez walkie-talkie z Hessnerem i zażądał, żeby przekazał przez radio pilotowi Meir, aby opóźnił lądowanie. Nie wiadomo jednak, czy tamten to zrobił. Wiadomo natomiast, że jeden z ludzi Mosadu, patrolując w samochodzie obwodnicę zauważył nagle coś dziwnego w stojącym przy drodze barku na kółkach. Dwukrotnie już przejeżdżał koło niego, ale teraz, za trzecim razem, uderzyło go, że z dachu wózka sterczały trzy kominy, ale dymił tylko jeden.

Terroryści pozbyli się właściciela barku, przewiercili dwie dziury w dachu i umieścili w otworach wyloty pocisków „strella”. Plan polegał na tym, że gdy samolot Meir dostatecznie się zbliży i pocisk zacznie wydawać sygnały, wystarczy pociągnąć spust i mniej więcej po 15 sekundach samolot będzie załatwiony.

Nie tracąc ani sekundy mosadowiec gwałtownie zawrócił na szosie i poprowadził swój samochód prosto na barek przewracając go i przygważ-

dżając pod nim terrorystów. Wysiadł, stwierdził, że były tam dwie rakiety i że unieruchomił dwóch terrorystów, po czym zobaczył samochody policyjne kierujące się w jego stronę, więc wskoczył do swego wozu, zawrócił i jak najszybciej udał się do Rzymu. Gdy tylko zawiadomił swych kolegów, wszyscy oni ulotnili się z terenu, jakby nigdy ich tam nie było.

Policja włoska aresztowała pięciu członków „Czarnego Września”. Stało się jednak tak dziwnie, że jakkolwiek zostali schwytani na gorącym uczynku, gdy usiłowali raketami zamordować Meir, to jednak zostali po kilku miesiącach zwolnieni i odlecieli do Libii.

Rozdział X

Carlos

21 lutego 1973 roku Izraelczycy wysłali dwa samoloty Phantom przeciwko nie uzbrojonemu Boeingowi 727 Libijskich Arabskich Linii Lotniczych, który leciał do Kairu, ale przypadkowo zszedł z kursu. Samolot został zestrzelony. Ze 115 ludzi na pokładzie zginęło 105. Nastąpiło to dokładnie w dwanaście godzin po zuchwałym rajdzie komandosów izraelskich w Bejrucie. Wyszadzonono w powietrze różne urządzenia OWP, zdobyto dużą ilość dokumentów i zabito różnych dowódców OWP, w tym szefa „Czarnego Września” Abu Yusufa i jego żonę.

Zestrzelenie samolotu cywilnego było tragiczną pomyłką. W tym czasie Izrael otrzymywał groźby z zapowiedzią, że wypełniony bombami samolot poleci do Tel Awiwu. Nieszczęsny Boeing leciał dokładnie nad jedną z największych baz wojskowych na Synaju, a że nie można było porozumieć się z szefem sił powietrznych, decyzję zestrzelenia Boeinga podjął jakiś kapitan.

Trwało jeszcze sześć lat, zanim Mosad dopadł „Czerwonego Księcia”, ale zdecydowana osobista wendetta Goldy Meir wobec „Czarnego Września” drastycznie zmieniła rolę Instytucji. Organizacja Wyzwolenia Palestyny stała się najważniejszym odcinkiem pracy Mosadu. Nie było to dobre, gdyż zwracano mniej uwagi na innych wrogów, takich jak Egipt czy Syria, które nie tylko wrzeszczały o wojnie, ale rzeczywiście się do niej przygotowywały. Anwar Sadat potworzył w całym Egipcie „komitety wojenne”, ale Mosad poświęcał prawie cały swój czas i środki na terrorystów z „Czarnego Września”.

6 października 1973 roku, zaledwie kilka miesięcy po sprawie „strelly” w Rzymie, szef izraelskiego wywiadu wojskowego gen. Eliahu Zeira twierdził w toku informacji dla prasy w Tel Awiwie: „Nie będzie wojny”. W czasie gdy mówił, wszedł do sali jakiś major i wręczył generałowi

depeszę. Zeira przeczytał ją i nie mówiąc ani słowa natychmiast wyszedł

z sali.

Egipcjanie i Syryjczycy zaatakowali. Zaczęła się wojna „Jonu Kipur”.

Pierwszego dnia zginęło pięciuset Izraelczyków, a ponad tysiąc zostało rannych. Po kilku dniach Izraelczycy zdołali się pozbierać i zaczęli odrzucać napastników. Jednakże wojna na zawsze zmieniła obraz Izraela jako siły niezwyciężonej. Zarówno w oczach obcych, jak i własnych.

Dzięki Mosadowi premier Golda Meir wciąż jeszcze żyła, ale jednym z następstw wojny była jej dymisja złożona 10 kwietnia 1974 r.

Shai Kauły wiedział, że po zamachu na Meir istniały jeszcze nie rozliczone dwie rakiety „strella”. Niemniej jednak bezpośrednie zagrożenie minęło, on wrócił do Mediolanu, a zmartwienia związane z wojną szybko przesłoniły wszelkie inne problemy.

W czasie incydentu na lotnisku policja włoska była niezmiernie zakłopotana. Jak by nie było, tuż pod jej nosem próbowano zamordować wybitną postać polityczną, a ona nie zrobiła nic, poza tym, że jej funkcjonariusze przyjechali za późno i pozbiali resztki, które Mosad pozostawił po sobie. Wywiad włoski nie podejrzewał nawet, że istniał plan zamordowania Meir. Wprawdzie szeroka opinia publiczna nie wiedziała niczego o tym wydarzeniu, jednakże w środowiskach wywiadowczych wiedziano. Włosi poprosili więc Izraelczyków o nieogłaszanie szczegółów.

Mosad uważał, że osiąga pewne korzyści pomagając drugiej stronie ukryć coś. Zawsze chętnie pomagał komuś uratować twarz — tak długo, jak długo ten ktoś wiedział, że dla Mosadu pozostanie idiotą.

Polecono więc ŁAP, czyli Lohamah Psychlogit, wydziałowi wojny psychologicznej Mosadu, aby wymyślił wersję osłonową. W tym czasie stosunki między Izraelem i Egiptem były niezwykle napięte. Jednak Mosad był całkowicie zajęty sprawami „Czarnego Września”, przegapiono bardzo ważne oznaki świadczące o przygotowaniach do wojny. Ponieważ w każdym określonym momencie pracuje na świecie tylko ok. 35—40 czynnych katsa, skoncentrowanie się na obserwacji OWP mającej w swych licznych odłamach tysiące ludzi mogło całkowicie zaabsorbować ich wszystkich i stworzyć poważną lukę w śledzeniu innych wrogów Izraela.

W każdym razie ŁAP wymyślił dla Włochów wersję osłonową do opublikowania informując jednocześnie o tym, co się naprawdę wydarzyło, organizacje wywiadowcze Anglii, Francji i Stanów Zjednoczonych. W pracy wywiadów istnieje żelazna reguła zwana „zasadą trzeciej strony”. Jeżeli

184

na przykład Mosad przekazuje informacje CIA, to chociaż obie organizacje łączy dobra współpraca, CIA nie może przekazać tych informacji jakiegś

„trzeciej stronie”, gdyż pochodzą one od innej organizacji wywiadowczej. Oczywiście zasadę tę można obejść parafrazując jakieś informacje i przekazując je dalej.

W czasie incydentu na lotnisku rzymskim i następujących po nim działaniach osłonowych Mosad często zaopatrywał CIA w wykazy radzieckiego wyposażenia wojskowego dostarczanego Egiptowi i Syrii. Spisy zawierały nawet numery seryjne rodzajów broni i numery seryjne poszczególnych egzemplarzy. Miało to dwa cele: przedstawić Mosad w dobrym świetle jako organizację, która potrafi zdobyć takie informacje, oraz pomóc w demaskowaniu rozbudowy sił militarnych przeciwnika. Chodziło o to, żeby pomóc CIA w przekonaniu rządu amerykańskiego, że należy zwiększyć poparcie dla Izraela. CIA nie mogła podać Kongresowi, skąd ma te informacje, ale potwierdzała w ten sposób tę samą informację przekazywaną Kongresowi przez różne żydowskie lobby.

Amerykanie uważali Muamara al Kadafi z Libii za niebezpiecznego szaleńca. W połowie lat siedemdziesiątych wydawało się, że cały świat pogrąży się w zamęcie. Wszędzie pojawiały się małe, terrorystyczne ugrupowania rewolucyjne. We Francji istniała Action Directe, w Niemczech banda Baader-Meinhoff, japońska Armia Czerwona, włoskie Czerwone Brygady (które w 1978 r. zamordowały premiera Aldo Moro), w Hiszpanii — baskijska ETA (która twierdziła, że zamordowała w 1974 r. hiszpańskiego premiera Carrero Blanco) wreszcie około pięciu organizacji

palestyńskich. Nawet w Stanach Zjednoczonych pojawili się Weathermen i Symbionese Liberation Army, która w 1974 roku porwała Patricię Hearst.

W toku ruchawek wywoływanych przez te ugrupowania ofiarą ataków bombowych padły liczne synagogi i inne instytucje żydowskie w Europie. Mosad uznał, że nadszedł czas, by zrzucić odpowiedzialność za włoską eskapadę na Egipcjan i Libijczyków, mimo że nie mieli z nią nic wspólnego.

Mosad zdobył wykaz rakiet „strella”, które Włosi skonfiskowali. Było ich ciągle tylko dwanaście, ale mosadowcy uznali, że o dalsze dwie będą się martwić później. Mimo że Mosad wiedział z przesłuchań terrorystów, że te konkretne rakiety pochodziły z Jugosławii, włączono ich numery seryjne do przekazywanych CIA spisów broni wysyłanej przez Rosjan Egiptowi.

Historyjka wymyślona przez ŁAP dla użytku publicznego we Włoszech mówiła, że terroryści, którzy wieźli „strelly”, otrzymali tę broń

185

z Libii, wyjechali w końcu grudnia 1972 r. samochodem z Bejrutu i przybyli promem do Włoch. Skierowali się do Rzymu rzekomo w drodze do

Wiednia, gdzie mieli zaatakować jakiś żydowski cel. Taką określną drogę tłumaczono tym, że łatwiej jest wjechać do kraju zachodnioeuropejskiego z innego takiego kraju, aniżeli przechodzić kontrolę celną wjeżdżając z kraju komunistycznego. „Oficjalnie” włoska policja aresztowała terrorystów 26 stycznia 1973 roku za przewóz materiałów wybuchowych. Od chwili nieudanego ataku na lotnisku trzymano ich w ścisłej izolacji i w tym czasie ŁAP wymyślił swoją historyjkę. Jest rzeczą nie do wiary, że po tym wszystkim policja włoska zwolniła ostatecznie terrorystów. Najpierw dwóch, a później pozostałych trzech.

Tymczasem Amerykanie wprowadzili wszystkie dostarczone przez Mosad informacje do swego wojskowego systemu komputerowego. Kiedy Włosi ogłosili wreszcie 26 stycznia, że aresztowali terrorystów i skonfiskowali ich uzbrojenie, oni również przekazali CIA seryjne numery „strelly, zaś CIA udostępniła je swemu wywiadowi wojskowemu. Owe numery serii zostały w ten sposób skonfrontowane z tymi, które Mosad włączył do spisu jako pochodzące rzekomo z ZSRR — poprzez Egipt i Libię. Amerykański komputer wykazał zgodność. Teraz Amerykanie naprawdę wierzyli, że Rosjanie zaopatrzyli Egipt, który przekazał rakiety Kadafiemu, zaś ten uzbroił terrorystów. Było to dla nich dalszym dowodem, że przywódca libijski jest właśnie tym, za kogo mają go Stany Zjednoczone. Jedynym, który znał prawdę, był Mosad.

Wydaje się, że główną przyczyną, dla której Włosi zwolnili terrorystów, była obawa, że jeśli sprawa znajdzie się przed sądem, prawda wyjdzie na jaw. Okazałoby się wówczas, że wywiad włoski dopuścił do tego, iż grupa terrorystów bliska była zamordowania światowej rangi przywódcy. Prawdziwy skandal.

Mosad trapił się nadal tym, że nie można było się doliczyć dwóch rakiet. Natomiast Włosi byli bardzo zadowoleni. Ich kłopotliwy niewypał pozostał tajemnicą, zaś Amerykanie sądzili, że za całą sprawą stoi Kadafi.

Podczas gdy terroryści byli jeszcze w więzieniu, pracownicy bezpieczeństwa z Shabacku przesłuchiwali ich i stwierdzili, że „Czerwony Książę”, Ali Hassan Salameh, rzeczywiście był w tę sprawę zamieszany. Tym energiczniej Mosad chciał się do niego dostać.

186

Policja włoska pozwoliła Shabackowi przesłuchać w Rzymie Palestyńczyków. Najprawdopodobniej odbyło się to tak, że dwóch funkcjonariuszy Shabacku weszło do pomieszczenia, w którym jeden więzień siedział na krześle z rękami skutymi za plecami, nogi miał również skute i kajdanki połączone łańcuchem. Przede wszystkim shabackowcy zażądali, żeby włoscy policjanci opuścili pokój: „Jest to obecnie pomieszczenie izraelskie.

Będziemy odpowiedzialni za więźnia”. W takiej sytuacji więzień musiał

być

bardzo przerażony. Przecież najprawdopodobniej przeniósł się do Europy, aby uniknąć tego, by kiedykolwiek wpaść w ręce Izraelczyków.

Po zamknięciu drzwi oficerowie Shabacku powiedzieli chyba po arabsku coś w rodzaju: „Jesteśmy twoimi przyjaciółmi z muchbaratu” (muchbarat jest ogólnym określeniem, którego Arabowie używają dla określenia każdego wywiadu. Nazwy tej używa wiele arabskich organizacji wywiadowczych).

Na pewno chcieli mieć pewność, że więzień wie dokładnie, z kim ma do czynienia i w jakiej znajduje się sytuacji. Następnie zdjęli prawdopodobnie normalne kajdanki i zamienili je na dużo ostrzejsze, te, które preferują. Są one zrobione z plastyku, wyglądają podobnie do plastikowych uchwytych wizytówek do bagażu. Są jednak dużo mocniejsze i mają przy zamknięciach zamocowane małe żyłki. W odróżnieniu od normalnych kajdanków, które dają trochę możliwości poruszania się, te przylegają ściśle, utrudniają obieg krwi i sprawiają silny ból.

Po takim skuciu rąk i nóg więźnia oficerowie Shabacku zagadując bez przerwy o jego smutnej sytuacji założyli mu prawdopodobnie jutowy worek na głowę, odpięli mu spodnie i wyciągnęli narządy. Gdy już tak siedział skuty, oślepiony, z workiem na głowie i na wpół obnażony, pokpiwali sobie prawdopodobnie: „Czujesz się teraz jak w domu? No, to możemy zacząć rozmawiać”.

Prawdopodobnie rozmowa potoczyłaby się szybko, ale niestety Shaback nie miał pojęcia, że więźniowie zostaną wkrótce zwolnieni. Dlatego zadawali mnóstwo pytań dotyczących Salameha. Tak wiele, że gdy tylko Palestyńczycy zostali zwolnieni, „Czerwony Księż” dowiedział się, że jest celem nr 1 Mosadu.

W tym czasie „Czarny Wrzesień” atakował bardzo zdecydowanie. Nadal powszechnie używał listów-bomb, zaś w całej Europie podkładał ładunki wybuchowe i nader regularnie dokonywał ataków granatami.

187

Przywódcą „Czarnego Września” w Bejrucie tak samo zależało na chronieniu Salameha jak Mosadowi na schwytaniu go. Był ukochanym dzieckiem organizacji. Polecono mu więc zniknąć na jakiś czas z pola widzenia.

Przywódcą „Czarnego Września”, Abu Yusuf, który kilka tygodni później miał zginąć z rąk komandosów izraelskich w czasie napadu na sztab bejrucki 20 lutego 1973 r., postanowił, że przynajmniej na jakiś czas organizacja musi zastąpić Salameha na stanowisku kierownika działań w Europie. Zdecydowano się na urodzonego w Algierii i dobrze znanego w eleganckim towarzystwie paryskim Mohammeda Boudic. Zorganizował on nawet własną komórkę, którą nazwał też komórką Boudia.

Boudia chciał skoordynować działalność wszystkich grup terrorystycznych występujących w Europie i utworzyć z nich potężną armię podziemną. Zorganizował w Libanie szkolenie dla członków różnych grup i prawie z dnia na dzień utworzył wielką organizację terrorystyczną, coś w rodzaju izby rozrachunkowej wszystkich frakcji. W teorii był to dobry pomysł. Ale trudność polegała na tym, że organizacje OWP były skrajnie nacjonalistyczne, podczas gdy większość pozostałych ugrupowań składała się z radykalnych marksistów. Islam i marksizm zaś po prostu nie pasują do siebie.

Boudia miał osobistego łącznika, Palestyńczyka nazwiskiem Moukharbel, który jeździł między Paryżem i Bejrutem. W czasie napaści komandosów izraelskich na sztab „Czarnego Września” w Bejrucie cała teczka Moukharbela wraz z jego zdjęciem znalazła się wśród wielu dokumentów zdobytych i zabranych do Tel Awiwu.

Tu zaczyna się rola katsa Mosadu, Orena Riffa. Sytuacja była nagrzana do czerwoności. Nie było czasu na normalne, ostrożne posunięcia. Polecono więc, w czerwcu 1973 roku, władającemu językiem arabskim

Riffowi, aby spróbował zwerbować Moukharbela metodą frontalnego ataku. Miał się po prostu zwrócić bezpośrednio do niego i zaoferować mu współpracę. (Ta metoda ma duże zalety. Niekiedy pozwala zwerbować. Jeśli się to nie udaje, może na tyle przerazić, że człowiek, do którego się zwrócono, zaprzestanie pracy dla drugiej strony. Wreszcie można sprawić,

żeby jej zaprzestał, jak to miało miejsce z egipskim fizykiem Meshadem*).

Moukharbel mieszkał w eleganckim londyńskim hotelu. Śledzono go przez półtora dnia. Spenetrowano hotel. Wreszcie przyszedł moment,

•) Patrz prolog.

188

kiedy Riff miał podejść do jego drzwi, gdy tylko Moukharbel powróci ze spaceru. Pokój jego przeszukano już przedtem, żeby sprawdzić, czy nie ma tam ukrytej broni. Nie było. I nikt więcej tam nie mieszkał. Gdy Moukharbel wracał do siebie, jakiś mężczyzna „przypadkiem” wpadł na niego w windzie, przy czym szybko sprawdził, czy nie ma on przy sobie ukrytej broni. Moukharbel należał do OWP, uważano więc go za szczególnie niebezpiecznego, ale ponieważ podjęto wszelkie środki ostrożności możliwe w tych okolicznościach, Riff poczekał, aż Arab wejdzie do swego pokoju, po czym skierował się do jego drzwi.

Przyglądając się bystro Moukharbelowi. aby upewnić się, czy nie sięga po broń, Riff szybko wyrecytował jego personalia, zaczerpnięte z akt „Czarnego Września”: nazwisko, adres, wiek — wszystko, co tam było podane.

Następnie powiedział: „Jestem z wywiadu izraelskiego. Gotowi jesteśmy płacić panu okrągłą sumkę. Chcemy, żeby pan dla nas pracował”.

Moukharbel, przystojny, doświadczony, kosztownie ubrany mężczyzna, popatrzył Riffowi prosto w oczy, uśmiechnął się od ucha do ucha i rzekł: „Cóż cię tak długo zatrzymywało?”

Obaj mężczyźni porozmawiali chwilę i umówili się na następne, bardziej oficjalne i lepiej zabezpieczone spotkanie. Moukharbelowi nie tyle zależało na pieniądzach, choć chciał ich także, ile na podwójnej osłonie, tak że gdyby cokolwiek przytrafiło się którejś ze stron, on byłby zawsze bezpieczny. Była to dla niego przede wszystkim sprawa jego osobistego przeżycia. A jeśli obie strony chciały mu płacić, to tym lepiej.

Na dobry początek przekazał Riffowi większość adresów, pod którymi zatrzymywał się Boudia. Boudia uwielbiał kobiety i miał kilka kochanek w różnych punktach Paryża. Wiedział, że jest celem dla Mosadu, używał więc mieszkań kobiet jako bezpiecznych lokali spędzając każdą noc w innym. Ale Moukharbel, który musiał pozostawać w kontakcie z nim, znał te adresy. Gdy Riff przekazał je Metsadzie, departament zaczął śledzić ruchy Boudii. Wkrótce dowiedzieli się, że zajmował się on przekazywaniem jakichś kwot na zbliżającą się operację. Adresatem był Wenezuelczyk, Iljicz Ramirez Sanchez, człowiek z bogatej rodziny, który studiował w Londynie i w Moskwie, a teraz mieszkał w Paryżu i wykonywał jakieś zadania dla OWP.

Metsada szybko stwierdziła, że Boudia był człowiekiem rozważnym. W takich sprawach organizacja wywiadowcza poszukuje zawsze pewnych punktów stałych — rzeczy, które obserwowany robi regularnie. Takiej pracy nie można wykonywać pod wpływem chwilowego impulsu. „Oto on: no to zabijmy go!” To się nie zdarza. Jeśli się chce uniknąć wszelkich komplikacji, to musi to być robota planowa. Najbardziej niezmiennym zjawiskiem w postępowaniu Boudii było to, że gdziekolwiek się udawał, zawsze jechał swoim błękitnym renault 16. Miał też przy ulicy des Fosses — St- Bernard jedno miejsce, które odwiedzał częściej niż inne.

Boudia nie wsiadał do samochodu, zanim nie otworzył maski, nie zajrzał pod wóz, do bagażnika i do rury wydechowej sprawdzając, czy nie ma tam podrzuconego materiału wybuchowego. Metsada zdecydowała więc umieścić w siedzeniu jego wozu minę naciskową. Ponieważ jednak nie chciano, żeby Francuzi podejrzewali Mosad, sporządzono specjalnie bombę wyglądającą, jakby wykonana była domowym sposobem. Wypełniona była nakrętkami i ostrymi odłamkami żelaza, na spodzie miała ciężką płytę metalową, żeby, gdy zostanie naciśnięta, siła wybuchu kierowała się w górę, a nie w dół.

28 czerwca 1973 r. Boudia wyszedł z domu, przeprowadził swoją

normalną kontrolę wozu, następnie otworzył przednie drzwiczki i skoczył na siedzenie. Gdy zamykał drzwi, samochód wyleciał w powietrze. Zginął na miejscu. Siła wybuchu była tak duża, że wiele nakrętek i odłamków żelaza przebiło jego ciało i wbiło się w dach samochodu.

Policja francuska, która знаła jego powiązania z grupami terrorystycznymi, sądziła, że uległ wypadkowi, gdy przypadkowo wybuchły przewożone przez niego miny. Różne instytucje policyjne często ogłaszają takie wnioski, zamiast szukać innych wyjaśnień.

Jakkolwiek „Czarny Wrzesień” nie miał bezpośrednich dowodów na to, że to Mosad zabił Boudię, to jednak wiedział, że tak właśnie było. Zarządzono więc natychmiast odwetowe zabójstwo jakiegoś Izraelczyka. Palestyńskiemu studentowi Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles polecono, aby kupił broń i udał się do ambasady Izraela w Waszyngtonie. Uważano, że ktoś całkowicie nie znany może dużo łatwiej dokonać zamachu i uciec niż ktoś, kto był już w grupie terrorystycznej i może być śledzony przez wywiad amerykański. Tak doszło do tego, że 1 lipca 1973 r. nieznany młody człowiek zbliżył się do zastępcy attache lotniczego ambasady płk. Yosefa Alona, zastrzelił go na ulicy i uciekł. Zabójcy nigdy nie złapano. Mosad dowiedział się o związku tego wydarzenia z operacją

„Boudia” dopiero później, gdy zdobyto różne dokumenty w wojnie „Jom

Kipur".

Po zamordowaniu Boudii Moukharbel powiadomił Riffa, że „Czarny Wrzesień” sprowadził do Paryża Wenezuelczyka Sancheza, aby pokierował ich operacją europejską. Mosad wiedział o nim niewiele, ale szybko ustalono, że jego ulubionym pseudonimem był Carios Ramirez czy — później — po prostu Carios. Miał się on wkrótce stać jednym z najstraszniejszych i budzących największy strach ludzi na świecie.

Ali Hassan Salameh nie był człowiekiem głupim. Usilnie pracował nad zapewnieniem sobie bezpieczeństwa osobistego. Chciał uniknąć działań Mosadu i jednocześnie przedstawić Izrael w złym świetle. Dogadał się więc z ochotnikami, żeby dali zwerbować się Mosadowi poprzez dwie różne ambasady. Ich zadaniem było przekazać Izraelczykom szereg dat i niejasności, które miały określić jego ruchy, oczywiście nie te prawdziwe, ale takie, w które chciał, żeby uwierzyli. Ostatecznie zaprowadziło to Mosad do małego miasteczka w Norwegii, zwanego Lillhammer, około 95 mil (150 km) na północ od Oslo. Tam jakiś kelner w restauracji był niesamowicie podobny do „Czerwonego Księcia”. Okazało się to dla niego fatalne.

Szef M e t s a d y Mikę Harari kierował operacją przeciwko Salamehowi. Salameh zorganizował sprawę tak, że, gdy kelner, który niczego nie podejrzewał, obserwowany był przez Mosad, kilku ludzi podeszło do niego

i prowadziło rozmowę. Miało to służyć za potwierdzenie, że kelner był tym, za kogo go Mosad uważał. 21 lipca 1973 r. Mosad zabił niewinnego kelnera. Trzech ludzi poszło do więzienia. Jeden z nich, David Arbel*), miał za długi język i „sprawa Liliehammer” stała się może największym skandalem i przyczyną zakłopotania w historii Mosadu.

W Paryżu natomiast Carlos przejmował sprawy. Europejskie środowisko wywiadowcze niczego o nim nie wiedziało. Nie mówił po arabsku. Co więcej, nawet nie lubił Arabów (Carlos mawiał o Palestyńczykach:

„Jeśli te facety są choćby w połowie tak dobre, jak się przedstawiają, to jak to się dzieje, że Izraelczycy jeszcze siedzą w Palestynie?”). Jednakże zwerbowany niedawno na agenta Mosadu przez Orena Riffa Moukharbel, pozostał łącznikiem Carlosa.

*) Patrz rozdz. VII i XV.

191

Umacniając organizację dla operacji europejskiej Carlos uzyskał kontrolę nad wszystkimi składami broni „Czarnego Września” na całym kontynencie. Między innymi odziedziczył dwie brakujące „strelly”, które zostały po nieudanej próbie zamachu na Goldę Meir.

Obok funkcji łącznika dla „Czarnego Września” Moukharbel wykonywał tę samą pracę dla dwóch innych ugrupowań palestyńskich: Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny i Palestyńskiej Organizacji Młodzieżowej. Ilość informacji, jakie przez niego wpływały do Mosadu, była zdumiewająca i Mosad po przeżuciu ich i zatrzymaniu dla siebie tych, których potrzebował, zaczął zaopatrywać wywiady europejskie i CIA w taką ilość informacji, że tamci nie wiedzieli, co z tym robić. Wśród pracowników innych wywiadów popularny stał się dowcip: „czy otrzymaliście już dzisiejszą książkę Mosadu?” Zaś łączność z CIA była tak ścisła, że Amerykanie żartowali na temat „wydziału Mosadu w Langley” (w sztabie CIA w Virginii). To zalanie rynku informacjami nie przyniosło może nikomu wielkiego pożytku, ale przynajmniej nikt nie mógł później powiedzieć, że go nie uprzedzano. Był to system, którego i później Mosad używał z powodzeniem.

Oczywiście Carlos zainteresował się dwiema rakietami „strella”, które zostały w Rzymie. Najprawdopodobniej rakiety te zostały w nie znanym Mosadowi, bezpiecznym miejscu, gdy zespoły dzieliły broń między siebie. Gdyby nie zabito terrorysty schwytanego w czasie próby zamachu, Mosad mógłby może dowiedzieć się czegoś. Zabity był jednym z tych, którzy korzystali z tej właśnie kryjówki.

Jak dotąd Carlos nie przedsięwziął niczego przeciw celom żydowskim. Mosad zaczął jednak rozumieć, że to człowiek niebezpieczny.

Dowiedziano

się od Moukharbela o rakietach, ale nie było sposobu dotarcia do nich. W każdym razie nie można było zająć się tym schowkiem nie „pałac” Moukharbela, który co dwa lub trzy dni przekazywał telefonicznie jakieś informacje. Był nawet okres, w którym Mosad trzymał przez 24 godziny specjalnie dla niego dyżurnego przy telefonie.

Carlos chciał użyć rakiet przeciwko izraelskiemu samolotowi. Nie zamierzał jednak osobiście uczestniczyć w akcji, która wymagała zawiłych przygotowań. Była to jego zasada i jedna z przyczyn, dla której nigdy go nie złapano. Wymyślał operację, dopilnowywał, żeby została przeprowadzona, ale nie brał w niej udziału.

Dla Mosadu rakiety stanowiły problem. Moukharbel był oczywiście zbyt cenny, aby „spalić” go dla tej jednej operacji. Ale gdyby kiedykolwiek

192

Palestyńczycy zdołali dotrzeć do lotniska z tą bronią, to mogliby zniszczyć izraelski samolot.

Oren Rifkatsa Moukharbela, kierował grą. Riff był facetem nie znoszącym głupich żartów. W końcu 1975 roku stał się jednym z jedenastu

niesławnych katsa, którzy się załamali i podpisali list do szefa Mosadu, w którym twierdzili, że organizacja jest nieruchawa, rozrzutna i ma niewłaściwy stosunek do demokracji. Wewnątrz organizacji znane to jest jako „list jedenastu”, a Riff jest jedynym z tej jedenastki, który przetrwał w Mosadzie. Wszystkich innych wyrzucono. Jego dwukrotnie pominięto przy awansach, a gdy w 1984 roku chciał zobaczyć swoje akta, by zobaczyć,

dlatego nie awansuje, powiedziano mu, że gdzieś się zapodziały. Dostycie nieprawdopodobne tłumaczenie, jeśli się zważy, że organizacja miała tylko 1200 pracowników, wliczając w to sekretarki i kierowców.

Nawiasem mówiąc w następstwie tego listu zmienione zostały w Mosadzie zasady dotyczące materiałów pisanych. Zarządzono, że nie więcej niż dwie osoby z organizacji mogą podpisywać jeden list.

Riff porozumiał się z łącznością w Rzymie i zalecił, by skontaktowali się z włoskim przyjacielem, Amburgo Vivanim z wywiadu i podali mu adres

schronienia, w którym przechowywano rakiety. „Powiedzcie mu, że zawiadomie go, gdy wszyscy zamieszani w to będą na miejscu i że powinien wkroczyć do tego mieszkania tylko w tym konkretnym momencie. W ten sposób będzie mógł złapać ich wszystkich”.

Jednostka neviot obstawiała to miejsce dla Mosadu i 5 września 1973 r., gdy stwierdzono, że wszyscy terroryści tam weszli, zawiadomiono wywiad włoski. Włosi stawili się w pobliżu. Podobnie mosadowcy, którzy

ich widzieli, ale sami nie ujawniali się. Włosi wkroczyli do mieszkania, skonfiskowali owe dwie rakiety i aresztowali pięciu ludzi — Libańczyka, Libijczyka, Algierczyka, Irakijczyka i Syryjczyka.

Ogłoszono przy tym, że piątka ta zamierzała z dachu swego domu zestrzeliwać samoloty komunikacyjne, gdy startowały z rzymskiego lotniska Fiumicino. Była to wierutna bzdura, gdyż samoloty nie przelatywały nad tymi domami. Nie było to jednak istotne. Ludzie w to wierzyli.

W tym czasie szef wywiadu włoskiego był bardzo blisko związany z Mosadem. Włosi jeździli często do krajów arabskich i posługując się ukrytą kamerą fotografowali dla Mosadu arabskie instalacje wojskowe.

Mimo że terrorystów schwytano na gorącym uczynku z dwiema rakietami, Włosi natychmiast wypuścili dwóch z nich za kaucją. Oczywiście wyjechali natychmiast z Rzymu. Pozostałych trzech także zwolniono, ci

13 Wyznania szpiega

193

udali się do Libii. Jednakże 1 marca 1974 r., gdy Dakota, która ich odwiozła, wracała do Rzymu, nastąpił na jej pokładzie wybuch. Pilot i załoga zginęli. W sprawie tej trwa dochodzenie policyjne.

Włosi twierdzą, że to robota Mosadu. Ale tak nie było. Najprawdopodobniej zamachu dokonała OWP. Może sądzono tam, że gdy odstawiano ich do Libii, załoga zobaczyła tam coś, czego nie powinna była widzieć. Może chodziło o to, żeby później nie rozpoznano Palestyńczyków, gdy będą przeprowadzać jakąś inną operację. Gdyby to zrobił Mosad, wybuch nastąpiłby, gdy terroryści byli na pokładzie.

20 grudnia 1973 r. Carlos był w Paryżu. Miał siedzibę na peryferiach miasta, w składzie amunicji OWP. Mosad szukał pretekstu, który pozwoliłby przekazać ten adres Francuzom, nie paląc jednocześnie agenta tak wartościowego jak Moukharbel.

Tego ranka Carlos dokonał aktu terroru w swoim stylu — owo „buch-buch” i w nogi. Wyszedł z mieszkania zabierając ze sobą granat.

Wskoczył

do samochodu i jadąc ulicą wrzucił granat do żydowskiej księgarni. Jedna kobieta została zabita, a sześć osób rannych. Była to dla Mosadu dostateczna przyczyna przekazania policji adresu składu amunicji. Gdy jednak francuska policja wkroczyła do składu, znalazła tam broń:

karabiny, granaty, pałeczki TNT, ulotki propagandowe i około tuzina ludzi, ale Carlosa wśród nich nie było. Tego samego dnia wyjechał z Francji.

Następnego dnia zatelefonował do Moukharbela z Londynu i chciał się z nim spotkać. Moukharbel powiedział, że nie może przyjechać, gdyż

jest poszukiwany przez policję brytyjską. Mosad starał się go namówić na wyjazd, ale on odmówił. Tak więc na jakiś czas stracono kontakt z Carlosem.

22 stycznia 1974 r. Carlos ponownie zadzwonił do Moukharbela. „Tu Iljicz — powiedział — wracam do Paryża. Muszę jutro lub pojutrze podpisać umowę”.

We wszystkich instytucjach izraelskich w Anglii ogłoszono stan alarmu. Nie mógł to jednak być alarm widoczny, bo przecież telefon mógł być ze strony Carlosa tylko próbą lojalności Moukharbela. Mosadowcy wiedzieli, że Carlos zawsze wyprzedza o krok wszystkich innych.

Dwa dni później, 24 stycznia, samochód przejeżdżał przed izraelskim bankiem w Londynie. Siedzący w nim samotny mężczyzna wrzucił do banku granat ręczny, raniąc jedną kobietę.

194

Następnego dnia Carlos wezwał Moukharbela na spotkanie w Paryżu, Powiedział mu, że tymczasem musi odłożyć sprawy izraelskie, gdyż sytuacja stała się zbyt gorąca. Ma on kilka długów do spłacenia wobec grup japońskich i niemieckich i musi je uregulować, zanim cokolwiek zrobi dla OWP.

To trochę uspokoiło Mosad. Tym bardziej że pasowało do innych posiadanych przez nich informacji. Ale mając do czynienia z Carlosem, nigdy nie można było dłużej zaznać spokoju. 3 sierpnia tegoż roku podłożono w Paryżu trzy bomby w samochodach: dwie przed redakcjami dzienników, a jedną (wykrytą, zanim wybuchła) — przed stacją radiową. Policja francuska sądziła, że to robota Action Directe. Tak było, ale Carlos pomagał w osprzęcie i umieszczeniu bomb. Następnie pojechał do innej dzielnicy Paryża, by być daleko od terenu obserwacji.

Później Mosad dowiedział się, że Carlos otrzymał pewną liczbą wyrzutni antyczołgowych — granatów raketowych produkcji radzieckiej — RPG 7. Jest to niewielka, łatwa do przenoszenia broń, która waży tylko 19 funtów (ok. 8,5 kg) i jest skuteczna w promieniu 555 jardów (ok. 505 m) w stosunku do celów stałych i 330 jardów (ok. 300 m) w stosunku do celów ruchomych. Może przebijać opancerzenie do 12 cali (30,5 cm).

13 stycznia 1975 r. Carlos i jego kolega, Wilfred Bose, pojechali w kierunku lotniska Orly szukając awantury (Bose — członek bandy Baader-Meinhof— został zabity 27 czerwca 1976 r. w słynnym ataku dla ratowania zakładników w Entebbe, w Ugandzie). Ujrzeli na polu startowym ogon samolotu izraelskiego.

Carlos ponownie przejechał obok, żeby się dobrze przyjrzeć i cisnął małą butelkę mleka na jezdnię. Rozlany płyn miał wskazywać miejsce,

z którego najlepiej było widać samolot izraelski. Carlos zaparł się nogami w konstrukcję dachu ich Citroena Deux Chevaux, Bose cofnął samochód, po czym powoli ruszył do przodu z szybkością ok. 10 mil (16 km) na godzinę. Gdy zbliżali się do rozlanego mleka, Carlos uniósł się i oddał strzał. Chybił samolot izraelski, ale uszkodził jugosłowiański i jeden z budynków lotniska. Ujechali kilka kilometrów drogą, zatrzymali wóz, Carlos przesiadł się na miejsce pasażera i odjechali.

Po powrocie do mieszkania Carlos opowiedział Moukharbelowi, co zrobił. Moukharbel odrzekł, że już słyszał o tym przez radio i że samolot izraelski nie został trafiony.

Carlos powiedział: „Tak, tym razem chybiliśmy, ale 19 zrobimy powtórkę”.

195

Oczywiście Moukharbel poczęstował tym smakołykiem Orena Riffa. Znow nie chciano „spalić” tak wartościowego agenta. Riff zarządził wzmożoną czujność i na wypadek gdyby Carlos chciał dotrzymać swej groźby, polecił przestawić wszystkie samoloty izraelskie na północną stronę lotniska, tak że był do nich tylko jeden dostęp.

Rzeczywiście. 19 stycznia (po tym, gdy ostrzeżono Francuzów o możliwości ataku terrorystycznego) Carlos nadjechał samochodem z trzema ludźmi. Trzykrotnie przejechali mimo lotniska, po czym zatrzy-

mali się. Wówczas otoczyły ich samochody francuskiej policji na syrenach.

Terroryci nie otworzyli ognia. Uczynili gesty rzucania broni i uciekli pozostawiając samochód. Carlos schwycił przechodzącą kobietę i przyłożył jej pistolet do głowy. Podobnie zachował się jeden z jego kolegów.

Przez

następne pół godziny trwały pertraktacje.

Nikt nie wystrzelił i jakoś się wycofali. Pozostawili swoje wyposażenie. Carlos znikł. Nawet Moukharbel nie wiedział, gdzie się on znajduje.

Przez następnych pięć miesięcy było spokojnie. Moukharbel nadal dostarczał wartościowych informacji, ale niczego nie słyszał o Carlosie.

Stawał się nerwowy. Przyjaciele powiedzieli mu, że pewni ludzie w Bejrucie

zaczęli go podejrzewać i chcieli się z nim rozmówić. Mosad zdecydował

Wtedy zaatakować Carlosa. Natomiast Moukharbel marzył jedynie o tym, żeby zdobyć nową osobowość i jak najszybciej wycofać się z gry. Zaczął się

obawiać, że Carlos ma coś do niego.

Sztab nie chciał, żeby Riff sam załatwił Carlosa, ani żeby zlikwidowała go M e t s a d a. Postanowiono więc pozostawić całą sprawę Francuzom ograniczając się do pomocy informacjami.

10 czerwca 1975 Carlos zatelefonował do Moukharbela. Ten wpadł

w panikę i powiedział, że musi opuścić Paryż. Ale Carlos zaprosił go do mieszkania, które miał w domu przy ulicy Toullier, w Piątej Dzielnicy. Był to jeden z tych domów, które znajdują się w głębi za innym. Można do nich

dotrzeć albo przechodząc przez dom bliski ulicy i podwórko, albo idąc trochę po schodkach i przecinając drogę. Było tam tylko jedno wejście, a więc tylko jedna prawdziwa droga ewakuacji. Jak na siedzibę Carlosa było to bardzo dziwne miejsce.

Przy pomocy sayana z pośrednictwem nieruchomościami Riff zdołał wynająć takie mieszkanie w budynku frontowym, z którego widać było podwórko i mieszkanie Carlosa. Była to mała kłitka w rodzaju tych, które

196

turyści wynajmują na dzień lub na tydzień. Mieściła się na najwyższym piętrze, pozwalając Riffowi na dokładną obserwację zamierzonej akcji.

Poinformowano policję francuską, że w pewnym mieszkaniu jest człowiek związany ze znanym handlarzem bronią i drugi (Moukharbel), który chciał się wywinąć z trudnej sytuacji i gotów był mówić. Nie powiedziano policji, że chodzi o Carlosa, ani że Moukharbel jest agentem.

Riff powiedział Moukharbelowi, że najdzie go francuska policja.

„Powieś/ im, że chcesz wyjść z tego i udać się do Tunisu. My upewnimy się,

że oni nie mają żadnych materiałów obciążających ciebie. Wiesz, że jak długo Carlos włóczy się wokół, nie jesteś bezpieczny. Pokażą ci twoją fotografię z Carlosem i spytają, kim jest ten drugi. Staraj się wykręcić z tego. Powiedz, że to nikt godny zainteresowania. Jeśli jednak będą chcieli

go zobaczyć, to zaprowadzisz ich do Carlosa. Zatrzymają go dla przesłuchania, a wtedy my załatwimy sprawę tak, żeby otrzymali właściwe informacje i zamknęli go na zawsze. Ty będziesz sobie mieszkał w Tunisie, wolny".

Plan miał olbrzymie braki. Ale jeśli miał przyczynić się do schwytania Carlosa, to reszta Mosadu nie obchodziła.

Riff poprosił o zezwolenie Tel Awiwu na przekazanie Francuzom przeważającej części akt dotyczących Carlosa, aby wiedzieli, z kim mają do czynienia. Argumentował, że Mosad przekazuje im agenta. A gdyby nie wiedzieli, kim jest naprawdę Carlos, to agent Mosadu, Moukharbel, znalazłby się w wielkim niebezpieczeństwie. Co więcej, Riff obawiał się, że i Francuzi znaleźliby się w wielkim niebezpieczeństwie, jeśli nie byli właściwie przygotowani na Carlosa. Przecież wciąż jeszcze wiedzieli o nim bardzo mało.

W odpowiedzi, jaką otrzymał, twierdzono, że przekazywaniem informacji zajmie się łączność. Uczyni to w miarę potrzeby, gdy Carlos będzie w więzieniu i w zależności od spraw, które nadają się do pertraktacji z Francuzami. Inaczej mówiąc, jeśli Francuzi chcieli otrzymać informacje, to musieliby za to coś zapłacić.

Francuzi nie dostali poufnej informacji o Carlosie tylko na skutek rywalizacji i zawiści między dwoma pionami Mosadu — tsometem, zwanym później melucha, który zajmuje się 35 aktywnymi katsa Mosadu i jest głównym werbownikiem agentów wśród wrogów, oraz tevelem, czyli k a i s c i r u t e m — służbą łączności.

Kiedy szefowie tych pionów spotkali się, aby omówić propozycję Orena Riffa, czyli z tsometu przekazać Francuzom część akt Carlosa,

197

sytuacja się odwróciła. Tsomet chciał przekazać szczegóły, a tóve/ był przeciw. Korzystając z okazji, aby zdobyć punkt w rozgrywkach wewnętrznych, szef tevelu powiedział: „O co chodzi? Chcecie przekazać informacje Francuzom? Kiedy my chcemy przekazywać informacje, wy nam nie pozwalacie. To teraz my wam nie damy tego zrobić”. Mogli się przy tym uprzeć, gdyż nie było nikogo wyżej, kto by to rozstrzygnął. Nie było nikogo, przed kim musieliby odpowiadać. Sami sobie ferowali prawa.

Umówionego dnia Riff obserwował, jak Carlos wchodzi do swego mieszkania. Przed tym łącznicy rozmawiali z Francuzami i powiedzieli im, gdzie znajdą Moukharbela, co też uczynili. W mieszkaniu Carlosa znajdowała się grupa Latynosów. Mieli zabawę.

Moukharbel przyjechał w nie oznaczonym wozie policyjnym z trzema policjantami. Dwóch zostało z nim przy schodach, a trzeci zastukał do drzwi. Carlos otworzył. Policjant w cywilu przedstawił się i Carlos zaprosił go do wnętrza. Rozmawiali około 20 minut. Niewątpliwie Carlos wyglądał na sympatycznego faceta bez problemów. Nigdy go zresztą nie widzieli ani nie słyszeli o nim. Uważali, że załatwiają po prostu jakiś donos. Drobną sprawą.

Riff mawiał później, że tak się denerwował przyglądając się tej scenie, że chciał mu się odrzucić książką, przebiec tam i ostrzec policję. Ale nie uczynił tego.

Wreszcie glina musiał powiedzieć Carlosowi, że ma ze sobą kogoś, kogo on może znać. „Chciałbym z nim porozmawiać, czy nie zechce pan pójść ze mną?”

W tym momencie policjant dał znak swoim kolegom, żeby przyprowadzili Moukharbela. Gdy tylko Carlos ujrzał go z daleka, doszedł do wniosku, że został „spalony”. Wprawdzie Moukharbel zamierzał powie-

dzieć Carlosowi, że nie ma się o co martwić i że policjanci nie mają niczego ze sobą, ale zanim do tego doszło, Carlos powiedział do policjanta: „Ależ oczywiście, idę z panem”.

W czasie rozmowy Carlos trzymał przez cały czas gitarę, na której grał, gdy policjant zastukał do drzwi. Pozostali uczestnicy przyjęcia nie mieli pojęcia, co się dzieje i kontynuowali zabawę. Carlos zapytał, czy może odłożyć gitarę i włożyć marynarkę. Policjant nie widział powodu, żeby mu odmówić. W tym czasie pozostała trójka zbliżyła się do drzwi.

Carlos wyszedł do sąsiedniego pokoju, rzucił gitarę, chwycił marynarkę, otworzył futerał gitary i wyjął z niego pistolet automatyczny kalibru 0.38 — podszedł do drzwi i natychmiast otworzył ogień. Ciężko zranił

198

policjanta, któremu kula przeszła kark, następnie zabił na miejscu pozostałych dwóch, wreszcie załatwił Moukharbela, wsadzając mu trzy kule w klatkę piersiową i jedną w głowę. Tę ostatnią, strzałem bezpośrednim, aby mieć pewność, że Moukharbel na pewno nie żyje.

Riff, który obserwował to wszystko ze swego mieszkania, wpadł prawie w histerię. Nie miał broni. Przyglądał się bezradnie, jak Carlos

wykończył Moukharbela i spokojnie wyszedł.

Ale Riff wiedział jedną rzecz — że policja francuska wie kim ON jest.

Wiedziała, że to on sprowadził tam ich ludzi. Z ich punktu widzenia mogło to wyglądać jak pułapka. Dwie i pół godziny później Riff ubrany w mundur personelu latającego wsiadał do samolotu El Al udającego się do Izraela*).

Goście z przyjęcia pomogli rannemu policjantowi i wezwali pogotowie. Chyba nie mieli pojęcia, kim jest Carlos. Policjant przeżył i później zapewniał, że gdy Carlos strzelał, krzyczał bez przerwy: „Jestem Carlos, jestem Carlos!”

Tego dnia Carlos stał się sławny.

Uważano, że Carlos był zamieszany w operację przeprowadzoną w siedzibie OPEC w Wiedniu 21 grudnia 1975 r. Sześciu propalestyńskich partyzantów wdarło się wówczas na konferencję OPEC, zabiło trzy osoby, zraniło siedem i wzięło osiemdziesięciu jeden zakładników. W ciągu kilku następnych lat przypisywano mu dziesiątki wypadków podkładania bomb i innych działań terrorystycznych. Tylko w latach 1979—1980 — kiedy to M osad ostatni raz słyszał o nim — około szesnastu wybuchów przypisywanych Action Directe dokonano w jego stylu.

Jednym z problemów związanych z instytucjami wywiadowczymi jest

działanie ich za zamkniętymi drzwiami, a wyniki ich działań dotyczą ludzi w skali międzynarodowej. Właśnie dlatego, że instytucje te pracują za zamkniętymi drzwiami, nie zawsze biorą na siebie odpowiedzialność za to, co robią. Instytucja wywiadowcza, która nie ma nad sobą organizacji nadzorczej, jest niczym nie zabezpieczoną armatą. Z jedną tylko różnicą — jest to nie zabezpieczona armata działająca ze złośliwą premedytacją. Może być zaślepiona rywalizacją wewnętrzną.

Nie było żadnych powodów, żeby zginęli francuscy policjanci ani inni

*) Patrz rozdz. II.

199

ludzie zabici przez Carlosa. Właściwie nie było powodów, żeby Carlos w ogóle chodził na wolności. To, co Mosad może robić w takich sytuacjach, szkodzi nie tylko Instytucji, ale i Izraelowi. Właśnie dlatego, że nie musi przed nikim się rozliczać.

Nie można utrzymywać współpracy opartej wyłącznie na rekompensacie. Z czasem wydziały łączności agencji wywiadowczych innych krajów przestaną wierzyć Mosadowi. Wówczas zacznie tracić wiarygodność w społeczności wywiadowczej. To się właśnie dzieje. Izrael mógł być najwspanialszym krajem na świecie, ale Mosad podkopuje go poprzez swe

manipulacje. Nie działa w najlepszym interesie Izraela, lecz w interesie własnym.

Rozdział XI

Exocet

W deszczowy poranek 21 września 1976 roku 44-letni Orlando Letelier wyszedł z domu przy eleganckiej Embassy Rów i jak zwykle zasiadł za kierownicą swej błękitnej chevelle. Letelier był za czasów nieszczęsnego marksistowskiego prezydenta Salvadora Allende ważnym ministrem w Chile. Teraz towarzyszył mu jego amerykański kolega w pracach naukowych, 25-letni Ronni Moffit.

W kilka chwil później zdalnie odpalana bomba rozerwała samochód na strzępy i zabiła na miejscu obu mężczyzn.

Jak to często bywa w takich wypadkach, wielu ludzi obciążało odpowiedzialnością CIA. Przecież przypisywano tej organizacji większą rolę, niż rzeczywiście odegrała w upadku Allende, w 1973 roku. Była ona od dawna międzynarodowym chłopcem do bicia przy wyjaśnianiu wszelkiego rodzaju aktów gwałtu. Inni wskazywali—słusznie—na tajną policję chilijską DINA, którą w rok później (1977 r.) pod naciskiem Amerykanów rozwiązał nowy szef państwa gen. Augusto Pinochet Ugarte (choć odrodziła się ona pod innym kierownictwem).

Nikt nie wskazał w tej sprawie na Mosad.

A jednak, choć Mosad nie był bezpośrednio zaangażowany w zamachu, który polacił przeprowadzić chilijski szef DINA, Manuel Contreras Sepulveda, to jednak odegrał istotną rolę w morderstwie. Stało się to za pośrednictwem tajnej umowy zawartej z Contrerasem w sprawie zakupu w Chile morskiej rakiety ziemia—ziemia, typu Exocet.

Drużyna morderców nie posługiwała się ludźmi z Mosadu dla zabicia Leteliera. Ale bezspornie posługiwała się umiejętnościami Mosadu, jakie przekazano jej w ramach porozumienia zawartego przez Contrerasa przy dostawie pocisków.

201

W sierpniu 1978 r. kolegium amerykańskiego Sądu Federalnego postawiło w stan oskarżenia Contrerasa oraz dyrektora wydziału operacyjnego DINA Pedra Espinozę Bravo, agenta DINA Armanda Fernandez Lariosa i czterech emigrantów kubańskich, członków działającej w Stanach Zjednoczonych fanatycznej organizacji antycastrowskiej. Wszystkim siedmiu postawiono zarzut morderstwa.

Podstawowe dowody w 15-stronicowym akcie oskarżenia pochodziły z zeznań urodzonego w Stanach Zjednoczonych Michaela Vernona Townieya, który w wieku piętnastu lat wyjechał z rodzicami do Chile, pracował tam jako mechanik samochodowy i został zwerbowany przez

DINA. Określony został jako nie oskarżony współkonspirator i w zamian za niski wyrok — trzech lat i czterech miesięcy — współpracował z prokuraturą. Reżim Pinocheta wydał Chilijczyków amerykańskim prokuratorom. Emigranci kubańscy uciekli, chociaż jeden z nich został aresztowany 11 kwietnia 1990 r. w St. Petersburgu, na Florydzie, gdzie mieszkał. Ale Chile uparcie odmawiało wydania Contrerasa, człowieka, który zorganizował morderstwo Leteliera. Contreras nigdy nie był sądzony za swą zbrodnię, choć w październiku 1977 r. Pinochet usiłując poprawić ponurą opinię junty w oczach społeczności międzynarodowej, zmusił go do ustąpienia z zajmowanego stanowiska.

Raz do roku wszystkie organizacje wywiadu wojskowego w Izraelu zbierają się dla ustalenia planu nadchodzących wydarzeń. Jednym z tych wydarzeń jest doroczne zebranie wszystkich, zarówno wojskowych jak i cywilnych, organizacji wywiadowczych w kraju, zwane Tsorech Yediot Hasuvot, czy w skrócie tsiach — co znaczy po prostu „potrzebne informacje”. W czasie zebrania nabywcy tacy jak AMAN, Urząd Premiera i różne wojskowe jednostki wywiadowcze dokonują przeglądu jakości otrzymanych w poprzednim roku informacji i potrzeb na rok przyszły w kolejności ich znaczenia. Dokument, jaki powstaje na tym zebraniu, a który również zwany jest tsiach, to jakby lista zamówień dla Mosadu i innych źródeł, takich jak organizacja wywiadu wojskowego, na materiały wywiadowcze na rok następny.

W zasadzie istnieją trzy źródła informacji wywiadowczej: HUMANT,

czyli informacje wywiadowcze zbierane od ludzi, na przykład przez agentów Mosadu w pracy z ich różnymi współpracownikami. ELINT, czyli różne przechwytywane depesze. Zajmuje się tym jednostka 8200 z wywiadu

202

wojskowego armii izraelskiej oraz SIGINT — materiały wywiadowcze ze źródeł jawnych. Wyławianiem ich zajmują się setki ludzi w innej specjalnej jednostce wojskowej.

W toku „Spotkania” zainteresowani nie tylko ustalają, czego potrzebują od wywiadu, ale również oceniają stałych agentów na podstawie wyników ich pracy w minionym roku. Każdy agent ma dwa pseudonimy. Jeden dla celów operacyjnych, drugi — informacyjnych. Raporty operacyjne przesyłane przez Aa^a Mosadu nie są znane „nabywcom” wiadomości wywiadowczych. Nie wiedzą oni nawet, że takie istnieją. Raport informacyjny rozbity na różne kategorie przesyłany jest oddzielnie.

Na podstawie tych raportów „nabywcy” wiadomości oceniają agentów i przyznają im stopnie od A do E. Na ogół żaden agent nie zdobywa grupy A, choć może się to udać funkcjonariuszom. B — to źródło bardzo wiarygodne. C — jest jako tako. Informacje D trzeba przyjmować, ale z ostrożnością, a jeśli ktoś zostanie określony jako E, należy przestać z

nim

pracować. Każdy katsa zna „stopnie” swoich agentów i stara się je poprawiać. Stopień pozostaje przy agencji przez cały rok i według niego określa się jego płacę. Jeśli na przykład któryś z nich był przez rok C, a następnie awansował na B, dostanie premię.

Sporządzając te raporty katsa umieszcza na górze dwa małe kwadraciki. W lewym podaje się stopień agenta, zaś obok znajduje się cyfra: jedynka oznacza, że agent sam słyszał lub widział to, o czym donosi. Dwójka, że sam tego nie widział, ale dowiedział się od kogoś godnego zaufania. Trójka zawiera wiadomości z trzeciej ręki — pogłoski. A więc jeśli na przykład na górze sprawozdania widnieje B 1, znaczy to, że zawiera ono informację od dobrego agenta, który osobiście widział lub słyszał opisywane wydarzenia.

Szef wywiadu wojskowego jest osobą najwyższą rangą w tej działalności w armii. Jednakże każdy rodzaj izraelskich sił zbrojnych ma własne jednostki wywiadowcze. Istnieją więc wywiady: piechoty, czołgów, lotnictwa i marynarki (pierwsze dwa zostały obecnie połączone jako wywiad sił lądowych). Szefem armii nazywanej formalnie Siłami Obronnymi Izraela jest generał dywizji, który ma na epoletach miecz skrzyżowany z gałązką oliwną oraz dwa listki figowe.

W odróżnieniu od Stanów Zjednoczonych z ich oddzielnymi siłami zbrojnymi siły obronne Izraela tworzą w zasadzie jednolitą armię z różny-

mi pionami, takimi jak marynarka czy lotnictwo. Szefowie tych pionów w randze generałów brygady mają miecz i gałązkę oliwną i tylko jeden

203

listek. O jeden stopień niżej są brygadierzy, szefowie różnych gałęzi wywiadu wojskowego. Dalej — pułkownicy. Byłem w tej randze, gdy wstąpiłem do Mosadu i awansowałem o jeden stopień.

Podkreśleniem znaczenia wywiadu dla Izraelczyków jest to, że szef wywiadu wojskowego ma rangę generała brygady, taką samą jak szefowie marynarki, sił powietrznych, sił lądowych, wojsk czołgowych i wojskowego systemu sprawiedliwości. Szef wywiadu marynarki jest o stopień niżej.

Szef AMAN, czyli wywiadu wojskowego, ma tę samą rangę co szefowie innych służb, ale w praktyce stoi wyżej od wszystkich oficerów wywiadu wojskowego, gdyż w strukturze władz odpowiada służbowo bezpośrednio przed premierem. Różnica między AMAN i korpusem wywiadowców polega na tym, że AMAN jest odbiorcą wiadomości wywiadowczych, zaś korpus ma za zadanie zbieranie w polu informacji taktycznych.

W końcu 1975 wywiad marynarki zgłosił na dorocznym zebraniu wywiadów zapotrzebowanie na raketę Exocet. Rakiety te produkowane przez francuską Aerospatiale, zwane są brzytwodziobami morskimi.

Wystrzeliwuje się je z okrętów. Pocisk wznosi się, by znaleźć swój cel

z pomocą urządzenia naprowadzającego, następnie opuszcza się i dąży do celu nad samą wodą, przez co zarówno trudno go wykryć radarem, jak i bronić się przed nim. Jedynym sposobem znalezienia środków zaradczych są praktyczne próby z takim pociskiem.

Izrael poważnie niepokoiło, że niektóre kraje arabskie, w szczególności Egipt, mogłyby kupować Exocety. Marynarka chciała być przygotowana na wypadek, gdyby je naprawdę kupiły. Dla przeprowadzenia prób niepotrzebna im była cała rakieta, lecz tylko głowica, w której mieszczą się wszystkie systemy elektroniczne.

Sprzedawca takiej rakiety nie daje kupującemu pełnej informacji o niej. Nie wypróbowuje jej też pod kątem widzenia obrony, lecz wyłącznie dla ataku. Ale nawet gdyby można było zdobyć od takiej firmy jak Aerospatiale odpowiednie specyfikacje, to zawierałyby one tylko maksymalne parametry rakiety. Koniec końców chcą oni przecież ją sprzedać.

Izrael chciał więc mieć własne rakiety dla przeprowadzenia prób, ale nie mógł ich oficjalnie kupić od Francji. We Francji obowiązywało embargo na sprzedaż broni Izraelowi. Utrzymuje je wciąż wiele krajów, gdyż wiedzą, że z chwilą gdy Izrael zdobędzie pewne rodzaje broni, będzie je kopiował.

Zadanie zdobycia głowicy Exoceta przekazano szefowi Mosadu, a ten z kolei rozkazał tełowi zająć się żądaniem marynarki.

Mosad posiadał już wiele informacji na temat Exocetu. Zawdzięczał to m.in. pewnemu sayanowi, który pracował w Aerospatiale i przekazał pewne szczegóły. Przeprowadzono też małą operację — do fabryki włamał się zespół z udziałem specjalnie przybyłego z Izraela fachowca od rakiet. Specjalista miał ustalić, co należy sfotografować. Zespół spędził w fabryce cztery i pół godziny, po czym opuścił ją nie pozostawiając śladu.

Jednakże, mimo zrobionych fotografii pocisku i zdobytych planów, niezbędny był prawdziwy wzór. Brytyjczycy mieli takie rakiety, ale nie byli skłonni udostępnić ich Izraelowi.

Europa stała się dla akcji ślepym zaułkiem, ale Mosad wiedział, że kilka krajów południowoamerykańskich posiada Exocety. Dobrym źródłem mogła być Argentyna, lecz w owym czasie zawarła ona umowę z Izraelem, u którego kupowała silniki odrzutowe jego produkcji. Mosad wystrzegał się więc każdej operacji, która mogłaby w jakikolwiek sposób okazać się zagrożeniem dla tego korzystnego kontraktu.

Najlepszym adresatem okazało się Chile. Złożyło się tak, że kraj ten zwrócił się właśnie do Izraela o przeszkolenie wewnętrznej służby bezpie-

czeństwa. Fachowość Izraela w tej dziedzinie jest dobrze znana. Izrael nie chełpi się tym głośno, ale szkolił już tak różne jednostki jak groźny irański Savak, służby bezpieczeństwa w Kolumbii, Argentynie, Niemczech Zachodnich, Afryce Południowej i wielu krajach afrykańskich. Między innymi tajną policję b. dyktatora Ugandy, Idi Amina. Izrael szkolił też tajną policję niedawno obalonego „silnego człowieka” Panamy, Manuela Noriega*). Noriega, który sam był szkolony w Izraelu, zawsze nosił po prawej stronie swego munduru wojskowego skrzydełka spadochroniarzy izraelskich (zwykle nosi je po stronie lewej). Aby dać dowód swej bezstronności, Mosad szkolił obie strony biorące udział w krwawych niepokojach wewnętrznych w Sri Lance: Tamilów, Syngalezów, a także Hindusów posłanych tam dla przywrócenia porządku.

Zdając sobie sprawę ze złej opinii, jaką miała w świecie chilijska DI NA, Pinochet chciał przeprowadzić pozorne zmiany w tej służbie i zlecił jej szefowi, generałowi Manuelowi Contrerasowi, dopilnowanie szczegółów tej operacji.

*) Patrz rozdz. V

szef łączności, Nahum Admony, polecił prowadzącemu sprawy Ameryki Łacińskiej w departamencie łączności wydziałowi MA LAT, aby zajął się żądaniem marynarki. MA LAT był małą jednostką składającą się z trzech funkcjonariuszy i ich szefa. Dwóch funkcjonariuszy podróżowało stale po Ameryce Łacińskiej zajmując się głównie nawiązywaniem stosunków handlowych Izraela z tymi krajami. Jeden z nich, nazwiskiem Amir, znajdował się w tym czasie w Boliwii, interesując się fabryką wybudowaną przez przemysłowca izraelskiego, Saula Eisenberga**), człowieka tak potężnego, że rząd izraelski wydał specjalne prawo zwalniające go od wielu wysokich podatków, aby przeniósł swoją centralę do Izraela. Eisenberg specjalizował się w tzw. operacjach „pod klucz” — budował fabryki i gdy były całkowicie gotowe, przekazywał klucze ich właścicielom.

W 1976 roku Eisenberg stał się centralną postacią skandalu politycznego i dochodzenia policyjnego w Kanadzie. Naczelný kontroler państwa zakwestionował w swoim sprawozdaniu wypłacenie jemu i jego różnym towarzystwom co najmniej 20 milionów dolarów za pośrednictwo przy próbach sprzedaży reaktora atomowego CANDU Argentynie i Korei Południowej przez Atomie Energy of Canada Limited (AECL). Prezes AECL, L. Lorne Grey, przyznał wówczas, że „nikt w Kanadzie nie wie, gdzie się te pieniądze podziały”.

Zanim Amir opuścił Boliwię, otrzymał wszystkie potrzebne informacje za pośrednictwem tamtejszej ambasady Izraela. Dowiedział się, ile tylko

można o ludziach, których miał spotkać, ich mocnych stronach i słabościach — o wszystkim, co według centrali mogło mu być pomocne. Bilety lotnicze, pokoje hotelowe i inne potrzebne szczegóły przygotowane zostały

zTel Awiwu. Aż do butelki francuskiego wina, którego marka zanotowana była w komputerowych aktach MosaduJako specjalnie lubiana przez gen. Contrerasa.

Polecono Amirowi spotkać się w Santiago, ale nie podejmować żadnych zobowiązań. Centrala w Tel Awiwie odpowiedziała już wówczas na prośbę chilijską dotyczącą szkolenia tajnej policji. Poinformowano, że przyślą Amira, oficera administracyjnego, aby omówił projekt. Unikano przy tym sugerowania jakichkolwiek zobowiązań. Określono cel spotkania jako zwykłą, wstępną ocenę sytuacji.

***) Patrz rozdz. VI.

206

Na lotnisku w Santiago spotkał Amira urzędnik ambasady izraelskiej, który zawiózł go do hotelu. Następnego dnia Amir spotkał się z Contrerasem i kilku jego wyższymi urzędnikami. Contreras ujawnił, że Chilijczycy korzystają już z pomocy CIA, ale nie sądził, żeby CIA pomogła im w pewnych sprawach, które musieli przeprowadzić. W zasadzie chcieli przeszkolić jednostkę bezpieczeństwa wewnętrznego do walki z lokalnym terroryzmem, porywaniem ludzi i podrzucaniem bomb, a także dla

ochrony odwiedzających kraj zagranicznych dygnitarzy.

Po spotkaniu Amir odleciał do Nowego Jorku, aby spotkać szefa departamentu MALAT w domu, który zabezpieczył tam Mosad (dom ten faktycznie wypożyczył MALAT inny wydział, „A1”, który pracuje wyłącznie w USA i ma tam bezpieczne pomieszczenia, gdzie łatwiej jest spotkać się, niż wysłać drugiego człowieka do Chile).

Po wysłuchaniu dokładnego sprawozdania Amira z odbytych rozmów szef jego powiedział: „Chcemy czegoś od tych facetów. Naprzód trzeba ich wciągnąć. Trzeba coś zacząć, a potem dokonać zwrotu i zgłosić nasze żądania. Podrzucimy im koniec sznurka, a potem pociągniemy go”.

Postanowiono, że Amir spotka się ponownie z Contrerasem, aby wypracować umowę w sprawie szkolenia jednostki policyjnej. W tym czasie takie kursy szkoleniowe oferował Izrael tylko w kraju. Później były wypadki, gdy instruktorzy izraelscy byli wysyłani za granicę, na przykład do Afryki Południowej i Sri Lanki. Ale w latach 1975—1976 zasadą było, że osoby szkolone muszą przyjeżdżać do Izraela.

Szkolenie odbywa się nadal w byłej brytyjskiej bazie lotniczej, na wschód od Tel Awiwu, zwanej Kfar Sirkin. Kiedyś Izrael używał jej jako bazy szkoleniowej dla oficerów. Po tym stała się bazą służb specjalnych, używaną głównie dla szkolenia cudzoziemców.

Kursy trwają zwykle od sześciu tygodni do trzech miesięcy, zależnie od zakresu przeszkolenia. Są drogie. W tym czasie Izrael pobierał opłaty w wysokości 50—75 dolarów za noc od jednego szkolonego, plus 100 dolarów dziennie za instruktorów. Oczywiście instruktorzy nie widzieli ani grosza z tych pieniędzy i musieli pracować za swe normalne płace w wojsku.

Ponadto ściągano za każdego szkolonego 30—40 dolarów dziennie na wyżywienie, około 50 dolarów dziennie za broń i amunicję, a także inne przewidziane opłaty. Tak więc jeden szkolony kosztował około 300 dolarów dziennie, a jednostka złożona z sześćdziesięciu szkolonych

207

— około 18 tysięcy dolarów dziennie. Za trzymiesięczny kurs wynosiło to około 1,6 miliona dolarów.

Ponadto wynajęcie helikoptera kosztowało za każdą godzinę 5—6 tysięcy dolarów, a w niektórych ćwiczeniach mogło brać udział do piętnastu helikopterów. Do tego trzeba dodać koszt specjalnej amunicji zużytej w toku ćwiczeń. Na przykład: jeden pocisk bazooka kosztuje około 220 dolarów, a każdy pocisk do ciężkich moździerzy — około tysiąca dolarów. Działka przeciwlotnicze, niektóre z ośmiu lufami, mogą wystrzeliwać tysiące pocisków w ciągu kilku sekund. Każdy z nich kosztuje 30—40 dolarów.

Daje to czysty zysk. Na tych operacjach szkoleniowych zarabia się mnóstwo pieniędzy. Ponadto ludzie szkoleni przy użyciu broni produkcji izraelskiej chcą następnie kupować taką broń i amunicję. Zyski ze szkolenia są więc tylko wstępem.

Amir powiedział Contrerasowi, żeby wybrał sześćdziesięciu spośród swych najlepszych ludzi i posłał ich na kurs szkoleniowy. Grupa ta miała dzielić się na trzy szczeble: żołnierzy, podoficerów i dowódców, przy czym dla każdego szczebla miano stworzyć specjalne metody szkoleniowe. Naprzód przyjechałyby trzy grupy po dwadzieścia osób na szkolenie podstawowe. Dwudziestu najlepszych spośród nich przeszłoby do szkolenia na dowódców i właśnie spośród nich wyrosłoby podoficerowie i oficerowie.

Gdy Amir przedłożył całą tę propozycję Contrerasowi, ten powiedział bez wahania: „bierzemy to”. Chciał też kupić całe wyposażenie takich typów, na jakich mieli być szkoleni jego ludzie i prosił o zbudowanie małej fabryczki, bądź też magazynu z 6-letnim zapasem amunicji i części zamiennych.

Gdy Contreras postanowił już kupić całą tę łączną ofertę, zaczął się trochę targować o cenę oferując w pewnym momencie Amirowi kilka

tysięcy dolarów łąpówki, aby uzyskać rabat. Amir odmówił i ostatecznie Contreras zaakceptował cenę.

Przed samym zakończeniem szkolenia podstawowego Amir polecił do Santiago na spotkanie z Contrerasem.

— Szkolenie przeszło bardzo dobrze — powiedział. — Właśnie zamierzamy wytypować ludzi na podoficerów. Chłopcy byli doskonali. Musieliśmy odrzucić tylko dwóch.

Contreras, który sam ich wybierał — był zadowolony.

Po krótkiej pogawędce na temat programu szkolenia Amir rzekł:

208

— Potrzebujemy czegoś od was.

—[^] A czego? — spytał Contreras.

— Głowicy Exocetu.

— To nie powinno sprawiać trudności — rzekł Contreras. — Niech pan posiedzi dzień-dwa w swoim hotelu, a ja zdobędę odpowiednie informacje. Będę z panem w kontakcie.

Po dwóch dniach Contreras zaprosił Amira na spotkanie:

— Nie chcą jej panu dać — powiedział. — Prosiłem, ale nie chcą tego zatwierdzić.

— Jest to jednak coś, czego potrzebujemy — rzekł Amir. — Wyświadczyliśmy wam przysługę z tym szkoleniem. Mieliśmy nadzieję, że gdy z kolei my będziemy czegoś potrzebowali, będziecie mogli nam pomóc.

— Słuchaj pan — odrzekł Contreras — zdobędę ją dla was osobiście. Do diabła z kanałami oficjalnymi. Zapłacicie milion dolarów gotówką i będziecie ją mieli.

— Będę musiał na to dostać zgodę.

— Postaraj się pan. Wie pan, gdzie mnie szukać.

Amir porozumiał się ze swym szefem w Nowym Jorku i przekazał mu propozycję Contrerasa. Wiedzieli, że generał może głowicę dostarczyć, ale szef wydziału też nie mógł sam sprawy zatwierdzić. Zwrócił się więc do Admony'ego w Tel Awiwie, zaś Mosad z kolei spytał wywiad floty, czy marynarka gotowa jest zapłacić milion dolarów za raketę. Była gotowa.

— Osiągnęliśmy porozumienie — zawiadomił Amir Contrerasa.

— Dobra. Sprowadzisz pan człowieka, który wie, co jest potrzebne

i pojedziemy razem do tutejszej bazy morskiej. On pokaże dokładnie, czego chcecie i weźmiemy to.

Sprowadzono izraelskiego specjalistę raketowego od Bamtema, izraelskiego producenta rakiet z miasta Adiat, leżącego na południe od Hajfy. Tam właśnie zbudowano raketę „Gabriel”. Ponieważ zależało im na głowicy w stanie gotowości, specjalista nalegał, aby wziąć ją prosto z okrętu. W ten sposób można było być pewnym, że nie zostaną wprowadzeni w błąd i nie podrzuci się im fałszywej głowicy, czy też głowicy wymagającej reperacji, a więc niezdatnej do działania.

Na rozkaz Contrerasa wyładowano raketę z okrętu i umieszczono na trawlerze. Izraelczycy zapłacili milion dolarów z góry.

— Czy to jest to, czego potrzebujecie? — spytał Contreras.

Oficer marynarki izraelskiej zbadał pocisk, po czym Amir rzekł:

— Tak, to jest to!

14 Wyznania szpiega

209

— Dobra — rzekł Contreras. — Teraz wsadzimy głowicę do skrzyni,

zabezpieczymy ją sznurami, klamrami i umieścimy w pokoju w Santiago. Jeśli pan chce, może jej strzec. To mnie nie obchodzi. Ale zanim ją pan zabierze, jest jeszcze coś, czego ja chcę.

— Czego? — spytał zaskoczony Amir. — Zawarliśmy umowę i my wywiązaliśmy się w całości z tej części, która nas dotyczyła.

— I ja się wywiążę — rzekł Contreras. — Ale przed tym wezwie pan swego człowieka i powie mu, że ja chcę z nim rozmawiać.

— Nie muszę tego robić — powiedział Amir. — Mogę ja rozmawiać.

— Nie. Powiedz pan swemu człowiekowi, że chcę go tu widzieć i chcę sam z nim rozmawiać.

Amir nie miał wyjścia. Było rzeczą oczywistą, że Contreras domyślił się, że Amir jest pracownikiem względnie niskiej rangi i starał się wyciągnąć z sytuacji wszelkie możliwe korzyści. Amir zatelefonował z hotelu do swego szefa w Nowym Jorku. Ten z kolei zwrócił się do Admony'ego w Tel Awiwie z prośbą o wyjaśnienie sytuacji. Tego samego dnia Admony złapał samolot do Santiago, by się spotkać z chilijskim generałem.

*

— Chcę, żeby pani mi pomógł stworzyć osobistą służbę bezpieczeństwa — powiedział mu Contreras.

— Już to robimy — rzekł Admony — i wasi ludzie sprawują się świetnie:

— Nie. Nie. Pan mnie nie rozumie. Chcę mieć oddział, który może mi pomóc eliminować naszych wrogów niezależnie od tego, gdzie się znajdują.

Tak jak wy postępujecie z OWP. Nie wszyscy nasi wrogowie znajdują się w Chile. Chcemy mieć możliwość uderzyć w ludzi, którzy stanowią dla nas bezpośrednie zagrożenie. Istnieją poza Chile grupy terrorystyczne będące dla nas zagrożeniem, podobnie jak inne stanowią zagrożenie dla was.

Chcemy mieć możliwość likwidowania ich. Wiemy, że istnieją dwa sposoby robienia tego. Możecie przystać na to, że gdy pojawią się problemy, wasi ludzie wykonają robotę. Wiemy na przykład, że prosił was o taką usługę Tajwan i że wy im odmówiliście. My wolimy używać naszych ludzi.

Chodzi

więc o to, żebyście przeszkolili grupę naszych w sposobach postępowania z zagrożeniem terroryzmu z zagranicy. Zrobicie to — i rakieta jest wasza.

Ten nowy pomysł wydał się zarówno Admony'emu, jak i Amirowi czymś obrzydliwym. Biorąc pod uwagę charakter nowego żądania Admo-

ny powiedział Contrerasowi, że musi prosić o zgodę swoich zwierzchników, zanim się do czegoś zobowiąże.

Admony wrócił więc do Tel Awiwu na naradę na najwyższym szczeblu, w centrali Mosadu. Mosad gniewało to, że Contreras dodał nieoczekiwanie nową klauzulę do umowy. Uznano, że potrzebna jest decyzja polityczna, a nie tylko z zakresu bezpieczeństwa. Postanowiono, że to rząd musi zdecydować, czy zaspokoić Contrerasa czy utopić całą sprawę.

Z kolei rząd bynajmniej nie kwapił się do tego, by go wciągnięto w takie problemy. Podjął więc decyzję, która w istocie oznaczała: „nie chcemy niczego wiedzieć o takich sprawach”.

Trzeba więc było nająć osobę prywatną, aby dopełnić tej umowy. Wybrano do tego szefa wielkiej izraelskiej firmy ubezpieczeniowej, Mike'a

Harariego, b. szefa departamentu w Mosadzie, który kierował spartaczoną akcją w Liliehammer i który niedawno przeszedł na emeryturę. Jako jeden z najbardziej wpływowych doradców dyktatora Manuela Noriegi, Harari pomagał między innymi w szkoleniu elitarniej jednostki antyterrorystycznej

Panamy, K 7.

Poza innymi właściwościami pozwalającymi mu wykuć umowę z chilijskim generałem, Harari był wtedy bezpośrednio związany interesami

z wielką firmą żeglugową, która stanowiłaby doskonałą transmisję dla bezpiecznego i cichego przewiezienia głowicy do Izraela.

Jako oficer Mosadu Harari był w swoim czasie szefem Metsady, departamentu zajmującego się funkcjonariuszami i jednocześnie szefem komórki Metsady — kidonii. Polecono mu oświadczyć Contrerasowi, że nauczy jego specjalną jednostkę antyterrorystyczną wszystkiego, co umiał. Może nie nauczył ich wszystkiego. Mosad musiał zatwierdzić wszystko, czego uczył, a mosadowcy wolą zachować pewne techniki dla siebie. Ale na pewno nauczył ich dosyć, aby mogli zorganizować uderzenie w swych prawdziwych wrogów za granicą, czy też ludzi uważanych za takich. Opłata za to szkolenie została przesłana bezpośrednio do Harariego z „brudnego” funduszu zarządzanego przez DINA.

Ta grupa specjalna byli to ludzie Contrerasa. Nie byli bynajmniej organizacją oficjalną. On ich wybrał. On ich opłacał. Oni zaś wykonywali robotę dla niego. Możliwe, że ich metody śledcze szły nawet dalej, niż sądzono. Ale nie ma wątpliwości, że ta jego specjalna jednostka została przeszkolona i że Izrael dostał swój Exocet. Harari uczył takich technik torturowania jak szoki elektryczne, wykorzystywanie punktów szczególnie

wrażliwych na ból, punktów szczególnie podatnych na nacisk, czy też określenia czasu trwania wytrzymałości. Głównym celem przesłuchania

jest otrzymanie informacji. Ale Chilijczycy nadali przesłuchaniu specjalne skrzywienie. Wydaje się, że lubili oni przesłuchiwać dla samego przesłuchiwania. Często nie chodziło im nawet w ogóle o informacje. Po prostu lubili zadawać cierpienia.

Jednakże tego wilgotnego wrześniowego dnia 1976 roku w Waszyngtonie, gdy Letelier rozpoczynał swą ostatnią podróż, nikomu nie przeszło nawet przez głowę, że zabójca został przeszkolony przez Mosad. Tego skojarzenia nikt nie miał. Nikt też nie wiedział, że Izrael ma Exocet.

Izraelczycy wypróbowali głowice w ten sposób, że umocowali ją pod korpusem odrzutowca Phantom i połączyli wszystkie wyjścia z serią czujników, które można było odczytywać w różnych warunkach, organizując odpowiednie przeloty i symulując lot rakiet. Sprawdzili, jak mogłoby raketę wykryć radar, jak mogłoby ją śledzić okręty i jak pracuje jej system pomiaru odległości. Próby trwały cztery miesiące. I przeprowadzane były na odrzutowcach startujących z bazy powietrznej Hatsrim, niedaleko Beersheby.

Rozdział XII

Szach i mat

Jako młody chłopiec Magid marzył że będzie kiedyś szachistą

światowej sławy. Żył szachami. Poznawał ich historię i uczył się na pamięć ruchów mistrzów.

Magid był sunnitą urodzonym w Syrii, który od końca lat pięćdziesiątych mieszkał w Egipcie. Był to czas, gdy Garnął Abdel Nasser, który dążył do utworzenia wielkiej unii arabskiej kierowanej przez Egipt, stanął w 1958 roku na czele formalnie połączonych jako Zjednoczona Republika Arabska Egiptu i Syrii.

Teraz było lato 1985. Magid przyjechał właśnie do Kopenhagi z zamiarem utworzenia prywatnego banku inwestycyjnego. Pierwszego dnia w stolicy Danii zauważył w hallu hotelowym dobrze ubranego mężczyznę, który studiował książkę o szachach trzymając przed sobą szachownicę. Magid spóźnił się już na umówione spotkanie, nie miał więc czasu, żeby zaczepić spotkanego pasjonata. Ale następnego dnia człowiek ten znów siedział w hallu. Szachownica była dla Magida prawdziwym magnesem. Podszedł do szachisty, klepnął go w ramię i doskonałą angielszczyzną powiedział: „przepraszam”.

— Nie teraz. Nie teraz — warknął zagadnięty.

Zaskoczony Magid cofnął się natychmiast, przez chwilę przyglądał się spokojnie, po czym zaproponował logiczny ruch obronny.

Teraz zainteresował się ów obcy:

— Zna się pan dobrze na szachach? — spytał.

Nawiązali rozmowę. Magid mógł zawsze z zapalem rozmawiać o szachach i przez następne dwie i pół godziny on i jego nowy przyjaciel debatowali o grze, którą kochali. Nieznajomy przedstawił się jako

213

kanadyjski przedsiębiorca, Mark. Miał pochodzić z chrześcijańskiej rodziny z Libanu.

Mark był to w rzeczywistości Yehuda Gil, jeden z grupy katsa stacjonowanych w Brukseli, któremu polecono nawiązać wstępny kontakt z Magidem. Sam Magid nikogo nie interesował. Naprawdę chodziło o zwerbowanie jego brata, Jadida, urzędnika ministerialnej rangi u syryjskich wojskowych. Próbowali tego już kiedyś we Francji, ale zabrakło czasu

i sprawa nie wypaliła. Jednakże tak jak przy większości tych operacji, Jadid

nie wiedział nawet o podjętej próbie, a na pewno nie wiedział, że Mosad nadał mu już nawet pseudonim „korkociąg”.

Ta historia zaczęła się faktycznie 13 czerwca 1985 r., gdy katsa imieniem Ami podczas służby w komórce „duńskiej” na siedemnastym

piętrze centrali Mosadu w Tel Awiwie (znajdującej się wówczas w budynku

Hadar Dafna, przy ulicy Króla Saula) otrzymał od mosadowskiego funkcjonariusza łączności w Kopenhadze rutynową depezę: „Purpurowe A” — szyfrowa nazwa duńskiej cywilnej służby bezpieczeństwa — prosił o sprawdzenie listy około czterdziestu osób pochodzenia arabskiego lub noszących arabskie nazwiska. Osoby te prosiły o wizy dla zwiedzenia Danii bądź dla osiedlenia się tam.

Spółeczeństwo duńskie nie wie bowiem, jak zresztą i olbrzymia większość duńskich funkcjonariuszy rządowych, że Mosad rutynowo sprawdza w imieniu Danii wszystkie takie podania, i jeśli nie ma problemów z autorem, stawia znaczek przy nazwisku na kopii formularza wizowego. Jeśli są jakieś zastrzeżenia, zwracają na to uwagę Duńczyków, albo — jeśli może to przynieść korzyść Izraelowi — zatrzymują formularz do dalszego sprawdzenia.

Stosunki między Mosadem i wywiadem duńskim są tak bliskie, że wręcz nieprzyzwoite. Nie naraża to jednak na szwank cnoty Mosadu, lecz Duńczyków. Żywią oni złudzenie, że skoro uratowali w czasie II wojny światowej wielu Żydów, Izrael jest im wdzięczny i że wobec tego mogą mieć zaufanie do Mosadu.

Na przykład człowiek Mosadu, m a rat s (podśluchiwacz) siedzi w centrali wywiadu duńskiego kontrolując wszystkie depeze wpływające

do tamtejszego nasłuchu, a związane z Palestyńczykami i innymi Arabami. Jest to wręcz niezwykła sytuacja dla cudzoziemskiej służby wywiadowczej.

Mosadowiec jest tam jedynym człowiekiem znającym arabski. Rozumie

214

więc treść przekazów, ale wysyła taśmy do Izraela dla tłumaczenia (wszystko to odbywa się za pośrednictwem łącznika o pseudonimie Hombre, w stacji Mosadu w Kopenhadze). Otrzymane informacje nie zawsze przekazuje się Danii. Poza tym transkrypty, które wracają do Kopenhagi, są często poważnie przeredagowane. Oryginalnych taśm Mosad nie zwraca.

Mosad najwyraźniej nie żywi wielkiego szacunku dla Duńczyków. Nazywają ich w organizacji fertsalach, co znaczy po hebrajsku pierdnięcie. Duńczycy mówią Mosadowi o wszystkim, co robią, ale Mosad nikogo nie dopuszcza do swoich tajemnic.

Normalnie sprawdzenie czterdziestu nazwisk za pomocą komputera Mosadu zajęłoby około godziny. Ale Ami po'raz pierwszy miał do czynienia z Duńczykami. Zaczął więc szukać w swym komputerze informa-

cji o wywiadzie duńskim. I oto ukazało się na ekranie pismo nr 4647 oznaczone „tajne” z dokładnym opisem funkcjonowania duńskiej służby bezpieczeństwa, jej personelu, a nawet niektórych operacji.

Raz na trzy lata funkcjonariusze bezpieczeństwa duńskiego udają się do Izraela na prowadzone przez Mosad seminarium, w toku którego omawia się ostatnie wydarzenia w działalności terrorystycznej i nowe elementy technik antyterrorystycznych. Dzięki temu Izrael otrzymuje pełny obraz liczącej 500 osób społeczności palestyńskiej w Danii i korzysta

z „pełnej współpracy w sprawie tańca (śledzenia ludzi) koordynowanej, gdy trzeba, z Purpurą”.

Dokument wymieniał 38-letniego wówczas Henninga Fodego jako szefa tajnej służby duńskiej, mianowanego na to stanowisko w listopadzie 1984 r. Miał on odwiedzić Izrael w końcu 1985 r. Jego zastępcą był Michael

Lyngbo. Nie miał on wprawdzie doświadczeń wywiadowczych, ale zajmował się w organizacji sprawami bloku radzieckiego. Paul Moza Hanson był doradcą prawnym Fodego. Z nim właśnie kontaktował się Mosad, ale miał on już wkrótce kończyć służbę. Halburt Winter Hinagay był szefem departamentu antyterrorystycznego i walki z działalnością wywrotową. On również brał udział w ostatnim seminarium w Izraelu na temat terroryzmu.

Mosad organizuje wiele takich seminariów zapraszając za każdym razem tylko jedną służbę wywiadowczą. Pozwala to nawiązywać wartościowe kontakty, a jednocześnie podtrzymywać fałszywą reputację, że żadna organizacja nie umie tak dobrze radzić sobie z terroryzmem jak Mosad.

Inny dokument na ekranie komputera Amiego podawał pełną nazwę ogólnej służby wywiadowczej w Danii: *Politiets Efterretningsjtneste Politistationen* (PEP). Tam też wymieniono szereg departamentów.

Podśluch telefoniczny należy do departamentu S. W dokumencie datowanym 25 sierpnia 1982 r. Duńczycy poinformowali Hombre, że przygotowują nowy system komputerowy i mogą dać Mosadowi 60 „podśluchów” (60 końcówek, w których rzeczywiście zainstalowali aparaty podsłuchowe dla Mosadu). Zainstalowali też pewną ilość urządzeń podsłuchowych w telefonach publicznych. Mosad twierdzi, że zrobili to zgodnie z jego sugestią „w miejscach znanych jako podatne na działalność wywrotową”.

Szef służby miał mieć rangę tzw. Inspektora detektywów — odpowiednik prokuratora okręgowego w Izraelu. Raport Mosadu twierdził dalej, że jednostki śledcze Duńczyków były niskiej jakości: „Ich ludzi łatwo wykryć. Źle się maskują. Przyczyną jest prawdopodobnie duża płynność kadr w tej jednostce... pracują około dwóch lat, po czym przechodzą do innych zajęć”.

Werbowanie ludzi dla tej służby było zadaniem policji. Nie było to łatwe, bowiem perspektywy awansu były niewielkie. 25 lipca 1982 r.

Hombre pytał o północnokoreańską tajną operację w Danii, ale otrzymał odpowiedź, że robi się to dla Amerykanów, więc „nie pytajcie więcej”.

Szukając dalszych informacji w swym komputerze Ami znalazł dokument zwany „Purpurowe B”. Zawierał on szczegóły dotyczące duńskiej wojskowej służby wywiadowczej, czyli podlegającego bezpośrednio szefowi armii i ministrowi obrony wywiadowczego ramienia duńskich wojskowych. Służba ta składa się z czterech jednostek: zarządzania, podsłuchu, analiz i gromadzenia informacji.

Jej zadania wynikające ze współpracy z NATO obejmują Polskę, Niemcy Wschodnie oraz obserwację ruchów okrętów radzieckich na Bałtyku dokonywaną za pomocą skomplikowanej aparatury elektronicznej dostarczonej przez Amerykanów.

Własnym jej zadaniem są „pozytywne” badania wojskowo-polityczne — gromadzenie informacji wewnątrz Danii (informacji obywateli duńskich o tym, co widzieli), jako odwrotność gromadzenia informacji „negatywnych” — polegających na zbieraniu ich poza granicami. Zajmuje się ona też łącznością międzynarodową oraz dostarcza rządowi ogólnokrajowych ocen. W tym czasie zamierzano stworzyć jednostkę, która zajmo-

wałaby się problematyką Bliskiego Wschodu (na początek miał to być

jeden człowiek pracujący przez jeden dzień w tygodniu).

Służba duńska znana jest ze swych umiejętności wykonywania ostrych zdjęć dokumentujących działalność radziecką w powietrzu, na ziemi i na morzu. Była to pierwsza służba wywiadowcza, która dostarczyła Izraelowi zdjęcia radzieckiemu systemowi SSC—3 (pociski ziemia—ziemia). Od 1976 roku na czele Purpurowego B stał Mogens Telling. Odwiedził on Izrael w 1980 roku. Szefem wydziału osobowego był Ib Bangsbore. Miał w 1986 roku odejść na emeryturę. Wewnątrz tej służby Mosad dysponował dobrymi źródłami. Podobnie jak w Duńskim Instytucie Badań Obronnych. Wywiad duński współpracował też ściślej ze Szwecją (nazywaną w szyfrach

Burgundią) aniżeli ze swym partnerem w NATO — Norwegią. Od czasu do czasu Purpurowe B kontaktowało się z K a r u z e l ą (szyfrowa nazwa wywiadu brytyjskiego), z którą współpracował od wypadku do wypadku i która brała udział w różnych operacjach przeciw wywiadowi radzieckiemu.

Ami zebrał to wszystko i przestudiował, zanim wywołał formularz służący do wprowadzania posiadanych informacji do komputera — nazwisk, numerów i wszelkich posiadanych danych. Potrzebne one były komputerowemu bankowi pamięci dla poszukiwań. Jeśli osoba, o którą chodziło, była Palestyńczykiem, a na ekranie nie pojawiła się żadna informacja, Ami przekazywał formularz do palestyńskiego działu Mosadu. Tam mogli albo kontynuować sprawdzanie, albo po prostu włączyć nazwisko do komputera Mosadu. Wszystkie wydziały Mosadu podłączone

są do jednego olbrzymiego komputera w telawiwskiej centrali. Co noc wyjmuje się tam i umieszcza w bezpiecznym miejscu twardą dyskietkę — kopię zdobytych przez cały dzień informacji.

Ami miał już tylko cztery nazwiska na liście, gdy doszedł do Magida. Nazwisko jego zabrzmiało dla niego jak sygnał. Ami rozmawiał kiedyś z przyjacielem z departamentu analiz i zobaczył fotografię człowieka o tym nazwisku, który stał obok prezydenta Syrii, Hafeza al Assada. Wprawdzie wiele nazwisk arabskich jest do siebie podobnych, ale zawsze warto sprawdzić. W komputerze nie było żadnych danych dotyczących Magida, więc Ami zatelefonował do analityków i poprosił swego przyjaciela w komórce syryjskiej, aby na lunch w stołówce na IX piętrze przyniósł kopię fotografii. Chciał ją porównać ze zdjęciem Magida na formularzu wizowym.

217

Po lunchu, mając w ręku fotografię Jadida, Ami szukał w komputerze dalszych szczegółów. Chciał sprawdzić, czy Jadid ma krewnych. Ustalił, że ma on brata, którego wygląd i życiorys odpowiadały danym zawartym w kwestionariuszu wizowym Magida.

To otwierało możliwość „pomostu, zwerbowania jednej osoby, aby dotrzeć do innej. Ami napisał więc swój raport i włączył go do codziennej,

wewnętrznej poczty. W tym czasie formularz duński dołączony został do akt bez żadnej adnotacji na nim. Duńczycy mieli więc dojść do wniosku, iż nie ma przeciwskażeń dla przyznania wizy, bo w przeciwnym razie Mosad powiadomiłby ich o tym.

Przez wiele lat syryjskie dane wojskowe pozostawały na czołowym miejscu w tsiuchu — dorocznym mosodowskim zastawieniu „informacji, które należy zdobyć. W związku z tym spowodował, by A MAŃ, izraelski wywiad wojskowy, sporządził spis tego, co chciałby wiedzieć o gotowości bojowej Syrii, poczynając od spraw najważniejszych, aż do błahych. Ów jednostronicowy kwestionariusz dotyczył ilości jednostek wojskowych, którymi może dysponować Syria, stanu brygad pancernych nr 60 i 67 oraz brygady zmechanizowanej nr 87, ilości brygad w dywizji sił specjalnych nr 14 oraz wielu związanych z tym problemów, takich jak szczegóły szeroko wtedy omawianego zastąpienia Ahmada Diabaha przez Fefata Assada, brata prezydenta Assada, na stanowisku szefa bezpieczeństwa narodowego.

Mosad dysponował już wtedy w Syrii pewną ilością źródeł. Nazywano to systemem wczesnego ostrzegania. Chodziło o fragmenty informacji, które ludzie mogli zdobyć i przekazać, na przykład ze szpitali czy placów budów, a które złożone w całość mogły ostrzec Izrael o przygotowaniach przeciwnika do wojny. Syryjczycy utrzymywali przez lata stan gotowości na Wzgórzach Golan. To również sprawiło, że stale uważano za sprawę podstawową zbieranie bieżących, godnych zaufania wiadomości wywiado-

wczych. Zwerbowanie wysoko postawionego źródła informacji w Syrii byłoby więc uważane za doniosłe wydarzenie.

Mosad uważa Syrię za kraj „kapryśny”. Rozumie przez to, że ponieważ kieruje nią jeden człowiek — Assad — to może on obudzić się któregoś dnia i powiedzieć: „Chcę wywołać wojnę”. Gdyby to się miało zdarzyć, to jedynym sposobem otrzymania szybkiej wiadomości jest posiadanie tam źródła możliwie blisko szczytu. Mosad wiedział, że Assad chce odebrać Wzgórza Golan. Assad wiedział, że może wiele zyskać drogą nagłego uderzenia, natomiast nie może długo powstrzymać Izraela.

Dlatego też w latach osiemdziesiątych wytrwale dążył do tego, by Rosjanie zagwarantowali, że będą interweniowali poprzez ONZ lub w inny sposób, żeby szybko taką wojnę wstrzymać. Gwarancji takiej nie otrzymał i dlatego nigdy nie uruchomił swych czołgów.

Cały ten skomplikowany układ sprawił, że zwerbowanie brata Magida stało się jednym z najważniejszych zadań. Toteż w ciągu kilku godzin Yehuda Gil (dla Magida Mark) wyruszył do Kopenhagi, żeby oczekiwać przybycia swojego człowieka. Inny zespół skierowano do pokoju hotelowego Magida, aby zainstalować tam odpowiednie urządzenia nasłuchowe i wizualne — wszystko, co mogło pomóc w zwerbowaniu go, a za jego pośrednictwem jego ważnego brata.

Pomysł użycia szachów do nawiązania wstępnego kontaktu z Magidem został wprawdzie zatwierdzony w toku długiego, pełnego napięcia zebrania w pewnym bezpiecznym domu w Kopenhadze, ale wymyślił to Gil.

W czasie pierwszej długiej rozmowy z nowym znajomym Magid uznał, że znalazł przyjaciela, któremu może ufać. Opowiedział Markowi swój życiorys i zaproponował wspólny dinner wieczorem. Mark zgodził się i wrócił do bezpiecznego domu, aby omówić to wydarzenie z kolegami.

Miał zamiar wybadać, co Magid wie i czego można się po nim spodziewać. Mark miał występować w roli zamożnego przedsiębiorcy (jest to zawsze ulubiona maska), który ma dostęp do różnych transakcji kupna—sprzedaży.

Magid powiedział, że rodzina jego jest w Egipcie, że ma zamiar sprowadzić ją do Danii, ale nie chce tego robić natychmiast. Chciał dobrze spędzić trochę czasu, znaleźć mieszkanie, a później, gdy już przybędzie jego żona i lepiej się zagospodarują — kupić coś. Mark proponował pomoc i obiecał przysłać mu następnego dnia do hotelu pośrednika z biura nieruchomości. Po tygodniu Magid miał swoje mieszkanie, zaś Mosad naszpikował je dokładnie urządzeniami nasłuchowymi wbudowując nawet w sufit miniaturową aparaturę filmową.

Na następnym posiedzeniu w bezpiecznym domu postanowiono, że

Mark powie Magidowi, iż musi w interesach wrócić na miesiąc do Kanady, co dałoby dosyć czasu Mosadowi na dobre wykorzystanie całej tej aparatury nadzorującej. Dowiedzieli się, że Magid nie zażywa narkotyków, ale z pewnością lubi normalny eks, i to w niemałych ilościach. Jego

219

wspaniałe mieszkanie zostało też naszpikowane najnowszymi gadżetami elektronicznymi, takimi jak wideo, magnetofony itp.

Szczęśliwie dla Mosadu dwa razy w tygodniu Magid telefonował do brata. Wkrótce stało się oczywiste, że Jadid bynajmniej nie jest aniołem, lecz uczestniczy z Magidem w jakichś ciemnych kombinacjach dla zdobycia pieniędzy. Na przykład Jadid kupował w Danii duże ilości materiałów pornograficznych i sprzedawał je z olbrzymim zyskiem w Syrii. W toku jednej z rozmów powiedział Magidowi, że odwiedzi go w Kopenhadze za jakieś sześć tygodni.

Uzbrojony w taką informację Mark ustalił następne spotkanie z Magidem i odgrywając rolę wysokiego funkcjonariusza kompanii kanadyjskiej (nigdy głównego dyrektora, bo wykluczałoby to możliwość gry na czas poprzez rzekome przekazywanie propozycji „szefowi”, czyli faktycznie grupie w bezpiecznym domu), zaczął energiczniej naciskać na to, by spróbować załatwić umowę handlową.

„Naszym normalnym zajęciem — mówił Mark — jest ocena szans inwestycji dla naszych klientów. Radzimy im, czy mają inwestować w danym kraju czy nie, więc musimy też zbierać o tym kraju informacje. Jesteśmy jak gdyby prywatną CIA”.

Wspomnienie o CIA nie wywarło na Magidzie widocznego wrażenia. Początkowo zmartwiło to Izraelczyków. Obawiali się, że ktoś mógł go już przed nimi zwerbować. Ale on nie był zwerbowany. Był po prostu chłodnym kupcem.

„Naturalnie — kontynuował Mark — gotowi jesteśmy płacić za informacje, które pozwolą nam ocenić, czy inwestycje są bezpieczne, czy udzielać im gwarancji, i to w różnych zakątkach świata. Mamy do czynienia z wielkimi graczami — rozumie pan — tak że potrzebujemy dokładnych i godnych zaufania informacji, a nie czegoś, co każdy może znaleźć na rogu ulicy”.

Jako przykładu Mark użył Iraku. Kraj ten jest znany na całym świecie ze swych daktyli.

— Ale czy zamówiłby pan tam daktyle w czasie, gdy trwa wojna (irańsko-iracka)? Tylko w wypadku jeśli można otrzymać gwarancje na przesyłkę. Wtedy — tak. Ale żeby móc to ocenić, trzeba znaleźć na normalnym rynku odpowiednie wiadomości polityczne i wojskowe. I tym właśnie my się zajmujemy.

Magid był najwyraźniej zadowolony:

220

— Widzi pan — powiedział. — Tak naprawdę, to nie moja dziedzina, ale znam kogoś, kto może pana zainteresować. Mogę pana mu przedstawić, ale co ja z tego będę miał?

— No cóż, zwykle dajemy wynagrodzenie dla „znalazcy” plus procent od wszystkiego, co otrzymamy. Zależy to od wartości informacji, od tego, z jakich krajów pochodzą. Możemy rozmawiać i o kilku tysiącach dolarów i o setkach tysięcy.

— Jakie kraje was interesują? — spytał Magid.

— Obecnie szukamy informacji o Jordanii, Izraelu, Cyprze i Tajlandii.

— A o Syrii?

— Może. Będę musiał sprawdzić. Powiem panu. Wiele przecież zależy od potrzeb naszych klientów i od tego, z jakiego szczebla pochodzi informacja.

— Dobrze — powiedział Magid. — Niech pan sprawdzi. Mój facet

stoi bardzo wysoko w Syrii.

Postanowili spotkać się za dwa dni. Prowadzący chłodną grę Mark powiedział Magidowi, że w jakimś stopniu Syria może być interesująca.

Poprzedniego dnia Magid zatelefonował już do swego brata i powiedział, że znalazł dla niego coś ważnego i że powinien on przyspieszyć swój przyjazd do Kopenhagi. Jadid skwapliwie zgodził się.

Następnego dnia Jadid przyleciał do Kopenhagi. Mark spotkał się z braćmi w mieszkaniu Magida. Nie dał po sobie poznać, że zna stanowisko

Jadida, ale zadał kilka pytań, żeby ustalić, jakiego rodzaju informacji może od niego oczekiwać. Na tej podstawie chciał określić wysokość propozycji swojej kompanii. Mark mówił o sprawach wojskowych, ale przemieszał to z wieloma sprawami o innym charakterze, żeby ukryć swe właściwe zainteresowania. Po kilku spotkaniach poświęconych pertraktacjom, po których szedł raport do bezpiecznego domu, Mark zaoferował jednorazowo 30 tysięcy dolarów dla Magida jako dla „znalazcy”, 20 tysięcy dolarów miesięcznie dla Jadida i 10 procent, czyli 2 tysiące dolarów miesięcznie dla

Magida. Opłata za pierwszych sześć miesięcy miała być wypłacona z góry, a pieniądze umieszczone na koncie w banku kopenhaskim, które Mark miał otworzyć dla Jadida. Gdyby po tym czasie Jadid znów przyjechał z Syrii i miał więcej informacji, otrzymałby zapłatę za następnych sześć

miesiący itd.

Następnym krokiem było uczenie Jadida, jak pisać tajne listy przy użyciu specjalnego, odpowiednio chemicznie przygotowanego ołówka.

221

Miał on w ten sposób przysyłać informacje na odwrocie normalnych listów do brata.

Mark chciał dać Jadidowi materiały do pracy, które ten mógłby zabrać ze sobą do Syrii, a gdy Jadid odmówił, zgodził się sam przesłać to wszystko do Damaszku. W pewnym momencie Jadid zauważył:

— Rzeczywiście pracujecie jak agencja wywiadowcza.

— Oczywiście — odrzekł Mark. — Zatrudniamy nawet b. pracowników takich służb. Różnica polega na tym, że nam chodzi o robienie pieniędzy. Dzielimy się naszą wiedzą wyłącznie z ludźmi, którzy gotowi są za nią płacić i wykorzystują ją do celów inwestycyjnych.

Następnie Mark musiał przejrzeć z Jadidem listę pytań. Zawierała ona wiele spraw zupełnie ze sobą nie związanych, na przykład wartość nieruchomości i zmiany w instytucjach rządowych. Celem było takie

sporządzenie kwestionariusza, żeby nie przeważały w nim sprawy wojskowe. Po kilku próbach ze specjalnym ołówkiem i zapewnieniu, że zwrócić się do niego w Damaszku i poinformują, gdzie może odebrać spis pytań, wydawało się, że Jadid uznał, iż wszystko jest w porządku.

Przez cały czas ćwiczeń mosadowcy podejrzewali, iż obaj bracia wiedzą, że pracują dla Izraela, ale podtrzymywano zasady gry. Wspomniane podejrzania spowodowały tylko dalsze zaostrzenie środków bezpieczeństwa dla katsa.

Obietnica przekazania materiałów Jadidowi brzmiała dosyć prosto, jednakże pociągała ona za sobą wiele zawitych manewrów, aby wykluczyć wszelkie możliwości zdemaskowania.

Mosad posłużył się białym, czyli niearabskim agentem. W tym wypadku był to jeden z ich ulubionych kurierów, kanadyjski oficer sił ONZ stacjonowany w Naharia, miejscowości nadmorskiej w północnym Izraelu, w pobliżu strefy neutralnej, która dzieli Izrael od Syrii. Oficerowie ONZ mają prawo przekraczania granicy w dowolnym czasie. Kanadyjczyk otrzymał standardową opłatę, 500 dolarów, za podłożenie w określonym miejscu przy drodze do Damaszku, dokładnie pięć kroków od określonego słupa kilometrowego wydrążonego kamienia z papierami.

Gdy Kanadyjczyk bezpiecznie wrócił przez granicę, funkcjonariusz Mosadu z drugiej strony zabrał kamień do swego pokoju hotelowego, oddzielił zamknięcie otworu, wyjął kwestionariusz, ołówek i część pieniędzy Jadida i cały ten ładunek nadał jako paczkę na pocztę. Zabrał dowód nadania i poleciał do Włoch. Stamtąd posłał dowód ekspresem do centrali

222

Mosadu w Tel Awiwie. Tam włożono go do koperty i przesłano do

Magida, który wysłał go do brata.

W ten sposób bez wzbudzania podejrzeń kwit dotarł do Jadida jako normalny list od brata. Wkrótce, gdy Jadid dokładnie przestudiował kwestionariusz listy, zaczął wysyłać informacje Izraelczykom o wszystkim, czego chcieli się dowiedzieć.

System ten działał dobrze około pięciu miesięcy. Mosad był przekonany, że na długo ma nieświadomego współnika na wysokim stanowisku.

Ale

jak to się często zdarza w profesji wywiadowczej, nagle wszystko się zmieniło.

Syryjczycy wprawdzie nie mieli pojęcia o tym, że Jadid był izraelskim szpiegiem, ale coraz większą ich podejrzliwość wywoływało jego

zaangażo-

wanie w handel pornografią i narkotykami. Postanowili go sprawdzić. Syryjska policja miała go aresztować, gdy będzie wyjeżdżał do kilku krajów

europiejskich jako członek zespołu kontrolerów wydatków na operacje wojskowe w kilku ambasadach syryjskich. Przypuszczano, że zabierze przesyłkę heroiny z Libanu.

Ironia losu sprawiła, że Jadida uratowała od wpadki zachłanność innego Syryjczyka — zastępcy attache wojskowego w ambasadzie Syrii w Londynie, nazwiskiem Haled. Był on już wcześniej zwerbowany przez Mosad i sprzedawał Izraelczykom szyfr ambasady, który zmieniał się co miesiąc. Dzięki temu mosadowcy mogli odczytywać wszystkie wchodzące i wychodzące depesze ambasad syryjskich na całym świecie.

Z jednej z tych depesz dowiedzieli się, że Jadid miał wejść do zespołu kontrolerów. Ale inna depesza wysłana z Damaszku do Bejrutu informowała, że Jadid zostanie aresztowany pod zarzutem przemytu. Depesza kryła w sobie poważne niebezpieczeństwa zarówno dla Jadida, jak i dla Haleda.

Mosad musiał więc ostrzec Jadida. Ponieważ pozostawały tylko trzy dni do zamierzonego aresztowania, wysłano funkcjonariusza udającego angielskiego turystę, który zatelefonował z hotelu do Jadida i poinformował go, że nastąpiły komplikacje i że nie powinien iść na umówione spotkanie z handlarzami ani przyjmować przesyłki. Zostanie mu ona

przekazana w Holandii, gdy tam dotrze w toku swej podróży.

Gdy handlarze przybyli na miejsce spotkania, policja, która ich śledziła, dokonała wielu aresztowań. Teraz poszukiwali Jadida również handlarze narkotyków, którzy oczywiście uważali, że to on ich wkopał.

223

Jadid niczego o tym wszystkim nie wiedział. Ale gdy przybył do Holandii i nikt się do niego nie zgłosił z „towarem”, zatelefonował do Syrii, żeby dowiedzieć się, co się stało. Otrzymał informację, że podejrzewają go zarówno władze, jak i handlarze narkotyków i że zrobi najlepiej, jeśli nie wróci do kraju. Wówczas, po wyciągnięciu z niego wszelkich informacji, jakie jeszcze posiadał, a było ich niemało, Mosad spreparował mu nową osobowość i ulokował w Danii, gdzie dotąd mieszka.

Sprawa Haleda w Londynie miała odmienny charakter. Gdy kontrolerzy przyjeżdżają, nakazują odcięcie kontrolowanej ambasady wykluczając wszelką łączność z innymi ambasadami. Trwa to tak długo, póki nie skończą pracy i nie pozwolą na przywrócenie łączności. Podobnie jak w większości krajów, syryjski pion wojskowy prowadził działania odrębne od pionu dyplomatycznego. Jako pomocnik attache wojskowego Haled miał swobodny dostęp do kasy wojskowej. Wykorzystał to uprawnienie do „pożyczenia” sobie 15 tysięcy dolarów na zakup nowego samochodu. Liczył na zwrócenie „pożyczki” ze swego comiesięcznego przekazu od

Ylosadu, ale nie przewidział nagłej kontroli.

Na szczęście dla Haleda Mosad wiedział o kontroli. Dla ubezpieczenia się jego katsa zatelefonował na jego bezpośredni numer w ambasadzie używając swego normalnego pseudonimu i zażądał spotkania. Haled wiedział, że taki sygnał oznaczał spotkanie w określonej godzinie w umówionej restauracji (systematycznie zmienianej dla uniknięcia zdemaskowania). Wiedział, że musi tam czekać 15 minut. Gdyby katsa nie pojawił się tam w tym czasie, miał zatelefonować pod określony numer. Jeśli nikt nie przyjmował telefonu, znaczyło, że ma pójść w inne z góry ustalone miejsce

spotkania, którym prawie zawsze była restauracja. Jeżeli natomiast Haled był śledzony albo istniały jakieś inne powody, by unikać obu miejsc, to katsa miał przyjąć telefon i dać mu nowe instrukcje.

Tym razem nie było komplikacji nawet z pierwszą restauracją. Katsa spotkał się z Haledem i powiedział, że następnego dnia przyjeżdża grupa kontrolerów. Wyszedł, gdy Haled powiedział mu, że nie ma się o co martwić. Może rzeczywiście tak myślał...

Po godzinie, kiedy katsa pisał raport w bezpiecznym domu, Haled zadzwonił pod specjalny numer, który otrzymał dla celów łączności. Nie wiedział, że dzwoni do gmachu ambasady izraelskiej (każda ambasada miała kilka zastrzeżonych numerów). Jego wezwanie szyfrowe brzmiało

mniej więcej tak: „Michael dzwoni do Alberta”. Odbiorca telefonu wpuścił szyfr do komputera i okazało się, że jest to prośba o nagłe spotkanie.

W ciągu trzech lat, w czasie których pułkownik Haled pobierał swe uposażenie z Mosadu, nie korzystał on nigdy z szyfru alarmowego.

Według

izraelskich raportów psychologicznych był to człowiek niezwykle opanowany. Najwyraźniej coś było nie w porządku.

Ponieważ wiadano, że katsa Haleda jest jeszcze w bezpiecznym domu, wysłano do niego bodela. Ten ostatni upewniwszy się, że nikt go nie

śledzi, zatelefonował do bezpiecznego domu z zaszyfrowaną informacją w rodzaju: „spotkam się z tobą u Jacka za 15 minut”. Owo „u Jacka” mógł to być na przykład z góry umówiony, ogólnie dostępny telefon.

Katsa natychmiast wyszedł z bezpiecznego domu i po odpowiednim spacerze dla upewnienia się, że nie jest śledzony, poszedł do wskazanego telefonu, skąd zadzwonił do bodela. Ten podał mu szyfrem, że Haled chce się z nim spotkać w określonej restauracji.

W tym samym czasie dwaj katsa odbywający służbę wyszli z ambasady, odbyli swoją przechadzkę i udali się do restauracji, żeby upewnić się, że

jest „czysta”. Jeden wszedł do wnętrza, a drugi udał się na ustalone z góry miejsce, żeby katsa Haleda mógł się z nim spotkać i dowiedzieć się, co się

stało. Ponieważ Haled był Syryjczykiem, a Mosad nie znał jeszcze powodu

wezwania, uważano, że spotkanie może być niebezpieczne. Przecież zaledwie przed godziną wydawało się, że wszystko jest w porządku.

Katsa Haleda rozmówił się z człowiekiem stojącym na zewnątrz, po czym zadzwonił do restauracji i posługując się pseudonimem Haleda poprosił o przywołanie go do telefonu i polecił mu przejść na spotkanie do innej restauracji. Katsa, który był w restauracji, upewnił się, że przed opuszczeniem lokalu Haled do nikogo nie telefonował.

Normalnie taka operacja nie należała do katsa będących na służbie. Ponieważ było to spotkanie alarmowe, użyto jednak „systemu pracy stacji”, co po prostu oznacza, że zadanie wykonują katsa ze stacji.

Gdy obaj się wreszcie spotkali, Haled był blady i drżący. Był tak przerażony, że zanieczyścił spodnie i przeraźliwie śmierdział!

— Co się stało — spytał — dopierośmy się widzieli i wszystko było w porządku.

— Nie wiem, co mam robić! Nie wiem, co mam robić!

— Dlaczego? Uspokój się pan. Co się stało?

— Zabiją mnie. Jestem trupem.

— Kto? Dlaczego?

15 Wyznania szpiega

225

— Ryzykowałem dla was życiem. Musicie mi pomóc.

— Pomożemy. Ale o co chodzi?

— O mój samochód. O pieniądze na mój samochód — powiedział.

— Czyś pan zwariował? Wzywa mnie pan w środku nocy, bo chce pan kupić samochód?

— Nie! Nie! Ja mam samochód!

— No to co jest z tym samochodem?

— Nic. Ale wziąłem pieniądze na samochód z kasy ambasady.

Powiedział mi pan, że będzie kontrola. Jutro rano pójdę do pracy i oni mnie zabiją.

Przedtem Haled się nie martwił, gdyż miał bogatego przyjaciela, który

dawniej wyciągał go z chwilowych tarapatów. Miał zamiar pożyczyć pieniądze tylko na kilka dni, jak długo kontrolerzy będą pozostawali w ambasadzie. Po ich wyjeździe mógł znów wyjąć pieniądze, zwrócić dług przyjacielowi, po czym stopniowo wyrównywać pożyczkę czerpiąc ze swych dochodów z Mosadu. Ale okazało się, że przyjaciel Haleda wyjechał z Londynu. Pułkownik nie miał więc żadnej możliwości zdobycia w ciągu nocy tak dużej sumy i umieszczenia jej w kasie ambasady. Oświadczył katsa, że prosi o zaliczkę.

— Spłacę ją w ciągu sześciu miesięcy. To wszystko, o co proszę.

— Załatwimy to. Proszę się nie martwić. Ale przedtem muszę z kimś porozmawiać.

Zanim, katsa wyszedł z Haledem, zatelefonował do swego kolegi i przekazał mu zaszyfrowane polecenie, aby szybko udał się do niedalekiego hotelu i zamówił pokój na uzgodnione uprzednio nazwisko. W hotelu katsa wysłał Haleda do łazienki, by się umył. W tym czasie w związku z alarmem bezpieczny dom przeszedł na „światło dzienne”. Katsa Haleda zatelefonował do szefa stacji referując w ogólnych zarysach sprawę i prosząc o 15 tysięcy dolarów gotówką. W zasadzie wszystko, co przekraczało 10 tysięcy dolarów, musiało być załatwiane poprzez Tel Awiw, ale w stanie alarmowym szef stacji zatwierdził prośbę. Oświadczył mu, że spotka go za 90 minut i dodał: „jeśli się nie uda, skupi się to na

twoim
tyłku".

Szef stacji znał sayana, który prowadził kasyno gry i zawsze miał pod ręką poważne sumy gotówką. Korzystano już dawniej z jego usług i na ogół zwracano dług następnego dnia. Pożyczył więc potrzebną sumę. Co więcej, dodał 3 tysiące dolarów, mówiąc „może będą wam potrzebne.

226

W tym samym czasie zastępca szefa stacji spotkał się przypadkowo z katesa imieniem Barda, który bawił Londynie w innej sprawie. Barda przygotowywał się do operacji, w ramach której trzeba się było włamać do ambasady syryjskiej. Udając oficera Scotland Yardu zwerbował więc dwóch nocnych strażników ambasady.

Gdy już zdobyto pieniądze, trzeba było umieścić je z powrotem w kasie przed nadejściem ranka. Miał to zrobić Haled, który znał szyfr kasy pancерnej, a jednocześnie, gdyby go zobaczono w nocy w ambasadzie, mógł wymyśleć jakieś tłumaczenie.

Ze swej strony Barda umówił się oddzielnie z każdym ze strażników, i to w różnych restauracjach, tak że każdy sądził, iż drugi pozostaje na

służbie. W ten sposób droga do zwrotu pieniędzy stała przed Haledem otworem.

Gdy już wrócili do hotelu, katsa powiedział Haledowi, że pieniądze nie były zaliczką, ale pożyczką i że w ciągu piętnastu miesięcy będzie się potrącało po tysiąc dolarów miesięcznie z jego przekazów. Uważano, że jeśli otrzyma całą sumę z góry, nie będzie miał bodźców do współpracy.

„Jeśli przyniesie pan coś specjalnego, dostanie pan podwójną premię, tak że będzie pan mógł szybciej spłacić dług — rzekł mu katsa — ale jeśli znów pan zrobi coś nielegalnego w ambasadzie, zabiję pana”.

Zdaje się, że od tego czasu Haled nie „pożyczał” z kasy ani pensa. Najwidoczniej uwierzył agentowi. I dobrze zrobił.

Rozdział XIII

Pomoc dla Arafata

Rok 1981 był to rok obfity w wydarzenia. Tego samego dnia, w którym Ronald Reagan zaprzysiężony został jako prezydent Stanów Zjednoczonych, Iran zwolnił więzionych od 444 dni 52 zakładników amerykańskich. 30 marca John Hinckley postrzelił Reagana. W Polsce bohater „Solidarności”, Lech Wałęsa, dążył do wolności. Dążenie to miało w końcu dekady pomóc w zapoczątkowaniu olbrzymich przemian politycznych w Europie Wschodniej. W Londynie w piękny poranek 29 lipca

książę Karol i lady Diana Spencer podbili swym transmitowanym na cały świat ślubem serca romantyków i entuzjastów monarchii. W Hiszpanii terroryści baskijski wydali walną bitwę władzom, zaś w Waszyngtonie rozlegały się żądania dymisji dyrektora CIA, Williama Caseya, za popieranie nieudanych, potajemnych prób zamordowania mocnego człowieka Libii, Muammara Kadafiego, oraz za mianowanie swego politycznego przyjaciela, Maxa Hugela, szefem tajnych operacji CIA, mimo że Hugel

nie miał żadnych kwalifikacji na to stanowisko. 14 lipca Hugel został zmuszony do podania się do dymisji, gdy dwóch jego byłych współpracowników oskarżyło go o nielegalne manipulacje na giełdzie.

Również w Izraelu był ten rok — nawet jak normy tego kraju — burzliwy. W 1980 r. stopa inflacji osiągnęła 200 proc. i nadal rosła tak szybko, że według popularnego dowcipu można było kupić biały ser, na którego opakowaniu widniała sześciokrotnie zmieniana wzwyż cena, a ser był świeży. To się nazywa inflacja!

Sześćdziesięciosiedmioletni premier Menahem Begin i jego rządząca partia Likud stali w obliczu poważnego wyzwania ze strony 57-letniego Szimona Peresajego Partii Pracy. Sytuację dodatkowo komplikował fakt, że jeden z ministrów Begin, Abu Hatsrea, został przyłapany na przekupst-

zakończyły się patem — 48:48, ale Begin zdołał zdobyć poparcie kilku drobnych partii i stworzyć minimalną większość: 61 głosów w 120-osobowych Knesecie.

Na krótko przed tym, 7 czerwca, Izrael wywołał gniew Stanów Zjednoczonych, .gdy zaatakował i zniszczył irackie zakłady jądrowe*). Amerykanie nałożyli tymczasowe embargo na wysyłkę samolotów F 16 do Izraela, a nawet poparli rezolucję ONZ potępiającą napaść. Izrael nasilił również ataki w Libanie, zaś w pewnym momencie, w końcu lipca, wydawało się, że zmierza do otwartej wojny z Syrią. Emerytowany zawodowy dyplomata pochodzenia libańskiego, Philip Habib, wędrował jako amerykański specjalny wysłannik po Bliskim Wschodzie, usiłując wynegocjować plan pokojowego rozwiązania. W lipcu wysłano do Begina doradcę amerykańskiego Departamentu Stanu, Roberta Mc Farlane'a. Próbował on wpłynąć na premiera, by powściągnął swoją machinę wojenną.

Wszystko to nie było złe dla Mosadu. Jedyne, czego mosadowcy nie chcieli, to żeby nagle zapanował wszędzie pokój. Podejmowali więc różne działania, aby zapobiec poważnym pertraktacjom. Oto jeszcze jeden przykład, jak niebezpiecznie jest posiadać tego rodzaju organizację, która nie jest przed nikim odpowiedzialna.

Również dla Jassera Arafata i jego OWP nie był to spokojny rok.

W 1974 roku Arafat potępił akty terrorystyczne dokonywane przez jego organizację poza granicami Izraela, szczególnie w Europie. Wprawdzie

palestyńska działalność terrorystyczna była w Europie kontynuowana, ale prowadziły ją przeróżne frakcje znajdujące się w opozycji do Arafata. Oczywiście poza terytoriami okupowanymi Arafat nie jest w ruchu palestyńskim aż tak potężny. Siła jego wyrasta z Zachodniego Brzegu Jordanu i z okręgu Gazy, gdzie cieszy się olbrzymią popularnością osobistą wśród wszystkich oprócz fundamentalistów muzułmańskich.

Jednym z największych problemów Arafata była Organizacja Czarne-
go Czerwca (OCC), którą kierował Sabri Al Banna, znany lepiej jako Abu
Nidal. Członkowie OCC, muzułmanie palestyńscy, są fanatykami
religijny-
mi, co sprawia, że są niebezpieczniej si od wielu innych frakcji. W końcu
lat
siedemdziesiątych wspólnymi siłami Syrii i chrześcijan libańskich
organiza-
cja ta została prawie całkowicie zniszczona. Ale Nidal, choć skazany na

*) Patrz prolog.

229

śmierć przez Arafata, przeżył. Każdy gwałtowny zgon Palestyńczyka, którego nie można było przypisać Izraelowi, przypinano Abu Nidalowi, uważanemu za Czarnego Piotrusia świata terrorystycznego.

Dokonana przez OCC próba zamordowania w 1982 roku ambasadora Izraela w Londynie, Shlomo Argove, posłużyła Izraelowi za pretekst do rozpętania pełnej wojny w Libanie. Begin nazywał ją wojną z wyboru, co miało znaczyć, że Izrael prowadził ją nie dlatego, że musiał —jak wszystkie poprzednie — lecz dlatego, że tak zdecydował. Może była to kiepska decyzja? Doszła tu m.in. do głosu demagogia Begin. Pozostaje jednak faktem, że po zamachu Argove żył co prawda, ale pozostał na zawsze nieuleczalnym kaleką. Winą obciążono Arafata, choć z tym akurat zamachem nie miał on nic wspólnego.

Przed sprawą Argove Izrael prowadził potajemne, nieoficjalne rokowania z OWP Arafata, usiłując skłonić ją do zaprzestania ostrzału terytorium Izraela przy pomocy stacjonowanych w południowym Libanie katusz produkcji radzieckiej. Porozumienie, które starano się przedstawić jako jednostronną decyzję OWP. W tym czasie Arafat odwiedzał różne kraje bloku wschodniego zabiegając o pomoc. Mosad wiedział, że chciałby on też zakupić w Europie dużą partię lekkiej broni i przewieźć ją do Libanu.

Powstaje pytanie — dlaczego? Przecież mógł po prostu udać się do Czechosłowacji i powiedzieć, że potrzebuje broni. Odpowiedziano by mu:

„podpisz tutaj” i przysłano wszystko, czego potrzebował. Zachowywał się więc tak, jak ktoś, kto mieszka obok źródła i wędruje pięć mil po wodę.

Jeśli

nie udowodni się, że ze źródła płynie słona woda, to postępowanie takie nie ma sensu.

Słoną wodą Arafata była licząca 20 tysięcy dobrze wyszkolonych ludzi Palestyńska Armia Wyzwoleńcza (PAW). Kierował nią brygadier Tariq Khadra, który w 1983 roku miał potępić Arafata jako przywódcę OWP i oficjalnie wycofać swoje poparcie dla niego. Armia ta była związana z Syrią. Stąd mosadowskie wyrażenie, że „Syryjczycy będą walczyli z Izraelem do ostatniego Palestyńczyka”.

Kraje bloku wschodniego zawsze chętnie zaopatrywały Palestyńczyków w broń. Jednak działały zawsze przez kanały oficjalne. Znaczyło to dla nich w 1981 roku, że jeżeli Arafat prosi o broń, to zostanie ona wysłana do PAW.

Przez dłuższy czas funkcjonowało to prawidłowo. Ale po masakrze monachijskiej w 1972 Arafat stworzył specjalny własny oddział bezpieczeństwa. W sztabie OWP w Bejrucie Arafat mógł komunikować się z tym

230

oddziałem pod telefonem nr 17. Dlatego cały oddział zaczęto nazywać jednostką 17. Liczyła ona w różnych okresach od 200 do 600 bojowników

z przeszkoleniem szturmowym, kierował nią zaś wówczas Abu Tayeb. Arafat opierał się też poważnie na swoim szefie bezpieczeństwa i wywiadu Abu Zajmie.

Dla Mosadu najważniejszym graczem był w tym wszystkim niejaki Durak Kasim, członek oddziału nr 17, kierowca i osobisty strażnik Arafata.

Kasim został zwerbowany na agenta Mosadu w 1977 roku, gdy studiował filozofię w Anglii. Był człowiekiem zachłannym. Prawie codziennie przekazywał informacje drogą radiową, a za każdą otrzymywał 2 tysiące dolarów. Zdarzało mu się też informować Mosad telefonicznie lub od czasu do czasu pocztą. Raz zjawił się nawet w „łodzi podwodnej”, podziemnej stacji Mosadu w Bejrucie, co było przejawem niezwyklej brawury, ale też stanowiło potężny szok dla kierownika tej placówki, który w ten sposób dowiedział się, że Kasim zna jej adres. W czasie oblężenia Bejrutu Kasim przebywał razem z Arafatem przekazując Mosadowi informacje bezpośrednio ze sztabu OWP.

Kasim był najbliższym, osobistym współpracownikiem Arafata. Był tym, który pomagał znajdować dla szefa chłopczyków. Homoseksualizm jest wprawdzie sprzeczny z wierzeniami muzułmanów, ale ze względu na ich sposób życia nie jest wcale zjawiskiem rzadkim. Nie traktuje się go też tak wrogo jak na Zachodzie. Zresztą Mosad nie miał żadnych dowodów na poparcie twierdzenia, że Arafat lubi nastoletnich chłopców. Nie dysponował ani fotografiami, ani niczym innym. Może była to po prostu jeszcze jedna próba dyskredytowania Arafata. Wielu innych przywódców arabs-

kich piętnowano opowiadając, jak to oni żyją ponad stan, pływając się w luksusach. Ale o Arafacie nie dało się tego powiedzieć. On prowadzi naprawdę życie skromne, razem ze swym ludem. W czasie oblężenia Bejrutu miał wiele możliwości ucieczki, ale nie ruszył się z miejsca, póki nie zdołał wyprowadzić swych ludzi. Mosad nie może więc również głosić, że działa on z motywów samolubnych. Może użył historyjki o jego zamiłowaniu do chłopców jako namiastki.

W tym czasie prawicowcy z Mosadu uporczywie głosili, że Arafata należy zabić. Twierdzili, że w razie jego eliminacji Palestyńczycy zastąpią go kimś bardziej bojowym, kto będzie nie do przyjęcia dla Zachodu i dla lewicy izraelskiej. W ten sposób wykluczone zostanie

231

pokoju. Jedyną koncepcją osiągnięcia pokoju, jaka mieściła się w głowach mosadowców, było gwałtowne starcie, po którym nastąpiłaby bezwarunkowa kapitulacja Palestyńczyków.

Przeciwko zamordowaniu Arafata przemawiał argument, że jest on wśród swoich najmniej złym. To człowiek wykształcony, stanowi siłę jednoczącą Palestyńczyków, tak że jeśli rozmowy mają do czegoś doprowadzić, to jest kimś, z kim można będzie rozmawiać i kto będzie w

majestacie

prawa reprezentował Palestyńczyków. Ze źródeł wywiadowczych w Izraelu

zarówno ludzie Mosadu Jak i Shabacku wiedzą, jakkolwiek nie przekazują tej wiedzy swoim przełożonym, że Arafat jest wielce szanowanym, więcej, czczonym człowiekiem na terytoriach okupowanych.

W połowie 1986 r. dyskusja ta była już prawie zakończona. Prawicowcy zyskiwali przewagę. Wprawdzie Arafat stał się już zbyt ważną postacią publiczną, a Mosad nie miał pretekstu, żeby go dopaść, ale sprawa nie została zdjęta z porządku dnia. Gdy tylko będzie to wykonalne — zabiją go.

Innym ważnym graczem był wtedy Mostafa Did Khalil, znany jako Abu Taan — szef Palestyńskiego Dowództwa Walki Zbrojnej (PDWZ), grupy koordynacyjnej Arafata. Nazywano ją kiedyś Palestyńską Radą Koordynacyjną, ale gdy Arafat potępił w 1974 roku użycie siły poza Izraelem, wiele organizacji OWP przyjęło dla użytku wewnętrznego bardziej bojowe, pompatyczne nazwy, aby nikt nie podejrzewał ich, że „miękną”:

Jeszcze inna grupa, o której należy pamiętać, to kierowany przez Abdel Wahaba Kayyale Arabski Front Wyzwolenia (AFW). W grudniu 1981 r. przywódca jego został w Bejrucie zamordowany. Jego miejsce zajął dotychczasowy zastępca — Abdel Rahim Ahmad.

Wracając do naszego wątku, powtórzmy, że Arafat chciał otrzymać lekką broń dla rozbudowania jednostki nr 17. Wewnątrz OWP trwała nieunikniona walka o wpływy i Arafat uważał, że potrzebuje więcej własnej siły ogniowej. Kiedy zwrócił się jednak do szefa sztabu armii syryjskiej gen.

Khodrya, ten odrzucił jego żądanie. Powiedział Arafatowi, że nie powinien się martwić i zobowiązał się, że będzie go chronił. Ale Arafat martwił się nadal.

Właśnie dlatego, że Khodra kontrolował całe uzbrojenie wpływające do OWP z bloku wschodniego, wszelkie inne frakcje starały się otrzymać wschodnią broń za pośrednictwem innych krajów arabskich, takich jak Libia czy Irak.

232

17 stycznia 1981 r. Arafat poleciał do Berlina Wschodniego na spotkanie ze wschodnioniemieckim prezydentem Erichem Honeckerem. Wynegocjował przydział 50 „doradców” dla szkolenia ludzi OWP w Libanie. 26 stycznia Arafat ponownie spotkał się z przedstawicielami Niemiec wschodnich, tym razem w Bejrucie. Znowu prosił o broń. Starał się przy tym zawrzeć ciche porozumienie, że nie będzie ona przekazana poprzez Khodrę. Dzięki stałym informacjom Kasima Mosad wiedział, że Arafata

bardzo martwiły zarówno wewnętrzne problemy Palestyńczyków, jak i możliwy atak izraelski.

12 lutego Arafat spotkał się w Damaszku z przedstawicielami wietnamskimi i starał się zawrzeć z nimi transakcję. Ale oni proponowali tylko rakiety, podczas gdy jemu zależało na broni lekkiej. Trzy dni później udał się do Tyru w Libanie na spotkanie z szefami różnych frakcji OWP. Starał się ich przekonać, że powinni zaprzestać wzajemnego zwalczania się i skoncentrować wysiłki na prawdziwym wrogu, jakim jest Izrael. Arafat stawał się coraz bardziej nerwowy.

15 kwietnia w Damaszku miało się odbyć generalne zgromadzenie OWP. Dlatego jednego dnia, 11 marca, odbył aż trzy oddzielne spotkania z ambasadorami Węgier, Kuby i Bułgarii, ale żadnych konkretnych zobowiązań nie zdołał uzyskać.

Teraz i mosadowcy stawali się coraz bardziej nerwowi. Przypuszczali, że wreszcie Arafat zdobędzie swoje uzbrojenie. Ale prawdziwą zgorą były dla nich wypowiedzi przywódcy OWP, który wyraził chęć, by jego przedstawiciel spotkał się z dyplomatami izraelskimi i rozpoczął rokowania w sprawie powstrzymania napaści na Liban. Mosad, tak jak zwykle, znał wielką tajemnicę na długo przed tym, zanim dowiedział się o niej rząd Izraela.

12 marca Arafat spotkał się w Bejrucie w Naimem Khaderem, przedstawicielem OWP w Belgii i prosił go o wykorzystanie tamtejszych kontaktów z izraelskim MSZ, aby rozpocząć rokowania i uniknąć dalszego rozlewu krwi. Wiadomość ta bardzo zaniepokoiła Mosad. Mosadowcy uważali, że gdyby udało się wpłatać Izrael w pomoc dla libańskich chrześcijan, to można by było rozgromić tamtejszych Palestyńczyków. Ale gdyby rozpoczęto rozmowy, nie byłoby na to szans. Tak więc istniała prawdziwa podskórna walka między Mosadem i MSZ, choć MSZ tego nie wiedział. Właśnie wówczas, gdy dyplomaci dokładali wysiłków, żeby uniknąć wojny, Instytut starał się ze wszystkich sił doprowadzić do jej

233

wybuchu. Palestyńczycy szukali dojścia do dyplomatów izraelskich, a Mosad usiłował zablokować do nich drogę.

W tym czasie Mosad dowiedział się, że Arafat spróbuje skorzystać z usług Franfoisa Ganuda, wówczas 65-letniego bankiera genewskiego i finansowego oparcia Carlosa. Koncepcja Arafata przekazana Mosadowi przez Kasima polegała na tym, żeby zdobyć od Ganuda pieniądze na zakup broni w Niemczech (zachodnich). Miała w tym pomóc grupa zwana „Czarnym Blokiem”, odgałęzienie Frakcji Czerwonej Armii. Przysłani przez Honeckera niemieccy doradcy szkolili ludzi „Czarnego Bloku” w lutym w Libanie.

Mosad nie był zadowolony z widocznych postępów misji pokojowej amerykańskiego wysłannika Philipa Habiba, więc postanowił wciągnąć w sprawę CIA zapewniając, że OWP mówi o pokoju, ale jednocześnie przygotowuje się do wojny. Mosadowcy mieli nadzieję, że w ten sposób pokrzyżują inicjatywy pokojowe, a co najmniej poważnie je przyhamują. Begin starał się wówczas o ponowny wybór i nie miał pojęcia o planach Mosadu. Operacja wojskowa otrzymała już nawet swój kryptonim:

„Libańskie cedry”. Mosadowcy zaczęli pompować w łączników CIA odpowiednie informacje. Jednakże 30 marca, po tym, gdy John Hinckley próbował zamordować prezydenta Reagana, uwaga CIA skupiła się na tamtej sprawie i Mosad musiał wstrzymać tę część zamierzonej operacji,

10 kwietnia Arafat znów spotkał się we wschodnim Berlinie z Honeckerem. Następnego dnia był w Damaszku na XV sesji Rady Palestyńskiej.

15 maja Mosad skontaktował się z zachodnioniemiecką antyterrorystyczną jednostką GSG 9 (Grenzschutzgruppe), którą chcieli dla przyszłego użytku zapoznać z operacją.

1 czerwca, prawie trzy miesiące po owym spotkaniu z Arafatem, Naim Khader zatelefonował wczesnym rankiem ze swego mieszkania do bawiącego w Brukseli urzędnika izraelskiego MSZ i umówił się na spotkanie w dniu 3 czerwca, aby rozeznaczyć możliwości zapoczątkowania rozmów pokojowych. Gdy szedł potem do pracy, śniady osobnik ubrany w brązową

marynarkę i noszący cienki wąsik podszedł do Khadera, strzelił mu pięć razy w serce i raz w głowę, poszedł za róg, wsiadł do przejeżdżającej „taksówki” i znikł. Arafat jeszcze wtedy nie wiedział, że Mosad już uderzył.

Kasim donosił, że w tym czasie Arafat był niezmiernie podniecony. Nocami nie mógł spać. Szukał ochrony i naprawdę chciał doprowadzić do końca interes z bronią dla jednostki 17.

234

W początkach lipca odbyły się w Niemczech demonstracje przeciwko magazynowaniu tam amerykańskich rakiet. 9 lipca Arafat był w Belgradzie, nadal zabiegając o zdobycie broni. Mniej więcej w tym samym czasie

argentyński samolot lecący z Izraela z ładunkiem broni dla Iranu zderzył się w radzieckiej przestrzeni powietrznej z samolotem rosyjskim.

Ameryka-

nie, rozgniewani tym, że Izraelczycy sprzedają broń Iranowi, posłali Roberta McFarlane'a na spotkanie z Beginem. Spotkanie to zwiastowało początek afery Iran-Contras, która publicznie wybuchła kilka lat później*).

W tym samym czasie Syryjczycy wprowadzili do Libanu rakiety, przyspieszając tym wybuch kolejnego kryzysu, a mocny człowiek Libanu, Bashir Gemayel, ostrzegł Syrię, że może doprowadzić do otwartej wojny.

Nawiasem mówiąc, Syryjczycy zawsze przenoszą swe poparcie w Libanie z jednego ugrupowania na drugie, opierając się na tym, co sami nazywają „równowagą słabości”. Uważają, że jeśli którakolwiek frakcja wzmocni się, to powinni poprzeć inną grupę w zwalczaniu jej. W ten

sposób trzymając wszystkich w korbach sprawują pełną kontrolę nad sytuacją.

Mosad nadal starał się ugłaskać Amerykanów. Szef Mosadu, Yitzhak Hofi, polecił departamentowi ŁAP wykoncypować scenariusz, który by przekonał, że OWP dąży do wojny. Chodziło o to, aby uzasadnić przed Stanami Zjednoczonymi przejęcie południowego Libanu przez Izrael.

ŁAP sporządził fotografie wszystkich składów broni PAW gen. Khodry. PAW była jednostką armii syryjskiej, nic więc dziwnego, że dysponowała składami broni dla swego zaopatrzenia. Ale mimo że Mosad wiedział o rozpaczliwych wysiłkach Arafata, by uniknąć wojny, użyto tych zdjęć jako wygodnych dowodów, że PAW przygotowuje się do zaatakowania Izraela.

ŁAP przedstawiła również CIA zdobyte na OWP dokumenty zawierające plany ataków na północny Izrael. Istnienie takich planów ani nie jest czymś niezwykłym, ani nie musi koniecznie zapowiadać zbliżającego się natarcia. W każdej bazie wojskowej można znaleźć takie dokładne plany.

Natomiast czy OWP rzeczywiście zamierzała je zrealizować i czy w ogóle były to plany zatwierdzone, to już zupełnie inna sprawa. Oczywiście Mosad nie zamierzał dopuścić do tego, żeby tego rodzaju rozważania stały się przeszkodą na drodze realizacji jego własnych, złowrogich zamierzeń.

•*) Patrz rozdz. XVII.

235

Komunikaty prasowe i fotografie przygotowano, zanim jeszcze rozpoczęły się działania. Później miało już być zupełnie łatwo uzupełnić je dokumentacją, która uwiarygodniłaby „zagrożenie”, jakie rzekomo przygotowywali Palestyńczycy dla Izraela.

Na polecenie Arafata Abu Taan, szef jego jednostki koordynacyjnej PDWZ, wysłał dwóch ludzi do Frankfurtu, aby przygotować transakcję w sprawie broni. Odpowiedzialnym za to został major Juad Ahmed Hamid Aloony, który w 1969 roku ukończył akademię wojskową w Algierze, w latach 1978—79 przeszedł szkolenie polityczne w Chinach, a w 1980 roku ukończył szkołę wojskową na Węgrzech. Towarzyszył mu sierżant, Abd Airahaman Ahmed Hassim Aisharif, który w 1969 r. roku ukończył kubańską akademię wojskową oraz tę samą szkołę na Węgrzech, do której uczęszczał Aloony.

Mosad i niemiecka policja federalna nie były to instytucje zaprzyjaźnione. Ale przeszkoleni w Izraelu ludzie z GSG 9 byli bardzo uczynni, podobnie jak specjalna hamburska policyjna jednostka antyterrorystyczna, którą Mosad określał szyfrową nazwą „T u gani m”, czyli „frytki”.

Te „frytki” zaopatrywały ludzi Mosadu w dowody tożsamości zupełnie tak, jakby pracowali oni dla nich. Przecież to Mosad ich szkolił. Pomagali nawet przesłuchiwać Arabów.

Korzystając z uczynności „frytek” Mosad chciał przeprowadzić całą operację w Hamburgu. Stosunki Mosadu z niemieckim wywiadem federalnym były równie kiepskie, jak z policją federalną. Ale każdy kraj niemiecki ma własną policję i własny wywiad. Mosad utrzymuje więc bezpośrednie kontakty właśnie z nimi.

Mosad wiedział też, że Arafat zamierzał wciągnąć Isama Salema, lekarza, który był przedstawicielem OWP w Berlinie Wschodnim, do organizowania pożyczki na zakup broni dla jednostki 17 od szwajcarskiego bankiera Ganuda. Był już w pogotowiu na wypadek, gdyby OWP potrzebowała przejściowo pożyczki. Broń uważana jest na ogół za „gorący” towar. Nikt nie chce przetrzymywać jej długo. Często więc potrzebne są duże pożyczki, żeby szybko przeprowadzić transakcje.

W tym samym czasie Arafat postanowił sprowadzić z Libanu dużą

partię haszyszu. Grupa członków „Czarnego Bloku” w zamian za ich właśnie ukończone szkolenie w Libanie miała przewieźć i rozprowadzić go za gotówkę w europejskim półświatku. Następnie mieli przekazać tę gotówkę Isamowi Salemowi, ten zaś miał albo zapłacić za broń, albo zwrócić pieniądze Ganudowi, jeśli uprzednio zachodziła potrzeba finanso-

236

wania przejściowego. Arafat chciał też wykorzystać ludzi z „Czarnego Bloku” do przewiezienia broni z powrotem do Libanu.

Centrala Mosadu zgromadziła wszystkie te informacje poprzez Yahalomim („diamenty”), wydział opracowujący wiadomości od agentów. Z chwilą gdy agent udaje się do kraju docelowego, nie zajmuje się już nim jego katsa. Łączność między agentem a Mosadem kierowana jest wówczas poprzez centralę telawiwską.

Dysponując tymi informacjami szef Mosadu odbył naradę strategiczną z kierownikami tsometu, tevelu i Operacji Bezpieczeństwa. Mieli cztery główne cele: nie dopuścić do tego, by Arafat otrzymał broń, pokrzyżować zamierzone rokowania między OWP i izraelskim MSZ, przechwycić cały ładunek haszyszu i upłynnić go dla zdobycia gotówki, wreszcie przechwycić pożyczkę od Ganuda i zostawić OWP na lodzie. Poza oczywistymi korzyściami politycznymi i strategicznymi, jakie płyną z takiej operacji,

Mosad, który podobnie jak całe państwo Izrael miał w tym czasie poważne trudności finansowe, liczył, że w ten sposób zdobędzie dodatkowe źródło dochodu.

W maju 1981 r. wysłano do Hamburga grupę neviot dla przygotowania tej bardzo szerokiej, dotkliwej i szczególnie zawilej operacji. Grupa ta miała przede wszystkim znaleźć i przygotować bezpieczny magazyn w dzielnicy doków portowych. Przysłano specjalnego katsa ze stacji w Londynie, który miał kierować przygotowaniem do operacji.

Mniej więcej w tym samym czasie skierowano do Naima Khadera w Brukseli grupę z Metsadu, aby upewnić się, że nie prowadzi on poważnych rokowań pokojowych. Należało go wyłączyć z gry. Jak planowano to uderzenie — można tylko domyślać się, ale przeprowadzono je tak, że autorstwo Mosadu jest bezsporne: prosto, szybko i całkowicie. Na ulicy, w pełnym świetle dnia. Im więcej świadków, tym lepiej. Jedyne, co pozostało jako wizytówka, to kilka łusek po nabojach bez znaków fabrycznych i trup.

Morderca użył prawdopodobnie pistoletu z dziewięcioma pociskami, z których tylko sześć przeznaczonych było dla ofiary. Każdy, kto próbowałby zatrzymać zamachowca od momentu, w którym zaatakowany upadł, do momentu, w którym morderca wsiadł do samochodu, poszedłby w ślady człowieka leżącego już na trotuarze.

Zamach został zainscenizowany jednak tak, że nie tylko w oczach postronnych, ale nawet dla Arafata i dla izraelskiego MSZ odpowiedzialność miała spaść na Abu Nidala z OCC. Nic też dziwnego, że wkrótce po zamordowaniu Khadera w światowych środkach przekazu zaczęły pojawiać się artykuły określające Nidala jako najniebezpieczniejszego i najbardziej poszukiwanego terrorystę na świecie.

Pięciosobową grupą w Hamburgu kierował Mousa M., mosadowiec względnie świeżej daty. Przyszedł do Instytutu z Shabacku. W przeszłości działał w jednostce 504. W tym drugim co do wielkości mieście Niemiec zachodnią grupą zamieszkała w ekskluzywnym hotelu Atlantic-Kempinski, nad jeziorem Alster.

Dwa są powody, dla których mosadowcy bardzo lubią Hamburg.

Pierwszy to dobra współpraca z miejscowym wywiadem i policją antyterror-

ystyczną. Drugi — to wyuzdane pokazy erotyczne na żywo i dzielnice rozpusty, w których dziwki prezentują swe wdzięki w oknach, a nawet nago

spacerują po ulicach. To oczywiście zajęcia na wieczory. W ciągu dnia grupa trudziła się w hamburskich dokach na południowym brzegu Łaby szukając nie rzucających się w oczy magazynów ze względnie łatwym dostępem, z których można było przeprowadzać obserwacje i wykonywać

zdjęcia, pozostając niewidocznym.

Był to moment, w którym Arafat nie zawarł jeszcze swej transakcji. Zajęcie ich nie było więc bardzo absorbujące. Toteż Mousa, który sam unikał pokazów pornograficznych i dziwek, postanowił zabawić się trochę kosztem jednego z swych ludzi. Właściwa operacja jeszcze się nie zaczęła. Nie prowadzono więc normalnych działań zabezpieczających. Mousa bez trudu poszedł za upatrzonym członkiem grupy do hotelu, w którym ten spotykał się z luksusową dziewczką. Gdy mężczyzna poszedł do toalety, Mousa sfotografował stojącą przy barze dziewczynę i wyszedł.

Następnego

wieczoru mosadowiec znów spotkał się z tą samą dziewczyną i spędził z nią większą część nocy.

Gdy następnego dnia przybył na odprawę do pokoju hotelowego Mousy, byli już tam wszyscy inni członkowie grupy. Palili papierosy i mieli bardzo zatroskany wygląd. W powietrzu wyczuwało się napięcie.

— Co się stało? — spytał nowo przybyły.

— Sytuacja jest alarmowa — odrzekł Mousa. — Mu. my przeczesać miasto. Centrala zawiadomiła nas, że radziecki agent występujący jako dziwka skontaktował się z kimś z mosadowców. Musimy ją znaleźć

r

i przesłuchać oraz dopaść tego faceta i odesłać go do Izraela, a tam już oskarżą sukinsyna o zdradę.

Nowo przybyły był ciągle jeszcze zmęczony i przepity, ale nie miał też powodów do zmartwienia. Kiedy Mousa pokazał wszystkim fotografię tej „agentki radzieckiej”, człowiek zbladł jak płótno.

— Czy mogę chwilę z tobą porozmawiać? — wymamrotał.

— Oczywiście. O co chodzi?

— Ale na osobności.

— Dobra.

— Czy jesteś pewien, że to ta agentka?

— Tak. A dlaczego?

— Kiedy widziano ją z tym facetem?

— O ile mi wiadomo, to w tym tygodniu — rzekł Mousa. — Nie-

jeden raz.

Potrwało jeszcze kilka minut, zanim człowiek ostatecznie wyznał, że on właśnie był z tą dziwką. Zapewniał jednak, że nie powiedział jej niczego

i że ona go o nic nie pytała. Błagał Mousę, żeby mu uwierzył i pomógł. Po jakimś czasie Mousa popatrzył mu prosto w oczy i zaczął się śmiać.

Taki był Mousa. Zawsze trzymał coś w zanadrzu. Trzeba było tylko mieć nadzieję, że nie zrobi balona akurat z ciebie.

Wreszcie grupa znalazła odpowiedni magazyn i Mousa zawiadomił o tym londyńskiego katsa, dodając: „Lepiej załatwić to szybko, żebym mógł zabrać stąd moich chłopców, zanim złapią jakąś chorobę”.

*

Za pośrednictwem saudyjskiego miliardera Adnana Khashogiego,

który został zwerbowany na agenta*), Mosad poznał innego Saudyjczyka, legalnego europejskiego handlarza bronią. Miał on prawo dostarczać różnego rodzaju uzbrojenie na prywatny rynek europejski. Plan przewidywał skłonienie przyjaciela Khashogiego, aby dostarczył broni produkcji amerykańskiej potrzebnej do wykonania zamówienia Arafata. Oczywiście miano ją przedstawić jako wykradzioną z różnych magazynów z europejskich baz wojskowych.

W tym czasie katsa Mosadu, Daniel Aitan, występujący pod nazwiskiem Harry Stoler, skontaktował się z przedstawicielem Arafata w Berlinie Wschodnim, Isamem Salemem. Wprawdzie Arafat jeszcze nie prosił

*) Patrz rozdz. XVII.

239

o zdobycie broni, ale dzięki bieżącym informacjom Kasima, Mosad wiedział, że wkrótce to uczyni i postanowił go wyprzedzić.

Niemieckojęzyczny Aitan, osobnik energiczny i zdecydowany, przedstawił się Salemowi jako Harry StoFer, kupiec, który zajmował się — jak to określił — „wszelkiego rodzaju wyposażeniem i materiałami”. Zapewniał Salema, że może zagwarantować dogodne ceny i bezpieczne dostawy. Stoler powiedział też Salemowi, że jakkolwiek unika mieszania się do polityki, to jednak uważa sprawę palestyńską za słuszną i ma nadzieję, że ona zwycięży.

Umówili się na następne spotkanie. Wprawdzie Salem należał do OWP i w związku z tym uważany był za niebezpiecznego, ale Mosad wiedział, że nie jest on związany z działalnością terrorystyczną w Europie. Bezpieczeństwo osobiste katsa nie było więc zagrożone, za to Salem całkowicie wpadł w pułapkę.

Przy następnym dyskretnym spotkaniu w cztery oczy Stoler wspom-
niał, że od czasu do czasu dowiadywał się o „przypadkowym
wyposażeniu”

z baz amerykańskich w Niemczech — które nie mogło długo pozostawać
w obrocie. Powiedział, że jeśli to interesuje Salema, może również przyjąć
zamówienia na takie „dostawy tylnymi drzwiami”.

Jednocześnie zapewnił GSG-9, że śledzi „Czarny Blok” i poinformuje
Niemców, gdzie i kiedy będą mogli ich nakryć tak, żeby zdobyć
jednocześnie-

nie jak najwięcej dowodów pozwalających ich unieszkodliwić.

Zgodnie z tym, co wiedział już Mosad, Arafat przekazał wreszcie swe
zapotrzebowanie Salemowi w Berlinie Wschodnim. Ludzie szefa PDWZ,
Abu Taana, mjr Aloony i sierż. Aisharif, doręczyli osobiście Salemowi spis
wyposażenia potrzebnego dla jednostki 17 z poleceniem, żeby transakcja
zawarta była z zachowaniem szczególnej tajemnicy, żeby wyposażenie
było

produkcji zachodniej i żeby dwaj wysłannicy Arafata działali w bezpośred-
nim porozumieniu z Abu Taanem. Polecono Salemowi skontaktować się
z przyjaciółmi OWP we Frakcji Czerwonej Armii (w „Czarnym Bloku”)
albo z jakimkolwiek innym dostępnym i znanym im ugrupowaniem, aby
załatwić tę transakcję dla Arafata. „Jako zapłatę przyślemy najwyższego
gatunku tytoń. Jeśli zajdzie potrzeba przejściowego finansowania, można
je uzyskać przez Abu Taana” — stwierdziło polecenie. — „Osoby

przekazujące ten list są w tej dziedzinie nowicjuszami, można więc używać ich jako pośredników. Dlatego oddani są pod twoją komendę".

240

Gdy Salem otrzymał tę wiadomość, zwrócił się oczywiście do Harry'ego Stolera, vel Daniela Altana, powiedział, że transakcja ma być załatwiona szybko i dyskretnie i że przyśle przedstawiciela (Aloony'ego) z listą potrzebnych przedmiotów. Zapytywał, ile potrwa wykonanie zamówienia i wysłanie go.

Dotąd Mosad zamierzał przywłaszczyć sobie poprzez chytre manipulacje całe pieniądze OWP i jej haszysz. Ale nowa informacja od Kasima wskazywała, że Arafat ma też plan rezerwowy.

Gdyby Salemowi miało się nie powieść, zamierzał przekazać podobne zamówienie na broń przedstawicielowi OWP w Wiedniu Ghazi Hussejnowi.

Wysłano więc inną grupę do Wiednia, aby dopilnować Hussejna. Wiedeń był dla Mosadu wrażliwym punktem. Była to ważna stacja przerzutowa dla

Żydów rosyjskich w drodze do Izraela. Stosunki izraelsko-austriackie były też w tym czasie bardzo serdeczne, ale Mosad nie miał tam z kim rozmawiać. Austriacy traktowali poważnie swoją neutralność. W praktyce w ogóle nie mieli służby bezpieczeństwa.

Haszysz, który mieli przewozić terroryści z „Czarnego Bloku”, był jak zwykle pakowany w tzw. zelówki. Paczki przypominające zelówki butów. Postanowiono wysłać je statkiem z Libanu do Grecji, gdzie „Czarny Blok” wykorzystując swe kontakty na cle miał przeładować je do samochodów. Każdy z 25—30 europejskich terrorystów miał wziąć część ładunku do swojej maszyny i przewieźć go do składu we Frankfurcie. Kierownik grupy miał zająć się sprzedażą haszyszu i kontaktami z Salemem. Jednakże Mosad porozumiał się z GSG-9 i kierownik ten został aresztowany pod spreparowanym zarzutem działalności dywersyjnej przeciwko bazom amerykańskim. Niemcom nie powiedziano niczego o haszyszu. Natomiast gdy dokonali już aresztowania, Mosad uzyskał pozwolenie na przesłuchanie zatrzymanego. Mówiący po niemiecku mosadowiec, który udawał pracownika niemieckiej służby bezpieczeństwa, zaproponował aresztowanemu „interes” i w ten sposób wy dobył od niego nazwisko jego zastępcy. Następnie uzgodniono z Niemcami, że do chwili gdy „interes” zostanie w pełni zrealizowany, będą trzymać tego człowieka w izolacji.

„Wiem o narkotykach — powiedział mosadowiec więźniowi. — Jeśli nie powiesz mi, z kim to załatwić, spędzisz tu resztę życia. Nie za działalność wywrotową, ale za haszysz”.

Ze zdobytym w ten sposób spisem i zamówieniem Arafata mosadowcy udali się do saudyjskiego przyjaciela Khashogiego, aby je zrealizować.

Aloony — wojskowy — miał powiedziane, że odpowiada za sprawdzenie zakupu i upewnienie się, że zostaje odprawiony do Libanu.

Broń przewieziono ciężarówką do Hamburga. Mosad nie powiadomił o tym Niemców, ale na wypadek gdyby ich przypadkiem zatrzymali, miał gotowe tłumaczenie.

Tymczasem Stoler uzgadniał z Salemem adres w Bejrucie, pod który należało wysłać broń. Był to z jego strony strzał w ciemno. W owym momencie Mosad nie zakładał, że operacja dojdzie do etapu przewozu. Stoler powiedział jednak Salemowi, że przesyłka wymaga jakiegoś kamuflażu, bo musi przejść przez libańskie cło. W tych sprawach mądrze jest przygotować dla transakcji pozory legalności. Salem oświadczył, że ma w Bejrucie krewnego, który może udostępnić mu swój adres. Zajmował się handlem rodzynekami.

— Rodzynki z Niemiec? — zawołał Stoler. — Czy to nie brzmi tak, jak przywozić strudel z jabłkami z Senegalu?

— Niezupełnie. Prowadzi się eksport pakowanych rodzynek i innych suszonych owoców, które sprowadza się masowymi przesyłkami do Niemiec, a następnie wysyła z powrotem opakowane, i to po niższych

cenach, niż może zaoferować Turcja lub Grecja.

Stoler poprosił więc Salema, aby zdobył „legalne” zamówienie na rodzinę. „Wtedy — powiedział — puszcę sprawę w ruch”.

Rozmowa miała służyć temu, żeby Salem sam obmyślał możliwie dużą część planu i nie zauważył, że jest zdalnie sterowany. Następnie Stoler powiedział, że nie udaje mu się zdobyć statku, ale Salem uspokoił go, że to nie sprawi trudności, gdyż wyślą swój towar przesyłką kontenerową, czyli po prostu do jakiegokolwiek przesyłki do Libanu dołączy się o jeden kontener więcej.

W tym samym czasie łącznik Mosadu przekazał instrukcję innemu katas, który miał nawiązać kontakt z zastępcą aresztowanego. Powiedział mu, że poprzez posiadane kontakty jego zatrzymany kolega otrzymał w więzieniu wiadomość, iż plany uległy zmianie. Zamiast sprzedawać haszysz, wymieni się go bezpośrednio na broń.

Zbliżał się termin operacji. Mosad zamówił już broń i wiadano, że Salem będzie musiał zdobyć pieniądze za pośrednictwem Abu Taana, gdyż nie mógł ich otrzymać za haszysz. Tę część operacji kontrolował Mosad. Salem nie bardzo się martwił. Wiedział, że może zdobyć przejściową pożyczkę i uważał, że po sprzedaży haszyszu będzie mógł ją spłacić. Ponadto Mosad obiecał „Czarnemu Blokowi” kilka rakiet. Miał zamiar

przekazać atrapy wykonane z plastiku, doskonale imitujące prawdziwe rakiety, ale puste w środku.

Tak więc w Hamburgu i we Frankfurcie sprawy układały się pięknie. Natomiast pozostawał nie rozwiązany problem Ghazi Hussejna w Wiedniu. Na szczęście porozumiał się on z Salemem, gdy otrzymał zamówienie Arafata. Jakkolwiek nigdy nie przyznałby się do tego Arafatowi, powiadomił Salema, że w tej dziedzinie nie ma żadnych kontaktów. Salem podał mu, że zna kogoś, kto mógłby pomóc. Obaj wiedzieli, że nie powinni utrzymywać łączności w tej sprawie. Ale cóż mogli zrobić?

*

Ludzie z bezpieczeństwa Mosadu rwali sobie włosy z głowy. Oto toczyła się wielka operacja przeciw zawsze zdradzieckiej OWP i działo się to bez żadnego zabezpieczenia. Jednakże w istniejących warunkach jedyne, co mogli zrobić, to spotykać się na otwartych podwórzach lub w kawiarniach i unikać spotkań z OWP w pomieszczeniach zamkniętych. Poza tym mogli się tylko bez przerwy uskarżać i wysyłać raporty, w których potępiali

taką niebezpieczną działalność, podkreślając, że nie przyjmują żadnej odpowiedzialności jeżeli coś się nie uda.

W początkach czerwca realizacja planu była już dobrze zaawansowana. Gromadzenie broni wymaga oczywiście czasu, ale stan oczekiwania wprawiał wszystkich w zdenerwowanie. W końcu czerwca zarówno Hussejn z Wiednia, jak i Salem z Berlina Wschodniego zawiadomili Arafata, że jego polecenie zostało wykonane i że transport będzie gotowy w ciągu dwóch do trzech tygodni.

Również mjr Aloony zaczął się już niepokoić o pieniądze, których oczekiwał po transakcji haszyszowej. Łącznicy się nie odzywali. Co więcej, nie wiedział ani kim oni są, ani gdzie się znajdują. Jedyna możliwość kontaktu, jaką dysponował, był to adres i numer telefonu jednego z ludzi „Czarnego Bloku”. Ale szef grupy był w więzieniu. Ponadto mosadowiec udający przyjaciela poinformował zastępcę, że powinien przekazać wszystkim członkom grupy, iż gdyby ktoś zapytywał o sprawę, odpowiadali jedynie, że wymieniają haszysz na broń. Natomiast w wypadku jakichkolwiek trudności lub gdyby ktokolwiek starał się czegoś dowiedzieć o ich ludziach, mają natychmiast go powiadomić.

Gdy więc wreszcie Aloony zatelefonował do znanego mu łącznika, dowiedział się, że przywódca „Czarnego Bloku” jest w więzieniu, ale ktoś inny zajmuje się całą sprawą. Zgodnie z instrukcją łącznik ten powiadomił

natychmiast zastępcę szefa grupy. W tym samym czasie katsa Mosadu, który pracował z saudyjskim handlarzem broni, naciskał na przyspieszenie dostawy, powołując się na otrzymywane ponaglenia.

Telefon Aloony'ego był dla Mosadu sygnałem, że major zaczyna stawiać pytania. Nie niepokoiło to szczególnie mosadowców. Aloony dostał taką odpowiedź, jakiej chcieli mu udzielić. Człowiek, poprzez którego Mosad działał, zapewnił Aloony'ego, że nie ma żadnych trudności i że wszystko jest w toku załatwiania. Obiecał też, że przekaże dalsze szczegóły, gdy tylko transakcja zostanie załatwiona. Aloony rozumiał, że takie sprawy wymagają czasu, więc zbytnio się nie niepokoił. Przecież wiedział, że jeszcze w obozie ćwiczebnym OWP nastraszyła Niemców. Wpajano im przekonanie, że jeśli spróbują przechytryć Palestyńczyków — zginą. Stare powiedzenie głosi: „Możesz uciekać, ale nie zdołasz się ukryć”.

Sprawę ułatwiało i to, że nawet gracze OWP wiedzieli o tym, co się dzieje, mniej od Mosadu. Na przykład Salem we Wschodnim Berlinie nie wiedział, że żądanie wysłane do Hussejna w Wiedniu było żądaniem wspierającym. Nie przeszło ono przez Abu Taana, który pracował z Salemem, ale złożone zostało za pośrednictwem szefa ochrony osobistej Arafata — Abu Zaima. Salem z kolei wiedział, że broń przeznaczona jest dla jednostki 17, Hussejn natomiast nie miał pojęcia, komu miała służyć.

Mosadowiec w Wiedniu i Hussejn podjęli własne przygotowania do

dostawy broni i zapłaty za nią. Hussejn miał możliwości przesyłania towarów samolotami libijskimi z pominięciem kontroli. Nie tłumaczył, jak to się odbywa. Oświadczył tylko, że chce mieć broń w kontenerach, które przekaże następnie do Bejrutu. Mosadowcy chcieli dostarczyć mu trochę prawdziwej broni, natomiast podobnie jak w Hamburgu i Frankfurcie wszystkie ręczne rakiety miały być zastąpione atrapami.

Najważniejsze dla Mosadu było teraz takie zorganizowanie wszystkiego, żeby zsynchronizować działania w Wiedniu, Hamburgu i Frankfurcie. Gdyby w którymkolwiek z tych miast plan nie wypalił, to nie tylko zburzyłoby to całą kombinację, ale stworzyło poważne zagrożenie.

W Hamburgu, gdzie zgromadzono ładunek w jednym z wielu identycznie wyglądających magazynów, zamierzano pokazać Aloony'emu i sierżantowi Aisharifowi broń zapakowaną w kontenerze i zamaskowaną wśród rodzynek. Następnie chciano opieczętować kontener, zamknąć drzwi magazynu, przekazać Aloony'emu klucze i umówić się, że następnego dnia zostanie ponownie przywieziony do magazynu. Wówczas przewieziono by załadowany na ciężarówkę kontener na statek płynący do

Bejrutu.

244

Po odprowadzeniu Aloony'ego do jego mieszkania mosadowcy zamierzali wrócić do magazynu, zdjąć kłódkę i numer z drzwi i umieścić

je

na drzwiach identycznie wyglądającego sąsiedniego magazynu. Tam chcieli umieścić inny kontener, całkowicie wypełniony niskogatunkowymi rodzynkami i ten właśnie kontener miał Aloony wysłać do Arafata.

Stoler (Altan) prosił Aloony'ego, by przyniósł z sobą pieniądze do magazynu, gdyż potrzebował kilku godzin, żeby się ulotnić.

— Nie ma sprawy — powiedział Aloony — pieniądze przyniosę, ale tej nocy śpię z rodzynkami w magazynie.

Stolerowi serce się na chwilę zatrzymało:

— W porządku — powiedział — przyjadę po pana jutro o szóstej po południu.

— Ależ pan powiedział rano — zaprotestował Aloony.

— To prawda. Ale to nie był dobry pomysł. W dzień jest wokół zbyt wielu ludzi, żeby jeździć tam z bronią.

Po powrocie do bezpiecznego domu Aitan i inni zaczęli zastanawiać się, jak podmienić kontenery, skoro Aloony zamierza przy nich spać.

W tym samym czasie mały jednorodzinny domek w okolicach

Wiednia został załadowany bronią, którą zamówił Hussejn. Katsa powiadomił go, że transakcję przeprowadzi jego zastępca. Należało przynieść na

spotkanie 3,7 miliona dolarów, w zamian za które Hussejn miał otrzymać adres domku i klucze do niego. Najpierw jeden z ludzi 'Hussejna, przewieziony do domku z zawiązanymi oczami, miał skontrolować dostawę i powiadomić telefonicznie Hussejna, że wszystko jest na miejscu.

Potem Mosad zamierzał przeciąć linię telefoniczną. Owego wysłannika miano zamknąć w domku, a po przekazaniu pieniędzy Hussejn otrzymałby adres i klucze. Procedurę taką Hussejn zaakceptował.

Był już 27 lipca 1981 r. W Hamburgu mosadowcy łamali sobie głowę, jak rozwiązać problem Aloony'ego. Broń, którą należało załadować do kontenera, znajdowała się w magazynie. Duplikat kontenera podniesiony był wysoko pod sufit za pomocą jednego z gąsienicowych podnośników używanych do przewożenia ciężkiego sprzętu i wielkich skrzyń. W Genewie

Ganud dostarczył już około 5 milionów dolarów na przejściowe sfinansowanie hamburskiej transakcji oraz 3,7 milionów — na wiedeńską.

28 lipca, o szóstej po południu, zabrano Aloony'ego do magazynu. Chciał na miejscu sprawdzić wyrywkowo kilka kartonów. Gdy uznał, że wszystko jest w porządku, zaczęto ładować towar maskowany rodzinami. Wypełniony kontener zapieczętowano i Aloony chciał od razu wręczyć

245

pieniądze. Stoler powiedział: „Nie tu. Naokoło jest zbyt wielu ludzi.

Lepiej

chodźmy do samochodu. Tam jest zaciszniej".

W samochodzie Stoler przeprowadził z kolei własną wyrywkową kontrolę, sprawdzając za pomocą elektronicznego urządzenia kilka paczek banknotów. Chciał się upewnić, czy dolary nie są fałszywe. W tym czasie w magazynie szybko opuszczono duplikat kontenera, zaś kontener z bronią przetransportowano w głąb i ustawiono za jakimś innymi.

Cała operacja zajęła 10—15 minut. Gdy Aloony wrócił do magazynu, zobaczył identyczny kontener z identyczną pieczęcią. Nie zobaczył natomiast jego nowej zawartości. Następnego dnia, po bezpiecznym załadunku swoich rodziny, Aloony wyruszył do Bejrutu.

Po odjeździe Aloony'ego mosadowcy przeładowali broń z pierwszego kontenera na ciężarówkę i odwieźli ją do kupca. Natomiast nadwyżkę rodziny wysłano do Izraela.

Tej samej nocy zawarto ostatecznie we Frankfurcie porozumienie w sprawie wymiany haszyszu na broń. Polecono człowiekowi z „Czarnego Bloku" przyprowadzić następnego dnia grupę, aby zabrała tę broń.

Haszysz został przekazany komuś z panamskiej F-7 (specjalnej jednostki szkolonej przez Harariego), w zamian za kredyt około 7 milionów dolarów i przewieziony do Panamy, skąd zamierzano go rozsprzedać w Stanach Zjednoczonych, gdzie haszysz osiąga dużo wyższe ceny niż w Europie. Po sprzedaniu narkotyków Panamczycy mieli zwrócić tych 7 milionów,

a nadwyżkę zatrzymać dla siebie.

Następnego dnia, gdy członkowie „Czarnego Bloku” przyszli po swe atrapy rakiet, czekała już na nich policja. Aresztowano około dwudziestu osób.

Również 29 lipca na lotnisku wiedeńskim policja aresztowała trzy osoby z ładunkiem zawierającym część broni z podmiejskiego domku. Mosad powiadomił austriacką policję, że Hussejn i jego pomocnicy przylecieli właśnie z Libanu i szmuglują do Wiednia broń dla

zaatakowania jakiegoś żydowskiego celu. Hussejna deportowano. Dwóch jego pomocników uwięziono. Większość broni, znajdującej się jeszcze w domku, Mosad odzyskał. Zostawiono tylko trochę, aby mogła ją znaleźć policja, gdyby sprawdzała wersję mówiącą o tym, że Hussejn gromadził broń.

Ogółem Mosad zainkasował około 15—20 milionów dolarów oraz oczyścił wartościowy teren. Udało się zabić Khadera, usunąć Hussejna, zamknąć jego dwóch pomocników i około dwudziestu terrorystów z „Czarnego Bloku” i obsmarować imię OWP w kilku krajach.

246

Był to dla Mosadu wspaniały sukces. Nie tylko OWP wszystko strata, ale jeszcze tyleż, co straciła, była winna swemu bankierowi. Fca ata

S^{sr}S

- P^{d0} te) historii są losy kierowcy-strażnika Arafata

Je ale nikt go nie poinformował o zbliżającym się napadzie Wściekły Kasim porzucił obie posady i wyjechał do Ameryki

Rozdział XIV

Tylko w Ameryce

Gdy po nieudanej próbie otrzymania azylu w ambasadzie Izraela w Waszyngtonie aresztowano w końcu listopada 1985 roku 31-letniego Jonathana J. Pollarda i jego żonę Annę Henderson-Pollard, dające się przewidzieć następstwa tego wydarzenia skoncentrowały na pewien czas uwagę obserwatorów na kłopotliwym i wybuchowym pytaniu: czy Mosad działa aktywnie na terenie Stanów Zjednoczonych?

Oficjalnie Mosad powie: nie, nie, po tysiąc razy nie. Absolutnie nie. Oczywiście kasa Mosadu nie wolno używać ani fałszywych paszportów amerykańskich, ani czegokolwiek amerykańskiego dla maskowania ich działań. Wynika to z delikatnego charakteru stosunków między państwem Izrael i jego największym i najbardziej wpływowym protektorem.

Jak w takim razie wytłumaczyć sprawę Pollarda? Och, to proste. On

nie był z Mosadu. Od początku 1984 r. otrzymywał wprawdzie 2500 dolarów miesięcznie, ale od organizacji zwanej Lishka le Kishrei Mada — LAKAM, co było hebrajskim akronimem dla biura łączności naukowej Ministerstwa Obrony. Od tego też czasu, za jego sprawą, różne dokumenty w tajemniczy sposób przenosiły się do mieszkania prywatnego sekretarza ambasady izraelskiej, Irita Erba. W tym czasie szefem LAKAM był Rafael Eitan, który publicznie zarzekał się jakichkolwiek związków z Mosadem. Kiedyś był on jednak katesa Mosadu, a w 1960 roku uczestniczył w porwaniu Adolfa Eichmana z Argentyny.

Pollard — Żyd — pracował w dziale badań naukowych w Ośrodku Pomocniczym Wywiadu w Suitland, w stanie Maryland, niedaleko Waszyngtonu. Ośrodek jest częścią służby analitycznej marynarki. W 1984 roku Pollard został przeniesiony do Ośrodka Ostrzegania Antyterrorysty-

248

cznego w Wydziale Analizowania Zagrożeń marynarki. Było to przeniesienie dziwaczne, jeśli się zważy, że już poprzednio urzędnicy bezpieczeństwa zwracali mu uwagę, iż dopuścił się przecieku informacji poprzez kontakty z południowoafrykańskim attache wojskowym, zaś jego nowe zajęcie dawało mu dostęp do wielu tajnych materiałów.

Nie trwało długo, a ustalono, że Pollard dzielił się informacjami

z Izraelczykami. Gdy zaś został przesłuchany przez FBI, zgodził się ułatwić ich ludziom dotarcie do jego izraelskich kontaktów. FBI zarządziło jego ciągłą obserwację, ale on przeraził się i poprosił o azyl. Gdy wychodził z ambasady wraz z uznaną za współniczkę żoną, został zatrzymany.

Oczywiście Amerykanie zażądali wyjaśnień. Pierwszego grudnia o godzinie 3.30 w nocy czasu jerozolimskiego sekretarz stanu George Schultz zatelefonował z Kalifornii do izraelskiego premiera Szimona Peresa, który — nawiasem mówiąc — sam założył LAKAM, gdy w latach sześćdziesiątych był wiceministrem obrony. Peres oficjalnie przeprosił: „Prowadzenie działań szpiegowskich przeciw Stanom Zjednoczonym jest całkowicie sprzeczne z naszą polityką. Jeśli taka działalność była prowadzona, była niesłuszna i rząd Izraela wyraża ubolewanie”.

Peres stwierdził dalej, że jeśli w działalności takiej zaangażowani byli urzędnicy państwowi, to „winni będą rozliczeni, zaś jednostka, która to organizowała... zostanie całkowicie i na zawsze rozwiązana. Podjęte zostaną też działania organizacyjne, które zapewnią, że działalność taka nie powtórzy się”. (W rzeczywistości jedyne, co wówczas zrobiono, to zmieniono adres pocztowy i włączono LAKAM do innego resortu).

Jednakże wydaje się, że oświadczenie Peresa zadowoliło administrację amerykańską, nawet jeśli nie zamierzał on zrobić tego, co obiecywał. Były dyrektor CIA, Richard Helms, oświadczył, że wzajemne szpiegowanie się

nie jest między zaprzyjaźnionymi krajami rzeczą niezwykłą. „Każdy robi co może — powiedział — grzechem jest dać się złapać”.

W czasie gdy Pollardów odwożono do więzienia, sekretarz Schultz oświadczył dziennikarzom: „zadawałają nas izraelskie przeprosiny i wyjaśnienia”. Po krótkiej fali przykrych dla Izraela materiałów prasowych sprawa ucichła.

Oczywiście ludzie podejrzliwi nadal chcieliby dociec, jaki był prawdziwy status Pollarda. Wydaje się jednak, że nawet CIA wierzy, iż poza tym wątpliwym i nieudanym wyczynem Mosad — jeśli wyłączyć sprawy łączności — nie prowadzi działalności operacyjnej w samych Stanach Zjednoczonych.

249

Otóż myli się.

Pollard nie był z Mosadu. Ale wielu innych, którzy czynnie szpiegują, werbują, organizują i prowadzą tajną działalność, należy do specjalnego, supertajnego wydziału Mosadu, zwanego po prostu AL — po hebrajsku „ponad” lub „na szczycie”. Działają głównie w Nowym Jorku i Waszyngtonie, o którym mówią jako o swoim „boisku”.

Jednostka jest tak utajniona i tak dalece wyodrębniona z reszty organizacji, że większość pracowników Mosadu nie ma nawet pojęcia, czym się ona zajmuje i nie ma dostępu do jej akt w komputerze.

Niemniej jednak ona istnieje i zatrudnia od 24 do 27 doświadczonych pracowników terenowych, w tym trzech jako czynnych katsa. Przeważająca część — choć nie cała ich działalność — przebiega w granicach USA. Podstawowym zadaniem jest zbieranie informacji o świecie arabskim i OWP, co ma być czymś odmiennym od zbierania danych wywiadowczych o działalności amerykańskiej. Ale — jak zobaczymy — linia podziału między tymi dwiema dziedzinami jest często niewyraźna i gdy powstają wątpliwości, AL nigdy nie waha się jej przekroczyć.

Twierdzić, że AL nie zbiera informacji o Amerykanach, to tak jak powiedzieć, że musztarda nie jest głównym daniem. Ale chętnie bierze się jej trochę na kanapkę. Powiedzmy na przykład, że jeden z członków Senackiej Komisji Obrony interesuje Mosad. AL rzadko korzysta z sayanim. Ale praca kancelarii senatora i wszystko, co się dzieje w jego biurze, może być 'ważną informacją. Trzeba więc zainteresować się którymś z pomocników senatora. Jeśli jest to Żyd lub Żydówka, traktuje się ich jako sayana, w przeciwnym wypadku werbuje się tę osobę jako agenta. Albo po prostu jako przyjaciela, z którym należy mieć częste kontakty i którego

należy uważnie słuchać.

Bardzo pomocne jest w tym waszyngtońskie „życie cocktailowe”. Niektórzy attache specjalnie je śledzą. Nietrudno jest włączyć kogoś w krąg bywalców i nadać temu wszelkie cechy legalności.

Założmy na przykład, że McDonnell Douglas chce sprzedać Arabii Saudyjskiej samoloty produkcji amerykańskiej. Czy to problem amerykański czy izraelski? Oczywiście z punktu widzenia Instytutu jest to sprawa Izraela. Jeśli ma się coś takiego pod ręką, to bardzo trudno jest z tego nie korzystać. Więc korzystają.

Jednym z bardziej znanych wyczynów AL była kradzież materiałów badawczych u kilku największych amerykańskich producentów samolotów, aby w styczniu 1986 pomóc Izraelowi w zdobyciu pięcioletniego

250

kontraktu wartości 25,8 milionów dolarów na dostawy dla amerykańskiej floty i korpusu piechoty morskiej. Chodziło o 21 „trutni”, bezzałogowych samolotów „Maziat Pioneer-1”, długości 16 stóp (niespełna 5 m) oraz potrzebnych do ich obsługi wyrzutni, urządzeń zdalnie sterujących i pozwalających odzyskać samolot. Samoloty te mają pod spodem monitor

telewizyjny i używane są przez zwiad wojskowy. Maziat jest filią państwowych Izraelskich Zakładów Aeronautycznych. Zdobyła ona kontrakt, gdy oferta jej wykonuowała na przetargu w 1985 r. firmy amerykańskie.

AL po prostu wykradł materiały badań. W Izraelu pracowano nad „trutniami”, ale robota nie była dostatecznie zaawansowana, aby firma mogła wziąć udział w walce konkurencyjnej. Jeśli natomiast nie trzeba włączyć kosztów badań do ceny oferty, to jest to bardzo istotna różnica.

Po wygraniu przetargu Maziat zawarł spółkę z firmą AAI Corp. z Baltimore, w stanie Maryland, aby móc się wywiązać z kontraktu.

AL przypomina tsomet, ale mu nie podlega. Składa meldunki bezpośrednio szefowi Mosadu. W odróżnieniu od normalnych stacji Mosadu nie działa wewnątrz ambasady izraelskiej. Ma swoje stacje w bezpiecznych domach i bezpiecznych mieszkaniach.

Trzy zespoły AL zorganizowane są jako stacja lub jednostka.

Załóżmy, że z jakichś powodów załamią się nagle stosunki między Izraelem, a Wielką Brytanią i Mosad będzie musiał opuścić Zjednoczone Królestwo. Można by wówczas wysłać do Londynu zespół AL i następnego dnia mieć tam pełną tajną strukturę. Katsa AL należą do najbardziej doświadczonych w Instytucie .

Stany Zjednoczone są jednym z tych miejsc, w których ewentualne następstwa zakłóceń byłyby niezwykle poważne. Ponadto praca prowa-

dzona z wyłączeniem ambasady stwarza trudności, szczególnie w dziedzi nie łączności. Jeśli ludzie AL „wpadną” w Stanach Zjednoczonych, wtrącani są do więzienia jako szpiegzy. Nie mają immunitetu dyplomatycz- nego. Najgorsze, co może się przydarzyć katsa w normalnej stacji, to deportacja. On korzysta z immunitetu. Oficjalnie Mosad ma w Waszyngtonie wyłącznie stację łączności. Niczego więcej.

Inna sprawa, która determinuje styl pracy ambasady izraelskiej w Waszyngtonie, to jej usytuowanie. Znajduje się ona za centrum handlowym, w połowie drogi na wzgórze przy Alei Międzynarodowej. Wokół znajduje się niewiele zabudowań, poza ambasadą Jordanii, która położona jest wyżej na pagórku, a więc może obserwować ambasadę Izraela z góry. Nie jest to dobre miejsce do prowadzenia tajnej działalności.

251

Nawiasem mówiąc, mimo kursujących pogłosek Mosad nie ma stacji w Związku Radzieckim. Około 99,99 proc. informacji o bloku wschodnim zbiera się podczas „pozytywnych przesłuchań”, co oznacza po prostu analizowanie i przetwarzanie danych z rozmów z Żydami emigrującymi z bloku radzieckiego. Oczywiście można czynnie gromadzić dane o Związ- ku Radzieckim i w ten sposób stworzyć całkiem dobry obraz tego, co się tam dzieje i dodać splendoru agencji wywiadowczej. Ale praca tam jest

zbyt

niebezpieczna. Jediną prowadzoną działalnością było pomaganie ludziom w wydostawaniu się stamtąd, w tworzeniu dróg ucieczki itp. Zajmuje się tym pod auspicjami Mosadu specjalna organizacja. Nazywa się NA TIV, co

oznacza po hebrajsku: ścieżka czy p r z e j ś c i e. Informacje z bloku wschodniego mają dużą wartość wymienną. To oraz dane zebrane w innych krajach — na przykład informacja radarowa od Duńczyków — pomagają w stworzeniu pełnego obrazu tej części Europy.

Amerykanie nie zdają sobie sprawy, jak wiele informacji otrzymujemy poprzez NATO. Informacji którymi można operować tak, żeby przedstawić dużo żywszy obraz. Oczywiście w epoce przedgorbaczowowskiej radzieckie środki przekazu nie miały większej wartości jako źródła. Ale można było zawsze uzyskać dane z pogłosek albo z ustnych przekazów. Dotyczy to nawet ruchów wojsk. Ktoś na przykład skarżył się, że jego kuzyna gdzieś przeniesiono i niczego o nim nie wiadomo. Nawet jeśli z bloku radzieckiego przybywało tylko dziesięciu ludzi dziennie, to można było z tego wyciągnąć niezwykłą ilość informacji.

Jakkolwiek stacje AL znajdują się poza ambasadą, to większość z nich pracuje na takich zasadach jak inne stacje. Komunikują się one bezpośrednio z centralą telawiwską telefonicznie, telexem lub kodem komputerowym. Nie używają systemów szyfrowych, gdyż nawet gdyby Amerykanie nie mogli złamać szyfru, to jednak wiedzieliby, że w sąsiedztwie prowadzi się działalność tajną, a tego właśnie Mosad chce uniknąć. Istotnym

czynnikiem jest też odległość.

Katsa AL są jedynymi w całej organizacji, którzy posługują się

paszportami amerykańskimi. Łamią też dwie podstawowe zasady: działają w kraju docelowym i używają do maskowania materiałów kraju, w którym'

się znajdują. Istnieje zasada, żeby nigdy nie udawać Anglika w Anglii czy Francuza we Francji. To zbyt łatwo sprawdziłoby miejscowym sprawdzenie dokumentacji. Na przykład jeśli się wręcza paryskiemu policjantowi francuskie prawo jazdy, to może on natychmiast sprawdzić, czy jest autentyczne i ważne.

252

AL może naruszać tę zasadę, gdyż dokumenty jego ludzi są najwyższej jakości. Muszą być. W kraju wrogim nie chcesz dać się złapać, bo cię rozstrzelają. W kraju najbardziej przyjaznym, jakim są Stany Zjednoczone, nie chcesz dać się złapać, bo rozstrzelają cały twój kraj. Prawdopodobnie od czasu do czasu FBI coś podejrzewa. Ale naprawdę nie wie niczego.

Oto historia, jaką opowiadał mi Ury Dinure, który był w pewnym momencie moim instruktorem NAKA. Gdy to się działo, był on odpowiedzialny za nowojorską stację AL. Dinure był czynny w operacji, która

ugodziła w politykę zagraniczną USA, stworzyła poważne trudności wewnętrzne ówczesnemu prezydentowi Jimmy Carterowi i rozpętała brzydki konflikt rasowy między amerykańskimi Żydami i przywódcami społeczności murzyńskiej. Gdyby Amerykanie znali zakres i charakter udziału Mosadu w całej sprawie, mogłoby to zagrozić, a może nawet zepsuć historycznie ustanowione dobre stosunki między obu krajami.

Spójrzmy najpierw na rok 1979.

Najdonioślejszym wydarzeniem tego roku były następstwa rozmów w sprawie „zrębów pokoju”, jakie prowadzili prezydent Carter, egipski prezydent Anwar Sadat i izraelski premier Menachem Begin we wrześniu 1978 r. w Camp David. Dla większości arabskiej opinii publicznej był to szok, którego efektem stało się ogólne oburzenie na Sadata. Begin również zaczął żałować całej sprawy prawie natychmiast po opuszczeniu Camp David.

Prowadzący dyplomację wahadłową amerykański sekretarz stanu Cyrus Vance usiłował przed upływem ostatecznego, ustalonego w Camp David na 17 grudnia terminu podpisania traktatu doprowadzić do porozumienia. Jednakże gdy w ostatniej chwili Begin odmówił poważnych pertraktacji, nie udało się to, co wywołało poważną nieufność między Waszyngtonem i Jerozolimą. W początkach 1979 r. Begin wysłał swego legendarnego ministra spraw zagranicznych Moshe Dajana do Brukseli na spotkanie z Vance'em i premierem Egiptu Mustafą Khalilem, aby znaleźć

sposób wznowienia zablokowanych rozmów. Ale Begin zapowiedział też bez ogródek, że Dajan będzie rozmawiał tylko o tym, „jak, kiedy i gdzie”

można by rozmowy wznowić, natomiast nie będzie omawiał właściwych treści porozumienia z Camp David.

253

W końcu grudnia 1978 r. skłócony na ogół Kneset przegłosował 66 głosami przeciwko 6 poparcie dla twardej postawy Begin'a wobec Waszyngtonu i Kairu. Nastroje społeczne sprawiły też, że wstrzymano rozpoczęte już wycofywanie sprzętu wojskowego z Synaju, podjęte z myślą o przyspieszeniu ewentualnej ewakuacji z półwyspu, po zawarciu traktatu pokojowego. Izrael nasilił również napaści na obozy Palestyńczyków w Libanie, co doprowadziło do oświadczenia szefa Senackiej Podkomisji do spraw Bliskiego Wschodu i Południowej Azji, demokratty z Florydy Richarda Stone'a, że wydaje się, iż Izraelczycy „stworzyli krąg z wozów” (wędrujący na Dzikim Zachodzie pionierzy tak przygotowywali się do walki — tłum.).

Po głosowaniu w Knesecie, Begin zatelefonował do amerykańskich przywódców żydowskich domagając się, by ugrupowania proizraelskie wszczęły kampanię pisania listów i wysyłania telegramów do Białego Domu i do Kongresu. Grupa 33 żydowskich intelektualistów, wśród nich pisarze Saul Bellow i Irving Howe, którzy dawniej krytykowali nieustępli-

wość Begin, wysłała do Cartera list, w którym poparcie Waszyngtonu dla stanowiska Kairu określiła jako „nie do przyjęcia”.

W lutym 1979 r. pragnące wznowienia rozmów Stany Zjednoczone zwróciły się do Izraela i Egiptu z propozycją spotkania z Cyrusem Vance'em w Camp David. Obie strony przyjęły propozycję, mimo że Izrael był urażony raportem departamentu Vance'a dla Kongresu, w którym nawiązywano do informacji o „systematycznym” maltretowaniu Arabów na okupowanym Zachodnim Brzegu Jordanu i w Strefie Gazy.

Dwa tygodnie przed ogłoszeniem przez „Washington Post” tego raportu czołgi armii izraelskiej wjechały o świcie do wiosek na Zachodnim Brzegu i zmiotły cztery domostwa arabskie. Rząd Izraela ustanowił również nową placówkę — zapowiedź nowego osiedla cywilnego — w Nu-eima, na północny wschód od Jerycho. Była to 51 osada na Zachodnim Brzegu, gdzie wśród 692 tysięcy Palestyńczyków mieszkało 5 tysięcy Żydów.

W czasie trwania tego zamętu Carter wyruszył w marcu z sześciodniową misją do Kairu i Jerozolimy. Mimo wszelkich trudności zdołał przekonać obie strony do przyjęcia kompromisu autorstwa amerykańskiego. W jego wyniku pokój między obu wrogimi krajami wydawał się tak bliski jak nigdy od ponad trzydziestu lat. Ceną, jaką zapłacił Carter, było zobowiązanie do przekazania w ciągu następnych trzech lat ponad pięciu

miliardów dolarów dodatkowej pomocy dla Egiptu i Izraela. Dwie główne

254

przeszkody stanowiły: niechęć biednego w ropę Izraela do zwrotu Egiptowi

zagarniętych na Synaju pól naftowych i, oczywiście, wciąż nie uregulowany problem autonomii palestyńskiej.

W maju Carter mianował byłego przewodniczącego ogólnokrajowego komitetu Partii Demokratycznej, 60-letniego teksańczyka Roberta S. Straussa, superambasadorem dla drugiego etapu rokowań pokojowych. Izrael, który formalnie zgodził się na takie rokowania, w dalszym ciągu dokonywał napaści na bazy OWP w Libanie. Rząd Beginu uchwalił ośmioma głosami przeciwko pięciu, założenie jeszcze jednego nowego osiedla izraelskiego w Elon Moreh, na okupowanym Zachodnim Brzegu Jordanu, czym sprowokował 59 wybitnych Żydów amerykańskich do wysłania listu otwartego do premiera, w którym skrytykowali politykę tworzenia nowych osad żydowskich na terenach gęsto zaludnionych przez Arabów.

Sprawy jeszcze bardziej skomplikował lekki atak serca u Beginu oraz rozpoznanie choroby nowotworowej u Dajana. W Izraelu gwałtownie

pogłębiła się inflacja. Deficyt bilansu płatniczego kraju zbliżał się do 4 miliardów dolarów, a długi zagraniczne podwoiły się w ciągu pięciu lat i osiągnęły 13 miliardów dolarów, wywołując wewnętrzny kryzys politycz-

ny. Napięcie zaostrzyło jeszcze oburzenie Żydów na Cartera, który

porównał sytuację Palestyńczyków z amerykańskim Ruchem Praw Obywatelskich.

Zarówno Sadat, jak i Carter zaczęli wywierać naciski na Izrael, aby przyjął plan autonomii palestyńskiej. Kraje arabskie popierały koncepcję niezależnego, suwerennego państwa na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Strefie Gazy, jako ojczyzny dla tych Palestyńczyków, którzy się tam znajdują i dla milionów tych, którzy rozproszeni są po świecie. Izraelczycy byli zdecydowanie przeciwni koncepcji utworzenia w swoim bezpośrednim sąsiedztwie wrogiego państwa, szczególnie takiego państwa, którym kierowałby przywódca OWP Jaser Arafat. Izrael podejrzewał, że uzależnienie Stanów Zjednoczonych od arabskiej ropy sprawia, iż amerykańskie priorytety przechylają się w stronę interesów arabskich.

Wobec nieobecności Begin, który dopiero powracał do zdrowia, rządem usiłował kierować Dajan. W sierpniu przestrzegł on Stany Zjednoczone przed uznaniem OWP, lub też umacnianiem szans na utworzenie na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Gazie całkowicie niezależnego państwa palestyńskiego. Po burzliwym, pięciogodzinnym posiedze-

niu rządu Izraelczycy postanowili przypomnieć Stanom Zjednoczonym

255

o podjętych przez nie zobowiązaniach, w szczególności o obietnicy użycia weta wobec każdej próby państw arabskich zmierzającej do zmiany rezolucji Narodów Zjednoczonych nr 242 z 1967 roku, która uznaje prawo Izraela do istnienia. Izrael zagroził też, że jeśli Amerykanie będą zbyt mocno naciskać na nawiązanie stosunków z OWP, to wycofa się z pertraktacji w sprawie „autonomii”.

Latem Izraelczycy mieli kolejny powód do zdenerwowania. Arabia Saudyjska, Kuwejt i OWP podjęły wspólnie inicjatywę polityczną w celu skierowania spraw w pożądanym przez nie kierunku. Początkowo, w lipcu, Saudyjczycy podnieśli na trzy miesiące wydobycie ropy o milion baryłek dziennie i w ten sposób zmniejszyli niedobory, które w maju i czerwcu spowodowały długie kolejki na stacjach benzynowych w Stanach Zjednoczonych. Jednocześnie OWP — przynajmniej publicznie — zajęła postawę ugodową, aby w oczach Zachodu poprawić swoje raczej niesympatyczne oblicze, zaś dyplomaci kuwejtcy w ONZ przygotowywali projekt rezolucji, która powiązałaby prawo do istnienia Izraela (rezolucja 242) z międzynarodowym uznaniem prawa Palestyńczyków do samookreślenia.

Plan ten zrodził się w czerwcu, gdy następca tronu Arabii Saudyjskiej, książę Fahd, zaprosił Arafata do Rijadu i przekonał go, że powinien

poprawić stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, poczynając od ukrócenia — przynajmniej na jakiś czas — działalności terrorystycznej. Wciągnięto w to Kuwejt, chcąc wykorzystać prestiż zasiadającego wówczas w Radzie Bezpieczeństwa jego ambasadora, świetnego dyplomaty, Abdalla Yaccouba Bishary.

Dla ułagodzenia Izraelczyków Amerykanie zdecydowanie odmówili głosowania nad jakimkolwiek projektem popierającym niezależne państwo palestyńskie, choć nie wykluczyli możliwości łagodniejszej rezolucji, która potwierdziłaby słuszne prawa polityczne Palestyńczyków i doprowadziła w ten sposób do współbrzmienia sformułowań rezolucji 242 z porozumieniami z Camp David.

We wznoszącym się nad portem w Hajfie hotelu „Mount Carmel” toczyły się rokowania dotyczące problemu autonomii. W toku pertraktacji premier egipski Mustafa Khalil oświadczył, że kraj jego będzie popierał rezolucję ONZ dotyczącą praw Palestyńczyków. W odpowiedzi izraelski minister sprawiedliwości Shmuel Tamir oskarżył Egipt o „zagrożenie całemu procesowi pokojowemu”.

Również Mosad był zatroskany przyszłym rozwojem wydarzeń.

W szczególności mosadowców niepokoił wzrost znaczenia izraelskiego

256

ministra obrony Ezera Weizmana, byłego pilota, zastępcy szefa sił zbrojnych w czasie wojny sześciodniowej, bohaterskiego dowódcy i ojca legendarnych izraelskich sił powietrznych. Mosadowcy mu nie dowierzali. Uważali go za sympatyka Arabów i wręcz za zdrajcę. Ich wrogość wobec niego sięgała absurdu. Będąc ministrem obrony nie otrzymywał żadnych tajnych informacji. Weizman był to wolny duch, typ człowieka, który mógł się z kimś zgadzać w jednej sprawie i zaraz potem całkowicie się nie zgadzać w innej. Nigdy nie podporządkowywał się linii partyjnej. Robił to, co uważał za słuszne. Tacy ludzie są niebezpieczni, gdyż nie można przewidzieć ich reakcji.

Jednak Weizman bezspornie się sprawdził. W kraju, w którym prawie wszyscy służą w armii, wojsko jest rzeczą ważną. Tyle, że w ten właśnie sposób dochodzi się do rządu złożonego w 70 proc. z generałów. Ludzie zdają się nie rozumieć co w tym złego. A są to przecież osobnicy, których nozdrza zaczynają się rozdymać, gdy zapachnie prochem.

Istniały nawet różnice zdań między Beginem i Dajaniem. Dajan wyszedł z Partii Pracy. Opuścił ją, by przyłączyć się do charyzmatycznego prawicowca — Begin. Ale obaj widzieli Palestyńczyków w zupełnie różny

sposób. Jak większość ludzi Partii Pracy z jego pokolenia, Dajan widział w nich przeciwników, ale też istoty ludzkie. Natomiast Begin i jego partia widzieli w nich nie ludzi, lecz problem. Dajan mawiał: „Wolałbym żyć w pokoju z tymi ludźmi i pamiętam czasy, kiedy tak żyliśmy”. Natomiast Begin głosił: „Chciałbym, żeby ich tu nie było. Ale niewiele mogę w tej sprawie zrobić”. Są to tak różne punkty widzenia, że nic dziwnego, iż powstawały między nimi tarcia.

W tym też czasie Mosad nawiązał pierwsze kontakty z plantatorami opium w Tajlandii. Amerykanie starali się zmusić chłopów, żeby przestali produkować opium i zamiast tego zaczęli sadzić kawę. Koncepcja Mosadu polegała na tym, żeby się w to włączyć, pomóc w uprawie kawy, ale jednocześnie pomóc wywozić opium jako środek gromadzenia funduszy na operacje Mosadu.

Jedną z takich operacji były nieustające wysiłki AL w Nowym Jorku i w Waszyngtonie, aby pokrzyżować dążenia Arabów do uzyskania pomocy Stanów Zjednoczonych dla OWP, czy szerzej — Palestyńczyków w osiągnięciu poprzez ONZ lepszego statusu międzynarodowego.

Jest zrozumiałe, że dążenia takie nie uszczęśliwiały Izraelczyków. Stale powtarzały się przecież napaści na wioski izraelskie, masakry, trwał stan ciągłego zagrożenia. Poczucie takie nie ustępowało, jeśli nawet obstrzał na

chwilę ustawał. W domach towarowych i w kinach kontrolowano paczki. Jeśli ktoś zauważył paczkę pozostawioną w autobusie, a nie było nikogo, kto by się do niej przyznał, zwracano uwagę kierowcy, ten zatrzymywał autobus i wszyscy wysiadali. Jeśli ktoś zapomniał gdzieś teczkę, mógł się spodziewać, że zostanie skonfiskowana i zniszczona ładunkiem wybuchowym.

Wielu Palestyńczyków z Zachodniego Brzegu pracowało w Izraelu.

Wielu Izraelczyków patrolowało Zachodni Brzeg. Wiedzieli, że Palestyńczycy ich nienawidzą. Nawet jeśli ktoś był lewicowcem i sądził, że mają oni

prawo do tej nienawiści, to przecież nie chciał zakończyć życia rozerwany na strzępy.

Dla ludzi prawicy manifestowanie nieufności wobec Palestyńczyków było oczywiste. Uważali, że stosunki z nimi to błędne koło. Lewicowiec mógł mówić: „niech zrobią wybory”, prawicowiec odpowiadał: „Zapomnij o tym. Na pewno wybraliby kogoś, z kim nie chcę rozmawiać”. Na co lewicowiec: „Ależ oni ogłosili zawieszenie broni”. I znów prawicowiec:

„Co za zawieszenie broni? Nie uznaję Palestyńczyków za grupę, która może oferować zawieszenie broni”. Po czym następnego dnia coś gdzieś wylatywało w powietrze i prawicowiec wołał: „Widzisz, przecież

mówiłem,
że nie dotrzymują żadnego zawieszenia broni".

AL działał w Nowym Jorku mniej więcej od 1978 roku. Jego ludzie starali się przeforsować taką linię postępowania w stosunku do działalności

Arabów, która by utrudniała forsowane przez Cartera rozmowy pokojowe. We wrześniu 1975 sekretarz stanu Henry Kissinger oświadczył oficjalnie, że Stany Zjednoczone nie będą rokowały z OWP ani jej nie uznają, póki organizacja ta nie uzna prawa Izraela do istnienia. Były prezydent Gerald Ford, a po nim Carter ogłosili, że będą kontynuować tę politykę. Ale Izraelczycy nie całkiem w to wierzyli.

W listopadzie 1978 po rozmowach w Camp David członek komisji spraw zagranicznych Izby Reprezentantów, republikanin z Illinois Paul Findley, spotkał się w Damaszku z Arafatem, któremu przekazał posłanie od Cartera. Arafat oświadczył, że jeżeli na połączonym korytarzem terytorium Zachodniego Brzegu i Strefy Gazy utworzone zostanie niezależne państwo palestyńskie, OWP nie będzie uciekać się do gwałtu.

Już od 1977 roku Carter wzywał do utworzenia „siedziby narodów ej” dla Palestyńczyków. Wiosną 1979 wybitny przywódca żydowski,

ambasador amerykański w Austrii Milton Wolf, spotkał się najpierw na austriackim przyjęciu rządowym, a następnie na cocktailu w ambasadzie jednego z krajów arabskich z przedstawicielem OWP w Wiedniu Issamem Sartawim. Instrukcje z Waszyngtonu zalecały Wolfowi, aby spotkał się z Sartawim, ale nie wdawał się w rozmowy merytoryczne. Gdy w połowie lipca Arafat udał się do Wiednia na spotkanie z kanclerzem Bruno Kreiskym i byłym kanclerzem Willy Brandtem, Wolt i Sartawi odbyli już poważne spotkanie dla omówienia rokowań. Gdy nastąpił „przeciek” tej informacji. Departament Stanu ogłosił, że oficjalnie „przypomniano” Wolfowi amerykańską politykę niepertraktowania z OWP. Niemniej jednak Mosad wiedział, że Wolt działał na podstawie bezpośrednich instrukcji z Waszyngtonu.

W Stanach Zjednoczonych rosło poparcie dla osiągnięcia jakiegoś porozumienia pokojowego. Zalety jego zaczęli widzieć nawet Arabowie. Mosad dowiedział się poprzez siatkę nasłuchów elektronicznych zainstalowanych w Nowym Jorku i Waszyngtonie w domach i w biurach różnych arabskich ambasadorów i przywódców, że OWP zaczyna skłaniać się do przyjęcia stanowiska Kissingera z 1975 roku i uznania praw Izraela do istnienia.

W tym czasie ambasadorem amerykańskim przy ONZ był czarny liberał z południa, bliski przyjaciel Cartera — Andrew Young. Young był jednym z pierwszych zwolenników prezydenta. Uważano go za głównego łącznika między administracją i Białym Domem, a społecznością murzyńską.

Young, otwarty i często kontrowersyjny jako ambasador, wyrósł z amerykańskiego Ruchu Praw Obywatelskich i żywił przychylność dla strony słabszej. Izrael uważał, że jest to stanowisko bardziej antyizraelskie niż propalestyńskie. Young sądził, że Carter pragnie takiego uregulowania, które wyzwoliłoby Palestyńczyków z sytuacji, w jakiej tkwili, a jednocześnie stworzyło warunki do pokojowej ewolucji w całym regionie.

Young był przeciwny zakładaniu nowych osiedli na Zachodnim Brzegu, a jednocześnie chciał opóźnić złożenie w ONZ przygotowywanej przez Arabów rezolucji mającej na celu uznanie OWP. Young twierdził, iż jest to droga, która prowadzi donikąd i że lepiej opracować rezolucję łagodniejszą, która w dalszej perspektywie doprowadzi do tego samego celu, a tymczasem będzie miała większe szansę na uchwalenie.

Siłą napędową rezolucji arabskiej był ambasador Kuwejtu Bishara. Pozostawał on oczywiście w stałym kontakcie z nieoficjalnym przedstawi-

259

cielem OWP w ONZ Zehdim Labibem Terzim. W Nowym Jorku i w Waszyngtonie AL miał liczne wynajęte mieszkania i zainstalował wiele aparatów podsłuchowych, 1 5 lipca udało się Izraelczykom podsłuchać rozmowę Bishary z Youngiem, którego Kuwejczyk zapewniał, że Arabowie nie mogą zgodzić się na przesunięcie debaty Rady Bezpieczeństwa nad

rezolucją, ale sugerował, żeby Young omówił to z kimś z OWP.

Young odpowiedział Bisharze, że „nie może spotkać się z przedstawicielami OWP”, dodał jednak, że „nie mógłby też odmówić, gdyby jakiś członek Rady Bezpieczeństwa zaprosił go do swego domu na roboczą rozmowę”. Bishara był w tym czasie przedstawicielem w Radzie Bezpieczeństwa, a Young dodał, że nie tylko nie mógłby odmówić zaproszeniu, ale i „nie może mu dyktować, kogo ma zaprosić do swego domu”.

25 lipca 1979 do centrali Mosadu w Tel Awiwie wpłynął telegram:

„Ambasador amerykański w ONZ ma się spotkać z przedstawicielem OWP w ONZ”. Telegram miał adnotację „pilne, tygrys, czarne” — co znaczyło, że przeznaczony jest tylko dla premiera i kilku jego najwyższych rangą współpracowników — łącznie nie więcej niż dla pięciu osób.

Telegram przekazany został do biura szefa Mosadu Ytzhaka Hofi nie rozszyfrowany. Dopiero Hofi zaniósł go osobiście po rozszyfrowaniu u siebie do Begina. Najwyżsi rangą Izraelczycy byli wstrząśnięci zamierzonym spotkaniem Younga z Terzim. Depesza podawała również źródło informacji. Było to nagranie z bezpośredniego telefonu Bishary w jego biurze w ONZ. Wynikało z nagrania, że Young został zaproszony do domu

Bishary i że zaproszenie przyjął.

Powstało więc pytanie: czy zapobiec temu spotkaniu, czy dopuścić do niego? Dopuszczenie do spotkania dałoby dowód, że obawy Izraela są uzasadnione i że zmienił się stosunek USA do niego. Pomogłoby to udowodnić przyjaciołom Izraela na wysokich stanowiskach w USA, że urzędująca administracja stwarza takie niebezpieczeństwo, i tym samym wywołać ponowne zmiany proizraelskie. Pokazano by, że cały zachodzący proces zagraża bezpieczeństwu Izraela.

Ponadto pomogłoby to pozbyć się Younga, którego uważano za poważne zagrożenie ze względu na jego brak uprzedzeń i pozytywny stosunek do OWP. Nie odpowiadał potrzebom Izraela.

26 lipca Young wraz ze swym 6-letnim synkiem, Andrzejem, przybył do miejskiej rezydencji Bishary przy Beckman Place. Mikrofony AL notowały każde słowo. Bishara i ambasador Syrii powitali Younga. Po pięciu minutach przybył Terzi. Przez jakieś 15 minut syn Younga bawił się

260

sam, a w tym czasie trzech dyplomaci rozmawiali i, jak się zdaje, uzgodnili, że posiedzenie Rady Bezpieczeństwa należy przenieść z 27 lipca na 23 sierpnia

(tak się też stało).

Wkrótce po tym Young i jego syn odjechali. Po godzinie katsa AL i szef stacji Ury Dinure zabrał na pokładzie samolotu EL AL lecącego z Nowego Jorku do Tel Awiwu pełny transkrypt rozmowy. Wyprzedzał go telegram: „Pająk połknął muchę”. Na lotnisku spotkał go Itzhak Hofi. Razem zawieźli transkrypt prosto do Begin. Hofi przeczytał go w drodze.

Dinure przebywał w Izraelu tylko sześć godzin, po czym wrócił z kopią transkryptu, którą miał wręczyć urodzonemu w Czechosłowacji specjalście prawa międzynarodowego ambasadorowi Izraela w ONZ Yehudzie Blumowi.

Hofi nie chciał, żeby wiadomość o spotkaniu przeniknęła do środków przekazu. Szczególnie nie chciał niszczyć istniejącego w Nowym Jorku układu. Uważał, że Begin może więcej osiągnąć udając się na rozmowy z administracją i przekonując ją. Podobne podejście obrano przecież po spotkaniu Miliona Wolta z OWP w Wiedniu. Hofi twierdził też, że uderzenie w Younga nie byłoby dobrą polityką na terenie Stanów Zjednoczonych. Young był popularny w społeczności murzyńskiej, a ponadto pracując za kulisami można by uzyskać więcej ustępstw od Amerykanów.

Ale Begin dyplomacja nie interesowała. Był żądny krwi. „Chcę to ujawnić” — powiedział. Uzgodniono, że nie ma powodu ujawniać całej informacji, gdyż spalono by źródło. „Newsweek” dowiedział się więc

tylko,

że Young i Terzi spotkali się. Wywołało to oczywiście pytania pod adresem

Departamentu Stanu i zażądano od Younga wyjaśnień. Odpowiedział, że był na spacerze z synem i postanowił wstąpić do Bishary, gdzie ku jego zdumieniu spotkał Terziego. Powiedział, że „przez 15 czy 20 minut obaj wymieniali towarzyskie grzeczności” — ale niczym innym nie zajmowali się.

Lecącemu z Ekwadoru sekretarzowi Vance'owi przetelegrafowano odpowiedź Younga. Uspokojony tym, że było to tylko przypadkowe spotkanie, Vance upoważnił rzecznika Departamentu Stanu Toma Restona do ogłoszenia wersji Younga w poniedziałek 13 sierpnia w południe.

Zdawało się już, że cała sprawa przyschła. Mosad jednak postarał się, żeby dotarło do Younga, że grubo myli się ten, kto sądzi, iż Izrael spokojnie przełknie całą sprawę.

261

Zaniepokojony Young poprosił o spotkanie z Yehudą Blumem.

Trwało dwie godziny. Young nie wiedział, że Blum jest w posiadaniu transkryptu jego rozmowy z Bisharą i Terzim. To pozwoliło Blumowi wydusić z Younga dużo więcej, niż oświadczył on Departamentowi Stanu.

Blum nie należał bynajmniej do entuzjastów Younga. W większości raportów nie dawał mu wysokich ocen. Ale Blum był doświadczonym dyplomata. Będąc w posiadaniu transkryptu i wiedząc dokładnie, co zaszło, zdołał wyciągnąć z Younga wiele elementów tej historii. Można więc było wykorzystać Younga jako źródło i nie przyznawać się, że już przed tym wszystko wiadano.

Young, który wciąż jeszcze sądził, że podstawowym zamiarem Izraela jest kontynuowanie rozmów, nie wiedział, iż został wymanipulowany. Gdy Blum wyciągnął od niego potrzebne mu wyznanie, Begin wezwał ambasadora USA w Izraelu i złożył oficjalną skargę. Skarga ta przekazana została prawie jednocześnie ambasadorowi i środkiem przekazu, tak żeby było pewne, że nie utonie w zamieszaniu.

14 sierpnia, o siódmej rano, na biurku Vance'a znalazła się pilna depesza z ambasady amerykańskiej w Izraelu. Streszczała ona to, co według Izraelczyków Young powiedział Blumowi, a co poważnie się różniło od tego, co powiedział Departamentowi Stanu i co z kolei poprzedniego dnia rzecznik Departamentu Stanu przekazał prasie. Vance udał się do Białego Domu i powiedział Carterowi, że Young musi podać się do dymisji.' Carter wyraził wstępną zgodę, ale powiedział że musi się „nad tym przespąć”.

Następnego dnia, 15 sierpnia 1979, o dziesiątej rano Young przybył do prywatnych apartamentów Białego Domu mając w kieszeni list z prośbą

o dymisję. Po 90-minutowej rozmowie wyszedł na chwilę, po czym wrócił do Cartera. Udali się do biura Hamiltona Jordana, gdzie zebrali się wyżsi urzędnicy Białego Domu. Carter obejmował Younga za ramię. Young oświadczył swym przyjaciołom, że podał się do dymisji. Po dwóch godzinach, sekretarz prasowy, Jody Powell, ogłosił, że niestety Young podaje się do dymisji.

Amerykański wysłannik pokojowy, Strauss, który znajdował się wówczas na pokładzie samolotu lecącego na Bliski Wschód, oświadczył:

„sprawa Younga... umacnia bezpodstawne podejrzenia, że Stany Zjednoczone pertraktują w tajemnicy z OWP”.

Później Young usiłował bronić swego postępowania: „Nie powiedziałem całej prawdy, ale nie kłamałem. We wstępie moich uwag (dla

262

Departamentu Stanu) powiedziałem — przekazuję wam oficjalną wersję i dałem oficjalną wersję, w której nie było kłamstwa”.

Ale szkoda została wyrządzona. Younga przyhamowano i pewien czas będzie musiał upływać, zanim jakikolwiek Amerykanin zdecyduje się znów na rozmowy z OWP. Posługując się całym arsenałem tajnych działań AL zdołał złamać karierę jednego z najbliższych przyjaciół Cartera, którego jednak nie uważano za przyjaciela Izraela.

Kilka dni po tym gdy historia ta zapełniła czołówki gazet, Ury Dinure zameldował, że sytuacja staje się dla niego zbyt gorąca i zażądał przeniesienia. Wszystkie bezpieczne domy Mosadu zostały zamknięte i wszelkie jego operacje w Nowym Jorku przeniesione do innych pomieszczeń. Mosadowcy nie wątpili, że zostaną wobec nich zastosowane sankcje. Ale nic takiego nie wydarzyło się. Przypominało to trochę wsłuchiwanie się w gwizd padającej bomby. Człowiek siedzi, czeka na wybuch, a tu nic się nie dzieje,

Natomiast polityczne następstwa całej tej sprawy szybko przekształciły się w jeden z najbrzydszych rozdziałów w historii stosunków żydowsko-murzyńskich w Stanach Zjednoczonych.

Odejście Younga przygnębiło czarnych przywódców w Ameryce, Burmistrz Richard Hatcher, z Gary w stanie Indiana, powiedział dziennikarzowi tygodnika „Time”, że była to „wymuszona dymisja” i „obelga dla Murzynów”. Dyrektor wykonawczy Amerykańskiego Stowarzyszenia dla Podniesienia Poziomu Ludności Kolorowej, Benjamin Hooks, oświadczył, że „Young stał się barankiem ofiarnym na ołtarzu okoliczności, na które nie miał wpływu”. Dodał, że zamiast utracić tę robotę z takiego powodu, Young „powinien był otrzymać medal od prezydenta” za swoje „wspaniałe zagranie dyplomatyczne”.

Pastor Jesse Jackson, późniejszy kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych, powiedział: „wymuszona dymisja spowodowała, że w całym kraju odczuwa się olbrzymie napięcie” i dodał, że stosunki między Żydami i Murzynami są „tak złe, jakich nie było od 25 lat”.

Sam Young zapowiedział, że nie dojdzie do polaryzacji między przywódcami żydowskimi i murzyńskimi, ale będzie „coś w rodzaju konfrontacji między przyjaciółmi”. Twierdził że rodząca się postawa czarnej społeczności wobec Bliskiego Wschodu „nie powinna w żadnym wypadku być uznana za antyżydowską. Może jednak być propalestyńska w innych formach niż dotąd. Jeśli tak będzie, to społeczność żydowska

263

będzie musiała znaleźć taki stosunek do tego, aby nie popaść w antymurzyńskość”.

Inni przywódcy murzyńscy chcieli się dowiedzieć, dlaczego Young został wyrzucony za spotkanie z OWP, podczas gdy wybitny przywódca żydowski, ambasador Stanów Zjednoczonych Wolf, nie został usunięty, mimo że miał z przedstawicielem OWP kilka spotkań. Oczywiście główna różnica polegała na tym, że Wolfa nie schwytano na kłamstwach.

Głównym wygranym w całej tej grze intryg była — jak się wydaje

— OWP, a nie Izrael. Coraz liczniejsze czarne organizacje amerykańskie zgłaszały poparcie dla Younga, a przemilczana na ogół dotąd przez środki przekazu sprawa Palestyńczyków nagle zaczęła się cieszyć życzliwą uwagą.

W końcu sierpnia pastor Joseph Lowery, przewodniczący Południowej Konferencji Przywództwa Chrześcijańskiego, stanął na czele delegacji do Nowego Jorku i przekazał Terziem bezwzględne poparcie „dla praw ludzkich wszystkich Palestyńczyków, w tym prawa samookreślenia w spra-

wie ich kraju rodzinnego". Następnego dnia grupa oświadczyła w czasie spotkania z ambasadorem Blumem, że „nie zamierza przeproszać za poparcie palestyńskich praw obywatelskich, tak jak nie przeprosza OWP za stałe poparcie dla Izraela". Blum miał podobno odpowiedzieć: „to nonsens porównywać nas z OWP. Zupełnie jakby ktoś porównywał przestępców z policją".

Po tygodniu dwustu amerykańskich przywódców murzyńskich spotkało się w centrali Stowarzyszenia dla Podniesienia Poziomu Ludności Kolorowej w Nowym Jorku i oświadczyło: „niektóre organizacje żydowskie

i paru żydowskich intelektualistów, których kiedyś identyfikowano z dążeniami czarnych Amerykanów... stały się obrońcami rasowego status quo... Żydzi powinni okazać więcej zrozumienia dla innych i gotowości do częstszej

wymiany poglądów, zanim zajmą postawę sprzeczną z najśluszniejszymi interesami czarnej społeczności".

Grupa jedenastu organizacji żydowskich odpowiedziała, że „odnotowuje to oświadczenie ze smutkiem i z gniewem. Nie możemy pracować z tymi, którzy uciekają się do półprawd, kłamstw i fanatyzmu, niezależnie od tego pod jakim przebraniem występują i z jakich źródeł pochodzą... Nie możemy pracować z tymi, którzy ustępują przed arabskim szantażem”.

Tygodnik „Time” z 8 października zamieścił zdjęcie Jesse Jacksona obejmującego Jassera Arafata w czasie misji bliskowschodniej, podjętej samodzielnie, gdy Begin odmówił spotkania się z nim motywując to jego sympatią dla OWP. Jackson nazwał tę odmowę „odrzuconiem czarnych

264

r

z Ameryki. Rezygnacją z ich poparcia i pieniędzy”. W czasie tej samej podróży towarzyszący Jacksonowi, Lowery wtórował Arafatowi przy chóralnym wykonaniu pieśni „We shall overcome” („Przezwyćziemy” — mającej charakter hymnu emancypacyjnego. — tłum.).

W tym samym miesiącu, ale później, szef Amerykańskiej Ligi Miast, Vernon E. Jordan jr., próbował uciszyć wzburzone fale oświadczając w przemówieniu w Kansas City: „Nierozważne flirty z grupami terrorysty-

cznymi, których celem jest likwidacja Izraela, nie powinny zagrażać stosunkom murzyńsko-żydowskim. Czarny Ruch Praw Obywatelskich nie ma nic wspólnego z grupami, których roszczenia do legalności podważają popełnione z zimną krwią morderstwa niewinnych cywilów i dzieci szkolnych".

Jackson, który nazwał OWP „rządem na wygnaniu", spotkał się z Jordanem w Chicago, po czym Jordan wyjaśnił: „Zgodziliśmy się, że nie będziemy się zgadzać, nie będąc w wyniku tego wzajemnie dla siebie niemili".

Inaczej zachował się Moshe Dajan. W październiku 1979 zmęczony twardą linią Begin'a wobec Palestyńczyków Dajan podał się do dymisji. Zrobił to w środku niedzielnego porannego posiedzenia rządu, otwierając Beginowi drogę do przejęcia Ministerstwa Spraw Zagranicznych. W wywiadzie, jakiego udzielił po tym szefowi jerozolimskiego biura tygodnika „Time", Deanowi Fischerowi, i korespondentowi Davidowi Halevy, Dajan powiedział: „Palestyńczycy chcą pokoju. Dojrzeli już do jakiegoś uregulowania. Jestem przekonany, że jest to wykonalne".

Może. Ale nie dożył tego.

Cała sprawa otworzyła drogę kilku innym operacjom związanym ze zbieraniem informacji od kongresmenów. Wydawało się bowiem, że zyskano milczące przyzwolenie. Wszyscy oni musieli coś wiedzieć o udziale

Mosadu w tej sprawie, ale nic się nie wydarzyło. Nikt nie powiedział ani słowa. W pracy wywiadowczej tak się zwykle dzieje, że jeśli ktoś widzi, że

ktoś inny działa i zaczyna patrzeć w drugą stronę, to ten działający uzna to za zachętę do jeszcze bardziej zuchwałego postępowania i będzie się tak zachowywał tak długo, póki nie dostanie po łapach lub w łeb.

AL zbierał nagrania z różnych domów, zdobywał dane z Senatu i z Izby, szukał kontaktów, wciskał się w różne środowiska, werbował, zdobywał kopie dokumentów, otwierał niekiedy worki dyplomatyczne,

265

jednym słowem przeprowadzał wszystkie normalne działania stacji. Katsa chodzili na przyjęcia w Nowym Jorku i Waszyngtonie. Wszyscy prowadzili jakieś własne interesy. Jeden z nich miał firmę usług konwojenckich, która istnieje do dziś.

Mosad nadal nie przyznaje się do istnienia AL. W Instytucie powtarza się, że Mosad nie pracuje w Stanach Zjednoczonych. Ale większość mosadowców wie, że AL istnieje, nawet jeśli nie wie dokładnie, czym się zajmuje. Najlepszy dowcip w tym wszystkim jest taki, że gdy wybuchła w LAKOM sprawa Pollardów, ludzie Mosadu powtarzali w kółko „jedna rzecz jest pewna, my nie pracujemy w Stanach Zjednoczonych”.

To tylko wskazuje, że na ogół słowo szpiega znaczy niewiele.

Rozdział XV

Operacja Mojżesz

Pamiętnego dnia ośrodek był pełen gości. Dyplomaci zagraniczni, którzy schronili się przed dusznym upałem Chartumu, turyści z całej Europy pragnący nauczyć się techniki nurkowania w Morzu Czerwonym lub delektować się wyprawami na Pustynię Nubijską, wyżsi urzędnicy sudańscy i inni. Wszyscy odpoczywali w nowo zbudowanym komfortowym ośrodku turystycznym — w odległości 75 mil od Portu Sudan, na brzegu morza, prawie naprzeciw tej części Arabii Saudyjskiej, gdzie po drugiej stronie Morza Czerwonego znajduje się Mekka.

Czyż mogli się domyślać, że tu też przechodził front Mosadu? Otóż kiedy pewnego poranka na początku stycznia 1985 r. goście zeszli na śniadanie, stwierdzili, że poza kilku kelnerami przygotowującymi posiłki cała personel znikł. Nikt nie mógł powiedzieć, co się nagle stało. I do dziś nie mają pojęcia. Dla legalnych turystów europejscy właściciele ośrodka oficjalnie zbankrutowali — takie w każdym razie pozostawiono informacje, choć zapewniono ich, że otrzymają odszkodowanie, co też się stało. Personel — czyli funkcjonariusze Mosadu albo izraelscy marynarze — znikli zostawiając dużo zapasów żywności oraz cztery autobusy, które miały przewieźć turystów do Portu Sudan.

Pora więc opowiedzieć o historii jednej z największych masowych ucieczek, do sprawy, która tylko częściowo znana jest światu jako „Operacja Mojsz”. Miała ona na celu przewiezienie z nękaną suszą i rozdartą wojną Etiopii do Izraela tysięcy czarnych Żydów etiopskich — Falaszy.

Ukazało się już wiele publikacji dokumentujących tę izraelską śmiałą potajemną operację przerzucenia Falaszy z obozów dla uchodźców w Sudanie i Etiopii za pomocą wyczarterowanego belgijskiego Boeinga

267

707 z Trans-European Airlines. Latał on okrężną drogą z Chartumu lub Addis Abeby, przez Ateny, Brukselę i Rzym albo Bazyleę, do Tel Awiwu;

Opublikowane relacje — wszystkie inspirowane przez dezinformacyjne służby Mosadu — utrzymują, że dzięki tej krótkotrwałej operacji uratowano 12 tysięcy czarnych Żydów etiopskich. W rzeczywistości wywieziono 18 tysięcy, z tej liczby 5 tysięcy za pomocą owego samolotu belgijskiego, przez „ośrodek turystyczny” nad Morzem Czerwonym.

Na początku tego stulecia w Etiopii żyło kilkaset tysięcy Falaszy. W latach osiemdziesiątych liczba ich skurczyła się do najwyżej 25 tysięcy osób, rozrzuconych głównie w odległej, północno-zachodniej prowincji

Gondar. Przez dwa stulecia Pałasze tęsknili za Ziemią Obiecaną, ale dopiero w 1972 r. Izrael uznał ich oficjalnie za Żydów. Główny rabin sefardyjski (Sefardyjczycy — Żydzi wypędzeni w XV w. z Hiszpanii, zamieszkali potem w krajach Płn. Afryki i na Bliskim Wschodzie, w większości przybyli już do państwa Izrael — tł.) zadeklarował, że Falasze

należą „niewątpliwie do plemienia Dań”, żyjącego na biblijnej ziemi Hawile — obecnie południowa część Półwyspu Arabskiego. Wierzą oni w Torę — żydowską świętą księgę, dokonują obrzezania i obchodzą Sabat oraz przestrzegają zasad związanych z koszernym jedzeniem. Jak na ironię dla rabinackiego orzeczenia jednym z kluczowych dowodów, że Falasze są Żydami, był fakt, iż nie obchodzili Hanuki. Święto to czci się dla upamiętnienia zwycięstwa Judy Machabeusza nad Antiochem IV w 167 r. przed Chrystusem, gdy Świątynia została przywrócona Żydom. (Chodzi o tzw. drugą świątynię Jahwy w Jerozolimie; była głównym miejscem kultu

religijnego — tł.) Wydarzenie to trudno zaliczyć do historii Falaszy, gdyż opuścili oni Izrael wraz z królową Saba na długo wcześniej, jeszcze w okresie panowania Salomona (król starożytnego Izraela w X w. p.Ch.).

Na podstawie orzeczenia rady rabinackiej komisja rządowa uznała, że na tę grupę Etiopczyków rozciąga się izraelska „Ustawa o Powrocie”. Prawo to określa, że z chwilą przybycia do Izraela każdy Żyd staje się automatycznie obywatelem tego państwa.

Gdy w 1977 r. Menachem Begin został szefem rządu, przysiągł, że

pomoże Pałaszom w przeniesieniu się do Ziemi Obiecanej. Ale w rezultacie

wojny domowej, która wybuchła w Etiopii na początku lat siedemdziesiątych, przywódca etiopski Mengistu Haile Mariam wydał rozkaz surowego karania każdego Etiopczyka, który usiłuje zbiec z kraju. Begin wypracował

268

więc tajny plan, który przewidywał, że w zamian za umożliwienie wyjazdu Falaszy — którzy są jeszcze w Etiopii, jak i tych, którzy znaleźli się w sudańskich obozach dla uchodźców, Izrael dostarczy Etiopii broń.

6 lutego 1978 r. izraelski minister spraw zagranicznych, Moshe Dajan, zdradził się dziennikarzowi radiowemu w Zurichu, że Izrael sprzedaje broń

do Etiopii. Do tego wydarzenia zaledwie 122 czarnych Żydów opuściło Addis Abebę Haile. Mariam, który chciał utrzymać całą sprawę w tajemnicy, odwołał rozpoczętą operację.

W 1979 r. gdy Begin i prezydent Egiptu Anwar Sadat podpisali porozumienie Camp David, Begin poprosił Sadata, by ten wymógł na prezydencie Sudanu Nimeirim zgodę na wyjazd do Izraela Falaszy znajdujących się w sudańskich obozach dla uchodźców. W ciągu kilku lat około 4 tysięcy Falaszy przedostało się do Izraela. Ale i ten plan nie został zrealizowany, ponieważ w 1981 r. Sadat zginął w zamachu, zaś Nimeiri przeszedł na fundamentalizm islamski.

W 1984 r. sytuacja stała się krytyczna. Falasze, tak jak inni Etiopczycy cierpieli od suszy i głodu. We wrześniu 1984 r. ówczesny wicepremier izraelski Icchak Szamir był w Waszyngtonie i poprosił amerykańskiego sekretarza stanu George'a Shultza, by Amerykanie, wykorzystując swe stosunki z Egipcjanami i Saudyjczykami, przekonali Nimeiriego do zgody na operację ratunkową pod osłoną międzynarodowej pomocy żywnościowej dla Etiopii. Sudan miał własne trudności z suszą i wojną domową na południu i skorzystał ze sposobności pozbycia się kilku tysięcy ludzi. Jednak i tym razem Sudańczycy i Etiopczycy zażądali całkowitej dyskrecji.

I rzeczywiście w okresie od listopada 1984 r. do stycznia 1985 r. operacja została utrzymana w tajemnicy. W pierwszym tygodniu stycznia 1985 r. ówczesny wiceprezydent USA George Bush, po otrzymaniu zgody Nimeiriego, wysłał do Chartumu samolot transportowy Hercules, który zabrał bezpośrednio do Izraela 500 Falaszy.

Ta część operacji była później szeroko opisana w książkach i gazetach. Wiedziało o niej wielu Amerykanów, Brytyjczyków, Egipcjan, Sudańczyków, Etiopczyków, jak również pracowników linii lotniczych w Europie. Wszyscy początkowo trzymali język za zębami, dopóki o operacji nie opowiedział małej gazecie osiedleńców żydowskich na Zachodnim Brzegu, „Nekuda”, wyższy funkcjonariusz Agencji Żydowskiej — Jehuda Dominik. Przekreśliło to nie tylko operację, którą ujawnił, ale również całą

akcję

przeprowadzaną w głębokiej tajemnicy przez Mosad na wybrzeżu Morza Czerwonego.

269

Kręgi dziennikarskie w Izraelu wiedziały o trwającej operacji, w każdym razie tyle, ile chciał przekazać urząd premiera i Mosad. Ale nic nie publikowano. W Izraelu istnieje komitet wydawców (Vaadat Orchim) skupiający przedstawicieli najważniejszych, środków masowego przekazu. Komitet spotyka się regularnie z wysokimi funkcjonariuszami rządowymi, aby omówić główne wydarzenia. Telewizja izraelska znajduje się pod kontrolą rządową, podobnie jak radio — z wyjątkiem jednej pirackiej rozgłośni.

Dziennikarze są karmieni spreparowanymi przez rząd historyjkami, ale przedstawiają je jako własne, biorąc udział w tym oszustwie. Zabiera się dziennikarzy również z różnymi misjami, ale relacje są publikowane tylko wtedy, gdy uznaje się, że leży to w interesie Izraela. Niektórzy uważają, że taki system jest lepszy od cenzury (choć cenzura też działa).

Jak tylko pojawiła się wiadomość o operacji z Pałaszami, Arabowie zareagowali natychmiast i tak jak można było przewidzieć. Libia zażądała zwołania nadzwyczajnego posiedzenia Ligi Arabskiej, a prasa w krajach arabskich oskarżyła Sudan o współpracę z Izraelem. Rząd sudański

zdementował swój udział w przewozie Pałaszy, a jego minister Haszem Osman zaapelował nawet do dyplomatów arabskich, afrykańskich i azjatyckich o potępienie Etiopii, która „zamyka oczy” na exodus Falaszy, gdyż otrzymuje za to od Izraela pieniądze i broń. Etiopski minister spraw zagranicznych, Guszu Wolde, odpowiedział oskarżeniem Sudanu o przekupywanie „wielu etiopskich Żydów, by uciekli z Etiopii”. Kuwejski dziennik „Al Rai al A'arn” stwierdził zaś: „Szmuglowanie etiopskich Żydów przez Sudan nie jest jakimś pojedynczym incydem, ale jeszcze jednym ciosem zadany narodowi arabskiemu”.

Można sobie wyobrazić przerażenie, jakie by ich wszystkich ogarnęło, gdyby znali całą prawdę.

W czasie operacji premier Szimon Peres oświadczył publicznie: „Nie spoczniemy, dopóki nasi bracia i siostry z Etiopii nie powrócą bezpiecznie do domu”. Wiosną 1984 r., gdy sytuacja głodujących Falaszy stawała się coraz trudniejsza, Peres podjął działania, by jego marzenia stały się rzeczywistością. W tym samym czasie, gdy prowadzone były rozmowy w sprawie przelotów przez Brukselę, Peres wezwał ówczesnego szefa Mosadu Nahuma Admony, by zorientować się, czy może on opracować plan uratowania większej liczby Falaszy.

270

Admony, który uznał, że sprawa jest bardzo pilna, otrzymał od Peresa zgodę na wykorzystanie wszelkich możliwości poza Mosadem, bez wzglę-

du na to, czy będą to środki cywilne czy wojskowe.

Po spotkaniu Admony wezwał ówczesnego szefa Cafririm („poranna bryza”) Dawida Arbela.

Cafririm — jak już wiadomo, jest wydziałem, którego zadanie polega na ratowaniu zagrożonych Żydów.

Wydział Arbela odpowiadał za tworzenie na całym świecie, także w niektórych częściach LISA, gdzie antysemityzm jest traktowany jako zagrożenie, żydowskich grup obrony, zwanych „zrębami” (misgerot). Do pomocy dla tych „zrębów” Mosad często werbuje Żydów różnej specjalności, na przykład lekarzy. Zwykle szefami tych placówek w różnych krajach są byli funkcjonariusze Mosadu, już wycofani za służby czynnej. Zajęcie to traktowane jest jako swego rodzaju premia za wierną służbę. Są to ludzie z dużym doświadczeniem, dlaczego więc ich nie wykorzystać?

Głównym zadaniem wydziału i tych placówek jest pomoc przywódcom żydowskich wspólnot poza Izraelem w zapewnieniu samoobrony. Część tego zadania realizują hets va-keshet, czyli „łuk i strzała” — izraelskie młodzieżowe oddziały paramilitarne. Wszyscy młodzi Izraelczycy, zarówno chłopcy jak i dziewczęta, należą do eduday noar i v r y („batalion młodzieży hebrajskiej”). Często także młodzi z innych krajów spędzają lato w Izraelu, ucząc się jak stosować środki bezpieczeńst-

wa, rozbijać namioty, posługiwać się karabinem snajperskim i pistoletem Uzi. Uczą się też konstruowania schowków na broń i dokumenty, sprawdzania warunków bezpieczeństwa. Zapoznają się również z elementarną wiedzą o zbieraniu informacji wywiadowczych.

Rządowi oficjele nie aprobowali nigdy jakiegokolwiek innej działalności „zrębów” niż samoobrona. O tym, że chodzi o coś znacznie więcej, wiedzieli funkcjonariusze Mosadu. Tak więc Icchak Szamir wiedział, ale Peres, który nigdy nie był człowiekiem Mosadu, nie miał o niczym pojęcia, mimo że zajmował stanowisko premiera. Izrael nie sprzedaje broni bezpośrednio do zagranicznych „zrębów”. Zaopatrują się one w nią drogą pośrednią, przez znanych Mosadowi handlarzy bronią.

Mosad nie traktuje „zrębów” jako aparatu do zbierania informacji, chociaż szefowie stacji zdają sobie sprawę, że najkrótsza droga do chwały prowadzi przez użyteczne informacje. Natomiast wielu spośród młodych szkolonych na letnich obozach w Izraelu staje się później sayanim, zawsze

271

gotowymi pomóc i odznaczającymi się nieustraszością. Już zresztą się sprawdzili. Za wyjątkiem Kanady i większości obszaru Stanów Zjednoczonych wspólnoty żydowskie poza Izraelem wszędzie mają „zręby” — wyszkolone i uzbrojone — gotowe do samoobrony w każdej potrzebie.

Jednakże dla przeprowadzenia tej operacji Mosad zwerbował innych pomocników. Po spotkaniu z Admonym Arbel wezwał wszystkich wyższych funkcjonariuszy Cafririm. Powiedział im: „Chcę mieć swoje Entebe. Chcę, by moje imię przeszło do historii”. Stwierdził, że zamierza wyciągnąć z Sudanu tak wielu Pałaszów, jak tylko będzie to możliwe: „Po prostu wszystkich”. I polecił opracowanie odpowiedniego planu.

Wydział Arbela działał opierając się na bardzo skromnym budżecie. Ale tym razem było jasne, że otrzyma wszystko, czego potrzebuje. Bezpośrednie kierownictwo całego przedsięwzięcia przejął Hajem Eliaze, który stał na czele sekcji odpowiedzialnej za tajne operacje ratowania Żydów na obszarach przeciwnika. Eliaze otrzymał polecenie jak najszybszego przygotowania planu operacyjnego.

W ciągu trzech dni Eliaze przeprowadził ze swymi ludźmi „burzę mózgów”. Spotkania te odbywały się w ich biurze znajdującym się poza budynkiem głównej kwatery Mosadu, przy ulicy Ibn Gewirol, na piętrze, tuż nad ambasadą Afryki Południowej w Tel Awiwie. Na ścianach pomieszczenia znajdowały się plastyczne mapy i wszelkie informacje o Sudanie. Każdy po kolei przedstawiał swoje oceny sytuacji oraz własne wnioski i projekty. W większości obozy Pałaszów były rozlokowane w rejonach Kassala i Alatarch, na zachód od Chartumu, w kierunku granicy etiopskiej. Z miejsca uznano, że nie można liczyć na pomoc sudańskich rebeliantów na południu, którzy przez lata walczyli przeciw rządowi centralnemu.

Podczas jednego ze spotkań ktoś przypomniał incydent koło Magna, na północno-zachodnim krańcu Morza Czerwonego. Na izraelskim kuterze torpedowym niesprawnie działał radar, a równocześnie uszkodził się żyrokompas. W rezultacie kuter zszedł z kursu i nocą zarył się na saudyjskim brzegu. O mało co nie doszło do międzynarodowej awantury. W ciągu kilku godzin na wezwanie kutra na pomoc przybyli komandosi marynarki wojennej. Usunięto dokumenty, a załogę przeprowadzono na drugi kuter. Komandosi zbudowali na brzegu umocnienia, aby bronić swoich pozycji, jeśli powstanie taka potrzeba. Gdy słońce wzeszło, ukazał się dziwny widok: izraelski kuter torpedowy strzeżony przez komandosów siedzących na saudyjskim piasku.

272

. Między Izraelem i Arabią Saudyjską nie było żadnych kontaktów. Przedstawiciele Izraela poprosili więc Amerykanów o przekazanie Saudyjczykom, że nie jest to inwazja, lecz tylko nieszczęśliwy wypadek.

Izraelczy-

cy ostrzegli także, iż jeśli ktokolwiek zbliży się do kutra, będzie zabity.

Saudyjczycy wysłali swoich obserwatorów. Osiągnięto porozumienie, że jeśli komandosi opuszczą swoje umocnienie na brzegu, Saudyjczycy pozwolą Izraelczykom na zabranie kutra.

Początkowo chciano kuter wysadzić w powietrze, ale marynarka nie

zgodziła się (kilkanaście takich kutrów sprzedano później do Afryki Południowej, która używa ich do dziś). Marynarka znalazła inne rozwiązanie. Ściągnięto helikopter, który rozpylił na całym kadłubie kutra płynny styropian. Kuter został połączony liną z dwoma innymi, które wyrwały pechowy okręt z brzegu i odholowały go do portu w Ejlat.

Jak zwykle bywa podczas „burzy mózgów”, dawne historyjki nasuwają różne pomysły. I tym razem ktoś zauważył: „Chwileczkę. Mamy przecież teraz prawo przepływania tuż obok wybrzeża sudańskiego. Możemy więc posłać tam nasze kutry torpedowe. Może więc tą drogą zabrać Pałaszy?”.

Pomysł ten zaczęto nawet rozważać, ale w końcu go odrzucono z prostego powodu: trzeba za wiele czasu, by załadować tych ludzi. Może to ktoś zauważyć. Inny pomysłodawca proponował założenie czegoś w rodzaju stacji na wybrzeżu.

Po długich dyskusjach przyjęto projekt utworzenia klubu i szkoły dla płetwonurków. Był tam już ktoś, kto prowadził tzw. klub. Co prawda czas spędzał głównie na nurkowaniu i włóczeniu się i mało zajmował się instruktażem i pożyczaniem sprzętu, ale jego obecność była już tam ugruntowana. Uznano, że jeśli rząd w Chartumie zgodzi się na utworzenie ośrodka turystycznego, to będzie można go wykorzystać.

Do Chartuma pojechał Jehuda Gil, który znał język arabski, był jednym z bardziej doświadczonych katsa. Wystąpił jako przedstawiciel turystycznej firmy belgijskiej, która chce w Sudanie zająć się sportem pływackim na Morzu Czerwonym i organizacją wycieczek na pustynię sudańską. Zwykle katsa nie są posyłani do krajów arabskich, bo bardzo dużo wiedzą i w razie wpadki mogą być zmuszeni do podzielenia się tą wiedzą z przeciwnikiem, ale tym razem, ze względu na nadzwyczajną sytuację, postanowiono zaryzykować.

Zadaniem Gila było uzyskanie koniecznych zezwoleń, także za pomocą łapówek, by przyspieszyć realizację turystycznych planów. Wynajął on w północnej części Chartumu dom, gdzie umieścił swych pracowników.

18 Wyznania szpiega

273

Tymczasem inny człowiek Cafririm poleciał także do Chartumu, a następnie do Portu Sudan, aby porozumieć się z facetem prowadzącym ów mały klub dla pływacków. Szczęśliwie człowiek ten był już znudzony tym miejscem i po pewnych targach zgodził się przenieść do Panamy (do dziś prowadzi tam życie klasycznego plażowego właścyci); i klub sprzedał.

Początkowo Mosad wyobrażał sobie tę operację jako jeszcze jeden „Magiczny dywan” (przetransportowanie samolotem Hercules do Izraela Żydów z Jemenu na początku lat pięćdziesiątych). Postanowiono już, że użyje się do wywiezienia Falaszy potężnych Herculesów. Ale przedtem trzeba było dla osłony tej operacji znacznie rozbudować ośrodek turystyczny. Gil już załatwił rejestrację nowej firmy i organizował legalne wycieczki z Europy, by ściągnąć gości do ośrodka. Wkrótce odkryto, że ok.

100 jardów od brzegu na głębokości 65 stóp znajduje się zatopiony statek. Był on dobrym celem do nurkowania, a zarazem atrakcją turystyczną.

Na miejscu przyszłego ośrodka wśród lokalnych mieszkańców zwerbowano pracowników pomocniczych. W Tel Awiwie zaś rekrutowano kucharzy, instruktorów nurkowania i innych członków kwalifikowanego personelu.

Poszukiwano ludzi władających francuskim lub angielskim. Najcenniejsza była jednak znajomość arabskiego, gdyż pozwalała na rozumienie rozmów dyplomatów arabskich i oficjeli, którzy przybędą do ośrodka jako goście.

Rekrutację prowadzono wśród ludzi, którzy brali już udział w operacjach Cafririm. Kandydaci przechodzili następnie przez szkolenie wy-

wiadu marynarki, by występować potem jako instruktorzy.

35-osobowa grupa Izraelczyków zajęła się budową ośrodka. Każdy miał odpowiednie dokumenty. Czasu było mało, więc całą operację przeprowadzano w kilku zespołach. Miejscowi budowlani pracowali w czterech grupach — każda co czwarty dzień. Zaś w nocy przychodzili Izraelczycy, by przyspieszyć roboty. Ze względu na system zmianowy nikt z miejscowych nie miał żadnych podejrzeń, gdy dostrzegł, że jakaś część budynku jest już wykończona.

Izraelscy pracownicy byli często zmieniani. Nie załatwiano papierów dla każdego oddzielnie. Mieli dokumenty, które przechodziły z jednej grupy na następną — z tymi samymi nazwiskami.

Ośrodek otrzymał zezwolenie na sprowadzenie tylko trzech pojazdów — jeden land rover i dwie lekkie ciężarówki. W rzeczywistości było tam dziewięć ciężarówek. Po prostu zrobiono duplikaty tablic rejestracyjnych i kart wozu i maszyny maskowano.

Cała operacja o mało co nie załamała się wskutek idiotycznej wpadki. Ktoś zdecydował, że trzeba nocą przywieźć samolotem darń. Kiedy rano przyszli miejscowi pracownicy, ku swemu zdumieniu zobaczyli nagle wielki zielony trawnik. I to w miejscu, gdzie przez wieki nie było nic innego

prócz

piasku. W jaki sposób w ciągu nocy wyrosła tu trawa? I nawet jeśli ktoś chciałby tłumaczyć, że to darń ułożona na piasku, to gdzie ją można znaleźć

w Sudanie? Szczęśliwie, miejscowi pracownicy tylko popatrzyli ze zdziwieniem i zabrali się do swojej roboty.

Tymczasem w Chartumie Gil przygotował prospekty reklamujące klub i rozprowadził je w biurach podróży w Europie, oferując specjalne indywidualne zniżki. Ośrodek w ogóle nie nastawiał się na grupy.

W grupach ludzie się zwykle znają i bardziej się wszystkim interesują.

Budowa ośrodka trwała około miesiąca. Oprócz głównego budynku dla turystów, kuchni, sypialń itp. postawiono też kilka pawilonów dla sprzętu komunikacyjnego i broni (Mosad nie mógł tu przebywać nieuzbrojony). Do pomieszczeń tych przeszmygowano też wszystko, co jest potrzebne do oświetlenia zaimprovizowanego lądowiska na pustyni:

różnego rodzaju światła, urządzenia do określania kierunku wiatru i odległości.

Żywność i inne zaopatrzenie przywiózł kuter torpedowy, który zacumował kilka jardów od brzegu, około pół mili od ośrodka. Na budowie pracowało jeszcze kilku miejscowych robotników, trzeba było więc tak wszystko urządzić, by któryś z nich nie dostrzegł wyładunku.

Inni mosadowcy w tym czasie załatwiali sprawę czarteru belgijskiego. Wymagało to ogromnych łapówek. Pobrał je także gen. Omar Mohamed Al-Tajeb — były wiceprezydent, a w okresie rządów Nimeiriego szef bezpieczeństwa. Za udzielenie pomocy w ucieczce Falaszy w kwietniu 1986

r. skazany został dwukrotnie na śmierć i grzywnę w wysokości 24 milionów funtów sudańskich.

W trakcie tych przygotowań główna kwatera Mosadu dostała wiadomość, że jeden z wyższych urzędników sudańskich za przyspieszenie załatwienia dokumentów dla Falaszy żąda roweru z 10 przekładniami.

Coś

takiego nie zdarza się w tym interesie, więc Mosad poprosił swój kontakt o wyjaśnienie. Ale nadeszło potwierdzenie „zamówienia”. W Mosadzie

275

zastanawiano się, czy chodzi o złoto o wadze roweru, czy też w grę wchodzi

jakiś nieznany szyfr. Pytanie powtórzono jeszcze raz. Odpowiedź też była identyczna. Rzeczywiście chodziło o rower. Posłano więc owemu Sudańczykowi ostatni model firmy Raleigh.

Tymczasem w ośrodku analizowano dane dotyczące działania sudań-

kiego radaru. Doszukano się luki w tym systemie. Okazało się, że górski rejon Rosal-Hadaribah, blisko granicy sudańsko-egipskiej, tylko częściowo pokrywały radary egipski i saudyjski; przelot na niskim pułapie może tam być niezauważalny.

Zdecydowano więc, że samolot Hercules wystartuje z bazy wojskowej Uwda w Ejlacie, polecą nad Zatoką Akaba i Morzem Czerwonym aż do szpary w systemie radarowym przeciwnika, a potem na lądowisko przygotowane na pustyni. Dla znalezienia właściwego miejsca owego lądowiska sprowadzono do ośrodka czterech izraelskich pilotów, którzy występowali jako przewodnicy pustynni. Dzięki temu mogli legalnie poruszać się po terenie, zaznaczając na mapach upatrzone punkty. Pouczyli też personel ośrodka, jak przygotować lądowisko, dając wskazówki dotyczące rozmiarów pasa startowego, rozmieszczenia świateł, montowania łączności.

Pewnego dnia pracownik Cafririm zabrał jednego z pilotów do

Chartumu. Znaleźli się w willi miejscowego biznesmena. Był tam również Gil. Zarówno on, jak i człowiek z Cafririm wiedzieli, o jaki biznes chodzi, zaś pilot myślał, że Gil jest rzeczywiście biznesmenem. Gdy gospodarz wyszedł na chwilę, przedstawiciel Cafririm zapytał Gila o jego interesy. Gil zaś spytał: „A czym ty się zajmujesz?”.

— O, ja jestem szpiegiem izraelskim.

Pilot zbladł. Inni się zaśmieli, ale pilot już w ogóle nie odezwał się. Po wyjeździe z Chartumu już po kilku milach pilot nagle krzyknął na swego towarzysza „Ty idioto. Nie mów tego nawet żartem"! Trzeba było 15 minut, by uspokoić pilota.

Wyciągnięcie Pałaszy z obozów było poważnym wyzwaniem dla organizatorów operacji. W tym czasie znajdowały się tam setki tysięcy czarnych Etiopczyków, którzy zbiegli od wojny i głodu w swoim kraju i rozsypali się po sudańskich obozach dla uchodźców. Problem polegał więc na tym, jak z tego tłumu wyłuskać Falaszy.

Dla wykonania tego zadania zwerbowano Pałaszy, którzy już byli bezpieczni w Izraelu. Zgodzili się wrócić do obozów, by zorganizować

276

swych ludzi w grupy. Falasze szybko dowiedzieli się o tym, ale nic nie przeniknęło poza tę wspólnotę. Zresztą operacja miała się już rozpocząć.

W marcu 1984 r. do ośrodka przybyli pierwsi turyści europejscy.

Wiść o wspaniałym ośrodku rozniosła się wśród dyplomatów w Chartumie. Wszystkie miejsca zostały zarezerwowane. Najpierw był to więc sukces komercyjny. W pewnym momencie Mosad zabawiał się nawet pomysłem, by doprowadzić do zwołania w ośrodku spotkania przywód-

ców OWP. Oni czuli się w Sudanie bezpiecznie, było to przecież — przez morze — naprzeciw Mekki. Rozważano więc porwanie przywódców OWP i przewiezienie ich kutrem torpedowym do Izraela.

Nadszedł moment rozpoczęcia ostatniej fazy całego przedsięwzięcia. Określono już miejsce na lądowisko, ustalono też punkt, w którym Falasze załadują się na ciężarówki, które po sześciu godzinach jazdy dostawią ich do samolotu. Przewidywano, że za każdym razem będzie około 100 osób. Ale często pojawiało się przy ciężarówkach dwa razy tyle osłabionych, wychudzonych ludzi, ściśniętych pod brezentem podczas długiej, wyboistej jazdy. Setki Pałazy wyniszczonych głodem i chorobami zmarły na tym etapie podróży, zaś setki innych już na pokładzie samolotu Hercules. Ponieważ uznani zostali za Żydów, ciała były zabierane do Izraela, by tam odbyły się właściwe pogrzeby.

Przed każdą wyprawą ciężarówek izraelskie samoloty rozpoznawcze lokalizowały sudańskie posterunki drogowe (zwykle stawiane późnym popołudniem) i powiadamiały o nich ośrodek drogą radiową.

Pierwszej nocy wszystko wydawało się iść bardzo gładko. Falasze spotkali się w wyznaczonym punkcie na pustyni; pomyślnie ominęli posterunki drogowe. Przyjechali na lądowisko na długo przed przybyciem Herculesa. Kiedy wylądował, Falasze, którzy nigdy nie widzieli takiej maszyny z bliska, przypatrywali się ogromnemu ptakowi, który lecąc

przeciw wiatrowi osiadł na ziemi, potem zawrócił i zbliżył się do nich wznosząc w górę piasek i pył. Wystraszeni Falasze rozpierzchli się w ciemności, usiłując się gdzieś schować, by uchronić się od tej przerażają-

cej maszyny. Izraelczykom udało się odszukać tylko około 20 spośród przywiezionych Falaszy. Inni jakby zapadli się pod ziemię. Postanowiono więc, że Hercules odleci tylko z tą garstką, a resztę zabierze następnej nocy.

277

Rano znaleziono wszystkich z wyjątkiem starszej kobiety. W jakiś cudowny sposób przeżyła powrotną wędrówkę do obozu i dopiero później pojechała do Izraela, już z inną grupą. Od tamtej nocy Falaszy trzymano w ciężarówkach do chwili lądowania i zatrzymania się Herculesa, gdy wejście do samolotu zostało już otwarte. Wówczas ciężarówki podjeżdżały bezpośrednio pod stopnie samolotu, gdzie następowała przesiadka.

Dopóki w świat nie wydostały się informacje o tej operacji, tajna akcja pustynna „Mojżesz” nie stwarzała większych trudności. Loty odbywały się prawie każdej nocy i często w ruchu znajdowały się jednocześnie dwie—trzy maszyny, aby w jak najkrótszym czasie przewieźć jak najwięcej Falaszy.

Raz tylko zdarzył się wypadek. Pusta ciężarówka jadąca z lądowiska

wpadła na posterunek drogowy. Kierowca i pasażer nie mieli odpowiednich dokumentów. Dwaj żołnierze sudańscy z tego posterunku zatrzymali ich, związali i położyli pod pobliskim namiotem. Posterunki drogowe miały za zadanie utrudniać działalność rebeliantów z południa. Były jednak słabo obsadzone, nie miały środków łączności i pozostawiano je samym sobie na kilka dni.

Gdy ciężarówka nie powróciła do ośrodka, wysłano grupę poszukiwawczą. Natrafiono na ciężarówkę i szybko opracowano plan działania. Ratownicza ciężarówka podjechała do posterunku. Kierowca krzyknął do więźniów, by położyli się. Żołnierze sudańscy zbliżyli się do wozu, z którego zaterkotał karabin maszynowy. Obaj Sudańczycy zostali dosłownie przecięci. Izraelczycy podpalili namiot. Uruchomili zatrzymaną ciężarówkę, położyli kamień na pedale gazu i posłali wóz w głąb pustyni. Ws/ystko 10 miało upozorować partyzancki atak. W każdym razie wydarzenie to nie miało żadnych następstw.

W czasie całej operacji jedyną izraelską ofiarą był pasażer ciężarówki jadącej do Chartumu. Wóz natknął się na posterunek drogowy i gdy nie zatrzymał się, żołnierz przeciwnika strzelił. Pasażer zginął, ale kierowca umknął. Żołnierze sudańscy bez środków łączności i transportu mogli tylko sir/elać. dopóki ciężarówka znajdowała się w ich zasięgu.

Pewnej nocy na początku stycznia 1985 r. nadszedł z Izraela rozkaz natychmiastowego zwinięcia się. W Chartumie Jehuda Gil szybko spakował osobiste rzeczy, dokumenty i złapał najbliższy samolot lecący do

Europy, skąd poleciał do Izraela. W czasie gdy pensjonariusze ośrodka spokojnie spali. Izraelczycy załadowali cały sprzęt na okręty, a land rovera i dwie ciężarówki na Herculesa i niezauważenie wymknęli się z Sudanu.

278

Podczas ewakuacji Hajem Eliaze, który był odpowiedzialny za ośrodek, spadł z ciężarówki, gdy ładowano ją na samolot i złamał sobie nogę.

Ale dwie i pół godziny potem był już w Izraelu. Cieszył się pochwałami ze strony kolegów, ale żałował, że gadatliwy oficjel i dziennikarz nagle przerwali to, co być może było najbardziej udaną tajną misją ratunkową.

Niestety kilka tysięcy Falaszy pozostało w obozach. Operacja „Mojżesz” nie ulżyła ich niedoli. Działacz Falaszy, Baruch Tanga, powiedział:

„Całymi latami trudno było nam wyjechać. (...) Teraz gdy połowa naszych rodzin nadal tam się jeszcze znajduje, oni piszą o wszystkim. Jakżeż mogą to robić”?

Nie tylko Tanga miał takie odczucia.

Rozdział XVI

Ubezpieczenie portowe

W lecie 1985 r. prezydent Libii Muamar Kadafi stał się dla większości świata zachodniego ucieleśnieniem diabła. Reagan wierząc zapewne w to upoważnił lotnictwo wojskowe USA do zaatakowania Libii. Izraelczycy obciążyli Kadafiego odpowiedzialnością za ułatwienia dostaw broni dla Palestyńczyków i innych wrogów Izraela.

Werbowanie Libijczyków do współpracy z wywiadem jest trudne, gdyż nie są oni lubiani, a już to stanowi problem sam w sobie. Poza tym można ich rekrutować tylko w Europie, nie są oni bowiem wielkimi podróżnikami.

Libia ma dwa główne porty. Ten w stolicy kraju — Tripolisie oraz nad zatoką Wielką Syrta na wschodzie — w Benghazi. Wywiad izraelskiej marynarki wojennej rejestruje libijską aktywność morską, tym zajmują się regularne patrole wzdłuż całego Morza Śródziemnego. Izrael traktuje korytarz między Izraelem i Gibraltarem jako „kanał tlenowy”, gdyż jest to połączenie z Ameryką i większością krajów Europy.

Izraelczycy — dzięki współpracy z Włochami — mieli swoją podstację podsłuchową na Sycylii, podobnie jak Włosi. To jednak im nie wystarczało, bowiem Libijczycy, przy pomocy OWP i innych grup wywrotowych, wystawiali na niebezpieczeństwo wybrzeże, które Izrael traktuje jak „miękkie podbrzusze” — najmniej zabezpieczoną przed atakiem granicę, a przecież tam znajdują się największe skupiska ludności.

Znaczna część broni i amunicji dostarczanej OWP przywożona jest statkami z Libii, które płyną głównie przez Cypr albo trasą zwaną TNT:

z Tripolisu w Libii do Tripoli w Libanie. Izraelczycy otrzymywali też pewne informacje o działalności Libii z Centralnej Republiki Afryki i Czadu. Oba

280

te państwa brały udział w poważnych starciach granicznych z wojskami Kadafiego.

Mosad miał kilku „obserwatorów morskich”, którzy robili zdjęcia statków wpływających do portu. Zwykle byli to cywile, zwerbowani przez stacje w Europie. Działalność ta nie stanowiła jakiegoś niebezpieczeństwa, natomiast dawała wizualny obraz tego, co działo się w portach. Niekiedy udawało się stwierdzić, że na statku znajduje się ładunek z bronią — co jednak było najczęściej wynikiem szczęśliwego przypadku. Mosad potrzebował jednak bardziej szczegółowych informacji o statkach przychodzących lub wychodzących z Tripolisu i Benghazi.

Na jednym z zebrań, z udziałem pracowników wydziału analiz OWP i szefa oddziału C o met u, odpowiedzialnego za Francję, Zjednoczone Królestwo i Belgię, postanowiono zwerbować kontrolera ruchu portowego

lub kogoś innego z kapitanatu portu w Tripolisie, a więc człowieka, który miałby dostęp do informacji o ruchu statków i ich trasach. Mosad wprawdzie znał nazwy statków OWP, ale nie wiedział, gdzie one się aktualnie znajdują.

Jeśli więc chce się je zatopić lub przechwycić, trzeba je najpierw znaleźć. Wiele z nich płynąc trzymała się blisko brzegu, nazywa się to „drapaniem brzegu”, unikają w ten sposób otwartego morza, gdzie mogą być łatwo złapane przez radar. Trudno jest natomiast zlokalizować statek płynący blisko brzegu, bo na przykład na jego obraz nakładają się góry lub inny statek.

Nie ma więc pewności, co do jego tożsamości. Na Morzu Śródziemnym znajduje się równocześnie wiele statków. Znajduje się tam stale VI Flota USA, flota radziecka, są tu różnego rodzaju statki, w tym także handlowe z całego świata. Mosad nie ma więc tu pełnej swobody, nie może robić wszystkiego, na co by miałby ochotę. Poza tym kraje leżące wzdłuż wybrzeża śródziemnomorskiego mają swoje radary. Mosad musi być więc bardzo ostrożny.

O zdobywaniu specjalnych informacji w Libii łatwo się mówi, ale trudniej to zrobić. Wysłanie kogoś w celach werbunkowych niesie ze sobą ogromne niebezpieczeństwo. Mosad na próżno bił „kolektywnie” głową w mur przez wiele lat. W końcu, na jednym ze spotkań, pewien współpracownik, który pracował jako „dziennikarz” dla „Afrique-Asia”

(francuskojęzyczny tygodnik zajmujący się m.in. problematyką arabską) w Tunisie i Algierze, zaproponował na początek najprostszą drogę:

281

zatelefonować do portu w Tripolisie i znaleźć kogoś, kto ma potrzebne informacje. To pozwoli przynajmniej zawęzić poszukiwania. ;

Był to jeden z tych prostych pomysłów, które łatwo przeoczyć, gdy wchodzi się w skomplikowane szczegóły operacyjne. Zmontowano więc specjalne połączenie z Tel Awiwu do Tripolisu, ale tak by telefon działał z Paryża, z biura towarzystwa ubezpieczeniowego, które należało do sayana.

Katsa, który z niego zadzwonił, miał pełną osłonę jako agent

ubezpieczeniowy. Dysponował biurem z sekretarką. Kobieta taka nazywana jest bat leveyha („osoba towarzysząca”, ale nie w sensie seksualnym). Zwykle pochodzi z danego kraju i nie musi być Żydówką. Angażuje się ją jako pomocnika agenta i zleca konkretne zadania. Jest w pełni świadoma, że pracuje dla wywiadu izraelskiego.

Pomysł opierał się na koncepcji mikrim ve tguvot, czyli „akcje i reakcje”. Mosad planował akcję i musiał przewidzieć reakcję. Dla każdej reakcji planuje się odpowiednią następną akcję. Przypomina to

trochę gigantyczne szachy. Nie można z góry planować więcej niż dwóch reakcji, gdyż byłoby to zbyt złożone. Wszystko to jest częścią normalnego planowania operacyjnego i dotyczy każdego wykonanego ruchu.

W pokoju, z którego zadzwonił katsa, byli obecni również: szef wydziału OWP Menachem Dorfi szef psychiatrów Mosadu Gidon Naftali, który miał przysłuchiwać się rozmowie i natychmiast analizować i oceniać odpowiadającą przez telefon osobę.

Mężczyzna, który odebrał telefon, nie znał francuskiego i oddał słuchawkę komuś innemu. Ten podał nazwisko kapitana portu i oznajmił, że będzie on za pół godziny.

Kiedy katsa zadzwonił powtórnie, poprosił kapitana portu wymieniając jego nazwisko. Ten podjął słuchawkę, a katsa przedstawił się jako agent francuskiego morskiego towarzystwa ubezpieczeniowego.

To był tylko jeden strzał i musiał poskutkować. Nie tylko opowiadka musiała brzmieć wiarygodnie, również opowiadacz powinien tak mówić, jakby sam w to wierzył. A więc katsa wyjaśnił, w jakim biznesie pracuje, i że potrzebny mu jest dostęp do pewnych informacji związanych z niektórymi statkami w portach, w związku z tym chce rozmawiać

z człowiekiem odpowiedzialnym za te sprawy.

— Mogę być takim człowiekiem — padła odpowiedź. — W czym mogę pomóc?

— Czasami właściciele zgłaszają utratę swoich statków lub ich uszkodzenie. Nie jesteśmy zawsze w stanie sprawdzić te roszczenia na miejscu, chcielibyśmy, aby w waszym porcie ktoś mógł to potwierdzić.

— Co chce pan wiedzieć?

— Na przykład, czy statki te są w remoncie lub w trakcie załadunku czy wyładunku. Jak pan wie, nie mamy u was swojego przedstawiciela, chcielibyśmy by ktoś pilnował naszych interesów.

— Chyba mogę panu pomóc — odpowiedział. — Mam takie informacje i nie widzę żadnego problemu, jeśli tylko chodzi o ruch statków handlowych, a nie o marynarkę wojenną.

— Nie interesujemy się waszą marynarką — zapewnił rozmówcę.

— Nie ubezpieczamy takich statków.

Rozmowa trwała jakieś 10—15 minut i w tym czasie katsa spytał o pięć

czy sześć statków. Jeden z nich, statek OWP, znajdował się tam w re-
moncie.

Katsa wziął następnie adres, na który można posłać kapitanowi
pieniądze, przedyskutował swój adres i numer telefonu oraz poprosił swego
rozmówcę, by dzwonił, jeśli będzie miał informacje, które uzna za
pożyteczne.

Sprawy szły tak dobrze, a „cel” wydawał się tak zadowolony, że katsa
ośmielił się nawet zapytać kapitana portu, czy wolno mu przyjąć dodatko-
wą pracę jako agenta towarzystwa ubezpieczeniowego.

Libijczyk „kupił” ofertę, zaznaczając, że nie byłaby to praca w pełnym
wymiarze godzin, w każdym razie, dopóki sam się nie zorientuje, jak to
idzie. Agent Mosadu zgodził się i zapowiedział wysłanie odpowiednich
instrukcji, wizytówek firmowych oraz ponowną rozmowę na ten temat.

Mosad zdobył płatnego agenta w porcie, choć sam zainteresowany nie
miał pojęcia, że został zwerbowany.

Następnym zadaniem było zaprojektowanie przez wydział biznesu
Mecada obiecanych instrukcji ubezpieczeniowych — tak by wyglądały
na rzeczywiste i umożliwiły zbieranie potrzebnych informacji. Po kilku
dniach instrukcje znajdowały się już w drodze do Tripolisu. Jeśli w akcji
werbunkowej daje się komuś numer telefonu i adres, muszą one
funkcjono-

wać co najmniej trzy lata i nawet wówczas, gdy pierwszy etap werbowania zakończył się niepowodzeniem. Postępuje się inaczej tylko wówczas, gdy katsa zostaje ujawniony, w takim wypadku wszystko jest likwidowane natychmiast.

283

Przez około 2 miesiące nowy informator dostarczał wiadomości regularnie. Ale w jednej z rozmów telefonicznych wspomniał, że choć przeczytał instrukcje kilka razy, wciąż w pełni nie rozumie obowiązków agenta ubezpieczeniowego.

Katsa pocieszał go, że kiedy pierwszy raz zobaczył te instrukcje, też miał kłopoty. Zapytał, kiedy ma urlop. Gdy kapitan odpowiedział, że za trzy tygodnie, oświadczył mu: „Świetnie. Zamiast więc wyjaśniać sobie wszystko telefonicznie, lepiej będzie, jeśli pan przyjedzie do Francji. Naturalnie na nasz koszt. Poślę bilety. Pan już tak dużo zrobił dla nas, że może pan spędzić trochę czasu na południu Francji i w ten sposób możemy połączyć piękne z pożytecznym. Wyznam też panu, że jeśli pan tu przyjedzie, ułatwi to nam sprawy podatkowe”.

Kapitan był wzruszony. Mosad płacił mu tylko 1000 dolarów miesięcznie, ale w okresie, gdy pracował dla Mosadu, trzykrotnie przyjeżdżał do Francji. Był on bardzo użyteczny, choć nie miał żadnych

kontaktów, wychodzących poza wiedzę o porcie. W ten sposób nic mu bowiem nie zagrażało.

Podczas jednego z ostatnich spotkań zapytali go o niektóre statki wchodzące do portu. Jako pretekst miał służyć fakt, że są one ubezpieczone w ich towarzystwie. Potem wpadli na pomysł, by kapitan portu dostarczał spisy wszystkich statków znajdujących się na jego terenie. Obiecali odpowiednio wyższą zapłatę. W ten sposób — wyjaśniali — będą mogli przekazywać te informacje innym firmom ubezpieczeniowym, które za to z chęcią zapłacą. Obiecali podzielić się zyskiem z informatorem.

Kapitan portu szczęśliwy wrócił do Tripolisu, skąd przesyłał wszelkie dane o ruchu statków w porcie.

Pewnego dnia nadeszła informacja o znajdującym się tam statku należącym do Abu Nidala — znienawidzonego szefa jednej z frakcji OWP, Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny — Generalne Dowództwo (autor się myli; Abu Nidal już dawno zerwał z OWP i jest zażartym przeciwnikiem jej przywódców, na których „wydał” wyrok śmierci, zaś szefem LFWP-GD jest Dżibrii — tł.). Na statek ładowano sprzęt wojskowy, w tym ręczne rakiety przeciwlotnicze i inną broń, której Izraelczycy nie chcieliby widzieć w rękach bojowników palestyńskich na

izraelskiej granicy.

Mosad wiedział o statku Abu Nidala z podsłuchu w OWP, dzięki

gafie, jaką popełnił zwykle bardzo ostrożny w rozmowach Abu Nidal.

Teraz pozostało tylko spytać kapitana portu, gdzie dokładnie znajduje się

284

statek i jak długo tam będzie. Informator potwierdził lokalizację statku, który stał obok innego, również z bronią, przeznaczoną na Cypr.

Pewnej letniej nocy w 1985 r. dwa kutry torpedowe klasy SAAR-4 odbywały regularną służbę patrolową. Tym razem jednak zatrzymały się na morzu. Sześciu komandosów wsiadło do małej łodzi podwodnej z elektrycznym napędem. Łódź przypominała kształtem myśliwiec z okresu

I wojny światowej lub długą torpedę ze śrubą z tyłu. Ubrani byli w kombinezony dla nurków, każdy miał pojemnik z tlenem.

Łódź popłynęła szybko. Przy wejściu do portu nurkowie przypięli swą łódź magnetycznymi płytkami do kadłuba wpływającego statku, który ich „wprowadził” do samego portu.

Kadłub statku stanowił dla komandosów swoistą tarczę. Mosad

wiedział bowiem z rozmów z kapitanem portu, że służba bezpieczeństwa
co

pięć godzin przeczesuje wody basenów i wrzuca do nich granaty.

Eksplozje

powodują tak wysokie ciśnienie, że może ono wykończyć nurka znajdującego się wówczas w akwencie. Jest to normalna praktyka stosowana w portach krajów znajdujących się w stanie wojny. Syria i Izrael robią to samo.

Tak więc komandosi poczekali w swojej łodzi, aż służba bezpieczeństwa zakończy swoją rundę i dopiero wtedy wyslizgnęli się na zewnątrz. Podpłynęli do obu statków OWP i przymocowali miny, po czym powrócili do łodzi. Wszystko to zajęło razem dwie i pół godziny. Wiedzieli już, jakie statki opuszczają port tej nocy. Zbliżyli się do tankowca zacumowanego blisko wyjścia z portu. Nie przylepili się jednak tym razem do kadłuba, bo potem trudno byłoby odczepić maleńką łódź, gdy tankowiec płynie pełną mocą.

Po wypłynięciu w morze okazało się, że komandosi zużyli cały tlen, a baterie łodzi wyładowały się. Przymocowali więc łódź do boi (by później można było ją zabrać), a sami związali się razem linką i zabezpieczyli w sposób nazywany „słonecznikiem”. Oznacza to wpompowanie powietrza w kombinezon, który przekształca się w balon, utrzymujący nurka na powierzchni wody. Nurkowiec nie musi robić, by utrzymać się na wodzie, mogli nawet kolejno spać — tylko jeden z nich musiał czuwać. Po kilku godzinach izraelski kuter patrolowy, który otrzymał radiowy sygnał

od nurków, zabrał ich i zawiózł w bezpieczne miejsce.

Tego samego dnia. około szóstej rano, portem wstrząsnęły cztery potężne wybuchy. Na dno poszły dwa statki OWP wypełnione sprzętem wojskowym i amunicją o wartości milionów dolarów.

285

Katsa obawiał się, że odpowiedzialność za eksplozję spadnie na kapitana portu. Wypadek ten mógł także wywołać pewne podejrzenia u niego. Ale zadzwonił on jeszcze tego samego dnia. Był niezwykle

podniecony:

— Nie uwierzycie, co się stało — powiedział. — Wyszadzili dwa statki w samym środku portu!

— Kto to zrobił?

— Oczywiście Izraelczycy. Nie wiem, jak znaleźli te statki, ale znaleźli je. Szczęśliwie to nie był żaden z waszych, nie musicie się martwić.

Kapitan portu pracował dla Mosadu jeszcze 18 miesięcy. Zarobił mnóstwo pieniędzy. Pewnego dnia znikł. Pozostawił jednak za sobą trwałą

ślad w postaci zniszczonych lub przechwyconych statków OWP wypełnionych bronią.

Rozdział XVII

Bejrut

Nie były to najlepsze dni dla Izraela. W połowie września 1982 r. widoki masakry w telewizji, gazetach i czasopiśmie, oglądał cały świat. Wszędzie było widać martwe ciała: mężczyzn, kobiet, dzieci. Nawet konie były zarżnięte. Niektóre ofiary dostały kule prosto w głowę, inne miały podcięte gardła, a jeszcze inne zostały wykastrowane. Młodzi mężczyźni związani po dziesięciu lub dwudziestu ginęli razem. Prawie wszyscy spośród 800 Palestyńczyków, którzy zginęli w dwóch obozach dla uchodźców w Bejrucie, na Sabrze i Szatii, nie posiadali broni, byli niewinnymi cywilami, którzy padli ofiarą krwawej zemsty libańskich chrześcijan — Falangistów.

Okupacyjne siły izraelskie nie tylko dopuściły do tej straszliwej tragedii, ale ją ułatwiły. To z tego powodu ówczesny prezydent USA, Ronald Reagan, w tym czasie najbliższy sojusznik Izraela, biadał, iż w opinii publicznej Izrael przekształcił się na Bliskim Wschodzie z Dawida w Goliata. Dwa dni później Reagan wysłał do Bejrutu piechotę morską, która weszła w skład amerykańsko-francusko-włoskich sił pokojowych.

Reakcje na świecie były jednomyślne. Na przykład we Włoszech dokerzy odmówili ładowania statków izraelskich. Wielka Brytania oficjalnie potępiła Izrael, a Egipt odwołał swego ambasadora. Masowe protesty ozwały się również w samym Izraelu.

Od początku istnienia państwa Izrael wielu jego obywateli marzyło o współpracy z krajami arabskimi, by stać się częścią świata, gdzie ludzie swobodnie przekraczają granice i są witani jak przyjaciele. Ale idea

287

otwartej granicy, takiej jak na przykład szeroko wychwalana amerykańsko-kanadyjska, jest dla Izraelczyków po prostu nie do pojęcia.

W końcu lat siedemdziesiątych ówczesny szef łączności Mosadu, Admony, za pośrednictwem CIA i kontaktów europejskich nawiązał stosunki z libańskim chrześcijańskim falangistą — Baszirem Dżemajelem. Ten brutalny i silny człowiek przekonywał Mosad, że Liban potrzebuje jego pomocy. Mosad z kolei przekonał rząd izraelski, że Dżemajel, bliski przyjaciel „czerwonego księcia”, Salameha, jest szczery. Taki obraz utrwalił się na lata w selektywnie przesiewanej informacji Mosadu, przekazywanej rządowi.

W owym czasie Dżemajel pracował także dla CIA. Ale dla Mosadu myśl, że można mieć „przyjaciela” w jakimś kraju arabskim — nawet jeśli

odgrywa on podwójną rolę — była pociągająca. Przy tym Izrael nigdy nie lękał się Libanu. Krążył nawet taki dowcip: gdyby między obu tymi krajami wybuchła wojna, to Izrael pokonałby Liban przy pomocy orkiestry wojskowej.

W każdym razie Libańczycy byli zbyt zajęci walkami między sobą, by interesować się kimś innym. Różne kręgi muzułmańskie i chrześcijańskie walczyły o przejęcie kontroli nad państwem, a Dżemajel ze swymi siłami, znajdującymi się w oblężeniu, zwrócił się o pomoc do Izraela. W kontakcie

tym Izrael dostrzegał dodatkową korzyść: możliwość wypędzenia z Libanu izraelskiego wroga publicznego numer jeden — Organizacji Wyzwolenia Palestyny. Jeszcze długo po tym, jak izraelska akcja zakończyła się niepowodzeniem, libańskie koneksje były kluczowe dla Mosadu, ponieważ

jego szef, Admony, był tym, który te kontakty nawiązał i uważał je za ukoronowanie swoich sukcesów.

Pod wieloma względami Liban przypomina dziś Chicago lub Nowy Jork z lat dwudziestych i trzydziestych tego stulecia, kiedy różne grupy lub mafie rodzinne otwarcie walczyły o kontrolę nad miastem. Gwałt i przepych były normą, a funkcjonariusze rządowi nie byli w stanie lub nie chcieli

nic zrobić, aby to zmienić.

Liban również ma swoje rodziny, z których każda posiada własną

armię lub milicję, lojalną, podporządkowaną „donowi” (szef mafii — tł.).

Ale religijne i rodzinne lojalności ustępowały swym znaczeniem sile i pieniądзом pochodzącym z handlu narkotykami oraz licznym mafijnym interesom, które napędzały mechanizm libańskiej korupcji i utrzymywały

stan anarchii.

288

Druzowie są odgałęzieniem muzułmanów-ismaelitów i liczą w Libanie ok. 250 tyś. osób, co lokuje ich na czwartym miejscu wśród wspólnot religijnych. Przewodzi im Walid Dżumblat.

Układ państwowy funkcjonuje na podstawie ostatniego spisu ludności — z 1932 r., kiedy chrześcijanie stanowili jeszcze większość. I dlatego konstytucja (to nieścisłość, chodzi o tzw. pakt narodowy — tł.) określa, że prezydent musi być chrześcijaninem. Nawet obecnie, gdy wśród 3,5 mln mieszkańców 60 proc. stanowią muzułmanie. Składają się oni z sunnitów i szyitów. Tym ostatnim przewodzi Nabi Berri. Znaczącą siłą, biorącą udział w walkach na początku lat osiemdziesiątych, byli sunnici skupieni wokół Raszida Karamiego.

Siłami chrześcijańskimi rządziły dwie główne rodziny: Dżemajelów

i Farandżije. Pierre Dżemajel utworzył Falangę, a Suleiman Farandżije raz był prezydentem państwa. Gdy Baszir Dżemajel podjął starania o prezydenturę, wyeliminował swego głównego rywala — Tony'ego Farandżije (syn Suleimana — tł.). Podczas zbrojnej napaści w czerwcu 1978 r. na rodzinny dom letni w Ehden, kiedy to falangistowscy milicjanci Baszira zamordowali Tony'ego, jego żonę i dwuletnią córeczkę oraz kilku ludzi z ochrony. Dżemajel, rzezimieszek, który był wychowany przez jezuitów i dzięki wysiłkom Mosadu stał się „przyjacielem” Izraela, określił zbrojny atak jako „społeczny bunt przeciw feudalizmowi”. W lutym 1980 r. od eksplozji samochodu-pułapki zginęła wraz z trzema ochroniarzami 18-miesięczna córeczka Dżemajela. W lipcu 1980 r. oddziały Dżemajela zniszczyły całkowicie chrześcijańską milicję byłego prezydenta Kamila Szamuna i jego Partii Narodowo-Liberalnej.

Dżemajel rządził ze swej posiadłości w Bikfaja, w górach, na północny wschód od Bejrutu. Rodzina zarobiła swego czasu miliony na zwykłym kancie, kiedy to wygrała kontrakt na budowę górskiej drogi. Kontrakt przewidywał również utrzymanie i bieżące remonty tej drogi. Klan skrupulatnie pobierał swoje pieniądze, najpierw za budowę drogi, a następnie — przez lata — za jej konserwację. Kant polegał na tym, że owa droga nigdy nie została zbudowana. Sprytna rodzinka dowodziła, że musiała pobierać pieniądze za utrzymanie i remonty drogi, gdyby bowiem ich nie brała, ktoś mógłby sprawdzić na miejscu i odkryć, że drogi nie ma.

We wrześniu 1982 r. 35-letni wówczas Baszir Dżemajel wybrany został

na prezydenta Libanu, którego kadencja wynosi 6 lat. Był wówczas jedynym kandydatem. Na sesję parlamentu w dniu głosowania przybyło tylko 56 deputowanych i do quorum brakło trzech deputowanych.

19 Wyznania szpiega

289

Milicjanci Dżemajela przywlekli sześciu niechętnych deputowanych i Dżemajel wygrał stosunkiem głosów 57:0 przy pięciu wstrzymujących się. Begin posłał mu wówczas telegram gratulacyjny zaczynający się od słów:

„Drogi Przyjacielu”.

Poza rządzącymi rodzinami była też w Libanie cała chmara nie związanych z nikim gangów, którym w większości przewodzili barwni, lecz brutalni osobnicy, jak „Elektronik”, „Przypiekacz”, „Kowboj”, „Ognista Kula” i „Król”. „Elektronik” zyskał sobie to przezwisko, kiedy to po postrzeleniu go przez Syryjczyków w szyję został wysłany na leczenie do Izraela. Do gardła wmontowano mu tam elektroniczne urządzenie umożliwiające mówienie. „Przypiekacz” z kolei, gdy pojmał kogoś, kogo „nie lubił”, podłączał go pod wysokie napięcie i dosłownie przypiekał. Osobnik z przezwiskiem „Ognista Kula” był po prostu piromanem, który rozkoszował się patrząc na płonący dom. „Kowboj” przypominał bohatera

westernu z Hollywood, gdyż nosił kapelusz kowbojski i po bokach dwa pistolety, zaś „Król” — można w to wierzyć lub nie — uważał, że jest Elvisem Presleyem. Włosy strzygł w stylu Elvise, usiłował mówić po angielsku z akcentem nosowym jak Elvis i występował przed rodziną ze wzruszającymi pieśniami Elvise.

Członkowie gangów rozjeżdżali się samochodami takimi jak Mercedes czy BMW, z reguły nosili najlepsze jedwabne ubrania z Paryża, i lubili bardzo dobre jedzenie. Nawet w okresie 6-miesięcznego oblężenia Bejrutu Zachodniego mieli wciąż ostrygi na śniadanie. W kulminacyjnym momencie oblężenia Bejrutu w 1982 r. jeden z libańskich restauratorów usiłował kupić niemiecką łódź podwodną, przeznaczoną na złom, aby przywozić z Europy świeże produkty i wino dla swojej restauracji, w której żywili się mafioso.

Niezależnie od swojej działalności kryminalnej, gangi wynajmowały się także wielkim rodzinom i wystawiały dla nich posterunki drogowe.

Ludzie w Bejrucie mogą żyć bardzo dobrze, ale nikt nie wie, jak długo to potrwa. Nigdzie na świecie śmierć nie jest tak wszechobecna jak w Bejrucie. To wyjaśnia, dlaczego ci, którzy są związani z wielkimi rodzinami i gangami, chcą żyć najpełniej, jak tylko są w stanie. Tak dobrze żyje jednak najwyżej 200 tysięcy ludzi, podczas gdy ponad milion Libańczyków w Bejrucie i jego sąsiedztwie znajduje się w

niewyobrażalnie

trudnych warunkach.

W 1978 r. Baszir Dżemajel zwrócił się za pośrednictwem Mosadu o broń, która była mu potrzebna do rozprawy z rodziną Farandzije (Tony

290

Farandzije nie miał dobrych stosunków z Mosadem). Mosad sprzedał broń. Transakcja przebiegła w nieznanym zupełnie dotąd sposób.

W 1980 r. w bazie wojskowej w Hajfie szkolila się grupa falangistów, gdzie uczyli się m.in. obsługi małych, uzbrojonych kutrów typu Dabur. Budowała je izraelska kompania w Beer Szewie, w mieście otoczonym pustynią i znajdującym się w połowie drogi między morzami

Śródziemnym

i Czerwonym. Po zakończeniu szkolenia do Hajfy przyplłynął wystrojony w jasne jedwabne ubranie szef marynarki libańskich chrześcijan (chodzi o „Siły Libańskie” — ugrupowanie militarne dowodzone przez Baszira Dżemajela — tł.), któremu towarzyszyło trzech ochroniarzy i trzech funkcjonariuszy Mosadu. Libańscy przybysze mieli ze sobą kilkanaście walizek. Kupili pięć łodzi. Każda kosztowała ok. 6 mln dolarów. Zapłacili amerykańskimi dolarami, w gotówce, którą przywieźli w walizkach. Zabrali kutry do Dżunije — malowniczego portu na Morzu Śródziemnym, na północ od Bejrutu.

Kiedy walizki zostały otworzone, szef libańskiej marynarki spytał wyższego funkcjonariusza Mosadu, czy chce przeliczyć pieniądze. „Nie, wierzymy ci” — padła odpowiedź. „Ale, jeśli nie ma tu tyle, co trzeba, zginiesz”. Potem w Mosadzie przeliczono banknoty. Zgadzało się co do dolara.

Falangiści wykorzystywali swoją „flotę” głównie do patrolowych, powolnych rejsów — pięć węzłów, czyli około mili na godzinę — prowadzących wzdłuż wybrzeża Zachodniego Bejrutu, i strzelania z karabinów maszynowych do muzułmanów. W trakcie tych działań zabili setki niewinnych ludzi, nie biorących udziału w konfrontacji militarnej.

Ze względu na swoje powiązania z Mosadem, Dżemajel zezwolił Izraelowi na założenie w 1979 r. w Dżunije morskiej stacji radarowej. Stacja obsługiwana przez 30 Izraelczyków z marynarki wojennej była pierwszą izraelską placówką w Libanie. Umocniło to naturalnie falangistów, bowiem muzułmanie libańscy Jak również Syryjczycy, nie wnikali się w jakieś gry z Izraelem. Spotkania między Mosadem i Dżemajelem, w związku z stacją radarową, odbywały się w jego rodzinnej posiadłości na północ od Bejrutu. Mosad płacił Dżemajelowi za zgodę na funkcjonowanie stacji ok. 20—30 tysięcy dolarów miesięcznie.

W tym czasie Izraelczycy mieli jeszcze jednego przyjaciela — majora

Saada Haddada, chrześcijanina, który na południu Libanu dowodził oddziałem złożonym głównie z szyitów. Haddad, podobnie jak Izraelczycy, pragnął przepędzić OWP Jasera Arafata z południa Libanu.

291

W Bejrucie stacja Mosadu, nazywana „Łódź podwodna”, mieściła się w piwnicy dawnego domu rządowego, stojącego blisko granicy między Wschodnim Bejrutem zdominowanym przez chrześcijan i zachodnią częścią miasta, gdzie przeważali muzułmanie. W stacji pracowało zawsze około 10 ludzi, w tym 8 lub 7 to katsa. Jeden lub dwóch było funkcjonariuszami jednostki 504, tj. wojskowego odpowiednika Mosadu. Obie służby dzieliły tu wspólny lokal.

Na początku lat osiemdziesiątych Mosad miał kontakty z wieloma walczącymi rodzinami libańskimi, płacąc im za informacje. Mosad płacił nawet gangom i niektórym Palestyńczykom z obozów dla uchodźców za informacje wywiadowcze i inne usługi. Poza Dżemajelem również rodziny Dżumblata i Berri znajdowały się na izraelskiej liście płac.

Sytuacja, w jakiej trwał Liban, odpowiadała temu, co Izraelczycy nazywają *halemh*. Jest to arabskie słowo, które można przetłumaczyć jako „wrzaskliwy bałagan”. Gdy zaś zaczęły się porwania obywateli państw zachodnich, to bezhołowie pogłębiło się. Na przykład czterech uzbrojonych ludzi porwało z terenu uczelni p.o. rektora Uniwersytetu

Amerykańskiego w Bejrucie — 58-letniego Davida S. Dodge'a, gdy ten przechodził z biura do mieszkania.

Sposób, w jaki najczęściej przewożono porwanych, nazywano „transportem mumii”. Porwanego zawijano szczelnie od stóp do głowy brązową taśmą z plastiku, pozostawiając tylko mały otwór na nos. „Pakunek” wciskano do bagażnika samochodu lub pod siedzenie. Kilka ofiar tak pozostawionych zmarło. Działo się tak, gdy porywacze natykali się na posterunki drogowe rywalizujących grup. Porywacze posługiwali się przy tym ulubionym w Libanie powiedzeniem, że śmierć jest straszna tylko wtedy, gdy się przydarza tobie.

I tak pod wpływem Mosadu, mającego liczne związki w Libanie, oraz ministra obrony, Ariela Szarona, nazwanego przez Amerykanów „największym jastrzębiem wśród jastrzębi”, a który aż palił się do wojny, Begin znalazł się pod wielką presją rzeczników wojny. Mówili oni: nadszedł już czas, by przepędzić OWP z południowego Libanu, gdzie Palestyńczycy utrzymują pozycje, z których ostrzeliwiają izraelskie wsie w pobliżu północnej granicy i wysyłają z nich uzbrojonych ludzi.

Po wojnie Yom Kippur w 1973 r. żołnierze Szarona nazywali go „Arikiem, Królem Izraela”. Szaron, człowiek niewielkiego wzrostu: 5 stóp

i 6 cali i ważący 235 funtów, określany był często — ze względu na wygląd

i styl działania — jako „buldożer”. W wieku 25 lat dowodził izraelskim rajdem komandosów, którzy zabili wielu niewinnych Jordańczyków, co zmusiło pierwszego premiera Izraela, Dawida Ben-Guriona, do publicznych przeprosin. Później Mosze Dajan o mało co nie postawił Szarona przed sądem wojennym za odmowa wykonania rozkazu podczas wojny synajskiej w 1956 r. Przeprowadził taką operację z użyciem spadochroniarzy, która kosztowała życie kilkunastu żołnierzy izraelskich.

W ostatnich miesiącach przed izraelską inwazją w Libanie OWP domyślała się nadchodzącego ataku i Arafat wydał rozkaz wstrzymania ostrzeliwań izraelskich wsi. W ciągu wiosny 1982 r. Izrael czterokrotnie dokonywał koncentracji sił inwazyjnych w pobliżu północnej granicy. Za każdym razem, w ostatniej chwili, wojska te były wycofywane, przede wszystkim pod naciskiem USA. Begin zapewniał Amerykanów, że jeśli Izrael kiedykolwiek zaatakuje, to jego wojska dojdą tylko do rzeki Litani (ok. 18 mil na północ od granicy izraelskiej) i tak odsuną Palestyńczyków, by nie mieli oni w swoim zasięgu osiedli izraelskich. Izrael nie dotrzymał obietnicy. Szybkość z jaką Izraelczycy pojawili się w Bejrucie, świadczyła, że nigdy nie zamierzano tej obietnicy dotrzymać.

W kwietniu 1982 r. Izrael całkowicie wycofał się z Synaju, okupowanego od wojny sześciodniowej w 1967 r. W ten sposób Izrael zrealizował

zawarte w 1979 r. porozumienie z Egiptem.

Ale gdy izraelskie buldożery niszczyły resztki żydowskich osiedli na Synaju, rząd już przygotowywał się do zerwania obowiązującego od lipca 1981 r. porozumienia o przerwaniu ognia na 63-milowej granicy libańskiej.

W 1978 r. izraelskie siły z 10 tysiącami żołnierzy i 200 czołgami napadły na

Liban, ale nie zdołały wyprzeć OWP.

6 czerwca 1982 r., w słoneczny niedzielny poranek, rząd Begin dał Szaronowi zielone światło dla rozpoczęcia inwazji. Tego samego dnia dowódca sił pokojowych ONZ w Libanie (UNIFIL), irlandzki generał William Callaghan, pojechał do sztabu izraelskiego północnego dowództwa w Zefat, by przedyskutować projekt rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ, wzywającej do przerwania wymiany ognia między OWP i Izraelem przez granicę libańsko-izraelską. Zamiast rozmów, szef sztabu armii izraelskiej gen. Rafael Eitan poinformował Callaghana, że za 28 minut Izrael zaatakuje Liban. I rzeczywiście, 60 tysięcy żołnierzy i ponad 500 czołgów wkrótce najechało na Liban. Była to fatalna kampania, która wprawdzie doprowadziła do usunięcia z tego kraju około 11 tysięcy

293

bojowników palestyńskich, ale zaszargała obraz Izraela w oczach opinii międzynarodowej i kosztowała życie 462 izraelskich żołnierzy, nie licząc

2218 rannych.

W ciągu 48 godzin większość sił OWP została zniszczona, choć Palestyńczycy wykazali znaczny opór w Sajdzie, Tyrze i Damurze.

W odpowiedzi na dwa pilne listy Reagana, który prosił, by nie atakować Libanu, Begin stwierdził, że chce tylko odrzucić OWP od granicy izraelskiej. „Żadny krwi agresor znajduje się u naszych drzwi. Czyż nie mamy więc naturalnego prawa do samoobrony?” — pisał do Reagana

. Begin.

Gdy jedne oddziały izraelskie walczyły z OWP na południu, inne dotarły już do falangistów Dżemajela na przedmieściach Wschodniego Bejrutu. Początkowo ludność chrześcijańska witała żołnierzy izraelskich jako wyzwolicieli i obsypała ich ryżem, kwiatami i słodyczami. Natomiast Zachodni Bejrut, z kilkunastoma tysiącami bojowników OWP i 500-

-tysięczną ludnością, został otoczony i znalazł się w stanie oblężenia. Dla żołnierzy izraelskich Liban był nie tylko terenem wojny. Szybko znaleźli pewną wieś, gdzie mogli uprawiać miłość. Miejsce to było godne uwagi z dwóch powodów: piękne kobiety i brak ich mężów.

Ale niosące śmierć bombardowania trwały. W sierpniu, w odpowiedzi na rosnącą w Izraelu i na świecie krytykę wojny, która zabierała życie cywilom, a nie żołnierzom, Begin stwierdził: „Robimy to, co musimy

zrobić.

Bejrut Zachodni nie jest miastem. Jest to wojskowy cel otoczony przez cywili".

Po 10 tygodniach oblężenia strzały zamilkły. Bojownicy OWP ewakuowali się z miasta, co skłoniło premiera Libanu Szalika al-Wazzana do stwierdzenia: „Osiągnęliśmy kres naszych zmartwień". Były to przedwczesne słowa.

W końcu sierpnia do Bejrutu przybyła mała grupa sił pokojowych z USA, Francji i Włoch. Ale Izraelczycy coraz bardziej zaciskali kleszcze wokół miasta.

We wtorek 14 września 1982 r., o godz. 4.08 po południu 200-

-funtowa bomba, sterowana z zewnątrz drogą radiową, eksplodowała na drugim piętrze siedziby partii falangistowskiej w Bejrucie Wschodnim.

W wyniku wybuchu zginął prezydent-elekt Baszir Dżemajel wraz z 25 innymi uczestnikami 100-osobowego cotygodniowego posiedzenia

kierow-

nictwa „Sił Libańskich". Na stanowisku prezydenta Baszira zastąpił jego brat, 40-letni Amin.

Zamach przypisano Ptabibowi Szartuni — członkowi rywalizującej z Falangą Syryjskiej Partii Narodowo-Społecznej (jest to partia libańska — tł.). Operację tę przeprowadziły służby syryjskiego wywiadu w Libanie, którymi kierował pik. Mohamed Ganen.

Stany Zjednoczone miały porozumienie o wymianie informacji z Mosadem. Porozumienie to było korzystne głównie dla Mosadu, bo nie posiadał szerszych kontaktów z innymi organizacjami poza Falangą. Ale Mosad traktował CIA jako „gracza, który nie może grać”. Nie było więc wątpliwości, że Mosad wiedział o syryjskiej roli w zamachu na Dżemajela.

Dwa dni po zamachu szef izraelskiego dowództwa północnego, gen. Amir Drori, wraz z innymi wyższymi oficerami izraelskimi gościł w punkcie dowodzenia, mieszczącym się w porcie bejruckim, szefa sztabu „Sił Libańskich” Fadi Frema i mającego ponurą sławę szefa wywiadu tego ugrupowania militarnego — Eliasa Hobeikę. Hobeika był osobnikiem barwnym, ale całkiem zdeprawowanym. Zawsze nosił ze sobą pistolet, nóż i granat. Spośród wszystkich falangistów w Libanie to on wywoływał największy strach. Gdy zabijał żołnierzy syryjskich, odcinał im uszy, które potem zawieszał na sznurku w swoim domu. Jednakże dla Mosadu Hobeika był bardzo ważnym kontaktem. Przeszedł izraelską wyższą szkołę dla oficerów sztabowych. To on stał na czele oddziałów, które wdarły się do

obozów dla uchodźców palestyńskich i wyrznęły wielu cywili.

Hobeika, który nienawidził Amina Dżemajela i chciał go wpędzić w kłopoty, był wciągnięty w wewnętrzną walkę o władzę w partii falangistowskiej, gdyż to jego oskarżano o brak skutecznej ochrony Baszira Dżemajela.

16 września, o piątej po południu, Hobeika zebrał swe oddziały na terenie lotniska bejruckiego. Stamtąd poszli do obozu Szatiia, który oświetlili sobie tiarami. Ludzi Hobeiki wspierał ogień czołgów i moździerzy

Izraelskich Sił Obrony (taką oficjalną nazwę ma armia izraelska — tł.).

W tym samym czasie rząd izraelski ogłosił komunikat prasowy głoszący, że

armia izraelska „zajęła pozycje w Zachodnim Bejrucie, aby zapobiec gwałtom, przelewowi krwi i anarchii”.

Następnego dnia dowództwo izraelskie zezwoliło, by Hobeika wprowadził do obozów dwa dodatkowe bataliony. Izraelczycy wiedzieli o trwającej masakrze. Założyli nawet punkty obserwacyjne, umieszczone na dachach siedmiopiętrowych budynków, stojących w pobliżu ronda, przy którym znajdowała się ambasada Kuwejtu. Izraelczycy obserwowali więc niczym nie zakłócony przebieg rzezi Palestyńczyków.

Reagan został głęboko poruszony rzezią i rolą Izraela, a następnie wojną stów między nim i Beginem. I na początku października wysłał powtórnie do Bejrutu 1200 żołnierzy piechoty morskiej — zaledwie w 19 dni po tym, jak marines opuścili to miasto. Wraz z 1560 spadochroniarzami francuskimi i 1200 żołnierzami włoskimi Amerykanie utworzyli kolejną grupę sił pokojowych.

Przez cały okres swego istnienia stacja Mosadu w Bejrucie miała ręce pełne roboty. Jeden z informatorów — czyli „śmierdzieli”, jak w Izraelu nazywa się ich słowem pochodzącym z języka jidisz — miał znajomości w warsztacie samochodowym, który specjalizował się w przeróbce wozów przeznaczonych do przemytu. Wielu żołnierzy izraelskich szmuglowało z Bejrutu wolne tu od podatków wideo czy papierosy. Przynosiło im to duże zyski, gdyż w Izraelu podatki na te produkty sięgają 100—200 proc.

W lecie 1983 r. informator przekazał Mosadowi, że szyjcy przystosowali ogromną ciężarówkę, marki Mercedes, do ukrycia materiałów wybuchowych. Dodał, że chodzi niewątpliwie o duże ilości tych materiałów, a więc cel, który mają zniszczyć, również musi być bardzo ważny. Mosad zdawał sobie sprawę, że takich celów — logicznie rozumując — jest zaledwie kilka, wśród nich może być zespół budynków zajmowanych przez Amerykanów. Powstało więc pytanie, czy ostrzec Amerykanów, by szczególnie ich uczulić na znaną Mosadowi z opisu ciężarówkę.

Decyzja była zbyt ważna, by można ją było podjąć w stacji bejruckiej. Wiadomość przekazano do Tel Awiwu. Ówczesny szef Mosadu, Admony, postanowił, że Amerykanom przekaże się tylko ogólnikowe ostrzeżenie, iż Mosad ma podstawy sądzić, że ktoś przygotowuje przeciw nim jakąś operację. Informacja ta była tak ogólnikowa i banalna, jak prognozy pogody. Nie mogła więc wywołać w USA alarmu, a więc spowodować wzmocnienie środków bezpieczeństwa. W ciągu kilku następnych miesięcy przekazano Amerykanom ponad 100 dalszych ogólnikowych ostrzeżeń przed samochodami-pułapkami. Nie wzmogło to ich czujności. Admony, nie zgadzając się na przekazanie Amerykanom szczegółów o owej ciężarówce, powiedział: „Nie, nie jesteśmy tam, by chronić Amerykanów. Są oni wielkim krajem. Poślijmy tylko rutynową informację”. Placówki izraelskie w Libanie otrzymały natomiast szczegółowe informacje dotyczące owej ciężarówki oraz polecenie, by śledzić ów pojazd.

296

23 października 1983 r. o godz. 6.20 rano ogromny mercedes zbliżał się do lotniska bejruckiego. Wóz był doskonale widoczny dla warty z pobliskiej bazy izraelskiej. Ciężarówka przejechała przez posterunek kontrolny armii libańskiej i skręciła w kierunku parkingu. Wartownik z amerykańskiej piechoty morskiej zeznał potem, że samochód zwiększył prędkość, zanim zdążył cokolwiek zrobić i pomknął w kierunku czteropiętrowego żelbetonowego budynku kontroli lotów, gdzie znajdowało się dowództwo

ósmego batalionu piechoty morskiej. Zdruzgotał następnie żelazną bramę, przeorał worki z piaskiem chroniące posterunek, zmiotł barierę i taranując zwały worków z piaskiem wjechał do westybulu. Tu eksplodował z taką siłą, że budynek w mgnieniu oka zmienił się w stos gruzu.

Kilka minut później inna ciężarówka wdarła się do kwatery francuskich spadochroniarzy w Bir Hasan —w dzielnicy mieszkaniowej położonej w odległości dwóch mil od siedziby Amerykanów. Uderzenie było tu tak potężne, że budynek przesunął się o 30 stóp. Zginęło 58 żołnierzy.

Strata 241 marines USA, z których większość jeszcze spała podczas tej samobójczej misji, ustępowała liczbą zabitych w ciągu jednego dnia tylko początkowi ofensywy Tet, 13 stycznia 1968 r., gdy w całym Wietnamie zginęło 246 Amerykanów.

W ciągu kilku dni Izraelczycy przekazali CIA nazwiska 13 osób, które — ich zdaniem — były związane ze śmiertelnymi zamachami na amerykańską piechotę morską i francuskich spadochroniarzy. Na liście znajdowali się ludzie z wywiadu syryjskiego, Irańczycy w Damaszku i szyita Mohamed Husejn Fadlala.

W sztabie Mosadu zapanowało wyraźne odprężenie. Ładunek nie został wymierzony w żadną bazę izraelską. Problem polegał jednak na

pytaniu: czy postąpiono słusznie nie ostrzegając Amerykanów o grożącym niebezpieczeństwie. Usprawiedliwiano ten fakt w ten sposób, że podzielenie się szczegółowymi informacjami z Amerykanami mogło zdradzić informatora Mosadu, a przecież następnym celem mogła być baza izraelska, a więc zachowanie agenta było niezbędne. Czy to było szczerze?

Generalnie nasz stosunek do Amerykanów wyglądał następująco:

„Jeśli chcieli wetknąć nos w sprawy libańskie, to niech za to płacą”.

Dla mnie te wydarzenia były o tyle pamiętne, że podczas ich omawiania w szkole po raz pierwszy zostałem ostro skarcony przez przełożonego z Mosadu — oficera łącznikowego Amy Jaara. Powiedziałem wtedy, że żołnierze amerykańscy, zabici w Bejrucie, pozostaną dłużej na naszym sumieniu niż nasi polegli żołnierze, ponieważ Amerykanie

297

przybyli do Bejrutu w dobrej wierze, by pomóc nam wyjść z tego bałaganu, jaki sami zrobiliśmy. Usłyszałem wtedy: „Zamknij się. Mówisz od rzeczy. Dajemy Amerykanom znacznie więcej niż oni nam”. W Mosadzie zawsze się tak mówi. Ale to nie jest prawdą. Większość izraelskiego ekwipunku . pochodzi od Amerykanów i Mosad zawdzięcza im bardzo dużo.

W tym okresie wielu obywateli państw zachodnich pozostawało

zakładnikami, gdy inni wciąż byli porywani przez różne frakcje libańskie. W marcu 1984 r. szef stacji CIA, oficjalnie występujący jako wyższy urzędnik ambasady USA, William Buckley, został po wyjściu z domu uprowadzony przez trzech uzbrojonych szyitów. Porywacze trzymali go przez 18 miesięcy, torturowali i w końcu zamordowali. A można było go uratować.

Mosad, dzięki swojej szerokiej siatce informatorów, wiedział, gdzie znajduje się część zakładników i w czyich są rękach. Nawet jeśli miejsce przebywania zakładników jest nieznane, kapitalne znaczenie ma wiedza o tym, kto ich przetrzymuje. Pozwala to uniknąć prowadzenia negocjacji z tymi, którzy nie mają żadnych zakładników. Znana historyjka o Libańczyku opowiada, jak polecił on swemu pomocnikowi, by znalazł kogoś do rokowań w sprawie zakładników. „Z jakiego kraju jest twój zakładnik?” — spytał pomocnik. Odpowiedź brzmiała: „Ustal kraj, a ja zdobędę zakładnika”.

Tacy ludzie jak Buckley traktowani są jako szczególnie ważni, bowiem bardzo dużo wiedzą. Jeśli wymusi się na nich ważne informacje, może to oznaczać wyrok śmierci na wielu ludzi na kuli ziemskiej.

Odpowiedzialność

za porwanie Buckley'a wzięła na siebie grupa nazywająca się Islamski Dżihad (islamska święta wojna). Szefowi CIA, Billowi Casey'owi, tak zależało na uratowaniu Buckley'a, że w celu znalezienia go posłał do

Bejrutu grupę ekspertów FBI, wyszkolonych w lokalizowaniu porwanych osób. Po miesiącu grupa ta wróciła jednak z niczym. Ówczesna oficjalna polityka USA zakazywała prowadzenia rokowań w sprawie okupu za zakładników, ale Casey zezwolił na wypłacenie znacznych sum informatorom, a także — jeśli to byłoby potrzebne — na wykupienie Buckley'a.

Wkrótce po porwaniu CIA zwróciła się o pomoc do Mosadu. Oficer łącznikowy CIA w Tel Awiwie poprosił Mosad o wszelkie informacje dotyczące Buckley'a i kilku innych zakładników.

Pewnego dnia, o 11.30 przed południem, z wewnętrznych głośników kwatery głównej Mosadu ozwało się polecenie, by ze względu na obecność

298

gości nikt z personelu nie schodził na parter i nie korzystał z windy przez najbliższą godzinę. Dwóch wyższych funkcjonariuszy CIA zaprowadzono do biura Admony'ego na 9 piętrze. Szef Mosadu zadeklarował, że zrobi dla nich wszystko, co tylko jest w stanie, lecz jeśli życzą sobie czegoś specjalnego, muszą się najpierw zwrócić do premiera, „ponieważ on jest naszym bossem”. W rzeczywistości Admony'emu zależało na formalnej prośbie, by wyciągnąć z niej — jeśli zajdzie taka potrzeba — jak najwięcej korzyści.

Amerykanie wystąpili przez swojego ambasadora z formalną prośbą

do premiera Szimona Peresa. Ten zaś polecił Admony"emu udzielić partnerom z CIA wszelkiej pomocy, aby pomóc amerykańskiemu zakładnikowi. Zwykle takie polecenie zawiera zastrzeżenie, wyrażające się w stwierdzeniu: „Przekażemy wszelkie informacje, jakie posiadamy, jeśli tylko nie wyrządzą one szkody naszym ludziom". Tym razem takiego zastrzeżenia nie było, co wskazuje, jak ważna to była sprawa tak dla USA, jak i dla Peresa.

Politycznie tego typu sprawy mają charakter wybuchowy. Administracja Reagana zbyt dobrze pamiętała o nieodwracalnych szkodach politycznych i poniżeniu, jakich zaznał Jimmy Carter, gdy po obaleniu szacha Iran zatrzymał Amerykanów jako zakładników.

Admony zapewnił Peresa, że uczyni wszystko, co możliwe, by pomóc Amerykanom. „Jestem jak najlepiej usposobiony do tej sprawy. Mamy pewne informacje, które im pomogą" — powiedział. Ale tak naprawdę nie miał on najmniejszego zamiaru im pomóc.

Obu przedstawicieli CIA poproszono na spotkanie ze specjalistami od OWP z wydziału S a i f a n i m (złota rybka). Spotkanie odbyło się w Midrasza, tj. w Akademii. Izrael traktował OWP jako swego głównego wroga i dlatego Mosad często zakładał, że jeśli można o coś obwinić OWP, to już jest dobrą robotą. Tak więc i tym razem Mosad usiłował zrzucić wszystko na OWP, chociaż dobrze wiedział, że OWP nie ma nic wspólnego z zakładnikami, w tym także z Buckley'em.

Sprawiając wrażenie gotowości do pełnej współpracy, ludzie z Saifanim rozlepili na ścianie mapy i oferowali Amerykanom wiele danych dotyczących ogólnego rozmieszczenia zakładników. Mimo że często przenoszono ich z miejsca na miejsce, Mosad generalnie rzecz biorąc wiedział, gdzie się znajdują, ale Amerykanom powiedzieli, że na podstawie tego ogólnego obrazu sami muszą zdecydować, czy warto się w to wszystko angażować. Była to część bliżej nie określonego, ale realnego systemu

299

wypłacania się za zaciągnięty dług, a więc systemu, w którym obowiązuje zasada „coś za coś”.

Po zakończeniu spotkania jego izraelscy uczestnicy posłali Admony'emu raport. Amerykanie wrócili do siebie i przedyskutowali sprawę ze swymi szefami. Po dwóch dniach przyjechali znów do centrali Mosadu, by dostać więcej informacji związanych z jedną z odpowiedzi otrzymanych na pierwszym spotkaniu. Chcieli też zweryfikować te szczegóły i wyrazili chęć

rozmawiania bezpośrednio ze źródłem.

— To niemożliwe — odpowiedział mosadowiec. — Nikomu nie wolno rozmawiać ze źródłem.

— Okay — powiedział człowiek z CIA. — To przynajmniej szczerze. Może więc porozmawiamy z oficerem operacyjnym?

Mosad bezwzględnie osłania katsa. Po prostu nie może ryzykować, by ktoś go zobaczył, gdyż katsa, który dziś pracuje w Bejrucie, jutro może się znaleźć gdzie indziej, natknąć na człowieka z CIA i rozłożyć całą operację. Jednakże istnieje wiele możliwości zaaranżowania rozmowy bez bezpośredniego spotkania obu stron. Rozmówców mogą przedzielić zasłoną, a odpowiednie urządzenie pozwala na zmianę głosu lub też jeden z uczestników może mieć na głowie kaptur. Ale Mosad nie miał zamiaru być tak bardzo pomocnym. Mimo polecenia „bossa” — Peresa, funkcjonariusze Saifanim powiedzieli, że muszą to uzgodnić z szefem Mosadu.

W głównej kwaterze rozeszła się pogłoska, że Admony ma swój zły dzień. Jego kochanka, córka szefa C o met u, miała także zły dzień. Akurat miała miesiączkę — tak w każdym razie żartowano. Tego dnia podczas lunchu w stołówce wszyscy mówili tylko o amerykańskim zakładniku. Być może wieści po drodze do stołówki zostały znacznie wyolbrzymione, ale według relacji Admony miał oświadczyć: „Ci pieprzeni

Amerykanie. Może chcą, byśmy podali im zakładników na tacy? Cóż to,

zwariowali?"

W każdym razie odpowiedź brzmiała: nie. Ludziom z CIA nie

pozwolono na spotkanie z Katsa. Co więcej, Mosad powiedział Amerykanom, że informacje, jakie już dostali, są przestarzałe, odnoszą się do zupełnie innej sprawy i nie mają nic wspólnego z Buckley'em. Nie było to prawdą, ale Mosad jeszcze bardziej ozdobił swoją historyjkę i poprosił Amerykanów o nieuwzględnianie w ogóle otrzymanych informacji, by nie narażać życia innych zakładników. Obiecali jednocześnie podwoić swe wysiłki, by pomóc Amerykanom.

300

r

Wielu ludzi w biurze mówiło wtedy, że Mosad pewnego dnia pożałuje tego. Ale większość była zadowolona. Ich pogląd był następujący:

„Pokażemy im. Nie pozwolimy, by Amerykanie owinęli nas wokół palca. Jesteśmy Mosadem. Jesteśmy najlepsi”.

To właśnie troska o Buckley'a i innych zakładników skłoniła Casey'a do realizacji planu zaopatrywania Iranu w broń, objętą embargiem, w zamian za bezpieczeństwo amerykańskich zakładników, co przekształci-

ło się potem w aferę Iran-Contras. Gdyby na początku Mosad był bardziej pomocny, Buckley i inni mogli zostać uratowani, a co więcej, USA uniknęłyby wielkiego politycznego skandalu. Peres jasno widział, że współpraca z CIA leżała w interesie Izraela, ale Mosad — przede wszystkim Admony — miał inne interesy, które konsekwentnie zabezpieczał.

Końcowy etap tragedii, jaką było wciągnięcie Izraela do Libanu, a co zainspirował Mosad, nastąpił po zamknięciu stacji „Łódź podwodna”. Wielu agentów zostało pozostawionych samych sobie i cała siatka runęła. Niemało agentów zostało zabitych. Niektórym tylko udało się szczęśliwie .wydostać z Libanu.

Izrael nie rozpoczął wojny, ale i nie zakończył jej. Przypomina to blackjacka w kasynie. Nie rozpoczynasz gry i nie kończysz jej. Ale jesteś tam.

W tym czasie doradcą Peresa „do spraw terroryzmu” był Amiram Nir. Kiedy Peres zaczął podejrzewać, że Mosad nie pomaga Amerykanom, posłużył się Nirem jako swoim osobistym łącznikiem między dwoma krajami. W rezultacie Nir nawiązał kontakt z ppłk. Oliverem Northem, który miał stać się głównym bohaterem afery Iran-Contras. Nir też odgrywał w niej niepoślednią rolę. To właśnie on wiozł słynny egzemplarz Biblii z autografem Reagana, gdy North i były doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego Robert McFarlane — posługując się fałszywymi paszportami irlandzkimi — potajemnie odwiedzili Iran w maju

1986 r., aby sprzedać broń. Pieniądze z tej sprzedaży użyto na zakup broni dla wspieranych przez USA kontras w Nikaragui.

Nir miał szerokie znajomości i dysponował wiedzą o wielu wewnętrznych sprawach. Odegrał wielką rolę w przechwyceniu porywaczy statku „Achille Lauro” w 1985 r. i potem referował ówczesnemu wiceprezydentowi

301-

wi USA (poprzednio szef CIA) George'owi Bushowi negocjacje w sprawie broni dla Iranu.

Istnieje zapis rozmowy Nira, z którego wynika, że on i North nadzorowali w latach 1985—1986 kilkanaście antyterrorystycznych operacji, realizowanych na mocy tajnego porozumienia amerykańsko-izraelskiego. W listopadzie 1985 r. North wyznał, że to Nir wpadł na pomysł, by zyski ze sprzedaży broni przeznaczyć na opłacenie innych tajnych operacji.

Udział Nira w tych wszystkich machinacjach był tym bardziej intrygujący, że utrzymywał on stosunki z tajemniczym handlarzem bronią, zamieszkałym w Iranie Manucherem Ghorbanifarem. Szef CIA, Bili Casey, ostrzegł Northa, że Ghorbanifar prawdopodobnie jest agentem wywiadu izraelskiego. A właśnie Ghorbanifar i Nir, przy pomocy Iranu, osiągnęli uwolnienie 29 lipca 1986 r. amerykańskiego zakładnika przetrzy-

mywanego przez libańskich ekstremistów — pastora Lawrence'a Jenco. W kilka dni po oswobodzeniu Jenco Nir informował Busha o konieczności wysłania broni do Iranu w zamian za to zwolnienie.

Ghorbanifar był źródłem informacji dla CIA od 1974 r. To on w 1981 r, rozsiewał pogłoski, że libijskie grupy uderzeniowe zostały wysłane do USA, aby zabić Reagana. Dwa lata później, kiedy stwierdzono, że pogłoski te zostały wymyślane, CIA przestała korzystać z tego źródła. W 1984 r. wydane zostało nawet formalne ostrzeżenie, że Ghorbanifar jest „utalentowanym fałszerzem”.

Niemniej to właśnie Ghorbanifar załatwił u saudyjskiego miliardera Adnana Khashogi kredyt w wysokości 5 mln dolarów. Kredyt ten przewyciężył nieufność między Iranem i Izraelem w związku ze sprzedażą

broni.

Mosad zwerbował Khashogi, jako swego agenta, wiele lat wcześniej.

Jego słynny osobisty odrzutowiec, o którym napisano już tak wiele, został wyposażony właśnie w Izraelu. Khashogi nie otrzymywał stałych poborów jak inni agenci Mosadu. Natomiast operował pieniędzmi Mosadu. Zawsze, kiedy potrzebował, otrzymywał pożyczki, by wybrnąć z kłopotów i znaczne sumy pochodzące od Mosadu płynęły do firm Khashogiego. Często

pieniędzy tych dostarczała kompania należąca do Ovadii Gaona — mieszkającego we Francji żydowskiego multimilionera pochodzenia marokańskiego. Do niego zwracano się, gdy Khashogi potrzebował większych środków finansowych.

Na czym polegało znaczenie kredytu udzielonego tym razem przez Khashogiego? Otóż Iran nie chciał płacić, dopóki broń nie znalazła się

302

w jego rękach, a Izrael nie chciał wysyłać rakiet 508 TOW, zanim nie otrzyma pieniędzy. Tak więc pożyczka, udzielona przez Khashogiego, miała kluczowe znaczenie dla tej transakcji, bo obie strony czuły się zabezpieczone. W rezultacie tej transakcji został uwolniony inny amerykański zakładnik, pastor Benjamin Weir. Przekonało to Amerykanów, że Ghorbanifar, mimo fatalnej opinii, dzięki swym kontaktom z Iranem może pomóc uwolnić zakładników.

W tym samym czasie Izrael potajemnie sprzedał Iranowi ayatołaha Chomeiniego broń wartości 500 mln dolarów. Nie ma wątpliwości, że Ghorbanifar i jego kolega Nir wykorzystali tę sposobność dla pokłócenia się z Irańczykami o amerykańskich zakładników.

29 lipca 1986 r. Nir spotkał się w hotelu Króla Dawida w Jerozolimie z George'em Bushem. Szczegóły tego spotkania zostały zapisane w ściśle tajnej, trzystronicowej notatce, przygotowanej przez szefa sztabu Busha

— Craiga Fullera. Cytuje on Nira, gdy mówił Bushowi o udziale Izraela (w sprzedaży broni do Iranu — tł.): „Współdziałamy z najbardziej radykalnymi elementami (w Iranie, ponieważ) wiemy, że to oni, a nie koła umiarkowane mogą dostarczyć (zakładników)”. Przypomnijmy tu, że Reagan publicznie głosił, że USA kontaktują się z irańskimi siłami „umiarkowanymi”. Nir powiedział Bushowi, że Izraelczycy zaktywizowali ten kanał. „Stworzyliśmy front dla tej operacji, zapewniliśmy dla niej materialne podstawy, dostarczyliśmy samolotów”.

W 1989 r. Nir miał być głównym świadkiem w procesie Northa w związku z aferą Iran-Contras. On to właśnie ujawnił, iż antyterrorystyczne operacje, jakie w latach 1985—1986 nadzorował wraz z Northem, były realizowane na mocy tajnego porozumienia amerykańsko-izraelskiego. Jego zeznania mogły być niesłychanie kłopotliwe nie tylko dla administracji Reagana. Mogły ukazać również, jak ogromną rolę w całej sprawie odgrywał Izrael.

Jednakże 30 listopada 1988 r. doniesiono, że Nir, wraz z pilotem, zginął w wyniku katastrofy samolotu Cessna T210, który leciał na rancho położone 110 mil na zachód od Mexico City. Pozostała trójka pasażerów doznała tylko lekkich ran. Wśród nich była 25-letnia Kanadyjka, Adriana Stanton, która utrzymywała, że nie miała nic wspólnego z Nirem. Ale Meksykańczycy określili ją jako jego „sekretarkę” i „przewodnika”. Ponadto pracowała ona w firmie, z którą Nir był związany. Adriana Stanton odmówiła wszelkich informacji.

Nir pojechał do Meksyku, by omówić kwestie handlowe związane z handlem owocami avocados. 29 listopada odwiedził znajdujący się w zachodnim stanie meksykańskim Michoacan zakład, który pakował te owoce. Nir miał w tym przedsiębiorstwie swoje udziały. Następnego dnia wynajął samolot, by polecieć do Mexico City. Posługiwał się wtedy dokumentami na nazwisko Pat Weber i według oficjalnego orzeczenia zginął podczas katastrofy. Ale jego „ciało” zidentyfikował tajemniczy Argentyńczyk, Pedro Cruchet, który pracował dla Nira i przebywał w Meksyku nielegalnie. Oświadczył policji, że stracił papiery podczas walki

byków, mimo braku dokumentów otrzymał zgodę na zajęcie się ciałem

Nira.

Co więcej, sprawozdanie urzędu generalnej prokuratury potwierdziło, że Nir i Stanton podróżowali pod fałszywymi nazwiskami, chociaż rzekomo zajmowali się legalnym biznesem. Później inspektor z komórki wylotów na lotnisku stwierdził, że nie było to prawdą, ale tej omyłki nigdy nie wyjaśniono.

Na pogrzeb Nira w Izraelu przybyło ponad 1000 osób. Minister obrony Icchak Rabin mówił o „jego dążeniach do dotąd nie ujawnionych celów przy wykonywaniu tajnych zadań oraz o tajemnicach, które

zachował w swym sercu".

Po katastrofie Nira „Toronto Star” zacytowała słowa nieznanego z imienia funkcjonariusza wywiadu, który powiedział, że nie wierzy w śmierć Nira. Według tej opinii Nir prawdopodobnie poddał się operacji plastycznej twarzy w Genewie, „gdzie kliniki są bardzo dobre oraz bardzo dyskretne”.

Bez względu na to, co się stało z Nirem, łatwo sobie wyobrazić rozmiar szkód, jakie administracji Reagana i rządowi Izraela mogły wyrządzić zeznania Nira podczas przesłuchań w sprawie Iran-Contras i procesów sądowych.

W trakcie badań prowadzonych przez komisję senacką w lipcu 1987 r. przedstawiono notatkę z 15 września 1986 r., przekazaną przez Northa byłemu doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego, wiceadmirałowi Johnowi Poindexterowi. Notatka została ocenzurowana ze względów bezpieczeństwa, ale i tak wskazywała, że Poindexter najpierw dyskutował sprawę sprzedaży broni z Casey'em i potem dopiero przedstawił ją prezydentowi Reaganowi.

304

Poindexter był jedynym spośród siedmiu ludzi skazanych z powodu tej afery, który musiał iść do więzienia. 11 czerwca 1990 r. otrzymał sześciomiesięczny wyrok. Sędzia Harold Greene stwierdził, że Poindexter

zasłużył na uwięzienie jako „szef podejmujący decyzje w operacji Iran-
-Contras”.

3 marca 1989 r. Robert McFarlane został skazany na zapłacenie 20
tyś. dolarów grzywny i dwa lata nadzoru sądowego po tym, jak przyznał
się, że czterokrotnie odmówił udzielenia informacji Kongresowi. 6 lipca
1989 r., w następstwie sensacyjnego procesu w Waszyngtonie, North
skazany został na grzywnę w wysokości 150 tyś. dolarów i 1200 godzin
pracy społecznej.

Kolegium sądu uznało go za winnego w trzech na dwanaście punktów
oskarżenia. North został też skazany na trzy lata z zawieszeniem i
dodatkowo na dwa lata nadzoru sądowego.

Notatka Northa do Poindextera podkreślała znaczenie roli Nira
w tym skandalu. W notatce czytamy: „Amiram Nir, specjalny pomocnik
premiera (Szimona) Peresa ds. antyterroryzmu, wskazał, że podczas 15
minutowej rozmowy z prezydentem, Peres prawdopodobnie podniósł kilka
delikatnych problemów”.

Do owego czasu trzech amerykańscy zakładnicy zostali zwolnieni
w związku ze sprzedażą broni. Byli to Jenco, Weir i David Jacobsen.

Pod nagłówkiem „zakładnicy” notatka stwierdzała: „Kilka tygodni
temu Peres wyraził obawy, że Stany Zjednoczone rozważą sprawę

przerwa-
nia obecnych wysiłków wobec Iranu. Izraelczycy traktują sprawę
zakładni-
ków jako przeszkodę, którą trzeba pokonać na drodze do poszerzonych
strategicznych stosunków z rządem irańskim. Prawdopodobnie Peres
będzie starał się o gwarancje, że Stany Zjednoczone rzeczywiście będą
kontynuowały obecną wspólną inicjatywę, w ramach której ani Weir, ani
Jenco nie byłiby dziś wolni bez pomocy izraelskiej (...) byłoby pożyteczne,
gdyby prezydent po prostu podziękował Peresowi za jego dyskretną
pomoc".

Oczywiście Reagan uczynił to. Jest wysoce prawdopodobne, że Peres
odwzajemnił podziękowania, przynajmniej w części dotyczącej zorganizo-
wania wygodnej „śmierci” Nira, co zapobiegło jego publicznym zezna-
niom.

20 Wyznania szpiega

305

Trudno mieć pewność, ale biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności
— plus fakt, że izraelscy handlarze bronią zaopatrywali w broń — przez
Karaiby — kolumbijską mafię narkotykową — niepodobnym jest, by Nir
nie żył.

Nigdy nie będziemy mieli pewności. Ale wiemy, że gdyby Mosad był bardziej usłużny w sprawie amerykańskich i innych zachodnich zakładników, cała afera Iran-Contras nigdy by się nie zdarzyła.

Epilog

9 grudnia 1987 r. izraelska ciężarówka wojskowa zderzyła się z kilkoma samochodami w Gazie, zabijając czterech Arabów i raniąc 17 innych. Następnego dnia incydent ten wywołał szerokie protesty. Nasiliły się, gdy rozeszła się pogłoska, że wypadek był świadomie spowodowany, jako odwet za zabicie 6 grudnia 1987 r. jednego Izraelczyka w Gazie.

Uczestnicy protestów w Gazie zablokowali drogi barykadami z płonących opon. Rzucali na żołnierzy izraelskich kamienie, cocktaile Molotowa i żelazne pręty, 10 grudnia zamieszki rozszerzyły się na obóz dla uchodźców

Balata w pobliżu Nablusu na Zachodnim Brzegu.

16 grudnia użyte zostały, po raz pierwszy, przeciw protestującym armatki wodne. Specjalne oddziały wojska, specjalizujące się w walkach z demonstrantami, wysłano do strefy Gazy, by zdusić rosnące niepokoje.

Dwa dni później, po piątkowych modłach, młodzi Palestyńczycy po wyjściu z meczetów w Gazie starli się z żołnierzami izraelskimi w ulicznych

walkach. Trzech Arabów otrzymało śmiertelne strzały. Potem żołnierze

izraelscy wdarli się do szpitala Szifa, gdzie aresztowali dziesiątki rannych Arabów oraz pobili lekarzy i pielęgniarki, usiłujących ochraniać swoich pacjentów.

I n t i f a d a rozpoczęła się.

16 maja 1990 r. 1000-stronicowy raport, sponsorowany przez szwedzki oddział organizacji Save The Children Fund (organizacja stawiająca sobie za cel obronę dzieci — tł.), a sfinansowany przez Fundację Forda, oskarżył Izrael o „ciężkie, masowe i powtarzające się” gwałty zadawane dzieciom palestyńskim. Raport ocenił, że 50—63 tysięcy dzieci było leczonych z ran, w tym co najmniej 6500 było postrzelonych. Raport stwierdził, że większość zabitych dzieci nie brała udziału w rzucaniu

.307

kamieniami. W jednej piątej przypadków ustalono, że ofiary zostały postrzelone w domu albo w odległości do 30 stóp od swoich domów.

Intifada nadal szaleje i nie widać jej końca. Według Associated Press do końca lipca 1990 r. 722 Palestyńczyków zostało zabitych przez Izraelczyków, a dalszych 230 przez palestyńskich radykałów. Straciło życie w tych walkach co najmniej 45 Izraelczyków.

W 1989 r., w szczytowym okresie zamieszek, 10 tysięcy żołnierzy

usiłowało utrzymać porządek w Gazie i na Zachodnim Brzegu. W kwietniu

1990 r. liczba ta spadła do 5 tysięcy.

13 lutego 1990 r. „Wali Street Journal” donosił, że według izraelskiego studium bankowego w ciągu pierwszych dwóch lat powstania gospodarcze straty Izraela wyniosły miliard dolarów. Poza tym dodatkowo trzeba było przyznać armii 600 mln dolarów na zduszenie intifady.

W Strefie Gazy na obszarze zaledwie 146 mil kw. zamieszkuje ponad 600 tyś. Palestyńczyków. Około 60 tysięcy spośród nich codziennie dojeżdża do pracy na izraelską stronę, gdzie zajmują się prostymi, nisko płatnymi robotami, aby wieczorem wrócić do domu. Palestyńczykom bowiem nie wolno przebywać w nocy na terenie Izraela.

16 marca 1990 r. Kneset (parlament) obalił rząd premiera Icchaka Szamira 60 głosami przeciw 55. Po raz pierwszy rząd izraelski upadł w wyniku głosowania nad wotum zaufania. Nastąpiło to, gdy Szamir odrzucił amerykański plan rozpoczęcia pokojowych rozmów izraelsko-palestyńskich.

7 czerwca Szamir utworzył ze swoją-prawicową Partią Likud rząd koalicyjny, do którego weszły odpryskowe partie, zapewniając gabinetowi w Knesecie dwa głosy przewagi. Powstał — jak oceniają obserwatorzy

— najbardziej prawicowy w historii Izraela rząd, co pozwala Szamirowi kontynuować rozwój osiedli (żydowskich) na spornych terytoriach i odrzucać rozmowy z Palestyńczykami.

15 listopada 1988 r. w czasie czterodniowego posiedzenia w Algierze Palestyńska Rada Narodowa, traktowana przez OWP jako parlament na wygnaniu, proklamowała utworzenie niezależnego państwa palestyńskiego i po raz pierwszy w głosowaniu akceptowała kluczowe rezolucje ONZ, które uznają prawo Izraela do istnienia.

W okresie przeciągających się niepokojów obraz Izraela za granicą doznał poważnego uszczerbku. Mimo coraz większych wysiłków ze strony

308

izraelskiej administracji, by nałożyć kagańce na informacje o niepokojach na Zachodnim Brzegu i w Gazie. Widoki żołnierzy bijących i strzelających do nie uzbrojonej młodzieży palestyńskiej wyprowadzają z równowagi niektórych, nawet najbardziej zagorzałych sojuszników Izraela.

Trzy dni po upadku rządu Szamira były prezydent USA, Jimmy Carter, powiedział w trakcie swej podróży po regionie bliskowschodnim, że bunt „trwa częściowo wskutek pomiatania Palestyńczykami” przez żołnierzy izraelskich, Palestyńczyków zabija się bez żadnych powodów, aresztuje

bez sądowych orzeczeń i niszczy się ich domy.

„Na Zachodnim Brzegu nie ma prawie rodziny, w której władze wojskowe nie aresztowały choćby jednego mężczyzny" — powiedział Carter.

Dane sztabu armii izraelskiej ukazują, że 15—20 tysięcy Palestyńczyków zostało rannych i około 50 tysięcy aresztowanych. 13 tysięcy nadal pozostaje w więzieniach.

Jako świadoma próba prowokacji wobec wspólnoty chrześcijańskiej uznana może być akcja podjęta w Wielkim Tygodniu, 12 kwietnia 1990 r., kiedy grupa żarliwych nacjonalistów żydowskich zajęła puste w tym momencie cztery budynki. Jest to 72-pokojowy kompleks pod nazwą Hospicjum św. Jana, znajdujący się w sercu jerozolimskiej dzielnicy chrześcijańskiej. Kompleks ten znajduje się w odległości kilkuset jardów od kościoła Świętego Grobu, czczonego przez chrześcijan jako miejsce, gdzie według tradycji miał znajdować się grób Jezusa Chrystusa.

Przez 10 dni rząd izraelski odżegnywał się od udziału w tym wydarzeniu. W końcu jednak przyznał, że poufnie przekazał owej grupie 1,8 mln dolarów, które pokryją 40 proc. kosztów dzierżawy zabudowań.

Amerykański senator Robert Dole w wywiadzie udzielonym w czasie podróży do Izraela zasugerował, by Stany Zjednoczone rozważyły przerwanie masowej pomocy dla Izraela i przeznaczyły te fundusze na rodzące

się demokracje w Europie Wschodniej i Ameryce Łacińskiej.

1 marca 1990 r. sekretarz stanu USA, James Baker, powiedział, że administracja Busha chce rozważyć „przystrzyżenie” pomocy dla Izraela i innych krajów, aby pomóc rodzącym się demokracjom. Szamir oburzył się, gdy Baker uzależnił gwarancje dla 400-milionowego kredytu dla Izraela

od zamrożenia budowy nowych osiedli na okupowanych terytoriach.

Najlepszą ilustracją umacniających się nastrojów prawicowych w Izraelu jest przypadek rabina Mosze Lewingera — przywódcy skrajnie

309

prawicowego Ruchu Osiedleńców Żydowskich. W czerwcu 1990 r. został on skazany na sześć miesięcy „za niedbalstwo”: strzelił do Araba i zabił go.

7 października 1988 r. Lewinger prowadził samochód w Hebronie.

Ktoś kamieniem uderzył w jego wóz. Lewinger wyskoczył i zaczął strzelać,

zabijając Araba stojącego przed swoim zakładem fryzjerskim. Przed jedną z rozpraw sądowych Lewinger zbliżył się do budynku sądu wymachując bronią i głosząc, że zabicie Araba było dla niego zaszczytem. Po wyroku tłum wznoszący okrzyki na cześć Lewingera wniósł go do więzienia na rękach.

Rabin Mosze Cwi Neria, dyrektor słynnej B'Nai Akiwa Jaszeewa (szkoła religijna) powiedział na wykładzie w imieniu Lewingera: „Nie jest to czas na myślenie. Jest to czas, by strzelać na prawo i lewo”.

Prawnik Heym Cohen, emerytowany sędzia izraelskiego sądu najwyższego powiedział: „Sytuacja rozwija się w takim kierunku, że obawiałbym się twierdzić, dokąd idziemy. Nigdy nie słyszałem, by ktoś był sądzony za niedbalstwo po tym, jak zabił kogoś z zimną krwią. Prawdopodobnie starzeję się”.

Intifada oraz postępujące kruszenie się porządku moralnego i człowieczeństwa są bezpośrednim wynikiem swego rodzaju megalomanii, jaka charakteryzuje działalność Mosadu. Oto, gdzie wszystko się zaczyna. Jest to przekonanie, że jak długo masz władzę, możesz każdemu, komu chcesz, kazać robić wszystko, co chcesz.

Izrael stoi w obliczu największego w swej historii niebezpieczeństwa. W Izraelu wciąż biją Palestyńczyków, a Szamir mówi: „To oni sprawiają, że jesteśmy okrutni. To oni zmuszają nas, by uderzać w dzieci. Czyż nie są oni straszni?” Tak się dzieje po wielu latach tajności, mówienia, że „mamy zawsze rację i niezależnie od tego w jakiej sprawie”. Dezinformowanie wyższych przedstawicieli państwowych, usprawiedliwianie gwałtów i nie-ludzkiego postępowania drogą oszustwa lub jak mówi się w Mosadzie

— „drogą podstępu", to choroba władzy w Izraelu.

Źródłem tej choroby jest Mosad. Rozszerza się ona następnie na rząd i idzie w dół do dużej części społeczeństwa izraelskiego. W Izraelu jest wielu ludzi, którzy się temu sprzeciwiają, ale ich się nie słucha. A z każdym krokiem w dół łatwiej to wszystko powtarzać i coraz trudniej powstrzymać.

Największym przekleństwem w Mosadzie jest, gdy jeden katsa kieruje do drugiego życzenie: „Chciałbym przeczytać o tobie w gazecie".

Tylko tą drogą wszystko mogłoby się zmienić.

Słowniczek nazw

AGENT — Pojęcie często nadużywane. Jest to pracownik nie krajowy, lecz zwerbowany do instytucji wywiadowczej. Mosad ma ich w świecie około 35.000, w tym 20.000 czynnych i 15.000 „w konserwie".

„Czarni" agenci to Arabowie, a „biali" — nie Arabowie. Agenci ostrzegający to tacy, którzy pracują w punktach strategicznych i powinni ostrzegać przed przygotowaniem wojennymi. Np. lekarz w szpitalu syryjskim, który zauważy nagłe duże dostawy leków, czy pracownik portowy, który ustali wzrost aktywności na okrętach wojennych,

AKADEMIA (Midrasha) — Szkoła Mosadu na północ od Tel Awiwu, zwana oficjalnie letnią rezydencją premiera.

AL — Tajna jednostka złożona z doświadczonych katsa, pracująca w głębokiej konspiracji w Stanach Zjednoczonych.

AMAN — Wywiad wojskowy.

APAM — Zabezpieczenie operacyjne wywiadu.

BABLAT — „Mieszanie piłek”, czyli gadanie od rzeczy.

BALDAR — Kurier.

BAT LEVEYHA — Kobiety towarzyszące — nie dla seksu. Zwykle miejscowe kobiety, nie koniecznie Żydówki, wynajęte jako agentki pomocnicze.

BENELUKS — Komórka w centrali Mosadu zajmująca się Belgią, Holandią i Luksemburgiem.

BEZPIECZNY DOM — Zwany też w Mosadzie mieszkaniem operacyjnym. Mieszkanie, bądź dom. własny lub wynajęty dla potajemnych spotkań, służący także jako baza operacyjna.

BODEL (l.mn. bodlim) lub lehavidit — łącznik, posłaniec między bezpiecznymi domami i ambasadami lub między bezpiecznymi domami.

DARDASIM (smurfy) — Podwydział w Kaisarucie. Pracuje na obszarze Chin, Afryce i Dalekim Wschodzie.

DIAMENTY (yahalomim) — Jednostka w Mosadzie, która zajmuje się łącznością z agentami w krajach docelowych.

DROGA — Patrz masiut.

DUYSHANIN — Najczęściej członek sił pokojowych ONZ, opłacany za przenoszenie wiadomości i paczek w obie strony przez granice izraelsko-arabskie.

EKSPERT Z UCHWYTEM — Fachowiec w dziedzinie innej niż szpiegostwo, którego zabiera się z misją, aby zidentyfikował dokumenty albo wyposażenie związane ze swoją dziedziną wiedzy.

Określenie „z uchwycem” symbolizuje tu paczkę. Ekspert taki zostaje „wniesiony” do potrzebnego miejsca przez zespół Mosadu.

FUNKCJONARIUSZE — Prawdziwi „szpiedzy”. Izraelczycy wysyłani do krajów arabskich dla tajnej pracy.

GADNA — Paramilitarne izraelskie brygady młodzieżowe.

HETS VA-KESHET — Godło i letni obóz ćwiczebny Gadny („łuk i strzały”).

HUMANT — Zbieranie informacji od ludzi i wszelkiego typu agentów.

INSTYTUT — Oficjalna nazwa Mosadu. Po hebrajsku Mosad zwie się Ha Mossad, le Modiyn ve le Tafkidim Mayuhadim czyli Instytut Wywiadu i Operacji Specjalnych.

JEDNOSTKA 504 — Minimosad. Jednostka wywiadowcza w wojsku zbierający informacje przez granice.

JEDNOSTKA 8200 — Jednostka wojskowa zajmująca się wszelkimi przechwytywaniami w łączności dla wywiadu izraelskiego.

JEDNOSTKA 8513—Wydział wywiadu wojskowego zajmujący się fotografią.

JUMBO — Informacje osobowe wychodzące poza oficjalny wywiad które oficerowie łącznikowi Mosadu zbierają od oficerów łącznikowych innych krajów — np. CIA.

KOŃ (sus) — Plecy, protektor.

KAISARUT (początkowo Tevel) — Łącznicy w ambasadach izraelskich, których miejscowe władze znają jako pracowników bezpieczeństwa.

314

KATSA — „Oficer zbierający” lub „oficer operacyjny”. Mosad ma ich tylko jednorazowo w działaniu około 35. Werbują agentów spośród wrogów na całym świecie.

KESHET (później neviot) — „Łuk”. Zbieranie informacji z obiektów martwych — np włamań, zakładania podsłuchu.

KIDON — „Bagnet”. Ramię operacyjne Metsady. Odpowiada za wykonywanie egzekucji i porwań.

KOMEMIUTE — patrz Metsada.

KRAJ DOCELOWY — Każdy kraj arabski.

KRAJ PODSTAWOWY — Europa Zachodnia, USA Kanada — każdy kraj, w którym Mosad ma bazy.

KSHARIM — „Supelki”. Zapis komputerowy dotyczący wzajemnych powiązań różnych ludzi.

LAKAM (Lishja le Kishrei Mada) — Biuro łączności naukowej premiera Izraela.

ŁAP (Lohamah Pscichlogit) — Wojna psychologiczna.

LEAD — Werbowanie kogoś w celu, aby przez niego trafić do kogoś następnego.

MABUAH — Ktoś, kto dostarcza informacji ze źródła informacji, a nie bezpośrednio.

MALAT — Oddział łączności zajmujący się Ameryką Południową.

MARATS — Podśluchiwacze.

MASLUH — „Droga”. System zabezpieczenia siebie pozwalający sprawdzić, czy ktoś nas śledzi.

MAULTER — Słowo hebrajskie. Znaczy „nieplanowany”. Oznacza improwizowane, a nie planowane zabezpieczenie drogi.

MELUCKHA — Uprzednio Tsomet. „Królestwo”. Wydział werbunkowy kierujący katsa.

METSADA (później Komemiute) — Bardzo tajny wydział. Nibym mi-

ni-Mosad w Mosadzie. Zajmuje się funkcjonariuszami.

MISGAROT — Patrz „Zręby”.

MISHLASHIM — Zapadnie, skrzynki szpiegowskie.

MOLICH — „Wędrownik”. Ktoś zwerbowany nie dla niego samego,

ale żeby prowadził kogoś innego.

NAKA — Jednolity mosadowski system sporządzania raportów operacyjnych i informacyjnych.

NATIV — Zbiera informacje o Związku Radzieckim i ułatwia tworzenie dróg ucieczki dla Żydów z bloku wschodniego.

N EVIOT — patrz Keshet.

OFICER OPERACYJNY — W większości służb wywiadowczych odpowiada pojęciu katsa w Mosadzie. W Mosadzie ludzie z Metsady

zajmujący się funkcjonariuszami.

OTER — Arab opłacany za ułatwianie kontaktu z innymi Arabami.

Często używany przy werbunku. Otrzymuje na ogół 3.000 do 5.000

dół. miesięcznie plus zwrot kosztów.

PAHA — Wroga działalność sabotażowa. Np. OWP.

ROZWÓJ — Związany z jednostką wojskową 8520. Produkuje specjalne

zamki, walizki z podwójnym dnem itp.

SAIFANIM — „Złota rybka” — Departament Mesadu zajmujący się

OWP.

SAYAN (l.mn. sayanim). — Pomocnicy żydowscy żyjący poza Izraelem.

SHABACK — Izraelski odpowiednik FBI. Siły bezpieczeństwa wewnętrznego.

SHICKLUT — Departament zajmujący się „podśluchiwaczami”

— maratami.

SHIN BET — Pierwotna nazwa Shabacku.

SIEDEM GWIAZD — Małe oprawne w skórę notatniki używane

przez katsa. Zawierają zakodowane numery telefonów i kontakty.

SLICK — Skrytka dla dokumentów, broni itd.

SKOCZKOWIE — Katsa stacjonowani w Izraelu, którzy „skaczą” do.

różnych krajów, wykonując zadania krótkoterminowe — w odróżnieniu od stacjonowanych za granicą.

ŚWIATŁO DZIENNE — Najwyższy stopień alarmu w stacji Mosadu.

TACHLESS — Przechodzić do rzeczy.

TAYESET — Szyfrowa nazwa wydziału szkoleniowego.

TEUD — „Dokumenty” — produkcja dokumentów, np. paszportów.

TEYEL — Patrz Kaisarut.

TSAFRIRIM — „Wietrzyk poranny”. Organizuje społeczności żydowskie poza Izraelem. Pomaga w tworzeniu „Zrębów”.

TSIACH — Doroczne spotkanie izraelskich organizacji wywiadu woj-
skowego i cywilnego. Również nazwa dokumentu zawierającego
zapotrzebowanie wobec wywiadu na kolejny rok, wyliczone w kolej-
ności ich ważności.

TSOMET — Patrz Meluckha.

WYWIAD BEZPOŚREDNI — Śledzenie ruchów i działań, które można
fizycznie obserwować. Np. przemieszczenie broni, oddziałów woj-
skowych, przygotowania szpitali czy portów do wojny.

WYWIAD STRUKTURALNY — Obserwacje o charakterze nie fizycz-
nym, jak zbieranie wskaźników ekonomicznych, pogłosek, obser-

wowanie morale, nastrojów społecznych itd.

YARID — „Jarmark wiejski”. Zespoły odpowiedzialne za bezpieczeństwo na terenie Europy.

ZREBY — Żydowskie jednostki samoobrony tworzone w całym świecie.

Spis treści

Od autorów 7

Prolog. Operacja Sfinks 13

Rozdział I. Werbunek 39

Rozdział II. Kadet numer 16 57

Rozdział III. Klasa pierwsza 70

Rozdział IV. Formowanie charakterów 87

Rozdział V. Rekruci 106

Rozdział VI. Belgijski stół	114
Rozdział VII. Jarmułka	132
Rozdział VIII. Powitanie i pożegnanie	145
Rozdział IX. Strella	165
Rozdział X. Carlos	183
Rozdział XI. Exocet	201
Rozdział XII. Szach i mat	213
Rozdział XIII. Pomoc dla Arafata	228
Rozdział XIV. Tylko w Ameryce	248
Rozdział XV. Operacja Mojżesz	267
Rozdział XVI. Ubezpieczenie portowe	280
Rozdział XVII. Bejrut	287
Epilog	307

Kiedy we wrześniu 1990 roku kanadyjska oficyna wydawnicza STODDART PUBLISHING Co.Limited zapowiedziała wydanie TEJ KSIĄŻKI, adwokat Joel Gildenberg działając w imieniu rządu Izraela, uzyskał sądowy zakaz jej rozpowszechnienia ze względu na „straszne konsekwencje dla wielu ludzi i prawdopodobnie wielu krajów”.

Nieznani sprawcy włamali się nocą do biura STODDART PUBLISHING i przewertowali wiele dokumentów. Policja kanadyjska stwierdziła profesjonalną robotę włamywaczy. Dwaj znani Autorowi agenci Mosadu próbowali go przekupić, proponując wycofanie książki.

Parlament izraelski przesłuchał szefa Mosadu, by określić jakie szkody mogą doznać stosunki izraelsko-amerykańskie, w związku z zapowiedzianą publikacją książki przez wydawnictwo Saint Martines Press w Nowym Jorku, I w tym wypadku, adwokaci uzyskali decyzję sądową o wstrzymaniu dystrybucji książki.

Sądy apelacyjne w Toronto i Nowym Jorku, uchylili te zakazy, dzięki czemu książka ukazała się w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. Decyzje te pozwoliły, również

nam, opublikować te sensacyjne wyznania szpiega
Mosadu.

Dystrybutor

gamma

90